



Jan Karon

W MOIM MITFORD

Rozdział pierwszy

BARNABA

Opuściwszy ciepłe wnętrze baru Grill przy Main Street, w którym unosił się cudowny aromat kawy, pastor przystanął na chwilę pod zieloną markizą.

Poczuł ukłucie dojmującego chłodu wczesnej, górskiej wiosny.

Często doświadczał w życiu małych cudów, właśnie takich jak ten — zamykał za sobą drzwi tylko po to, by nagle znaleźć się w zupełnie innym świecie, o nowych zapachach i fascynacjach. „Jak dobrze wiedzieć, że życie niesie takie drobne przyjemności” — powtarzał sobie, zachęcając także swych parafian do poszukiwania ich we własnym życiu.

Zmierzając w kierunku kościelnej kancelarii, oddalonej o dwie przecznice, odkrył nagle z radością, że wcale nie idzie, ale spaceruje.

Była to przyjemność, na którą rzadko sobie pozwalał. Przecież ktoś mógłby pomyśleć, że nie ma nic innego do zrobienia, podczas gdy w rzeczywistości miał bardzo dużo pracy.

Postanowił całkowicie oddać się tej ukradkiem czerpanej radości, podobnie jak ktoś, kto bez większych wyrzutów sumienia zjada od razu połowę pudełka czekoladek.

Doszedłszy do kancelarii, wypowiedział te same słowa modlitwy, które powtarzał każdego ranka od dwunastu lat, stając przed jej drzwiami:

— Ojcze, pozwól, abym za sprawą Twojego Syna, naszego Pana, był dzisiaj dla kogoś błogosławieństwem. Amen.

W chwili gdy wyjmował z kieszeni klucz, poczuł na ręce coś ciepłego i obrzydliwie mokrego.

Spojrzał w dół, prosto w oczy dużego, czarnego, oblepionego błotem psa, którego ogon zaczął gwałtownie uderzać w nogawkę jego spodni.

— Wielki Boże! — zawołał, wycierając rękę w zamszową kurtkę.

Na to pies podskoczył do góry i oblizał twarz pastora, zalewając jego prawe ucho potokiem śliny.

— Zostaw mnie! Zmykaj! — krzyknął. Próbował ocalić notatnik, który miał ze sobą, ale zanim zdążył go wepchnąć do kieszeni kurtki, pies dokładnie go oblizał, a potem usiłował mu go wyrwać.

Przemknęła mu przez głowę myśl o ucieczce, ale gdyby ktoś zobaczył, jak ucieka przed kudłatym, oblepionym błotem psem, nie minęłoby pół godziny, a już wiedziałoby o tym całe miasto.

— Na ziemię! — rzucił surowym głosem, na co pies wyskoczył do góry i oblizał mu podbródek.

Próbował łokciem osłonić się przed zwierzęciem, wsuwając jednocześnie klucz do zamka w drzwiach. Gdyby umiał kląć, pomyślał, byłaby to pierwszorzędna okazja do soczystego popisu.

— „Niech nie wychodzi z waszych ust żadna mowa szkodliwa — powtórzył na głos, cytując fragment Listu do Efezjan — lecz tylko budująca...”.

Pies usiadł nagle i spojrzał na swą ofiarę z czułym zachwytem.

— No, nareszcie — powiedział z irytacją, wycierając notatnik w rękaw. — Mam nadzieję, że udało mi się wybić ci z głowy te głupie pomysły.

W odpowiedzi pies podskoczył, stanął na tylnych łapach, a ogromne, przednie oparł na ramionach pastora.

— Ojcie Timie! Ojcie Timie! — dobiegł go głos Emmy Garrett, sekretarki, którą zatrudnił w kancelarii na pół etatu.

Wilgotny oddech psa niczym gwałtowny tajfun owiał okulary pastora tak, że zaszyły mgłą, a on w jednej chwili stał się zupełnie bezradny.

Trzask! Emma zdzieliła psa swoim notatnikiem prosto w głowę. Trach! Uderzyła go jeszcze raz w bok.

— I ani mi się waż tu wracać! — krzyknęła, podczas gdy pies skowycząc, umykał w kierunku żywopłotu z rododendronów, za którym po chwili zniknął.

Emma podała pastorowi pachnącą „Moim grzechem” chusteczkę.

— To nie był pies — powiedziała z odrazą. — To był buick!

Po wejściu do kancelarii pastor poszedł prosto do malutkiej łazienki, gdzie dokładnie umył twarz i ręce. Emma zawołała zza drzwi:

— Kawa już prawie gotowa!

— Do licha! Zrób mi podwójną! — powiedział pastor, zczesując resztkę włosów, która pozostała mu jeszcze na czubku głowy.

Wychodząc z łazienki, spojrzał po raz pierwszy tego ranka na swoją sekretarkę. To, że w ogóle udało mu się ją rozpoznać, graniczyło z cudem. Emma Garrett bowiem, powodowana najwyraźniej wiosennym impulsem, ufarbowała swoje siwe włosy na rudo.

— Emmo! — wykrzyknął zdumiony. — To ty?

— Tak — odparła z uczuciem — to właśnie jestem prawdziwa ja, a nie kobieta, którą miałeś okazję oglądać przez te wszystkie lata. To straszdyło z siwymi włosami to wcale nie byłam ja!

Poruszyła głową na boki, aby w pełni mógł ocenić efekt. Westchnął, zachwycony i zrozpaczony jednocześnie. A miał nadzieję, że to będzie kolejny normalny poranek.

Harold Newland przyniósł pocztę wcześniej niż zwykle, a ponieważ Emma wyszła do banku, położył listy w starannym stosiku na biurku proboszcza. Na samym spodzie widać było, wsunięty niejako w odwrotnej kolejności, list od biskupa.

Prosił biskupa, aby nie spieszył się zbyt z odpowiedzią, i biskup wysłuchał jego prośby. Mięły już dwa pełne miesiące, odkąd on sam — przemyślawszy dokładnie treść — napisał i wysłał swój list.

Przyglądał się kopercie koloru kości słoniowej. Nie znalazł na niej zwrotnego adresu — nie była to koperta firmowa. Gdyby ktoś nie znał tak dobrze tego charakterystycznego, okrągłego pisma, nigdy nie domyśliłby się, kto jest nadawcą.

Nie miał odwagi otwierać listu tutaj. Nie, chciał go przeczytać w zaciszu własnego domu. Czy napisał go własnoręcznie sam biskup? Jeśli tak, będzie to najlepszym dowodem na to, jak poważnie potraktował jego słowa.

Wiele lat temu jego kolegę z seminarium poruszyły słowa świętego Pawła Apostoła, który podkreślał, że List do Galatów napisał własnoręcznie, jak gdyby był to akt najwyższego poświęcenia. Jako młody seminarzysta Stuart Cullen wziął to sobie mocno do serca. Powszechnie wiadomo, że odkąd został biskupem, wszystkie ważne listy do członków swojej diecezji pisał sam. Wszyscy się zastanawiali, skąd ma na to czas. Cóż, w tym właśnie sęk. Nie miał go. A to oczywiście sprawiało, że szczęśliwi adresaci jego odręcznych i refleksyjnych listów uważali je za największy skarb.

Nie, nie otworzy listu, na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że napisała go na maszynie sekretarka. Poczeka do wieczora, aż znajdzie się w domu, gdzie sam, bez intruzów będzie mógł wyjść do swego zacisznego, świeżo skopanego ogródka.

Po wczesnej kolacji pastor usiadł na kamiennej ławce porośniętej delikatnym mchem, nad którą swoisty baldachim utworzyły zwisające gałęzie rododendronu.

Przeczytał list, rzeczywiście napisany odręcznie, dużym, zamaszystym pismem, które potrzebowało przestrzeni, aby swobodnie galopować po stronie.

„Najdroższy Timothy,

to idealny wieczór, aby zasiąść w tym miłym pokoju i napisać list. Korespondencja jest dla mnie wyjątkową przyjemnością, która niejako wydobywa moją wrażliwość, zwłaszcza jeśli adresatem mych słów jest wieloletni przyjaciel.

Wydaje mi się, że pochwaliłbyś sposób, w jaki Martha uporządkowała moje półki z książkami i uczyniła z pracowni miejsce, w którym na powrót można pracować. Kazała nawet naprawić Twój ulubiony chodnik, więc gdy odwiedzisz nas ponownie, nie potkniesz się na jego wytartym kawałku i nie wpadniesz głową na fotel!

Pytasz, czy kiedykolwiek znajdowałem się w sytuacji podobnej do tej, w której ty znajdujesz się obecnie. Mój Przyjacielu, wyczerpanie i zmęczenie są nieodłącznymi towarzyszami oddanego kapłana i nie ma sposobu, aby tego uniknąć. Jest to problem na miarę epidemii i proszę Cię, zaufaj mi, nie je-

steś sam. Czasami gdy osiadziemy w jakiejś małej parafii, takiej jak Twoja — czy takiej, w jakiej i ja byłem kiedyś kapłanem — wydaje nam się, że wszystkie problemy, z którymi musimy się zmagać, godzą prosto w nas.

Mogę Cię zapewnić, że wcale tak nie jest.

Mój stary przyjaciel, który był pastorem w Atlancie, powiedział mi kiedyś: »Nie doświadczyłem kryzysu wiary, ale kryzysu uczuć i siły. Ludzie, którzy stoją na czele kongregacji, nie są w stanie zrozumieć, że duchowny, który ich prowadzi, czasami też potrzebuje pasterza. Czuję się stłamszony przez życie, wypalony, zły i przygnębiony«.

W tonie Twojego listu nie znalazłem — a zakładam, że jak zawsze, jesteś ze mną szczery — przygnębienia czy złości, i dziękuję za to Panu. Martwię się jednak tym, co może się zdarzyć w przyszłości, jeśli nie zaradzimy Twojemu problemowi już teraz.

A oto kilka propozycji, które poddaję Ci pod rozwagę: załóż dziennik, na którego strony będziesz mógł przelać swoje uczucia. Jeśli nie odpowiada Ci ta forma, poszukaj jakiegoś nabożnego doradcy i powiadom mnie o kosztach, ponieważ diecezja chętnie je pokryje.

Jeśli się nie mylę, Twoja matka zostawiła Ci dość dużą sumę pieniędzy. Być może nadszedł czas, abyś przynajmniej część tej kwoty przeznaczył na własne potrzeby, a nie tylko na szpital dziecięcy, który wspierasz wiernie już od lat. Znam Cię wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie muszę Cię namawiać do modlitwy. Zawsze byłeś w niej bardzo gorliwy, a jeśli coś się zmieniło, to w takim razie, Timothy, musisz to naprawić.

Być może nie wiesz, że jesteś jednym z najsilniejszych i najtrwalszych ogniw w naszym diecezjalnym łańcuchu. Jesteś dla mnie bardzo ważnym pastorem, a zasięgnięte z pierwszej ręki informacje mówią, że jesteś wręcz niezastąpiony w swojej parafii. Nie powinieneś mieć ani cienia wątpliwości.

Właśnie zajrzała do pokoju Martha, żeby powiedzieć mi, że czas już zbierać się do snu. Nie umiem wręcz wyrazić, jakie to cudowne uczucie, gdy ktoś mi mówi, co mam zrobić, podczas gdy zazwyczaj to właśnie mnie przypada ten obowiązek!

Naprawdę nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze się ożenię, i nikt nie był bardziej zdziwiony niż ja sam, gdy w wieku czterdziestu dziewięciu lat odkryłem, że jestem gotowy i bardzo pragnę złożyć jeszcze jedne śluby. Wszystkim wydawało się to bardzo niezwykle, ale dla mnie była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Nie mogę Ci rozkazać, żebyś znalazł sobie żonę i się ożenił, Timothy, powiem Ci jednak, że te ostatnie dziesięć lat, które przeżyłem z Marthą, wprowadziły w moje życie spokój, który całkowicie przepędził stres trawiący moją duszę. Nie mogę powiedzieć, że tempo mojego życia jest wolniejsze — myślę, że wręcz przeciwnie — ale dużo łatwiej mi je teraz znosić.

Jeśli dobrze pamiętam czasy, gdy byliśmy jeszcze w seminarium, nasz stosunek do kobiet był bardzo podobny. Bardzo zależało Ci na Peggy Cramer, ale kiedy Twoje uczucie do niej stało się prze-

szkodą na drodze do Twojego powołania, zerwałeś zaręczyny. Nawet po wielu latach jestem pewien, że dałem Ci wtedy dobrą radę. Mimo to zastanawiam się — czy pogodziłeś się z tym w swoim sercu?

Oto i jest z powrotem, mój Przyjacielu, a wierz mi, moja żona nie lubi przypominać mi niczego dwa razy. Bardzo dobrze, że czuwa nad tym, bym nie roztrwoniał całej swojej energii. W przeciwnym razie poświęciłbym Panu wszystko i rano nie miałbym siły wstać z łóżka.

Nawołuję Cię, abyś z rozsądkiem i umiarem gospodarował siłami, które chcesz poświęcić Panu, i trwał na swoim obecnym posterunku. Poczekał jeszcze rok! Albo — najwyżej — dwa. Jeśli jednak nie dasz rady, ojciec DeWilde będzie wolny na jesieni i właśnie jego widziałbym w Lord's Chapel.

Timothy, jeśli nie zadowala Cię ta jednostronna rozmowa, wiesz, jak do mnie zadzwonić. Modlę się za Ciebie codziennie.

Zawsze Jego wierny sługa, Stuart".

W miarę jak zapadał zmrok, pastor począł odczuwać chłód kamiennej ławki.

Wstał i rozejrzał się po zieleniejącym ogródku, jakby zobaczył go pierwszy raz. Poruszył go widok cieni przesuwających się po różanej rabacie, którą przekopał dwa razy tam i z powrotem, po obsadzonych przez siebie grządkach i własnoręcznie zasadzonym dereniu. Mitford było jego domem, całkowicie i nieodwołalnie. Ostatnią rzeczą, której pragnąłby, to wyjechać stąd. Marzył jednak o zmianie i w tym właśnie tkwił cały problem.

Nieomal każdego powszedniego dnia o szóstej czterdzieści pięć rano pastor odwiedzał chorych w szpitalu, następnie jadł śniadanie w barze Grill, a potem szedł do kancelarii. Przez resztę poranka czytał, pisał listy, telefonował i administrował liczącą prawie dwustu wiernych parafią.

W południe szedł na lunch do baru albo — jeśli padał deszcz, śnieg, czy też deszcz ze śniegiem — zjadał połowę należącej do Emmy kanapki z sałatką jajeczną i połowę przyniesionych przez nią ciasteczek Little Debbies.

Po południu, aż do godziny czwartej, pracował nad kazaniem, udzielał porad i ogólnie rzecz ujmując, doglądał wszystkich spraw wynikających ze swojej profesji. „Na każdym miejscu są oczy Pańskie” — zwykł był cytować z Księgi Przysłów.

Zdarzały się chwile, kiedy było mu żal, że nigdy się nie ożenił i nie założył rodziny. Musiał jednak przyznać, że jako kawaler miał zdecydowanie więcej czasu dla swej dużej parafialnej rodziny.

Było właśnie czwartkowe popołudnie, a on ruszył do domu, niosąc koszyk, który otrzymał od członkini Bractwa Ołtarzowego, zawierający słoik zielonej fasolki domowej roboty, słoik przyprawy do mięs i bochenek bananowego chleba. Na wierzchu położył notatnik, a całość nakrył projektem kościelnego biuletynu na najbliższą niedzielę.

Zupełnie jak Czerwony Kapturek, myślał, kiedy zamykał za sobą drzwi, po czym wsunął ciężki klucz do kieszeni. Obrócił się i zastygł nieruchomo, jego oczom bowiem ukazał się następujący obra-

zek — prosto na niego, z alarmującą prędkością, biegło coś, czego miał nadzieję już nigdy więcej nie oglądać.

Był to ten ogromny, skaczący i liżący, a w dodatku oblepiony błotem pies.

Już od kilku dni pies pojawiał się nagle dosłownie znikąd. Najpierw, gdy szedł Old Church Lane na spotkanie z hydraulikiem, z którym umówił się w Lord's Chapel. Potem, gdy sadził lawendę wzdłuż chodniczka prowadzącego do domu i gdy szedł do sklepu, żeby kupić mleko i słodkie ziemniaki. I jeszcze dwa razy, gdy wychodził z baru.

Spotkanie na ulicy było stosunkowo nieciekawe. Po tym, jak pies oblizwał mu z entuzjazmem rękę i nieomal przewrócił go na ziemię, wyskakując energicznie do góry, pastorowi udało się powstrzymać dalszy atak napastnika głośnym wyrecytowaniem listy ubrań oddanych do pralni. Gdy doszedł do skarpetek — trzy białe pary, cztery czarne, jedna niebieska — pies znajdował się już na cmentarzu za kościołem, by po chwili zniknąć za zakrętem.

Spotkanie przy grządce z lawendą było jednak dużo barwniejsze. Pastor klęczał właśnie w całkowitym skupieniu na płytce chodnika, gdy nagle poczuł na plecach dotyk dwóch psich łap. W jednej chwili jego lewe ucho zostało poddane tak obfitej kąpieli, że nieomal zemdlął z wrażenia.

— Wielki Boże! — krzyknął pastor, wywracając się wprost w sadzonki. Nie wypuścił jednak z ręki łopatki, którą wcześniej kopał ziemię.

Odwrócił się i uniósł ją do góry, jakby zamierzał zadać śmiertelny cios, i ze zdziwieniem stwierdził, że pies stoi na tylnych nogach, przyglądając się mu w radosnym wyczekiwaniu.

Powodowany jakimś dziwnym impulsem rzucił łopatkę najdalej jak potrafił. Szczęśliwe zwierzę skoczyło za nią, szczekając przy tym radośnie, i po chwili wróciło, upuszczając przedmiot u stóp pastora.

Ponieważ całe to zdarzenie zdawało się pozbawiać go chwilowo mowy, pastor rzucił łopatkę ponownie i przyglądał się, jak pies przynosi ją z powrotem. Gdy po pewnym czasie ocknął się, nie mógł uwierzyć, że spędził dwadzieścia minut, stojąc w miejscu i powtarzając tę głupią czynność. Nic mądrzejszego jednak nie przychodziło mu do głowy.

Pewnego ranka w barze zapytał:

— Czy ktoś widział może tego dużego, czarnego psa?

— Chodzi ci o tego, który tak bardzo cię polubił? — zapytał Percy Mosely. — Pierwszy raz widzieliśmy go tydzień albo dwa tygodnie temu. Kilka razy przemknął tędy niczym ekspres. Zawsze jednak gdy ktoś próbuje go złapać, wyslizguje się jak węgorz.

— Chcieliśmy mu dać coś do jedzenia — powiedziała żona Percy'ego, Welma — ale nie odpowiada mu kuchnia mojego męża.

— Ha, ha — zaśmiał się Percy, przygotowując sześć kulek ziemniaczanych na gorąco, zgodnie z zamówieniem.

— Powinieneś złapać go kiedyś, gdy będzie cię gonił, i zadzwonić do schroniska dla psów — zaproponowała Welma.

— Po pierwsze — odparł ojciec Tim — tego konkretnego psa nie da się złapać, a po drugie, nie mam najmniejszego zamiaru fundować mu czegoś, co może okazać się jego zgubą.

Po trzecie, pomyślał, mnie osobiście ten pies nigdy nie gonił, z każdego spotkania z nim wychodziłem obronną ręką!

— Cóż, właśnie w tej chwili siedzi na zewnątrz i czeka na ciebie — zauważyła Hessie Mayhew, która wstąpiła do baru po drodze do biblioteki, dźwigając naręcze przetrzymanych książek.

Pastor podniósł się trochę do góry ze swojego miejsca w boksie i spojrzął przez wychodzące na ulicę okno. Tak, rzeczywiście. Zobaczył, jak biedne stworzenie wpatruje się z czułością w bar Grill.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że to bardzo przyjemne uczucie wiedzieć, że ktoś na człowieka czeka, nawet jeśli jest to tylko pies. Emma mówiła to już od lat, że przydałby mu się pies, kot albo chociaż jakiś ptak. On jednak nigdy nie traktował jej słów poważnie.

— Powinniśmy zadzwonić do schroniska dla psów — zdecydowanie zaproponował Percy, który był zdania, że jakieś drobne zdarzenie ożywiłoby trochę ten poranek. — Dopadną go, zanim dojdiesz do kancelarii.

Pastor zawiązał dyskretnie w serwetkę kawałek posmarowanego masłem tostu i wsunął go do kieszeni.

— Poczekajmy z tym jeszcze trochę, Percy — powiedział, idąc w kierunku drzwi.

Tam zatrzymał się na chwilę i gdy był już gotowy, otworzył je i wyszedł na ulicę.

Miasteczko Mitford było położone w miejscu, które mieszkańcy zachodnich stanów nazwaliby zapadłą doliną. Z każdej jego strony wznosiły się strome góry, które na podobieństwo ciasta opadającego od nazbyt częstego otwierania drzwiczek do piekarnika, łagodnym łukiem przechodziły w kotlinę znajdującą się pomiędzy grzbietami gór.

Według pewnego parafianina, który drogę do Lord's Chapel pokonywał zawsze na piechotę, handlowa część Mitford miała od jednego do drugiego końca dokładnie trzysta czterdzieści dwa kroki.

Od strony północnej Main Street wznosiła się lekko do góry i biegła wokół miejskiego skweru, który otoczony był żywopłotem ze świerków. Jego centralne miejsce zajmował pomnik upamiętniający drugą wojnę światową. Znajdowały się tam jeszcze cztery ławki ustawione przodem do pomnika, a wiosną — efektowny klomb z bratków. Jedna z miejskich frakcji twierdziła, że właśnie bratek jest oficjalnym kwiatem miasteczka.

Po lewej stronie skweru znajdował się miejski ratusz, a tuż obok niego kościół baptystów. W ogródku przed kościołem rosły ozdobne krzewy i kwiaty, a tuż przy drodze stał pulpit, na którym wyryty był werset 3, 16 z Ewangelii według świętego Jana. Członkowie tego kościoła bowiem już dawno doszli do wniosku, że jest on podstawowym przesłaniem ich wiary.

Po prawej stronie skweru, naprzeciwko Lilac Road, wznosił się niegdyś imponujący dom panny Rose i wujaszka Billy'ego Watsona. W zarośniętym ogrodzie przed domem stały obecnie dwa krzesła z chromowanego metalu, typowe dla wyposażenia aneksu jadalnego. Mieszkańcy domu siadali na nich, by obserwować ruch uliczny wokół skweru.

Przyjezdni, którzy przemierzali centrum handlowe miasteczka, rozciągające się pomiędzy dwoma przecznicami głównej ulicy, zawsze się dziwili, że sklepy tutaj są tak bardzo od siebie oddalone. Powodem były kwitnące ogródki znajdujące się pomiędzy budynkami. W żyznej ziemi, pośród starannie wypielegnowanych klombów tkwiły takie oto tabliczki:

„Fryzjer Joe. Zapraszamy do ogrodu. Schodami na prawo”.

„Oksfordzkie Antyki. Przystań na chwilę, by powąchać róże. Zapraszamy”.

„Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń. Zapraszamy do ogrodu dla Czytelników”.

Jedna z najpoczytniejszych gazet zamieściła taką informację turystyczną:

„Mitford to miasteczko w cudowny sposób nie nadążające za współczesną Ameryką. Ulice tutaj noszą imiona kwiatów, mieszkańcy szukają schronienia przed słońcem w pachnących różanych altanach, których tu bez liku, a wiosna zastaje prawie całą społeczność, nie wyłączając właścicieli sklepów, pielęgnującą swoje ogródki.

...i chociaż turyści, zwabieni urokiem i pięknem miasteczka z przełomu wieków, ciągną tu niczym pszczoły do miodu, Mitford robi wszystko, by nie ulec masowej turystyce.

»Chcemy, aby ludzie odwiedzali nasze miasto — mówi burmistrz, pani Esther Cunningham — ale nie zależy nam na tym, żeby spędzali tu całe wakacje. Do tego celu idealnie nadaje się miasteczko uniwersyteckie Wesley, oddalone jedynie o dwadzieścia kilometrów. Są tam bary i pensjonaty. Mitford wolałoby pozostać przystankiem na drodze, miejscem, gdzie można zregenerować siły«”.

Idąc Main Street na południe, w stronę Wisteria Lane, po drodze mijają się pocztę, bibliotekę, bank, księgarnię, cukiernię Sweet Stuff należącą do Winnie Ivey i nowy sklep z odzieżą męską.

Znajdował się tam również sklep spożywczy, zwany przez wszystkich Sklepem, tak powszechnie znane były jego produkty: świeży drób i pochodzące z okolicznych farm płody rolne. Przez trzydzieści sześć lat Sklep dostarczał kurczaków, zajęcy, kiełbasy, szynki, masła, ciastek i innych wypieków, wiejskich jajek, dżemów i konfitur wyprodukowanych przez okolicznych farmerów, a w sezonie — również warzyw i jagód. Latem kosze, stojące na chodniku pod zielonymi markizami, codziennie były napełniane kolbami kukurydzy Silver Queen. W lipcu natomiast na ladach chłodniczych umieszczano pojemniki pełne dorodnych jeżyn.

Na lewo od Main Street biegła Wisteria Lane, mijając najpierw plebanię kościoła episkopalnego, którego tylne drzwi wychodziły na zielone zacisze parku Baxter, a potem pnąc się w górę, aż do kościoła prezbiteriańskiego.

Na prawo Wisteria Lane prowadziła tylko do Wesley Chapel, małego kościółka metodystów, który stał na brzegu strumienia w różowym gaju laurowym i sływał z przepięknego dźwięku dzwonów.

Na drugim i zarazem ostatnim handlowym odcinku Main Street znajdowały się: sklep z artykułami żelaznymi, herbaciarnia, kwiaciarnia, sklep sprzedający wyroby z irlandzkiej wełny i sklep z antykami, a pomiędzy nimi — ogródki.

Nieco wyżej przez Main Street biegła przecznica Old Church Lane, która wznosiła się po lewej stronie ostro do góry i przechodziła w Church Hill Drive, w miejscu, gdzie w wysokiej trawie, w pobliżu Fernbank — domu panny Sadie Baxter leżały w gruzach fundamenty pierwszego kościoła episkopalnego w Mitford.

Na drugim końcu przecznicy, pomiędzy dwoma nie posiadającymi właścicielami ogródkami, stała Lord's Chapel. Za kościołem, który znany był ze swej pięknej normandzkiej wieży i cudownych ogrodów, droga zwężała się, prowadząc do kilku ładnych domów położonych nad porośniętym korzeniówką brzegiem wartkiego strumienia.

Wydstawszy się poza granice miasteczka, ulice i drogi pięły się lekko do góry, prowadząc w głąb doliny, gdzie zaczynały się faliste tereny pól uprawnych. Na tamtejszych pastwiskach pasły się guernseye i herefordy, jeziora pełne były pstrągów i leszczy, a po gospodarskich podwórzach biegały świergoczące perliczki. Wszędzie tam, w miasteczkach i poza nimi, glebę stanowił czarny i żyzny ił, który zamieniał codzienną pracę dżdżownic w nie kończącą się przyjemność.

Bardzo rzadko i bez żadnego konkretnego powodu pastor wyobrażał sobie, że odpoczywa przy kominku w salonie, w towarzystwie miłej żony. On czyta, a ona siedzi naprzeciwko niego w wygodnym fotelu.

W całej tej idylli nie mógł dojrzeć jej twarzy, ale był pewien, że rysuje się na niej dziewczęca słodycz. Ponadto jego towarzyszka zawsze dziergała coś na drutach. Pastor był zdania, że robótki na drutach są balsamem dla duszy. Cała czynność jest rytmiczna i opiera się na powtórzeniu, a w efekcie prowadzi do powstania czegoś materialnego.

W tym marzeniu, na stoliku obok jego krzesła zawsze znajdowała się jakaś pyszna niespodzianka i prawie zawsze było to ciasto ze słodkim nadzieniem. Pastor był kawalerem i w głębi serca darzył ciasta z owocami tak wielką miłością, że aż wzbudzało to jego niepokój.

— Czy miałby ojciec ochotę na jeszcze jeden kawałek tego ciasta z kokosem? — padało pytanie.

— Nie, zjadłem już aż za dużo — odpowiadał. Wierutne kłamstwo!

W tej istniejącej jedynie w jego wyobraźni scenie z kominkiem nie mówiłby zbyt wiele. Od czasu do czasu mógłby poruszyć jakiś kościelny temat, przeczytać na głos Blake'a albo Wordswortha i poradzić się swej towarzyszki w sprawie głównych punktów kazania.

Obecność kogoś, kto wysłuchałby wstępnej wersji jego kazania i pochwaliłby ją, albo nawet na litość boską zganił, sprawiłaby mu dużo większą radość niż najlepszy domowy wypiek.

Czasami zasięgał opinii lub dyskutował na ten temat ze swoim bliskim przyjacielem, Halem Owenem, weterynarzem pracującym na wsi. Doszedł jednak do wniosku, że koniec końców, swoją teologię musi głosić sam.

Rozmyślał nad tym pewnego wieczoru, tuż po powrocie z garażu, do którego poszedł, aby dać czarnemu psu kolację, gdy ze zdziwieniem stwierdził, że z okolicy jego odzianych w skarpety stóp dochodzi głośnie, przeciągłe ziewanie.

Nie wierzył własnym oczom, gdy zobaczył, że obok krzesła, wpatrując się w niego, leży zbląkany pies.

— Do licha! — krzyknął. — Musiałem nie zamknąć za sobą drzwi.

Nie dość, że ten zwykle bardzo ruchliwy pies wydawał się teraz bardzo spokojny, to jeszcze wpatrywał się w niego ze szczerym zainteresowaniem. Ojciec Tim stwierdził ze zdziwieniem, że brązowe oczy jego towarzysza podobne są do oczu starego kościelnego, którego znał, gdy był młodym księdzem.

W przyływie radości podniósł ze stojącego obok stolika tomik poezji Wordswortha.

— „Jest piękno, spokój, wolność w tym wieczorze” — przeczytał na głos.

*Pogoda — cicha, jak mniszka wielbiąca,
Bez tchu wśród modłów; szeroka twarz słońca
Już się zapada w spokojności łoże;
Łagodność niebios szybuje nad morzem;
Słuchaj! To czuwa potężna istota,
I w wieczystego ruchu swego grzmotach
Huczy na wieki, wciąż, o każdej porze*.*

* Fragment sonetu *Nad morzem* Williama Wordswortha w tłumaczeniu Stanisława Kryńskiego zaczerpnięto z książki: *Anielscy „Poeci Jezior”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1963.* (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Pies zdawał się słuchać jego słów z głębokim zainteresowaniem. Skończywszy czytać wiersz, który Wordsworth napisał dla swojej córki, pastor przeszedł z radością do eseju.

„Życie i świat — zaczynał się bezpretensjonalnie — są zaiste niezwykle”.

— Bez wątpienia — powiedział pod nosem, a pies tymczasem przysunął się do jego stóp.

Barnaba!, pomyślał. Tak właśnie miał na imię stary kościelny.

— Barnaba? — spytał na głos w rozjaśnionym świetłem lampy pokoju, w którym panowała absolutna cisza.

Jego towarzysz uniósł głowę i spojrzał na niego czujnie i wyczekująco.

— W takim razie, Barnaba! — powiedział z właściwym dla kleru autorytetem.

Sprawa załatwiona raz na zawsze.

Gdy pastor wstał, żeby pogasić światła w salonie, i Barnaba podniósł się razem z nim, oczom pastora ukazał się widok, który sprawił, że z jego ust wydobył się cichy jęk. Na wytartym dywanie Aubusson leżały jego ulubione skórzane pantofle sprzed dwudziestu lat, których stan niezbitcie świadczył o tym, że Barnaba gryzł je przez cały wieczór.

— Szczeniak — stwierdził Hal Owen, zapalając fajkę. — Jeszcze urośnie.

— Ile? Jak myślisz? Tyle? — Ojciec Tim podniósł ręce i rozsunał je na niewielką odległość.

Hal Owen uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Tyle? — Ojciec Tim rozsunał ręce trochę szerzej.

— Umhmm. Mniej więcej tyle — odparł Hal.

Barnaba rozłożył się w kącie pokoju, przy biurku pastora, i radośnie uderzał ogonem w podłogę.

Hal przyglądał się mu w poważnym skupieniu, paląc jednocześnie fajkę.

— Wygląda na to, że ma w sobie coś z owczarka. Z dużą domieszką irlandzkiego ogara. Powiedziałbym jednak, że jest to przede wszystkim bouvier.

Pastor westchnął ciężko.

— Jego towarzystwo wyjdzie ci na dobre, Tim. Człowiek potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać, komu mógłby zwierzyć się ze swoich problemów i u kogo mógłby znaleźć przyzwolenie na kilka drobnych szaleństw. A co do jego pochodzenia, to przytoczę słowa E.B. White'a, które uważam za niezwykle trafne: „Prawdziwie wierny i niezastąpiony pies jest dziełem przypadku. Nie można go wychować, nie można też kupić go za pieniądze. On po prostu nagle zjawia się w naszym życiu”.

— Rzeczywiście. Muszę ci powiedzieć, że lubi poezję osiemnastowieczną.

— Sam widzisz. — Hal włożył tweedowy kaszkiet. — Przywieź ze sobą Barnabę do Meadowgate, pozwolimy mu się wybiegać po polach. Marge zrobi specjalnie dla ciebie zapiekanek z kurczakiem. Co ty na to?

Nic nie mogłoby mu sprawić większej radości.

— Już mnie tu nie ma. Muszę przeglądać zęby konia Tommy'ego McGee i spojrzeć na zad jałówki Harolda Newlanda.

— Nie zamieniłbym się z tobą zawodem, przyjacielu.

— Ani ja — odparł pogodnie weterynarz.

— Czym mam go karmić?

— Pieniędzmi — rzucił bez zastanowienia Hal. — Wrzucaj mu je dwa razy dziennie do pyska, a on będzie je łykał niczym gęś kluski.

— Właśnie tego się obawiałem.

— Słuchaj. Będę ci przywoził gotowe jedzenie dla psów. Bardzo dobre. Bardzo tanie. Wyniesie cię to tyle, co wyżywienie kota.

— Niech cię Bóg błogosławi.

— Dziękuję, Tim, przyda mi się odrobina Bożego błogosławieństwa.

— Niech jasność Jego oblicza będzie zawsze przy tobie! — dodał z zapalem pastor.

— Będę bardzo wdzięczny — powiedział Hal, naciągając rękawiczki. — Jutro albo pojutrze zajmę się nawet jego szczepieniami.

Właśnie wtedy usłyszeli zbliżające się do drzwi kroki Emmy Garrett, która miała na nogach ciężkie buty. Usłyszał je też Barnaba. Z zadziwiającą zręcznością przeskoczył przez biurko pastora, poślizgnął się na małym perskim chodniku i wylądował wprost przed drzwiami, gdzie stanąwszy na tylnych łapach, czekał w napięciu, by przywitać Emmę.

— Bractwo Ołtarzowe pomaga dzisiaj sadzić bratki na miejskim skferze — powiedziała Emma w chwili, gdy pastor wchodził z Barnabą do kancelarii, prowadząc go na nowej, czerwonej smyczy.

— Skwerze, Emmo, skwerze.

— Skferze — powtórzyła inteligentnie. — I pytali, czy mógłbyś przyjść do nich na chwilę i pomóc im dobrać kolory.

Bractwo Ołtarzowe oczywiście doskonale poradziłyby sobie samo, pomyślała. Pastor jednak zdobył kilka nagród za najładniejszy ogród i w magazynie wydawanym przez spółdzielnię elektryczną napisano o nim cały artykuł.

Pastor zauważył, że Emma najwyraźniej stara się zachowywać tak, jakby Barnaba w ogóle nie istniał. Nie było to łatwym zadaniem w kancelarii, w której znajdowały się tylko dwa biurka, dwa krzesła, ławka dla interesantów, wieszak na cztery płaszcze i wspólny kosz.

— Jak to pomóc dobrać kolory? — zapytał pastor, odsłuchując wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce.

— No, wiesz. Czy żółte posadzić w środku, czy też dookoła? A w którym miejscu niebieskie? Nie obok różowych! — powiedziała z przekonaniem.

— Zajmę się tym.

Spojrzała na niego sponad okularów.

— Świetnie wyglądasz z tą opalenizną, muszę przyznać.

— Dziękuję bardzo za miłe słowa. W porównaniu z opalenizną gracza w golfa opalenizna ogrodnika nie jest tak dystygowana, ale ma swoje zalety. Żeby ją zdobyć, na przykład, nie trzeba wkładać tych śmiesznych musztardowych spodni, które oni noszą.

Emma ryknęła śmiechem. Nic w życiu nie sprawiało jej takiej przyjemności jak nieskrępowany śmiech, a szczerze mówiąc, chociaż pastor był pod wieloma względami cudownym człowiekiem, rzadko kiedy pozwalał sobie na żarty.

— Nie wyglądasz już na tak wykończonego jak ostatnio. Myślałam, że jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli zdrapywać cię z podłogi.

— Wiosna, Emmo. Leczy ciało i uzdrawia duszę.

— Cóż, miejmy nadzieję, że już tak zostanie — powiedziała, taksując go spojrzeniem, jak wyłożony na ladę towar, po czym zajęła się na powrót rozsyłaniem niedzielnych czeków.

— Bardzo mnie złości, że Petrey Bostick zawsze obiecuje wysokie datki na kościół i nigdy nie dotrzymuje słowa — zaczęła narzekać.

— Wiesz, że nie lubię tego słuchać. Nie chcę patrzeć z ambony na wiernych i widzieć banknotów dolarowych zamiast serc.

— Wiesz, co myślę? Nie wiedział.

— Myślę, że żyjesz w jakimś wyimaginowanym świecie. Uważam, że o wszystkim, co się dzieje, powinieneś być dokładnie poinformowany. Weź na przykład baptystów — oni wiedzą wszystko.

Emma lubiła mówić o baptystach, ponieważ sama kiedyś do nich należała.

— Rzeczywiście? — zapytał łagodnie.

— Co się stało, na co się zanosi, kto zastrzelił Lizzie. Rzuć tylko słowo, a oni zaraz dopowiedzą ci resztę.

— Aha — odpowiedział.

Odkąd Emma ufarbowała włosy na rudo, robiła co w jej mocy, by sprostać nowemu wyzwaniu.

Pastor przysunął sobie swoją starą maszynę do pisania marki Royal i posługując się wskazującymi palcami, zaczął pisać list.

„Drogi Walterze,

dzięki za T list z 12 marca. rozpocząłem już prace w ogrodzie, chociaż nadal jest zimno i często pada deszcz. przygotowania do wielkiego tygodnia w pełni.

mam nadzieję, że jesteś w lepszym nastroju. bądź pewien, że On wskaże Ci właściwą drogę. psalm 32,8 obiecuje: „pouczę cię i wskażę drogę, którą pójdziesz; umocnię moje spojrzenie na tobie”. nigdy nie trać w to wiary!

na zawsze T oddany kuzyn.

p.s. mam nadzieję, że zobaczymy się tej wiosny. ucałowania dla Katherine. Zawsze pamiętam o Tobie w modlitwie”.

Gdy podniósł wzrok znad napisanego w telegraficznym skrócie listu do kuzyna i przyjaciela z chłopięcych lat, zauważył, że zaczęło padać. Już od rana cała dolina spowita była we mgle gęstej ni-

czym zawiesista zupa. Po raz kolejny stawiało go to przed dylematem, czy powinien kupić pomarańczowy płaszcz przeciwdeszczowy, w którym byłby dobrze widoczny podczas spacerów we mgle.

— Nie jeździsz samochodem? — zapytał go kiedyś z niedowierzaniem poprzedni biskup.

A niby dlaczego miałyby jeździć? Droga z domu do kancelarii zajmowała mu tylko dwie minuty, a do kościoła niecałe trzy. Szpital oddalony był jedynie o kilka przecznic, a najwspanialszy sklep spożywczy na świecie znajdował się naprzeciwko.

Pewien kaznodzieja, Vance Havner, poświęcił właśnie temu tematowi jedno ze swych rozważań.

— Żyjemy w dobie motoryzacji i na każdego pieszego patrzymy podejrzliwie. Gdy zobaczymy w dzisiejszych czasach człowieka, który po prostu idzie drogą i rozmyśla, zastanawiamy się, czy brakuje mu piątej klepki, czy też benzyny. Zdarza się to tak rzadko, że psy ujadają, jakby zobaczyły zjawę.

Poruszanie się wszędzie na piechotę pozwalało mu zachować dobre samopoczucie i zdrowie, jeśli nawet nie doskonałą formę. Gdyby jednak zmusiły go do tego okoliczności, zawsze mógł naładować akumulator w swoim buicku rivierze, wyprowadzić go z garażu i ruszyć w drogę.

W rzeczy samej ostatnio całkiem poważnie rozważał zakup roweru. Tyle że teraz miał Barnabę. Nie mógł jakoś wyobrazić sobie jadącego rowerem pastora w koloratce i prowadzącego jednocześnie na czerwonej smyczy ogromnego, czarnego psa. Nie, to nie był dobry pomysł.

— Niech to! — powiedziała Emma, kiedy zrobiła błąd w rachunkach.

Barnaba wyskoczył do góry i jednym susem znalazł się przy jej biurku, oparł obydwie łapy na książce rachunkowej, pochylił się do przodu i swoim oddechem zaparował całe jej okulary.

— Mój Boże! — krzyknęła.

Dlaczego Emma zawsze mówiła: „Mój Boże!” w sposób, który nie miał nic wspólnego z jej Bogiem? Pastor złapał Barnabę za obrożę i zaciągnął go do kąta, obok swojego krzesła.

— Mówię poważnie — powiedziała Emma, mrużąc oczy i przecierając okulary — będziesz musiał wybrać: albo on, albo ja.

Chwyciła swoją torebkę z drugim śniadaniem i wrzuciła ją do szuflady, którą następnie zamknęła z hukiem.

— Leżeć! — rozkazał Barnabie. Barnaba wstał i pomachał ogonem.

— Stój! — krzyknął, na co pies niespiesznie podszedł do drzwi i obwąchał je.

— W takim razie siad! — Barnaba podszedł do miski z wodą i napił się łapczywie.

— Cokolwiek — mruknął pod nosem, nie znajdując odwagi, by spojrzeć Emmie w oczy.

Usiadł i zajął się wyjątkiem z Pisma Świętego na najbliższą niedzielę. Zgodnie ze zwyczajem, chciał przećwiczyć czytanie fragmentu na głos, odchrząknął więc.

Barnaba odebrał to najwyraźniej jako zachętę, by stanąć obok krzesła pana, oprzeć przednie łapy na jego ramieniu i sownie zwilżyć śliną Biblię.

Pastor czytał niedawno, że brak reakcji na zachowanie negatywne i nagradzanie zachowania pozytywnego może przynieść dobre rezultaty. „Bez względu na wszystko — przekonywał artykuł — nie patrz swojemu psu w oczy, jeśli chcesz zniechęcić go do określonego zachowania”.

— „Jezus przechodząc obok — zaczął pastor, unikając żalosego spojrzenia psa — ujrział pewnego człowieka, niewidomego od urodzenia. Uczniowie Jego zadali Mu pytanie: »Rabbi, kto zgrzeszył, że się urodził niewidomym — on czy jego rodzice?«”.

Barnaba westchnął i położył się na podłodze. Pastor kontynuował, nie patrząc w kąt:

— „Jezus odpowiedział: »Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak, aby się na nim objawiły sprawy Boże«”.

Przeczytał na głos jeszcze jeden werset, potem przerwał i w pełnym skupieniu przyglądał się przez chwilę Barnabie.

— Cóż — powiedział w końcu — to niezwykle.

— Niby co? — zapytała Emma.

— Ten pies najwyraźniej — odchrząknął — uspokaja się pod wpływem Pisma Świętego.

— Oczywiście, że nie! — odpowiedziała z obrzydzeniem Emma. — Tego psa nic nie jest w stanie uspokoić!

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i panna Sadie Baxter mimowolnie przyczyniła się do potwierdzenia tezy Emmy.

Zanim gość zdążył otworzyć usta, Barnaba w kilku skokach pokonał pokój, by przywitać go w najbardziej wylewny sposób. Na ten widok pastor krzyknął, co akurat przyszło mu do głowy, a mianowicie słowa, którymi zwrócił się do tłumu święty Piotr:

— „Nawróćcie się i niech każdy z was ochrzci się!” Barnaba rozciągnął się na podłodze i westchnął z zadowoleniem.

— Jestem ochrzczona, dziękuję! — odparła panna Sadie, zdejmując kapelusz przeciwdeszczowy.

Rozdział drugi

KŁOPOTLIWY PODARUNEK

Panna Sadie Baxter była ostatnim żyjącym członkiem jednej z najstarszych rodzin w Mitford.

Mając osiemdziesiąt sześć lat, zajmowała najokazalszy w miasteczku dom, z najwspanialszym widokiem. Posiadała też najwięcej ziemi, której znaczna część oddana była pod hodowlę starego, ale nadal rodzącego dorodne jabłka sadu. W rzeczy samej, gospodynie w Mitford twierdziły, że najlepsze szarlotki robi się nie z jabłek „Granny Smith”, ale z twardych, lekko cierpkich jabłek „Sadie Baxter”, jak zwykle się je nazywać.

Nikt nigdy nie słyszał, żeby panna Sadie wydała chociaż część pieniędzy, które na tartaku w dolinie zarobił jej ojciec. Ubóstwiała jednak dzielić się jabłkami ze wszystkimi — rozdawała je workami, wiadrami i koszami. Najwyraźniej jedyne poważne prace wykonane w ostatnich latach w Fernbank ograniczały się tylko do sadu, ponieważ jak każdy z łatwością mógł zobaczyć z ulicy, widoczny ponad wierzchołkami drzew dach domu wymagał pilnej naprawy. Krążyła nawet plotka, że podczas deszczu panna Sadie siedzi w swoim salonie otoczona całą armią wiader, a hałas kapiącego deszczu jest tak ogromny, że właścicielka nie słyszy nawet własnych myśli.

Gdy tego wtorkowego ranka przyszła z wizytą do pastora, padał właśnie ulewny deszcz.

— Na litość! — powiedziała, strzepując kapelusz przeciwdeszczowy. — Taka pogoda to raj dla żab!

Ojciec Tim pośpieszył pomóc panie Sadie zdjąć płaszcz i ucałował ją w wilgotny policzek.

— Co, na litość boską, robi pani tutaj w taką ulewę?

— Dobrze ojciec wie, że dla mnie żadna pogoda nie jest straszna — odpowiedziała dziewczęcym głosem.

Tak było w rzeczywistości. Wszyscy wiedzieli, że bez względu na pogodę Sadie Baxter może w każdej chwili przemknąć ulicą swoim plymouthem z 1958 roku. Sprawy miały się jednak inaczej, gdy ulice pokrywał lód.

— Nie można go przewidzieć — zwykła mawiać — a ja kocham rzeczy przewidywalne.

W mroźne dni czytała więc, grała na pianinie, przeglądała rodzinne albumy ze zdjęciami albo dzwoniła do Louelli, byłej pokojówki i przyjaciółki, która mieszkała obecnie u wnuka w Marietcie, w stanie Georgia.

Ojciec Tim widział przez okno, że panna Sadie wjechała jak zwykle na chodnik i zaparkowała samochód tak blisko schodów, że gdyby otworzył drzwi do kancelarii na całą szerokość, to zarysowałby lakier na jego błotniku.

— Usiądź, proszę — zaproponowała Emma — i napij się z nami kawy.

— Wiesz, jaką lubię — przypomniała, rozsiadając się wygodnie. — Wiecie co? Nigdy byście nie zgadli!

— Poddaję się — powiedział pastor.

— Ważę dokładnie tyle, ile mam lat!

— Niemożliwe! — krzyknęła Emma.

— To najszczęśliwsza prawda. Byłam na wizycie kontrolnej u Hoppy'ego i gdy stanęłam na wadze, okazało się, że ważę dokładnie osiemdziesiąt sześć funtów. Czy przytrafiło wam się kiedyś coś podobnego?

— Nigdy! — stwierdził ojciec Tim.

— I wiecie co jeszcze? — zapytała, siedząc na brzegu ławki dla interesantów niczym uczennica.

— Co takiego? — zapytał.

— Louella przyjeżdża do mnie na Wielkanoc. Jej wnuk przywiezie ją samochodem z samej Marietty! Ponieważ Louella nie może już gotować, pomyślałam, że kupię gotowe zapiekanki z kurczakiem. Co o tym myślisz, Emmo?

— Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Możesz też zastanowić się nad jakimś koktajlem owocowym z dżemem.

— Świetny pomysł! I herbata. Nadal potrafię przyrządzać herbatę. Louella bardzo dużo słodzi. Pomyślmy, co jeszcze?

Emma zastanawiała się, stukając ołówkiem w maszynę do pisania.

— Hmm...

— Panno Sadie — powiedział ojciec Tim — ugotuję dla pani szynkę.

— Naprawdę? Ależ, ojczy, to byłoby takie, takie... niech ojcu Bóg błogosławi.

— Nie ma o czym mówić! — odparł, czując, że Bóg błogosławi mu nie od dzisiaj.

— No, to sprawa załatwiona. Nigdy nie zgadniecie, co się jeszcze wydarzyło, więc opowiem wam sama. Wczoraj w ogóle nie wychodziłam z domu. Wstyd mi się do tego przyznać, ale nawet się nie ubrałam, to okropne, prawda? Przez cały dzień chodziłam w szlafroku. Gdyby zobaczyła to moja mama, to chyba zemdlałaby. Zaczęłam od przeszukiwania całego strychu w poszukiwaniu starej lalki, o której właśnie sobie przypomniałam. Dzisiaj miałaby osiemdziesiąt lat. Wiedziałam jednak, że ją znajdę, ponieważ nigdy niczego nie wyrzucaliśmy. Ile tam było kurzu! Całe tumany, rozpętałam prawdziwą burzę piaskową! A ile kapeluszy! Tyle kapeluszy, ile ja tam znalazłam! Całe mnóstwo pięknych kapeluszy mamy. Przyniosę je wszystkie któregoś ranka do szkoły niedzielnej i pozwolę poprzymierzać dzieciom. Czy nie będzie to zbyt świętokradzkie?

— Z pewnością nie — zaśmiał się pastor.

— Potem zaczęłam szukać starego portretu taty, tego, na którym ma sumiaste wąsy. Przeszłam więc na czworakach z powrotem w miejsce, w którym trzymaliśmy obrazy ustawione na małych stojakach, wyciągałam je po kolei i wicie, co...

Panna Sadie przerwała i spojrzała na nich uważnie.

— Co takiego? — zapytała Emma, pochylając się do przodu.

— Stał tam ten stary obraz przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, który tato przywiózł z zamorskiej podróży.

— Aha! — powiedział ojciec Tim.

— I chciałabym podarować go kościołowi, ojcie — dodała panna Sadie — żeby wisiał na ścianie.

Mogło się to okazać fatalne w skutkach. Pastor pamiętał dwa czy trzy inne podarunki dla kościoła, które wywołały ogólną konsternację. Jednym z nich była wypchana głowa łosia, co do której ofiarodawca był zdania, że należy przecież do stworzenia Bożego i wobec tego jest odpowiednią ozdobą dla świetlicy parafialnej, jeśli nie nawy kościelnej.

— Może zaglądnąłbym kiedyś do Fernbank, żeby rzucić na ten obraz okiem, i moglibyśmy, aa, zabrać go stamtąd.

— Ależ nie. Nie ma takiej potrzeby, ojcie. Przy wiozłam go ze sobą. Gdyby tylko ojciec zechciał wyjść ze mną do samochodu...

— Leje jak z cebra, panno Sadie.

— Tak, wiem, zawinęłam obraz w płótno, potem w folię i wszystko dokładnie zawiązałam sznurkiem!

Obliczył, że aby nie zarysować zielonego plymoutha, może otworzyć drzwi do kancelarii dokładnie do połowy. Wyciągnął przed siebie parasol, otworzył go za drzwiami, wysunął się bokiem z pokoju i przy akompaniamencie dudniącego deszczu uniósł parasol nad głowę. Następnie otworzył tylne drzwi do samochodu i trzymając lewą ręką parasol, wyciągnął prawą, by dosięgnąć ciężkiego obrazu, który leżał na siedzeniu.

Udało mu się wsunąć obraz pod ramię, zatrzasnąć drzwi do samochodu za pomocą pięty przemoczonego buta, otworzyć drzwi do biura pchnięciem czubka tego samego buta, następnie wepchnąć obraz przez drzwi do środka, opuścić parasol, precyzyjnie się przez wąską szparę i w końcu stanąć, ociekając wodą, na dywanie.

— Proszę! — powiedziała panna Sadie z zadowoleniem, jak gdyby to ona sama wyciągnęła paczkę z samochodu.

Zupełnie wyczerpany oparł ciężki pakunek o ścianę.

— Jeśli masz nożyczki, Emmo, to pozwól, że ja się tym zajmę.

Panna Sadie podciągnęła rękawy swetra i zajęła się rozcinaniem kilku warstw sznurka, materiału i plastiku.

— Już wystarczy — powiedziała. — Popatrzcie w drugą stronę, a ja wam powiem, kiedy możecie się odwrócić.

Pastor odwrócił się i spoglądał przez okno, które znajdowało się za jego biurkiem, osuszając jednocześnie chusteczką zmoczoną deszczem twarz i ręce. Emma ze stoickim spokojem wpatrywała się w drzwi do łazienki, na których wisiała tablica z ogłoszeniami parafialnymi.

Szybciej, myślała Emma, która jeszcze musiała zająć się sprawą bilecików do wielkanocnych kwiatów.

— Gotowe! — pisnęła panna Sadie.

Pastor odwrócił się i oniemiał na widok tego, co zobaczył.

Namalowany w różowej tonacji obraz, oprawiony w szeroką, złożoną i kunsztownie rzeźbioną ramę, przedstawiał Maryję i Dzieciątka, których postacie, nawet pod warstwą narosłego przez lata kurzu i brudu, wyraźnie jaśniały. Nad głową niemowlęcia widać było delikatną aureolę, a matka spoglądała na trzymane w ramionach dziecko z tęskną czułością. W tle, z dala od błękitu i złota jej sukni, rysował się krajobraz z płynącym przez łąki i pola jasnym strumieniem, zwieńczony mieniącym się platyną, różem i lawendą wschodzącego słońca niebem.

— No, tak — powiedział pastor, z trudem opanowując chęć przeżegnania się. — Jest całkiem... całkiem piękny. Nie spodziewałem się...

— A więc podoba się wam? — Oczy panny Sadie wyrażały radość.

— Podoba się? Jest nadzwyczajny! Jest śliczny.

— Umyłam go — wyjaśniła panna Sadie — płynem do naczyń.

Przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Czy jest tutaj jakieś nazwisko? Wiadomo, kto jest autorem obrazu?

— Ani śladu nazwiska. Wzięłam nawet swoje szkło powiększające i przeszukałam obraz dokładnie, z przodu i z tyłu.

Drzwi do kancelarii otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka podmuch wiatru i Harry'ego Nelsona w ociekającym deszczem nieprzemakalnym płaszczu.

— Obecność w tym pomieszczeniu więcej niż trzech osób jednocześnie jest niezgodna z prawem — powiedziała, nie bez odrobiny złośliwości, Emma. Nie mogła znieść widoku starszego kościelnego, zwłaszcza w mokrym płaszczu, z którego woda kapała wprost na cienki dywan.

— Jeśli kiedykolwiek uda się nam zdobyć jakieś konkretne pieniądze, wyburzymy te ściany i dodamy wam ze sto metrów kwadratowych — poinformował z satysfakcją.

Po moim trupie, pomyślał pastor, który kochał mały, kamienny budynek wybudowany przez parafię w 1879 roku.

Harry Nelson powiesił swój płaszcz w kącie, nalał sobie filiżankę kawy i zajął miejsce na ławce, obok panny Sadie.

— Do rzeczy, ojcze, a oto w czym problem. Przyjrzelśmy się temu dokładnie i doszliśmy do wniosku, że wyniesienie stamtąd tej szafy jest niemożliwe bez przewrócenia do góry nogami całej świątyni.

Podczas gdy ojciec Tim i Harry Nelson omawiali sprawy związane z kościołem, Emma i panna Sadie dyskutowały na temat wielkanocnego obiadu. Emma zamierzała upiec drożdżowe bułeczki łączone w czwórki, których nie robiła już od dziesięciu lat, od śmierci Charliego. Panna Sadie natomiast postanowiła, że uroczysty posiłek z Louellą i jej wnukiem zjedzą w oranżerii, jeśli dzień będzie słoneczny.

— Ojej! A co to takiego? — zapytał Harry, widząc obraz.

— Prezent od panny Sadie dla Lord's Chapel — odpowiedział z dumą ojciec Tim.

Harry pochylił się nad płótnem, żeby zobaczyć je z bliska. Ponieważ Emma siedziała bezpośrednio za nim, szczególny widok, który ukazał się jej oczom, nieomal pozbawił ją tchu.

Harry zagwizdał z uznaniem.

— To mi wygląda na Vermeera — poinformował obecnych.

— Muszę przyznać, proszę pana, że nie pomyślałabym, że zna pan tego malarza — powiedziała panna Sadie.

— Czy go znam? Ależ oczywiście, jak najbardziej! Ja i Shirley uczęszczaliśmy na różne kursy ze znajomości sztuki. Czy wie pani, że istnieje tylko trzydzieści pięć oryginalnych obrazów Vermeera? Nie licząc oczywiście całej serii podrobionych przez tego Holendra żyjącego w dziewiętnastym wieku. Wsadzał je do piekarnika, żeby wyglądały jak prawdziwe.

Ściągnął okulary i mrużąc oczy, przyglądał się obrazowi.

— Czy jest tu jakiś podpis?

— Nic nie znaleźliśmy — powiedział pastor.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest oryginał. Ludzie, słyszałem, że nawet falsyfikaty warte są niezłe pieniądze. Wiecie co, mam przyjaciela, który wycenia takie rzeczy. Poproszę go, żeby przyjechał tu z Charlotte i przyjrzał się temu obrazowi. Twierdzi, że najcenniejsze dzieła sztuki pochodzą z cudzych strychów.

— Właśnie tam znalazłam ten obraz — przyznała się panna Sadie.

— Cóż, na mnie już czas. Muszę spotkać się z klientami, którzy mieszkają po drugiej stronie góry. Na litość, ta kawa postawiłaby na nogi umarłego.

— Aa, Harry, co do tego rzeczoznawcy, nie sądzę, że potrzebujemy jego opinii w tej chwili. Myślę, że powinniśmy poczekać.

— Poczekać? Co nam przyjdzie z tego czekania? — Harry porwał płaszcz z wieszaka, zarzucił go na głowę, przecisnął się przez drzwi i zawołał, odchodząc: — Panno Sadie, powinna była pani wjechać swoim plymouthem od razu do środka.

Pomysł Harry'ego, żeby zaangażować rzeczoznawcę, z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu w ogóle nie przypadł pastorowi do gustu. W południe jednak zdarzyło się coś jeszcze gorszego.

Kiedy z niecierpliwością oczekiwał na swoją tradycyjną porcję ciasteczek z kremowym nadzieniem, Little Debbies, które stanowiły obowiązkowy składnik lunchu Emmy i którymi częstowała go w deszczowe dni, Emma rozwiała jego nadzieje nonszalanckim stwierdzeniem:

— Little Debbies? Postanowiłam zrezygnować z nich na czas postu.

Zdażył jedynie wejść do środka i ściągnąć tweedowy kaszkiet, który podarował mu Hal Owen, gdy Percy Mosely odwrócił się na chwilę i mrugnął do niego, po czym zajął się na powrót smażeniem kiełbasy.

To dziwne, pomyślał ojciec Tim, sadowiac się przy swoim ulubionym stoliku i rozkładając gazetę.

— Percy — zagadnął — zdecyduję się chyba dzisiaj na dwa jajka sadzone, lekko ścięte.

Velma podeszła do niego i stojąc, uśmiechała się.

— Zamierza ojciec to uczcić, prawda? Sama zjadłabym dwa jajka, gdyby nie mój cholesterol.

Cholesterol, cholesterol, pomyślał ojciec Tim. Miał już dość tego ciągłego gadania o cholesterolu. Przypominało to szal, jaki swojego czasu ogarnął wszystkich na punkcie hula-hoop.

Velma podała mu kawę. Bywał na wielu konferencjach, rekolekcjach, seminariach i warsztatach, ale nigdzie nie serwowano tak wyśmienitej kawy jak tutaj.

— Nie rozumiem, co niby mam uczcić?

— Całe te pieniądze, które otrzyma kaplica.

— Jakie pieniądze? — zapytał osłupiały ojciec Tim.

— Te od kolekcjonerów dzieł sztuki. Słyszałam, że jest ojciec w posiadaniu obrazu, który wart jest dwieście tysięcy dolarów.

Wziął właśnie do ust łyk kawy, który niestety w jednej sekundzie znalazł się na przodzie jego koszuli.

— Proszę tylko spojrzeć, co ojciec zrobił! — zawołała Velma, pomagając mu się wytrzeć.

— Velma, bez względu na to, co słyszałaś, to wierutne kłamstwo. Ktoś podarował kościołowi obraz i nawet nie zdążyliśmy go jeszcze wycenić. Wszystko, co można o nim powiedzieć, to to, że jest ładny.

— Słyszeliśmy, że to Veneer — krzyknął Percy znad kuchenki.

— Tak, to właśnie słyszeliśmy — potwierdził Mule Skinner, który zajmował się handlem nieruchomościami.

Do licha!, pomyślał, zupełnie tracąc apetyt.

Panna Sadie przyniosła obraz we wtorek. Przed końcem dnia w czwartek miał już za sobą rekordową liczbę telefonów. Zadzwoiła do niego nawet Emma, która miała wolny dzień.

W barze Grill o ósmej rano wartość obrazu wynosiła dwieście tysięcy. O trzeciej po południu zadzwonił do niego architekt z propozycją opracowania planu rozbudowy kościoła. Gratulował mu miliona dolarów, które Lord's Chapel zarobi na sprzedaży płótna dawnego mistrza. O trzeciej trzydzieści odebrał telefon dziennikarza lokalnej gazety, który prosił go o krótką wypowiedź.

O czwartej poczuł tępy ból w okolicy żołądka. Dostanę wrzodów!, pomyślał posepnie. Włączył automatyczną sekretarkę i wyszedł.

Pięć po czwartej telefonujący Walter usłyszał takie oto słowa: „Nie ustawajcie w modlitwie, miejcie otwarty umysł i wdzięczne serce. Kancelaria Lord's Chapel. Proszę pozostawić wiadomość po usłyszaniu sygnału”.

Tego wieczoru ojciec Tim zdjął słuchawkę telefonu z widełek, urządził Barnabie — najwyraźniej pierwszą w życiu — kąpiel, przygotował obiad złożony z pieczonego na rożnie kurczaka i gotowego sufletu ze szpinaku, wypił szklaneczkę sherry i poszedł spać.

A co, jeśli się okaże, że autorem obrazu jest rzeczywiście Vermeer? Nie był znawcą sztuki, ale musiał przyznać, że dzieło miało pewną siłę wyrazu, iskrę, którą nie zawsze dostrzegał w innych wyobrażeniach Maryi i Dzieciątka.

Był również świadom całego zamieszania, jakie wybuchnie, gdy okaże się, że Kościół rzeczywiście znalazł się w posiadaniu takiego bezcennego dzieła. Czy nie miał już dość zmartwień z powodu siedemnastowiecznego arrasu wiszącego w kościelnej nawie? Samo jego ubezpieczenie ciągnęło się miesiącami i wymagało niezliczonej liczby kosztownych telefonów. Okupił to bezsennymi nocami. W końcu okazało się, że kościół musi być zamykany, co zupełnie mu się nie spodobało.

Wszystko to jednak skłaniało go do bardzo prostej refleksji — Bóg z pewnością nie odmówi mu pomocy i wskaże drogę, którą powinien iść. W miarę jak zbliżała się noc, nabrał pewności, że Bóg pokieruje nim tak, by z całej tej sprawy wynikło dużo dobra dla wszystkich zamieszanych w nią ludzi.

Gdyby ktoś obserwował go następnego ranka w drodze do kancelarii, zauważyłby w jego chodzie pewną lekkość. Oczywiście nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć, ale zeszłej nocy pozwolił swojemu psu po raz pierwszy przespać się w nogach łóżka. Okazało się to wyjątkowo przyjemnym doświadczeniem.

— Proszę! — powiedziała Emma, stawiając na jego biurku pudełko ciasteczek Little Debbie's. — Ty nie zrezygnowałeś z nich na czas postu. Przyniosłam dla ciebie to, co miałam w domu.

Zacząła się zastanawiać, z czego mógł zrezygnować ojciec Tim, ale stwierdziła, że nie wypada pytać.

Włożył pudełko do pierwszej szuflady biurka po prawej stronie.

— Jesteś jak zdrowie — stwierdził z uczuciem.

— Co się stało?

— To był historyczny dzień. Petrey Bostick zadzwonił do nas z propozycją, żebyśmy przeznaczili część pieniędzy na zainstalowanie w kościele klimatyzacji.

Emma przewróciła oczami. Ta stara historia. Nie po to mieszka się na wysokości tysiąca pięciuset metrów, żeby instalować klimatyzację. Co roku ludzie ekscytowali się z tego powodu zupełnie niepotrzebnie. W ciągu dnia zadzwonił również agent handlu nieruchomościami, aby zaproponować im kupno ziemi graniczącej po obu stronach z terenem kościoła, z nabyciem której nie będzie żadnego problemu, jeśli tylko wyrażą taką chęć. Pastor nie był specjalnie zdziwiony, że cena wzrosła o połowę od czasu, gdy rada parafialna dowiadywała się o cenę gruntu niecałe dwa lata temu.

Dzwonił też dziennikarz z lokalnej gazety i pytał, czy mogą sfotografować obraz z panną Sadie i ojcem Timem stojącymi po obu jego stronach, a także rzeczoznawca z informacją, że przyjedzie w poniedziałek o godzinie dziewiątej trzydzieści. Dowiedzieli się również, że rada parafialna zwołała zebranie, aby omówić zakup stalowego kolumbarium, pomalowanego na kolor orzecha włoskiego, miesięcznych tacek na składkę, które zastąpią używane do tej pory w Lord's Chapel koszyczki, i sięgającego od ziemi aż po sufit witrażu, który miałby zdobić kruchtę.

Po dwóch parafianach, którzy zatelefonowali, chcąc przypomnieć o głodujących na świecie, kolejny przyszedł z wizytą, żeby zwrócić uwagę pastora na głodujących tutaj, na ich własnym podwórku.

W czasie krótkiej ciszy pastor odwrócił się do Emmy i zdecydowanie oświadczył:

— Nie możemy pozwolić, aby zmaćło to naszą radość ze zbliżających się świąt Wielkanocy.

— Amen — odpowiedziała z przekonaniem Emma.

Był jednak pewien problem. Zupełnie nie wiedział, w jaki sposób to osiągnąć.

Zimny front kanadyjski omiatał lodowatym powietrzem łańcuchy gór i kotliny rozsiane dookoła Mitford.

Po spacerze z Barnabą w parku Baxter, wizycie w szpitalu i udzieleniu parafianinowi porady podczas śniadania w barze Grill, pastor nie mógł się już doczekać chwili spokojnej pracy przy biurku. Musi dopracować szkice dwóch kazań na zbliżające się msze wielkanocne. Być może uda mu się to zrobić po wizycie rzeczoznawcy o dziewiątej trzydzieści. Jeśli nawet odczuwał jeszcze jakieś resztki obaw co do rezultatu wyceny obrazu, to na szczęście był tego zupełnie nieświadomy.

Ujrzał Winnie Ivey, która tak jak każdego ranka zamiatała chodnik przed swoją cukiernią Sweet Stuff. Był to jeden z tych widoków, które sprawiały mu największą radość — ludzie doglądający własnych spraw.

— Dzień dobry, Winnie!

Winnie była ciepło opatulona. Spod chustki widać jej było jedynie pulchne policzki i jasne oczy.

— Cieszę się, że udało mi się ojca złapać! Zostawiłam dla ojca wczorajsze napoleonki!

Hoppy przestrzegał go niedawno:

— Trzymaj się od tych rzeczy z daleka, przyjacielu. Noś w kieszeni rodzynki.

Rzeczywiście, rodzynki. Co gorsza, usłyszał ostatnio niechcący, jak ktoś nazwał go w rozmowie tym „korpulentnym duchownym z Lord's Chapel”.

— Winnie — powiedział, wchodząc za nią do środka i głęboko wdychając powietrze, w którym unosił się cudowny zapach cynamonu — Hoppy mówił mi, że powinienem ograniczyć słodycze.

— Mnie powtarza to już od lat i bardzo chciałabym go wreszcie posłuchać — odparła pogodnie, wyjmując z pudełka trzy napoleonki.

— Może mogłabyś je dać pannie Rose i wujaszкови Billy'emu, gdy przyjdą.

— Tym niech się ojciec nie martwi. Oni dostają swoje ciastka z owsem. Wie ojciec, dużo błonnika.

Zastanawiał się, dlaczego czuł się taki bezradny, gdy Winnie podała mu torebkę z ciastkami, a potem poklepała po ramieniu.

Wsunął torebkę głęboko do kieszeni płaszcza, na wypadek gdyby Hoppy przejeżdżał akurat ulicą w drodze do szpitala. Nie zje ani kęsa, obiecywał sobie, ani kawaleczka. Sprezentuje je natychmiast Emmie, a ona niech zrobi z nimi, co chce, jeśli tylko potrafi oprzeć się nieodpartemu urokowi napoleonek Winnie Ivey.

Gdy zbliżał się do swojej kancelarii, dostrzegł z przerażeniem, że przed drzwiami czeka grupka osób. Okazało się, że są to Harry Nelson, Bud Simmons i Maude Beatty. Ponadto przy chodniku stały dwa samochody, obydwa na włączonych silnikach.

Poczuł szaloną ochotę, by ukryć się za krzaczkiem laurowym i zjeść całą zawartość papierowej torebki.

Z ulgą pomyślał o tym, że zostawił Barnabę śpiącego spokojnie w garażu, ponieważ tłum dosłownie wypełnił jego kancelarię. Otworzył drzwi do łazienki, robiąc miejsce dla dwóch osób, wsunął kosz na śmieci pod swoje biurko, robiąc tym samym miejsce dla jeszcze jednej osoby, a co do reszty, pozwolił, by szukała sobie miejsca na własną rękę.

— Ojcie — zaczął Harry nieśmiało — wiem, że nie spodziewał się ojciec tutaj takiego zamieszania dzisiaj rano. Pomyśleliśmy jednak, że rada parafialna powinna usłyszeć, co ma do powiedzenia na temat obrazu rzeczoznawca.

— Jak widzisz, Harry, zajęliście całą moją kancelarię i rzeczoznawca nie będzie mógł nawet tutaj wejść, żeby wydać swoją opinię.

Harry zaśmiał się niepewnie i przysunął bliżej do ściany.

Pastor włączył czajnik elektryczny i zajął się parzeniem kawy. „Cierpliwie, umacniając się wzajemnie w miłości” — powtarzał sobie. To zabawne, jak często jego poranne czytanie zdawało się

wychodzić naprzeciw wydarzeniom dnia. Po kilku minutach zapach kawy wypełnił malutki pokój, ogrzewając serca wszystkich zgromadzonych. Ponieważ jednak zawartość czajnika wystarczała tylko na cztery filiżanki, a wszystkich osób było razem siedem, rozlewał napój bardzo ostrożnie.

Emma otworzyła drzwi z groźnym wyrazem twarzy i wślizgnęła się do środka. Nie lubiła zimnych, wiosennych poranków, czując w głębi serca, że obiecują dużo więcej, niż w rzeczywistości mają do zaoferowania.

— O, na litość boską! — wykrzyknęła, widząc, że Maude Beatty rozsiadła się na jej krześle, jakby należało do niej.

Rzeczoznawca przyjechał punktualnie o dziewiętej trzydzieści, ściągnął płaszcz, podał go Harry'emu Nelsonowi i od razu zabrał się do pracy.

Nucił sobie coś cichutko i zgrzytał zębami. Wszyscy milczeli.

— Hmmmm — mówił od czasu do czasu.

Wyciągnął szkło powiększające i dokładnie sprawdził każdy centymetr płótna, które stało oparte o stertę książek ustawionych na biurku pastora.

Otworzył następnie małe, czarne pudełko i wyciągnął z niego szczypce i młotek.

— Szukam nazwiska — poinformował przyglądające mu się z zafascynowaniem osoby.

Nie minęła sekunda, a rama była ściągnięta i rzeczoznawca unosił obraz w stronę dziennego światła.

— Hmm — powiedział.

Ojciec Tim był zdania, że to niezwykle, by człowiek jednym krótkim „Hmm” potrafił skupić na sobie uwagę całego pokoju ludzi. Jemu nie udawało się to nawet wtedy, gdy głosił swoje najbardziej błyskotliwe kazania.

— Mogę wejść do łazienki? — zapytał rzeczoznawca.

Dwóch członków rady parafialnej wyszło z maleńkiego pomieszczenia o rozmiarach kredensu i ustawiło się tuż przed Harrym Nelsonem.

Rzeczoznawca wziął płótno pod ramię i wszedł do środka, przyglądając się ścianom i listwom podłogowym łazienki.

— Czy jest tutaj jakieś gniazdko?

— Musi pan wyłączyć z prądu grzejnik — powiedziała gniewnie Emma.

Dlaczego, na litość, Bud Simmons siedzi na przepisach kulinarnych, które wyrwała z „Southern Living” i położyła na biurku? Czy on nie ma oczu?

Rzeczoznawca zamknął za sobą drzwi, a wszyscy zaczęli rozglądać się dookoła, uśmiechając się niepewnie.

Najbardziej ze wszystkiego Harry Nelson nie lubił nerwowej ciszy.

— A znacie ten o kondukcje pogrzebowym? — zapytał.

O, ja nieszczęsna, pomyślała Emma.

— No więc, idzie drogą kondukt pogrzebowy. Zmarła bardzo często chodziła do lekarza, który jest jednym z żałobników. Nagle otwiera się wieko trumny, a leżąca w trumnie kobieta siada i mówi: „I jeszcze coś na robaki, panie doktorze”.

Za nic w świecie bym się z tego nie śmiała, pomyślała Emma w chwili, gdy rzeczoznawca wychodził z łazienki.

— Niewykluczone, że jest to Vermeer — oznajmił sucho. W pokoju dało się słyszeć przeciągłe westchnienie. — Z drugiej strony, nie mogę tego powiedzieć na pewno. Mam poważne podstawy, by sądzić, że obraz został namalowany w połowie albo pod koniec siedemnastego wieku przez jednego z kilkunastu malarzy pozostających pod wpływem Vermeera. Nigdzie nie znalazłem nazwiska malarza, nie widać też żadnych śladów renowacji. Proponuję natychmiast przesłać płótno do Nowego Jorku, gdzie grupa ekspertów dysponujących znacznie szerszą wiedzą niż ja będzie mogła tę sprawę dokładnie zbadać.

Rzeczoznawca zakończył wypowiedź. Nie czekając nawet na jakąś reakcję ze strony zaskoczonych, obecnych w pokoju osób, zaczął pakować pudełko z narzędziami i zwijać kabel od swojej czarnej lampki.

W pokoju rozległ się cichy pomruk, Zrzucając przepisy kulinarne na podłogę, Bud Simmons podniósł się z biurka i powiedział coś szeptem do Harry'ego Nelsona. Reszta czekała.

— Jesteśmy zdania, że obraz należy wysłać do Nowego Jorku — zakomunikował Harry dużo głośniejszym głosem, niż było to konieczne w tak małym pomieszczeniu.

— Zgoda! — stwierdziła Lester Shumaker, szukając wzrokiem poparcia u reszty obecnych.

Rzeczoznawca wyciągnął plik papierów i podał je Harry'emu Nelsonowi do podpisania. Potem włożył płaszcz, zarzucił szalik, zawinął obraz w miękką folię, wsunął go do dużego worka, wziął do ręki pudełko z narzędziami, uklonił się zebranym nisko i zniknął za drzwiami.

Po kilku minutach kancelarię opuścili wszyscy pozostali.

— Emmo — powiedział pastor z lekkim znużeniem — wypijmy jeszcze jedną kawę.

— Wspaniale! — odparła Emma, dla której te rzadkie okazje, gdy pastor miał ochotę na dodatkową kawę, były świętem.

Spojrzał na ławkę dla interesantów. Tuż pod wieszakiem, oparta o ścianę, stała na niej pusta rama po obrazie.

Przecisnął się obok Emmy, która odmierzała kawę Maxwell House, i zaniósł ramę do łazienki. Mieściła się idealnie za prysznicem.

— Gotowe! — powiedział z zadowoleniem. — Co z oczu, to z myśli.

O jedenastej odebrał miły telefon.

— Tim, mówi Hal. Słyszałem o tym całym zamieszaniu z obrazem i na wszelki wypadek, gdybyś miał tego wszystkiego dość, chciałbym ci zalecić terapię.

Miał pewne wątpliwości, jeśli chodzi o zastosowanie się do zaleceń weterynarza.

— Oto i moja terapia. Przyjadę po ciebie i Barnabę o ósmej rano, bądźcie więc gotowi. Spędzimy cały dzień w Meadowgate, polując na króliki i szukając świstaków. Na kolację Marge przygotowuje ogromną zapiekankę z kurczakiem i odwiezie cię wieczorem, żebyś zdążył się wyspać przed niedzielną mszą.

Nawet telefon z wiadomością, że wygrał dużą sumę pieniędzy na loterii, nie sprawiłby mu większej radości. Dzięki Bogu, pracował nad kazaniem przez cały tydzień, sobotę miał więc dla siebie.

Wypił dwa pełne kubki kawy, co było zupełnie wyjątkowe, w dodatku ze śmietanką, co było jeszcze bardziej niezwykle, i — jak mówiła Emma — spędził resztę przedpołudnia, „szczebiocąc jak skowronek”.

Farma Meadowgate położona była w jednej z najpiękniejszych dolin w okolicy Mitford. Zaledwie kilkanaście kilometrów za miasteczkiem krajobraz stawał się górzysty, przypominając do złudzenia obrazki, jakie można było zobaczyć na pocztówkach ze Szkocji.

Na jednym z zielonych pastwisk, naprzeciwko ogrodzenia, za którym widać było grupę zadowolonych guernseyi, pasło się stado owiec. Białe kwiaty dzikiego szczawiu gajowego jaśniały wzdłuż drogi, a tu i ówdzie różowy floks panoszył się na klombie w gospodarskiej zagrodzie.

Prowadzisz mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć!, myślał z radością. Orzeźwiasz moją duszę!

To był cudowny poranek, rozbrzmiewający ptasim śpiewem. Gdy wjechali na podjazd, na powitanie czerwonego samochodu wybiegła w podskokach cała chmara mieszkających na farmie psów. Był wśród nich Buckwheat — angielski wyżeł, Bowser — chow-chow, Baudelaire — dystyngowany jamnik, Bodacious — owczarek walijski i Bonemeal — kundelek, znajda, który jako szczeniak wykopał cebulki nowych tulipanów, żeby zjeść nawóz, którym były podsypane.

Pastor ostrożnie otworzył drzwi i Barnaba wyskoczył w sam środek szczekającej chmary psów. Czy to możliwe, żeby doznał trwałego uszkodzenia słuchu?

— Niech się poznają — powiedział Hal.

Czekająca przy tylnych drzwiach Marge uściśnięła mocno ojca Tima, a on odwzajemnił jej gorące powitanie.

— Tim! Jak co roku, już zdążyłeś się opalić przy sadzeniu roślin!

— A ty, jak zawsze! Radosna i pełna życia!

Centralne miejsce w kuchni zajmował duży sosnowy stół, który przez lata używania zrobił się nieomal biały. Po obydwu jego stronach stały ławy. Na środku stołu królował dzban z polnymi kwiatami, a obok leżała świeżo wyciągnięta z piekarnika szarlotka w głębokiej foremce. Oślepiający snop światła wpadał przez wychodzące na stajnię okno.

Oszołomiony gość stanął w miejscu.

— Przedsmak nieba! — wykrzyknął, czując nagły przypływ energii.

— Siadaj — powiedziała Marge, której jasne włosy związane były chusteczką w kolorze sukienki. — Zaczniemy od świeżo zmielonej kawy i cynamonowych paluszków. Spakowałam dla was lunch, bo słyszę, że zamierzacie włóczyć się po lesie.

— Do upadłego — dodał Hal, zapalając fajkę. — Tim musi zwalczyć duże pokłady stresu. Wielki Tydzień, dwie msze wielkanocne, Vermeer, nowy pies wielkości buicka, czternaście azalii, które mu jeszcze zostały do posadzenia, i — spojrzał na ojca Tima — jestem pewien, że jest jeszcze coś, o czym nie wiem.

— Ostroga na lewej pięcie — rzucił wesoło pastor.

O drugiej trzydzieści Marge pociągnęła za sznur dzwonu znajdującego się na farmie, a ponieważ dzwon używany był tylko w wyjątkowych sytuacjach, mężczyźni nadbiegli czym prędzej od strony zieleniejącego pola. Wyprzedzały ich psy: Barnaba, Bowser i Buckwheat.

— Kucyk Trissie Steven. Pokaleczył się na ogrodzeniu z kolczastego drutu. Mocno krwawi — poinformowała Marge w telegraficznym skrócie. W ten właśnie sposób przekazywała mężowi pilne wiadomości.

— Jedziesz czy zostajesz, Tim? Twój wybór.

— Zostań! — poprosiła Marge. — Już od wieków nie mieliśmy gościa z prawdziwego zdarzenia. Poza tym cały czas rozmawialiście o męskich sprawach. Na litość, pomówmy przez chwilę o peniach i krzewach różanych.

Pastor oddychał nierówno po ostrym biegu przez pole.

— Cóż — westchnął, marząc o wychyleniu jednym duszkiem całej szklanki mrożonej herbaty z cukrem, którą przygotowała Marge.

— No to zmykam — powiedział Hal, całując żonę w policzek na pożegnanie.

Marge zebrała resztki ciasta, które rozwałkowała na szarlotkę, a kurczak dopiekał się na wolnym ogniu.

— Usiądź i porozmawiaj ze mną, a ja tymczasem skończę. Herbata jest w dzbanku, i świeża mięta. Pojawiło się już kilka pędów, ta wysoka trawa przy szopie w ogrodzie ochroniła ją przed zimnem.

Nalał herbatę, wyciągnął lód z lodówki i usiadł na bujanym fotelu, który należał do ojca Marge.

Przebywanie w tym pokoju o wysokim, belkowanym stropie, z jego cudownymi zapachami i sosnową podłogą było prawdziwym wytchnieniem dla skołatanego serca pastora. Można pomyśleć, przyszło mu do głowy, że na farmie Meadowgate nigdy nie dzieje się nic naprawdę dramatycznego.

Życie zdaje się tu płynąć słodko, bez żadnych niespodzianek, czy też przeszkód, które trzeba byłoby pokonać.

Marge usiadła przy oknie i wsunęła luźno opadające kosmyki włosów pod chusteczkę. Zdawało mu się, że wygląda wyjątkowo promiennie i radośnie.

— Czy Hal ci już powiedział?

— Czy mi powiedział? O czym?

Pewnie ich Annie chce się zaręczyć, pomyślał, albo może Hal zdecydował się w końcu na planowany od dawna wyjazd do Paryża, aby uczcić pięćdziesiąte urodziny Marge.

— Jestem w ciąży — powiedziała krótko, wycierając ręce w fartuch.

Po obiedzie, który pastor określił mianem „najlepszego posiłku w swoim życiu”, panowie zmywali naczynia. Potem wszyscy zgromadzili się przy ogniu płonącym na kuchennym palenisku. Hal i Marge usiedli na szczególnie lubianej przez psy, przysadzistej, krytej perkalem sofie i trzymali się za ręce jak narzeczeni. Bowser i Baudelaire spali spokojnie przy ogniu, a Barnaba drzemał z głową opartą na stopach swojego pana.

Pastor uniósł do góry szklaneczkę najstarszego porto Hala.

— Za Marge, najodważniejszą z odważnych! Niech Bóg obdarzy cię radosnym i wdzięcznym dzieckiem, podobnym do swojej prześlicznej matki.

— Dziękuję, ale wcale nie jestem odważna, boję się do nieprzytomności. Cały czas wydaje mi się, że Hoppy zadzwoni i powie: „Ha, ha, to był żart. A teraz wracajcie do normalnego życia”.

Barnaba zaszczeakał cicho przez sen.

— Goni za wiewiórkami — powiedział Hal. — Wiesz, wydaje mi się, że znalazłeś wspaniałego psa. Sądząc po charakterze, to prawdziwy chart. Stara opowieść mówi, że charty potrafią odgadnąć z wyrazu twarzy człowieka, czy jego intencje są dobre, czy złe.

— Tę umiejętność wszyscy chcielibyśmy posiadać — dodał pastor, dumny ze swojego towarzysza.

— Poczytaj nam, Timothy. Za jakąś godzinę będziesz musiał jechać, a sam wiesz, jak bardzo lubię, gdy czytasz nam przed wyjazdem.

Marge poprawiła poduszkę pod plecami i przytuliła się do ramienia męża.

Na stoliku obok ojca Tima położyła kilka książek.

— Kto pierwszy, ten lepszy — powiedział wesoło pastor, biorąc do ręki książkę, która leżała na wierzchu, i zaczął czytać wiersz Wordswortha:

Wstań, wstań, mój drogi, książki porzuć

Bo zgarbisz się we dwoje;

Wstań, wstań, daj własnym oczom ożyć;

Rzuć trudy, niepokoję.

*Nad szczytem góry jasne słońce
W krąg rzuca blask ożywczy
Na przestwór pól zieleniejących,
Wieczorem je okrywszy.
Nudne, bez końca, spory w księgach!
Słysz w lesie śpiew ptaszęcy:
Muzyka słodka to!
Przysięgam, Że w niej mądrości więcej.*

Gdy ojciec Tim zaczął czytać, Barnaba obudził się, ziewnął i począł słuchać jego słów z wyteżoną uwagą.

*Przyroda słodycz nauk da ci;
My, wścibską swą mądrością
Krzywimy piękno wszech postaci:
Mordujęm, aby rozciąć.
Już dość nauki, sztuki dosyć;
Niech karta się zawiera Jałowa;
serce trza przynosić, Co patrzy i odbiera*.*

Barnaba westchnął z wyraźnym zadowoleniem i spojrzął na zebranych, jak gdyby czekając na ciąg dalszy. — Wyjątkowy pies — powiedział Hal.

* Fragmenty wiersza Williama Wordswortha *Pięknym za nadobne* w tłumaczeniu Stanisława Kryńskiego, op. cit.

Rozdział trzeci

NOWE MOŻLIWOŚCI

Ku ogromnej uldze pastora, na czas Wielkiego Tygodnia o obrazie prawie zupełnie zapomniano.

Wszyscy wierni bardzo radośnie przeżyli Niedzielę Palmową, a Wielki Czwartek był dla pastora okazją do prawdziwie głębokiej i budującej zadumy. W Wielki Piątek pościł i dzięki temu w Wielką Sobotę czuł się pod każdym względem dużo lepiej.

W Niedzielę Wielkanocną dzień obudził się rześki i słoneczny. „Odurzający dla zmysłów!”, powiedział jeden z parafian. Piękny, stary kościół był podczas obydwu mszy wypełniony po brzegi, a od zgromadzonych biła charakterystyczna dla tak podniosłego dnia radość.

Jeśli chodzi o samego pastora, to jedną z jego najwspanialszych chwil była najprawdopodobniej ta, w której spojrzał na wiernych przybyłych na mszę o godzinie jedenastej i ujrzał wśród nich pannę Sadie siedzącą razem z Louellą i jej wnukiem. Ich twarze promieniały radością, tworząc szczególną plamę światła w części kościoła po lewej stronie ołtarza.

Po mszy Louella podeszła do niego i objęła go serdecznie.

— Ugotowałam dla nas ojciec wysmienitą szynkę — powiedziała. — Próbowaliśmy jej zeszłego wieczoru z przyprawą korzenną. Panna Sadie dzisiaj także zamierza nas nią poczęstować.

W kościele byli Hal i Marge, promieniejący radością swego sekretnego szczęścia.

Emma dumnie prezentowała kapelusz ozdobiony rajskim ptakiem, który niezbitcie dowodził, że nakrycie głowy jest prezentem od jej córki z Atlanty. Również panna Rose i wujaszek Billy, zazwyczaj preferujący prezbiterian, przyszedli na pierwszą mszę do Lord's Chapel.

Pastor widział twarze, których nie widział nigdy przedtem i których nigdy więcej nie zobaczy, jak również te, które były mu tak znajome jak własna. Spędził w Mitford wspaniałe dwanaście lat.

Tuż po Niedzieli Wielkanocnej zauważył, że ogarnęło go jakby znużenie i przygnębienie. Stawał przy drzwiach prowadzących do ogrodu i spoglądał na ustawione wzdłuż ogrodzenia azalie w plastikowych doniczkach.

Została mu jeszcze do zasadzenia rabata bratków i kilkanaście rzadkich różowych liliowców.

Jednak radość, jaką jeszcze kilka dni temu sprawiała mu praca w ogrodzie, jakby go opuściła. Po wzmożonej aktywności towarzyszącej podniosłym świątecznym dniom, należało się spodziewać odprężenia.

W południe poszedł do biblioteki, gdzie siedział, leniwie czytając. Czuł się senny, a na dodatek zupełnie zapomniał o zjedzeniu lunchu. W końcu zmusił się do wypożyczenia ostatniej powieści Dicka Francisa, książki na temat ras psów, jednego tomu dzieł Voltaire'a i *Inteligencji kwiatów* Maeterlincka.

Poczuł się tak wyczerpany wybieraniem książek, że zrobił coś bardzo wyjątkowego — zadzwonił do Emmy, żeby powiedzieć jej, że wychodzi do domu.

— W tej chwili dzwonię do Hoppy'ego — odparła zaniepokojona.

— Nie ma najmniejszych powodów do obaw. Jestem tylko trochę zmęczony, to wszystko. Jutro rano będę w kancelarii, rześki i wypoczęty.

— No cóż, jutro co prawda mam dzień wolny, ale przyjdę do kancelarii o dziesiątej zobaczyć, jak się masz. Odkryłam nowy rodzaj ciasteczek Little Debbies i przyniosę ci pudełko do spróbowania.

Nie starczyło mu energii, żeby odwieść ją od tego planu. Zauważył też, że perspektywa zjedzenia ulubionych ciastek wcale nie wydała mu się jakoś wyjątkowo kusząca.

Gdy znalazł się przy nowym sklepie z odzieżą męską, znajdującym się na następnym rogu, pożałował, że wypożyczył tyle książek, które teraz musi nieść, a szczególnie Voltaire'a, który nagle wydał mu się tak ciężki jak komplet dzieł zebranych.

Panna Rose i wujaszek Billy mieszkali przy Main Street i zajmowali jeden pokój domu, który zwany był przez mieszkańców Mitford na przemian to „zgrozą”, to „szkaradą”, to znów „hańbą w biały dzień”.

Dom został wzniesiony pod koniec lat dwudziestych przez brata panny Rose, Willarda Portera, który opracował i sprzedawał potem różne środki farmaceutyczne.

Dzięki najpopularniejszemu lekarstwu — maści rozgrzewającej — wybudował drugie piętro domu, zainstalował drewniane okiennice z wycięciem w postaci gołębia, dodał werandę biegnącą dookoła budynku i taras widokowy na dachu. W domu był też ozdobny balkon, dość duży, by urządzać na nim zabawy, który z kolei upamiętniał sukces leczniczej kredki do ust o różnych smakach. Debiut syropu na kaszel z wyciągiem z górskich ziół uwieczniony został ustawieniem w niegdyś imponującym ogrodzie różanym czterech kamiennych rzeźbionych ławek zdobionych anielskimi głowami.

Dom był swojego czasu przedmiotem dumy całego miasteczka — stał przy dawnym skwerze miejskim, naprzeciwko pomnika ku czci ofiar drugiej wojny światowej, i był przykładem najwspanialszej architektury swoich czasów.

W ostatnich latach jednak wszystko to uległo zdecydowanej zmianie. Z kamiennych ławek z rzeźbionymi anielskimi głowami sypał się gruz. Wiele okiennic leżało w trawie, tam, gdzie upadły, a na schodach prowadzących na taras widokowy wujaszek Billy przybił znak: „Wejścia nie ma”.

Pewna dekoratorka wewnątrz z Raleigh wielokrotnie próbowała kupić Porter Place i przekształcić go w daczę, ponieważ uważała, że dom doskonale nadawałby się na przyjęcia. Gdy zawiodły wszystkie próby kupienia go za pośrednictwem Mule'a Skinnera, postanowiła osobiście odwiedzić pannę Rose i wujaszka Billy'ego. Siedzieli właśnie w ogrodzie za domem, na krzeselkach z chromowanego metalu, przy drewnianej szpuli, która niegdyś używana była do nawijania kabla elektrycznego. Jedli kanapki z kiełbasą, popijając je mrożoną herbatą w słoiczkach po dżemie.

Panna Rose wytarła usta w podniszczony podkoszulek z napisem: „Pływałem na desce na Laguna Beach”.

— Nazywam się Susan Parnell Phillips — powiedział niechciany gość z przesadną ekspresją.

— Oto Róża — przedstawił wujaszek Billy — a ja jestem cierniem.

Wypowiedziawszy te słowa, wujaszek Billy uśmiechnął się szeroko, odsłaniając swoje trzy zęby, z których jeden „pokryty był taką ilością złota, że wystarczyłoby go na pokrycie dachu”, jak powiedział kiedyś jeden z jego sąsiadów.

Panna Rose spojrzała gniewnie na gościa.

— Nie sprzedam — rzuciła.

— Nie sprzeda pani? Ale skąd, to znaczy, dlaczego myśli pani, że chcę kupić?

— Widzę to na pierwszy rzut oka — odburknęła.

Niedawno zakupem domu zainteresowany był nowy sklep z odzieżą męską, a przed nim — kilkanaście innych. Panna Rose jednak nie ustępowała.

— Gdzie serce, tam i dom — powiedziała pewnemu potencjalnemu nabywcy, który zapukał do jej drzwi w styczniu i zastał ją ubraną w szydełkowy szlafrok, szynel z czasów drugiej wojny światowej, gumki, męski kapelusz z filcu i coś, co wyglądało na flanelowe spodnie od piżamy wujaszka Billy'ego.

Na ile mógł to ocenić zziębnięty gość, w domu nie działało ogrzewanie. Będąc litościwym człowiekiem, zasięgnął języka i dowiedział się, że Kościół prezbiteriański napełnił zbiornik olejowy panny Rose w listopadzie, a przy ostatniej inspekcji był on nadal pełny.

Większość mieszkańców Mitford wiedziała również, że każdego popołudnia starsza para szła, trzymając się za ręce, do cukierni Winnie Ivey po wypieki, których nie udało jej się sprzedać w danym dniu. Winnie jednak nie była typem człowieka, który rozdałby cały sklep. Uważnie wyliczała, ile mogą zjeść danego wieczoru i następnego ranka, i dawała im tylko tyle, nic więcej. Nie chciała, żeby panna Rose karmiła ptaki jej całkiem dobrymi bułkami drożdżowymi z nadzieniem, z poprzedniego dnia.

Po wizycie w cukierni panna Rose i wujaszek Billy, poruszając się bardzo wolno z powodu artretyzmu i kilku innych dolegliwości, zaglądali do znajdującego się przy Main Street baru Grill, żeby sprawdzić, co zostawiła dla nich Velma.

Zazwyczaj było to kilka plasterków bekonu i wątróbka ze śniadania albo pojemnik zupy i kilka hamburgerów z lunchu. Czasami Velma dorzucała jeszcze trochę sałatki z kurczaka zrobionej rano przez Percy'ego.

Ogółem rzecz biorąc, panowało przekonanie, że panna Rose i wujaszek Billy mają się w Mitford całkiem nieźle. Niektórzy obserwowali też z zadowoleniem, że para dba również o strawę duchową, chodząc w każdą niedzielę do kościoła.

Ostatnio ten właśnie temat stał się przedmiotem rozmów w miasteczku, ponieważ para przez cztery kolejne niedziele, wliczając niedzielę Wielkanocną, przychodziła na mszę do The Chapel of Our Lord and Savior, jak brzmiała pełna nazwa kaplicy.

— Czy pójdziesz odwiedzić pannę Rose i wujaszka Billy'ego? — zapytała pewnego ranka Emma, gdy ojciec Tim wchodził z Barnabą do biura.

Pastor powiesił płaszcz na wieszaku.

— A powinienem?

— Cóż, zazwyczaj składasz wizytę osobom, które były kilka razy w naszym kościele.

— Tak, rzeczywiście. Wybiorę się więc do nich. Przypomnij mi o tym.

— Nie jedz u nich niczego — ostrzegła go Emma. — Słyszałam, że panna Rose gotuje od czasu do czasu.

Przeglądał właśnie pocztę, którą wręczył mu przed chwilą Harold Newland, ich listonosz, ponieważ było jej dzisiaj tak dużo, że nie zmieściła się do skrzynki. Zauważył list od Waltera.

— Wydaje mi się, czy też jesteś dzisiaj wyjątkowo blady? — zapytała Emma.

— Blady? Ja?

— Jak ściana.

Otworzył powoli list, spojrzał na kartkę papieru, ale litery zdawały się zlewać w jedną całość, usiadł ciężko na brzegu biurka.

— Coś... — zaczął niepewnie. — Coś... jest nie tak. Emma wstała, żeby go przytrzymać.

— Nie ruszaj się — powiedziała w obawie, że może przewrócić się na podłogę. — Podjadę samochodem pod drzwi i jedziemy do szpitala.

— Na tym wozie już dalej nie pojedziesz — powiedział doktor Walter Harper, w miasteczku zwany Hoppym.

— To znaczy?

— To znaczy, mój miły, że zabawa skończona. Musisz zmienić swoje życie, i to gruntownie.

Westchnął. Zmiana! Jeśli było coś, czego naprawdę nie lubił, to właśnie tego, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Emma, która zostawiła okulary w biurze, mrużąc oczy, przeglądała komiksy w gazecie „New Yorker”, gdy Hoppy i ojciec Tim weszli do poczekalni.

Hoppy Harper był wysoki i szczupły, a dzięki przeszywającemu, intensywnemu spojrzeniu zielonych oczu i wyraźnie zaznaczonej linii podbródka wydawał się bardzo przystojny.

Zaledwie we wrześniu zmarła na raka jego żona, z którą przeżył szesnaście lat, i żal po jej stracie sprawił, że Hoppy postarzał się gwałtownie. Ci, którzy z troską przyglądali mu się uważnie, a była ich spora grupka, zauważyli, że smutek przyniósł jeszcze jedną zmianę — Hoppy stał się głębszym człowiekiem.

— Emmo — powiedział — musimy porozmawiać.

Mój Boże!, pomyślała Emma, używając tym razem wypowiedzianych słów w ich właściwym znaczeniu, spraw, żeby wszystko było w porządku.

— Powiedziałem już wszystko Timowi, ale myślę, że jakaś bliska mu osoba też powinna być zorientowana w sytuacji.

— To czarny dzień, Emmo — stwierdził pastor, usiłując przywołać na usta słaby uśmiech.

— Cukrzyca — wyjaśnił Hoppy. — To zła wiadomość, a dobra, że nie jest to odmiana insulinozależna. Oznacza to, że nie będzie musiał brać zastrzyków. Będzie natomiast musiał zmienić dietę. Musi zapomnieć o Little Debbies, ciastach, ciastkach i słodyczach. Pobraliśmy mu krew z palca, żeby sprawdzić poziom cukru, i okazuje się, że przekracza trzysta pięćdziesiąt. Niedobrze. Ponadto zawartość cukru w jego moczu wynosi cztery plus. Otóż i cała sprawa.

Coś w spojrzeniu zielonych oczu lekarza sprawiało, że Emma słuchała każdego słowa z pełną koncentracją.

— Ćwiczenia. Polecam jogging. Co najmniej trzy razy w tygodniu. Rano, w południe, wieczorem, o każdej porze. Bezapelacyjnie.

Pastor wyglądał na cierpiącego.

— Mniej tłuszczu w diecie, soki, dużo świeżych owoców. A przede wszystkim regularne posiłki.

Hoppy uśmiechnął się i spojrzał na pacjenta.

— A teraz najważniejsze. Musisz zmienić tryb życia. Nie byłeś na prawdziwych wakacjach od dwunastu lat i zazwyczaj pracujesz przez siedem dni w tygodniu. Nie mogę ci powiedzieć, jak to zmienić, ale będziesz musiał to zrobić. Przemyśl to, przyjacielu.

Hoppy przecesał palcami niesforne włosy. Emma pomyślała, że wygląda na zmęczonego, i zaczęła się zastanawiać, czy jest ktoś, kto się nim opiekuje.

Pastor zjadł szybki lunch, złożony z zupy dnia Percy'ego i surówki, i poszedł do domu zamienić kilka słów z Barnabą. Po drodze minął nowy sklep z odzieżą męską, do którego nie udało mu się zaglądnąć od chwili jego dość uroczystego otwarcia tuż przed Wielkanocą. Nazywał się Collar Button.

Rzeczywiście, upłynęło już wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni był w sklepie z odzieżą. Po pierwsze, nie lubił robić zakupów. Po drugie, obecne ceny ubrań były absolutnie — tak, był pewien, że może to z całą odpowiedzialnością powiedzieć — złodziejskie. A po trzecie, jak miał interpretować obowiązującą modę pastor, który nie chciał uchodzić za przesadnie wystrojonego?

Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wyczuwając w niej swoje stare, cerowane rękawiczki, których nadal potrzebował od czasu do czasu w zimne poranki. Pomyślał, że nie może sobie pozwolić na żadne szaleństwa w tym miejscu. Powie, że tylko ogląda.

Collar Button był nowym sklepem, ale wyglądał, jakby stał w tym miejscu już od wielu lat. Miał ciemne, wyłożone panelami z błyszczącego mahoniu ściany, na kominku buzował niewielki ogień, a wzrok wchodzącego przykuwał duży złoty pies leżący obok paleniska.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął ze szczerym zachwytem pastor.

Poczuł się tak, jakby wszedł właśnie do jakiejś pracowni w odległym zakątku Cambridge, gdzie przebywał kiedyś, gromadząc materiały do rozprawy na temat twórczości C.S. Lewisa.

— Ojciec Tim, jak mniemam! — zagrzmiał tubalny głos i zza ciężkiej brokatowej kurtyny wyłonił się nowy właściciel sklepu, wyciągając do pastora rękę w geście powitania.

— Zgadza się. Jak się pan domyślił?

— Widziałem czasami, jak przechodzi pan obok mojego sklepu, i myślałem sobie wtedy, że oto idzie idealny kandydat do stylu Collar Button!

— A jaki to właściwie styl?

— To styl angielskiego dżentelmena, właściciela ziemskiego, pastora w niedużym miasteczku, mężczyzny skłonnego do filozoficznej zadumy i zwolennika dyskretnej elegancji.

— Aha.

— Co pana interesuje? A może miałby pan ochotę na kropelkę sherry?

Wrażenia towarzyszące zakupom w nowoczesnym stylu sprawiły, że pastor czuł, jak kręci mu się w głowie.

Wychodząc z Collar Button, ojciec Tim dźwigał dużą torbę z dwoma ubraniami treningowymi i pudło z nową, sportową marynarką wiosenną.

Choćby go mieli kroić na kawałki, nie potrafili wytłumaczyć, jak to się stało. Wspomniał coś o bieganiu i zanim zorientował się, co się dzieje, stał przed lustrem w turkusowym ubraniu treningowym i usiłował wciągnąć brzuch.

Musiał jednak przyznać, że będzie potrzebował czegoś, w czym mógłby biegać. Nie może przecież uprawiać joggingu w marynarce, spodniach i koszuli z koloratką. Idąc pospiesznie w kierunku domu, ścisnął swoje pakunki i mamrotał pod nosem wszystkie przychodzące mu do głowy wymówki, że wydał na siebie taką dużą sumę pieniędzy.

W sobotę rano włożył jasnozielone ubranie treningowe i stare sportowe obuwie Nike, które od wielu lat nosił do pracy w ogrodzie.

Buty do joggingu były tematem, którego wolał na razie nie zgłębiać. Ktoś mówił mu ostatnio, że buty w dzisiejszych czasach skonstruowane są w ten sposób, że niektóre ich fragmenty należy pompować. Była to dla niego zupełnie nie znana dziedzina wiedzy, doszedł więc do wniosku, że tymczasem muszą mu wystarczyć stare buty ogrodowe.

Nowy strój wydał mu się tak niewiarygodnie wygodny, że chwalił go na głos.

— Nie do wiary, czuję się, jakbym miał na sobie piżamę — powiedział do ukazującego całą sylwetkę lustra, które wisiało za drzwiami do pokoju gościnnego.

Na widok wchodzącego do holu pastora, Barnaba zaszczekał i odskoczył do tyłu.

— Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić, przyjacielu. Jeśli mam przestrzegać zaleceń lekarza, to będę wyglądał w ten sposób trzy razy w tygodniu. Przestań się więc tak emocjonować.

Barnaba jednak jakby wyczuwał, że zanoszą się jakieś zmiany, i nie mógł opanować podniecenia. Wyskoczył do góry, oparł przednie łapy na klatce piersiowej pana i przechylił na bok głowę.

— Jezus powiedział do uczniów: „Oto moje przykazanie, miłujcie się wzajemnie, tak jak i ja was umiłowalem”.

Pastor spojrzał Barnabie prosto w oczy. Barnaba westchnął ciężko i położył się u stóp pana.

— I niech mi się to już więcej nie powtórzy — dodał pastor, wygladzając nowe ubranie treningowe.

Był pewien, że nie chce, aby ktoś widział go przy tym zajęciu. Najpierw zamierzał spróbować swoich sił z dala od ruchu ulicznego. I chociaż widywał wiele osób biegających bezceremonialnie po Main Street, sam był zdania, że bieganie jest sprawą bardzo prywatną, której nieodzownie towarzyszy parskanie, pocenie się, chrząkanie, plucie i nie dające się opanować chuchanie i dmuchanie. Zupełnie nie potrafił zrozumieć, jak ktokolwiek może chcieć robić to wszystko, biegając tam i z powrotem w samym sercu miasta.

Podszedł do okna w salonie znajdującym się w tylnej części domu i spojrzał ponad własnym zieleniejącym ogródkiem w kierunku parku Baxter. Wyglądało na to, że na zewnątrz nie ma ani jednej żywej duszy.

Zaczął, niejako na dobry początek, na chodniczku biegnącym wzdłuż rabaty z bylinami, potem przebiegł przez otwór w żywopłocie i ruszył w kierunku parku, tam skręcił w lewo i biegł dalej wzdłuż żywopłotu ze świerków kanadyjskich.

Gdy znalazł się mniej więcej w połowie parku, poczuł, że brakuje mu tchu.

— Nie forsuj się — mówił mu Hoppy. — Nie próbuj za pierwszym razem nadrabiać zaległości z poprzednich lat. Poczuj, że zaczyna się pocić.

Przy jednej z wiekowych ławek w parku zaszeleściła wiewiórka. Po trawie przemknęła jej siostra — wiewiórka ziemna. Z okolic starej, pokrytej zielonym mchem i wodorostami fontanny dobiegał słodki plusk wody.

Na mosiężnej tabliczce znajdującej się na fontannie wyryto następujące słowa: „Wzniesiona, by uczcić pamięć ukochanej Rachel Livingstone Baxter, 1889-1942”. Matka panny Sadie, pomyślał, pełen wdzięczności za taką oazę spokoju. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie był w tym cudownym starym parku już od kilku lat, mimo że graniczył on z jego ogródkiem i prawie codziennie na niego spoglądał.

Ruszył dalej i dobiegł do Old Church Lane. Potem z zadziwiającą łatwością wbiegł na wzgórze i znalazł się na łące, na której stały zrujnowane szczątki Lord's Chapel. Jego serce biło dziko, był zlany potem i zdyszany. Usiadł więc na rozsypującym się, otaczającym teren kościoła murku i spojrzał na rozciągający się przed nim widok, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

Ziemia przed nim wyglądała niczym misterny patchwork.

Linia horyzontu biegła w dół, w kierunku małej doliny z kościelnymi wieżami, symetrycznymi gospodarstwami i świeżo obsadzonymi polami. Po przeciwległej stronie, ściana doliny unosiła się gwałtownie do góry i przechodziła w coraz to wyższe grzbiety i fale gór, aż w końcu ginęła we mgle spowijającej intensywnie niebieskie szczyty.

Usiadł i przez dłuższy czas trwał w tej pozycji zupełnie oniemiały. Potem usiłował sobie przypomnieć, kiedy był tutaj po raz ostatni.

Doszedł do wniosku, że minęło siedem lub osiem lat od czasu, gdy niosąc koszyk z piknikiem, wspinał się tą stromą ścieżką razem z Walterem i Katherine. Zaczął szukać w myślach osoby, z którą mógłby to teraz powtórzyć, ale nikt — poza Barnabą — nie przychodził mu do głowy.

Serce przestało mu walić, a lekka bryza wiejąca z głębi doliny niosła ze sobą słodką woń ziemi i nawozu, zgrabionych w stosy liści i kwitnących drzew.

Podniósł się z murku, bawiąc się przez chwilę myślą, jak długo mógł tutaj siedzieć, a potem zaczął biec w dół Church Lane.

Już nie próbował chować się za żywopłotami, wręcz przeciwnie, odkrył ze zdumieniem, że czuje się znakomicie, jak najprawdopodobniej określiłby to Walter.

Gdy tak biegł, zdał sobie sprawę, że zaczynają mu przychodzić do głowy najdziwniejsze myśli. Zastanawiał się na przykład, jak będzie wyglądał w nowej sportowej marynarce wiosennej albo czy Emma ufarbowała sobie włosy w domu, czy też w salonie Fancy Skinner. Przypomnił sobie o kucyku dziewczynki, który pokaleczył się na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Miał też nadzieję, że różowe liiowce nie sprawią mu zawodu i nie zakwitną na pomarańczowo.

Zostawił za sobą jasne słońce i wbiegł do chłodnego, porannego cienia, który oferował park Baxter. Tam zatrzymał się na chwilę przy fontannie, żeby odpocząć.

Może cały ten jogging nie będzie taki zły, mimo wszystko.

Miał wrażenie, że życie roztacza przed nim nowe możliwości, chociaż nie wiedział jeszcze dokładnie jakie. Być może nadszedł właściwy moment, by zmienić i inne rzeczy, zrobić coś oryginalnego, innego i nieoczekiwanego.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Urządzi uroczystą kolację.

Rozdział czwarty

DUSZONA BARANINA

W miasteczku liczącym niecały tysiąc mieszkańców każda kolacja — uroczysta czy też nie — zaczynała się w Sklepie, chyba że ktoś miał ochotę na pokonanie dwudziestu kilometrów dzielących Mitford od Food Value. Można też było oczywiście udać się na zakupy do Cloer's Market, który znajdował się zaraz za miastem, ale Hattie Cloer tak bardzo lubiła opowiadać klientom o swoich niezliczonych dolegliwościach i problemach zdrowotnych, że wszyscy omijali jej sklep z daleka.

— Widzi pani to? — pytała na przykład, pokazując na ramię. — Zeszłej nocy wyczułam tu coś wielkości grejpfruta. Powiedziałam: „Clyde, spróbuj tego dotknąć. Jak myślisz, co to może być?” Clyde na to: „Niech mnie kule biją, wygląda to tak, jakbyś miała pod skórą piłkę do gry w golfa albo coś podobnego”. Potem Darlene zaczęła szczekać, a mnie zaczęło boleć ramię i już do samego świtu nie zmrużyłam oka. Czy zważyć dla pani kilogram tej ładnej fasolki szparagowej?

Jednak według innych najgorsza była Darlene, należąca do Hattie suczka rasy chihuahua, która zawsze leżała na worku tuż obok kasy. Za każdym razem gdy z kasy dość hałaśliwie wysuwała się szuflada, pies warczał i szczyrzył zęby na klientów.

Avis Packard powiedział kiedyś, że żadnej reklamie w lokalnej gazecie nie zawdzięcza tylu klientów co Hattie Cloer.

W sobotę rano, dokładnie dwa tygodnie po swoim pierwszym biegu na Church Hill, ojciec Tim wybrał się do Sklepu. Ponieważ ostatnio biegał razem z Barnabą, był zadowolony, że przed Sklepem znajduje się stary stojak na rowery, do którego może przywiązać psa.

Brakowało mu jeszcze tchu i Barnaba też dyszał ze zmęczenia. Mieli już swoją stałą trasę. Biegli przez park Baxter, potem w górę na Church Hill, następnie nie uczęszczaną drogą wzdłuż sadów panny Sadie, mijali kościół prezbiteriański, okrążali trzy razy parking, zbiegali Lilac Road do Main Street, potem biegli jeszcze Wisteria Lane i skręcali do domu.

— Trzy kilometry, co do centymetra — stwierdził pastor z dużą satysfakcją.

— Dzień dobry, ojcie — powitał go Avis, który siedział przy kasie. — Jak w porównaniu z pracą nad kazaniem wypada według ojca jogging?

— Cóż, muszę przyznać, że nie widzę wielkiej różnicy. I jedno, i drugie mnie przeraża, ale jak już zacznę, to za żadne skarby nie chciałbym robić niczego innego.

— Mamy te ładne, ciemne jajka, które ojciec tak bardzo lubi, a chłopiec Luthera Lovella przywiózł partię niewiarygodnie dorodnych kurczaków. Przy okazji powinien ojciec również rzucić okiem na tę wspaniałą wątrobę cielęcą.

Ojciec Tim bardzo lubił u Avisa Packarda to, że z takim ogromnym uczuciem opowiadał on o swoich towarach. Potrafił rozplýwać się w zachwycie nad pierwszymi świeżymi truskawkami z doliny, jak gdyby był samym Wordsworthem opiewającym walory płodów ziemi. „Nasz dzisiejszy specjał to polędwica, tak delikatna, że można ją ciąć samym widelcem”.

— Dzisiaj nie przyszedłem na zakupy, Avisie. Chciałem się tylko rozejrzeć.

— Co ojca interesuje? — Avis przechylił głowę na bok, jak zawsze, gdy zadawał pytanie.

— Szukam natchnienia. Widzisz, postanowiłem wydać uroczystą kolację.

— Niemożliwe!

— Ależ tak! Problem jednak w tym, że nie wiem, co podać.

— No cóż, to rzeczywiście problem. Zastanowię się nad tym, kiedy ojciec będzie się rozglądał — zapewnił go Avis.

Przy kasie utworzyła się mała kolejka, pastor usunął się więc na bok, witając jednocześnie pozostałych klientów.

Zatrzymał się, by zamienić z każdym chociaż słowo, i z przyjemnością zauważył, że aż cztery osoby były zdziwione brakiem jego koloratki, a tylko jedna zapytała o obraz.

Gdy znalazł się przy skrzynkach z towarem, poczuł nagle, że bardzo denerwuje się na myśl o tym, co go czeka. Nie sporządził nawet jeszcze listy gości.

Zaprości oczywiście Emmę, a także pannę Sadie. Był pewien, że jej obecność uświetni wieczór. Słyszał poza tym, że panna Sadie była kiedyś w szkole w Paryżu, i zamierzał dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

Hal i Marge, oczywiście. Nie miał cienia wątpliwości.

Hoppy Harper, o tak, to dobry pomysł. Po śmierci żony został sam, jeśli nie liczyć starszej gospodyni, która prowadziła mu dom. Razem, uwzględniając jego samego, dawało to sześć osób.

Sześć. Nikt inny, kto pasowałby do tej grupy gości, nie przychodził mu do głowy. Być może mógłby zaprosić Winnie Ivey, która zawsze dokarmiała innych. Może rzeczywiście tak zrobi.

Gdy tak stał pomiędzy półkami, podszedł do niego Avis.

— Zostawiłem na chwilę kasę pod opieką mojego chłopca. Chciałbym pomóc ojcu w urządzeniu tego przyjęcia. Co ojciec powie na strogonowa, sałatkę z zielonej sałaty, cykorii, plasterków pomarańczy i młodej cebuli oraz młode ziemniaki pieczone ze świeżym rozmarynem? Oczywiście zwieńczyłbym to wszystko winem cabernet, rocznik 1982.

Pewnego wieczoru usiadł w towarzystwie Barnaby, obłożony książkami kucharskimi. Choć był wdzięczny Avisowi Packardowi za jego pomoc w planowaniu menu, strogonow wydawał mu się zbyt prozaiczny. Chciał przyrządzić coś, co byłoby zapowiedzią wiosny, coś, co wprawiłoby wszystkich w odświętny nastrój i dałoby biesiadnikom uczucie sytości, ale nie przejedzenia.

— To mnóstwo pracy — zwierzył się Barnabie, który zdawał się go rozumieć — a ja nawet jeszcze do tego się nie wziąłem.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego tak dawno nie przyjmował gości. Doszedł też do wniosku, że zupełnie wyszedł z wprawy, mimo że kiedyś bardzo chętnie spotykał się z przyjaciółmi. Trzy razy zaprosił na herbatę biskupa wraz z żoną, a dwa razy byli u niego na obiedzie. Co najmniej cztery razy gościł u siebie na lekkiej kolacji radę parafialną, a raz nawet odważył się wydać lunch na cześć

Bractwa Ołtarzowego, którego członkowie bawili się tak dobrze, że wyszli dopiero o czwartej.

Nie znaczy to wcale, żeby był jakimś wspaniałym kucharzem. Niektóre potrawy udawały mu się jednak szczególnie dobrze, na przykład żeberka na grillu, pieczeń wołowa, która rozpływała się w ustach, przynajmniej jeśli tak sobie powiedział, a latem — kukurydza „Silver Queen”, gotowana w mleku przez dokładnie sześćdziesiąt sekund. Oczywiście zawsze mógł też liczyć na praktyczną pieczeń pastora, jak sam ją nazwał, którą przeważnie przyrządzał przynajmniej raz w tygodniu.

Kiedyś słyszał nawet z tego, że piekł swój własny chleb, ale ostatnio przestało mu to sprawiać przyjemność. Oddał się za to całkowicie pracy w ogrodzie i tak jak kiedyś czytywał książki kucharskie, teraz przeglądał czasopisma ogrodnicze: „Wayside Gardens” i „White Flower Farms”, nie wspominając już o „Jackson and Perkins”.

— A poza tym — powiedział do Barnaby, który w odpowiedzi postawił jedno ucho — chodzi o koszty. Czy zdajesz sobie sprawę, ile dzisiaj kosztuje zorganizowanie przyjęcia?

Barnaba ziewnął.

— Baranina, uważam, że to powinna być baranina — rozmyślał pastor na głos, leżąc już w łóżku. — Sądzę też, że nie powinno to być nic wyszukanego.

Pomysł przyszedł mu do głowy dokładnie w chwili, gdy kładł głowę na poduszce. Duszona baranina! To był stary przepis, prawie zupełnie zapomniany, ale danie zawsze wzbudzało zachwyt.

Wstał z łóżka i nałożył spłowieły bordowy szlafrok. Wsuwając stopy w skórzane pantofle, które kiedyś pogryzł Barnaba, zauważył, że dochodzi jedenasta. Potem zszedł na dół, żeby poszukać przepisu.

W trakcie poszukiwań zauważył, że w jego szafkach panuje ogromny bałagan, zaczął więc sprzątać w witrynie stojącej w przedpokoju, którą najprawdopodobniej zobaczą jego goście.

Gdy skończył, okazało się, że jest już druga w nocy. Udało mu się zebrać całe pudełko różnych niepotrzebnych drobiazgów, które postanowił przeznaczyć na wentę dobroczynną.

Stwierdził, że buszowanie po domu o tak niezwykłej porze daje mu przyjemne poczucie wolności i swobody. Aby zgłębić to niezwykle doznanie, poszedł do kuchni, przygotował sobie kanapkę z pieczenią, bez majonezu, i usiadł przy stole, czytając „Bon Appetit”, magazyn, który kupił w poszukiwaniu nowych pomysłów i inspiracji.

— Nic dziwnego, że nie robiłem tego już od lat — powiedział cicho. — To zbyt męczące.

Czuł się tak jak wtedy, gdy poproszono go, aby pokazał swój ogród uczestnikom wycieczki objazdowej po najpiękniejszych ogrodach.

Mimo że zwiedzający mieli oglądać tylko jego ogród, dokładnie sprawdził każde pomieszczenie w domu. Starał się spojrzeć na wszystko okiem osoby, która przychodzi tu po raz pierwszy.

Ze zdziwieniem zauważył, że niemal w każdym rogu sufitu wisi pajęczyna, dookoła wanny wyraźnie widać ciemną obwódkę, płytki wokół prysznicza pokryte są pleśnią, a w szafkach kuchennych panuje taki nieporządek, że znalezienie garnka z podwójnym dnem zajęło mu prawie pół godziny.

Sam nie potrafił powiedzieć, w którym momencie w jego domu zapanował taki nieład. Ponieważ jednak bez wątpienia wszystko należało doprowadzić do porządku, pastor przed samym przyjazdem gości poczuł się tak wyczerpany porządkowaniem i domu, i ogrodu, że wyjechał na cały weekend do Meadowgate Farm, poprosiwszy wcześniej emerytowanego księdza z Wesley, żeby odprawił niedzielne msze.

Teraz nie mógł się powstrzymać od porządkowania szuflad, których jego goście nigdy nie otworzą, szafek, których nigdy nie zobaczą, i srebra, którego z pewnością nie użyją. Przekonywał się jednak, że to najlepsza okazja, by nadrobić zaległości. Uroczysta kolacja była doskonałym pretekstem.

— Przydałaby ci się pomoc domowa — często powtarzała Emma.

Z drugiej jednak strony, niejednokrotnie słyszał, że przydałoby mu się to albo tamto. Kot, ptak, weranda, nauszniki, angielskie narzędzia ogrodnicze, komputer, wakacje, rower, żona, a zanim pojawił się Barnaba — pies. Niektórzy nawet posunęli się do tego, by namawiać go do zakupu kuchenki mikrofalowej.

Kiedy w poniedziałkowy poranek zaprosił Emmę na tę uroczystą kolację, od razu miała tysiąc własnych propozycji.

— Zrobię sałatkę ziemniaczaną — oświadczyła radośnie — i porcję bułek drożdżowych.

— Nic nie rób. To przyjęcie z prawdziwego zdarzenia i twoim jedynym obowiązkiem jest stać się na wyznaczoną godzinę.

— Przecież można zrobić przyjęcie składkowe. Nie musiałby wtedy wszystkiego sam szykować. Marge mogłaby upiec to czekoladowe ciasto, o którym pisano w gazecie, a gospoia Hoppy'ego Harpera też mogłaby mu coś przygotować.

Znowu to robiła — traktowała go jak dziesięcioletniego chłopca.

— Słuchaj, Emmo, kolację przygotuję sam. Koniec, kropka.

Wyglądało na to, że rzeczywiście sprawa jest już zamknięta. Pastor wyprał pokrowiec na sofę, która stała w salonie, starł kurz z książek ułożonych na półkach znajdujących się w zasięgu ręki zamówił u Avisa Packarda dwa kilogramy baraniny od miejscowego farmera i dwie butelki niewyobrażalnie drogiego wina cabernet poprosił Winnie Ivey, żeby upiekła dla niego specjalny trzy warstwowy tort czekoladowy przekładany dżemem malinowym, powiesił nowy karmnik za oknem w jadalni i na-

wet rozważał umycie okien w salonie wychodzących na najładniejszą część ogrodu. Na to jednak się nie zdobył.

Jak mógł się spodziewać, wyglądało na to, że wszyscy w miasteczku wiedzieli o jego przyjęciu, do którego pozostało już tylko kilka dni. Zaskakiwało go, że uroczysta kolacja wydana na cześć kilku przyjaciół budzi zainteresowanie tak wielu ludzi, od pracowników poczty poczynając, a na obsłudze pralni chemicznej kończąc.

— Słyszałem, że szykuje się u ojca duża impreza — powiedział jego fryzjer, obcinając mu przy tym włosy po bokach krócej, niż to uzgodnili.

Czy ludzie chcieli, żeby ich też zaprosił? Czy nie można zaprosić do siebie kilku przyjaciół bez konieczności zapraszania od razu całego miasta?

I choć wciąż zastanawiał się nad dwoma dodatkowymi osobami nie mógł się zdecydować na nikogo konkretnego. Tymczasem zamawiał takie ilości wszystkiego, by starczyło dla ośmiu osób, i na taką liczbę gości był przygotowany. Z przyjemnością odnotował fakt, że wszystkim odpowiadał zaproponowany przez niego termin i wszyscy bardzo chętnie przyjęli jego zaproszenie.

Zastanawiał się również nad Barnabą. Być może wpuści go do salonu po kolacji. A to oznaczało, że będzie go musiał oczywiście wykąpać.

Gdy siedział pewnego ranka w biurze, przyszło mu do głowy, że zamiast kąpać Barnabę pod prysznicem w łazience obok pokoju gościnnego, może kupić dla niego dużą blaszaną balię w sklepie z materiałami żelaznymi. Będzie mógł wtedy kąpać go w ogrodzie i w ten sposób uniknie sprzątnięcia łazienki.

Po szybkim lunchu z Harrym Nelsonem, który poinformował go, że pochodzenie obrazu w dalszym ciągu pozostaje nieokreślone, poszedł do sklepu żelaznego.

Panował tutaj zapach, który był jednym z ulubionych pastora. Lubił go prawie tak samo jak zapach dymu palonego drewna, oprawionych w skórę książek i zmoczonego deszczem stosu liści. Zapach ten ponadto zawsze przywodził mu na myśl wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w Missisipi.

Ponieważ jako członek stowarzyszenia propagującego nowoczesne metody hodowli i uprawy hodował kiedyś przez dwa lata króliki, często kupował w sklepie żelaznym materiały do budowy klatek oraz pokarm. Pamiętał nawet, jak swojego czasu wyciągnął z ogrzewanego żarówką pudełka sześć żółtych gąsiątek.

Wybrał balię za dwadzieścia dwa dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów i zaniósł ją do Dory Pugh, która obsługiwała kasę.

— Czy przyjedzie ojciec po nią samochodem?

— Nie, Doro, wezmę ją ze sobą.

— Widzę, jak codziennie przechodzi ojciec obok naszego sklepu, a mimo to cały czas zapominam, że nie jeździ ojciec samochodem. Jak ojciec sobie w ogóle radzi?

— Nie najgorzej. Wszystko, czego potrzebuję, a nawet czasami też i to, czego nie chcę, mieści się w obrębie tych dwóch przecznic.

— Domyślam się, że zamierza ojciec nieść tę balię na głowie, tak jak w Afryce?

Wyliczył jej pieniądze co do centa.

— Będę wiedział, jak tylko się do tego zabiorę.

Próbował wziąć balię pod ramię, ale nie bardzo mu to wychodziło, chwycił ją więc za jeden z uchwytów i idąc w kierunku drzwi, stwierdził z rozczarowaniem, że krawędź bali uderza go w kostkę.

Kiedy odwracał się, żeby powiedzieć „do widzenia”, zauważył, że Dora schowała się za witrynę ze szczyrkami i trzęsie się ze śmiechu.

— Dora, widzę cię, jak się śmiejesz! Dobrze ci radzę, przestań i okaż trochę szacunku dla duchowieństwa!

Pomachał jej wesoło i wyszedł ze sklepu, zadowolony zarówno ze swojego pomysłu, jak i zakupu. Miał tylko nadzieję, że nikt nie weźmie go za ekscentryka. Dużo bardziej wolałby zyskać miano pomyslowego albo praktycznego.

Kiedy minął stojący na rogu bank i szedł dalej w kierunku domu, gotów był przyznać, że samochód zapewnia coś bardziej cenniego niż wygodę, a mianowicie dyskrecję. W przeciwnym razie, myślał, przechodnie mogą bez ograniczeń wścibiać nos w cudze sprawy, co też wszyscy bez wyjątku najwyraźniej zdawali się czynić.

Szybko przemierzył pozostały do domu odcinek drogi, ustawił balię na skrawku wolnej ziemi pomiędzy krzewami laurowymi i rozwinął wąż ogrodowy, żeby się upewnić, czy jest wystarczająco długi.

— Idealnie! — wykrzyknął, nabierając ochoty na zadanie, które czekało go w piątek.

W piątek wyszedł z kancelarii wcześniej, wstąpił po drodze do Sklepu i poszedł do domu, aby przebrać się w stary podkoszulek i drelichowe spodnie.

Pomyślał, że na początek upora się z kąpielą, około trzeciej nastawi mięso, o szóstej otworzy butelkę wina, by nabrało właściwego smaku, i będzie gotowy na przyjęcie gości o siódmej.

Gdy otworzył drzwi do garażu, Barnaba wskoczył do holu, przejechał całą jego długość na małym orientalnym chodniku, potem wpadł do kuchni, wskoczył na wysokie krzesło i zaczął lizać plastikową podstawkę pod talerze, która leżała na ladzie.

Pastor rozwinął smycz Barnaby na całą długość. Da mu to swobodę ruchów w kąpielu, a jednocześnie zapobiegnie jego ucieczce na ulicę, gdyby przestraszył się nowego rozwiązania.

Niestety, jak się miało wkrótce okazać, był to jeden z najgorszych pomysłów, jakie przyszły pastorowi do głowy w czasie ostatnich kilku lat.

Pastor był bardzo zadowolony z ustawienia balii. Niewielki skrawek ziemi osłonięty był od strony ulicy krzewami laurowymi i jednocześnie dawał mu miejsce na swobodne umycie Barnaby. Jak

tylko go wykąpie, wytrze go w ręcznik i zaprowadzi do garażu, gdzie pies będzie mógł spokojnie wyschnąć i nabrać schludnego wyglądu.

Zaczepiwszy uchwyt smyczy na gałęzi krzewu zwisającej nad jego głową, pastor ruchem ręki pokazał Barnabie, żeby wszedł do suto skropionej płynem do kąpieli wody.

Barnaba wskoczył do balii z impetem.

Niemalże w tej samej chwili wyskoczył z niej gwałtownie i zanurkował pomiędzy nogami pastora. Okrążył jego prawą nogę i na powrót skoczył do wody, ochlapując swojego pana od stóp do głów.

Potem wyskoczył z balii jeszcze raz, ponownie przebiegł pomiędzy nogami pastora, okrążył tym razem jego lewą stopę i rzucił się w kierunku krzewu laurowego.

Pastorowi wydawało się, że wszystko to trwa zaledwie kilka sekund. Chociaż usiłował przypomnieć sobie jakiś werset z Pisma Świętego, nic nie przychodziło mu do głowy.

Barnaba okrążył krzew w zabójczym tempie, a potem nagle się zatrzymał, ponieważ zaplątana wokół jego tylnej nogi smycz uniemożliwiała mu dalsze szaleństwo. Mocno napięta smycz skończyła się, a pies tkwił uwięziony tuż obok krzewu. Obydwie kostki pastora też były silnie związane.

Roztrzęsiony ojciec Tim oceniał sytuację z pozycji siedzącej, będąc w szoku, jakiego nigdy przedtem nie doznał. W jakiś cudowny sposób udało mu się nie zgubić w tym całym zamieszaniu okularów.

Barnaba leżał teraz na ziemi, ale łeb musiał trzymać podniesiony wysoko do góry, gdyż smycz była tak mocno napięta. Wpatrywał się w ojca Tima i widać było, że bardzo żałuje swojego zachowania. Ponieważ jego skrucha była tak wielka, że nie mógł już dłużej znieść wzroku pastora, zamknął po chwili oczy i wyglądał, jakby zapadł w głęboki sen.

Pastor począł głosić zupełnie spontanicznie jedno z najbardziej poruszających kazań w swojej karierze.

Nagle przypomniał sobie prawie całe Pismo Święte, a jego porywający monolog zrobił na Barnabie tak duże wrażenie, że aż zjeżyła mu się sierść na grzbiecie. Pies otworzył nawet oczy i uważnie wsłuchiwał się w każde słowo pastora.

Skończywszy orację, pastor poczuł się wystarczająco spokojny, by spróbować znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, w której się znalazł.

Oczami wyobraźni widział następującą scenę. Jego goście dzwonią do drzwi, wchodzą do środka, przeszukują dom, podchodzą do tylnych drzwi i w końcu dostrzegają go w tej upokarzającej pozycji, a zimna duszona baranina przez cały ten czas stoi w garnku na kuchence.

Nie ma się co dziwić, że w dzisiejszych czasach tak wielu ludzi cierpi na migotanie przedsiionków, ma podwyższone ciśnienie i setki innych spowodowanych stresem schorzeń. Wszyscy ci ludzie na pewno są właścicielami psów.

— Panie, przyjdź mi z pomocą — modlił się.

— Ojcie Timie! Czy to ojciec?

Oczom pastora ukazał się nagle Avis Packard, który przedarłszy się przez żywopłot, stanął nad swoim stałym klientem i spoglądając na niego z góry, powiedział bez zająknięcia:

— Zapomniał ojciec wziąć masło. Czy mam je zanieść do lodówki, czy też może zostawić tutaj?

Na całe szczęście incydent z balią opóźnił przygotowania pastora do kolacji tylko o jedną godzinę.

Baranina dusiła się na wolnym ogniu, a unoszący się w domu zapach był wprost cudowny. Stary stół z orzecha jaśniał w świetle żyrandola, rzucając jednocześnie delikatną poświatę na srebrny wazon wypełniony żółtymi różami o delikatnym purpurowym zabarwieniu. Wino musowało w kryształowych karafkach, dźwięki mozartowskiej sonaty niosły ze sobą nastrój słodkiego oczekiwania, a skąpane w zachodzącym słońcu ogrody z każdego okna domu wyglądały świeżo i kusząco.

Sam gospodarz, po ogoleniu i wzięciu prysznicą, czuł się świeżo i radośnie. Włożył też swoją nową sportową marynarkę. Nie przyszedł mu do głowy pomysł na jeszcze dwóch innych gości, którzy idealnie pasowałiby do zaproszonego towarzystwa, ale doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej. Atmosfera dzisiejszego kameralnego spotkania będzie swobodna i przyjacielska, prawie rodzinna, i wszyscy będą mieli okazję lepiej się poznać.

O osiemnastej czterdzieści pięć zadzwonił dzwonek. Chociaż zaproszenie było na godzinę dziewiętnastą, pastor był już gotowy i oczekiwał swoich gości. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał pannę Rose i wujaszka Billy'ego. Wystrojeni w swe najlepsze ubrania stali na ganku, trzymając się za ręce.

— Ojcie — powiedział wujaszek Billy, uśmiechając się przy tym szeroko — nie byliśmy pewni, czy ojciec kiedykolwiek wybierze się do nas, postanowiliśmy więc sami wybrać się do ojca z wizytą.

Emma zjawiła się punktualnie o siódmej, parkując swojego liliowego oldsmobile'a na podjeździe przed domem. Stary volvo transporter Hoppy'ego Harpera zatrzymał się tuż za nią.

Emma ukradkiem spojrzała we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy nałożyła na powieki wystarczającą ilość cienia, a Hoppy zbliżył się w tym czasie do jej samochodu i otworzył drzwi. Pomyślała, że w bawełnianym swetrze i drelichowych spodniach Hoppy wygląda bardzo chłopcęco.

Gdy ojciec Tim wyszedł, by ich powitać, Emma była tak zadowolona, widząc go w nowej marynarce, że uściśnęła go mocno i ucałowała w powietrzu, wydając przy tym z siebie dźwięk w rodzaju długiego: „Ymmmłaa!”

Potem weszła do salonu.

Tam, na antycznej sofie chippendale, wygodnie siedzieli, sącząc sherry, panna Rose i wujaszek Billy Watson.

Panna Rose miała na sobie zrolowane poniżej kolan fildekosowe pończochy oraz nie zasznurowane dwukolorowe półbuty. Jej suknię na piersi zdobiły trzy ordery z czasów drugiej wojny światowej, a policzki pokrywała duża ilość rózu. Całości dopełniał koktajlowy kapelusz z woalką.

Wujaszek Billy miał na sobie garnitur z kamizelką, który kiedyś należał do jego szwagra. Złoty łańcuszek od zegarka i widoczny w jego szerokim uśmiechu złoty ząb stanowiły zgrabną całość.

— Emma, Hoppy, usiądźcie — zaprosił gospodarz z anielskim spokojem. — Czy macie ochotę na kieliszek sherry?

— Dla mnie podwójna — powiedziała osłupiała Emma.

Panna Sadie przyjechała razem z Halem i Marge, którzy wstąpili po nią po drodze.

Przywiozła ze sobą małą torbę z zakupami. Było tam kilka rzeczy, które kupiła z myślą o zamrażarce pastora: dwie zapiekanki z kurczakiem, paczka ciastek owocowych Sarah Lee i pudełko słodkich tostów śniadaniowych. Właśnie to było według panny Sadie stosownym prezentem dla pana domu w czasie, gdy akurat nie było sezonu na jabłka z sadu Baxterów.

Marge uścisnęła najpierw wszystkich serdecznie, nie wyłączając panny Rose, która nie przepadała za takimi czułymi powitaniem.

Hal rozmawiał z Hoppym i wujaszkiem Billym na temat baseballu, a panna Sadie gawędziła z Emmą.

No proszę, prawdziwe święto, myślał zadowolony pastor, patrząc, jak dwie zięby fruną do karmnika.

— Panno Sadie, pani jabłonie jeszcze nigdy nie wyglądały tak pięknie — powiedziała Marge, biorąc od gospodarza szklankę wody mineralnej.

— Czy uwierzy pani, że w tym roku setki ludzi podziwiałały moje sady z okien przejeżdżających samochodów? Są prawdziwą atrakcją turystyczną! A pewna kobieta, aż z Wesley, przyszła mnie zapytać, czy mogłaby wziąć ślub pośród jabłoni rosnących w tej części sadu, która wychodzi na Church Hill.

— I co pani powiedziała?

— Zapytałam ją, kiedy to będzie, a ona odpowiedziała, że nie wie, bo on nie poprosił jej jeszcze o rękę!

Gospodarz wniósł do pokoju tacę z serem i krakersami. Był zdecydowanym przeciwnikiem podawania czegokolwiek, co trzeba byłoby w czymś maczać. Uważał, że przyjęcia, na których serwuje się takie potrawy, są — ujmując to oględnie — niebezpieczne. Jeśli nawet nie pokapało się jakimś sosem samego siebie, istniało duże prawdopodobieństwo, że pokapało się nim swojego rozmówcę. Kiedyś po dość długiej rozmowie z nowym biskupem spojrzął na swoją koszulę i zobaczył, że znajduje się na niej prawdziwy przegląd potraw, nie wyłączając bekonu i cebuli.

Fakt, że nie podawał niczego do maczania, zdawał się bardzo na rękę pannie Rose, która częstowała się wszystkim podwójnie, zjadając połowę, a resztę chowając do kieszeni sukienki. Wujaszek Billy, choć też częstował się wszystkim podwójnie, zjadał wszystko od razu.

Podczas gdy pastor częstował gości grzybami w cieście, panna Sadie podziwiała ordery wojenne panny Rose.

Pastor musiał przyznać sam przed sobą, że jeszcze nigdy nie wydawał takiego przyjęcia.

Duszona na wolnym ogniu baranina z dodatkiem skórki z pomarańczy i czerwonej cebuli nakłutej goździkami okazała się prawdziwym kulinarnym sukcesem. Pastor był tak zadowolony z całego wieczoru, że pozwolił, aby zwyciężyła jego słabość, i po kolacji wpuścił do salonu Barnabę.

Podczas gdy goście rozkoszowali się delikatnym zapachem róż, docierającym do pokoju przez otwarte okna, Marge pomagała pastorowi podać kawę i trzywarstwowy tort ze stojącej pod ścianą antycznej szyfonierki. Barnaba natomiast mógł służyć za wzór dobrego zachowania w towarzystwie, leżał bowiem obok fotela swojego pana i machał jedynie od czasu do czasu ogonem.

— Musiałeś chyba zacytować temu psu całą Księgę Powtórzonego Prawa — stwierdziła Emma, która nadal mówiła o Barnabie, jakby nie знаła jego imienia.

— Ten pies — powiedział oschle pastor — odbywa karę.

— Co ja słyszę! — zażartował Hal. — Domyślam się, że ma zakaz oglądania telewizji przez tydzień!

— Zero telewizji, zero pizzy, zero rozmów przez telefon.

— Potwór! — rzuciła Marge.

— Co takiego zrobił nasz duży przyjaciel? — zapytał Hoppy, pochylając się, żeby podrapać Barnabę za uchem.

— Obawiam się, że to nie nadaje się do powtórzenia.

— Świetnie! — krzyknęła panna Sadie. — Wobec tego musi nam ojciec wszystko dokładnie opowiedzieć.

Panna Sadie tak dobrze się bawiła, słuchając opowieści o kąpieli, że musiała wyciągnąć koronkową chusteczkę, żeby otrzeć łzy. Panna Rose jednak wcale nie uważała historii za zabawną.

— Ja trzymam się od psów z daleka.

— Nieprawda. To psy omijają cię na kilometr — sprostował jej mąż.

— Wszystko jedno — odparła panna Rose, machnąwszy ręką.

Hoppy odstawił swój talerzyk deserowy, rozparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Spojrzał z sympatią na swojego starszego pacjenta, którego prowadził już od prawie dziesięciu lat.

— Wujaszku Billy, chętnie posłuchałbym jednego z twoich dowcipów, gdybyś tylko zechciał nam coś opowiedzieć.

Wujaszek Billy uśmiechnął się.

— Znacie ten o lekcjach skoków ze spadochronem?

— Mam nadzieję, że nie opowiedział ci go Harry Nelson — powiedziała Emma, która nie lubiła dowcipów Harry'ego Nelsona, nawet z drugiej ręki.

— Nie, kochani. Opowiedział mi go facet w barze Grill. Jechał z Teksasu.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie, a panna Rose ponagliła wujaszka Billy'ego kuksańcem w bok.

— A było to tak. Pewien gość chciał się nauczyć skakania ze spadochronem. Zapisał się więc na kurs i przeszedł wszelkie niezbędne przeszkolenia, aż w końcu nadszedł dzień, w którym miał po raz pierwszy skoczyć. Wyskakuje więc z samolotu i leci niczym worek kamieni. Po pewnym czasie zaczyna ciągnąć za linkę, ale nic się nie dzieje. Spada więc dalej i postanawia skorzystać z linki awaryjnej. Dalej nic. Aż tu nagle widzi, jak jakiś gość leci w przeciwnym kierunku, w górę. Pyta więc go: „Słuchaj, kolego, czy znasz się na spadochronach?” W odpowiedzi na to gość lecący do góry krzyczy: „Nie, a czy ty znasz się na kuchenkach gazowych?”

Wujaszek Billy rozejrzał się z dumą dookoła. Gdyby ktoś powiedział, że wszyscy zanosili się od śmiechu, uznaliby to za daleko posuniętą wstrzemięźliwość.

— Słyszałam ten cholerny dowcip już ze czterdzieści razy — powiedziała panna Rose, wyjmując jednocześnie z kieszeni plasterki sera i zajadając go do kawy.

Panna Sadie wyszła razem z gospodarzem do kuchni.

— Cudownie się bawię, ojcze!

— Ja też! — odparł, odmierzając jeszcze trochę kawy.

— Chciałabym zaprosić ojca w najbliższym czasie na lunch. Jest coś, o czym chciałabym z ojcem porozmawiać. Zaprzęta mi to głowę już od dłuższego czasu.

Ostatnimi czasy bardzo rzadko zdarzało się, aby panna Sadie zapraszała kogokolwiek do Fernbank.

— Czy nie chodzi przypadkiem o jakieś nowe znalezisko na strychu?

— Ależ skąd. To coś dużo ważniejszego!

— Bardzo chętnie wybiorę się do pani z wizytą — powiedział, obejmując jej szczupłe ramiona.

— Czy wie pani, że mamy dowiedzieć się czegoś więcej o naszym obrazie w następnym tygodniu?

— Tak, wiem. I mam nadzieję, że nie będzie miał mi ojciec tego za złe...

— O co chodzi?

— Otóż chciałabym, żeby to nie był Vermeer.

Wiedział dokładnie, o co jej chodzi. Chociaż sam nigdy nie wypowiedział tych słów, on też wolałby, żeby to nie był Vermeer.

— To był obraz tatusia. Pamiętam, jak przywiózł go do domu i powiesiliśmy go na ścianie, na dole. Cofnęliśmy się wszyscy i wpatrywaliśmy w niego godzinami. To był prawdziwy obraz z Europy! Bardzo chciałabym ujrzeć go na ścianie Lord's Chapel.

— I ja też — powiedział serdecznie pastor.

Gdy panna Sadie poszła z powrotem do salonu, przyszedł do niego Hal i obaj wyszli na werandę. Powietrze było łagodne i pachniało wiosną.

— Doskonała kolacja, Tim.

— Dziękuję. Jak to dobrze powrócić do życia towarzyskiego.

— Wygląda na to, że cukrzyca przynosi ci więcej pożytku niż zła. — Hal usiadł na balustradzie i ubijał tytoń w fajce. — Co do tej pracy w radzie parafialnej, odpowiem ci w ten sposób: siedemdziesiąt hektarów ziemi, regularna praktyka weterynaryjna, pięć psów, dwa konie, piętnaście krów, stary dom wymagający wiele pracy i coraz bardziej ciężarna pięćdziesięcioletnia żona.

— W porządku, rozumiem.

— Twoja propozycja pojawia się w najmniej odpowiednim czasie... I te wyjazdy do miasta nocą... Sam wiesz, że chciałbym służyć, coś z siebie dać. Nie zapominaj, że kiedyś to robiłem i zamierzam wrócić do tego w przyszłości.

Ojciec Tim pokiwał głową.

— Kiedy tylko będziesz mógł, Hal. Wiesz, że chciałbym, żebyś był naszym starszym kościelnym.

Hal zaciągnął się fajką i z rozmysłem pokiwał głową. Z oddali dobiegło ich uszu szczekanie psa i gwizd przejeżdżającego pociągu.

— Pamiętasz tego kuczka, który pokaleczył się na ogrodzeniu? Osiodłaliśmy go dzisiaj.

— Cudownie! Myślałem o nim.

Gdy kawa skończyła się parzyć, weszli do środka.

— Jeśli poszukujesz odpowiedniej osoby do rady parafialnej — powiedział z cichym chichotem Hal — namów wujaszka Billy'ego. Rozrusza trochę to towarzystwo.

Ojciec Tim rozlał do filiżanek świeżo zaparzoną kawę.

— Panno Sadie — zagadnął pastor — miałem nadzieję, że opowie nam pani dzisiaj o naukach, które pobierała pani w Paryżu.

— Naprawdę chcecie usłyszeć tę starą historię?

— Tak! — powiedziała Marge, sadowiąc się wygodnie na sofie obok Hala.

Nawet Barnaba zdawał się zainteresowany. Emma zauważyła natomiast, że Hoppy Harper, który siedział w fotelu ojca Tima, czuł się swobodnie niczym — jak to później określiła — „ryba w wodzie”.

— Nie wiem, od czego zacząć, to wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Ale jeśli naprawdę chcecie to usłyszeć...

Wszyscy chcieli.

— W takim razie... — zaczęła, prostując się na krześle i unosząc do góry głowę. — To właśnie w Paryżu, we Francji poznałam wielką miłość swojego życia.

Panna Sadie przerwała na chwilę, rozglądając się po pokoju z promienną twarzą. Ojciec Tim zrozumiał od razu, że oto ma okazję widzieć na żywo, co oznacza w praktyce określenie: „spijać słowa z czyichś ust”.

Siedziała przez chwilę, nic nie mówiąc, jak gdyby musiała przywołać swoje wspomnienia z bardzo daleka.

— Miałam szesnaście lat, gdy mama i tato pozwolili mi studiować w Paryżu — zaczęła. — Nie, nie, oni wcale nie chcieli, żebym jechała do Paryża, w ogóle. Wujek Haywood jednak namówił ich, twierdząc, że Mitford to zapadła dziura i że tutaj nie nauczę się niczego wartościowego. Czy nie było to straszne z jego strony? Pojechałam więc z mamą, która miała mnie tam zawieźć i mieszkać w pobliżu akademii przez jakiś miesiąc lub dwa, zanim wróci do domu. Pamiętam do dzisiaj, co miałam na sobie, gdy wyjeżdżałyśmy. Ubrana byłam w kremową batystową sukienkę z wyszywanym drobnymi perełkami gorsetem z żorżety. W pasie sukienka przewiązana była satynową szarfą. Była śliczna!

Tato zawiózł nas do Charlestonu, skąd miałyśmy płynąć dalej statkiem. Przez całą drogę wszyscy troje płakaliśmy. Obejmowaliśmy się nawzajem i szlochaliśmy, ponieważ mój tato nigdy nie wstydził się łez i miał wyjątkowo czułe serce, i tak bardzo starał się zrobić to, co było właściwe. Tak więc znalazłyśmy się z mamą na tym starym okręcie, a ja czułam się bardzo nieszczęśliwa. Jeszcze dobrze nie zdążyłyśmy wypłynąć z portu, a z tęsknoty za domem gotowe byłyśmy wyskoczyć za burtę.

— Nie do wiary! — wykrzyknął mocno poruszony wujaszek Billy.

— Okazało się jednak, że na statku było wielu bardzo ciekawych pasażerów. Cała menażeria, i wszyscy bardzo mnie polubili. Zwracali się do mnie pieszczotliwie i zapraszali razem z mamą do swojego stolika. Zanim dotarłam do Paryża, przestałam płakać. Weszłam z podniesioną głową do akademii i zaczęłam mówić po francusku z najokropniejszym południowym akcentem, jaki kiedykolwiek słyszeliście. Wszyscy śmiali się ze mnie do rozpuku. Była tam jeszcze jedna dziewczynka z kraju, z Wirginii, trzymałyśmy się więc razem. Mama musiała mieszkać w znajdującym się nieopodal domu i mogła widywać się ze mną tylko podczas weekendów i w każdą środę. Była taka samotna, a jedyne słowa, jakie znała po francusku, to: *Oui, oui*. W dodatku było to jej pierwsze rozstanie z tatą.

Ja natomiast zaczęłam malować akwarele, recytować poezję, grać na pianinie, szyć, haftować, poznawać historię starożytną i uczyć się wielu innych rzeczy. Chcieli zrobić ze mnie kogoś wyjątkowego. A ja, kochani, tak bardzo chciałam być kimś zwyczajnym. Czy potraficie wyobrazić sobie dziewczynę, która może mieć wszystko, o czym zamarzy, a chce być kimś zwyczajnym? Wiedziałam,

że byłoby to ogromnym rozczarowaniem dla mamy i taty, wujek Haywood w ogóle mnie nie interesował. Chciałam wrócić do Mitford, zbierać znowu orzechy, bawić się w moim domku dla lalek w Fernbank, szyć im ubranka, pomagać China Mae w kuchni i chodzić na bosaka pośród jabłoni z Louellą.

W pierwszą środę tak bardzo cieszyłyśmy się z mamą z naszej wolności, że zbiegłyśmy drogą wprost do cukierni. Właśnie w tej cukierni mama po raz pierwszy pozwoliła mi się napić prawdziwej kawy. Była niewiarygodnie gęsta, mocna i czarna. Jej smak był cudowny. Myślałam, że gdyby Paryż był zamiast miasta smakiem, to symbolizowałaby go właśnie ta kawa!

Bystre oczy panny Sadie zdawały się spoglądać gdzieś daleko. Marge pomyślała, że to tak jakby otworzyć starą książkę i czytać baśń ilustrowaną wyblakłymi rysunkami.

— Gdy tak siedziałyśmy, dobiegł nas nagle czyjś głos. Podniosłyśmy wzrok i zobaczyłyśmy... przystojnego, młodego Amerykanina, który kupował ciastko i kawę. „Posłuchaj go!” — powiedziała mama. „Mówi tak, jakby pochodził z naszego Mitford!” Był w towarzystwie innego młodzieńca i obaj byli tacy przystojni, młodzi i beztroscy. Śmiali się, a nam słuchanie ich śmiechu sprawiało taką przyjemność.

Mama bardzo łatwo nawiązywała nowe znajomości, mimo że powszechnie uważana była za osobę wyniosłą. Podała mu po prostu swoją delikatną dłoń i zapytała: „Skąd pochodzisz, młodzieńcze?” A on odpowiedział: „Z Mitford w Karolinie Południowej, pani, w Stanach Zjednoczonych Ameryki”.

Z ust zasłuchanych w opowieść panny Sadie gości wydobył się stłumiony okrzyk zdziwienia.

— Nigdy nie zapomnę, z jaką dumą to powiedział, jakby to było najwspanialsze miejsce na ziemi... Z czym oczywiście całkowicie się zgadzam — dodała rozpromieniona.

— Amen! — skwitowała donośnym głosem Emma.

— Ów młody człowiek właśnie przeniósł się do Mitford ze swoją rodziną i młodszą siostrą z Tennessee i przyjechał do Paryża, aby pokazać tam niektóre ze swoich farmaceutycznych wynalazków. Mogłabym opowiadać o nim godzinami, ale powiem tylko, że zaprosił nas razem z mamą na kolację tego dnia, zostawiając swoją wizytówkę, a mama była przekonana, że jest dżentelmenem w każdym calu. Od tamtej pory w każdą środę spotykał się z nami w cukierni i posyłał kwiaty dla mnie oraz dla mamy do jej apartamentu w małym pensjonacie.

Panna Rose zjadła plasterki marynowanej szynki i sera, które wyciągnęła z kieszeni. Barnaba zasnął, a doktor zmęczony narosłym od miesiący stresem, związanym z otaczaniem opieką lekarską coraz to większego grona pacjentów, chrapał spokojnie w fotelu.

— Pewnego dnia oznajmiłam: „Mamo, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale ja nienawidzę tego miejsca i wszystkiego, co tutaj robię. Kiedy maluję psa, wygląda dokładnie jak sowa, nadal umiem grać na pianinie jedynie *Trzy ślepe myszki*, a mój francuski jest okropny. Marzę tylko o tym, żeby wró-

cić do domu i być znowu zwykłą Sadie". Czy wiecie, co powiedziała mama? Powiedziała: „*Oui, Oui!*”.

Gdy ten młody człowiek dowiedział się, że wyjeżdżamy, przysłał dwanaście żółtych róż dla mamy i dwanaście czerwonych dla mnie. Do mojego bukietu załączył liścik następującej treści: „Pewnego dnia, gdy będę bogaty, poproszę Cię, żebyś została moją żoną”.

Wróciłyśmy więc do domu, tato wyjechał nam na spotkanie, a ja już nigdy więcej w życiu nie wypowiedziałam ani jednego słowa po francusku. I do dzisiaj pamiętam tego przystojnego młodzieńca z Mitford.

Marge wychyliła się do przodu.

— Na litość boską, panno Sadie, ale kto to był?

Panna Sadie spojrzała na pannę Rose Watson, która siedziała obok w zawadiacko nasuniętym na czoło, koktajlowym kapeluszu.

— Ten młody mężczyzna — wyjaśniła panna Sadie — to Willard Porter, brat panny Rose.

Hal, Marge i panna Sadie zatrzymali się jeszcze przez chwilę po wyjściu pozostałych gości i jedli belgijskie czekoladki.

— Byłam bardzo grzeczna przez cały tydzień, więc teraz mogę sobie na to pozwolić — powiedziała Marge, sięgając po kolejną czekoladkę, ale wcale nie wyglądała przy tym na bardzo zakłopotaną.

Pastor odzyskał swój fotel i siedział z nogami opartymi wygodnie na podnóżku.

— Panno Sadie, przez wszystkie lata naszej znajomości była pani bardzo skrytą osobą. Dlaczego dzisiaj wieczorem opowiedziała nam pani tę zachwycającą historię o swoim wyjeździe do Paryża?

Panna Sadie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Gdy przyniosłam ojcu ten obraz, coś się we mnie zmieniło. Zaczęłam myśleć o rzeczach, o których nigdy wcześniej nie myślałam. I doszłam do wniosku, że jestem już zmęczona trzymaniem się kurczowo mojego sadu, mojego majątku i moich wspomnień.

— Postanowiłam — powiedziała zdecydowanie — że zacznę się tym wszystkim dzielić. I jest to jeden z powodów, dla których chciałabym zaprosić ojca do siebie na lunch o godzinie dwunastej w najbliższy czwartek. Jeśli to możliwe, ojcze.

— Będę u pani w samo południe.

— Zapiekanek z kurczakiem?

— Moja ulubiona! — odparł zmęczony, ale pełen entuzjazmu gospodarz.

Ojciec Tim nie zgodził się na pomoc gości w sprzątanii po kolacji i o pierwszej w nocy odłożył na swoje miejsce ostatni talerz, po czym poszedł na górę, ciesząc się w duchu, że następny dzień to sobota.

Był pewien, że panna Sadie nie opowiedziała im wszystkiego o swojej znajomości z Willardem Porterem, jednak jeszcze większa pewność towarzyszyła mu w zupełnie innym względzie — patrząc na dzisiejsze przyjęcie z dystansu, od samego jego początku do końca, od pierwszej myśli do ostatniego wytartego naczynia, jego organizacja zajęła mu dokładnie sześć tygodni życia. I chociaż wieczór ten był cudowny i wszyscy goście bawili się doskonale, był pewien, że w najbliższym czasie nie zdecyduje się na nic podobnego.

Wziął do ręki modlitewnik, który leżał na nocnym stoliku.

— „Za dnia udziela mi Pan swojej łaski — odczytał fragment Psalmu 42 — a w nocy Mu śpiewam...”.

Rozdział piąty

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO

Gdy w następnym tygodniu pojawił się w końcu rzeczoznawca, mgła otulała dolinę jeszcze szczerzej niż podczas pierwszej wizyty, co raczej nie wpływało dodatnio na jego humor.

— Czy w czerwcu zawsze są u was takie mgły? — zapytał z sarkazmem.

— Nie, nie zawsze — udzielił rzeczowej odpowiedzi pastor.

Zgodnie z życzeniem pastora, na to poranne spotkanie rada parafialna miała oddelegować tylko jednego przedstawiciela i zdecydowała się na Harry'ego Nelsona. W dowód szacunku pastor zaprosił również pannę Sadie. Komplet osób, które miały usłyszeć ostateczny werdykt, uzupełniał on sam i Emma.

Jeśli to Vermeer, rozumował, będą pisać o nas w gazetach, mówić w telewizji, a telefon będzie dzwonił jak opętany. Przeprowadził niewielkie rozpoznanie na własną rękę i przeczytał, że niedawno na aukcji mały obraz Vermeera osiągnął cenę dwudziestu milionów dolarów.

Na co Kościół zdecydowałby się przeznaczyć pieniądze, byłoby oczywiście przedmiotem bardzo poważnych dyskusji i badań. Z pewnym żalem zdawał sobie sprawę, że przynajmniej dwóch członków rady parafialnej miałyby zupełnie inne zdanie co do prawie każdej propozycji.

Atmosfera w biurze była bardzo napięta, jednak rzeczoznawca, podobnie jak poprzednim razem, nie starał się jej w żaden sposób rozładować.

— Kawa — rzucił sucho do Emmy, ściągając kurtkę i wieszając ją na wieszaku.

Odepnij tylko guzik pod szyją, pomyślała Emma, a wleję ci tam całą filiżankę.

— Bez śmietanki, chyba że macie prawdziwą.

A może, przemknęło jej przez głowę, wolałbyś, żebym wlała ci ją do lewego ucha.

Gdy wszyscy już dostali swoją kawę, rzeczoznawca wyciągnął płótno z opakowania z miękkiej folii, ułożył pięć tomów na temat historii Kościoła anglikańskiego na biurku pastora i oparł o nie obraz.

— Obraz ten był przedmiotem poważnej dyskusji największych znawców Vermeera w Ameryce. Warto wiedzieć, że w niedługim czasie zostanie opublikowane opracowanie, które szczegółowo przedstawi dogłębność i fachowość badań, jakim został poddany.

Pastorowi wyrwało się z piersi mimowolne westchnienie. Chociaż czytał, że wzdychanie jest cechą charakterystyczną kobiet z Południa, wiedział z całą pewnością, że ten nieszczęsny nawyk przesładuje również mężczyzn.

Rzeczoznawca przez dłuższą chwilę wychwalał ogromną wiedzę ekspertów.

Panna Sadie bawiła się wiszącym u szyi diamentowym krzyżykiem. Emma była wściekła. Harry Nelson nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

— Powiedz nam po prostu, co stwierdzili! — wypalił. Rzeczoznawca zmroził go spojrzeniem.

— Co stwierdzili? — zapytał władczo.

— Właśnie! — rzucił Harry.

— Otóż stwierdzili, że ten obraz nie został namalowany przez Vermeera.

— Alleluja! — krzyknęła Emma.

— Hurra! — powiedziała panna Sadie, klaszcząc w ręce. Ojciec Tim przeżegnał się z radością.

Harry Nelson był jednak zdruzgotany. Oparł się o półki z książkami, tuż obok ławki dla interesantów, po czym wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło. Potem usiadł, potrząsając głową. Był to dla niego cios.

— Wobec tego, kto go namalował i ile jest wart?

— Nie wiemy, kto go namalował, ale możemy swobodnie założyć, że został namalowany za życia Vermeera albo tuż po jego śmierci. Obraz ten nie jest jednym ze słynnych fałszerstw z poprzedniego wieku.

— Co do jego wartości rynkowej, myślę, że możemy spokojnie liczyć, iż osiągnie cenę około siedmiu, ośmiu tysięcy dolarów, jeśli zostanie właściwie zaoferowany.

— A ile jesteśmy tobie winni za te informacje? — zapytał szorstko Harry.

Rzeczoznawca zanurzył rękę w kieszeni kurtki i wyciągnął z niej szeleszczącą kopertę, którą wręczył starszemu kościelnemu.

Harry otworzył ją, wyciągnął z niej kartkę papieru i przeczytał na głos:

— Należność za wydanie opinii rzeczoznawcy, zgodnie z poniższą informacją szczegółową, cztery tysiące siedemset pięćdziesiąt dwa dolary siedemdziesiąt trzy centy.

— To z uwzględnieniem moich kosztów podróży — dodał rzeczoznawca, poprawiając okulary.

— Dzięki Ci, Panie! — powtarzał na okrągło pastor w drodze do baru Grill następnego ranka.

Wyszedł właśnie ze szpitala, gdzie dodawał otuchy ciężko choremu pacjentowi, pocieszając go tak, jak jego samego często pocieszał Bóg. Chociaż inni księża obawiali się wizyt w szpitalu, on nie mógł się ich doczekać. Było w tym coś cudownego, że po spotkaniu z chorymi zawsze czuł się silniejszy i duchowo odnowiony.

— Moje wizyty w szpitalu — zwykł mawiać — to najlepsze lekarstwo.

Był szczerze zdziwiony, że starcza mu teraz czasu na wykonanie tak wielu czynności z samego rana. Biegał regularnie trzy razy w tygodniu i obiecywał sobie, że zwiększy liczbę dni, w których uprawia jogging, do czterech. Czy cuda nigdy się nie skończą?

Dzisiaj, pod wpływem impulsu, włożył nawet swoją nową sportową marynarkę.

— Załatwiłem ci sąsiedztwo do domku obok — powiedział Mule Skinner przy śniadaniu. — Gdzieś z początkiem jesieni.

— Wspaniale.

— Co za wygląd!

— A czym się ten mój nowy sąsiad zajmuje?

— To nie on, to ona.

— Aha.

— Pamiętasz, mieszkał tam stary Joe, jak mu tam było. To jej wujek, stary sknera.

— Percy przeszedł sam siebie, przygotowując te jajka w szklance.

— Blond włosy, niebieskie oczy — ciągnął Mule, spoglądając na pastora. — Wyjątkowo ładne nogi.

— Mówisz o Percym?

— Nie, o twojej nowej sąsiadce.

Pastor prawie zupełnie zapomniał o małym domku sąsiadującym z jego własnym, który stał schowany za żywopłotem z rododendronów. Może będą tam dzieci, pomyślał. Przyjemnie byłoby posłuchać śmiechu dzieci.

Później, gdy zbliżał się do kancelarii, rzeczywiście usłyszał śmiech. Był to głos Emmy.

Spojrzał na zegarek. Za wcześnie na Emmę, pomyślał, otwierając drzwi i wchodząc do środka.

Pochylony nad biurkiem, z torbą na listy przewieszoną przez ramię, stał tam Harold Newland, listonosz. Była tam też Emma, osłupiała ze zdziwienia na widok swojego pastora, była bowiem przekonana, że jest on w tej chwili na spotkaniu w ratuszu.

— Księżu, znaczy, ojczy, dzień dobry — wyjąkał Harold, czerwieniąc się niczym panienska.

Pastor spojrzał na gołe nogi Harolda. Najwyraźniej przyszła już pora na krótkie spodenki w stroju służbowym listonosza.

— Dzień dobry, Haroldzie! Czyżby dzisiaj też było tak dużo poczty, że nie zmieściła się do skrzynki?

— Zgadza się, za dużo poczty — odpowiedział Harold, zmierzając w kierunku drzwi. — Nie mogłem włożyć jej do skrzynki! i przyniosłem tutaj. Do widzenia, ojciec. Do widzenia, Emmo. Miłego dnia. i

Pastor wziął do ręki niewielki plik poczty, na który składały się tylko trzy listy oraz pojedynczy numer „Anglican Digest”.

— Aha — powiedział bez większego zdziwienia.

— Bardzo mi przykro, ojciec, ale nie będziemy dziś jedli na lunch zapiekanki z kurczakiem.

Panna Sadie przyjrzała się badawczo twarzy pastora, sprawdzając, czy nie widać na niej wyrazu rozczarowania.

— Mamy kanapki z małosolną szynką i serem z niską zawartością tłuszczu.

Pastor mimo wszystko był trochę rozczarowany.

— Z frytkami! — zapewniła go.

Gdyby ojciec Tim powiedział, że goszcząc w Fernbank, na końcu Old Church Lane, czuje się szczęśliwy, wyraziłby tylko niewielką część swojej radości. Czuł się jak zbieg z innej krainy. Tutaj, na górze, powietrze przepojone było śpiewem ptaków, sady kapały się w promieniach słońca, a obszerna, chłodna weranda dawała takie ukojenie jak nawa w Lord's Chapel.

Panna Sadie wlała do kieliszka gościa trochę sherry z kryształowej karafki. Trunek smakował dokładnie jak folia aluminiowa.

— Trzy dziewięćdziesiąt osiem w Cloer's Market! — obwieściła radośnie gospodyni.

Z werandy w Fernbank roztaczał się imponujący widok na całe Mitford. Pastorowi wydawało się, że u jego stóp leży miasteczko — zabawka, makieta z torami na elektryczną kolejkę, którą ktoś położył w prezencie pod choinkę.

Była tam Main Street, która dzieliła Mitford idealnie na pół, i zielony, okrągły skwer z pomnikiem na północnym krańcu. Kolorowe plamy rabat kwiatowych oddzielających poszczególne sklepy sprawiały wrażenie harmonii i dawały poczucie bezpieczeństwa.

Pastor wyraźnie widział dzwonnice Wesley Chapel, rysującą się bryłą kościoła baptystów i zielone jak nefryt wolne działki po obu stronach otoczonej drzewami Lord's Chapel. Za miastem w kierunku zachodnim wznosiły się niczym falujące morze niebieskie góry.

— Czyż nie byłoby cudownie, panno Sadie, gdyby życie mogło być tak piękne, jak to, co widzimy z pani werandy?

— Sama bardzo często się nad tym zastanawiałam. Gdy żona Hoppy'ego była umierająca, często patrzyłam na jego dom i myślałam, że nie mamy nawet pojęcia, jak wiele cierpienia kryje się pod tymi dachami.

— Pewien kaznodzieja z Missisipi stwierdził kiedyś, że każdy z nas usiłuje przełknąć coś, co stoi mu w gardle.

— I miał rację.

Na zielonym wiklinowym stole przykrytym delikatnym, koronkowym obrusem stały szklane talerze. Na środku pysznił się flakon ze staromodnymi różami, a obok gospodyni postawiła wysoki dzbanek ze słodzoną herbatą. Usiedli przy stole i panna Sadie podała pastorowi dłonie.

— W Fernbank — oświadczyła — zawsze trzymamy się za ręce, gdy odmawiamy modlitwę przed posiłkiem.

Pastor z radością wypowiedział słowa błogosławieństwa:

— Przyjmij, o Panie, nasze podziękowanie i wdzięczność za wszystko, co dla nas uczyniłeś. Dziękujemy Ci za błogosławieństwo rodziny i przyjaciół, a także za czułą opiekę, którą otaczasz nas nieustannie. Przede wszystkim dziękujemy Ci za wielkie łaski i obietnice, jakie zesłałeś nam przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, w imię którego się modlimy.

— Amen! — powiedzieli jednocześnie.

Odkrył ze zdziwieniem, że jego kanapka wygląda wyjątkowo apetycznie, mimo że jest zrobiona z pszennego chleba.

Po lunchu pastor i panna Sadie usiedli razem na werandzie, sącząc herbatę. Ojciec Tim był na tyle przezorny, że zrezygnował ze wszystkich zajęć zaplanowanych wcześniej na to popołudnie, żeby nic nie zakłóciło ich spotkania.

— Na deser będą lody z wiórkami czekoladowymi.

— Mam nadzieję, że to nie ten niskokaloryczny wyrób o smaku mleka.

— Kiedy w Fernbank przychodzi czas na deser, nie ma mowy o liczeniu kalorii. Mama nauczyła mnie, że deser powinien być kaloryczny.

— Panno Sadie, podoba mi się ta tradycja — powiedział pastor, wstając z krzesła, żeby pomóc pani domu.

Nie wiedział, jaką historię dzisiaj usłyszy. Był jednak spokojny, że nie musi się obawiać jej treści. Z jakichś zupełnie niezrozumiałych powodów niektórzy parafianie uważali za swój święty obowiązek dzielenie się z nim wysoce niesmacznymi donosami.

Pastor siedział właśnie na biegnącej wzdłuż werandy poręczy, kończąc deser, gdy panna Sadie przeszła w końcu do rzeczy.

Nic dziwnego, że o mało nie spadł z poręczy, gdy usłyszał jej plan. Opowiedział nawet później Emmie, że gdyby spadł, stoczyłby się zgrabnie po stromym trawniku, potem przeturlałby się pośród sadów i w poprzek Church Hill Drive. Następnie kontynuowałby swój kurs w kierunku miasta, po zboczu wzgórza i zatrzymałby się na dachu salonu fryzjerskiego, skąd zeskoczyłby na równe nogi i wykrzyczał wspaniałą nowinę.

Zadaniem, które czekało pastora w pierwszej kolejności, było zwołanie pilnego zebrania rady parafialnej i nadanie mu jak najbardziej uroczystego charakteru.

Ojciec Tim sprawdził szybko, czym musi się zająć w najbliższym czasie. Wizyta biskupa. Konfirmacja. Ślub. Specjalna wycieczka z dziećmi ze szkoły niedzielnej. Grill dla całej parafii i kąpiel psa. Nadzór nad opracowaniem nowej szaty graficznej kościelnego druku firmowego. Dwie msze niedzielne. A teraz jeszcze i to.

Nawet ojcu Rolandowi zakręciłoby się od tego w głowie. Jeśli Jeffrey Roland sądzi, że ma pełne ręce roboty w tej swojej wielkiej parafii w Nowym Orleanie, powinien przyjechać tu do Mitford, gdzie jedyne dwieście dusz potrafi zająć pastrowi każdą sekundę dnia.

Wykręcił numer telefonu.

— Panno Sadie, co lubi pani najbardziej?

— Chwileczkę. Chyba słuchać, jak krople deszczu bębnią po blaszanym dachu!

Zaśmiał się.

— Powinienem być wyrazić się bardziej precyzyjnie. Co najbardziej lubi pani jeść? Oczywiście z wyjątkiem zapiekanki z kurczakiem.

— Masło orzechowe z marmoladą, bez dwóch zdań. A ojciec nie?

Na wieczorne spotkanie, które miało się odbyć w jego domu, przygotował dwie tace pokrojonych w kostkę kanapek z masłem orzechowym i marmoladą, bez skórki. Na jednej tacy położył kanapki posmarowane masłem z kawałkami orzechów, na drugiej bez.

Przygotował serwetki z nadrukiem przedstawiającym Lord's Chapel. Ustawił filiżanki do kawy, szklanki na herbatę i talerzyki deserowe. Na nieduży półmisek wysypał ciasteczka z kawałkami czekolady od Winnie Ivey, a na paterze położył świeżo upieczone ciasto cytrynowe ze Sklepu.

Uciął kilka słodko pachnących pąków róży o nazwie Prosperity i naręcze dużych jak piwonie kwiatów pachnącej goździkami Sarah van Fleet. Wstawił je do wazonu i oczekiwał na początek zebrania rady parafialnej, które — jak mniemał — będzie najbardziej dramatycznym spotkaniem w historii parafii. Z wyjątkiem oczywiście tego, które odbyło się wiele lat temu, gdy stojący na czele Kościoła zebrali się, aby zdecydować, co zrobić po strasznym pożarze, po którym ze świątyni pozostały jedynie górujące nad zieloną doliną czarne zgliszcza.

Panna Sadie siedziała na krześle z wysokim oparciem, ustawionym przed kominkiem w salonie pastora. Miała na sobie pięknie skrojoną, aksamitną suknię szmaragdowego koloru z wysokim kołnierzem, ozdobioną broszą malowaną przez jej mamę. Wyglądała imponująco.

— Wiem, że zastanawialiście się, dlaczego przez te wszystkie lata nie przekazałam Kościołowi żadnych konkretnych pieniędzy.

— Skądże znowu — rzucił ktoś z obecnych.

— Nie zaprzeczajcie, ponieważ dobrze wiem, że tak właśnie było. Zapadła głęboka cisza.

— Powód, dla którego nie wydawałam swoich pieniędzy lekką ręką, tak jakbyście sobie tego życzyli, jest prosty — pomnażałam majątek mojego taty.

Panna Sadie wolno rozejrzała się po pokoju, spoglądając każdemu w oczy.

— Kapitał przyniósł odsetki, które potem zainwestowałam, i nie wydawałam pieniędzy bezmyślnie, ani też nie rozdawałam ich każdemu Tomowi, Dickowi czy Harry'emu, który wyciągnął po nie rękę.

W salonie dał się słyszeć szmer poparcia.

— Tak więc chciałabym obdarować dzisiaj Lord's Chapel specjalnym prezentem, na pamiątkę moich ukochanych rodziców i w dowód mojej wdzięczności Kościołowi, który był dla mnie drugim domem, odkąd skończyłam dziewięć lat.

Panna Sadie przerwała na chwilę.

— Ten prezent to pięć milionów dolarów.

Po głębokim, zbiorowym wdechu, w salonie rozbrzmiała kakofonia dźwięków, przypominająca wrzawę towarzyszącą przemarszowi lam podczas parady z okazji Czwartego Lipca.

— Ci! — powiedziała panna Sadie. — To nie wszystko. Te pieniądze mają zostać przeznaczone tylko na jeden cel, to znaczy na budowę domu opieki.

Rozglądnęła się po pokoju.

— Ale nie chodzi mi o taki zwyczajny dom. W tym domu będą duże słoneczne pokoje, oranżeria i atrium z prawdziwymi ptakami. Będą w nim książki i muzyka, a na podłodze w salonie będzie leżał prawdziwy perski dywan. Będzie tam również prześliczna mała kaplica. Chcę, żeby w domu była również sadzawka ze złotymi rybkami i niewielki wodospad spływający po skale w jadalni. Nad wejściem do każdego pokoju wypisany będzie werset z Pisma Świętego, a nad drzwiami wejściowymi następujące słowa: „Niech Twoja łaska, Panie, będzie z nami, tak jak i nasza nadzieja jest zawsze w Tobie”.

Panna Sadie złożyła przed sobą dłonie i pochyliła się do przodu.

— No i co wy na to?! — zapytała radosna jak podłotek. — Czy to nie cudowne?

Oczywiście, że to było cudowne. Nie można temu w żaden sposób zaprzeczyć.

Zdawało się, że panna Sadie siedzi jeszcze bardziej wyprostowana na swoim krześle.

— Rozumiecie oczywiście, że to tylko połowa planu, ale powinno nam to wystarczyć na początek.

Do końca spotkania o dwudziestej pierwszej trzydzięci, zgromadzeni zdołali wypić dwa dzbanki kawy i dzbanek herbaty oraz zjeść wszystkie znajdujące się na półmiskach kanapki z masłem orzechowym i marmoladą. I chociaż nikt nie przyznał się do tego oficjalnie, nikomu zbytnio nie brakowało starszego kościelnego, którego nie było akurat w mieście.

Całe spotkanie przypominało wspaniałe przyjęcie, w którego centrum uwagi, jak królowa balu, znajdowała się panna Sadie.

Emma powtarzała mu do znudzenia, że dzisiaj punktualnie o godzinie trzynastej przychodzi drukarz, żeby wziąć zamówienie na wzór nowego druku firmowego parafii.

Drukarz polecił jej, żeby zapytała pastora o następujące rzeczy: Czy chce, żeby rysunek kaplicy był koloru zielonego czy bordowego, a może wolałby kolor purpurowy, który jest zawsze stosownym kolorem religijnym i jak mówi opowieść o budowie świątyni Salomona, jednym z ulubionych kolorów Boga?

I jeszcze, czy chce, żeby linijka z adresem znajdowała się bezpośrednio pod wykonanym tuszem rysunkiem kościoła czy u dołu strony, tak jak na drukach prezbiterian? I czy chce Helveticę, Baskerville, a może Bodoni, tak jak baptyści?

Wydawało mu się, że dzisiejszego ranka musi między innymi sprawdzić, co znaczy Helvetica, Baskerville i Bodoni.

Jak na koniec września, było wyjątkowo chłodno i idąc do pracy, pastor rozkoszował się krótkim spacerem. Zauważył, że czuje się dużo lepiej niż przez ostatnie kilka lat. Po porannej modlitwie skreślił naprędce krótki liścik do Waltera, cytując napawający otuchą fragment Listu do Hebrajczyków 4,16: „Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski, abyśmy otrzymali miłosierdzie i znaleźli łaskę dla uzyskania pomocy w stosownej chwili”.

Z ufnością, śmiało! To jest właśnie wszechpotężny i cudowny klucz. Nauczać śmiało! Kochać śmiało! Biegać śmiało! I co najważniejsze, nie przychodzić do Boga, skamłając i błagając, ale ze śmiałością — jak przystoi królewskiemu dziecięciu.

— Stwierdzam — oznajmiła Emma, przygotowując kawę — że jesteś chudy jak szczapa.

— Mówiono mi o tym — odpowiedział z wyraźną satysfakcją pastor.

— Nie rozumiem?

— Nie nazywają mnie już tym korpulentnym pastorem.

— Myślę, że z tym mogłabym sobie poradzić — powiedziała Emma, otwierając dolną szufladę biurka, w której znajdowało się kilka plastikowych pojemników. W szufladzie zamknięty był również cudowny zapach, który teraz ulotnił się z niej i po chwili wypełnił cały pokój.

— Pieczeń wieprzowa z sosem, fasolka szparagowa, kandyzowane słodkie ziemniaki, sałatka z kapusty i bułki drożdżowe.

— Na Boga, a co to takiego?

— Lunch! — rzuciła Emma. — Myślę, że jeśli zabierzemy się do niego szybko, to będzie jeszcze ciepły.

Właśnie gdy z powrotem zaczynał mieścić się w ubrania, pokusy czyhały na niego na każdym kroku. Mógł przebiec obok Winnie Ivey, ale w kancelarii o rozmiarach trzy na pięć wyglądało na to, że nie ma dla niego ucieczki od pieczeni wieprzowej z sosem.

— Emmo, obiecaj mi, że więcej tego nie zrobisz.

— W porządku, możesz na mnie liczyć. Byłeś pokorny niczym jagnię prowadzone na rzeź, pomyślałam więc, że solidny posiłek jest tym, co zaleciłby ci lekarz.

— Nie całkiem — odparł pastor, który mimo to zjadł podane mu danie z ogromną przyjemnością.

Po lunchu Emma wsadziła głowę do swojej głębokiej dolnej szuflady, szukając czegoś. Po chwili wyciągnęła z niej dużą, zawiniętą w celofan kość.

— Dla Barnaby — powiedziała, ku ogromnemu zdziwieniu pastora.

Fakt, że wyraziła się o jego psie, używając imienia, był wydarzeniem przełomowym. A to, że przyniosła mu kość, graniczyło z cudem.

— Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś dla mnie taka miła — powiedział wesoło ojciec Tim.

Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem i burknęła:

— Właśnie ci powiedziałam, na litość. Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz?

Przynajmniej od dwóch tygodni widział wyraźnie, że nastroje Emmy są zmienne jak pogoda.

— Emmo, o co chodzi?

— Nie rozumiem, o co chodzi? O co komu chodzi? — rzuciła w odpowiedzi, potem wybuchnęła płaczem i uciekła do łazienki, trzaskając za sobą drzwiami.

Zanim Emma wydusiła z siebie przeprosiny i zanim wspólnie z pastorem wybrała czcionkę Baskerville, bordowy tusz i miejsce na stronie, w którym powinna znajdować się linijka z adresem, była już prawie pierwsza.

— Nałóż swoją sportową marynarkę — powiedziała.

— Niby po co?

— Zrób po prostu to, co ci mówię, jeśli możesz.

— Czy to nie ten sam drukarz, z którym współpracujemy już od lat? On nie nosi sportowej marynarki.

— Na litość. Zaufaj mi na słowo i włóż marynarkę. Mógłbyś też przyczesać trochę włosy.

Nagle kancelaria wydała mu się tak maleńka, że przez jedną, szaloną chwilę gotów był przyznać, że Harry Nelson ma rację — powinni wyburzyć ściany i zwiększyć powierzchnię pokoju o sto metrów kwadratowych.

Gdy wkładał marynarkę, Emma spojrzała na zegarek.

— Pierwsza — oświadczyła sucho.

Podeszła do drzwi, otworzyła je na całą szerokość i krzyknęła:

— Oto i są!

Oczom pastora ukazało się prawdziwe morze roześmianych twarzy. Wszyscy śpiewali *Sto lat!*

Kiedy Emma prowadziła oszołomionego pastora po schodach na zewnątrz, J.C. Hogan wyskoczył przed niego ze swoim aparatem.

Stwierdzenie, że ojciec Tim był zaskoczony, byłoby dalece niewłaściwe. Bohater całego zdarzenia był bardziej niż zdumiony. Zupełnie zapomniał, że dzisiaj, dwudziestego ósmego czerwca, są jego urodziny.

A oto, co zobaczył po wyjściu z domu. Pearly McGee siedziała na wózku inwalidzkim, w towarzystwie pielęgniarki. Nad tłumem górował uśmiechnięty Hoppy Harper. Była tam też panna Sadie w różowym słonkowym kapeluszu oraz Hal i Marge z Barnabą na czerwonej smyczy. Na samym przodzie stali, trzymając się za ręce, panna Rose i wujaszek Billy. Wśród obecnych nie zabrakło również Percy'ego Mosely'ego, Mule'a Skinnera, Avisy Packarda i Winnie Ivey.

Na trawniku stał też Andrew Gregory z Oksfordzkich Antyków, pani burmistrz Esther Cunningham i kilkanaście innych osób. Kto, u licha, rządził miastem?

— Popatrz do góry! — krzyknęła Emma, wskazując ponad głowę pastora w kierunku przedniej ściany budynku mieszczącego ich kancelarię.

Pastor posłuchał jej i zobaczył, że nad drzwiami wejściowymi znajduje się duży transparent. „Wszystkiego najlepszego, Ojcie Timie, z okazji sześćdziesiątych urodzin” — głosił wymalowany czerwoną farbą napis.

— Dzisiaj rano myślałeś, że to wiewiórka biega po dachu, a to Avis Packard na drabinie mocował transparent!

— Wysoko się wspiąłeś! — Tłum wyraził swe uznanie dla Avisy gromkimi brawami.

— Już wiesz, dlaczego kazałam ci włożyć tę przeklętą marynarkę? — zapytała Emma, gdy panna Sadie przypinała do piersi pastora pąk róży. — Bo ma klapy!

J.C. Hogan zaczął już drugą rolę filmu TX 400, twierdząc, że frekwencja jest lepsza niż na grillu amerykańskiego związku byłych kombatanów.

Wtedy Hoppy wysunął się do przodu, podał rękę jubilatowi i uściskał go serdecznie. Przyszedł prosto ze szpitala i miał na sobie biały fartuch, w którym — według Emmy — wyglądał bardzo romantycznie.

— Walter Pidgeon za młodu! — szepnęła do ucha pani burmistrz.

— Według Avisy, a on jest w tych sprawach doskonale zorientowany, mija już siedem lat, odkąd zrezygnowałeś z samochodu w ramach postu.

— W rzeczy samej! — powiedział pastor, który w końcu został dopuszczony do głosu.

— Cóż, jesteśmy zdania, że nie przystoi, aby człowiek z twoją pozycją nie miał żadnego przyzwoitego środka lokomocji. Niestety, mogliśmy sobie pozwolić jedynie na dwa kółka.

Pastor usłyszał wysoki wybuchowy dźwięk, dochodzący zza okalającego sąsiednie podwórko żywopłotu ze świerków.

— A oto i niespodzianka! — zawołał Percy i zza żywopłotu wypadł z warkotem pojazd, który wszyscy zgodnie nazwali „prawdziwą rozkoszą dla oka”.

Był to Mule Skinner w musztardowym podwójnym trykotowym stroju z wyprzedaży, wijący się dziko tam i z powrotem po drodze na czerwonym skuterze marki Vespa.

Barnaba rzucił się pierwszy, a za nim rozpięzchła się cała grupa, uciekając na chodnik.

— Jak się to zatrzymuje? — krzyknął Mule. Hal zasłonił swoim ciałem ciężarną żonę.

— Przekręć kluczyk!

Mule wykonał jeszcze jeden chwiejny ostry skręt, przekręcił kluczyk, począł hamować stopą i wyraźnie zdenerwowany zakończył łagodny ślizg, zatrzymując się tuż przed pastorem.

Przy akompaniamencie głośnego śpiewu: „Bo pastor naszym przyjacielem jest”, prowadzony przez Esther Cunningham, zdumiony i pomimo opalenizny wyraźnie pobladły pastor wsiadł na skuter i z mieszaniną ekscytacji oraz strachu dojechał na nim do pierwszej przy drodze różanej rabaty, a potem zawrócił do gości.

Gdy opierał skuter na podpórce przy chodniku, zdał sobie sprawę, że na jego usta wypływa mimowolny uśmiech.

— Nie musisz wygłaszać mowy, bo i tak robisz to w każdą niedzielę — powiedział Mule, energicznie klepiąc pastora po plecach.

— Wiemy, że nie jest nowy — wyjaśnił Hoppy — ale jest w doskonałym stanie. Odkupiliśmy go od pewnej starszej pani, która jeździła nim tylko w niedziele.

— Z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, pojemność: jeden dwadzieścia pięć, prawie jak nowy — powiedział Percy, kopiąc oponę. — Spójrz — dodał — ma klakson.

Włączył go i wszyscy zaczęli klaskać.

— Ma krótkie i długie światła. — Percy zademonstrował kolejny gadżet, który też najwyraźniej przypadł wszystkim do gustu. — A oprócz tego pełen zestaw kierunkowskazów. Czy to nie prawdziwe чудо? Przyjechałem nim aż z samego Wesley, byłem dumny jak paw.

— Szło mu nieźle — powiedział Mule. — Jechałem za nim ciężarówką.

Emma podniosła do ust zwinięte w trąbkę ręce i obwieściła wszystkim zebrany:

— Zapraszamy gości na ciasto i mrożoną herbatę. Ponieważ wszyscy nie zmieszczą się od razu, dlatego proszę się nie ociągać i wchodzić grupami po cztery osoby.

Z przepastnej dolnej szuflady biurka Emma wyciągnęła ciasto, dwa czterolitrowe dzbanki herbaty i styropianowe kubki.

Hal i Marge wsypywali lód do kubków, ojciec Tim kroił ciasto, J.C. Hogan kończył już drugi czarno-biały film, a Esther Cunningham przygrywała na mandolinie.

W następny poniedziałek „Mitford Muse” wydrukowała na pierwszej stronie dwa artykuły z życia lokalnego Kościoła episkopalnego.

Zdjęcie ojca Tima na skuterze opatrzone zostało błędnym, ale za to dumnie brzmiącym podpisem: „Proboszcz Lord's Chapel otrzymuje podarunek wart pięć milionów dolarów”. Relacja ze zdarze-

nia i zdjęcie panny Sadie przekazującej pastorowi czek poświadczony nie miały żadnego nagłówka. Z treści artykułu wynikało, że ofiarodawcą czeku była Sadie bixter. Mule Skinner spojrział na pierwszą stronę gazety i westchnął.

— No tak — powiedział — J.C. znowu się nie popisał.

Rozdział szósty

DOOLEY

Na polach leżały grube okrągłe bale skoszonego siana.

Na rosnących przy drodze krzewach zieleniły się jeżyny.

Pośród łąk rozkwiatały koronkowe kwiaty czarnego bzu.

Pastor był zdania, że wszystko jest w najlepszym porządku, z wyjątkiem oczywiście liliowców, które sprawiły mu ogromny zawód. Mimo że sprzedawca zapewniał, że to rzadka odmiana o różowych kwiatach, liliowce zakwitły na fatalny pomarańczowy kolor, typowy dla dzikich, rosnących na łąkach kwiatów. Pastor uważał nawet, że jego liliowce są dużo brzydsze, ponieważ mają nieciekawy blade odcień, podczas gdy te dzikie puszą się piękną, jaskrawopomarańczową barwą.

Poskarżył się Emmie.

— Gdyby liliowce były moim jedynym zmartwieniem na tym świecie, byłabym szczęśliwa.

— A jakie masz wobec tego zmartwienia? — zapytał wesoło ojciec Tim.

Emma spojrzała na niego wymownie i pastor zauważył, że jej dolna warga lekko drży. Przewornie obrócił się na swoim krześle obrotowym w stronę biblioteczki, szukając zapewne jakichś materiałów źródłowych.

Krzesło obrotowe jest darem niebios, pomyślał pewnie setny raz. Kiedy już zupełnie nie wiedział, co ma ze sobą zrobić w tym piekielnie małym pomieszczeniu, zawsze mógł się obrócić na krzesło w przeciwną stronę.

Wzrok pastora padł na książkę o stresie w miejscu pracy. Ściągnął ją z półki i otworzył natychmiast, mając nadzieję, że znajdzie coś, co podpowie mu, jak wybrnąć z tej trudnej sytuacji.

— Cóż — powiedziała Emma po długiej chwili milczenia — nic cię to nie obchodzi?

Nie odwrócił się. Szukał czegoś w indeksie.

— Niby co mnie nie obchodzi?

— Jakie mam zmartwienia.

— Jak to? Przecież cię zapytałem, czym się martwisz?

— Tak, ale wcale cię to nie obchodzi.

Pastor odchrząknął. Takie sytuacje zawsze zaskakiwały go we własnych kontaktach, mimo że bardzo często obserwował je w życiu innych ludzi. Powoli odwrócił się więc twarzą do swojej przyjaciółki i sekretarki na pół etatu.

— Wręcz przeciwnie. Bardzo mnie to interesuje — powiedział, starając się, żeby jego słowa zabrzmiały szczególnie uprzejmie.

W oczach Emmy pojawiły się łzy i zaczęły spływać po jej policzkach.

— No cóż, jeśli musisz wiedzieć... — zaczęła. — Martwię się, ponieważ chyba... chyba zakochałam się w Haroldzie Newlandzie!

— Aha — odpowiedział pastor, myśląc wbrew własnej woli o nogach Harolda Newlanda w krótkich spodenkach od letniego munduru.

— Przypuszczam, że jesteś zaskoczony — wydusiła z trudem Emma.

— Ależ skąd. W ogóle. Opowiedz mi wszystko.

Emma wytarła nos w kawałek papieru toaletowego, który rano włożyła do torebki, i gdy trochę się uspokoiła, zaczęła:

— Ilekroć zjawiałam się w kancelarii wcześniej, przynosił pocztę do mnie, ponieważ widział mój samochód zaparkowany na chodniku przed budynkiem. Nie minęło wiele czasu, a zaczęliśmy rozmawiać na różne tematy, raz wieczorem wybraliśmy się do Wesley na film, a raz na smażone kiełbaski do Holding. I tak jakoś wyszło, że zaczęłam dla niego gotować.

Emma spojrzała badawczo na pastora i brnęła dalej:

— Okropnie wstydzę się do tego przyznać, ale ten duży urodzinowy obiad, który przyniosłam dla ciebie, to były resztki kolacji Harolda z poprzedniego wieczoru.

— Dwie pieczenie przy jednym ogniu — skomentował dobrodusznie pastor.

Emma wytarła oczy.

— Czy wiesz, jak dawno temu odszedł Charlie?

— Dziesięć lat.

— Dziesięć długich lat — powtórzyła, znowu szlochając. Pastor czekał cierpliwie.

— Harold jest takim sympatycznym człowiekiem. Nie ma rzeczy, której nie potrafiłby naprawić. Skleił nawet trzy stłuczone część mojego porcelanowego serwisu tak, że prawie w ogóle nie ma śladu. A ja już straciłam nadzieję, że kiedykolwiek uda mi się to zrobić. I wiesz, jak trudno przekopać ziemię pod nowe rośliny.

— O, tak.

— A jemu udało się skopać grządkę za domem samą tylko motyką i posadził mi od razu kilkanaście pomidorów.

— Myślę, że już gdzieś pod koniec miesiąca będziesz mogła zebrać pierwsze owoce.

Emma rozkręciła się na dobre.

— A pamiętasz te schody na strych, których nigdy nie mogłam spuścić? Teraz chodzą lekko jak piórko! Nie wspominając już o tym że przy okazji Harold ocieplił na nowo sufit.

— Niesamowite! — wykrzyknął poruszony słuchacz.

— Naprawił również cieknącą rurę w piwnicy. Pleśniały przez nią wszystkie ubrania, które odkładałam na wentę dobroczynną.

Emma postanowiła upewnić się, czy pastor rozumie sedno sprawy.

— Wiesz, w jaką ruinę może popaść dom w ciągu dziesięciu lat?

— U mnie wystarczy dziesięć dni! Zapadła swobodna cisza.

— Czy Harold należy do któregoś Kościoła w Mitford?

— Cóż, nie w samym Mitford, ale w pobliżu. Jak wiesz, Harold ma farmę, pięć hektarów. Chodzi do wiejskiego kościółka baptystów. Mówi, że swoje serce oddał Panu, gdy był jeszcze dzieckiem.

Pastor musiał przyznać, że niewiele wie o Haroldzie Newlandzie ponieważ obsługiwał on ich rewir zaledwie od roku. Czasem, gdy przypadkiem spotkali się przed wiszącą na zewnątrz skrzynką pocztową, zamieniali ze sobą kilka słów.

— No cóż, z tego, co mówisz, wynika, że Harold chodzi do kościoła i to nie tylko od święta, ma farmę, pracę, jest złotą rączką i lubi twoją kuchnię. Jakie wobec tego możesz mieć powody do zmartwienia?

Podbródek Emmy zaczął drżeć.

— To takie krępujące! — powiedziała, ocierając świeże łzy niedużym zwitkiem papieru. — To właśnie dlatego grządką pomidorów znajduje się za domem, a nie w najbardziej nasłonecznionym miejscu.

— Nie rozumiem.

— Gdyby Harold sadił pomidory na grządce znajdującej się z boku domu, a nie z tyłu, wszyscy widzieliby go, a ja nie chciałam, żeby ktokolwiek go widział, bo... bo...

— No wyduś to w końcu z siebie, dlaczego?

— Dlatego, że on ma tylko czterdzieści pięć lat! — wyrzuciła z siebie Emma.

Pastor przez chwilę nic nie mówił.

— Przepraszam, że pytam cię tak wprost, ale ile ty masz lat?

Wydawało mu się, że pamięta, iż Emma jest młodsza od niego o dwa lata.

— Pięćdziesiąt cztery!

— Z ręką na sercu?

— Pięćdziesiąt osiem — powiedziała wyczerpana tym wyznaniem Emma.

— Za niecałe dwadzieścia minut mam spotkanie i chciałbym cię poprosić, żebyś się nad czymś zastanowiła. — Ojciec Tim spojrzał na nią serdecznie i życzliwie. — Jak napisał święty Paweł w Li-

ście do Tymoteusza: „Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia”.

Emma wytarła nos.

— Czy mógłbyś mi to na czymś zapisać?

— To kto jest tutaj sekretarką? — zapytał z uśmiechem pastor.

Pewnego ranka na początku sierpnia, gdy ojciec Tim biegł wzdłuż Church Hill Drive, Barnaba zatrzymał się nagle w miejscu, w wyniku czego jego pan wpadł głową naprzód do porośniętego groszkiem pachnącym rowu.

Gdy kulejąc, szedł trochę później niż zwykle do kancelarii, miał ochotę nie przyznać się do tego wydarzenia Emmie.

— Co ci się stało, na litość boską? — zapytała napastliwie Emma.

Nie potrafił skłamać.

— Biegliśmy. Barnaba się zatrzymał. Potknąłem się p niego i wpadłem do rowu.

— Barnaba! — zawołała ze złością. — Od dnia, w którym dałeś się omamić temu stworzeniu i wpuściłeś je do swojego domu, dzieją się same złe rzeczy! Zachorowałeś na cukrzycę, twoje liliowce zakwitły na pomarańczowo, a teraz proszę, cały jesteś poobijany, nie mówiąc już o tym, że o mało nie zostałeś kaleką!

— To oczywiste, że Barnaba nie zrobił tego celowo.

Pastor usiadł delikatnie na krześle obrotowym i poczuł ostre ukłucie bólu w lewym kolanie.

— To o wszystkim przesądza.

— Niby co przesądza o czym?

— Tego już za wiele, tego już naprawdę za wiele!

Jeżeli Emma ma jakiś specjalny dar, myślał ojciec Tim, to do posługiwania się niezrozumiałą przenośnią i do enigmatycznych wypowiedzi. I chociaż wyprowadzenie Harolda Newlanda na światło dzienne wyraźnie ostatnio złagodziło jej temperament, pastor zaczynał dostrzegać pierwsze objawy regresu.

— Czy pamiętasz, jak wiele razy chcieliśmy cię namówić, żebyś zatrudnił pomoc domową?

— Ależ tak, oczywiście, że pamiętam.

— I ile razy stanowczo odmawiałeś?

— Nieustannie, jeśli się nie mylę.

— Cóż, ten pies, czy tego chcesz, czy nie, stał się ostatecznym powodem, dla którego ją dostaniesz!

— A co to niby ma znaczyć?

— To znaczy, że rada parafialna odbyła za twoimi plecami spotkanie, żeby zrobić dla ciebie coś, czego ty nie chcesz zrobić sam dla siebie Bierzesz lekarstwa, gotujesz, masz duży dom, ogród, absorbującą parafię, dwie msze w każdą niedzielę, nie chcesz wyjechać na urlop, a teras jeszcze i to! Powiedzieli mi, że jak tylko dam im znać, to zatrudnią dla ciebie jakąś pomoc domową. Będą przysyłać ją do ciebie w każdą środę i piątek rano, punktualnie o ósmej. Chcieli jednak, żebym to ja powiedziała ci o wszystkim, ponieważ oni nie mają odwagi.

Pomoc domowa! Pastor poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

Może dać sobie trochę czasu na przemyślenie tej sprawy, myślał, obracając się na krześle, twarzą do półki z książkami. Z drugiej Jednak strony, może lepiej od razu zadzwonić do Harry'ego Nelsona I spróbować obalić decyzję rady.

A jednak pastor zrobił w końcu coś, do czego zrobienia swoim zachowaniem już od wielu tygodni skłaniała go Emma. Podniósł się z krzesła, skierował do drzwi i wyszedł z kancelarii, nie odezwawszy się ani słowem.

Energicznym krokiem doszedł do rogu ulicy i skręcił w prawo. Gdy mijał Oksfordzkie Antyki, Andrew Gregory zaprosił go na kawę, ale on nawet nie zwolnił kroku. Gdy twoja własna rada parafialna spiskuje za twoimi plecami, a twoja własna sekretarka nienawidzi twojego psa, nie ma lepszego miejsca na utopienie smutków niż bar Grill.

Pogoda pozwalała Andrew Gregory'emu na oddanie się ulubionemu zajęciu. Mógł mianowicie otworzyć na całą szerokość podwójne drzwi prowadzące do sklepu i rozkoszując się wpadającą do środka delikatną bryzą, siedzieć na swojej prywatnej ławce z osiemnastego wieku i czytać pochodzącą z własnej kolekcji białych kruków książkę.

Gdy zjawiali się klienci, wołał, aby najpierw usiedli na stojącej naprzeciwko ławce i niejako w ramach wstępu do sprzedaży porozmawiali z nim o polityce, golfie, rynku złota, rodzinie królewskiej, Winstonie Churchillu, starych mistrzach włoskich i jeszcze wielu innych sprawach, które go interesowały.

Zupełnie tego nie planując, Andrew stał się specjalistą nie tylko od starych i rzadkich książek, ale również od biurk gabinetowych, angielskich monet, osłon kominkowych, krzeseł tapicerowanych i stołów z sosny, które cieszyły się zainteresowaniem głównie wśród młodszej klienteli.

Prezentował te skarby w niezwykle prosty sposób, nie ozdabiając stołów ani jednym pojemniczkiem z potpourri, a mimo to atmosfera panująca w sklepie była synonimem elegancji. Wiekowe podłogi z desek jaśniały i błyszczały pod warstwą regularnie nakładanej przez właściciela pasty. Nacierane co miesiąc olejkiem cytrynowym meble emanowały kuszącym, charakterystycznym dla tego miejsca zapachem.

Będąc wdowcem, właściciel najwspanialszego w mieście sklepu z antykami bardzo lubił przyjacielskie pogawędki. Był przecież atrakcyjny, miał zgrabną sylwetkę, ubierał się z polotem, a kilka lat spędzonych w dzieciństwie we Włoszech nadało jego manierom pewnej europejskiej dystynkcji.

Wszyscy byli zdania, że bardzo mu do twarzy z opalenizną i że zawsze jest szalenie szarmancki wobec pań.

— Wdowiec od pięciu lat i nie widać, żeby się kimś interesował; Wygląda na to, że nie ma już nadziei — powiedział kiedyś klient do Winnie Ivey w cukierni.

— Nadzieja jest zawsze — odparła Winnie.

Chociaż sama nie była zainteresowana, czuła, że Andrew Gregory, podobnie jak jej ciastka z poprzedniego dnia, nie powinien się zmarnować.

Kiedyś łączono go nawet z Emmą Garrett, ale ona szybko zaprzeczyła tym plotkom.

— Zbyt elegancki jak dla mnie! — stwierdziła. — A poza tym, kto wytrzymałby z tymi ciemnymi meblami w całym domu?

Emma, która prowadząca na patio drzwi w domu ozdobiła kalkomanią ze słoneczników, a na biurku w kancelarii trzymała flakon ze sztucznymi liliami tygrysimi, nie była w stanie wyobrazić sobie georgiańskiej szyfonierki w swojej nowoczesnej jadalni ani męża, który cały czas mówiłby o Winstonie Churchill.

Ponieważ dzieci Andrew osiadły w Connecticut, niektórzy dziwili się, że on sam zdecydował się pozostać w Mitford. Powód jednak był prosty — Andrew czuł się tutaj bardzo szczęśliwy, a i miasteczko było zadowolone ze swojego mieszkańca.

To właśnie Andrew Gregory'emu rada miejska powierzyła misję wyjaśnienia Myrze, właścicielce sklepu kosmetycznego — Myra's Beauty Bar — dlaczego markiza nad jej sklepem nie może być koloru różowej gumy balonowej, tylko tradycyjnego, zielonego.

Podobnie, gdy rozpętała się burza wokół sprzedaży lokalnych produktów rolnych przez Sklep, to również Andrew został wysłany do stolicy stanu, by wyjaśnić i załagodzić spór.

Andrew był jednak jedynym Włochem w mieście, a jak niektórzy mawiali — wiadomo, jacy są Włosi. Nie potrafią żyć bez serdecznych uścisków, całusów, dużych wesel i spotkań rodzinnych, zwyczajów prawie zupełnie obcych lokalnej społeczności. Mimo to, z wyjątkiem dni, gdy tęsknił za spokojnym błękitem Morza Śródziemnego i gorącym słońcem, które sprawiało, że kwiaty osiągały rozmiar talerzy śniadaniowych, był tutaj szczęśliwy.

Ojciec Tim odczuwał niepokój spowodowany tym, że nagle w jego życiu pojawiło się zbyt wiele możliwości. Od lat wstawał o piątej, odmawiał poranną modlitwę, pracował nad kazaniem, a potem pił kawę i ubierał się. Następnie odwiedzał szpital, wstępował do baru Grill na śniadanie i szedł na piechotę do kancelarii.

Tak wyglądało jego przedpołudnie, wszystko było jasne i proste.

Teraz każdego dnia musiał podejmować przeróżne decyzje. Czy przy brzydkiej pogodzie ma zabrać ze sobą na poranny jogging Barnabę, czy też zostawić go w domu? Czy zabrać Barnabę do kancelarii, czy też zamknąć go w garażu? Czy iść do pracy na piechotę, czy też zdobyć się na odwagę i zacząć jeździć nowym skuterem?

Zaczął się nawet zastanawiać nad czymś, o czym nigdy nie pomyślałby, że przyjdzie mu do głowy: może powinien pić rano kawę bezkofeinową.

Podczas urodzinowego przyjęcia Hoppy przypomniał mu o jeszcze trudniejszej decyzji, którą będzie musiał podjąć: kiedy wybierze się na urlop.

— Odwiedź Waltera i Katherine — poradził lekarz.

Ojciec Tim nie chciał jechać do New Jersey, szczególnie latem.

— Przyjedź do nas na tydzień — zaproponował Hal.

Pastor nie chciał jednak robić kłopotu Marge, która była już prawie w szóstym miesiącu ciąży.

Planowanie własnego wypoczynku nigdy nie sprawiało mu przyjemności, po prostu nie miał do tego daru. Miał za to tendencję do zamieniania wypoczynku w coś praktycznego, aby znaleźć w ten sposób uzasadnienie dla spędzonego czasu i wydatków. Tak właśnie postąpił, organizując swój dwumiesięczny pobyt w Cambridge. Zamierzał pojechać tam dla czystej przyjemności, przeznaczając na ten cel pewną sumę z majątku matki. Było to jednak wbrew jego naturze. Tak więc podczas pobytu w Cambridge zgromadził materiały i napisał pracę na temat C.S. Lewisa. Rozprawa została potem bardzo dobrze przyjęta.

Słyszał ostatnio, że żona biskupa usiłuje zebrać chętnych na wyprawę częścią szlaku turystycznego w Appalachach, ale ponieważ bardzo lubiły go komary, nie mógł brać tej możliwości pod uwagę.

Gdy przyszedł do biura trochę wcześniej niż zwykle, zastał wujaszka Billy'ego siedzącego na schodku przed drzwiami wejściowymi. Jego gość miał na sobie swój najlepszy trzyczęściowy garnitur, odziedziczony po zmarłym szwagrze i mocno pachniał środkiem przeciw molom.

Na widok zbliżającego się ojca Tima wujaszek Billy ściągnął kapelusz.

— Dzień dobry, księżu.

— Dzień dobry, wujaszku Billy. Bardzo wcześnie wybrałaś się dzisiaj do miasta.

— Ja i Rose lubimy wstawać razem z kurami — odpowiedział gość, błyskając złotym zębem.

Kiedy pastor przygotowywał kawę, wujaszek Billy uważnie przyglądał się zgromadzonym na półkach książkom.

— Zawsze marzyłem o tym, żeby zdobyć wykształcenie — przyznał ze smutkiem. — Mieszkałem jednak daleko w górach i nie mogłem chodzić do szkoły. Nauczyłem się liczyć, a swojego czasu namalowałem kilka obrazów i to wszystko.

— Jakie obrazy malowałaś?

— Psy i inne zwierzęta, góry, pola, kwiaty, sady i tym podobne Najbardziej lubię przyrodę i zwierzęta.

— Cóż, bardzo chętnie oglądnę twoje rysunki, jeśli zechcesz mi je pokazać.

— Mam je gdzieś schowane. Mogę przynieść, jeśli naprawdę chciałby je ojciec zobaczyć. To nic specjalnego. Szkice ołówkiem Nie pokazywałem ich nikomu poza Rose.

Ojciec Tim nalał filiżankę kawy i podał ją wujaszкови Billy'emu.

— Jak się ma panna Rose?

— Hmm, jak zwykle, można powiedzieć.

— Czy to znaczy, że dobrze?

— Tak, wyjąwszy wszystko inne. Ale to jej choroba. Czasami Jest taka, że do rany przyłoż, i właśnie dla tych chwil żyję. Kiedy przybyłem tutaj z gór i znalazłem Rose, a potem się z nią ożeniłem, uważałem się za szczęściarza. I nadal tak myślę. Jesteśmy małżeństwem od czterdziestu trzech lat, a ja wiedziałem, że Rose jest chora. Od samego początku zdawałem sobie sprawę, na co się decyduję. Nie opuściłem jej ani na jeden dzień, ona jest wszystkim, co mam, i jestem za to wdzięczny.

Ojciec Tim wiedział, że panna Rose choruje na schizofrenię i cały czas przyjmuje lekarstwa.

— Odkąd ożeniłem się z Rose, nie byłem w rodzinnych stronach i nie widziałem swoich bliższych. Być może powinienem był tam pojechać, ale nie mogłem jej zostawić. Na początku nie mieliśmy samochodu, pracowałem w domu, wyplatałem krzesła z trzciny, robiłem karmniki dla ptaków, malowałem znaki. Rose dostawała dużo pieniędzy od Willarda, ale zawsze powtarzała: „Billy, to nie twoje pieniądze, one należą do mnie, nie wolno ci ich dotykać, musisz zarobić swoje własne”. Czasami wręcz ze mnie szydziła, ale to wszystko przez tę chorobę. Bywały dni, że przychodziła do mnie, siadała mi na kolanach i nazywała mnie swoim słodkim Williamem. Śmiała się, tańczyła do muzyki z radia, a ja szalałem z radości, myśląc, że wyzdrowiała. Wszystko na nic. Wystarczyło, żeby obróciła się na pięcie, i znowu była niczym atakujący grzechotnik. Zawsze się smuciłem tym, że nigdy nie wyzdrowiała, mimo że bardzo w to wierzyłem.

— Czy możemy wam w jakiś sposób pomóc, wujaszku Billy?

— Chyba nie ma na to żadnej rady. Próbowali już baptyści, próbowali i prezbiterianie, metodyści też zrobili swoją część. Byliśmy u nich wszystkich, ale nic nie pomogło. Nie bardzo miałem ochotę przychodzić do was, przez to całe klękanie i wstawanie, tam i z powrotem, ale spodobał się nam wasz kościół.

— Cieszę się. A poza tym, wcale nie musicie klękać. Możecie stać albo siedzieć, wszystko jedno. Jezus modlił się na każdy z tych sposobów.

Zapanowała chwila ciszy, podczas której wujaszek Billy wypił łyk kawy i rozmyślał nad tym, co usłyszał.

— Wujaszku Billy, nasz kościół nie może uzdrowić panny Rose, tak samo jak nie zrobili tego metodyści czy baptyści. Tylko Bóg może uzdrowić. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy. Masz moje słowo.

— Dziękuję, księże.

Ojciec Tim włączył automatyczną sekretarkę (robił to zawsze, gdy udzielał porady), a potem usiadł na krześle obrotowym.

— Opowiedz mi, proszę, co cię trapi?

— No cóż. Brat Rose, Willard, wiedział, że jego młodsza siostra cierpi na jakąś chorobę. Umierając, zostawił jej więc ten duży stary dom i mnóstwo antyków. Zaznaczył jednak w testamencie, że po jej śmierci dom przejdzie na własność miasta. Martwię się więc, że jeśli Rose odejdzie przede mną, nie będę miał gdzie mieszkać. Czasami zimą Rose nie chce włączyć pieca, kaszle wtedy bardzo, ale nie pozwala mi wezwać lekarza. Wtedy właśnie zaczynam się bać, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, zostanę na łasce państwa.

— Rozumiem.

— Tylu różnych ludzi chce kupić ten dom, ale nikt z wyjątkiem starego prawnika Rose z Wesley nie wie, że będzie on własnością miasta.

— Nie znam się zbyt dobrze na prawie — powiedział pastor. — Wydaje mi się jednak, że przy odrobinie dobrej woli miasto mogłoby znaleźć jakieś korzystne rozwiązanie. Myślę, że istnieje sposób na to, żebyś mógł tam nadal mieszkać, bez względu na to, co postanowi zrobić z domem nowy właściciel. Zbadam tę sprawę, a gdy przyjdiesz do mnie w następnym tygodniu, żeby pokazać mi swoje rysunki, porozmawiamy na ten temat.

— Nie chciałbym, żeby rozniosła się wiadomość, że dom będzie kiedyś należał do miasta. Rose nigdy nie lubiła o tym mówić.

— Nikt nie dowie się o tym ode mnie. Wujaszek Billy uśmiechnął się.

— Muszę przyznać, księże, że kamień spadł mi z serca. Gryzłem się tym już od dłuższego czasu, a teraz opowiedziałem wszystko ojcu i wierzę, że ojciec znajdzie jakieś rozwiązanie.

— To dobry plan, wujaszku Billy. Bóg mówi nam, żebyśmy nie martwili się o dzień jutrzejszy.

— Nie jest to łatwe, księże.

— Zgadza się. I wymaga dużo samozaparcia. Jezus każe nam troszczyć się tylko o to, co dzisiaj. Oczywiście dużo łatwiej stosować się do Jego słów, gdy jest blisko nas.

— Nie rozstaję się z Bogiem już od wielu lat. Być może nie zawsze byłem idealny, ale chciałbym się poprawić.

— Pomódlmy się.

Ojciec Tim otoczył wujaszka Billy'ego ramieniem.

— Ojcie, dziękujemy Ci za wiarę Billa Watsona i za to, że pragnie, abyś kierował jego życiem. Powierzamy Ci jego problem i prosimy o mądrość, która pozwoli nam znaleźć najlepsze rozwiązanie, w imię Chrystusa, naszego Pana. Amen.

— Amen! Czy ksiądz wie, że dla Pana byłem zawsze Billem, a nie Billym, dokładnie tak jak ojciec powiedział!

Gdy mężczyźni się rozstali, pastor zatelefonował do kuzyna, Waltera, który był również jego prawnikiem.

Potem zajął się kazaniem. To dziwne, ale dzięki spotkaniu z wujaszkiem Billym przyszedł mu do głowy sposób na przedstawienie pewnej kwestii z kazania, z którą przedtem zupełnie nie mógł sobie dać rady.

— Bardzo przepraszam, ojcie, ale w dzwonnicy są nietoperze. — Russell Jacks otworzył drzwi do kancelarii i zajrzał do środka.

— Och, Russellu! To nic nowego. Proszę bardzo, wejdź dalej!

Russell był kościelnym w Lord's Chapel od prawie dwudziestu lat, ale z powodu kłopotów z kręgosłupem od roku mieszkał u swojej córki w górach.

— Jakże się cieszę, przyjacielu, że cię widzę — przywitał go ojciec Tim, serdecznie ściskając powykrzywianą dłoń Russella. — Witaj w domu!

— Jak tylko pozbędziemy się stamtąd nietoperzy, zdrapię odchody i rozsypię je na grządkach.

Russell Jacks wrócił i nie tracąc ani chwili, był gotowy do rozpoczęcia pracy.

— Kiedy, na litość, wracają do nas nasze dzwony? — zapytał.

— Październik, listopad, gdzieś w tym czasie. Z samej Anglii, nareszcie! Bardzo brakuje nam bicia dzwonów w Lord's Chapel. Tak jak brakowało nam ciebie, Russellu. Powiedz mi, jak tam twój kręgosłup. Czy już wszystko w porządku?

— Bardzo chętnie wszystko opowiem, ale na zewnątrz czeka na mnie wnuk. — Russell jak zawsze w obecności duchowieństwa stał, trzymając przed sobą w obu dłoniach kapelusz.

— Wobec tego niech wejdzie razem z tobą!

Ojciec Tim podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Na końcu kamiennego budynku stał bosy, piegowaty, rudowłosy chłopiec w brudnych spodniach na szelkach.

Nie do wiary, pomyślał pastor, Tom Sawyer!

— Z jego mamą jest nie najlepiej — powiedział Russell — nie może się nim opiekować. Opiekowała się w pewnym sensie mną, gdy byłem chory, obiecałem jej więc, że przez jakiś czas będę się nim zajmował. Jest najstarszy z pięciorga rodzeństwa.

Pastor przypomniał sobie, że gdzieś w kancelarii, chociaż nie wiedział dokładnie gdzie, powinno być jeszcze jedno pudełko Little Debbies. Sięgnął za tom *Life Together* Bonhoeffera i wyciągnął zza niego pudełko ciasteczek z kremowym nadzieniem.

— Jak ma na imię twój wnuk?

— Dooley! — odparł z wyraźną dumą Russell Jacks.

— Dooley! — zawołał pastor, wyglądając na zewnątrz. — Wejdź, proszę, i pokaż się nam!

Chłopiec podszedł trochę bliżej i zatrzymał się na chodniku, patrząc na pastora. Przyglądając mu się z bliska, ojciec Tim dostrzegł ze zdziwieniem w jego oczach coś, co sprawiało, że chłopiec wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości.

— Czy ten budynek należy do kościoła? — zapytał z rezerwą chłopiec.

— Tak, to kancelaria kościelna.

— W takim razie nie mogę wejść do środka. Nie umyłem się.

— Nie musisz się myć, żeby tutaj wejść.

— Myślę, że skoro jesteś księdzem, to nie kłamiesz.

— Nie, nie kłamię.

Chłopiec przeskoczył pojedynczy stopień, wbiegł do środka i stanął w miejscu, rozglądając się spieszenie po pokoju.

— Czy jest tu jakieś ustronne miejsce?

Rozdział siódmy

WŁAŚCIWA OSOBA NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Minął tydzień, odkąd Puny Bradshaw zadzwoniła do drzwi dokładnie o godzinie ósmej rano i zaczęła przejmować rządy w jego domu.

Na szczęście właśnie wychodził, kiedy się pojawiła, został mu więc zaoszczędzony przykry obowiązek poinstruowania jej, co ma zrobić.

Z poczuciem wstydu myślał o tym, że poprzedniego wieczoru schował swoją bieliznę do poszewki na poduszkę i ukrył ją głęboko w szafie jak jakiś nędzny rabuś czy zakradający się do kurnika złodziej. Co gorsza, Puny ją znalazła. Gdy przyszedł około południa do domu po notatki do kazania, wyszła mu na spotkanie do holu.

— Ojcie — powiedziała, bezwstydnie unosząc do góry najbardziej zniszczoną parę bokserów, jaką posiadał — bielizna ojca wygląda, jakby walczyły o nią psy. Nie mogę pojąć, jak można w czymś takim głosić kazanie!

Tak go zaskoczył ten pokaz, że nie potrafił nic powiedzieć.

— Proszę nie mieć mi tego za złe — ciągnęła, widząc wzburzenie pastora. — Mój dziadek był księdzem i zajmowałam się nim przez dobre kilka lat, można więc powiedzieć, że idealnie nadaję się

do tej pracy. Wie ojciec co, następnym razem, gdy będę w Wal-Mart w Wesley, kupię ojcu kilkanaście par nowych bokserek, bo te zamierzam zużyć do sprzątanía!

Gdy przyszedł tego dnia do domu o siedemnastej trzydzieści, Puny z wypiekami na twarzy krzątała się po nieskazitelnej kuchni, kończąc liczne — jak można było naocznie stwierdzić — obowiązki.

— Ledwie dałam sobie radę z tą całą masą pomidorów! — stwierdziła. — Część zamroziłam jako półprodukt. Znalazłam też trochę słoików w garażu, wysterylizowałam je w tym dużym garnku na zupę i zamarynowałam w nich całą resztę. Proszę tylko spojrzeć — powiedziała dumnie, wskazując na czternaście słoików marynaty,

— Puny — powiedział pastor w radosnym zachwycie — to radość dla oczu.

— To jeszcze nie wszystko. Wypucowałam ojca łazienkę, że aż lśni, i lepiej będzie, jak od razu ojcu powiem, jeśli mam tutaj zostać — a bardzo potrzebuję tej pracy — będzie musiał ojciec podnosić do góry deskę sedesową przy załatwianiu swojej potrzeby.

Poczuł, jak czerwienieje mu twarz. Mała Emma, myślał z niezadowoleniem jej pracodawca. Teraz mam jedną w kancelarii i jedną w domu, pasują do siebie idealnie. Nic jednak nie mogło zmaćić jego radości spowodowanej widokiem czternastu słoików marynowanych pomidorów, ustawionych rzędem na kuchennej ladzie.

Gdy przyszedł do domu w piątek po południu, w powietrzu unosiła się mieszanina cudownych zapachów.

Pieczony kurczak. Leczo. Brokuły gotowane na parze. Gotowana kukurydza. I mrożony jogurt z dodatkiem gotowanych jabłek „Baxter”.

— Czemu zwątpiłeś, małej wiary? — zapytał sam siebie wersetem z Pisma Świętego.

— Wiem wszystko o tej całej cukrzycy, mój dziadek miał dużo gorszą niż ojciec — powiedziała mu z satysfakcją Puny. — Umiem gotować nie tylko dla chorych na cukrzycę, ale również dla cierpiących na wysokie ciśnienie, zaburzenia pracy serca, nerwicę żołądka i obstrukcję.

W ciągu minionych dwunastu lat często pytał w przypiływie rozpacz: „Boże, co ja takiego zrobiłem, że pokarałeś mnie Emmą Garrett?”, teraz z kolei zaczął powtarzać z radością: „Czymże zasłużyłem sobie, Panie, na Puny Bradshaw?”

Ojciec Tim wyciągnął z szafy swój najlepszy, dopiero co odebrany z pralni w Wesley garnitur i powiesił go na wieszaku za drzwiami do sypialni. Wyłożył parę nowiutkich bokserek, które Puny była uprzejma kupić dla niego w Wal-Mart, i idealnie wyprasowaną przez nią koszulę. Wyczyścił następnie czarne mokasyny, odłożył na swoje miejsce pudełko ze szczotkami i przypomniał sobie, że powinien wyjąć z górnej szuflady czystą chusteczkę.

Zdażył już odmówić poranną modlitwę i zastanowić się nad inspirującymi słowami z dwunastego rozdziału Ewangelii według świętego Łukasza: „Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się

zbyttnio o życie, co macie jeść, ani o ciało, czym macie się przyodziać. Życie bowiem więcej znaczy niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie. Przypatrzcie się krukom: nie sieją ani żną; nie mają piwnic ani spichlerzy, a Bóg je żywi. O ileż ważniejsi jesteście wy niż ptaki!"

Większość ludzi traktowała te słowa jedynie jako poetycką fantazję, myślał, ubierając się. Nie troszczcie się? Prawie wszyscy śmiertelnicy uważali troskę — i to w dużych ilościach — za nieodzowny element życia. Mimo to wierzący byli wielokrotnie napominani, by porzucili troski i zwrócili się do Boga.

Czymkolwiek to jest, z pewnością nie można tego nazwać zdrowym rozsądkiem, ale jak napisał Oswald Chambers: „Zdrowy rozsądek nie jest wiarą, a wiara nie jest zdrowym rozsądkiem”.

Zbliżała się ta część tygodnia, podczas której myśli pastora nieustannie krążyły wokół kazania. „Powiedzmy, że wierzę, iż Bóg zaspokoi wszystkie moje potrzeby — napisał Chambers — a potem dopuści do tego, że wyczerpią się wszystkie moje zapasy i nie będę widział przed sobą żadnej nadziei, i wtedy zobaczymy, czy wyjdę z tej próby zwycięsko, czy też... upadnę”.

Włożył chusteczkę do kieszeni i spojrzął na swoje odbicie w dużym lustrze znajdującym się po wewnętrznej stronie drzwi do pokoju gościnnego.

W porządku. Może być.

Wziął swoje notatki do kazania, poszedł do garażu pożegnać się z Barnabą i wyruszył na poranne spotkanie z panią burmistrz Cunningham.

W swoim biurze w ratuszu Esther Cunningham jadła właśnie bułkę z parówką i frytki, a popijała to wszystko dietetyczną coca-colą. Ojciec Tim uznał, że to wyjątkowy posiłek, zważywszy na to, że jest dopiero siódma rano.

— Najlepsza chwila poranka! — powiedziała pani burmistrz unosząc do góry kubek w geście powitania. — Proszę, wejdź dalej i usiądź sobie, gdzie ci będzie najwygodniej.

W biurze pani burmistrz był rzeczywiście duży wybór miejsc do siedzenia. Gdy czternaście lat temu po raz pierwszy zwyciężyła w wyborach, wynajęła dużą przyczepę i przewiozła nią z domu, ku wielkiemu zdziwieniu męża, wszystkie nie używane meble. Znajdowała się tam szaroniebieska sofa, skórzana dwuosobowa kanapka, dwa niskie skórzane fotele, otomana i nowoczesny stolik koktajlowy. Cały ten przepych jednak nie zdołał zamaskować faktu, że z powodu nieszczelności dachu, której nikomu przez te wszystkie lata nie udało się zlokalizować, na ścianach biura rósł grzyb.

— Czy zgodzisz się ze mną, że to rzeńskie powietrze jest po prostu cudowne? — zapytał pastor, siadając w niskim fotelu naprzeciwko Esther.

— O, tak! Wspaniale! Ray i ja zamierzamy wziąć naszą przyczepę kempingową i wybrać się na pstrągi. Jak tylko urodzi się kolejny wnuk, oczywiście.

Wszyscy wiedzieli, że pani burmistrz ma kilka pięknych córek i zadziwiającą liczbę wnuków, pastor nie potrafił sobie jednak przypomnieć ich aktualnej liczby.

— I który to będzie?

— Dwudziesty trzeci! — odparła.

Powiedziała to z taką dumą, że mogło się wydawać, iż za jej plecami rozbrzmiała orkiestra dęta.

— Aha! — powiedział ojciec Tim, szukając wzrokiem dzbanka z kawą. Sądząc po tym, co zobaczył, w biurze nie było ani kropli tego napoju. — Esther, twoje dziewczęta robią wszystko, co w ich mocy, żeby podnieść nam podatki.

— Nie narzekaj. Jak na razie widzę z tego sam pożytek: dwóch śmieciarzy, listonosz, kasjer w banku, policjant i strażnik w parku. Nie wspominając już o strażaku i całej hordzie nauczycieli w szkole niedzielnej.

— „Rzeczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć. Cóż, czy pozwolisz, że przejdę od razu do rzeczy?

— Oczywiście. O ósmej mam spotkanie rady miasta, na którym mamy wybrać oficjalny kwiat Mitford. Rozwodzą się nad tą sprawą już od tak dawna, że mam tego dość. Na dodatek gazeta z Wesley chce napisać o tym artykuł i nie dadzą nam spokoju, dopóki nie podejmiemy ostatecznej decyzji. Niezależnie od tego, na jaki kwiatek się zdecydujemy, będziemy musieli wymalować go na wszystkich znakach prowadzących do miasta, umieścić stosowną tabliczkę na pomniku, wyznaczyć dzień, w którym będzie się odbywała specjalna parada, zaprosić na uroczystość gubernatora... Nie pamiętam takiego zamieszania od czasów wielkiego pieczenia ciast z jabłkami „Baxter”.

— Nawet mi nie przypominaj — powiedział pastor, który osobiście upiekł szesnaście jabłeczników, żeby zdobyć fundusze na budowę biblioteki.

— Jak myślisz, jaki kwiat powinien być oficjalnym kwiatem miasta? Jesteś ogrodnikiem.

Esther Cunningham zwinęła papier ze śniadania w kulkę i zręcznym rzutem cisnęła go wprost do kosza.

— Oczywiście zwolennicy bratka tworzą silną grupę.

— Tak, ale pomyśl o tych wszystkich różanych altanach przy Old Church Lane.

— Zgadza się, ale ich nie widać. Co widzą turyści we wszystkich skrzynkach w oknach domów przy Main Street? Bratki! Wokół pomnika miejskiego? Co roku bratki! A ogródki przed sklepami? Pełne bratków!

— Chciałbyś zaprosić kogoś na Dzień Bratka? Pomyśl, czy zadzwoniłbyś do kogoś w Raleigh albo Salisbury i powiedział: „Przyjedź do nas na Dzień Bratka”?

— Rzeczywiście, masz rację. Za nic w świecie nie chciałbym być burmistrzem.

— Prawdę powiedziawszy, piastuję ten urząd już zbyt długo. Wolałabym, żebyś nikomu o tym nie mówił, ale przygotowuję jednego z moich wnuków do objęcia tego stanowiska w następnych wyborach.

— Niesamowite!

— Ale dość tego gadania. Może gdy ja będę kończyła pracę nad swoim cholesterolem, ty opowiesz mi w czym rzecz?

— Co by się stało, gdyby po śmierci pewnej osoby miasto weszło w posiadanie dużego domu, w którym nadal mieszkałby członek rodziny, który nie miałby się gdzie wyprowadzić? Osoba ta jest uczciwa, w chwili obecnej zdrowa na ciele i umyśle i nie sprawia żadnych kłopotów. Jak myślisz, czy gdyby stało się to dzisiaj, rada byłaby przychylna i pozwoliłaby pozostać tej osobie w domu do śmierci? Byłoby to w porządku od strony prawnej.

— Przypuszczam, że wolałbyś nie wymieniać żadnych nazwisk, których dotyczyłaby ta hipotetyczna sytuacja.

— Jako że opanowałem język angielski w stopniu doskonałym — odpowiedział pastor, cytując Benchleya — niech moja odpowiedź będzie milczeniem.

— Wobec tego, ponieważ tak naprawdę w ogóle się to nie zdarzyło i nie mam zielonego pojęcia, o kim mówisz, domyślam się że chodzi ci po prostu o moją teoretyczną opinię.

— Zgadza się.

— Odpowiem więc, że jeśli to, co mówisz, jest prawdą, a nigdy się na tobie nie zawiodłam, moglibyśmy jakoś dojść do porozumienia. Troszczymy się o swoich w Mitford, zawsze miałam to na uwadze. Wiesz oczywiście, że zawsze dbamy o to, żeby pannie Rose i wujaszкови Billy'emu nigdy nie zabrakło oleju opałowego.

— Dobry przykład.

— Tak więc... — ciągnęła pani burmistrz, mrugając przy tym znacząco okiem.

— Tak więc, jaki kwiatek wybierasz?

— Fiołek — odpowiedziała Esther Cunningham ze śmiechem.

— Wiesz co? Jeśli uda ci się przekonać kogoś z Charlotte albo Raleigh do przyjazdu do Mitford na Dzień Fiołka, zabiorę cię do Wesley na duży stek.

— Trzymam cię za słowo — odpowiedziała pani burmistrz, mocno ściskając mu dłoń.

Gdy po wizycie u ciężko chorej Pearly McGee pastor dotarł do kancelarii, przed drzwiami zastał wujaszka Billy'ego, który siedział na schodach i czekał na niego. W rękach trzymał pakunek zawinięty w żółknięte strony „Mitford Muse”.

— Dzień dobry, księżo.

— Dzień dobry, wujaszku Billy — przywitał go pastor, pomagając starszemu mężczyźnie podnieść się.

— Z moim artretyzmem jest coraz gorzej, ledwie mogę usiąść, nie mówiąc już o wstawaniu. Jeszcze trochę i najzwyczajniej w świecie będziecie mogli podierać mną ściany.

— Może przydasz się jako wieszak na kapelusze.

— Albo może przymocujecie na mojej głowie mały karmnik i postawicie mnie w ogródku — wujaszek Billy roześmiał się, ukazując w uśmiechu wszystkie trzy zęby.

Gdy weszli do środka, wujaszek Billy delikatnie usiadł na ławce dla interesantów i ostrożnie położył na kolanach paczkę. Ojciec Tim włączył czajnik elektryczny i otworzył okna.

— Przechodząc od razu do rzeczy, wujaszku Billy, zbadalem twoją sprawę. Mój prawnik zna podobne przypadki. Jeśli chodzi o stronę prawną, miasto może na jakiś czas odstąpić od przejęcia domu. Oczywiście nie wymieniałem żadnych nazwisk, ale pani burmistrz powiedziała, że rada z pewnością nie byłaby temu przeciwna. Obaj wiemy, że nie można przewidzieć, co przyniesie jutro albo jacy będą merowie miasta, ale sądzę, że nie masz się czym martwić.

Wujaszek Billy opuścił na chwilę głowę. Gdy spojrzał ponownie do góry, w jego oczach widać było łzy.

— Dziękuję księdzu.

— Ależ nie, wujaszku Billy, to ja dziękuję tobie. Jestem przekonany, że poprzez twój przypadek Duch Święty pomógł mi lepiej zrozumieć pewną kwestię, którą chciałbym przedstawić w kazaniu.

Jezus często napominał uczniów: „Proście”. Wujaszek Billy, podobnie jak zdecydowana większość ludzkości, przeżył cenne lata, martwiąc się, zamiast najzwyczajniej poprosić.

— Mam nadzieję, że ten pakunek to twoje rysunki.

— Miałem ich nie przynosić, wie ksiądz. Zacząłem je przeglądać i powiedziałem: „Rose, chyba nie powinienem targać ze sobą tych staroci do ojca Tima”. Rose rozzłościła się i powiedziała, że nigdy w siebie nie wierzyłem. Ale to nieprawda. Wiem, że umiem wyplatać krzesła z trzciny, malować znaki nie gorsze niż inni i wychodzą mi całkiem niezłe karmniki. Ale to, co przyniosłem ze sobą, to nic ciekawego.

— A ja, odkąd mi powiedziałeś o swoich rysunkach tydzień temu, nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę.

Starszy mężczyzna wstał powoli i położył swój pakunek na biurku. Potem zaczął powoli ściągać kolejne warstwy zetlałych stron gazety, którymi był owinięty.

Ojciec Tim zauważył, że zgodnie z datą, jaka widnieje na „Mitford Muse”, gazeta pochodzi z 1952 roku. A potem zobaczył pierwszy rysunek.

Oniemiały ze zdziwienia, przyglądał się w kompletnej ciszy przepięknej, wykonanej ołówkiem podobiznie psa myśliwskiego na polu, niebu z całą chmarą przepiórek oraz myśliwemu z uniesioną do góry strzelbą, stojącemu w oddali na tle jesiennych drzew.

— Wielkie nieba — powiedział cicho.

W piątek zrobił coś, co do tej pory robił bardzo rzadko — wziął dzień wolnego.

Z Wesley miał przecież przyjechać samochód po rzeczy do pralni. Musiał też przeglądać kieszenie wszystkich garniturów i przypinać do nich karteczki z prośbą o drobne przeróbki. Musiał iść do fryzjera, żeby „zrobić porządek z karkiem”, jak mawiał Joe Ivey, zanieść buty do podzelowania i kupić coś, czym mógłby zmyć z kasku motocyklowego naklejkę reklamującą piwo.

Ponieważ przed tymi wszystkimi zajęciami ojciec Tim musiał pójść jak zwykle do szpitala i baru Grill, nie było go w domu o ósmej rano, gdy zjawiała się tam Puny.

Miała nadzieję, że pastor zrobi coś ze stojącym w garażu koszem jabłek „Baxter” i zaoszczędzi jej w ten sposób kłopotu. Niestety, gdy otworzyła drzwi, okazało się, że jabłka nadal tam są i na dodatek przyciągają chmary much.

Gdy zobaczyła, jak Barnaba w szale zachwytu biegnie do niej w podskokach, wyrecytowała na głos dwa z niewielu wersetów z Pisma Świętego, jakie pamiętała:

— „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem całą swoją duszą i całym swoim umysłem. Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego”.

Barnaba położył się u jej stóp i westchnął.

— W całym swoim życiu nie widziałam niczego bardziej zabawnego — powiedziała z podziwem. — Powinni pokazać cię w telewizji.

Puny wzięła kosz jabłek i zniosła do kuchni, następnie umyła owoce w zlewie. Po zamarynowaniu pomidorów zostały jej tylko trzy słoiki. Sprawa była więc oczywista, będzie musiała upiec jabłeczki, a resztę jabłek zasuszyć.

— Bóg to widzi — zwróciła się do Barnaby — że w tym domu jeszcze dobrze nie zaczę, a już jestem wykończona!

Puny otworzyła drzwi do ogrodu, żeby do kuchni wpadło trochę świeżego powietrza, i ze zdziwieniem stwierdziła, że na stopniu przed drzwiami stoi rudowłosy chłopiec w pomiętych i brudnych ogrodniczkach. Z tego, co słyszała, musiał to być wnuk Russella Jacksa. Barnaba zaszczekał radośnie i rzucił się do drzwi, chcąc wydostać się na zewnątrz.

— Spokój i leżeć! List do Filipian cztery trzynaście, na litość boską!

Chłopiec przyglądał się jej uważnie przez siatkę w drzwiach.

Puny nie była pewna, co jest bardziej widoczne: jego niebieskie oczy czy brudne stopy?

— Właśnie miałem zapukać — obwieścił chłopiec. — Czy jesteśmy spokrewnieni?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

— Bo masz takie same piegi jak ja.

— Nie możemy być krewnymi. Ty pochodzisz z gór!

— Ludzie pobierają się i przenoszą — odpowiedział poważnie.

— Czym mogę ci służyć?

— Dziadek polecił mi, żebym przyszedł tutaj i zawołał pastora.

— Ojca Tima nie ma w domu, jest w szpitalu.

— Co mu jest?

— Nic mu nie jest. Pastor chodzi do szpitala i odwiedza chorych ludzi, żeby poczuli się lepiej.

Chłopiec spuścił wzrok i powiedział cicho:

— Moja mama jest chora.

— Może wejdiesz i poczekaasz na ojca Tima w środku? Powinien przyjść za chwilę.

Gdy Puny otwierała drzwi z siatką, Barnaba warknął.

— Czy ten stary pies mnie nie ugryzie?

— Nie, jeśli nie będzie musiał — powiedziała Puny, chwytając Barnabę za obrozę. — Usiądź na tym krześle.

Chłopiec podbiegł do krzesła i siadając, oparł stopy na najwyższym szczeblu.

— Podobny do niego pies chciał mnie kiedyś pożreć.

— Sądząc po twoich spodniach, ten pies nawet by cię nie powąchał — powiedziała z przekonaniem Puny.

— Jak masz na imię?

— Puny.

— Dlaczego dali ci takie imię?

— Bo gdy się urodziłam, byłam bardzo słaba i chorowita.

— Jak ci się udało wyzdrowieć?

— Dzięki ciężkiej pracy, kochanie.

Puny zaczęła obierać ogromną stertę jabłek leżących w zlewie.

— A jak ty masz na imię?

— Dooley.

— Dooley? Nie masz prawdziwego imienia, jak na przykład Howard, Buddy, Jack czy coś w tym stylu?

— Dooley to jest prawdziwe imię! — odpowiedział z uczuciem chłopiec.

Puny wróciła do swojego zajęcia i w kuchni zapanowała cisza.

— Czy próbowałaś pomyj? — zapytał Dooley.

— Pomyj! A jakże, próbowałam wszystkiego, ale nic mi nie pomogło.

— Słyszałam, że jeśli zanurzy się twarz w krowim placku, to piegi znikną.

Puny spojrzała na niego, nadal obierając jabłko.

— Próbowałaś tego?

— Nie.

— Ja też nie, bo słyszałam, że trzeba czekać dłuższą chwilę, żeby zadziało.

— Czy mogę sobie wziąć jedno jabłko?

— Możesz, jeśli mnie poprosisz.

— Czy mogłabyś mi dać jedno jabłko? — zapytał Dooley. Szybko schował je do kieszeni spodni.

— Mój wujek powiedział mi, że moje piegi znikną, jeśli będę mył twarz tą samą myjką co stopy.

— Na twoim miejscu nie robiłabym tego. Poza tym uważam, że powinniśmy być zadowoleni z tego, co dał nam dobry Bóg. Ja już przestałam przejmować się swoimi piegami i jestem zdania, że ty też powinienesz przestać marnować swój czas.

Dooley przyglądał się swoim stopom, którymi machał teraz swobodnie w powietrzu, ponieważ Barnaba zasnął. W kuchni panowała cisza. Przez otwarte okna słychać było śpiew ptaków, a delikatna bryza poruszała firankami.

Dooley postanowił zjeść jabłko.

— O czym jeszcze chciałabyś porozmawiać?

— Ile masz lat?

— Jedenaście.

Puny energicznie obierała jabłka.

— Jestem zadowolona, że nie mam już jedenastu lat.

— Dlaczego?

— Nie lubiłam być dzieckiem. Ktoś zawsze mnie bił, ciągnął za włosy, gonił po domu, rzucał we mnie błotem. Nie chciałabym być w twoim wieku za żadne skarby świata.

— Jak będę miała dwanaście lat, to spiorę kogoś na kwaśne jabłko.

— Radzę ci nie wyrażać się tak w tym domu. Nie, mój drogi, to tutaj nie przejdzie.

Dooley zjadł jabłko.

— Kiedy przyjdzie ten ksiądz? Dziadek kazał mi się spieszyć.

— Kiedy przyjdzie, to przyjdzie. Na co choruje twoja mama? — Puny zaczęła kroić obrane jabłka w plasterki. Panującą w kuchni ciszę zakłócał jedynie odgłos wpadających do garnka kawałków owoców. — Co tak nagle zaniemówiłeś?

— Nie zamierzam ci o tym opowiadać.

— Dlaczego?

— Bo to nie twoja sprawa.

Puny obróciła się i spojrzała na chłopca. Jego twarz przybrała surowy wyraz, a on sam wyglądał na starszego, jak nieduży mężczyzna przycupnięty na wysokim krześle.

— Wobec tego posłuchaj mnie, chłopczyku. Nie myśl sobie, że możesz przychodzić do mojej kuchni z brudnymi nogami, a potem przeklinać i mnie obrażać. Kiedy tylko znajdziemy się na ganku, przetrzępię ci tyłek.

Dooley zsunął się z krzesła i ruszył w kierunku drzwi.

— Ty stara gruba wiedźmo!

Puny złapała go na werandzie.

— To teraz jestem wiedźmą? Wiesz, co robią wiedźmy z małymi, pyskującymi chłopcami? — Puny chwyciła Dooleya za szelki i pochyliła się nad jego twarzą. — Wrzucają ich do tego starego: ogromnego, wypełnionego wrzątkiem naczynia, które tam widzisz.

— Naprawdę?

— Oczywiście! — Puny wyszczerzyła groźnie zęby. — A potem...

— A potem co? — zapytał ojciec Tim, wchodząc na podwórko

— Miałam właśnie ugotować tego młodzieńca żywcem, a ojciec przyszedł i wszystko popsuł.

Gdy ojciec Tim, Dooley i Barnaba zjawili się przy bocznym wejściu do Lord's Chapel, Russell Jacks nie marnował czasu na zbędne grzeczności.

Z szacunkiem ściągnął z głowy kapelusz.

— Ktoś wyłamał zamki.

Ojciec Tim poczuł na ciele nieprzyjemne ciarki. Pełniąc obowiązki pastora w tej parafii, nie spotkał się dotychczas z żadnym aktem wandalizmu. Zdarzyło mu się znaleźć zaledwie jedną czy dwie puszki po piwie, które ktoś wrzucił za kościelne ogrodzenie.

— Sprawdziłem, ale nie wydaje mi się, żeby coś zostało zniszczone.

— Dooley, chciałbym cię poprosić, żebyś zrobił coś dla mnie i dotrzymał Barnabie towarzystwa. Usiądź tutaj na trawie, a ja przywiążę go za smycz do ławki. W ten sposób będziecie mogli bliżej się poznać.

Dooley spojrzał podejrzliwie na ogromnego czarnego psa, który przez całą drogę do kościoła usiłował oblizać mu twarz.

— Rób, co ci każe ojciec — powiedział Russell Jacks, przytrzymując drzwi, żeby pastor mógł wejść do środka.

Pastor poszedł do domu dziwnie zaniepokojony. W przeciągu godziny, którą spędził razem z Russellem, szukając jakichś śladów zniszczenia, niczego nie znalazł. Bezcenny arras był nie naruszony, niczego nie brakowało na ołtarzu, nie zauważył, żeby coś było przesunięte lub postawione w innym miejscu. Gdyby ktoś włamał się z zamiarem kradzieży pieniędzy, w którym miejscu szukałby ich? Emma zawsze zabierała składkę do domu i przynosiła ją do kancelarii w poniedziałek.

Sprawdził szuflady w zakrystii i w jednej z nich znalazł w kopercie osiemnaście dolarów i trzydzieści cztery centy. Mniej więcej taka kwota była im potrzebna, żeby kupić pastę do mosiądzu czy świece wotywne.

Po co ktoś zadawałby sobie trud, żeby włamać się do środka i niczego nawet nie tknąć? Za bardzo się tym wszystkim martwię, pomyślał pastor. Ktoś jedynie wyłamał zamek, to wszystko.

Mimo że nie uważał się za kogoś, kto zbyt często przejmuje się swoimi nastrojami, czuł się nie-swojo. Może powinien zadzwonić do Rodneya Underwooda, młodego szefa policji, i zapytać go o zdanie.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Siedząc z Barnabą na trawniku obok ławki, Dooley Barlowe znalazł przyjaciela.

Gdy pastor dotarł do domu, poszedł do kuchni w poszukiwaniu Puny. Nie znalazł jej, ale gdy wyrzwał na zewnątrz, zobaczył w ogrodzie niezwykłą konstrukcję. Puna znalazła w garażu starą ramę z siatką do drzwi, umyła ją gumowym wężem, zaczepiła na oparciach dwóch krzeseł i rozłożyła na niej plasterki jabłek.

— To nasza przenośna suszarka — powiedziała z dumą. — Gdy będę wychodzić, przeniesiemy ją do pokoju gościnnego. W słoneczne dni będziemy wynosić ją do ogrodu. Wiem, że to uciążliwe, ale to jest cena, jaką się płaci za ciepłe szarlotki zimą. Zrobiłam również dwanaście placków z jabłkami, z czego sześć już się piecze, a drugie sześć czeka na swoją kolejkę, i byłabym wdzięczna, gdyby ojciec kazał temu chłopcu umyć nogi.

Ojciec Tim sam nie mógł uwierzyć słowom, które wypowiedział:

— Puna, czy masz jakąś pracę w poniedziałki?

— Nie mam, a chciałabym coś znaleźć.

— No to właśnie znalazłaś!

W sobotę rano wybrał się do Oksfordzkich Antyków. W koszyku niósł szarlotkę.

— Czerwony Kapturek! — powiedział Andrew Gregory, wychodząc mu na spotkanie.

Ojciec Tim uniósł koszyk do góry.

— Szarlotka domowej roboty — oświadczył z dumą.

— Szarlotka i ser to najlepsze lekarstwa! — wykrzyknął Andrew, cytując dziewiętnastowiecznego poetę. — Cóż za wspaniały przysmak, przyjacielu. Dziękuję i zapraszam do środka. — Uradowany niczym dziecko wziął od pastora koszyk.

— A może uporamy się z tym ciastem od razu i będziesz mógł zabrać swój koszyk do domu?

Obaj zaśmiali się.

— Obawiam się, że tak czy owak nie będę mógł go zostawić, ponieważ zostało mi do rozdania jeszcze pięć szarlotek.

— Nie mam pojęcia, jak znajdujesz czas na to, żeby dostarczać swojej trzódce nie tylko stawy duchowej, ale i cielesnej.

— Andrew, Opatrzność zesłała mi najwspanialszą pomoc domową, jaką można sobie wymarzyć. Nazywa się Puny Bradshaw i nie dość, że wczoraj upiekła dwanaście szarlotek, to w zeszłym tygodniu zamarynowała czternaście kilogramów pomidorów.

— Niesamowite!

Mężczyźni usiedli na ławkach stojących naprzeciwko siebie, w wejściu do sklepu.

— To jeszcze nic! Odkryłem, że wujaszek Billy jest wspaniałym artystą. Nie ma formalnego wykształcenia, wychował się w górach, nigdy nie pobierał żadnych lekcji rysunku. Jest samoukiem, jak twierdzi. Mimo to rysuje niczym georgiański dżentelmen.

— Wielka sztuka zdaje się nie opuszczać cię ani na chwilę.

— Rysunki są u mnie w kancelarii i chciałbym zasięgnąć twojej opinii na ich temat. Może mógłbyś zaglądnąć do mnie w poniedziałek rano. Ja piję twoją kawę już od lat, czas, żebyś spróbował mojej.

— Z przyjemnością — powiedział Andrew. — Ale, proszę, zostań jeszcze chwilę. Chciałbym ci coś pokazać.

Andrew zniknął w głębi sklepu i wrócił po chwili z dwiema książkami.

— Spójrz tylko! — powiedział. — Pierwsze wydanie pierwszego tomu *History of the English-Speaking Peoples* Winstona Churchilla. Coś, o czym marzyłem już od dawna. — Andrew otworzył książkę na pierwszej stronie i zaczął czytać. — „Nasze dzieje toczą się na wyspie położonej bardzo blisko kontynentu europejskiego i tak przechylonej, że wszystkie jej góry leżą na zachodzie i północy, podczas gdy południe i wschód to lekko falujące obszary porośniętych lasami dolin, otwartych wydm i leniwych rzek. Bardzo łatwo dostać się tutaj obcemu, bez względu na to, czy przybywa we wrogich czy też pokojowych zamiarach, piratowi czy kupcowi, najeźdźcy czy misjonarzowi”. Och — westchnął Andrew, promieniejąc radością. — Coś wspaniałego! Zamierzam przeczytać wszystkie tomy ponownie. A teraz coś dla ciebie — powiedział z błyskiem w oku, podając pastorowi oprawiony w skórę jeden z pierwszych tomów poezji Wordswortha — coś bliskiego twojemu sercu.

Dotykając dłońmi lekko sfatygowanej skórzanej oprawy dzieła, pastor poczuł wzruszenie. Wydawało mu się, że książka należała do niego od zawsze i że w końcu wróciła do prawowitego właściciela.

Uśmiechając się, ojciec Tim zaczął przewracać delikatne strony, aż w końcu znalazł ulubiony fragment.

— Andrew, jeśli pozwolisz, ja również chciałbym przeczytać kilka linijek na głos.

W Mitford była sobota rano. Miasteczko tętniło życiem, ale wokół panował spokój oraz wewnętrzna harmonia nastrojów i serc. Dwaj mężczyźni siedzieli w otwartych drzwiach sklepu, jeden z nich czytał, a drugi słuchał, i obaj przez tę jedną chwilę byli szczęśliwi.

Miał rację. Chociaż panna Sadie hojnie obdarowała całą społeczność miasteczka koskami jabłek, nikt nie pomyślał, żeby zanieść jej w tym roku szarlotkę.

Po lunchu pastor wybrał się razem z Barnabą na przechadzkę stromą drogą do Fernbank. Mimo że upływ czasu odcisnął swoje piętno na starym, majestatycznym domu, był on nadal piękny. Wieńczył dumnie szczyt porośniętego paprociami wzgórza.

Panna Sadie otworzyła drzwi.

— Dostałam dwa litry soku z jabłek, kilogram masła jabłkowego i kilkanaście słoików marmolady — wyliczyła gospodyni. — To szarlotka jednak cieszy mnie najbardziej.

Panna Sadie namówiła pastora, by usiadł z nią na ganku i poczęstował się kawałkiem szarlotki i szklanką zimnego mleka.

— Ten stary dom i ogród niszczejają tak szybko, że nie nadążam z utrzymaniem ich w porządku. Luther wykonał bardzo dużo pracy w ogrodzie, jest jednak za stary, by kosić trawę i zbierać jabłka. To jak walka z żywiołem.

Panna Sadie westchnęła, co nie zdarzało się jej często.

— Potrzebuję kogoś młodego i silnego! Forsowny spacer pod górę dotlenił mózg pastora.

— Dooley Barlowe! — wykrzyknął.

— Jak to?

— Panno Sadie, znam chłopca, który idealnie nadawałby się do tego zajęcia. Ma jedenaście czy dwanaście lat, wydaje mi się, że jest dość duży, by pchać kosiarkę i przyciąć kilka krzewów, jeśli pokaże mu pani, jak się to robi. Czy mam się tym zająć?

— Tak, i niech ojciec nie marnuje ani chwili — odpowiedziała panna Sadie, promieniejąc z radości.

— Zajmę się tym w poniedziałek rano. Zmieniając temat. Czy ma pani jakieś preferencje odnośnie do usytuowania domu opieki? Muszę przyznać, że ja mam pewną propozycję.

— Ojciec — powiedziała poważnie panna Sadie — w grę wchodzi tylko jedno miejsce.

— A jakie?

— Na końcu drogi, w miejscu, gdzie stał stary kościół.

— Dokładnie tak myślałem!

— Wielkie umysły myślą tak samo! — oznajmiła panna Sadie klaszcząc w dłonie.

— Ten widok...

— Trudno wymarzyć sobie lepszy.

— Położenie...

— Wręcz idealne! — wykrzyknęła.

— A ponieważ suma pieniędzy, którą była pani łaskawa podarować, uwzględnia koszt ziemi...

— Oznacza to, że Kościół otrzyma zapłatę za ziemię i Lord's Chapel będzie miała nowy dach! Barnaba spojrział na dziwną parę, która zgodnie kołysała się i śmiała. Ziewnął szeroko.

— Muszę przyznać, że trochę jestem zmartwiony faktem, że pozbędzie się pani wszystkich pieniędzy ojca. Mam nadzieję, że... no cóż, ufam, że nie stawia się pani w zbyt trudnej sytuacji finansowej.

Panna Sadie spojrziała na pastora nieomal kokieteryjnie, przynajmniej takie odniósł wrażenie.

— Ojcie, podarowałam miasteczku jedynie pieniądze taty. Zostały mi jeszcze pieniądze mamy.

W poniedziałek rano Andrew Gregory wychodził właśnie z kancelarii, niosąc pod pachą gruby płaski pakunek, gdy w drzwiach pojawił się Russell Jacks.

— Ojcie — zaczął kościelny, zajmując miejsce na ławce dla interesantów — mój mały wnuk jeszcze nie może wrócić do mamy do domu, a tu już czas do szkoły. Nie chce do niej iść, bo to dla niego obce miejsce i tak dalej. Wiem, że prawo tego wymaga i powinien iść do szkoły, ale zupełnie nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Szkoła! No tak, oczywiście, już wkrótce rozpocznie się rok szkolny.

— Russellu, trzeba go będzie zapisać — powiedział pastor i pomyślał, że ponadto trzeba go będzie wyszorować od stóp do głów.

— To znaczy zaprowadzić go tam i tak dalej?

— Zgadza się. Musimy się dowiedzieć kiedy i jak. Wydaje mi się, że pierwszy dzień szkoły wypada gdzieś w następnym tygodniu.

Pastor podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do dyrektora szkoły, a następnie na policję.

— Czy dwie osoby mogą jechać skuterem do Wesley? — zapytał. Dodatkowy kask, zapisał w notesie, odkładając słuchawkę.

— Może ojciec jeszcze raz połączyć się z policją — powiedział Russell.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie zawiadomiliśmy ich jeszcze o włamaniu. Powinniśmy to zrobić, żeby policja mogła wciągnąć to do rejestru.

A tam, pomyślał ojciec Tim. Wiele hałasu o nic.

— Zajmę się tym, Russellu. A teraz skupmy się na zapisaniu Dooleya do szkoły.

O dziesiątej trzydzieści pastor wyszedł z kancelarii. Udało mu się wypożyczyć dodatkowy kask i razem z zachwyconym Dooleyem Barlowe'em wyruszył w drogę do Wesley. Jechali vespą, a chłopiec siedział za ojcem Timem.

O drugiej zatrzymali się przed tylnym wejściem do domu. W koszyku vespy znajdowała się duża plastikowa torba. Weszli po schodach i stanęli przed drzwiami z siatki, przyglądając się Puny, która wałkowała ciasto na zapiekankę z kurczakiem.

— Oto chłopiec, który potrzebuje gruntownej kąpieli — powiedział ojciec Tim — a tutaj są jego nowe ubrania.

Pastor otworzył drzwi, wpuścił Dooleya do środka i podał Puny torbę z zakupami.

— Nie umiem ci powiedzieć, co powinnaś zrobić, ale wiem, że zwracam się do właściwej osoby.

Wypowiedziawszy te słowa, pastor wyszedł pośpiesznie z kuchni, zostawiając Puny z torbą w ręce, sam na sam z Dooleyem Barlowe'em.

— Nalałam więc do wanny gorącej wody — Puny relacjonowała wykonaną pracę — dałam mu do ręki kostkę mydła i powiedziałam, żeby wszedł do środka i się namoczył. Zaczął wtedy mówić, że nie jestem jego mamą i nie mogę mu mówić, co ma robić, więc przemówiłam mu do rozumu.

Pastor pomyślał, że Puny wygląda na bardzo zadowoloną z siebie.

— A co dokładnie zrobiłaś, żeby przemówić mu do rozumu?

— A to już moja tajemnica, bez obrazy, oczywiście.

— Oczywiście.

— W czasie gdy Dooley się kąpał, wyprałam mu spodnie, a potem kazałam mu iść w nich do domu. Nie chciałam, żeby wystroił się w nowe ubrania, a potem rozlał coś na siebie albo pobrudził się gdzieś w trawie. Widziałam dom pana Jacksa i daleko mu do świątyni Taj Mahal.

— Świetnie.

— Na początku Dooleyowi bardzo się to nie podobało, ale uzgodniliśmy, że pan Jacks przyprowadzi go tutaj jutro rano, żeby chłopak mógł się przebrać w nowe rzeczy, i stąd zabierze go pastor do panny Sadie. Odcięłam metki, wyprasowałam wszystkie ubrania i jutro Dooley będzie mógł włożyć nowe dżinsy i tę zieloną koszulę w kratkę.

— Jesteś wspaniała — westchnął pastor z ulgą.

— Jestem wykończona, jeśli pastor pozwoli. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że zajmowanie się księdzem to najcięższa praca, jaką kiedykolwiek wykonywałam.

— Naprawdę?

— Może mi ojciec wierzyć na słowo — odparła.

— Panno Sadie, chciałbym przedstawić pani młodego Dooleya Barlowe'a! A co ty wtedy powiesz?

— Powiem: „Dzień dobry pani. Miło mi panią poznać”.

— Doskonale!

Świeciło słońce i chociaż Dooley chciał jechać skuterem, uzgodnili, że pójdą do Fernbank na piechotę.

Pastor nie mógł się nadziwić, jak bardzo nowe dżinsy, koszula w kratkę, świeże skarpetki i tenisówki odmieniły wygląd chłopca. Osobiście zmoczył mu włosy i przyciął kuchennymi nożycami odstające kosmyki.

Gdy dotarli do Fernbank, panna Sadie czekała na nich na ganku i pomachała im ręką na powitanie. Na wiklinowym stoliku stał dzbanek lemoniady i talerzyk z kruchymi ciasteczkami.

— Panno Sadie, chciałbym przedstawić pani młodego Barleya Doolowe'a!

— Pomylił pastor swoją kwestię — powiedział Dooley.

Przez kilka dni, które pozostały do rozpoczęcia szkoły, Dooley zarobił czterdzieści cztery dolary. Zgodnie z umową przyszedł do kancelarii opowiedzieć, co robił.

— Robiłem różne rzeczy.

— Ale co dokładnie?

— Wymiotłem popiół ze starego pieca i wysypałem pod azalie, skosiłem trawnik, dwa razy, myślałem, że się wykończę, i w dodatku trafiłem na gniazdo os.

— Aha.

— Dwie mnie ugryzły. Przyciąłem kilka krzewów i przewiozłem kilka rzeczy do pralni, a potem biegałem tam i z powrotem po schodach, nosząc książki na strych.

— Przycinałeś krzewy?

— Dziadek mnie nauczył.

— Co jeszcze robiłeś? — zapytał pastor ze szczerym zainteresowaniem.

— Zjadłem trochę zapiekanki z kurczakiem i wypilem trochę lemoniady, zjadłem kawałek ciasta i skorzystałem z jej toalety. Gałka od drzwi odpadła i musiałem wychodzić przez okno.

— Dobra robota!

Dooley wyciągnął pieniądze z kieszeni spodni i podał pastorowi, który odliczył czterdzieści dolarów i włożył je do pudełka na kartki do indeksu.

— To będzie na twój rower. Mówiłeś, że jaki kolor ci się podoba?

Pastor pamiętał doskonale.

— Czerwony, czerwony jak wóz strażacki!

— Doskonale.

Pastor wziął pozostałe cztery dolary i wyciągając rękę nad biurkiem, podał je Dooleyowi.

— To dla ciebie, zgodnie z umową. W następnym tygodniu dostaniesz kolejne cztery. Dzięki tej pracy po szkole u panny Sadie zarobisz na nowy rower szybciej, niżbyśmy się tego spodziewali.

Wszystko idzie zbyt gładko, pomyślał pastor, rozmyślając pewnego wrześniowego wieczoru w salonie. Z jakiegoś bliżej nie wyjaśnionego powodu czuł się tak, jakby nieszczęście wisiało w powietrzu.

— Ciesz się, że nigdy nie byłeś zakochany — oświadczyła Emma.

— Kto tak powiedział?

Emma przyjrzała się uważnie pastorowi sponad okularów.

— To znaczy, że byłeś?

— A to już moja tajemnica.

— Nie lubię, gdy zwracasz się do mnie w ten sposób.

Sama nie była pewna, czego chce bardziej — mówić o Haroldzie Newlandzie, czy też dowiedzieć się czegoś więcej o historii miłosnej pastora.

— Czy bardzo cierpiałeś?

— Czy bardzo cierpiałem?

— Może inaczej. Czy bardzo byłeś zakochany?

— Nie słuchasz mnie, Emmo. Wcale nie powiedziałem, że byłem zakochany.

— Powinnaś była wiedzieć, że wyprowadzisz mnie w pole. Harold chce, żebym poznała jego matkę.

— Wspaniale.

— Wspaniale? Czy byłbyś zadowolony, poznając czyjąś matkę, która jest starsza od ciebie tylko o pięć lat? Wolałabym nie żyć, wolałabym nie żyć.

— Emmo, nawet tak nie myśl. Już niedługo Dzień Sekretarki i zamierzam zaprosić cię na kolację do Wesley.

— Naprawdę? — rozchmurzyła się Emma.

— Pojedziemy moim skuterem.

— Kopnęłabym cię w kostkę, gdybyś nie był księdzem.

— Innym to nie przeszkadza — odparł.

Rozdział ósmy

ZŁOTE DNI

W czasie mszy o godzinie jedenastej pastor podniósł wzrok znad Ewangelii według świętego Mateusza, którą właśnie czytał, i znalazł żonę dla Hoppy'ego Harpera. Po lewej stronie kościoła siedziała jedna z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widział.

Myśl, która przysłała mu do głowy, była tak gwałtowna i porażająca, że nie miał wątpliwości, iż natchnienie przyszło z niebios. Nie zawierało jednak żadnych wskazówek co do dalszego działania.

Na podstawie własnych doświadczeń pastor skłonny był stwierdzić, że swatanie może być nie tylko ryzykowne, ale wręcz katastrofalne.

Jako kapłan kawaler, ojciec Tim przez całą swoją karierę spotykał ludzi, którzy chcieli znaleźć mu żonę. Niektóre parafie wyróżniały się swoim zdeterminowaniem w dążeniu tego celu, a parafia Lord's Chapel biła wszystkie inne na głowę.

Ledwie przyjechał do Mitford, a już trzech członków rady parafialnej „skrzyknęło się”, jak to określił, i zorganizowało herbatkę na jego cześć u pani Roberty Simpson, która miała w miasteczku domek letniskowy.

Roberta była tak niesamowicie bogata, że pastor nie potrafił nawet wyobrazić sobie wielkości jej majątku, na którego temat krążyło wiele plotek.

— Lepiej ją złap — ktoś miał odwagę powiedzieć. — Będziesz mógł sobie pozwolić na zrezygnowanie z pracy kaznodziei.

Po kilku spotkaniach, które były dla niego udręką i które organizowano bez jego wiedzy i przyzwolenia, Roberta wróciła na Florydę i poślubiła swojego maklera. Gdy ojciec Tim spotkał go podczas wakacji następnego lata, z trudem powstrzymał się od pocałowania mężczyzny w obydwie policzki, jak nakazuje europejski zwyczaj.

Potem przysłała kolej na kampanię Becky Nelson. Becky była drobną i czarującą wdową, która na okrągło grała w brydża i myślała, że Wordsworth to dom handlowy w Dallas. Pastor wolał sobie nie przypominać, jakim fiaskiem okazała się ich znajomość. Rozmowa z Becky Nelson była niczym rozmowa ze ścianą.

Jego kierujący się dobrymi intencjami parafianie potrzebowali dwóch lat, żeby w końcu uznać się za pokonanych. „Poddaję się” — usłyszał kiedyś pastor podczas kościelnej kolacji. Aby uczcić tę dobrą wiadomość, poczęstował się dodatkową porcją ciasta z karmelem.

Między innymi właśnie z tego powodu ojciec Tim nie chciał być kupidynem żadnej biednej, niczego nie podejrzewającej duszy, a szczególnie Hoppy'ego Harpera, który i bez tego miał dość zmarwień.

W poniedziałek twarz Emmy promieniała radością.

— Podziałało.

— Co podziałało?

— Twoja modlitwa o moje spotkanie z mamą Harolda.

— Nigdy mi nie mów, że tak ci mówiłem.

Emma usiadła za biurkiem i schowała do szuflady lunch.

— Dottie Newland jest cudowna. Bawiłyśmy się wspaniale. Wydaje mi się nawet, że Harold czuł się zaniedbany!

— Opowiedz mi wszystko.

— Pojechaliśmy do domu Dottie i Harold przyrządził steki na grillu. Dottie przygotowała sałatkę ziemniaczaną, pastę z jajek i herbatę, a ja przywiozłam ze sobą fasolkę szparagową i ciasto z bakaliami. Ja myłam, Harold wycierał, a Dottie układała naczynia. Zgadnij, co?

— Co takiego?

— Dottie jest starsza ode mnie o sześć lat, nie o pięć.

— To dobra wiadomość.

Emma otworzyła zamek szuflady, w której trzymała księgi rachunkowe.

— Zgadnij, co jeszcze?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Wydaje mi się, że znalazłam żonę dla Hoppy'ego Harpera.

— Niemożliwe!

— Czy widziałeś tę nową kobietę, która siedziała w niedzielę po lewej stronie kościoła?

— Nie wiem, być może.

— Czarne włosy, jasna karnacja, naprawdę ładna. Czerwony kostium, mały kapelusz, czarne pantofelki.

— Aha.

— Wdowa. Właśnie wprowadziła się do dawnego domku letniskowego swojej matki przy Lilac Road. Kiedyś przyjeżdżała tutaj jako dziecko. Wyszła za mąż za sławnego inżyniera, który budował mosty czy coś w tym rodzaju, bardzo bogatego. Lecił jednym z tych małych samolotów i zginął w katastrofie lotniczej. — Emma wyglądała na zdeterminowaną. — Zamierzam wymyślić jakiś sposób na to, żeby ich ze sobą poznać.

— Powiedz mi, jeśli ci się to uda — odparł przyjaźnie pastor.

Po południu Russell Jacks otworzył szeroko drzwi do kancelarii i wszedł do środka.

— Kazałem wnukowi użyźnić ziemię pod kwiatami odchodami nietoperzy — powiedział z wyraźną dumą. — Myślę, że zakwitną w tym roku po raz drugi.

— Czy coś cię trapi, Russellu?

— Cóż, ojciec, jutro zaczyna się szkoła, wie ojciec. I byłbym... — Russell odchrząknął. — Byłbym bardzo wdzięczny...

— Gdyby co?

— Gdyby ojciec poszedł z nim.

— To znaczy?

— Cóż, gdyby mógł ojciec podpisać niezbędne papiery i zaprowadzić go do szkoły i takie tam.

Russell sięgnął do kieszeni na przodzie ogrodniczek i wyciągnął pomięty banknot dziesięciodolarowy. Położył go na biurku pastora.

— A oto potrzebne pieniądze — powiedział, jak gdyby to załatwiało całą sprawę.

We wtorek pastor poszedł z Dooleym w górę Main Street, minął Wisteria Lane i skręcił w prawo do szkoły.

— Wolałbym nie żyć — powiedział smutno Dooley.

— Aha.

— Wolałbym leżeć w trumnie.

— Naprawdę?

— Wolałbym, żeby pełzały po mnie robaki.

— Zupełnie cię nie rozumiem. Ja zawsze lubiłem szkołę.

— To dlatego, że ksiądz był maminsynkiem.

— Raczej nie. Byłem dość twardym facetem.

— Oni będą chcieli się ze mną bić.

— Jacy oni?

— Ci bezmózgowcy, którzy mieszkają w pobliżu domu dziadka.

— Na twoim miejscu nie szedłbym do szkoły z takim nastawieniem. Jest większe prawdopodobieństwo, że oberwiesz, jeśli się tego spodziewasz.

— Chcieli mnie zabić, gdy tu przyjechałem, ale ja i dziadek przepędziliśmy ich. Jednemu z nich rozkwaśiłem nos i wtedy dali mi spokój.

— Prawdopodobnie już nie wrócą.

— Tak, ale będą czekać na okazję, żeby mnie sprać na kwaśne jabłko w szkole.

— Myślę, że ci chłopcy będą zajęci odnalezieniem się w tym miejscu. Nie będą myśleć o tobie.

— Ha! Nawet ojciec nie wie, jak podli potrafią być ludzie. Księża nie mają pojęcia o prawdziwym życiu.

— Mój przyjacielu, gdyby to było prawdą, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

Skręcili na drogę dojazdową prowadzącą do budynku szkoły z czerwonej cegły, otoczonego dębami, srebrnymi świerkami i klonami, których liście miały delikatny odcień purpury. Ubrane kolorowo dzieci z tornistrami stały na chodnikach po obydwu stronach drogi, rozmawiając.

— Jeśli ojciec nie ma nic przeciwko, to wolałbym dalej pójść sam. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że jest ojciec moim aniołem stróżem.

— Mogłoby ci to wyjść na dobre w sprawie, która akurat cię trapi.

Siedząc wieczorem tego dnia w salonie, pastor napisał list do ojca Rolanda, pracującego w dużej parafii w Nowym Orleanie.

„chciałbym, żebyś wiedział — stukał ojciec Tim wskazującymi palcami na maszynie — że ten leniwy żywot, który jak uporczywie twierdzisz wiodę, jest tylko i wyłącznie wytworem twojego osiemnastowiecznego romantyzmu, w przeciągu samych tylko dwóch dni przebiegłem dwanaście kilometrów, wykapałem wyjątkowo brudnego i dużego psa, udzieliłem porady kobiecie zakochanej w naszym listonoszu, umyłem dwa worki kapusty, rozpocząłem pracę nad zarysem kazania na najbliższą niedzielę, modliłem się z chorymi z naszego małego szpitala, spędziłem kilka wieczorów, czytając dla własnej przyjemności dzieła Wordswortha (co serdecznie ci polecam, przyjacielu), wziąłem udział w zebraniu rady parafialnej na temat budowy nowego domu opieki w miasteczku, osobiście zapisałem do szkoły ucznia piątej klasy, i podsypałem moje krzewy różane wiadrzem odchodów nietoperzy.

a teraz — zakończył pastor — bardzo cię proszę, napisz mi, co u ciebie”.

— Boże, litości! — zawołała w środę Puny. — Tutaj zawsze jest coś do ugotowania. W niektórych domach wystarczy tylko wysprzątać, człowiek czuje się tam jak na wakacjach. A tutaj... koszt tego, worek tamtego i jeszcze ociupinka czegoś innego.

— Myślałem, że lubisz gotować.

Ojciec Tim siedział przy kuchennej ladzie, jedząc kanapkę z pieczenią i popijając herbatę.

— Lubię gotować — odparła Puny, składając przed sobą ramiona w geście obrony. — Ale nie dla całej rosyjskiej armii.

— Aha.

— Poza tym w całym domu tak śmierdzi kapustą, że ledwo mogę wytrzymać.

— Następnym razem ja ugotuję kapustę, a ty wykąpiesz Barnabę. Co ty na to?

— Ten pies ojca wygląda jak jakaś padlina. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec poświęca się i kapie go, jeśli on zaraz potem wychodzi i na nowo brudzi się błotem.

— To tak samo, jak ze ścieleniem łóżka. Po co je słać, skoro wieczorem znowu położymy się do niego spać? Albo, na przykład, po co myć naczynia po lunchu, skoro i tak będziemy ich używać do kolacji?

— To nie to samo — hardo stwierdziła Puny, klękając na kolana i zabierając się do mycia podłogi. — A jak Dooley poradził sobie w pierwszym dniu szkoły?

— Podbite oko — powiedział pastor.

— Ojej! To przez te rude włosy. Razem z braćmi zawsze dokuczaliśmy rudowłosym. Czy Dooley oddał mu?

— Lewy sierpowy pod żebra i prawy w nos.

— Gorąca krew! — powiedziała z wyraźną satysfakcją Puny.

— Puny, ja wiem, że to nie moja sprawa, w jaki sposób wypełniasz tutaj swoje obowiązki, ale wolałbym, żebyś nie myła podłogi na kolanach.

— To jedyny sposób, żeby zrobić to właściwie. Moja mama myła podłogę na kolanach i jej mama myła podłogę na kolanach. — Puny odgarnęła wpadający jej do oka kosmyk włosów. — I ja też zamierzam myć podłogę na kolanach.

Mała Emma, myślał pastor, kończąc herbatę. Lekko zaróżowiona i wyraźnie zadowolona Puny spojrzała na ojca Tima.

— Czy dobrze mu przyłożył?

— Nie wypytywałem go o pikantne szczegóły. Puny przechyliła głowę na bok.

— Ależ, ojcze...

— No dobrze, niech ci będzie! — Pastor podszedł do zlewozmywaka i zaczął płukać szklanę, żeby Puny nie widziała, że śmieje się jak idiota. — Tak! Odpowiedź brzmi, tak, dobrze mu przyłożył.

— Upiekę mu ciasto! — obiecała Puny, myjąc wytarte płytki ze zdwojoną energią.

W drogerii pastor natknął się na Hoppy'ego Harpera, który kupował torebkę żelowych cukierków.

— Przedawkowuję je mniej więcej dwa razy w tygodniu — przyznał lekarz. — W pierwszej kolejności zjadam zielone.

Pastor westchnął, udając rozpacz.

— A mnie kazałeś zrezygnować z moich przyjemności. Nie jadłem Little Debbies od Wielkanocy.

— Twój problem — powiedział Hoppy — polega na tym, że Little Debbies były jedyną przyjemnością, na jaką sobie pozwalałeś.

Hoppy zapłacił i od razu otworzył torebkę, szukając zielonych cukierków.

— To kiedy wybierasz się na wakacje?

Pastor pomyślał, że zadając mu to pytanie tylko jeden raz, Hoppy Harper zadał mu je jednocześnie tysiąc razy. Nie napawał go dumą fakt, że nigdy nie potrafił planować własnego wypoczynku. Wyjazd do Cambridge był tego najlepszym dowodem.

Mimo że angielska pogoda nie była jak zwykle kapryśna, ale oferowała łagodne powietrze i cudowne słońce, ojciec Tim nie potrafił zapomnieć o obowiązku gromadzenia materiałów do swojej pracy i spędzał całe dni uwięziony w zatęchłych bibliotekach o żebrowych sklepieniach.

„Są na tym świecie konie wyścigowe — powiedział mu kiedyś biskup — i konie do pługa. Pośród duchownych jest miejsce i dla jednych, i dla drugich”.

Ojciec Tim nie próbował się oszukiwać. Uważał się za konia do pługa. Wytoczył swój kurs na początku pola, orał pas ziemi, a potem powtarzał tę samą czynność jeszcze raz i jeszcze raz.

Sam odnosił wrażenie, że coraz bardziej zamyka się w swojej skorupie, a jego lekarz miał absolutną rację, twierdząc, że brakuje mu w życiu czegoś, co przynajmniej byłoby zbliżone do radości.

Do Mitford zawitała jesień i migoczące promienie słońca zdobiły, jeden po drugim, wszystkie złote dni.

Nowe dzikie kwiaty pojawiały się przy drogach i na polach. Całe połacie łąk tonęły w kwiatkach nawłoci i płesznika. Dziki floks, który już dawno wyrwał się na wolność z wypielegnowanych ogródków, rozsiewał wszędzie cudowny zapach. Gdzieś tam tojeść wypuszczała grube kosmate pędy, w dotyku swą delikatnością przypominające jedwab.

Jedni byli zachwyceni nowymi rześkimi jesiennymi dniami i unoszącym się od czasu do czasu w powietrzu zapachem dymu z ogniska. Inni znowu niechętnie żegnali się z latem, twierdząc, że było to „najśodsze lato, o jakim można marzyć tylko w niebie” albo „najwspanialsze od wielu lat”.

Wszyscy jednak musieli pożegnać się z latem, gdy majestatyczny szpaler klonów na Lilac Road przyodział purpurowozłotą szatę. Korowód drzew zaczynał się przed oknami domu panny Rose, Porter Place, później ciągnął się wzdłuż Main Street, mijając pomnik ku czci ofiar drugiej wojny światowej, i dalej aż do ratusza, potem dumnie maszerował przed kościołkiem baptystów, wspinał się do góry, aż za malutki domek Winnie Ivey, i kończył bieg olśniewającym pokazem kolorów nad Little Mitford Creek.

Gdy zaczynało się to cudowne zjawisko, nawet ci, którzy najbardziej żalowali, że lato się skończyło (a wtedy można ich było już policzyć na palcach jednej ręki), poddawali się i z radością obserwowali wspaniałe dziwa przyrody towarzyszące nadejściu górskiej jesieni.

— To prawdziwy skarb — powiedział pastorowi Andrew Gregory. — Prymitywne, nie można zaprzeczyć, ale wykonane z ogromną wnikliwością i posiadające prawdziwą głębię. Mają w sobie coś ujmującego, a jednocześnie zadziwiają elegancją. Chciałbym ci pokazać, jak wyglądają w ramach.

— Wpadnę do ciebie około południa.

— Gdyby nie zachorował na artretyzm, kto wie, czego mógłby dokonać?

— I kto wie, co straciliśmy, gdy panna Rose podpaliła jego szkice w tuszu, ponieważ zjadł jej porcję marynaty?

Obydwaj mężczyźni pokiwali z żalem głowami.

— Obawiam się, że w naszej świetlicy parafialnej nie zmieści się zbyt wiele osób. Może powinniśmy urządzić pokaz w ratuszu?

— Grzyb wielu zniechęci — trafnie zauważył Andrew.

— Masz rację, oczywiście. No cóż, a co w takim razie powiesz na Oksfordzkie Antyki?

— Może rzeczywiście — powiedział z namysłem Andrew. — Może. Z małym poczęstunkiem w postaci grzanego wina z przyprawami korzennymi, gdzieś w październiku?

— Wspaniale!

— Oczywiście moglibyśmy sprzedać wszystkie obrazy bez ich wystawiania. Panna Sadie kocha sztukę, na pewno wzięłaby chociaż eden. I Esther Cunningham kupiłaby najprawdopodobniej co najmniej dwa, do powieszenia w ratuszu.

— Myślę, że podobnie Hoppy Harper.

— A twój przyjaciel weterynarz i jego żona?

— Jeden albo dwa, na pewno.

— Ja sam zostawię dla siebie kilka, z serii przedstawiającej góry.

— Ile jest tych rysunków? Nie mogę zapamiętać.

— Czterdzieści trzy, wykonane na przestrzeni piętnastu lub dwudziestu lat. Dość łatwo uporządkować je chronologicznie, jego wczesne dzieła wyglądają jak zasmucone gołębie. A jeden z pierwszych psów myśliwskich bardzo przypominał mi jelenia.

Zaśmiali się zgodnie. Bardzo cieszył ich fakt, że wujaszek Billy nie jest jedynie sympatycznym, cierpiącym na artretyzm biedakiem mieszkającym w miasteczku, ale utalentowanym artystą.

— Ja, oczywiście, wezmę jeden do salonu oraz jeden dla Waltera i Katherine jako prezent na Boże Narodzenie.

Twarz Andrew rozjaśniła się charakterystycznym uśmiechem.

— Siedząc tutaj, sprzedaliśmy już tyle!

Andrew wyciągnął małą czarną książeczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i coś w niej sprawdził.

— W takim razie... Co powiesz na sobotę, dwudziestego października, około godziny szesnastej? W Oksfordzkich Antykach! Będę po świeżej dostawie z Anglii. Powinienem też mieć wtedy całą skrzynię książek z posiadłości ziemskiej w hrabstwie Northamptonshire. Dowiedziałem się, że Beatrix Potter przebywała tam z wizytą jako dziecko i podczas swojego pobytu napisała całe dwa tomy opowieści o kretach.

Pastor zaśmiał się.

— Nawet bym nie pomyślał, że można napisać całe dwie książki o kretach! Chociaż, oczywiście, gdy kopią tunele pod moim trawnikiem za domem, sam mam mnóstwo do powiedzenia na ich temat.

Gdy Andrew podniósł się, żeby wyjść, pastor z uznaniem obejrzał idealny krój jego marynarki. Można było bez obaw stwierdzić, że spośród wszystkich mieszkańców Mitford Andrew Gregory posiada największą liczbę kaszmirowych marynarek tak idealnie dopasowanych do jego figury, że przy-

branie na wadze zaledwie jednego kilograma zmusiłoby go do wymiany całej garderoby. Dyscyplina! Tędy droga!, pomyślał pastor, zmartwiony, że ostatnio zaniedbał jogging. Stał przy drzwiach razem z sąsiadem z naprzeciwka.

— Mam nadzieję, że interesy w Oksfordzkich Antykach idą świetnie!

— Lepiej niż kiedykolwiek! I stała się dziwna rzecz. W czasie ostatniego weekendu sprzedałem pewnemu Anglikowi połowę angielskich monet! Gość zabiera je wszystkie do Ipswich! A jak twoje sprawy? — zapytał Andrew z błyskiem w niebieskich oczach.

— No cóż, raz lepiej, raz gorzej — odparł pastor, uśmiechając się.

Ojciec Tim siedział przy biurku w salonie, gdy zadzwonił telefon.

— Timie, mój drogi! — powiedział radosny głos. — Zgadza się, że Barnaba jest cudownym psem i wesołym kompanem, ale jak to się stało, że tak łatwo zastąpił dwoje starych przyjaciół?

— Marge! Myślę o tobie codziennie i zawsze modlę się za ciebie i Hala. Ale, oczywiście, wy tego nie możecie wiedzieć. Proszę, wybaczone mi.

— Wybaczyć ci, rzeczywiście! Twoją karą są szarlotki z jabłek „Baxter”, które, jak słyszałam, zamroziłeś w ilościach hurtowych.

Pastor roześmiał się razem ze swoją pierwszą przyjaciółką w Mitford.

— Hal będzie w mieście w piątek, żeby załatwić kilka spraw — powiedziała Marge. — Może przyjechałbyś z nim razem z Barnabą i został u nas na noc i większość soboty?

— Cóż, ja...

— Czy może przyjechać po ciebie około czwartej?

— Cóż... — powiedział ojciec Tim, myśląc o różach, które powinien przesadzić, i o angielskim bluszczu, który powinien wykopać i wsadzić do doniczek, i o plamach na dywanie, które zgodnie z obietnicą daną Puni powinien wywabić, i o kąpieli Barnaby, której nie powinien już dłużej odkładać, i o czasopiśmie i magazynach, które nagromadziły się na jego biurku, i o nowym kasku, który powinien zamówić, i o grządkach z bylinami, którymi powinien się zająć, i o listach, na które powinien odpowiedzieć.

Nagle jego wzrok spoczął na leżącym przy łokciu, otwartym Piśmie Świętym. „Nie gardź swoim i ojca przyjacielem...” — zaczął się werset z Księgi Przysłów.

— W porządku. Będę na niego czekał — obiecał.

Następnego ranka pastor przeszedł po aksamitnej zielonej kościelnej murawie i skręcił za rogiem, na wschodniej ścianie Lord's Chapel, poszukując Russella Jacksa. Tam znalazł starego kościelnego, który właśnie oliwił starą kosiarkę.

— Russell, jak się masz dzisiejszego ranka? Russell wstał wolno i ściągnął zniszczony kapełusz.

— Cóż, ojciec, nie ma spoczynku dla potępionych, a prawi go nie potrzebują.

— Mądre słowa!

— Już niedługo liście będą spadać z drzew tonami — oznajmił poważnie Russell, spoglądając na koronkowy sufit utkany z ramion dębu i klonu.

— Chciałbym cię o coś poprosić — powiedział ojciec Tim. — Jeśli nie masz nic przeciwko rozstaniu się ze swoim wnukiem, chciałbym wypożyczyć go w piątek po południu. Odstawiłbym go w sobotę przed zmierzchem.

— Będę bardzo wdzięczny!

— Jadę na farmę, na której jest cała masa krów, koni i psów. Są tam też drzewa, na które można się wspinać, więc pomyślałem, że mogłoby się tam spodobać Dooleyowi.

— Szczerze mówiąc, byłoby to dla mnie prawdziwym wybawieniem. Wykończył mnie już prawie całkowicie. Powiedzmy, że jest dość dorosły, by chcieć prowadzić, ale nie dość wysoki, żeby sięgnąć pedałów, jeśli rozumie ojciec, o co mi chodzi.

— Nie widać jakoś po tobie tego zmęczenia — stwierdził pastor, któremu spojrzenie starego mężczyzny wydało się jakby młodsze.

Ojciec Tim przyglądał się nawozowi, który Russell rozkładał pod rododendronami rosnącymi pod oknami. W miejscach, gdzie nawóz nie został jeszcze położony, pastor zauważył coś dziwnego.

— Russellu, to wygląda jak popiół. Czyżbyś specjalnie sypał popiół pod nawóz?

— Nie. Oczywiście, że nie.

Pastor nie był wyznawcą szkoły sypania popiołu pod każdy krzew w ogrodzie. Wyciągnął łopatkę z zielonego wiklinowego koszyka na narzędzia i odgarnął na bok kupkę popiołu przykrywającą korzenie rododendronu.

— Wygląda na to, że ktoś pozbył się tutaj popiołu z ogrodowego grilla.

— W dzisiejszych czasach ludzie są zdolni do wszystkiego.

— Gdybyś zauważył popiół jeszcze gdzieś w pobliżu, daj mi znać. Nie używaliśmy kominka już od kilku lat i nie wiem, skąd ten popiół mógł się tutaj wziąć.

Pastor podniósł się i wytarł ręce w świeżo wyprasowaną przez Puny chusteczkę.

— Cóż, Russellu, pielęgnuj nasze rośliny tak wspaniale jak do tej pory. To dzięki tobie nasz ogród stał się prawdziwą atrakcją turystyczną i chciałbym, żebyś wiedział, że wszyscy to doceniamy.

Russell przyłożył kapelusz do piersi.

— Czy zgłosił już pastor na policję ten wyłamany zamek?

— Muszę powiedzieć ci prawdę... Nie zgłosiłem.

Pastor domyślał się, że według Russella zwłoka w poinformowaniu o tym zdarzeniu policji zachęci kogoś do ponownego włamania.

— Odpocznij trochę, gdy Dooley pojedzie ze mną na farmę.

— Zamierzam ugotować sobie warzywa i usmażyć ładną sztukę mięsa! Tak, to właśnie zamierzam zrobić! — powiedział Russell z zapałem. — Mam już dość chleba z masłem orzechowym i marmoladą.

Gdy w piątek pastor przyszedł do domu na lunch, Puny prasowała koszulę i spodnie na szelkach, które Dooley zostawił, idąc na spotkanie z panną Sadie.

— Idealny strój na farmę! — ocenił z zadowoleniem pastor. — Żałuję, że z nami nie jedziesz, Puny.

— Nie lubię farm — odpowiedziała z niezwykłą stanowczością. — Cały czas trzeba uważać, żeby w coś nie wdepnąć.

— Jestem pewien, że spodobałoby ci się w Meadowgate.

— Praca, wokół której kręci się cały dzień. I ani chwili odpoczynku! Nie pojedziesz ani do Asheville, ani nad Lake Lure, ani nigdzie indziej, zawsze musisz myśleć o zwierzętach. Te kobiety mieszkające na farmach, które widziałam, wyglądają w moim wieku jak swoje własne babcie. Nic dziwnego, że wszystkie uciekają do pracy w fabryce konserw, mimo że wracają potem do domu, pachnąc jak kiszona kapusta.

— Nie musisz od razu głosić mi kazania.

Puny oparła ręce na biodrach i przyglądała się pastorowi przez chwilę.

— Będę szorowała podłogi, myła szuflady, przywiązywała pomidory i karmiła psa, ale nie zamierzam czyścić ojca brudnych butów po powrocie z wycieczki na farmę.

— Masz moje słowo. Nie jadę tam po to, żeby od razu wskoczyć w stertę gnoju. Jadę tam, żeby wybrać się na spacer po lesie, poczytać nową książkę i pomóc dzisiaj wieczorem w przygotowaniu kolacji. Powiedz mi, co w tym złego?

— I nie zamierzam kapać Dooleya Barlowe'a, jeśli przyjedzie wybrudzony wszystkim, co można znaleźć na farmie.

Mała Emma, pomyślał pastor.

— Zgoda — odpowiedział.

Gdy zbliżali się do bramy wjazdowej na farmę, mieszkające na niej psy wybiegły na powitanie czerwonego samochodu.

— A oto, i moja trzódka! — zawołał Hal, przekrzykując psy. — Otwórz drzwi, Timie!

Ojciec Tim otworzył drzwi samochodu i Barnaba wyskoczył na zewnątrz, żeby przywitać Buckwheata, Bowsera, Baudelaire'a, Bodaciousa i Bonemeala.

— Tylko mnie tam nie wyrzucajcie! — wrzasnął Dooley, zakrywając uszy dłońmi.

— Wyrzucmy go tam! — krzyknął Hal, chwytając Dooleya za ramię.

— Nie, nie, te stare psy mnie zjedzą! Nie wyrzucajcie mnie tam!

— No dobrze — powiedział ojciec Tim, śmiejąc się. — Wyrzucimy cię dopiero, gdy dojedziemy do stodoły!

Gdy pick-up przejeżdżał obok stajni, Dooley zobaczył gniadą klacz, która stała z głową przewieszoną przez drzwi boksu i spoglądała tęsknie przed siebie.

— Teraz mnie wyrzućcie! — zawołał Dooley oczarowany pierwszym spojrzeniem na Goose-down Owen.

Gdyby ojciec Tim miał wyliczyć swoje ulubione zajęcia, to „siedzenie w kuchni w Meadowgate” znalazłoby się na pewno w pierwszej piątce. Tego wieczoru natomiast umieściłby je z pewnością na samym początku.

Na palenisku płonął nieduży ogień ogrzewający wyziębiony Jesiennym chłodem dom. Taka pogoda zapowiadała pojawienie się runkiem nad polami gęstej mgły.

Na czarnym piecu gotował się na małym ogniu garnek klusek, u na sosnowym stole i parapetach stały flakony pełne polnych kwiatów.

Dzisiaj wieczorem jednak trzeba było zapomnieć o leniuchowaniu w kuchni w Meadowgate. Dooley wyciągnął pastora do stajni, powtarzając przez całą drogę:

— Chcę się przejechać na tym koniu, muszę się przejechać na tym koniu.

— Dooley, czy jeździłeś już kiedyś konno?

— Nie, ale wiem, jak to się robi.

— Jak?

— Podprowadza się konia pod dom, staje na najwyższym stopniu schodów i normalnie skacze się na niego i jedzie.

— A co z siodłem?

— Nie potrzebuję siodła.

— Na pewno?

— Myślałem o tym setki razy. Uda się.

Pastorowi wydawało się przez chwilę, że włosy Dooleya zrobiły się bardziej rude, oczy bardziej niebieskie, a na jego twarzy przysłoniętej daszkiem nowej baseballowej czapki pojawiło się jeszcze więcej piegów.

Zza rogu stajni wyszedł Hal, który wracał ze swojego biura, niosąc torbę lekarską.

— W końcu ją uporządkowałem — zakomunikował. — Zaniosę ją tylko do samochodu i zaraz do was wracam.

— Chciałbym się przejechać na tym koniu — powiedział Dooley, idąc za weterynarzem.

— Myślę, że to się da zrobić. Czy jeździłeś już kiedyś konno?

— Nie. Ale tyle razy robiłem to w myślach, że już wiem, jak się do tego zabrać.

— Prawdę powiedziawszy, właśnie w ten sposób sam nauczyłem się jeździć. Goosedown ma temperament, ale myślę, że cię nie zrzuci. — Hal włożył torbę przez otwarte okno do samochodu i postawił ją na przednim siedzeniu. — Oczywiście, nie ma na to żadnej gwarancji.

— Poradzę sobie — zapewnił Dooley, naciągając kciukami szelki spodni.

Za pierwszym razem, gdy Hal oprowadzał Dooleya na Goosedown Owen po podwórku przed stajnią, twarz chłopca zrobiła się biała jak ściana.

— Trzymaj się mocno! — powiedział Hal.

Za drugim razem twarz Dooleya nabrała kolorów.

— Wydaje mi się, że wszystko w porządku — rzucił Hal.

Za trzecim razem Hal biegł, trzymając konia za uzdę, a rozradowany Dooley podskakiwał na jego grzbiecie.

— Proszę ją puścić! — krzyknął.

Hal posłuchał go.

Goosedown Owen pogalopowała w kierunku zagrody dla świń, zatrzymała się gwałtownie przed furtką i zrzuciła jeźdźca wprost do koryta ze świeżymi pomyjami. Niewielką pociechą okazał się fakt, że były to jedynie obierzyny z jabłek, skwaszona owsianka, skórki pomarańczy, liście kapusty, kwitnące ziemniaki i stara zupa.

— Pomyje! — zabełkotał Dooley, wydostając się z koryta i wpadając w błoto. — Miałbym ochotę zabić tego konia!

Goosedown Owen pobiegła truchtem z powrotem do stajni i już bezpieczna w swoim boksie przyglądała się spokojnie całej scenie.

— Jeszcze się na tobie przejadę, ty uparta, stara szkapo!

Ojciec Tim wolno podszedł do Dooleya, który przeskakiwał przez furtkę zagrody dla świń.

— Czy wiesz przypadkiem, co stałoby się, gdyby zobaczyła cię teraz Puny Bradshaw?

Dooley odgarnął wpadające mu do oczu włosy ubrudzonym do łokcia ramieniem.

— Wiem, już bym nie żył.

Kolacja w Meadowgate zawsze była wspaniałym przeżyciem i ten wieczór nie był wyjątkiem. Marge upiekła smakowitą kurę nadziewaną kielbasą, tartą bułką, skórką pomarańczy i cebulą z własnego ogrodu. Do dania podała nasączone koniakiem owoce i misę tak wspaniałych klusek, że pastor uznał, iż przepis na ich wykonanie musi się znaleźć wśród wspaniałości prezentowanych na dorocznym targu.

Kiedy panowie zajmowali się brudnymi naczyniami, na niebie pojawił się księżyc w trzeciej kwarcie, widoczny przez wychodzące na łąkę okna domu.

Dooley siedział na podłodze w towarzystwie kilku psów. Bodacious i Bonemeal gryźli długie jak gipsowe stiuki paski nie wyprawionej skóry. Barnaba spał obok paleniska, na którym płonął nie-

wielki ogień. Baudelaire zwinął się w kłębek na pokrytej perkalem sofie i wyglądał żałośnie. Buckwheat usiłował złapać swój ogon i szczełał, a zadowolony Bowser siedział na kolanach Dooleya i lizał mu twarz.

Marge usiadła w bujanym fotelu swojego ojca.

— Psy! — powiedziała z udawaną pogardą. — Pierwsze słowa dziecka będą brzmiały: „Hau, hau”.

— Czy będziesz miała ochotę przyjechać na mały wernisaż sztuki dwudziestego? — zapytał pastor. — Andrew Gregory przygotowuje na tę okazję czterdzieści oprawionych w ramki rysunków wujaszka Billy'ego.

Marge położyła rękę na swoim dużym już brzuchu.

— Nie bardzo mam ochotę na cokolwiek, drogi Timie.

— Jeśli będzie się dobrze czuła, to przyjedziemy — podjął decyzję Hal. — Jak my wszyscy, ma swoje dobre i złe dni.

— Dobrze wiem, jak to jest — powiedział pastor w chwili, gdy zadzwonił telefon.

Hal sięgnął do dużej drewnianej miski do wyrabiania chleba, w której znajdowały się cukinie, i wyciągnął z niej telefon bezprzewodowy.

— Proszę? Meadowgate.

Słuchał z powagą, trzymając słuchawkę telefonu odsuniętą od ucha. Mimo że w kuchni hałasowały psy, słysząc było, jak dzwoniąca osoba krzyczy:

— ...i niech się pan pospieszy, bo nie wiem, od jak dawna tak się męczy, rycząc jak oszalała, a ja nie mogę wyjść z domu, bo mam zapalenie płuc i leżę w łóżku.

Następnie w słuchawce rozległ się rozdzierający kaszel, po którym nastąpiło kilka wybuchowych chrząknięć i szereg innych nietypowych dźwięków, towarzyszących zazwyczaj chorobom oskrzeli. Wszystkie psy w kuchni ucichły i wpatrywały się w słuchawkę telefonu, którą Hal trzymał teraz nad głową.

— Gdzie ona jest? W stajni? — krzyknął Hal.

— W stajni, przywiązana do żłobu. Wydaje mi się, że jest z nią naprawdę źle. Kopie w ścianę, żeby przerwać ogrodzenie, a jeśli po stracie pana Cooleya stracę jeszcze ją, to już mnie nie zobaczycie. To będzie gwóźdź do mojej trumny.

— Niech się pani trzyma, panno Rebo, będę u pani za dwadzieścia minut.

— Powiedz jej, żeby się napiła gorącej herbaty z miodem, na litość boską!

— Moja żona mówi, że powinna się pani napić gorącej herbaty z miodem! — poradził Hal.

W odpowiedzi uszu zgromadzonych dobiegł popis kaszlu takiej mocy i tak długi, że przez chwilę siedzieli zupełnie osłupiali. W końcu Hal oprzytomniał i odłożył słuchawkę.

— Reba Cooley — obwieścił, jak gdyby to wszystko tłumaczyło.

— A niech to! — rzuciła Marge, a Hal nie tracąc ani chwili, wyszedł z kuchni na korytarz i ściągnął z wieszaka kurtkę.

— Podoba mi się ten stary pies — powiedział Dooley, całkowicie pochłonięty odwzajemnianiem czulego przywiązania, jakie okazywał mu Bowser.

Ojciec Tim wytarł ręce.

— Chciałbym z tobą pojechać.

— Masz to załatwione, przyjacielu. Weź tę kurtkę, noc będzie zimna.

Hal pocałował żonę, zmierzwił włosy Dooleya i już go nie było. Razem z pastorem zniknęli w świetle księżyca, który kładł się platynową poświatą na trawniku farmy Meadowgate.

Hal przejechał kilka kilometrów oświetloną przez księżyc szosą, potem skręcił i zaczął pokonywać ciąg wąskich dróg opasujących strome zbocze góry.

— Żebyś wiedział, jak się jeździ tymi drogami, gdy nie świeci księżyc — powiedział Hal. — Człowiek oddałby wszystko za kawałek tytoniu do żucia.

W miarę jak wspinali się coraz wyżej, temperatura spadała.

— Nie zdziwisz się, jeśli ci powiem, że cała ta sprawa domu opieki przeraża mnie — wyznał pastor, naciągając na siebie pachnącą koniem kurtkę z futrzaną podpinką. — Pięć milionów dolarów! Czasami ogrom tego przedsięwzięcia mnie przytłacza. Jak na realizację w takiej małej parafii, jest to ogromny projekt.

— To tak jak to fiasko z Vermeerem. Jak wiesz, modliłem się o to, żeby nie okazał się cennym obrazem, bo wtedy poróżniłby nas wszystkich. Oczywiście nie twierdzę, że nie potrafilibyśmy się po tym pozbierać, obawiałem się jednak... samej siły wstrząsu. Mała parafia to bardzo delikatny ekosystem.

— Zgadzam się.

— Już wkrótce wybierzemy komitet budowlany. Nie wyobrażasz sobie, jakich historii się nasłuchałem o komitetach budowlanych.

Hal mocniej zacisnął na kierownicy lewą dłoń. Dobrze wiedział, do czego zmierza jego pastor. Dotknął ręką kieszeni, próbując namacać fajkę, którą zawsze trzymał w tej właśnie kurtce, napelnioną i gotową do zabrania na każdą nagłą wizytę.

— Oczywiście w skład komitetu wejdę ja — kontynuował ojciec Tim — i spodziewam się, że zaprosimy też Rona Malcolma...

— Przedsiębiorca budowlany na emeryturze — powiedział Hal. — Odpowiedni człowiek.

— Pannę Sadie, bez wątplenia. Jeba Reynoldsa. — Pastor zamilkł na chwilę, aż w końcu odważył się. — Wiesz dobrze, że potrzebuję cię w tym Komitecie, mimo że Marge pozostał już tylko miesiąc do wydarzenia, które odmieni zarówno jej, jak i twoje życie.

Właśnie wtedy ciężarówka pokonała ostatni zakręt i w świetle jej reflektorów ukazał się nieduży dom i stodoła, zbieranina przeróżnych komórek i klatek dla kurczaków, ogromne szpule drutu, cała flota rdzewiejących traktorów i pługów konnych oraz trzy ujadające wiejskie psy stojące w rzędzie pod bocznymi drzwiami wejściowymi do domu.

Światło na ganku rozbłysło z taką mocą, że pastor zasłonił oczy. Wtedy, jakby za sprawą huraganowego wiatru, z trzaskiem otwarły się na całą szerokość drzwi. Zza nich wyrzała Reba Cooley.

— Jesteśmy — zawołał Hal — jedziemy prosto pod stodołę. Potrzebne mi będzie wiadro gorącej wody. Przyślę po nie ojca.

Pastor pochylił się do przodu i uniósł do góry rękę. Stwierdzenie, że Reba Cooley wygląda niesamowicie, można by uznać za daleko posuniętą powściągliwość. Według niego przypominała ogromny głaz w szydełkowym szlafroku, który ktoś przytoczył pod drzwi. Miała krótkie włosy, obcięte po męsku, i dlatego, jak potem opowiadał, przysięgłby, że to pan Cooley, gdyby nie dowiedział się później, że biedak spoczywa od jakiegoś czasu w grobie wykopanym za kurnikiem w ogrodzie.

W stajni panował chłód i wilgoć, więc pastor był zadowolony, że Hal pożyczył mu kurtkę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał ryk krowy, ale zapachy i dźwięki wskrzesiły nagle w jego pamięci obraz spędzonego w Missisipi dzieciństwa.

Jego ojciec był prawnikiem w małym miasteczku, w którym mieszkali — Holly Springs. Ich farmę dzieliła od biura ojca odległość zaledwie kilku kilometrów. W odróżnieniu od innych rodzin zgłębiających nowoczesne techniki uprawy roli, oni nigdy nie hodowali dużych zwierząt. Mieli jednak kilkadziesiąt królików i ogromne stado kasztanowych liliputów.

Pamiętał, jak zapytał, dlaczego na ich farmie wszystko musi być małe, i jaki wielki ból sprawiła mu kategoryczna odpowiedź ojca:

— Nie jesteśmy farmerami.

Mimo usilnych próśb mamy, tato nie zmienił swojej decyzji.

Pamiętał Harolda Johnsona, wysokiego, mocno zbudowanego chłopca, który przez trzy lata z rzędu powtarzał siódmą klasę i któremu zazdrościł jego rolniczej wiedzy.

— Nasza krowa ocieliła się wczoraj — opowiadał na przykład z dumą Harold. — Urodziła dużego cielaka.

Pamiętał też Raymonda Lereaux, który wystawiał konie i zdobywał niebieskie wstążki, które przynosił potem do szkoły na „zgaduj-zgadulę”. Dopiero po dłuższym czasie zainteresował się czymś tak małym jak króliki. Gdy jednak już się to stało, hodowla pochłonęła go zupełnie. Nic też dziwnego, że zdecydował się na olbrzymy belgijskie.

Kruczoczarna Jessica Raney, która nosiła haftowane fartuszki i mieszkała na farmie mlecznej, nie mogła wyjść z podziwu, gdy zaczął zdobywać wstążki za swoje lśniące pokazowe króliki. W roku, w którym straszna choroba zgładziła całe jego stado, przysłała mu bilecik, w którym napisała, jak bar-

dzo jest jej przykro. Tylko tyle, nic więcej. Schował go w szufladzie ze skarpetkami i trzymał go tam przez dłuższy czas.

Śmierć stada i widok królików leżących sztywno w klatkach nie podziałały dobrze na ojca.

— Nigdy więcej — rzucił surowo, idąc pospiesznie od klatek do samochodu. Syn pobiegł za ojcem z cierpkim smakiem w ustach i ciężkim jak kamień sercem. — Zaczekaj! — krzyczał do taty, który wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie ani razu.

Nigdy nie zapomniał, jaka rozpacz go wtedy ogarnęła, jak gdyby razem ze stadem umarła też jakaś część jego samego. Najbardziej przykrym widokiem były ich nogi sterczące sztywno do góry — upokarzająca utrata godności u stworzeń, które uważał za ułożone i mądre.

Hal Owen przyjrzał się uważnie pacjentce, następnie wyłożył prawie całą zawartość swojej torby lekarskiej. Środki znieczulające, strzykawka, wazelina, rękawiczki, łańcuchy do nóg, haczyki i ręczniki. Ojciec Tim ostrożnie położył na półce kleszcze do wyciągania cielęcia, które przyniósł z samochodu. Krowa ryczała niemiłosiernie.

— Tim, mógłbyś teraz pójść po wodę do domu, a ja zobaczę, jak się mają sprawy. Poród może nastąpić już za chwilę. Woda niech będzie gorąca, robi się zimno jak diabli. I przynieś całe wiadro.

Pastor zapiął kurtkę i pośpieszył w kierunku domu, gdzie powitało go trio ujadających psów. Skakały na jego pierś i nogi, szczekając histerycznie, a ojciec Tim nie zdziwił się zbytnio, gdy okazało się, że cytowanie Pisma Świętego w żaden sposób nie łagodzi ich agresji.

Zapukał do zewnętrznych drzwi i czekał.

Gdy Reba Cooley otworzyła je z impetem, nie mógł nie zauważyć, że pod szlafrokiem ma na sobie robocze spodnie.

— Ojcie — powiedziała. — Mam dla ojca zadanie. W kuchni wręczyła mu latarkę i wiadro ciepłej wody.

— Nie udało mi się sprowadzić żadnego prawdziwego księdza, żeby pomodlił się za duszę pana Cooleya — wyjaśniła Reba, po czym zakaszła tak mocno, że trochę wody wychlapało się na buty pastora. — Znalazłam jedynie kleryka, zaledwie dwudziestoletniego. — Reba sięgnęła do kieszeni spodni. — Proszę, to dla pastora, żeby pastor poszedł tam i zrobił to, jak należy. Wie pastor, że poszłabym razem z pastorem, ale jestem chora.

Pastor położył pieniądze na stole, gdy wychodził razem z Rebą na ganek. Srebrzysty księżyc, który oświetlał ścieżkę w Meadowgate, nie świecił nad gospodarstwem pani Cooley.

— Dokładnie w tym miejscu — powiedziała Reba, pokazując palcem czarną czeluść. — Musi pastor obejść ten zwój drutu, dojść do traktora, potem skrócić w lewo przy kurniku i wejdzie pastor prosto na jego grób.

Cóż za precyzja, pomyślał pastor, próbując latarkę. Świeciła słabo.

— To mały rodzinny cmentarz, kilkanaście grobów. Ziemia na grobie pana Cooleya jest świeża. Na pewno pastor rozpozna — dodała Reba, która znowu dostała kolejnego ataku kaszlu.

Udało mu się dojść do zwoju drutu. Postawił przy nim wiadro, żeby zabrać je w drodze powrotnej, gdy wypełni już swoją misję. Psy znudziły się jego towarzystwem i pobiegły dalej.

Oświetlając drogę latarką, pastor okrążył ogromny zwój rdzewiejącego drutu. To zajmie tylko chwilę. Najlepiej będzie, jak się upora z tym od razu, a potem pójdzie do stajni, asystować Halowi.

— Aha! — powiedział, gdy księżyc zaczął się wyłaniać zza ołowianych chmur, pewien, że za chwilę ujrzy to, czego szuka.

W niesamowitym platynowym świetle księżycy pastor rzeczywiście zobaczył cmentarz, aczkolwiek nie rodzinny. Na ile mógł ocenić, stały tam trzy zardzewiałe chevrolety, pontiac z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku bez dachu, dodge pick-up na cegłach i kilka studebakerów wypełnionych sianem.

— Panie — powiedział żarliwie pastor — nie mam pojęcia, gdzie znajduje się grób tego człowieka, a jest zbyt ciemno, żeby potykać się tutaj i go szukać. Nie muszę przecież stać nad mogiłą, żeby pomodlić się za duszę spoczywającej w niej osoby. Wysłuchaj wobec tego mojej modlitwy.

Ojciec Tim pochylił głowę i odmówił modlitwę za tych, którzy odeszli.

Potem sam oddalił się z pośpiechem i na nieszczęście potknął się o wiadro, które postawił obok traktora. Cała zawartość wiadra znalazła się na trawie.

— Lewa noga jest zagięta do tyłu — stwierdził Hal. — Na litość, gdzie ty się podziewałeś?

— Byłem na pogrzebie — odpowiedział ojciec Tim, stawiając napełnione ponownie wodą wiadro na podłodze.

— Umyłem ją pod kranem, który znalazłem na zewnątrz. Czeka nas dużo pracy.

Było już po drugiej nad ranem, gdy wyruszyli do domu, włączając na maksimum ogrzewanie w samochodzie. Księżyc w ogromnym tempie to chował się, to znów wyłaniał spoza chmur, ukazując nagle w swym blasku bezkresne łąki, wysokie łańcuchy gór i krowy śpiące pod drzewami na pastwiskach.

Hal był wyczerpany, ale szczęśliwy.

— Widziałeś, jak odwróciłem cielę, żeby leżało przodem do krowy? Gdy matka polize swoje dziecko, to już go nie zostawi.

— Dzisiejsza wyprawa dostarczyła mi tematów na kilka dobrych kazań.

— Mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt dużym wysiłkiem. Gdy poprosiłem cię, żebyś ściągnął tkankę łóżyskową z cielęcia, zrobiłeś się biały jak ściana.

— Wybacz, że się nie zgodzę. Wtedy byłem zaledwie biały. Biały jak ściana zrobiłem się dopiero, gdy poprosiłeś mnie, żebym pomógł ci użyć kleszczy do wyciągania cielęcia.

— O, tak! Spisałeś się bardzo dobrze.

— Powiedzmy, że nie chciałbym się zamienić z tobą pracą.

— Ja też nie, przyjacielu. Wolę codziennie oglądać krowie zady, niż męczyć się z krowami w prawdziwym życiu.

— Harry'emu Nelsonowi zaproponowano pracę w Birmingham — rzucił niejako informacyjnie ojciec Tim, który czekał z tą *piece de resistance* na odpowiedni moment.

Kilka następnych kilometrów mężczyźni pokonali w milczeniu.

— W porządku — odpowiedział w końcu Hal. — Zamierzam pomodlić się w tej sprawie i chcę porozmawiać na ten temat z Marge. Dam ci odpowiedź w następnym tygodniu. A teraz odczep się dobrze?

Właśnie kiedy pastorowi zaczynało się robić ciepło na sercu, poczuł pewien chłód w stopach. Dopiero jednak w pełnym świetle z ganku jego oczom ukazał się widok, który przeraziłby Puny Bradshaw. Jego buty i skarpety oraz mankiety spodni całe pokryte były krowim łajnem.

— Boże, miej litość! — westchnął pastor, posługując się zapewne miejscową gwarą, ale używając jednocześnie tych słów w ich dosłownym znaczeniu.

Pastor siedział na schodach za domem i czyścił buty. Na stopniu obok niego stała filiżanka kawy. Jak większość poranków tej wyjątkowej jesieni, dzisiejszy był wprost cudowny.

Twą czułą troskę, któryż język opisze?

Ona jest podmuchem wiatru i słońcem w zenicie!

Tak śpiewał beztróska pastor. Jeżeli istniało na tym świecie miejsce, w którym mógł zaśpiewać na cały głos swoją ulubioną pieśń, to były to właśnie te schody za domem, skąpiane w promieniach słońca.

Za plecami pastora trzasnęły drzwi.

— Chcę się przejechać na tym koniu — stwierdził Dooley, siadając obok pastora.

— Mógłbyś zacząć od powiedzenia: „dzień dobry”.

— Dzień dobry, chcę się przejechać na tym koniu.

— Czy wiesz, że na tej farmie są krowy? I kurczaki? Że można tu grać w krykieta i bawić się w rzucanie podków? Że jest tu altanka opleciona winoroślą i jabłonie? Jeśli sobie dobrze przypominam, jest tu nawet mały drewniany domek, w dole nad strumykiem, wybudowany dla kogoś, kto miał kiedyś tyle lat co ty. Czy chciałbyś to wszystko zobaczyć, gdy skończę czyścić buty?

— Chciałbym, jak tylko się przejadę na tym koniu.

— Dooley, jesteś człowiekiem, który potrafi uparcie dążyć do wyznaczonego celu. Dzięki tej cesze, jeśli tylko ktoś tobą dobrze pokieruje, możesz zajść bardzo daleko.

— Na śniadanie będą naleśniki.

— Wspaniale. Kto ci czesał włosy?

— Nikt.

— Tak właśnie myślałem. Co zrobiłeś z ubraniami, w których wpadłeś w pomyje?

— Włożyłem je do papierowej torby i zaniósłem do samochodu. Pomyślałem, że Puny je wypierze.

— Ha! — powiedział pastor, kończąc czyścić do połysku buty.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, spoglądając przed siebie na stodołę i strome góry ogarnięte płomieniem jesiennych klonów.

— Czy ojciec bardzo krzyczy, głosząc kazanie?

— Czy krzyczę? Nie, raczej nie. Dlaczego pytasz?

— Panna Sadie chce, żebym poszedł z nią rano do kościoła, a jeśli ojciec zacznie krzyczeć, to ja chyba wezmę nogi za pas.

— Naprawdę?

— Nie znoszę krzyczących duchownych.

— Ja też.

— W takim razie przyjdę.

— Uczesz najpierw włosy — rzucił pastor.

Poranek był tak pogodny i słoneczny, że po mszy ojciec Tim wyszedł przed kościół, aby przywitać się z parafianami.

— Czy bardzo krzyczałem? — zapytał Dooleya.

— Raz czy dwa już zaczynałem się martwić — odpowiedział chłopiec.

Panna Sadie jak zwykle ucałowała go serdecznie w policzek.

— Louella wraca do domu i zamieszka ze mną w Fernbank! — poinformowała z radością pastora. — Bank jej wnuczka przenosi go do Los Angeles i Louella powiedziała, że prędzej dałaby się zabić, niż zgodziłaby się mieszkać w Los Angeles. Tak bardzo się cieszę ojcie. Czy moglibyśmy się spotkać jutro z samego rana? Chodzi o ubezpieczenie. Chciałabym się ojca poradzić. Harold Newland podszedł do niego.

— Jeśli to możliwe — zagadnął, rumieniąc się — chciałbym zobaczyć się z ojcem jutro rano.

Nowa parafianka, którą widywał ostatnio w ławce po lewej stronie kościoła, uścisnęła mu rękę.

— Olivia Davenport, ojcie. Msza była wspaniała.

— Bardzo nam miło, Olivio, że do nas dołączyłaś. Twój kapelusz jest takim uroczym akcentem.

— Cóż, chyba jestem trochę staroświecka, nakładając do kościoła kapelusz.

— Nie bardziej niż ja, gdy go podziwiam!

Tak, rzeczywiście, idealna żona dla Hoppy'ego Harpera.

— Czy mogłabym złożyć ojcu wizytę jutro rano?

— Będzie mi bardzo miło — odpowiedział. — Około dziesiątej?

Jak na razie jego poranne poniedziałkowe spotkania piętrzyły się niczym samoloty nad Atlantą.

Rozdział dziewiąty

SĄSIEDZI

— Ojcie, przyszedłem poprosić o rękę Emmy. Wypowiedziawszy te słowa, Harold Newland splonął rumieńcem i skulił się niczym uczeń siedzący na ławce dla interesantów.

— Widzi ojciec, do nikogo innego nie mogę się z tym zwrócić, u uważam, że tak należy zrobić.

— Ja też tak uważam, Haroldzie. Cieszę się, że przyszedłeś. Chciałbym ci powiedzieć, że mam bardzo dobre zdanie o Emmie Garrett. Można na niej całkowicie polegać, a przy tym jest najhojniejszą i najbardziej serdeczną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Zawsze była bardzo dobra dla mnie, a myślę, że dla ciebie będzie dwa razy lepsza.

— Oczywiście, nie zamierzam jej ojcu zabierać. Emma nie chce rezygnować z pracy, więc pomyślałem, żeby jej kupić samochód terenowy, ponieważ będziemy mieszkać kawałek drogi od miasteczka.

— Już widzę Emmę w jej nowym samochodzie.

— Zamieszkamy w moim domu, a jej mieszkanie w szeregowcu sprzedamy najszybciej, jak to możliwe.

— Na kiedy planujecie ślub?

— Emma mówi, że powinniśmy poczekać do wiosny, ale ja uważam, że im prędzej, tym lepiej. I miałem nadzieję... — Harold zawahał się, jakby wypowiedzenie kolejnych słów sprawiało mu ogromną trudność.

— Na co miałeś nadzieję?

— Miałem nadzieję, że zechce ojciec udzielić nam ślubu wspólnie z moim księdzem.

— Cóż, nie mam nic przeciwko temu. W towarzystwie przyjemniej!

Dwie osoby z głowy i jedna do załatwienia, myślał pastor, splukując wodę w toalecie i przygotowując się do wizyty następnego gościa.

Piękna kruczoczarna Olivia Davenport zrobiła dziwną rzecz. Zamiast usiąść tak jak wszyscy na ławce dla interesantów, podeszła do krzesła Emmy, usiadła naprzeciwko pastora, założyła swe zgrabne nogi jedna na drugą i powiedziała:

— Ojcie Timie, jestem umierająca.

Pastor mógł mieć jedynie nadzieję, że jego twarz nie zdradziła szoku, jakiego doznał.

— Chciałam prosić ojca o pomoc w znalezieniu jakiegoś zajęcia, które nada sens reszcie mojego życia. Mama zostawiła mi swój letni i zimowy dom, a i mój własny majątek jest dość znaczny. Mogłabym więc spędzić ostatnie miesiące mojego życia beztrudnie i leniwie, a proszę mi wierzyć, to bardzo kusząca perspektywa. Ja jednak nie przyjechałam do Mitford, żeby wstąpić do klubu i siedzieć nad

basenem. Nie ma w tym nic złego, ale wiem, że to nie jest rozwiązanie dla mnie. Przyjechałam do Mitford, żeby zrobić coś ważnego, i chociaż nie jestem na tyle bystra, żeby się domyślić, co to takiego, wierzę całym sercem, że ojciec mi podpowie.

Gdy oczy pastora po raz pierwszy spoczęły na Olivii Davenport, poczuł się, jakby przemówił do niego sam Duch Święty. Tym razem także doznał takiego uczucia. Od razu zrozumiał, że Olivia Davenport jest odpowiedzią na modlitwę, którą rozpoczął dwa lata temu.

— Olivio, chciałbym cię poprosić, żebyś mi coś przeczytała, jeśli będziesz tak miła.

Pastor podał jej swoje Pismo Święte, otworzone na dwudziestym siódmym psalmie Dawida, i Olivia jasnym dźwięcznym głosem zaczęła czytać:

— „Pan światłem i zbawieniem moim: kogóż mam się lękać? Pan obroną mojego życia; przed kim mam się trwożyć?... Albowiem On przechowa mnie w swym namiocie w dniu nieszczęścia, ukryje mnie w głębi swego przybytku, wydzwignie mnie na skałę... Ufaj Panu, bądź mężny, niech się twe serce umocni, ufaj Panu!”

Olivia położyła Pismo Święte na kolanach.

— Gdybyś była chora lub samotna — powiedział cicho pastor — i nie byłoby nikogo, kto usiadłby przy twoim łóżku i pottrzymał cię za rękę, albo nie byłoby nikogo, kto potrafiłby cieszyć się razem z tobą, gdybyś była szczęśliwa, czy w ogóle byłoby po co żyć?

Olivia spojrzała na niego przeciągle. Było to retoryczne pytanie.

— Wiara i ostateczne zwycięstwo, o których mówią te słowa, podniosłyby wielu ludzi na duchu.

Olivia uśmiechnęła się i bez spoglądania na leżące na kolanach Pismo Święte powtórzyła fragment, który najwyraźniej знаła.

— „Albowiem On przechowa mnie w swym namiocie w dniu nieszczęścia, ukryje mnie w głębi swego przybytku, wydzwignie mnie na skałę”.

— Czy Pan ukrył cię w głębi swego przybytku? Olivia uśmiechnęła się, a do jej oczu napłynęły łzy.

— I wydzwignął mnie na skałę.

— Czy zrobisz coś, co nada sens życiu pacjentów szpitala w Mitford? Czy chciałabyś czytać im każdego ranka Pismo Święte? To bardzo odpowiedzialne zadanie.

— On jest wielkim Bogiem — odparła Olivia, a w jej głosie słychać było radość.

W przeciągu siedmiu minut — bo jak mu się wydawało, dokładnie tyle trwała wizyta Olivii — pastor poznał straszną prawdę, otrzymał to, o co prosił w modlitwie, pomógł komuś odnaleźć powołanie i doznał niezwyklej duchowej odnowy. Być może, pomyślał, wszyscy powinniśmy żyć tak, jakbyśmy wkrótce mieli umrzeć.

Przyszedł długo oczekiwany list ze znaczkami z podobizną królowej. Dostawa dzwonów musi być przełożona na jeszcze późniejszy termin. Być może będą gotowe na Boże Narodzenie...

Pastor był rozczarowany. Miał nadzieję, że dzwony obwieszczą narodziny dziecka Owenów. No cóż, może chociaż zadzwonią na chrzciny, myślał w drodze do domu.

Dzisiaj wieczorem nie zobaczy się z Puny. Był pewien, że dziewczyna pomyśli, iż celowo jej unikał. Zostawił przecież na pralce torbę z brudnymi ubraniami Dooleya. Jeśli chodzi o niego samego, to nie miał sobie nic do zarzucenia. Jego buty błyszczały, wyprał pobrudzone łajnem skarpetki i wyczyścił mankiety spodni. Powinno wystarczyć.

Myślał też o Olivii Davenport. Olivia nie chciała marnować czasu, bo już niewiele go jej zostało. W środę o godzinie siódmej mają się spotkać w szpitalu i pierwszym pacjentem, którego odwiedzą, będzie nieuleczalnie chora Pearly McGee. Następnie czeka ich dużo więcej pracy niż tylko modlitwa i przyjacielska rozmowa na szpitalnym korytarzu.

Skręcił w drogę prowadzącą do domu i usłyszał dobiegające z garażu znajome niskie szczekanie swojego psa. Poczul się lekki i beztroski jak pogoda i z przyjemnością pomyślał o czekającej na niego kolacji — przyrządzonych przez Puny żeberkach na grillu.

Ostatnio odważył się spuścić Barnabę ze smyczy, chociaż tylko za własnym ogrodzeniem. Barnaba biegł zazwyczaj pędem do żywopłotu oddzielającego ogród od parku Baxter, załatwiał swoje potrzeby i wracał w podskokach, nie mogąc się doczekać ekstra dużej sztucznej kości.

Być może, być może, myślał, będzie mogło się to stać zwyczajem, ich ostatnim zajęciem przed snem. On będzie mógł wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza i popatrzeć na gwiazdy, a dla Barnaby będzie to chwila rozrywki i okazja do załatwienia swojej potrzeby. W wyjątkowej sytuacji będzie również mogło wystarczyć za wieczorny spacer do pomnika i z powrotem. Było już ciemno, gdy pastor włożył naczynia do zlewozmywaka i przełączył radio na stację ze spokojniejszą od Mozarta muzyką klasyczną.

Stał przy drzwiach, próbując ocenić nastrój swojego towarzysza. Gdyby Barnaba był dzisiaj podekscytowany, z pewnością wyprowadziłby go na smyczy. Pies jednak wyglądał na spokojnego i spoglądał przed siebie melancholijnie. Dźwięk skrzypiec przytłumił niskie warknięcie, które wyrwało się z jego gardła dokładnie w chwili, gdy pastor otwierał drzwi.

Wydawało się, że Barnaba płynie w powietrzu, przeskakując schody i lądując na trawniku w odległości zaledwie kilku centymetrów od biegnącego w poprzek ogrodu białego kota.

Z bezsilną wściekłością pastor przyglądał się, jak Barnaba znika w żywopłocie otaczającym ogródek sąsiedniego domu, w którego oknach ze zdziwieniem zauważył światło.

— „Błogosławiony niech będzie Pan, który okazał cuda swoje i łaski...” — zawołał pastor słowami psalmu, biegnąc w kierunku żywopłotu.

Barnaba jednak nic nie słyszał w ferworze odwiecznej walki kota z psem.

Ojciec Tim zajrzał do ogródka, gdzie upokorzony kot wbiegał na świerk.

— Barnaba! — krzyknął.

Barnaba ze zjeżoną sierścią stał pod drzewem i czekał tak głośno, że pośród nocnej ciszy jego głos niósł się aż do samego pomnika, a potem wracał, odbijając się echem od stojących wzdłuż ulicy domów.

— Niech was przepelni duch odwagi! — krzyczał pastor. — „Napominajcie samych siebie przez psalmy, hymny, pieśni pełne ducha...”.

W nagłych wypadkach, takich jak ten, ojciec Tim nigdy nie wiedział, który werset przyjdzie mu akurat do głowy.

— Ja cię napełnię duchem odwagi! — obwieścił nieznajomy głos. Nagle prosto w oczy pastora zaświecił snop światła z latarki. — Co pan robi w moim żywopłocie?

— Próbuję zabrać z tego ogrodu mojego psa, cóż innego miałbym tutaj robić?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł zimno głos. — Niech pan wejdzie wobec tego i natychmiast zabierze tę bestię.

Rozmówca ojca Tima przestał świecić mu latarką w oczy i chociaż pastor jeszcze przez chwilę był oślepiiony, kontynuował bardzo głośne recytowanie wersetu z Listu do Kolosan.

Barnaba przedarł się posłusznie przez żywopłot z rododendronów i drżąc, usiadł u stóp swojego pana. Ojciec Tim złapał go za obrożę.

— Bardzo mi przykro i proszę przyjąć moje przeprosiny — zwrócił się do żywopłotu, nadal nie widząc, z kim rozmawia.

Nowa, zapowiadana przez Mule'a Skinnera sąsiadka weszła w końcu w plamę padającego z lampy na jej ganku światła. Ubrana była w szlafrok i piżamę, a w rękę trzymała latarkę, którą litościwie przełączyła na słabsze świecenie.

— Czy tak właśnie będzie się zachowywał w przyszłości pana... pies? — zapytała z nutą pogardy w głosie.

— Bardzo możliwe, jeśli pani kot będzie nadal biegał po moim ogrodzie, lekceważąc najbardziej podstawowe zasady ostrożności.

Nastąpiła chwila kłępującej ciszy. Potem kobieta wyciągnęła rękę przez prześwit w listowiu.

— Cynthia Coppersmith — przedstawiła się — a pan musi być ojcem Timem,

— Zgadza się. I bardzo mi przykro, że zgotowaliśmy pani takie niefortunne powitanie. Obiecuję to pani wynagrodzić.

Jej dłoń była ciepła i dziecinnie mała.

— Nie ma potrzeby — odparła. — I ja też przepraszam. Nerwy, sam pan rozumie. Cała ta przeprowadzka to jedno wielkie nieszczęście! Violet jest też cała w nerwach. Wie pan, że koty nie lubią się

przeprowadzać, a ja ujrzałam w swoim żywopłocie nieznanego mężczyznę, Violet na drzewie i psa wielkości mojej lodówki, no i cóż...

— Wobec tego mogę myśleć, że mi się upiekło.

— O tak!

Zaśmiali się obydwójce.

— Ludzie z firmy organizującej przeprowadzkę złamali nogi od stołu, rozbili francuskie lustro, wyszczerbili serwis do herbaty po mojej babci i Bóg raczy wiedzieć, jakie inne zniszczenia jeszcze odkryję, gdy opadnie kurz.

Kobieta spojrzała na pastora sponad połówkowych szkieł.

— Mam nadzieję, że zagładnie pan do mnie, gdy sprawy się unormują.

— Ja również panią zapraszam — odrzekł ojciec Tim, usiłując uciszyć skowyczące u jego boku stworzenie.

Trzymając władczo Barnabę za obrozę, pastor zaprowadził go do domu. Następnie przypiął mu smycz i z ponurą determinacją poszedł z nim do pomnika i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem przez całą drogę i nie mogąc opanować złości.

W którymś momencie ich rozpaczliwej, prowadzonej przez żywopłot konwersacji, pastor zauważył, że jego nowa sąsiadka jest zadziwiająco atrakcyjna, nawet z mnóstwem różowych wałków we włosach. Jutro po południu, postanowił z sąsiedzkim zapalem, przyrządzi i zanieść jej pieczeń. Albo jeszcze lepiej — rozmrozi szarlotkę z jabłek „Baxter”. Mitford jest przecież nadal bastionem staromodnej gościnności i hojności, więc powinien przy każdej sposobności potwierdzać to czynem.

— Kot! — powiedział sam do siebie, wyłączając światło na wychodzącym na ogród ganku. — Ze wszystkich możliwych rzeczy, jakie można mieć w najbliższym sąsiedztwie, przekłety kot!

Następnego wieczoru pastor usłyszał delikatne pukanie do tylnych drzwi.

— Przyszłam z prośbą o pożyczkę — powiedziała Cynthia Coppersmith z wyrazem nadziei na twarzy. — Widzi ojciec, mój siostrzeniec przyjeżdża, żeby położyć listwy podłogowe w pokojach, i pomyślałam, że upiekę ciasto.

Wyciągnęła w jego kierunku mały pojemnik.

— Ależ oczywiście! Listwy podłogowe są wręcz niezbędne. Proszę bardzo, proszę wejść.

Nie mógł nie zauważyć, że Mule Skinner miał absolutną rację — Cynthia miała wspaniałe nogi.

Barnaba wpadł do kuchni, podbiegł do Cynthii, stanął na tylnych nogach i oparł mocno łapy na jej ramionach.

— Ojej — powiedziała Cynthia — a ile ty masz wzrostu? Bo ja, metr pięćdziesiąt osiem!

Ojciec Tim chwycił Barnabę, zapiął mu smycz i przywiązał go do uchwyty szuflady, w której znajdowały się używane na co dzień sztucce.

— Przepraszam, serdecznie przepraszam.

Czy to stworzenie będzie już zawsze zaparowywało cudze okulary, uniemożliwiało innym dotarcie do celu i brudziło błotem ubrania?

— Brązowy cukier czy biały? — zapytał zadyszany, biorąc od Cynthii pojemnik. — Zapewne biały, do ciasta.

— Biały byłby doskonały. Ale brązowy też może być. Cokolwiek! Pastor poczuł się dziwnie zadowolony i jednocześnie zmieszany.

Nieoczekiwane pukanie do drzwi było czymś niezwykłym, ponieważ jego parafianie byli bardzo powściągliwi i przed złożeniem wizyty przepisowo uprzedzali go o tym telefonicznie.

— Co za cudowne zapachy! — wykrzyknął gość, z lubością wciągając nosem powietrze.

— Żeberka na grillu — wyznał pastor.

Żeberka na grillu dla duchownego? Rzeczywiście wygląda to tak, jakby sobie pobłażał, pomyślał, ale po wielu miesiącach żywienia się pieczeniem pastora, którą Puna nazywała teraz „starym poczciwcem”, należała mu się od czasu do czasu odrobina przyjemności.

— Czy wie ojciec, że przez cały dzień nic nie jadłam? Zamierzałam wybrać się do Sklepu, ale cały czas miałam coś do zrobienia, a poza tym okropnie wyglądałam. Nie było wody, jakiś problem z głównym ujęciem. Nie mogłam się jednak ani wykapać, ani zrobić kawy, ani umyć szafek. A Violet przyniosła i położyła mi na chodniku w kuchni mysz.

Wygląda na zmęczoną, pomyślał pastor. Przydałaby się jej odrobina rozrywki.

— Filiżanka herbaty powinna ci dobrze zrobić. A może kieliszek sherry?

— Poproszę jedno i drugie — odpowiedziała sąsiadka.

Pastor zaprosił Cynthię, aby usiadła przy kuchennej ladzie. Siedząc i wesoło szczebiocąc, jego sąsiadka wysączyła kieliszek sherry, wypila dwie filiżanki herbaty Darjeeling, zjadła trzy zimne żeberka i zgarnęła resztki sosu bułką z makiem, w czasie gdy on stał przy kuchence, starając się nie patrzeć na jej nogi. Gdyby Mule mu o nich nie wspomniał, prawdopodobnie nawet nie zwróciłby na nie uwagi, a tak musiał cały czas uważać, żeby patrzeć jej prosto w oczy.

Pastor był zadowolony, że upiekł duży piernik, żeby zabrać go następnego ranka do szpitala, i jego zdanie zdawała się podzielać nowa sąsiadka, która z entuzjazmem pochłonęła spory kawałek ciasta, a potem oblizała palce. Nie udało jej się jednak najwyraźniej usunąć w ten sposób resztek piernika, ponieważ gdy potem wyciągnęła rękę, by pogłaskać Barnabę na pożegnanie po głowie, on wyrwał się do przodu skuszony cudownym zapachem jej palców, pociągając za sobą szufladę ze sztućcami i rozrzucając jej zawartość po całej kuchni i świeżo wypastowanym holu.

Jeden z widelców dojechał na własnym grzbiecie aż do samych drzwi.

— Gol! — krzyknęła Cynthia.

Spędzili całe dwadzieścia minut, chodząc na czworakach i zbierając leżące dookoła noże, widelce i łyżki z kompletu sztućców na dwanaście osób, ozdobne plastikowe szpadki i cały asortyment szpatulek i drewnianych łyżek.

Kiedy pastor spojrział później w wiszące w łazience lustro, odkrył ze wstydem, że na jego policzku rozmazany jest sos z mięsa. Był pewien, że właśnie tak widziała go przez cały czas wieczornej wizyty Cynthia Coppersmith.

Ogarnął go taki strasznie próżny żal, że musiał wyjść na zewnątrz, żeby zaczerpnąć łyk świeżego powietrza.

— Co za pech! — powiedział na głos. — Co za pech!

Zdecydował się w końcu zdradzić Emmie powierzoną mu w największym zaufaniu tajemnicę.

— Jak wiesz, ze względu na rolę, jaką pełnisz w Lord's Chapel, zostałeś wtajemniczona w kilka sekretów.

— W rzeczy samej! A niektórych z nich wolałabym nigdy nie poznawać.

— No cóż, ten, który zamierzam ci właśnie powierzyć, chyba się do nich zalicza. Czy wymyśliłaś już jakiś sposób na... jak to się mówi, skojarzenie Olivii Davenport i Hoppy'ego?

— Oczywiście, ale byłam tak zajęta Haroldem Newlandem, że zapomniałam o całym bożym świecie.

— Otóż musisz wiedzieć i nie powinno to wyjść poza ściany tego pokoju, że Olivia Davenport jest umierająca.

Emma zamarła na chwilę i pobladła.

— Wolałabym tego nie wiedzieć.

— Cóż, ja też wolałabym tego nie wiedzieć i nie musieć ci o tym mówić. Wydaje mi się jednak, że ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie życzyli, to żeby Hoppy Harper został drugi raz z rzędu wdowcem.

Emma zaczęła stukać palcami w klawiaturę maszyny do pisania.

— Jak bardzo to poważne?

— Nie rozumiem. Jak ktoś jest umierający, to znaczy, że jest umierający.

— Chciałam zapytać, ile jej jeszcze zostało?

— Kilka miesięcy, powiedziała. Mówiła o miesiącach.

— No cóż, miałam nadzieję, że może przynajmniej kilka lat, wtedy być może mimo wszystko moglibyśmy...

— Emmo, jesteś... słów mi brak.

— Ale oni są dla siebie stworzeni! — nalegała. — To naprawdę okropne! Co jej jest?

— Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia. Jakoś nie zeszliśmy na ten temat. Wydawało się to najmniej istotnym szczegółem pod słońcem.

— Jakże się cieszę, że nie jesteś reporterem w „Muse”.

— Nie bardziej niż ja.

— Cóż — westchnęła. — Bardzo mi przykro z jej powodu. Mam nadzieję, że nie zacznę jej teraz traktować z przesadną grzecznością, jakbym wiedziała, że umiera. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

— Bądź po prostu sobą, nieznośną i kłótniawą Emmą Garrett, jaką znam, a na pewno się nie domyśli.

— Ha, ha.

Pastor przejrzał zapisane przez Emmę informacje o telefonach.

— Czy Hal powiedział, w jakiej sprawie dzwoni?

— Prosił tylko, żebyś do niego zadzwonił. Ma ci do powiedzenia coś, co na pewno cię ucieszy.

— Dzięki niech będą Panu! A Evie Adams?

— Mówiła, że jej mama zaczęła wkładać mokre ubrania do piekarnika. Panna Pattie myśli, że to suszarka. Powiedziała też, że już niewiele brakuje, a wyskoczy przez okno.

— Kto? Panna Pattie?

— Nie, Evie.

— Dom opieki panny Sadie nie będzie długo czekał na pierwszych rezydentów. Wpadnę do Evie po lunchu. Nie wiesz, w jakiej sprawie dzwonił dyrektor szkoły?

— Cóż, miałam nic nie mówić, ale skoro pytasz...

— Widzę, że byłoby lepiej, gdybym nie zapytał.

— Dooley Barlowe zbił jakiegoś chłopca na kwaśne jabłko.

Wyobrażał to sobie setki razy. Weźmie słuchawkę telefonu do ręki i zrobi coś, co pozwoli mu przynajmniej pozostać przy zdrowych zmysłach.

— Halo, to ty, Walterze? Poproś, proszę, Katherine, żeby sprzątnęła z łóżka w pokoju gościnnym dekoracje bożonarodzeniowe. Przyjeżdżam. Na jak długo? Nie wiem. Na miesiąc, dwa, a może dłużej. Będziemy mogli w końcu wybrać się razem na ryby, jak zawsze o tym marzyliśmy. Może uszczknę w końcu trochę z tej fortuny, którą według ciebie posiadam, i wybierzemy się do Sligo, żeby dowiedzieć się czegoś o naszych przodkach... Tak, zgadza się. Dobrze słyszałeś. Nie, Walterze, nie dzwoń na 911. Jestem w pełni władz umysłowych. Będę na miejscu około jedenastej dzisiaj wieczorem. Nie, nie rób sobie kłopotu. Wezmę taksówkę. Tak, wiem, że taksówka będzie mnie kosztować majątek, ale widzisz, Walterze, zupełnie mnie to nie martwi. Walterze? Walterze! Czy coś spadło na podłogę?

Pastor zaśmiał się. Jeżeli chociaż w połowie jest człowiekiem, za jakiego lubi się uważać, kiedyś przeprowadzi dokładnie taką rozmowę telefoniczną i wyrwie się stąd na jakiś czas. Posłucha dobrej rady Hoppy'ego.

Na pewno to zrobi, ale jeszcze nie teraz.

Teraz musi się zająć czymś innym. Musi porozmawiać z Dooleyem Barlowe'em o tym, jak podbił Busterowi Austinowi oczy, rozciął wargę, rozbił nos, a potem, niech Bóg ma go w swojej opiece, grożąc mu kijem baseballowym, zagonił go do gabinetu dyrektora.

Buster Austin stanął ponoć za Dooleyem Barlowe'em w kolejce do wody z fontanny. Gdy Dooley pochylił się, żeby się napić, Buster uderzył go od tyłu w kolana i Dooley upadł na ziemię, uderzając ustami o fontannę i rozcinając sobie wargę.

Gdy wstał, od razu przystąpił do odwetu.

— Widziałam to — oznajmiła dyrektor Myra Hayes, stojąc za biurkiem i trzymając się pod boki. — Buster sprowokował Dooleya, ale istnieją pewne zasady, a ich łamanie nie buduje charakteru. Zresztą to, co Dooley zrobił pod fontanną, to dopiero połowa całej historii! Zabrał potem Williemu Bushowi kij do baseballu i biegł za Busterem przez cały korytarz, aż do mojego biura, mówiąc, że jeśli nie przyzna się natychmiast, czyja to wina, to roztrzaska mu głowę.

— Aha — powiedział ojciec Tim.

Czy ona naprawdę musi tak bardzo marszczyć czoło? Przecież to jeszcze nie koniec świata.

— Zostanie surowo ukarany, Buster też. Jeśli coś podobnego powtórzy się w przyszłości, nie będziemy już tak wyrozumiali. Rozumie ojciec?

— Tak, oczywiście.

Pastorowi wydawało się, że pani Hayes jest bliska ustanowienia specjalnej kary za samą znajomość z Dooleyem Barlowe'em, która będzie traktowana jako przewinienie.

O trzeciej piętnaście pastor spotkał się z Dooleyem Barlowe'em na rogu ulicy i razem poszli do kościoła, gdzie Russell Jacks przesadzał hortensje.

— Ta dyrektorka wygłosiła mi dzisiaj niezłe kazanie — poskarżył się Dooley.

— Dobrze! Zaoszczędziła mi pracy.

Przez chwilę szli w milczeniu. Krawężniki otulone były puchatymi kołnierzami złotopurpurowych liści, które szeleściły pod stopami. Och, jak cudownie byłoby mieć tyle lat, co Dooley Barlowe, i żyć ze świadomością, że ma się przed sobą jeszcze tak wiele jesieni!

— Lubisz Goosedown Owen, prawda?

— Bardziej niż tabakę — odpowiedział Dooley, używając jednego z ulubionych powiedzeń Russella Jacksa.

— Dość szybko zapomniałeś o tym, że wrzuciła cię do pomyj.

— Nic się nie stało. Tylko się bawiła. Następnym razem będzie posłuszna jak baranek.

— Porozmawiajmy o następnym razie.

Przeszli przez Old Church Lane i weszli do kancelarii.

— Masz jakieś zadanie domowe?

— Tylko jakąś beznadziejną książkę do przeczytania.

— Dziadek przyjdzie po ciebie za godzinę. — Pastor otworzył okna i włączył stojący na półce z książkami wiatraczek. Światelko automatycznej sekretarki migało, ale to mogło poczekać. — Myślałem — powiedział, siadając na rogu biurka — że wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu zmiany scenerii i przyszło mi do głowy, że jedną z najpiękniejszych scenerii w pobliżu jest farma Meadowgate.

Twarz chłopca się rozjaśniła.

— Pozwól, że o coś cię zapytam. Czy chciałbyś spróbować, jakie to uczucie mieć własnego konia?

Dooley był tak zaskoczony tym niesłychanym pomysłem, że na chwilę zupełnie zaniemówił. Zdradziły go jednak oczy.

— Powiedzmy, że umówimy się, że będziemy jeździć tam obaj raz w miesiącu. I że nauczysz się obrządzać Goosedown i dawać jej jedzenie, zajmować się jej uprzężą i całą resztą. Jest jednak — dodał pastor, gdy Dooley poderwał się z ławki — jeden warunek.

— Jaki?

— Nie wolno ci już nigdy pozwolić, żeby Buster Austin ani ktokolwiek inny sprowokował cię do bójki.

Pastor poczekał chwilę, aż cały sens jego słów dotrze do Dooleya.

— Rozumiesz? Dooley patrzył w ziemię.

— Wydaje mi się, że tak.

— Powiedz mi, jak rozumiesz moje słowa.

— Mogę mieć konia, w pewnym sensie, i mogę się nią zajmować i tak dalej, ale nie mogę bić Bustera Austina.

— I nikogo innego.

— I nikogo innego.

— Za jakiś czas porozmawiamy o tym, co możesz zrobić, gdy Buster... albo ktoś inny... będzie próbował wciągnąć cię w bójkę. A na razie, czy będziesz się starał robić wszystko, jak należy, żebyś mógł mieć dla siebie raz w miesiącu konia?

— Będę się starał.

— Czy jesteś w stanie dotrzymać słowa?

— Jestem!

Pastor wstał i ściągnął z półki pudełko z pieniędzmi Dooleya.

— Wobec tego wrócimy do tego tematu później. Czy chcesz jutro pracować? Odłożyłeś już osiemdziesiąt osiem dolarów na rower.

— Nie chcę pracować ani jutro, ani żadnego innego dnia. Mam już dość wynoszenia popiołu z piwnicy i wywożenia tych wszystkich rupieci. Aż trzy razy załadowaliśmy do pełna ciężarówkę Luthera. — Dooley poszedł do łazienki, zatrząskując za sobą drzwi.

Panie, modlił się pastor, nie znam się na tym za bardzo. Dziękuję Ci za to, że jesteś Ojcem tego chłopca, i proszę, naucz mnie przy okazji kilku sztuczek, jak mam z nim postępować. Jedną z rzeczy, które musi zrobić natychmiast — co właśnie sobie uświadomił — jest zapisanie Dooleya do szkoły niedzielnej, do klasy Jenny Ivey.

Usłyszał dźwięk splukiwanej w toalecie wody, a potem Dooley otworzył z hukiem drzwi.

— Czy wiesz, co było w mojej kupie?

— Nie mam pojęcia — odparł burkliwie pastor.

— Kukurydza. Całe kawałki kukurydzy, którą jadłem na lunch. Przyszedł mi do głowy pomysł, co zrobić dla tego konia.

— Naprawdę?

— Wysprzątam jej stajnię. Nie wiadomo, od jak dawna chodzi po tym wszystkim.

Zanim wyszedł z kancelarii, zadzwoniła Esther Cunningham.

— Chciałam cię zaprosić na poranną kawę i bułkę z parówką, ale ta cholerna wilgoć daje mi się już tak bardzo we znaki, że zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej przenieść się do straży pożarnej. No, ale do rzeczy, mam dla ciebie wielką nowinę.

— Zdradz mi ją, zanim J.C. Hogan rozbębni ją wszystkim dookoła.

— Na pewno się ucieszysz, gdy usłyszysz, że wybraliśmy cię, żebyś dokonał oficjalnego otwarcia... aah hłaa!... Festiwalu Róż.

— A co się stało z bratkami, malwami i całą resztą?

— Zostały przegłosowane! A oto jaki mamy plan. Wyłączymy z ruchu Main Street, przyozdobimy pomnik girlandą z róż, zaaranżujemy kilka występów — i tu właśnie przychodzi twoja kolej — zaprosimy gubernatora, pokażemy kilka domów i ogrodów... przy okazji, zamierzamy pokazać twoje rabaty kwiatowe, nic nie mów, po prostu zgódź się... będziemy sprzedawać ozdobne kapy na łóżka, potpourri i krzewy róż, a także urządzimy pokaz układania kwiatów i sama nie wiem, co jeszcze. Nie wspominając oczywiście o jedzeniu: gotowe zestawy na lunch, ciasta, szarlotki, pączki Winnie, o czym tylko sobie zamarysz.

— Nie można powiedzieć, żebyście wy, w tej swojej radzie, mieli jakieś wyrzuty sumienia z powodu zrzucania na nasze barki ogromu pracy.

— Złotko, poczekaj tylko, aż się dowiesz, co robią inni. Tobie to się upiekło. A teraz moja prośba. Jesteś w bardzo dobrych stosunkach z panną Sadie, a my chcielibyśmy pokazać gościom jej dom. Nikt z nas nie ma jednak odwagi jej o to poprosić.

— Dlaczego myślicie, że ja ją mam?

— Powiedzmy po prostu, że liczę na ciebie, ojcze. Poza tym zostało jeszcze bardzo dużo czasu, gdyż cała uroczystość odbędzie się dopiero następnego lata. Zastanów się nad swoim wystąpieniem, żeby dobrze wypadło. Muszę kończyć. Ray czeka na mnie w samochodzie i trąbi, w domu gotuje się kolacja.

Jedno musiał przyznać Esther Cunningham. Nękając, rozkazując i rządząc ludźmi, robiła to w taki sposób, że czuli się nieomal wyróżnieni.

— Bierze taki, zatrudnia sobie pomoc domową i słuch po nim ginie — poskarżył się Percy Mosely, ścierając stół w boksie. — Jeden z moich najlepszych stałych klientów zdradził mnie dla zupełnie obcej osoby.

Pastor westchnął.

— Ale co ja mogę na to poradzić? Kiedy człowiek ma w domu trzy razy w tygodniu kogoś, kto piecze, gotuje i go rozpieszcza, to już nie idzie do domu, ale po prostu biegnie. To znaczy, oczywiście, jeśli ma przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, ile Bóg dał kozłowi.

— Przegapił ojciec moją najnowszą specjalność zakładu. Miałem ją tak długo w karcie, że już niedługo zastąpię ją czymś innym.

— Podaj mi ją.

— Ale nie powiedziałem nawet ojcu, co to takiego.

— Zrób mi niespodziankę. Potrzebuję więcej niespodzianek w życiu.

Gdy usiadł i otworzył notatnik z zapiskami do kazań, usłyszał, że do boksu za nim weszły dwie kobiety.

— No cóż, oczywiście, że w Mitford mi się podoba, ale tu zupełnie nie ma co robić!

— Czy wiesz, że to małe miasteczko ma więcej kawalerów niż Miami Beach?

— Tak? A gdzież oni są? Uwiecznieni na pomniku ku pamięci ofiar wojny?

— Jest przecież J.C. Hogan...

— Za gruby!

— I Andrew Gregory. On jest Włochem!

— Za stary!

— A co powiesz o Haroldzie Newlandzie?

— Zbyt nieśmiały, a poza tym jest już zajęty.

— Może wobec tego Avis Packard. Mógłby cię nauczyć, jak przygotować jakieś płonące danie albo jak coś ugotować.

— Ha! Ugotowałam to ja się sama, wprowadzając się tutaj!

— Marlene, wybrzydzenie to nie jest dobry sposób na znalezienie tutaj jakiejś rozrywki. A co powiesz na tego pastora z Lord's Chapel? Wydaje mi się dość ciekawy.

— Za niski!

— No dobrze, dobrze! Już wiem, dla kogo warto stracić głowę. Hoppy Harper!

— Zbyt przystojny.

— Zbyt przystojny? Zwariowałaś?

— Przystojni mężczyźni są zawsze zadufani w sobie.

— Marlene, przyjdzie taki dzień, że nie pozostanie ci nic poza własnymi przekonaniem!

— Z czego się tak ojciec śmieje? — zapytał Percy, stawiając przed pastorem talerz.

Ojciec Tim spojrzał na swój posiłek z autentycznym przerażeniem.

Wątroba!

— Dlaczego ojciec przestał się śmiać? — Percy zadał kolejne pytanie.

— Jak ci się podoba twoja nowa sąsiadka? — Emma malowała usta, ponieważ zamierzała pójść z Haroldem Newlandem do sklepu żelaznego, żeby wybrać mosiężne uchwyty na ręczniki, które chciała zamontować w swoim mieszkaniu, pragnąc w ten sposób uatrakcyjnić je przed sprzedażą.

— W porządku, po prostu w porządku.

— Czym się zajmuje?

— Czym się zajmuje? Nie mam zielonego pojęcia. Ma kota.

— Pracuje?

— Nie wiem, nie mówiła mi.

— Cóż, na pewno nie jest bogata, jeśli mieszka w takim małym domku dla lalek. Musi więc pracować.

— Już ci mówiłem. Nie wiem.

— Jak wygląda?

— Jest niska. Drobna.

— Niewysoka, drobna, ma kota. Jesteś kopalnią informacji! — Emma spojrzała w lusterko puderniczki i ścisnęła wargi. — I wciąż nie wiesz, na co umiera Olivia Davenport?

— Nie wiem. Olivia Davenport jest pochłonięta swoim życiem, nie śmiercią, i nie rozmawiamy na ten temat.

— Jak jej idzie czytanie Pisma Świętego chorym?

Pastor nie czuł się dzisiejszego ranka zbyt dobrze, a poza tym dręczyło go sumienie, że zaniedbał swój codzienny jogging.

— Emmo — powiedział oschle — to ty powinnaś pracować jako reporter w „Muse”.

I być może powinnaś pójść i zapytać o tę pracę już dzisiaj, myślał, zdejmując pokrywę z maszyny do pisania.

Ojciec Tim szedł za panną Sadie korytarzem na piętrze domu Fernbank.

— Nie pamiętam już, kiedy ostatnio byłam tak podekscytowana! — powiedziała, przemierzając szybko korytarz. Na nogach miała tenisówki. — Przyjazd Louelli i jej obecność w domu będą dla mnie

najlepszym na świecie lekarstwem. Czy wie ojciec, że niektórzy twierdzą, że ludzie, którzy mieszkają sami, umierają wcześniej? Oto i pierwszy pokój, który chciałabym, żeby ojciec obejrzał i ocenił.

Upływ czasu z pewnością odcisnął piętno na dawnej świetności domu Fernbank. W pokojach brakowało powietrza i pachniało stęchlizną. Ze ścian ogromnymi płatami odchodziła tapeta. Mimo to, nadal niewiele mogło przyćmić piękno najwspanialszego domu w Mitford.

— W tym małym pokoju mama szła. Proszę popatrzeć, ile tu światła i jaki wspaniały stąd widok. Czyż nie jest wspaniały? Wystarczy podejść do okna i widać stąd całe Mitford. Widzi ojciec? Tam jest kancelaria! Tutaj moglibyśmy postawić łóżko, Dooley mógłby nam pomóc, a tutaj toaletkę. Co ojciec myśli?

— Jak daleko stąd znajduje się pani pokój, panno Sadie?

— Dobry kawalek.

— Obejrzyjmy pokój, który znajduje się tuż obok pani sypialni — zaproponował pastor.

Pokój okazał się dużym przestronnym salonem, z dwuosobową kanapką i dwoma wygodnymi fotelami, jednoosobowym łóżkiem i ciepłym dywanem, nieodzownym w zimie. Z wysokich okien rozciągał się piękny widok na sad.

— Myślę, panno Sadie, że powinny panie zajmować sąsiadujące ze sobą pokoje.

— Cóż, jeśli takie jest ojca zdanie, to tak zrobimy. Postanowiłam, że zostanę w domu mojego taty bez względu na wszystko. Rozsypiemy się razem, a po śmierci zostawię dom Kościołowi, tak jak zawsze planowałam, i pozwolę wam naprawić dach i położyć nowe tapety.

Pastor zaczął się zastanawiać, ile jeszcze darów panny Sadie będzie w stanie przyjąć jego Kościół.

— A teraz niech mi ojciec powie — zapytała panna Sadie, strzepując kurz z szydełkowej, leżącej na kanapce poduszki — ile starszych pań ma duchownego, który przyjdzie do nich, żeby im poradzić, w którym pokoju powinny ulokować gościa.

Pastor zaśmiał się.

— Staram się być wszechstronny.

— Skoro już tutaj jesteśmy, to może chciałby ojciec obejrzeć jeszcze jeden obraz przywieziony przez tatę z Europy?

— Chyba powinienem już wracać... — odparł, kierując się w stronę schodów.

— Ale, ojcze, to nie jest udawany Vermeer. To prawdziwy Monet!

Udał się za panną Sadie do jej sypialni, gdzie podziwiał nieduży olejny obraz o żywych barwach, przedstawiający grupę kąpiących się ludzi. Dużo bardziej jednak zaciekały go stojące na stole przed oknem stare fotografie w zaśnieżonych srebrnych ramach.

Z jednej z nich spoglądała na niego fascynująca kobieta o ciemnych włosach i jasnym spojrzeniu.

— Jakie to niezwykle! Ta kobieta wygląda dokładnie jak Olivia Davenport!

— To moja mama — wyjaśniła panna Sadie — i gdy kilka tygodni temu zobaczyłam po raz pierwszy Olivie Davenport, nieomal zaniemówiłam z wrażenia. Wydawało mi się, że znowu jestem małym dzieckiem i patrzę na moją piękną mamę. To było takie dziwne uczucie, że przez chwilę nie mogłam dojść do siebie. Myślę, że podobieństwo tkwi głównie w wyrazie oczu. Widać w nich jakby... jakby...

— Zapowiedź zwycięstwa!

— Ależ tak. Właśnie to chciałam powiedzieć!

Mężczyzna stojący na zdjęciu obok Rachel Livingstone Baxter był wyjątkowo przystojny i wyrazisty. Mógł mieć około dwudziestu lat.

— Czy mogę zapytać, kto to jest?

— To młody mężczyzna, którego poznałam w Paryżu. To był brat panny Rose Watson, Willard Porter.

Idąc ramię w ramię, schodzili w dół szerokimi schodami domu Fernbank.

— Miałam nadzieję, że zejść tymi schodami w sukni panny młodej — powiedziała panna Sadie — że tato weźmie mnie pod rękę i zaprowadzi do salonu. Wyobrażałam sobie to tak dokładnie i tak wiele razy, że potem, po wielu latach, zdarzało mi się czasami zapomnieć i myślałam, że stało się to naprawdę. W mojej wyobraźni Willard stał przy kominku w salonie, który mama i China Mae ozdobiły białymi hortensjami w srebrnych dzbanach. Lubiłam sobie wyobrażać, że tato wszedł na drabinę i zawiesił nad bramą pędy dzikiego wina, które ja poprzeplatałam herbacianymi różami z ogrodu.

Gdy doszli do półpiętra, panna Sadie zwróciła się do niego:

— Przez te wszystkie lata nikomu nie opowiedziałam historii swojej wielkiej miłości. Wiem, że nie chciałabym umrzeć ze świadomością, że pamięć o niej zginie razem ze mną. Miałam nadzieję, że być może ojciec zechce jej wysłuchać.

— Będzie to dla mnie zaszczyt.

— Zważywszy na mój wiek, może nie powinniśmy czekać zbyt długo — dodała, uśmiechając się. — Być może więc pewnego dnia, gdy nie będzie miał ojciec nic lepszego do zrobienia, jak tylko słuchać opowieści starszej pani, może gdy spadnie deszcz i nie będzie miał ojciec serca do codziennych obowiązków, wtedy...

— Będę pamiętał — odparł pastor.

— Gdy opowiem całą historię, będzie ojciec jedyną oprócz mnie żyjącą osobą, która będzie znała prawdę o tym, co rzeczywiście wydarzyło się tej nocy, gdy wybuchł straszny pożar.

Pastor poczuł nagły dreszcz. I chociaż szybko ustąpił, ogarnęło go uczucie niepokoju.

Rozdział dziesiąty

WIELKA UCZTA

— Tak bardzo chciałabym upiec dla pastora chleb kukurydziany — powiedziała tęsknie Puny.
— Po prostu o tym marzę.

— I nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny i dziękuję ci za to, że o mnie pomyślałaś — odpowiedział pastor, jedząc kanapkę z pełnoziarnistego chleba z tuńczykiem, bez majonezu.
— Ale nie mogę jeść chleba kukurydzianego przez tę koszmarną cukrzycę.

— Mogłabym zrezygnować z tłustego bekonu i użyć oleju roślinnego, ale wtedy nie byłby smaczny.

— Masz rację!

— Mój dziadek mówił, że żyje tylko dzięki temu, że codziennie jada chleb kukurydziany. Co wieczór piekłam mu świeży bochenek i przed zaśnięciem zjadał połowę. Potem wstawał w nocy i zjadał resztę polaną mlekiem.

— Naprawdę?

— Przez całe życie trzymał się wspaniale. Mówił, że głoszenie Słowa Bożego pomaga mu w spalaniu zbędnego tłuszczu.

— Z żalem stwierdzam, że moja praca nigdy na mnie w ten sposób nie działała.

Puny napełniła wiadro wodą i ze szczotką w ręce zabrała się do zmywania podłogi.

Widok Puny myjącej na czworakach podłogę niezmiennie pozostawał jednym z najmniej ulubionych widoków pastora.

— Puny, czy pozwolisz, że zapytam, dlaczego kobieta z twoimi wspaniałymi umiejętnościami nie wyszła jeszcze za mąż?

— Dlatego, że dobry Bóg nie zesłał właściwej osoby.

— A twoja rodzina? Czy masz jakąś rodzinę? Puny podniosła głowę.

— Mój tato zmarł, gdy byłem jeszcze mała, i mama wychowywała mnie i moje dwie siostry do czasu, aż rozpoczęliśmy naukę w gimnazjum. Moi bracia bliźniacy wyjechali do cioci, ponieważ mogła ich posłać do szkoły. Wtedy mama zaczęła podupadać na zdrowiu. Mówiła, że choruje tylko z jednego powodu — żeby mogła przygotować nas do życia. Puny usiadła na piętach.

— Mama wiedziała, że umiera, i codziennie wieczorem, gdy odrobiłyśmy już lekcje i umyłyśmy naczynia po kolacji, wołała nas, żebyśmy usiadły na jej łóżku. „Dzisiaj chcę wam opowiedzieć o ciężkiej pracy” — mówiła na przykład. „Mam wam do powiedzenia na ten temat tylko jedną rzecz — nie bójcie się jej”. To była cała lekcja na temat ciężkiej pracy. Mama opierała się potem na poduszkach, a my szczotkowałyśmy jej włosy i malowałyśmy jej paznokcie, i bawiłyśmy się nią, jakby była naszą

lalką. Mamie sprawiało to przyjemność i gdy tak ją pieściłyśmy, szybko zasypiała. Innego wieczoru mówiła z kolei: „Dziewczynki, opowiem wam teraz o mężczyznach. A oto, co mam do powiedzenia — nie pozwólcie, żeby to mężczyzna was wybrał. To wy macie wybierać”. Wie pastor, jeśli ktoś ma do powiedzenia na jakiś temat tak niewiele, to człowiek zastanawia się nad tym bardziej, niż gdyby mówił o czymś na okrągło.

Pastor pomyślał, że Puny ma rację.

— Mama zawsze nam powtarzała: „Nie chcę patrzeć na was z nieba i widzieć, jak moje dziewczynki wystawiają się na pośmiewisko”.

— Cóż, jestem pewien, Puny, że twoja mama jest z ciebie zadowolona, bo jesteś pracowitą, pogodną młodą kobietą, z której dumna byłaby każda matka.

— Gdy mama umarła, Kościół zaopiekował się moimi siostrami i rozesłał je po świecie, a ja zrezygnowałam ze szkoły i wyjechałam opiekować się moim dziadkiem. Mieszkał zupełnie sam na wsi, ale miał bardzo ładny czystutki mały domek. Gdy na trawnik spadł chociaż jeden listek, od razu go podnosił. Był bardzo wymagający i surowy, ale go lubiłam. Swoje kazania głosił z taką mocą, że aż w oknach drżały szyby! — Puny spojrzała poważnie na pastora. — A jak wyglądają kazania ojca?

— Opinie na ten temat są bardzo zróżnicowane — odpowiedział, śmiejąc się. — Będziesz musiała przyjść do kościoła i sprawdzić sama.

Puny przygotowała dla pastora pieczonego kurczaka, fasolkę szparagową i młode ziemniaki — jedno z jego ulubionych dań. Postawił talerz na tacy i wziął kolację do salonu, żeby obejrzeć wiadomości. Wydarzenia ze świata przypominały mu nieustannie, że ma ogromne szczęście, mieszkając i pracując w ciszy i spokoju oferowanym przez Mitford. Ktoś powiedział, że chyba jedynie dzięki boskiej Opatrzności ich miasteczko do dzisiaj pozostało w dużej mierze nieskażone.

Było to oczywiście dużą zasługą Esther Cunningham. Pani burmistrz przypominała wszechpotężną, dbającą o swoje kurczęta kwokę siedzącą na gnieździe, którym był delikatny ekosystem ich miasteczka. Była gotowa bronić Mitford do ostatka.

Mimo to, nowe budynki wyrastały na obrzeżach miasta niczym pieniące się w ogrodzie chwasty. Na szerokim łuku drogi wyjazdowej z ESSO Lew Boyda znajdował się duży jasnożółty motel z ogromnym zielonym kaktusem w neonowej obwódce. Coraz bardziej odczuwalny był brak centrum handlowego, a sieć sklepów spożywczych przygotowywała ziemię pod budowę nowej placówki dokładnie w miejscu, w którym stał informujący o granicy miasta znak. Wszyscy w barze Grill twierdzili zgodnie, że to tylko kwestia czasu.

— Po moim trupie — mówiła Esther Cunningham, która wierzyła niezłomie w trzy słowa Churchilla: „Nigdy nie rezygnuj”.

Po obejrzeniu wiadomości pastor wstawił naczynia do zlewozmywaka i usiadł za biurkiem, żeby sporządzić kilka notatek do kazania. Zastanawiał się nad słowami J. Hudsona Taylora, angielskiego

misjonarza w Chinach, będącymi refleksją nad werselem z Ewangelii według świętego Mateusza: „Skąd tu na pustkowiu weźmiemy tyle chleba, żeby nakarmić takie mnóstwo?”.

„Bóg dał nam wszystko — napisał Taylor — co jest nam potrzebne; nie potrzebujemy niczego więcej. To nie jest kwestia ilości — to kwestia obecności Pana”.

Było to prawie zupełnie niemożliwe do wygłoszenia w dzisiejszym świecie kazanie. Po co wyruszać w drogę wąską i krętą ścieżką, skoro parafianom dużo bardziej atrakcyjne wydają się szerokie bulwary?

Barnaba zaszczekał chrapliwie i przebiegł przez salon, po czym wbiegł do kuchni, oparł przednie łapy na tylnych drzwiach i ponownie zaszczekał. Pastor usłyszał delikatne pukanie.

— Ojca cukier! — powiedziała Cynthia Coppersmith, gdy otworzył drzwi.

Trzymał Barnabę mocno za obrożę.

— Niepotrzebnie robiłaś sobie kłopot. Naprawdę! Kończę właśnie notatki i zamierzamy z Barnabą spędzić kilka miłych chwil, czytając Wordswortha.

— Kocham Wordswortha! — wykrzyknęła Cynthia, wręczając pastorowi filiżankę cukru.

Zupełnie nie miał pojęcia, co powiedzieć, gdy nagle z pomocą przyszły mu przyswojone w dzieciństwie zasady dobrego wychowania.

— Może wejdiesz? — zaproponował ku własnemu zdziwieniu.

— Cóż... tak! Tak! Jeśli jest ojciec pewien, że nie ma nic przeciwko temu.

A niech to, pomyślał pastor, upychając jedną ręką wystającą mu z tyłu koszulę, a drugą przytrzymując Barnabę.

Ponieważ prawie nigdy nie przyjmował wieczorem nie zapowiedzianych gości, zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Coś do picia? Czy ludzie nie proponują czegoś do picia? Cóż, niczego nie ma. Będzie musiała wystarczyć sherry... może... albo herbata i talerzyk... czego? Ciastek maślanych.

Aby zyskać kilka minut na przemyślenie tego wszystkiego, pastor zostawił na chwilę swojego gościa, który przystąpił z radością do przeglądania półek z książkami, a sam poszedł z Barnabą pod rosnący na końcu ogrodu żywopłot.

Gdy wrócił, Cynthia siedziała na sofie w salonie, otoczona wysłużonymi szydełkowymi poduszkami, i studiowała zbiór wykładów Oswalda Chambersa. Wyglądała przy tym na bardzo zadomowioną.

Spojrzała na niego, cytując szkockiego mistrza, który był akurat jednym z jego ulubionych pisarzy:

— „Wiara z definicji musi być nieustannie wystawiana na próbę”, pisze autor. Czy ojciec się z tym zgadza?

Pastor usiadł w swoim fotelu z wysokim oparciem, czując się już nieco swobodniej w towarzystwie gościa.

— Zdecydowanie tak!

— Nigdy nie przepadałam za ćwiczeniami — powiedziała Cynthia — ale to, co Bóg robi z naszą wiarą, musi być zbliżone do treningu. Bóg sprawia, że nasza wiara jest rozgniatana i szarpana, naciągana i tłuczona, doprowadzana do granic, by można je było poszerzyć.

Podobały mu się te słowa: „doprowadzana do granic, by można je było poszerzyć”. Tak!

— Jeśli nie będzie ćwiczona — dodała z namysłem — stanie się niczym zwiotczały mięsień, który zawiedzie nas, gdy będziemy go potrzebowali.

Mimo że zadawał teraz poważne pytanie, czuł, jak na jego usta wypływa mimowolny uśmiech.

— Czy zgodziłabyś się, że musimy być gotowi dziękować Bogu za każdą próbę wiary, nawet najcięższą, ponieważ dzięki niej stajemy się silniejsi?

— Zawsze jestem skłonna to przyznać, ale prawie nigdy nie udaje mi się tego zastosować w życiu.

— W tym cały problem!

Gdy poszedł do kuchni zrobić drugi dzbanek herbaty, nie mógł uwierzyć, że jest już jedenasta. W Mitford przecież o tak późnej porze wszyscy już śpią!

Prowadząc w południe Barnabę na czerwonej smyczy, pastor przeszedł szybkim krokiem z kancelarii do Lord's Chapel.

Musiał zająć się stertą korespondencji i po południu pójść jeszcze raz do szpitala. Właśnie dlatego zabrał ze sobą kanapkę z kurczakiem z poprzedniego dnia, którą schował rano do lodówki w parafialnej świetlicy.

Niebo było zasnuwane ciemnymi chmurami, ale on nie zwracał uwagi na pogodę. Myślał o niespodziewanym gościu poprzedniego dnia i o wspólnym wieczorze.

Przekręcił klucz w zamku i podszedł do bocznych drzwi świetlicy. Mimo że było tu miejsce zaledwie na pięćdziesiąt osób, często udawało im się zgromadzić w tym pomieszczeniu siedemdziesiąt pięć i nawet więcej parafian na kawę po drugiej mszy.

Na trzech ścianach świetlicy wisiała cała kolekcja oprawionych w ramki gobelinów — dzieła parafian, poczynając od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Przedstawiały one między innymi udekorowane krzyże, widok z ruin kościoła na wzgórzu — pierwszej Lord's Chapel — i koronę cierniową. Na jego ulubionym gobelinie cała gęstwina róż otaczała werset z Psalmu 68: „Pan niech będzie przez wszystkie dni błogosławiony: ciężary nasze dźwiga Bóg, zbawienie nasze!”

Na czwartej ścianie znajdowały się dzielone kamiennymi słupkami okna, które wychodziły na najpiękniejszy ogród Lord's Chapel. Przechodząc obok okna, zauważył, że zaczął padać deszcz.

Otworzył lodówkę, ale nie znalazł swojego lunchu.

— Dziwne — powiedział na głos do Barnaby — wkładałem go tutaj razem z winem.

Z pewnym zakłopotaniem stwierdził, że wino mszalne również zniknęło. Stwierdzenie tego faktu nie przyszło mu z trudem, ponieważ poza dwoma pojemnikami wina rozcieńczonego pół na pół z wodą i dzbankiem soku jabłkowego dla szkoły niedzielnej, w lodówce niczego innego nie było.

— Czy mi się śniło, że przyszedliśmy tutaj dzisiaj rano i że zostawiłem w lodówce kanapkę?

Barnaba ziewnął szeroko i położył się obok kuchennego stołu.

— Jeszcze nigdy nie przytrafiło mi się nic równie dziwnego. Co, u licha...

Być może Bractwo Ołtarzowe było w kościele i posprzątało w lodówce. Ale była przecież czysta. Czując się głupio, zaglądnął do schowka ze szczotkami i sprawdził zawartość szuflad. Zdarzyło mu się przecież kiedyś, gdy był pochłonięty myślami o kazaniu na temat chciwości, włożyć kostkę masła do piekarnika. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć torebki z lunchem.

— No, cóż — westchnął zirytowany. — Damy zarobić Percy'emu.

Gdy zamykał drzwi, zdawało mu się, że usłyszał cichutki szept śpiewu, pojedynczą nutę hymnu z ostatniej niedzieli. Przez chwilę nasłuchiwał, ale wokół panowała idealna cisza.

— Anioły! — powiedział, wychodząc z Barnabą. Na zewnątrz padał delikatny jesienny deszcz.

— Dowiedziałam się wszystkiego o twojej sąsiadce — obwieściła Emma.

— Naprawdę?

— Jest malarką i pisarką. Ilustruje książki dla dzieci, które sama pisze. Ten jej biały kot? To gwiazda jej książek o Violet. *Violet wprowadza się do domu*, *Violet dorasta*, *Violet ma młode*, *Violet jedzie do Anglii*. Czegokolwiek byś tknął, to wszystko zasługa jej kota. — Emma przerwała, czekając na jakąś odpowiedź, ale bez rezultatu.

Zdecydowała się zdradzić mu jeszcze jedną ciekawą informację, jak ktoś, kto przeszukuje torebkę karmelków w poszukiwaniu czekoladki.

— Była żoną kogoś ważnego.

— Tak?

— Senatora — obwieściła dumnie Emma.

— Aha.

— Ten dom dostała od wujka. Pamiętasz go? Ten stary sknera.

Pamiętał, oczywiście. Starał się być przyjacielski i modlił się nawet regularnie za swojego nieuprzejmego sąsiada, ponieważ widział, że potrzebuje on modlitwy. Nic jednak, włącznie z dostarczeniem szarlotki, nie zmiękczyło jego serca i nie nastawiło go bardziej przyjaźnie do pastora. Potem, dwa lata temu, jego sąsiad zmarł, pozostawiając po sobie pusty i zaniedbany dom.

— Właściwie to nie wujek jej go podarował — sprostowała Emma — ale córka wujka. Zadzwoiła do niej i powiedziała, że nie chce tego domu i że uważa, że Cynthia powinna go wziąć. Powiedziała jeszcze, że Cynthia była jedyną osobą, którą jej tato kiedykolwiek lubił.

— Uhm — odparł pastor, przeglądając spisane przez Emmę informacje o telefonach do niego.

— Nigdy nie miała własnych dzieci. W pewnym sensie adoptowała siostrzeńca męża.

Emma czekała, wyczerpawszy prawie cały zasób informacji.

— Jeździ mazdą — rzuciła na koniec.

— Posiadając takie ogromne umiejętności reporterskie, mogłabyś porozmawiać z J.C. Hoganiem. Może zatrudniłby cię w „Muse”.

— To więcej niż tobie udało się dowiedzieć w sto lat!

— Masz rację, jak zwykle — zauważył oschle pastor. — Szczególnie fascynujące jest to, jakim jeździ samochodem.

Emma zasznurowała usta. W duchu była przekonana, że zdobyte przez nią informacje zrobiły na nim ogromne wrażenie.

Ojciec Tim skończył porządkowanie kartek z informacjami.

— A jak udało ci się tego wszystkiego dowiedzieć?

— Zrobiłam to, co na moim miejscu zrobiłby każdy inny. Zapytałam ją!

Gdy kościelny przyszedł po swój czek, pastor zadał mu następujące pytanie:

— Russellu, czy wchodziłeś wczoraj do kościoła?

— Nie, ojcze. Nie wchodziłem. Chciałem podgrzać sobie w kuchni trochę zupy, ale zanosił się, że deszcz będzie padał przez cały dzień, poszedłem więc do domu i usmażyłem sobie wątróbkę. Dooley wrócił ze szkoły autobusem.

— Bractwo Ołtarzowego też tam nie było. To jedna wielka tajemnica.

— A o co chodzi?

— Wczoraj rano włożyłem do lodówki kanapkę, a gdy wróciłem po nią, już jej nie było. Zniknęła razem z butelką wina mszalnego.

Russell podrapał się po głowie.

— Pracowałem w kościelnym ogrodzie gdzieś do dwunastej. Widziałem, jak ojciec wychodzi na Main Street. Potem już nikogo niebyło.

Pastor potrząsnął głową.

— Trudno! Jak myślisz, czy uda ci się zająć tymi popękаныmi płytkami chodnikowymi przed zimą?

— Robię wszystko, żeby z tym zdążyć — odpowiedział Russell w chwili, gdy zadzwonił telefon.

— Ojcze — oznajmiła Olivia Davenport — właśnie zmarła, Pearly McGee.

— Zaraz tam będę — powiedział.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie.

Marge Owen urodziła zdrową dziewczynkę. Trzy kilogramy pięćset gramów. Rebecca Jane!

Smutek i radość, pomyślał, doznania tak nierozzerwalnie ze sobą powiązane, że trudno powiedzieć, w którym miejscu kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Dołożył wszelkich starań, żeby ubrać się elegancko na wystawę malarstwa w Oksfordzkich Antykach. Przede wszystkim uważał, że w ten sposób okaże szacunek wujaszкови Billy'emu. Otóż i był gotowy. Miał na sobie już drugą kupioną w tym roku nową marynarkę. Uważał, że graniczy to nieomal z cudem. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem udało mu się kupić dwie marynarki w ciągu jednego roku.

Oczywiście w żaden sposób nie mógł zrezygnować z tego właśnie zakupu. Nie dość, że marynarka była koloru, w którym — jak powiedziała Emma — będzie mu do twarzy, to w dodatku była bardzo wygodna, doskonale na nim leżała, nadawała się do zestawienia prawie ze wszystkim, co już miał w swojej garderobie, i była do kupienia na wyprzedazy. Cóż więc miał począć?

— Angielska miedź! — W ten sposób właściciel sklepu Collar Button opisał poetycko kolor marynarki. — W zestawieniu z czarnym strojem duchownego będzie się prezentować olśniewająco!

Olśniewająco? Wcale nie był przekonany, że tak właśnie chce wyglądać.

W Oksfordzkich Antykach unosił się charakterystyczny zapach wosku do podłóg, olejku cytrynowego, starego drewna i sfatygowanej skóry. Andrew postarał się nawet i w Mitford Blossoms kupić kwiaty, które sam starannie ułożył w srebrnym dzbanie na wino i postawił na stoliku myśliwskim sprowadzonym właśnie z Cumbrii.

Wydający przyjęcia w Mitford zawsze mogli liczyć na to, że goście przybędą tuż przed lub punktualnie o umówionej godzinie i wszyscy, co do jednego, opuszczą przyjęcie o przyzwoitej godzinie.

Gdy pastor zjawił się pięć minut po godzinie czwartej, stół z zakąskami był już otoczony wianuszkami gości.

Przywitał się z Esther Cunningham, która częstowała się grubym plasterkiem sera brie, i podał rękę jej mężowi, Rayowi. Kiedy obrócił się, żeby przyjrzeć się obrazom, jego oczom ukazało się zupełnie wyjątkowe zjawisko. Była to panna Rose Watson, wystrojona z dbałością o najmniejszy szczegół. Miała na sobie zieloną wieczorową suknię z tafty, przewiązaną w pasie szeroką, zjedzoną przez mole szarfą z kraciastego aksamitu, satynowe rękawiczki do łokcia, czapkę oficerską z okresu drugiej wojny światowej i niezasnurowane, dwukolorowe półbuty.

W jednej ręce trzymała kilka tartinek, a drugą wdzięcznie podawała w geście powitania.

— Miło mi pana widzieć — przywitała pastora, któremu przestało się wydawać, że rzuca się w oczy, a tym bardziej, że jest wystrojony.

Pięknie oprawione rysunki wujaszka Billy'ego wisiały w chronologicznym porządku wzdłuż lewej ściany. Pierwszy z nich przedstawiał trzy jelenie w świerkowym zagajniku, pijące wodę ze stawu, który tworzył się u stóp wodospadu. Oprawione i powieszzone rysunki wyglądały imponująco.

— Pełne wyrazu, nieprawdaż?

Obok niego stała Cynthia Coppersmith. Miała na sobie sweter i spódnicę koloru barwinka, a na serwetce w ręku trzymała krakersa.

— Rzeczywiście! — odpowiedział. — Wiedziałem, że są dobre, ale to, no cóż...

— Przechodzi wszelkie wyobrażenie! — pośpieszyła z pomocą.

— Emma mówiła mi, że rysujesz i pisziesz książki.

— O tak, częściowo zarabiam na życie malowaniem. Ale nie uważam się za artystkę, ponieważ, widzi ojciec, nie umiem rysować ludzi. Najlepiej wychodzą mi zwierzęta, a szczególnie koty.

Ktoś klepnął go w plecy tak mocno, że niewiele brakowało, a wpadłby prosto na rysunek przedstawiający przepiórkę w gnieździe.

— Widzę, że uczysz się kochać bliźniego swego jak siebie samego! — powiedział Harry Nelson. — Przychodzę się pożegnać. Jesteśmy już z Shirley spakowani. Za chwilę wsiadamy do samochodu i wyruszamy za ciężarówką firmy organizującej nam przeprowadzkę.

— Nie zabieraj ze sobą żadnych meblarskich Vermeerów — rzucił Mule Skinner, który do nich dołączył.

Wujaszek Billy siedział na fotelu chippendale z wysokim oparciem, trzymając na kolanach talerzyk z serem i winogronami. Za kołnierz koszuli miał zatkniętą papierową serwetkę.

J.C. Hogan pisał lewą ręką w notatniku, a prawą wycierał czoło.

— Kiedy, mówił pan, zaczął pan rysować?

— Gdy miałem dziesięć czy dwanaście lat. Mój wujek był kolejarzem i zawsze kiedy przejeżdżał przez dolinę, dawał znać gwizdkiem lokomotywy już w Elk Grove, więc gdy dojeżdżał do Isinglass, ja już stałem przy torach, a on zawsze mi coś rzucał. Czasami była to torebka cukierków lukrecyjnych, czasami szanta, a raz rzucił mi małą paczkę ołówków, prawdziwych ołówków z miękkim rysikiem, wie pan. Mój tato powiedział, że to głupi podarunek dla chłopca, który nie umie pisać, więc zacząłem rysować.

— Czy malował pan kiedykolwiek tuszem? — zapytał J.C.

— Cóż, proszę pana, malowałem, ale zjadłem słoik marynaty, który według Rose należał do niej, i żona spaliła całą stertę moich rysunków wykonanych tuszem.

— Nie! — wykrzyknęła poruszona niemal do łez Winnie Ivey.

— Wybiłbym jej takie pomysły z głowy — powiedział z uczuciem Percy Mosely.

Panna Rose zaszeleściła suknią z tafty.

— Nie opowiadaj tej nędznej historii, Billu Watsonie! Słyszałam to już setki razy i dobrze wiesz, że to kłamstwo.

— Nieprawda — powiedział wujaszek Billy, uśmiechając się.

— Ależ tak. Powodem wcale nie był słoik marynaty, ale chińska mieszanka marynowanych jarzyn.

Gdy panna Rose obróciła się na pięcie i odeszła, pastor nie mógł nie zauważyć, że spod jej szarfy wypadł krakers Ritz i potoczył się pod krzesło.

— Słyszałem, że przestał pan rysować — powiedział J.C. — Dlaczego?

— Mój stary przyjaciel — odparł wujaszek Billy.

— Jaki przyjaciel?

— Artretyzm. Ale nie zaszkodziło to mojemu poczuciu humoru. Mogę panu opowiedzieć jeden z moich dowcipów, do zamieszczenia w gazecie.

— „Muse” nie drukuje dowcipów — zareagował ostro J.C.

— Ciekawe, od kiedy?! — wtrącił Percy Mosely, który był bardzo rozczarowany ostatnim artykułem wstępnym od redakcji.

Przy stole z jedzeniem pastor podszedł do Rodneya Underwooda, który był młodym szefem policji w Mitford i diakonem w kościele baptystów.

— Zarówno mój dziadek, jak i tato byli funkcjonariuszami policji w tym mieście. I mimo że zawsze chciałem pracować na poczcie, nie było mi to pisane. Niestety. Po czterech latach pracy na stanowisku zastępcy w Wesley, poddałem się i pozwoliłem się usidlić naszej radzie miejskiej.

— Cóż, to chyba całkiem niezłe życie. Gdy czytam „Muse”, prawie nigdy nie widzę tam doniesień o przestępstwach.

— Proszę się nie dać zwieść pozorom, przestępcy są wśród nas. Nawet ojciec nie wie, co się dzieje za tymi różnymi altankami...

Nie, rzeczywiście nie wiem, pomyślał, odsuwając się na bok, I wolę nie wiedzieć.

— Witam ponownie, ojcze — oznajmiła Cynthia, trzymając w ręce najwyraźniej tego samego krakersa, w tej samej serwetce. — Chciałam powiedzieć, że w tej marynarce miedzianego koloru wygląda ojciec olśniewająco.

Poczuł, jak jego twarz czerwienieje. Olśniewająco! Wiedział, że powinien kupić granatową.

— No i co myślisz?

Andrew Gregory usiadł na jednym z krzeseł w stylu królowej Anny, które ktoś ustawił w idealnym kole wokół wujaszka Billy'ego.

— Olbrzymi sukces! — odparł pastor. — Niebywały! Ile sprzedaliśmy?

Zadowolenie Andrew było widoczne.

— Dwadzieścia siedem!

Pastor zobaczył w drzwiach wchodzącego Hoppy'ego Harpera z Olivią Davenport. Miała zaróżowione policzki, a jej fiołkowe oczy błyszczały. Już od wielu miesięcy Hoppy Harper nie wyglądała tak pogodnie. Zielone żelowe cukierki!, pomyślał pastor. To zawsze pomaga,

— No cóż, muszę wyjść na chwilę — powiedział Andrew. — Panna Rose i pani burmistrz zjadły cały brie, więc muszę szybko pobiec do Sklepu i dokupić trochę cheddara!

Cynthia Coppersmith usiadła na miejscu Andrew.

— To moje pierwsze spotkanie towarzyskie w miasteczku. Z wyjątkiem, oczywiście, wizyt u ojca.

Nie przychodziło mu do głowy ani jedno słowo odpowiedzi.

— Violet dzisiaj uciekła — rzuciła informacyjnie Cynthia.

— Tak?

— Ale wróciła.

— To dobrze! Słyszałem, że piszesz i ilustrujesz książki o swoim kocie.

— Tak. *Violet wprowadza się do domu*, *Violet jedzie na wieś...* i *Violet ma młode*, oczywiście.

Żeby wymienić tylko kilka!

— Jakże pracowite życie ona wie! A ile ma lat?

— Dopiero dwa.

— Dwa? I już zdążyła to wszystko zrobić?

— Cóż, widzi ojciec, to jest Violet numer trzy. Gdy jedna odchodzi, szukam następnej. Oryginalna Violet miała siedem lat, gdy do mnie trafiła, i malowałam ją przez dwa lata, zanim zmarła na zapalenie wątroby. Później była Violet o bardzo żywym temperamencie, którą znalazłam dzięki ogłoszeniu. Ach, była śliczna, ale niewyobrażalnie wymagająca. Napisałam trzy książki o tej Violet, zanim uciekła z żółtym kocurem.

— Aha.

— Zaczęłam desperacko poszukiwać nowej, może sobie ojciec wyobrazić. Umowa na siódmą książkę, a ja nie mam modelki!

— Czy nie mogłaś użyć kota innego koloru i... po prostu pomalować go na biało na ilustracjach?

— Nie, potrzebuję do tego prawdziwej Violet. I nie każdy biały kot nią jest, oczywiście.

— Oczywiście.

— Tak więc wszyscy szukaliśmy nowej Violet, zaangażowaliśmy do tego gazetę i niech sobie ojciec wyobrazi, znalazło się aż pięćdziesiąt siedem białych kotów. Potem ósma książka o Violet zdobyła nagrodę — Medal Davant. To najbardziej prestiżowa nagroda w literaturze dziecięcej. Zupełnie ścięło mnie z nóg! Nagle wszystkie książki zaczęły się rozchodzić jak...

— Ciepłe kuleczki? — zapytał.

Do licha! Chciał powiedzieć: „ciepłe bułeczki”.

— Tak! I teraz, po latach mieszkania w wynajmowanych pokojach, mam w końcu prawdziwy dom i trochę pieniędzy. To prawdziwy cud! — powiedziała z zapałem, a jej oczy przez chwilę wyda-

wały się jeszcze bardziej błękitne. — Muszę jednak przyznać, że jestem już zmęczona książkami o Violet. Być może następną książkę napiszę o... może o kretach!

Jego największy wróg! Każdej wiosny w Mitford można się było zapaść w dziurę po kretowisku, aż po kolana. Nie znał żadnego bardziej obrzydliwego stworzenia w całym królestwie zwierząt.

— Jeśli interesują cię krety, to z pewnością znajdziesz wszystko, o czym tylko pomyślisz, tuż obok własnego podwórka. Na moim trawniku.

— Do twarzy ojcu z uśmiechem — odparła, uśmiechając się szczerze.

— Dziękuję. Będę się musiał wobec tego częściej uśmiechać.

— Był ojciec dla mnie taki uprzejmy, miałam więc nadzieję, że będzie mógł ojciec przyjść do mnie na kolację w następnym tygodniu. Myślę, że do tego czasu już się urządzą.

Pastor wstał.

— Cóż...

— Świetnie! — powiedziała. — Dam ojcu znać o szczegółach.

Podszedł do nich Andrew Gregory, zapinając na środkowe guziki swoją marynarkę z kaszmiru. Był szczupły i robił wrażenie jeszcze bardziej opalonego i pełnego życia niż przed godziną.

— Dwadzieścia dziewięć! — radośnie zakomunikował pastorowi, a potem zwrócił się do Cynthii. — Jeśli jesteś gotowa, to chciałbym ci pokazać książki, w których robiła ponoć odręczne notatki panna Potter.

Gdy odchodzili, pastor poczuł się nagle niski, blady i korpulentny. Zaczęło go również męczyć dziwne podejrzenie, że jego marynarka ma więcej poliestru niż wełny.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o tej kobiecie? — zapytał Hoppy, gdy stali pod biurem Andrew, które znajdowało się z tyłu domu, i czekali w kolejce do toalety.

— O czym tu było opowiadać?

— Że jest śliczna, że przyjechała do miasta, że chodzi do Lord's Chapel, sam nie wiem. Szedłem korytarzem w poprzednim tygodniu i nagle widzę tego anioła siedzącego przy łóżku Pearly i czytającego psalmy. Nigdy tego nie zapomnę. „Tyś dla mnie ucieczką i tarczą! Moje serce Ci zaufało” — powiedziała. Poruszyło mnie to do żywego.

I nic w tym dziwnego, pomyślał pastor, który sam był poruszony do żywego głębią jej wiary.

— Przez tak długo żyłem z dala od kościoła... z dala od... wiary. — Hoppy oparł się o ścianę, unikając wzroku pastora. — Byłem zły na Boga.

— Rozumiem.

— Działał bez znieczulenia.

Pastor spojrzał na człowieka, który stracił żonę, przeżywszy z nią szesnaście lat, i dostrzegł na jego twarzy nieuniknione piętno, które odcisnął żal i ciężka praca. Jednak dzisiejszego wieczoru Hoppy był jakby spokojniejszy.

Z toalety wyszedł Percy Mosely.

— Lepiej uważajcie — poradził. — To różowe ma naprawdę mocny zapach.

Przekonał Hoppy'ego, żeby poszedł pierwszy, a sam zajrzał do biura Andrew, w którym pano-
wał miły bałagan. Usiadł w stojącym obok biurka fotelu z wysokim oparciem i przyglądał się kolekcji
obrazów na ścianach, stercie książek i czasopism wysypujących się z koszyków i półek. Od niechcienia
spojrzał na kawałek gazety wystający spod skórzanego bibularza na biurku.

„Zniknięcie klejnotów z muzealnej wystawy” — czytał po cichu, bez szczególnego zaintereso-
wania. — „Wczoraj w nocy, podczas gali dobroczynnej, która odbywała się w nowym skrzydle mu-
zeum Sonningham, uzbrojony wartownik odkrył, że skradziona została bezcenna kolekcja zabytko-
wych królewskich klejnotów, i to w czasie, gdy on stał w odległości zaledwie kilkudziesięciu centy-
metrów od szklanej gabloty.

»Odszedłem być może na około półtorej minuty, żeby zobaczyć, co tak bardzo hałasuje w po-
wietrzu« — tłumaczył Nigel Hadleigh, lat 62, pracownik Armed Forces, Inc., prywatnej firmy ochro-
niarskiej. — »Gdy spojrzałem ponownie na gablotę, klejnotów już nie było«.

Prowadzący śledztwo do tej pory nie natrafili na żaden trop w sprawie kradzieży, nie mają też
żadnych podejrzanych. Nie znaleziono żadnych odcisków palców na gablocie, która do godziny dwu-
dziestej pierwszej trzydzięci pierwszego dnia zorganizowanej i przez muzeum gali dobroczynnej za-
wierała rzadkie klejnoty z całych Wysp Brytyjskich, włącznie z naszyjnikiem, który należał kiedyś do
księżnej Louisy.

»Jest nam niewypowiedziane przykro« — powiedział dyrektor muzeum Wilfred Cappman. —
»Jak wytłumaczymy to królowej?«.

O, tak. W tym cały problem, pomyślał pastor.

Hoppy wyszedł z toalety i zaglądnął do biura.

— Muszę z tobą w najbliższym czasie porozmawiać. Ale tym razem — dodał — pozwolę, że-
byś to ty zalecił mi terapię.

Trzeba kuć żelazo póki gorące!, pomyślał.

— Co powiesz na czwartek, w barze Grill? Percy podaje wtedy kroiety z łososia.

— Bądź punktualnie — przestrzegł go główny lekarz miasteczka, uśmiechając się.

Kiedy kończył myć ręce, usłyszał dochodzący zza ściany śmiech. Cynthia Coppersmith. Naj-
wyraźniej krety wydawały się jej bardzo, bardzo zabawne. To jedna z najdziwniejszych cech jej cha-
rakteru, jakie udało mu się ostatnio zaobserwować.

Gdy wrócił do domu, na tylnych schodach odkrył jedną ze swoich foremek na szarlotki, a w niej
kwadratową kopertę.

Wewnątrz znajdowała się namalowana farbami akwarelowymi podobizna Barnaby, tak wierna,
że wydawało się, iż zaraz zaszczeka. W kopercie był też krótki liścik:

„Ogromne podziękowania za serdeczność, jaką okazał Ojciec nowej członkini społeczności Mitford. Cynthia”.

— Niesłychane — ocenił pastor, spoglądając z zachwytem na rysunek.

— Twoje wczorajsze kazanie było naprawdę dobre — powiedziała Emma w poniedziałek rano.

Jak widać, wszystko jest kwestią gustu, pomyślał pastor, który pamiętał, że jakieś dziecko płakało przez całą mszę, wiewiórka gryzła coś za ścianą, a w trakcie czytania Ewangelii wypadły mu wprost na Pismo Święte szkła z okularów.

— Widziałam cię na wystawie — powiedziała — ale gdy w końcu udało mi się do ciebie precisnąć, wstałeś i wyszedłeś.

— No, cóż... a co u Harolda?

— Praca, praca, praca. Zrób to, zrób tamto. Napraw dach. Pomaluj ganek. Zmień olej. Wrzuć na kompost kolby kukurydzy. Jak wiesz, tak właśnie żyją baptyści.

— Naprawdę?

— A widziałeś kiedyś, żeby członkowie Kościoła episkopalnego wrzucali na kompost kolby kukurydzy?

— Nie wrzucają, bo ich nie mają.

— Możliwe.

Emma wyciągnęła z górnej szuflady księgę rachunkową razem z zamkniętą kasetką, w której była niedzielna składka.

— Wydaje mi się, że podczas wystawy twoja nowa sąsiadka nie odstępowała cię ani na krok.

— Moja sąsiadka... a, rozumiem, chodzi ci o pannę Coppersmith.

— Tak, o nią mi chodzi. Gdzie ty, tam i ona. Jak jazda figurowa na łyżwach.

— Czy nie masz nic lepszego do roboty, jak tylko szpiegować własnego kaznodzieję?

— Najpierw, oczywiście, pojawi się więcej tych książek z serii o kotach. Na przykład: *Violet idzie do kościoła, Violet wybiera się z wizytą do pastora...*

— Emmo, posuwasz się za daleko.

— Czy nie uważasz, że panna Rose przebiła wszystkich swoim strojem?

— Chyba tak.

— A wujaszek Billy? Co on zrobi z tą całą masą pieniędzy?

— Nie mam pojęcia.

Gwałtowny podmuch wyjącego wiatru omiół budynek, sprawiając, że w oknach zadrżały szyby. Spojrzeli na siebie.

— Jadą ze śniegiem — obwieścił pastor.

— Może rzeczywiście powinnam wyjść za Harolda jeszcze przed wiosną — powiedziała Emma.

Przed śmiercią Pearly McGee podarowała mu czek na tysiąc czterysta pięćdziesiąt sześć dolarów.

— Użyj tych pieniędzy, żeby kogoś uszczęśliwić — powiedziała mu. — Tego właśnie chcę, żeby ktoś był szczęśliwy.

Pomyślał, że pewien Dooley Barlowe byłby na pewno szczęśliwy, gdyby mógł znaleźć pod choinką czerwony rower.

Dooley zarobił sto osiem dolarów i potrzebował jeszcze raz tyle, żeby w sumie starczyło mu na czerwony górski rower.

Być może, myślał, powinien dołożyć pięćdziesiąt cztery dolary z własnych pieniędzy i pięćdziesiąt cztery z „sekretnego funduszu” Pearly.

Wspomniał o tym Emmie.

— Nie jestem pewna. Może sam powinien zapracować na ten rower.

— Dlaczego?

Emma wzruszyła ramionami.

— Jest w gorącej wodzie kąpany. Być może dalsza praca trochę by go ostudziła.

Gdy Emma wyszła, zadzwonił do sklepu z rowerami w Wesley. Tak, mogą dostarczyć rower do Mitford jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Myślał, że Punny będzie zachwycona, gdy jej powie, że już wkrótce sklep dostarczy czerwony rower, który trzeba będzie schować w garażu. Nie była.

— Mam nadzieję, że ojciec wie, co robi — stwierdziła jedynie.

We wtorek zjadł śniadanie z Olivią Davenport i pozwolił jej odwiedzić się do kancelarii w tak ulewnym deszczu, że ledwie widzieli światła jadących drugim pasem Main Street samochodów.

— Czy słyszałeś, co się stało na spotkaniu kółka czytelników Pisma Świętego wczoraj wieczorem? — zapytała Emma, gdy zdejmował płaszcz przeciwdeszczowy.

— Esther Bolick udawała biskupa?

— Jeszcze gorzej. Ktoś ukradł z lodówki w świetlicy parafialnej jej słynne ciasto pomarańczowe.

— Ukradł?

— Otworzył pudełko, w którym je przyniosła, i zjadł całą zawartość, włącznie z okruszkami.

— Nie rozumiem.

— Każdy przyniósł ze sobą coś do zjedzenia. Po spotkaniu w klasie szkoły niedzielnej, gdzie było ciepło, wszyscy poszli do kuchni, żeby napić się herbaty, i wtedy zobaczyli, że ciasto zniknęło.

Hilda Lassister powiedziała, że marzyła o kęsie tego ciasta pomarańczowego już od dwóch lat i że miała ochotę się rozplakać, gdy się okazało, że nigdzie go nie ma.

Pastor podrapał się w głowę.

— Nie rozumiem, dlaczego nie mogli go znaleźć.

— Sęk w tym — powiedziała zniecierpliwiona — że nie było go w lodówce, gdzie zostawiła go Esther. Zniknęło. Amen. Kamień w wodę. Rozstąp się ziemio.

— Włożyli ciasto do lodówki, wrócili po spotkaniu i ciasta nie było?

— Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Ktokolwiek jednak je ukradł, nie tknął nawet ciasta z ananasm Marge Houck.

— No, w końcu coś, co jestem w stanie zrozumieć — odparł.

W środę wieczorem wziął prysznic, przebrał się i przygotował do wizyty, którą zamierzał złożyć swojej nowej, mieszkającej w małym domku obok, sąsiadce. Cynthia Coppersmith dotrzymała obietnicy i zaprosiła go na kolację. A zaproszenie, jak mu się wydawało, przyszło w samą porę.

Zjadł już ostatni kawałek pieczeni pastora i wcale nie było mu jej żal. Na nieszczęście użył więcej niż zwykle owsa i w rezultacie powstał najbardziej niesmaczny produkt sztuki kulinarnej, jaki miał okazję próbować w ciągu ostatnich lat. Zacisnął jednak zęby i w przeciągu kilku dni zdołał zjeść wszystko. Był tak bardzo zawstydzony swoim wypiekiem, że schował go głęboko w lodówce, gdzie — miał nadzieję — nie znajdzie go Puny.

Z każdego okna w małym domku sączyło się ciepłe światło, widoczne w gęstej, spowijającej miasteczko mgle.

— Urocze! — powiedział głośno. — Mały domek dla małej osoby.

Ujął w dłoń starą mosiężną kołatkę i zapukał energicznie trzy razy.

Nikt nie otwierał, spróbował więc jeszcze raz. Cisza.

Ponieważ jego goście musieli czasami pukać do tylnych drzwi, gdy był akurat w salonie, pomyślał, że być może powinien zrobić to samo. Obszedł dom, potykając się na połamanych płytkach, i podszedł do tylnych drzwi, nad którymi świeciło się światło.

Zapukał i czekał. Cisza.

Otworzył ostrożnie drzwi i zajrzał do maluteńkiej, ale bardzo przyjemnej kuchni.

Na kuchence stał rondel, a w nim przypalona pieczeń, obok garnek, z którego coś wykypiało, a na kuchennej ladzie czekała blaszka gotowych do włożenia do piekarnika bułek.

— Dobry wieczór! — zawołał.

Biały kot wskoczył na stolik, spojrział na niego ze zdziwieniem i zaczął czyścić pazury.

— Violet, jak przypuszczam? Nigdy nie przepadał za kotami.

Słyszał, jak schodzi po schodach, aż w końcu stanęła w drzwiach do kuchni. Jej oczy były czerwone od płaczu.

— Znowu to zrobiłam — powiedziała, pociągając nosem. — Zawsze coś popsuję. Usiadłam przy swoim stole do rysowania tylko na chwilę. Na jedną minutę! Gdy godzinę potem spojrzałam na kuchenkę, ryż wykypiał, pieczeń się przypaliła, no i sam ojciec widzi.

— „Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił!” — zacytował radośnie z Księgi Eklezjastesa. — Na pewno robiłaś coś, co bardzo lubisz robić.

Westchnęła.

— Rysowałam krety.

Znowu krety! To wszystko tłumaczy, pomyślał gość.

— Słuchaj — zaproponował — jeśli nie masz nic przeciwko, pozwól, że przeprowadzę pewien eksperyment. — Wskazał szerokim gestem na zrujnowaną kolację.

— Tylko cud mógłby nam pomóc — powiedziała ze smutkiem.

— Dobry cud byłby mile widziany. Gdzie jest nóż do mięsa?

Wbił ostry nóż w koniec pieczeni i delikatnie odkroił gruby plaster mięsa.

— No cóż, dokładnie takie, jak lubię. Na zewnątrz przypieczone, a w środku lekko surowe.

Odkroił plasterek i podał go gospodyni na ostrzu noża.

— Powiedz, co myślisz.

Cynthia spojrzała na mięso podejrzliwie i zrobiła to, o co ją poprosił.

— Wyśmienite! — zawołała z entuzjazmem. — To prawdziwy cud!

Zdjął pokrywkę z garnka, z którego woda wykypiała na palnik, i pomieszał zawartość drewnianą łyżką.

— Ryż przywarł trochę do dna, ale myślę, że się ugotował. Tak, rzeczywiście. Dziki — mój ulubiony!

— Jest ojciec piekielnie uprzejmy — powiedziała posepnie.

— Nie jestem uprzejmy, tylko wygłodzony. Miałem dzisiaj bardzo dużo spraw do załatwienia i nie jadłem lunchu.

— Cóż — powiedziała, nabierając w końcu kolorów. — Przygotowałam również przystawkę z mięsa krabów i to mi się udało. Mam też usmażoną na szklisto cebulę z rozmarynem i miodem, która wygląda na jadalną.

Wyciągnęła z piekarnika dwa parujące i cudownie pachnące garnki i postawiła je na ladzie.

— Słyszałam, że lubi ojciec od czasu do czasu napić się kropelki sherry — powiedziała i naląła pastorowi markowy trunek. Podała mu kieliszek i naląła jeszcze jeden dla siebie.

— Przygotowałaś prawdziwą ucztę! — wykrzyknął gość.

— Na zdrowie! — powiedziała szczęśliwa gospodyni.

Rozdział jedenasty

BIAŁE ŚWIĘTO DZIEKCZYNIENIA

Święto Dziękczyńienia nadeszło, niosąc ze sobą grubą pokrywę nieoczekiwanego śniegu.

„Do Mitford zawitało białe Święto Dziękczyńienia — napisał redaktor »Muse«, J.C. Hogan — i wiele indyków podróżowało w brytfannach w dół wzgórza Baxter”.

Winnie Ivey opatulona szalikiem — prezentem z ostatnich świąt Bożego Narodzenia — szła z ciężkim koszykiem i lekkim sercem do znajdującego się nad salonem fryzjerskim mieszkania brata.

Panna Rose i wujaszek Billy włożyli zimowe buty i poszli na wspólną ucztę wszystkich Kościołów. Panna Rose schowała do kieszeni płaszcz dużą ilość pergaminu do zapakowania wszystkiego, co uda jej się wziąć na wynos.

Panna Sadie w obawie, że pod śniegiem może być lód, postanowiła zostać w domu, zjeść zapiekanekę z kurczakiem i sporządzić listę spraw do załatwienia przed przyjazdem Louelli tydzień po Bożym Narodzeniu.

Puny Bradshaw upiekła indyka i pojechała odwiedzić siostry.

Russell Jacks natomiast przygotował pieczoną kurę, ugotował całą masę kapusty i upiekł chleb kukurydziany. Mieszkańcy miasteczka skłonni byli uwierzyć w czary, gdy zobaczyli gęsty dym unoszący się z jego komina. Bajkowej scenerii dopełniał płaszcz białego świeżego puchu, który przykrył nagromadzone w ogródku przez Russella żelastwo.

Przed wyjściem na ucztę wszystkich Kościołów, która w tym roku odbywała się w kościele baptystów, ojciec Tim zapakował do koszyka dwie zapiekanki i pojemnik przyprawy do kielbas przygotowany przez Puny, i wybrał się z Barnabą do Little Mitford Creek.

Gdy doszedł do stojącego przy moście domku Winnie Ivey, skręcił w lewo i kontynuował wędrówkę wzdłuż strumienia, zagłębiając się w cichy, przysypany śniegiem las.

Od czasu do czasu jego nogi zapadały się z głuchym odgłosem w grubej pokrywie leżącego na leśnym poszyciu śniegu. Słyszając to, Barnaba podskakiwał do góry z mieszaniną radości i strachu i pociągał czerwoną smycz, na której prowadził go pastor.

Pastor zastanawiał się, jak kiedykolwiek mógł żyć bez Barnaby. Bez długich przyjacielskich spacerów, bez radości i trosk związanych ze sprawowaniem opieki nad żywym stworzeniem, bez coraz bardziej wyczuwalnej nici porozumienia, jaka pomiędzy nimi powstała i... tak, bez tej rozkoszy?

„Syn Pocieszenia”, tak wyjaśnia znaczenie imienia Barnaba czwarty rozdział Dziejów Apostolskich. Barnaba był tym wszystkim i czymś więcej.

Barnaba dał mu coś, czego nigdy wcześniej nie dał mu nikt inny. Ten ogromny czarny bezpański pies sprawił w jakiś cudowny sposób, że pastor poczuł się o dwadzieścia lat młodszy.

Szli po świeżych śladach, które zaprowadziły ich do miejsca, gdzie brzeg strumienia był najniższy. Przeszli przez strumień po kładce z dużych bali. Po drugiej stronie ślady prowadziły do drzwi stojącego przy nieczynnym moście zrujnowanego domu.

Z komina unosił się gęsty dym palonego drewna, a z wnętrza niewiele większego od komórki na narzędzia domu dochodził śmiech.

— Proszę bardzo! Proszę bardzo! — mówił Samuel K. Hobbes, gdy otwierał drzwi. Opierając się na swojej kuli, przesunął się na bok. — Wejdźcie i ogrzejcie się przy ogniu!

Barnaba wskoczył do środka, otrzepał mokre futro, spryskując wszystkich zebranych wodą, i położył się przy rozżarzonej kłodzie na drewno. Pastor z zadowoleniem zauważył, że w małym pomieszczeniu znajdowali się przedstawiciele wszystkich wyznań w miasteczku i że każdy z nich przyniósł kosz lub torbę czegoś dla Bezdomnego Hobbesa.

Hobbes poruszał się zręcznie na sfatygowanej kuli, nalewając każdemu z gości kawy.

— Przydałoby się panu tutaj jeszcze jedno krzesło — zaproponował stojący w kącie diakon z Kościoła metodystów.

— Nie, proszę pana, nie przydałoby mi się — odpowiedział Hobbes, stawiając pusty dzbanek na półce. — Sam pan Thoreau miał dwa i często tego żałował. Prawdę powiedziawszy, mam dwie pary spodni i uważam, że to o jedną za dużo.

Ojciec Tim ściągnął owinięty wokół szyi szalik.

— A co pan powie na te dwa ciasta z dynią? Czy chce pan, żebym zabrał jedno z powrotem?

— Nie, nie chcę, mój dobry ojczu. Spodnie i ciasta to dwie różne sprawy.

— Ma pan rację! — rzucił Rodney Underwood, który sam przyniósł jedno.

Hobbes podciągnął szelki i spojrzał uważnie na nieduży stół.

— Tylko spójrzcie na ten dostatek! Dwa, trzy, cztery, pięć... siedem ciast. To prawdziwa rozpusta! To zdecydowanie za wiele ciast jak dla starego Hobbesa. I duża tłusta kura, i torba pasztecików, i kilogram kapusty, i gotowe do zjedzenia słodkie ziemniaki...

— Proszę nie zapominać o worku kaszy i nóżce wieprzowej na krupnik — dodał Rodney, który słynął ze swojej pedanterii.

— I przyprawa do kielbas dzieła Puny Bradshaw — rzucił pastor.

Hobbes spojrzał na zebranych.

— Cóż, kochani, chociaż doceniam wasz gest, muszę wam wyznać świętą prawdę.

— O co chodzi? — zapytał podejrzliwie diakon.

— Zamierzam sprezentować większość tego jedzenia ludziom, którym wiedzie się dużo gorzej ode mnie.

— Nie miałem pojęcia, że jest ktoś, komu wiedzie się jeszcze gorzej niż tobie — powiedział młody Jack Teague z Kościoła prezbiterian.

— Tak ci się tylko wydaje, synu. Wystarczy pójść w górę strumienia i znajdziesz tam ludzi, którzy mają się jeszcze gorzej niż ja. Również z malutkimi dziećmi.

— Rób z tym wszystkim, co chcesz — powiedział Rodney. — Jest twoje, w imię Pana.

— I dziękuję wam za to — odpowiedział Hobbes.

Rodney podał mu koszyk z pasztecikami, które przysłała jego matka.

— Pobłogosławmy te paszteciki, chłopcy — zaproponował i przystąpił do odmawiania modlitwy, która obejmowała głód panujący na świecie, podatki na żywność, bezpańskie zwierzęta, drewno opałowe, konferencję baptystów, Little Mitford Creek, Big Mitford Creek, chorych, potępionych, niepomyślne prognozy dalszych opadów śniegu, decyzję rady miasta w sprawie chodników wzdłuż Lilac Road, prezydenta, Kongres, Senat, Izbę Reprezentantów oraz miejskie oddziały straży i policji.

— Amen! — zakończył Hobbes. — Powinno mi to wystarczyć do następnego Święta Dziękczynienia.

— Proszę pana — zaczął Jack Teague — słyszałem, że mieszkał pan kiedyś w Nowym Jorku.

— Zgadza się. Miałem duże, przepiękne biuro na Madison Avenue i mieszkanie nad samą Hudson River.

— Niech pan nie żartuje! — wykrzyknął Jack, potrząsając ze zdumieniem głową. — A od jak dawna jest pan... bezdomny?

— Mój przyjacielu, jak sam pan widzi, wcale nie jestem bezdomny.

Pokazał na piec na drewno, chwiejący się, przykryty ceratą stół, dwie półki, lampę naftową, krzesło, łóżko, umywalkę i na toaletę schowaną częściowo za naciągniętym na linkę obrusem z kracia-
stej bawełny.

— Mój obecny styl życia nie tylko chroni mnie w stu procentach przed stresem, ale również gwarantuje całkowitą niezależność od recesji. Czy gospodarka będzie się rozwijać, czy przeżywać za-
stój, nie będzie to miało żadnego wpływu na moją sytuację ekonomiczną. Prawdę powiedziawszy, jest to najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek miałem, a mieszkałem w wielkim stylu i w Nowym Jorku, i w Dallas, w stanie Teksas, nie wspominając o pewnym lokum w Los Angeles, w Kalifornii.

— Nie! Czym się pan zajmował?

— Reklamą, mój chłopcze! — odpowiedział Hobbes z szyderczym uśmiechem. — Reklamą.

W sobotę rano mieszkańcy Mitford obudzili się pod kolejną warstwą śniegu. Ojciec Tim odwołał więc wizytę z Dooleyem na farmie Meadowgate i wybrał się na lunch do baru Grill, a potem na zakupy z wujaszkiem Billym.

— Rose potrzebuje czegoś do ubrania — powiedział jego przyjaciel, który postanowił wydać część dochodów z wystawy. — Nie jestem dumnym człowiekiem, proszę księdza, ale na widok tych starych wojennych ubrań, które Rose wyciąga z szafy, ogarnia mnie wstyd. Tę suknię, którą miała na

sobie na wystawie, znalazła w Dumpster na Forks Road — zobaczyła jej wystający kawałek, gdy wyrzucaliśmy tam kilka krzeseł z chromowanego metalu.

— Nie jestem pewien, wujaszku Billy, czy będziesz miał ze mnie jakiś pożytek. Nigdy wcześniej nie kupowałem ubrań dla kobiety. Z ledwością umiem kupić coś dla siebie.

— Cóż, ale jest ojciec księdzem i wie, co jest stosownym strojem na niedzielną mszę. — Wujaszek Billy uśmiechnął się przyjaźnie, błyskając zębem. — Byłbym ojcu zobowiązany.

— A więc masz to załatwione — odparł pastor i obydwaj mężczyźni w zimowych butach i płaszczach wyruszyli do sklepu odzieżowego naprzeciwko pomnika.

Idąc z Barnabą do Lord's Chapel w sobotę po południu, pastor był pogrążony w myślach. Jego wyprawa na zakupy z wujaszkiem Billym okazała się ogromnym sukcesem i nie mógł się już doczekać chwili, gdy w niedzielę zobaczy pannę Rose wystrojoną w czarny kostium kupiony z czterdziestoprocentową obniżką i wełniany płaszcz w kolorze fuksji, który udało im się nabyć za połowę ceny.

Jedyny problem polegał na tym, że w Mitford nie było sklepu z damskim obuwem. Znaczyło to, że panna Rose może się pojawić w wojskowych butach brata z ciężkimi klamrami.

Nowy śnieg przytłumił odgłosy codziennego życia miasteczka. Idąc chodnikiem po dziewiczej warstwie białego puchu, pastor i Barnaba słyszeli jedynie chrzęst własnych kroków.

Podczas drogi Barnaba nie mógł się powstrzymać od stopienia w kilku miejscach śniegu. Za każdym razem, gdy już dopiął swego, zadowolony z osiągnięcia rzucał się energicznie do przodu.

— Gwarantuje niezależność od recesji! — mamrotał pastor na głos, myśląc o tym, co Bezdomy Hobbes powiedział o swoim pustelniczym życiu. Gdyby tylko reszta Mitford mogła się cieszyć tym przywilejem. W ostatnich miesiącach nie musiał włączać wiadomości, żeby usłyszeć o pogłębiającej się recesji — mógł ją wyczytać z twarzy miejscowych właścicieli sklepów.

Gdy przechodził obok drogerii, chciał pomachać przez okno Sparksowi, ale zamiast niego zobaczył Hoppy'ego Harpera. Kupuje zapewne swoją porcję zielonych cukierków żelowych, pomyślał. Cieszył się niezmiernie, że Hoppy zgodził się wejść w skład komitetu budowlanego. Jeszcze większą radość sprawiła mu jednak jego obietnica, że ponownie włączy się do życia Kościoła.

Mijając okno wystawowe, zauważył otuloną futrem Olivie Davenport. Podchodziła do Hoppy'ego z promiennym uśmiechem na twarzy. Na podobieństwo obrazu zarejestrowanego migawką aparatu scena dotarła do jego świadomości i zniknęła. Zdażył jednak dostrzec coś, co najwyraźniej bardzo go zaniepokoiło — wyraz prawdziwego szczęścia i czułości na twarzy przyjaciela, gdy spoglądał na Olivie Davenport, która umierała.

Kiedy doszedł do kościoła, okazało się, że drzwi są otwarte. Gdy wchodził do środka w oblepionych śniegiem butach, powitała go intensywna, kusząca woń kwiatów. Ich świeży zapach przemówił natychmiast do jego serca i rozjaśnił ponure myśli.

Zahaczył czerwoną smycz o nogę krzesła i Barnaba położył się posłusznie na podłodze, podczas gdy on ściągał buty. Najwyraźniej członkowie Bractwa Ołtarzowego przyszli do kościoła ułożyć kwiaty i zapomnieli zamknąć boczne drzwi. Oczywiście musi zwrócić im na to uwagę. Nie dlatego, że nie chce, aby kościół był otwarty. W rzeczy samej wolałby, żeby tak było. Nic tak bardzo nie zniechęca wiernego, który szuka kościoła, żeby się pomodlić i doznać duchowej odnowy, jak jego zamknięte drzwi. Jednak arras z Mortlake, utkany w tysiąc sześćset siedemdziesiątym piątym roku i wiszący obecnie za ołtarzem, jest tak unikatowy, że firma ubezpieczeniowa nie tylko zażądała częściowo zaciemnionego pomieszczenia i zamykanych drzwi, ale zastrzegła sobie w umowie rodzaj zamków.

Zazwyczaj nie przychodził do kościoła w soboty, dzisiaj jednak sam szukał szczególnej duchowej odnowy. Któż miał doradzić temu, który zawsze sam udzielał porad? Przeżegnał się.

— Spraw, Panie, abym doznał duchowej odnowy — modlił się — zgodnie z Twoją obietnicą.

Od wielu dni czuł się ciężki i przybity, ale nie z powodu świątecznego indyka i sosu. W kwestii diety nie mógł sobie nic zarzucić, jeszcze nigdy nie przestrzegał jej tak pilnie. Ciężka mu dusza, i to właśnie w chwili, gdy życie kościelne obfitowało w wydarzenia, a przygotowania do Adwentu zwiastowały nadchodzące w szalonym tempie święta Bożego Narodzenia,

Nie martwiło go jednak to rosnące tempo codziennego życia, ale własne kazania. W ciągu ostatnich tygodni stały się bezbarwne i monotonne. Jakby jałowe. Czuł się tak, jakby Duch Święty zabrał swoje dłonie i stał obok, bacznie się mu przyglądając.

Kiedy otwierał drzwi do nawy, westchnął i pomyślał, że musi w jakiś sposób zwalczyć ten nawyk. Wzdychanie zawsze robi fatalne wrażenie, a już na pewno w wykonaniu pastora. Być może powinien przerzucić ten ciężar na barki Emmy, mówiąc: „Emmo, jak na pewno zauważyłaś, mam przykry nawyk, który polega na tym, że często wzdycham. Od tej pory mów mi zawsze, kiedy to robię, a ja za każdym razem będę wkładał jednego dolara do kasetki na datki dziękczynne”.

Jednego dolara!, pomyślał. Sama surowość kary powinna rozwiązać problem.

Przed modlitwą jednak chciał jeszcze wykonać jedną czynność. Już dawno wprowadził taki zwyczaj, że zawsze, gdy przychodził do kościoła w sobotę, robił coś pożytecznego.

Dzisiaj zamierzał poświęcić trochę spóźnionej uwagi kolumbarium. Było to małe pomieszczenie znajdujące się w prowadzącym do świetlicy parafialnej korytarzu, w którym stało sześć wypełnionych popiołami urn.

Namacał palcami leżący u góry na futrynie klucz, otworzył drzwi i włączył światło.

Nie jest to raczej imponujące miejsce spoczynku, pomyślał. Sam pragnął być pochowany w tradycyjny sposób. Chciał, aby na jego grobie rosły kwiaty, a nad głową śpiewały ptaki.

Przesunął modlitewniki z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, które ktoś ułożył w równym stosiku na półce obok urn, i napełnił częściowo kosz na śmieci szklanymi popielniczkami,

których używali w świetlicy parafialnej przed wprowadzeniem błogosławionego zakazu palenia. Wyprzedził!

Wrzucił do kosza dwa bukiety plastikowych poinsecji, żeby przypadkiem ktoś ich nie znalazł i nie próbował ponownie przyozdobić nimi kościoła, a potem dorzucił jeszcze stertę tak bardzo zniszczonych śpiewników, że brakowało im okładek. Makulatura!

Usatysfakcjonowany rezultatem dwudziestu minut pracy, poszedł do kuchni po szmatki do ścierania kurzu i po powrocie zaczął wycierać szczątki Parkinsona Hamricka.

— Odszedł do wiecznej chwały! — powiedział z uśmiechem, wspominając życzliwego mężczyznę, który śpiewał jak anioł.

Spopielone resztki Parkinsona zagrzechotały głucho, gdy odstawiał urnę na miejsce. Chociaż sam nigdy nie zaglądał do żadnego z tych posepnych naczyń, ojciec Roland powiedział mu, że w popiele znajdują się kawałki zwęglonych kości, które dają taki odgłos.

— Lydia Newton — wymamrotał na głos, podnosząc jej urnę.

Owdowiała Lydia Newton przyjechała do Mitford razem ze swoją teściową, również wdową. Żyły tutaj szczęśliwie przez wiele lat. „Gdzie ty umrzesz — powiedziała Rut do Noemi w biblijnej opowieści — tam ja umrę i tam będę pogrzebana. Niech mi Pan to uczyni i tamto dorzuci, jeśli coś innego niż śmierć oddzieli mnie od ciebie”. Był to jeden z najcudowniejszych fragmentów Pisma Świętego, mylnie wykorzystywany podczas protestanckich ślubów.

Małe ponure pomieszczenie jakby ożywało. A on już teraz czuł się lepiej. Podniósł kolejną urnę. O ile z poprzednich dobywał się głuchy grzechot, o tyle szczątki Parrisha Guthriego grzechotały inaczej. Jeszcze raz ujął w dłonie wykonaną z brązu urnę i wstrząsnął nią.

Dziwne. Brzmi zupełnie inaczej niż pozostałe. Grzechot wydawał mu się dźwięczniejszy, jakby w środku znajdowało się coś małego i twardego, jak kamyki.

Zaciekawiło go to. Ostatecznie nigdy przedtem nie zaglądał do wnętrza urny. Spojrzał na słabo świecącą żarówkę i postanowił przenieść naczynie do kuchni, w pobliże dużego okna nad zlewomywakiem.

Ściągnął z przymocowanego obok zlewu wieszaka ścierkę do naczyń i spróbował odkręcić pokrywę urny. Ani drgnęła. Stwierdził, że przydałby się jeden z tych otwieraczy do słoików. Urna zagrzechotała dźwięcznie. Muszelki, pomyślał, przypominając sobie spędzone w dzieciństwie nad brzegiem zatoki dni. Dźwięk przypominał grzechot małych muszelek wrzuconych do słoika.

Nagle pokrywa urny ustąpiła i pozwoliła się odkręcić, jakby była naoliwiona.

Obrócił urnę tak, aby jej wnętrze oświetlało światło, i zajrzał do środka. Coś zabłyszczało.

— Mam nadzieję, że to nie złoty ząb poczciwca! — powiedział na głos.

Rozłożył ścierkę na ladzie, następnie położył urnę na boku i wstrząsnął nią delikatnie. Coś małego, zawiniętego w kawałek materiału, ukazało się jego oczom i wypadło na zewnątrz. Gdy rozwiązał sznurek, z zawiniątka niczym ziarna grochu wysypały się błyszczące szlifowane kamienie.

— Wielki Boże! — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Promienie zimowego słońca tańczyły na kamieniach. Niektóre z nich, o kształcie maluteńkich kul, rzucały czarujące purpurowe światło. Inne, w kształcie łezki, zdawały się płonąć zielonym żywym ogniem. Jeszcze inne były tak niebieskie jak odległe góry.

Stał przy zlewozmywaku, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Zauważył, że w naczyniu jest jeszcze kilka takich zawiniątek, i nagle opanowało go takie przerażenie, że poczuł się tak, jakby ktoś zawiesił mu kamień u szyi.

— Ojczy, coś tu jest nie tak. Potrzebuję Twojej mądrości. Pomóż mi to zrozumieć...

Wypuścił powietrze z płuc i usiadł na krześle obok telefonu. Jego nogi były jak z waty. Kłopoty! Przed oczami miał właśnie kłopoty. Był o tym przekonany, jeszcze zanim zaczął się nad tym zastanawiać.

Osobiście sprawdzał wszystkie urny trzy lata temu — dokładna data widnieje na pewno w jego leżącym na półce w kancelarii dzienniku. Grzechot szczątków Parrisha Guthriego nie różnił się wtedy od innych. Z tego wniosek, że ktoś musiał włożyć do urny kamienie w tym czasie.

Do schowka zaglądało bardzo niewiele osób. Ktoś otwierał od czasu do czasu drzwi, wrzucał do środka jakąś niepotrzebną rzecz i wychodził. Kiedyś uczniowie szkoły niedzielnej oglądali to pomieszczenie w ramach lekcji o śmierci. Ale pewien dziesięciolatek skwitował to jednym słowem: „Ohydztwo!” Jeśli było w kościele jakieś zapomniane, rzadko używane miejsce, to na pewno był nim właśnie ten schowek. Nadawał się więc idealnie do ukrycia skarbów, które właśnie znalazł.

Ale czy rzeczywiście znalazł coś przedstawiającego jakąś wartość? Czy znalezisko było prawdziwe? Nie znał się na kamieniach szlachetnych. Jego ojciec adwokat otrzymał kiedyś jako zapłatę za poradę prawną kilka nie oszlifowanych diamentów. Wydawały mu się matowe, szare i nieciekawe. Gdy jednak zostały oszlifowane, płonęły jak ogień. Prawdziwy cud!

Nie, nie znał się na kamieniach szlachetnych. Coś jednak mówiło mu, że te są prawdziwe. Wiadział już ten sam żywy, trudny do opisania ogień w szlifowanych diamentach.

— Co teraz?

Wstał z krzesła i zaczął przemierzać kuchnię tam i z powrotem.

Powinienem, myślał, zatelefonować do Rodneya Underwooda, który prowadziłby nie kończące się przesłuchania i dochodzenia oraz zbierałby odciski palców, jak w telewizji.

Nieliczne siły policyjne słynącego z nadgorliwości Rodneya opanowałyby kościół niczym szarańcza, a zbliżało się przecież Boże Narodzenie i chór musiał przećwiczyć nowe pieśni. Ponadto już za tydzień muszą rozpocząć próby do specjalnego wieczoru muzycznego i koncertu. Zbliży się też festi-

wal kolęd i czytania Pisma Świętego. Piękno i świętość tego czasu, zmacone już przez niepokój i inne problemy, zostaną doszczętnie zniszczone.

Nie mógł też nie brać pod uwagę J.C. Hogana.

J.C. opublikowałby z pewnością na pierwszej stronie ubarwiony jak zwykle różnymi nieścisłościami artykuł. Przeprowadziłby najprawdopodobniej wywiad z Emmą Garrett, Russellem Jacksem, członkami rady parafialnej i każdym chętnym do zabrania głosu bywalcem baru Grill, to znaczy ze wszystkimi.

Co gorsza, J.C. przesiadywałby całymi dniami w Lord's Chapel i kancelarii parafialnej, czekając na jakieś „sensacyjne odkrycie” i zjadając mnóstwo torebek M&Msów, przy czym większość cukierków wylądowałaby na podłodze i zostałaby później rozgnieciona butami przechodzących osób.

Mógł też nie wywoływać wilka z lasu i zatelefonować do Rodneya dopiero po świętach. Nie wahał się więc ani chwili.

Zawinął klejnoty z powrotem w kawałek materiału, zawiniątko przewiązał sznurkiem, włożył do urny i zakręcił pokrywę naczynia. Ścierkę powiesił na wieszaku, poszedł do znajdującego się w korytarzu schowka, postawił urnę na półce, dokładnie w miejscu, z którego ją zabrał, starł kurz z pozostałych trzech urn, wyłączył światło, wziął ze sobą kosz i szmatki do ścierania kurzu, zamknął drzwi, położył szmatki pod kuchennym zlewozmywakiem, postawił kosz w nie używanym pokoju, sprawdził, jak się ma Barnaba, i w końcu udał się do nawy, żeby zrobić to, po co naprawdę przyszedł — pomodlić się w sprawie swoich anemicznych kazań.

Gdy przystanął na chwilę, pozwalając oczom przyzwyczać się do wielkości nawy, usłyszał dziwny dźwięk. Potem z przodu, po lewej stronie kościoła, zobaczył klęczącego w ławce mężczyznę. Nagle nieznajomy oparł się plecami o ławkę, spojrzął w górę i wydał z siebie tak tragiczny jęk, że serce pastora zamarło.

— Obdarz mnie swoją mądrością — modlił się już po raz drugi dzisiejszego ranka. Potem stał przez chwilę, czekając. Sam nie wiedział na co.

— Jeśli jesteś tam, to mi to udowodnij. Pokaż mi! Jeśli jesteś Bogiem, to możesz to zrobić! — W głosie mężczyzny słychać było jednocześnie gniew, rozpacz i dziwną nadzieję. — Już nigdy Cię o to nie poproszę — rzucił chłodno, a potem z wściekłością, która zmroziła słuchacza, krzyknął ponownie: — Czy... jesteś... tam... na górze?

Ukrył głowę w dłoniach, wyglądając na skrajnie wyczerpanego, a jego pytanie niosło się echem po kościele.

Ojciec Tim wślizgnął się do ławki po drugiej stronie przejścia i uklęknął na sfatygowanym klęczniku.

— Być może zadaje pan niewłaściwe pytanie — powiedział cicho.

Zaskoczony mężczyzna podniósł głowę.

— Wydaje mi się, że pytanie, które chce pan zadać, brzmi: „Czy jesteś tu na dole?“, a nie: „Czy jesteś tam na górze?“

— Do licha, co to za żarty?

— Proszę nie przeklinać w tym miejscu.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i wytarł nią twarz. Pastor zauważył, że jest elegancko ubrany i ma na sobie drogi garnitur i krawat. Biznesmen, bez wątpienia. Raczej zamożny. Na pewno nie z Mitford.

— Bóg nie byłby Bogiem, gdyby przebywał tylko na górze. Prawdę powiedziawszy, jedno z jego imion brzmi „Emmanuel“, to znaczy „Bóg z nami“. — Pastor był zaskoczony swobodnym tonem swojego głosu, jakby spotkali się tutaj, żeby pogawędzić. — Jest z nami w tej chwili, w tym pomieszczeniu.

Mężczyzna spojrział na niego.

— Chciałbym w to wierzyć, ale nie mogę. Zupełnie nie czuję Jego obecności.

— Musi być jakaś przyczyna...

— Rzeczy, które zrobiłem — powiedział ze smutkiem mężczyzna.

— Czy prosił Go pan, aby wybaczył to, co pan zrobił?

— Zapewniam ojca, że Bóg nie chciałby mi wybaczyć.

— Może mi pan nie wierzyć, ale mogę przyrzec, że na pewno uczyniłby to. Prawdę powiedziawszy, On sam przyrzeka, że to uczyni.

Mężczyzna spojrział na zegarek.

— Mam spotkanie — powiedział, ale mimo to nie ruszył się z miejsca. W dalszym ciągu kłęczął.

— Czym się pan zajmuje?

Było to jedno z pytań, które słyszy się na koktajlu lub spotkaniu klubu rotariańskiego, i zadał je jakby bezwiednie.

— Butami. Produkujemy obuwie męskie. Jechałem właśnie na spotkanie dotyczące sprzedaży do Wesley i zobaczyłem to miejsce, więc wszedłem do środka. A teraz sam nie wiem, co u licha — przepraszam — co ja tutaj robię. Muszę ruszać w drogę.

A jednak nadal nie podnosił się z kolan. Była to dziwna myśl, ale mimo to pastor postanowił z niej skorzystać.

— Powiedzmy, że musi pan się przenieść do nowej hali produkcyjnej. Problem polega na tym, że stoi w niej bezużyteczny przestarzały sprzęt. Dopóki nie pozbędzie się pan całego tego złomu i nie zainstaluje właściwych maszyn, pana firma jest sparaliżowana, nie może pan produkować.

— Skąd ojciec wiedział, że szukamy nowej fabryki?

— Nie wiedziałem, to cudowny zbieg okoliczności.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Po podłodze poddasza przebiegła wiewiórka.

— Fabryka może stać nie używana i nie przynosić zysków albo można pozbyć się starych maszyn i rozpocząć produkcję. Czy czuje się pan szczęśliwy?

— Nie, już od dawna.

Gdzieś w ciemnym kościele zaskrzypiała podłoga.

— Nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób, w jaki mógłbym to panu powiedzieć... ale gdy zaprosi Go pan do swojego życia, wszystko, co bezwartościowe, zniknie. Opuści pana gniew, urazy i strach. Gdy tylko się to stanie, Bóg, że tak powiem, pomoże panu zainstalować nowe maszyny i rozpocząć produkcję.

— Niech mnie ojciec posłucha. Nie chcę tarzać się w tej gadaninie o Bogu jak świnia w błocie. Szukam jedynie odpowiedzi na kilka pytań, to wszystko.

— Jakie to pytania?

— Summa summarum, czy On jest tam na górze, czy istnieje naprawdę?

— Summa summarum, jest tutaj na dole, jest z nami w tej chwili.

— Niech mi to ojciec udowodni.

— Nie mogę, nawet nie chcę próbować.

— Jezu — powiedział mężczyzna, potrząsając głową.

To tak, jak lot z zasłoniętymi oczami, pomyślał pastor, jazda samochodem z przednią szybą pokrytą szronem.

— Odnoszę wrażenie, że chciałby pan, żeby Bóg był namacalny, być może chciałby pan nawet być blisko Niego, ale... ale kurczowo trzyma się pan czegoś, kurczowo trzyma się pan któregoś z tych grzechów, których według pana Bóg nie będzie mógł wybaczyć, i nie chce się pan go wyrzec.

Głos mężczyzny był zimny.

— Chciałbym kogoś zabić, przez cały czas myślę o tym, żeby go zabić. Nigdy bym tego nie zrobił, ale on na to zasługuje i myślenie o tym pomaga mi. Lubię o tym myśleć.

Pastor poczuł się nagle słaby, jakby gniew udzielił się jemu, jego własnej duszy. Zaprzagnął, aby z szyby zniknął szron. Dokąd ich to zaprowadzi?

— Czy lubi pan jesień? Mężczyzna zaśmiał się dziwnie.

— Dlaczego ojciec pyta?

— Jednym z powodów, dla których liście opadają jesienią z drzew, jest pojawienie się nowego pączka, który wypycha stary liść z jego miejsca na gałęzi. Gdy pozwoli pan, żeby Bóg przepelnił pana miłością i wybaczeniem, wszystko, co teraz wydaje się panu najważniejsze i czego tak kurczowo się pan trzyma, zacznie się powoli wykruszać... i prawie pan nie zauważy, gdy zupełnie zniknie.

Mężczyzna spojrział na zegarek i wykonał ruch, jakby chciał się podnieść z kolan. Był wyraźnie poruszony.

— Chciałbym pana o coś zapytać — powiedział pastor. — Czy chciałby pan zaprosić do swojego życia Chrystusa?

Nieznajomy spojrzał w głąb ciemnego sanktuarium.

— Nie mogę. Próbowałem.

— To nie jest test, który musi pan zdać. Nie potrzeba do tego dyscypliny ani inteligencji... Nie potrzeba nawet szczególnej siły czy wytrwałości. Potrzeba jedynie wiary.

— Nie jestem pewien, czy ją mam... — Nastąpiła długa chwila ciszy. — Ale mogę spróbować... jeszcze jeden raz. — Podniósł wzrok. — Co mam do stracenia?

— Nic, rzeczywiście.

Ojciec Tim z pewną trudnością wstał z klęcznika, wyszedł z ławki i podszedł do mężczyzny. Położył dłonie na jego głowie.

— Gdyby mógł pan za mną powtarzać — powiedział. — Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz, i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela. Teraz, jako Twoje dziecko, zawierzam Ci całe swoje życie. Amen.

Mężczyzna powtórzył modlitwę i na chwilę zapanowała cisza.

— Czy to wszystko? — zapytał w końcu.

— To wszystko.

— Nie wiem... co powinienem czuć.

— Cokolwiek pan czuje, jest to dokładnie to, co powinien pan czuć.

Mężczyzna zawstydzil się nagle i poczuł się nieswojo.

— Muszę się już zbierać. Jechałem na spotkanie do Wesley i zobaczyłem ten stary kościół i... wszystko było, ja byłem... muszę się już zbierać. Proszę, dziękuję. Dziękuję ojcu — powiedział, ścisnąc pastorowi dłoń.

— Proszę... jeszcze kiedyś zaglądnąć.

Stał przez chwilę w drzwiach i patrzył na odchodzącego mężczyznę. O tak wielu rzeczach mu nie powiedział, tak wiele rzeczy pominął. Ale Duch Święty wypełni luki.

Gdy wychodzili z kościoła, Barnaba spojrzał do góry, jakby wyczuł jakiś dziwny zapach, i utkwivszy wzrok w suficie, zaczął dziko szczeakać. Jego donośny głos wypełnił małą nawę jak niskie tony organów.

Nie bez pewnej trudności pastor oderwał swojego podopiecznego od podłogi w przejściu i pociągnął go za sobą na smyczy.

Miał wrażenie, że minęły całe lata od chwili, gdy wchodził tymi drzwiami do kościoła. Jego zegarek jednak mówił mu, że spędził w Lord's Chapel zaledwie kilka godzin.

Czuł się dziwnie spokojny, idąc do ulicy zaśnieżoną ścieżką po zostawionych przez nieznanego śladach.

W miarę jak zbliżało się Boże Narodzenie, jego sen stawał się coraz bardziej niespokojny. Spędzał bezsenne godziny, leżąc w łóżku, a Barnaba chrapał u jego nóg. Bezskutecznie usiłował wyrzucić z pamięci myśl o klejnotach. Łapał się na bezowocnych rozmyślaniach, przewracał z boku na bok, aż łóżko stawało się w końcu gmatwaniną prześcieradeł i koców, a Barnaba szedł do kuchni na przekąskę, którą chrupał tak głośno, że mógłby obudzić sąsiadów.

Przemknęła mu również przez myśl nowa sąsiadka. Był ciekaw, jak sobie radzi. Wydawało mu się, że przed jej domem ostatnio widział szarego mercedesa Andrew Gregory'ego. Nie miał jednak pewności, ponieważ nigdy nie był dobry w rozpoznawaniu samochodów.

Czy bywali gdzieś razem? Czy Andrew przychodził do niej na obiady złożone z przypalanej pieczeni i spalonych bułek? Pamiętał dźwięczny śmiech Cynthii dochodzący zza ściany w toalecie i to, jak poczuł się wtedy dziwnie gruby, niski i nudny w porównaniu z Andrew. Nie było to przyjemne uczucie.

Usiadł na brzegu łóżka.

Nagle przypomniał sobie, że w urnie Parrisha Guthrie'go nie było popiołu. Nic się nie wysypało na białą ścierkę do naczyń, jak również nic nie przyćmiło blasku klejnotów owiniętych luźno w kawałek miękkiego materiału. Gdzie zatem były popioły zmarłego?

Popioły, popioły. Coś jakby majaczyło w jego pamięci, ale nie umiał przypomnieć sobie szczegółów. Wydawało mu się również, że kiedyś czytał coś o skradzionych klejnotach.

Wstał, podszedł do okna i spojrzął na dom Cynthii Coppersmith. Zastanawiał się, jak sobie radzi, ona i Violet, czy jest szczęśliwa w Mitford. W domu nadal świeciły się światła, mimo że była co najmniej dwunasta. Widział też maluteńkie białe migające światełka, którymi Cynthia przyozdobiła przed świętami rosnące wzdłuż schodów wejściowych krzewy. Jakie to miłe uczucie, że w sąsiednim domu ktoś mieszka!

Usiadł w swoim fotelu z wysokim oparciem i wziął do ręki „Observera”, ale nie mógł czytać. Skradzione klejnoty. Czytał gdzieś coś...

Artykuł w gazecie wystającej spod bibularza na biurku Andrew Gregory'ego! Klejnoty! Skradzione spod nosa strażnika. Coś o zamartwionej królowej.

Nie, pomyślał, tam chodziło o naszyjniki należące do koronowanych głów, a nie o pojedyncze kamienie. Nieważne.

Popioły, pomyślał ponownie. Ale prawie w tej samej chwili zasnął w fotelu.

Olivia Davenport otworzyła drzwi do kancelarii i powiedziała wesoło:

— Puk, puk!

Miała na sobie szmaragdowy kostium z czarną lamówką, a pod pachą trzymała Pismo Święte. Razem wzięwszy, pomyślał pastor, cudowny obrazek.

— Usiądź, proszę, Olivio, i powiedz mi, jak się sprawy mają.

— Jestem taka podekscytowana, ojcze! Organizujemy wieczór z Pismem Świętym w szpitalu. Księga Izajasza. Księga Rut. Księga Psalmów. Fragmenty Ewangelii według świętego Jana. Mam nadzieję, że ojciec do nas dołączy i zechce coś przeczytać. Dobrze? Ojciec ma taki piękny głos. A... i zamierzamy to potem powtórzyć w szpitalu w Wesley.

Policzki Olivii były zaróżowione, a jej fiołkowe oczy błyszczały. Bez względu na rodzaj choroby, która ją nękała, jej nowa misja z pewnością była dobrym lekarstwem.

— Możesz mnie dopisać do listy lektorów! — odparł. — Daj mi tylko dokładny grafik i postaram się jakoś dostosować.

— Cudownie — ucieszyła się i wstała, żeby wyjść. — Wpadłam tu po drodze do Sklepu...

— Olivio...?

— Tak?

— Czy mogłabyś zostać jeszcze przez chwilę? Uśmiechnęła się i usiadła ponownie.

Nie chciał tego robić, ale niestety musiał.

— Olivio, wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi? W jej fiołkowych oczach widać było zmieszanie.

— Nie wiem... co ojciec ma na myśli?

— Coś mi mówi — i zapewniam cię, że to nie Hoppy — że darzy cię on coraz większą... że tak powiem sympatią.

Olivia patrzyła na niego bez słowa.

— Bardzo mnie to martwi — powiedział zwyczajnie.

— Mnie również.

— Czy on wie?

— Nie.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś powiedziała mi całą prawdę. Oczywiście, ma się rozumieć, wszystko zachowam w tajemnicy. Mówisz, że umierasz. Ale dlaczego? Dlaczego wyglądasz tak zdrowo? Jak będzie się ta... choroba... rozwijać? Czy cierpisz? — Przerwał na chwilę. — To bardzo poważne pytania. Ale być może dla mnie największe znaczenie ma następująca kwestia. Jeśli rzeczywiście umierasz, nie mogę przyglądać się spokojnie, jak mój przyjaciel, który niedawno przeżył śmierć żony, buduje związek, który...

Olivia wstała.

— Proszę! Rozumiem.

Nagle zrobiła się blada i smutna.

— Wszystko ojcu opowiem. Rzeczywiście, powinien ojciec wiedzieć. Przepraszam. To dlatego, że gdy przeprowadziłam się tutaj, chciałam zapomnieć. Chciałam... żyć, nie myśląc o śmierci. Przez chwilę nic nie mówiła.

— Zanim zacznę, chciałabym poprosić, żeby zrobił ojciec coś dla mnie.

— Cokolwiek zechcesz — obiecał bez wahania.

— Gdy wszystko już ojcu wytłumaczę, chciałabym, żeby ojciec mu to opowiedział.

Pastor milczał.

— Kiedyś próbowałam — kontynuowała Olivia — ale on przecież nic mi nie mówił o swoich uczuciach. Może wydam się ojcu niegodziwa, ale jestem zbyt dumna, żeby powiedzieć: „Słuchaj, wydaje mi się, że się we mnie zakochujesz, a nie powinienes”. A co, jeśli to nieprawda, jeśli tylko mi się wydawało, i obydwójce czujemy się upokorzeni?

— Nie wydaje ci się.

— W takim razie, powie mu ojciec?

— Powiem, ale chciałabym, żebyś i ty coś dla mnie zrobiła. — Co ojciec zechce — odparła szczerze.

— To będą jego drugie samotne święta i wydaje mi się, że jeszcze nie do końca uporał się z bólem. Gdybym powiedział mu teraz... skomplikowałoby to tylko wszystko niepotrzebnie. Spotkasz się z nim prawdopodobnie w kościele, no i oczywiście w szpitalu. Chciałabym jednak, żebyś starała się go unikać, na ile to możliwe. Potem, po świętach, powiem mu.

— Mogę to zrobić — powiedziała wolno. — Jest mi bardzo drogi. Jest wspaniałym człowiekiem.

— To prawda.

— W takim razie... Przypuszczam, że nie mogę już tego dłużej odkładać.

Gdy Olivia Davenport wyszła, przez chwilę siedział w ciszy, wpatrując się w drzwi. Potem uprzątnął biurko i napisał na maszynie zaległy list do Waltera, w którym zacytował List do Rzymian 8,28: „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim (we wszystkim, Walterze!) dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru». Pamiętajcie o tych słowach z Katherine”.

Pisał właśnie, a szło mu dużo lepiej niż zwykle, gdy Russell Jacks otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Russellu! Wejź i usiądź. Może napijesz się kawy?

Pastor wstał, napełnił filiżankę kawą i podał ją starszemu mężczyźnie, który wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego.

— Jak sobie radzisz, Russellu?

Kościelny zakaszłał gwałtownie.

— Nie ma spoczynku dla potępionych — rzucił w odpowiedzi, uśmiechając się.

— A jak się ma Dooley? Przepadła nam z powodu śniegu nasza wycieczka do Meadowgate, a teraz, ze świętami Bożego Narodzenia za pasem, nie wybierzemy się tam wcześniej niż w styczniu.

— Cóż, ojciec — powiedział Russell, zwijając czapkę w dłoniach — przygnębiony to właściwe słowo.

— Przygnębiony? Dooley?

— Tak, właśnie tak, proszę ojca.

— A co się stało?

Russell wahał się przez chwilę, patrząc w podłogę.

— Cóż, ojciec. Chodzi o jego mamę. Dooley bardzo tęskni za domem.

— Czy nie może jej odwiedzić? Miałem o to zapytać.

— Myślę, że mógłby... Ojciec Tim czekał.

— Ale prawdę powiedziawszy, myślę, że nie może. Znowu zapadła cisza.

— O co chodzi, Russellu? Powinieneś powiedzieć mi prawdę. Na co dokładnie choruje twoja córka?

— Nerwy — wymamrotał Russell.

— Nerwy?

Stary mężczyzna podniósł wzrok. Na jego twarzy malował się smutek.

— Alkohol, mówiąc szczerze. Jego mama pije.

— Bardzo mi przykro.

— Rozdała wszystkie dzieci, całą piątkę. Jak psiaki. Wziąłbym dwoje, gdybym mógł, ale... — Wzruszył ramionami i znowu zakaszłał. — Chłopiec jest najstarszy, opiekował się tymi małymi prawie przez całe swoje życie. Rozebrali ich jak gromadkę kociąt z pudełka, jedno tu, drugie tam, bardzo to przeżył.

— Ogromnie mi przykro, nie wiedziałem. Pastorowi zrobiło się bezgranicznie żal Dooleya.

Podczas kolejnego ataku kaszlu Russell zasłonił twarz kapeluszem. Gdy przestał kaszleć, jego twarz była szara.

— Czy leczysz jakoś ten kaszel, Russellu?

— O, tak. Trochę tego, trochę tamtego, można powiedzieć.

— A jak zapowiada się twoje Boże Narodzenie?

— Jakoś sobie poradzimy, ja i chłopiec.

— Chciałbym, żebyście sobie nie tylko poradzili, ale żebyście prawdziwie świętowali.

Pastor wysunął prawą górną szufladę biurka i próbował namacać ręką plik banknotów. Złożył w banku tysiąc dolarów z „sekretnego funduszu” Pearly i zatrzymał trochę gotówki na takie właśnie okazy.

Podał Russellowi szeleszczący studolarowy banknot.

— W imię Boga, Russellu, kup chłopcu choinkę i zawieś na niej trochę światełek, jeśli możesz.

— Dziękuję ojcu — powiedział Russell, który wyglądał jednocześnie na zawstydzonego i szczęśliwego. — Czy myśli ojciec, że Bóg miałby nam za złe, gdybyśmy za resztę kupili sobie jakąś ładną szynkę?

— Czy miałby wam za złe? Ależ wręcz przeciwnie, myślę, że byłby niezadowolony, gdybyście tego nie zrobili! A to, proszę, na twój kaszel.

Wyciągnął dwudziestodolarowy banknot z własnej kieszeni. Kościelny złożył z szacunkiem obydwie banknoty i schował je do kieszeni spodni.

— Dziękuję ojcu. Skończyliśmy nawozić rododendrony, zanim zaczął padać śnieg. Myślałem, że powinien ojciec wiedzieć.

Rododendrony. Nawóz. Popiół!

Nagle przypomniał sobie jesienny dzień, gdy obszedł dookoła kościoła i znalazł Russella rozkładającego pod krzewami niedaleko bocznego wejścia nawóz. Zauważył wtedy, że ziemia posypana jest popiołem. Zupełnie tak, jakby ktoś wysypał resztki nie dopalonego węgla z ogrodowego grilla. Przypomniał sobie, że zapytał Russella, skąd się wziął ten popiół, i że pożyczył potem od niego rękawiczki i przysypał go ziemią.

Nagle poraziła go myśl i nie miał cienia wątpliwości co do jej słuszności. Pod krzewem rododendronu w kościelnym ogrodzie pogrzebał szczątki podstępnego Parrisha Guthriego.

Jesienią ktoś wysypał popiół, wydostawszy się z kościoła bocznymi drzwiami. Następnie, myślał pastor, włożył klejnoty do pustej urny w przekonaniu, że będą tam bezpieczne. W większości kościołów kolumbarium nie było często odwiedzanym miejscem, a do ich własnego nikt nie zaglądał już od trzech lat.

Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że mógł to zrobić ktoś z jego parafian. Kto inny jednak wiedziałby o schowku i o tym, że jest on bardzo rzadko używany? Złapał się na tym, że nieustannie analizuje listę parafian, kwestionując uczciwość każdego z nich. Był to proces, który sprawiał, że czuł się zły i przygnębiony. Odkrycie tych kamieni przypominało diabelską sztuczkę, która pozbawiła go ciszy i spokoju w okresie, gdy były one szczególnie pożądane.

Wieczór muzyczny i koncert ściągnęły tak dużą liczbę gości, że kościół wypełniony był po brzegi. Jeśli chodzi o chór, to pastor był zdania, że wzniósł się on na nowe szczyty swoich umiejętności. Po występie w kościele chór wyszedł na zewnątrz i siedł wzdłuż Main Street, śpiewając w mroźną noc kolędy i oświetlając drogę latarniami. Członkowie chóru utworzyli świetlisty korowód przesuwany się po starej ulicy. Zatrzymywali się po drodze to tu, to tam, wstępując do otwartych sklepów na gorący jabłecznik i ciasteczka.

Tenor i baryton odłączyli się od chóru i powędrowali wzdłuż ciemnego zimnego brzegu strumienia do małego domku Bezdomnego Hobbesa. Ogrzali się przy piecu na drewno i razem z gospodarzem zapamiętale śpiewali kolędy dopóty, dopóki starczyło im sił.

Na zakończenie pastor zaprosił kolędujący chór do domu. W salonie czekał na nich płonący na kominku ogień i uczta, którą przygotowywała przez kilka dni Puny. Znalazły się tam krewetki w pikantnym sosie curry, szynka w polewie miodowej, gorące paszteciki, sałatka z żurawiny, pieczony kurczak, pieczone ziemniaki z rozmarynem i owoce w zaprawie z koniaku. Wszystkiego było bardzo dużo.

Mała grupka gości zgromadziła się wokół buzującego ognia i na zakończenie zaśpiewała jedną z ulubionych kolęd pastora.

„W środku ponurej zimy — brzmiały pierwsze słowa pieśni Christiny Rossetti — przeszywający jęczał wiatr, ziemię mróz obrócił w kamień, a wodę skuł lód.

I ostatnia, jakże wzruszająca strofa: „Cóż mogę Mu podarować, kiedy bieda u mnie niesłyszana? Gdybym był pasterzem, dałbym Mu barana; gdybym był mędrce, to już moja rola znana; dam Mu jednak to, co mam... serce Jemu swoje dam”.

O to właśnie chodzi!, myślał pastor, gdy jego goście wkładali ciężkie płaszcze, rękawice, szaliki i zimowe buty. Potem cała gromadka, ściskając się serdecznie na pożegnanie i śmiejąc wesoło, wysypała się na zewnątrz, gdzie szalał ostry kłujący wiatr.

— Bóg z wami! — zawołał, a jego oddech zamienił się na mroźnym powietrzu w szary obłoczek.

— I z Tobą!

Jeszcze długo po wyjściu gości siedział przy kominku, czując spokój i szczęście, jakie niosło ze sobą Boże Narodzenie, i zdając sobie z przedziwną radością sprawę, że Chrystus rzeczywiście mieszka w jego sercu. Nie dlatego, że jest „kaznodzieją”. Nie dlatego, że jest w pewnym sensie „dobry”. Ale dlatego, że dawno temu poprosił Go, żeby tam zamieszkał.

Pracował nad homilią, którą zamierzał wygłosić na porannej mszy w dzień Bożego Narodzenia. Był zadowolony, że może siedzieć sobie przy kominku, a nie zmagać się z wyjącem na zewnątrz wiatrem. Dodatkową radość sprawiała mu przygotowana przez Puny zupa gotująca się na wolnym ogniu na tylnym palniku kuchenki. Dzięki niej w domu unosił się cudowny zapach, a i nastrój był jakby radośniejszy.

Gdy jego myśl ulatywała od czasu do czasu znad homilii, nad którą pracował, przyglądał się z podziwem wysokiemu świerkowi przystrojonemu sznurami kolorowych świateł — dokładnie takich, jak te, które pamiętał z dzieciństwa w Holly Springs — i całą gęstwiną ozdób, które zdołały jakoś przetrwać przez wszystkie poprzednie święta Bożego Narodzenia.

Liczba prezentów z trudem mieszczących się pod drzewkiem przyprawiała go o lekkie zażenowanie.

Miał dzieciinną nadzieję, że prezent, który przysłał Walter z Katherine, to kolejka elektryczna. Od panny Sadie dostał bardzo dużą paczkę związaną czerwoną kokardą. Dooley zrobił dla niego prezent w szkole. „Nie jest to mój wypiek, ale mam nadzieję, że mimo to sprawi ojcu przyjemność” — napisała na swoim podarunku Winnie Ivey.

Emma, która zawsze lubiła ujawniać tożsamość swoich prezentów, podarowała mu bon upominkowy na zakupy w Collar Button, Zamierzał kupić za niego pierwszą od lat nową piżamę.

Długo jeszcze mógłby wymieniać leżące pod choinką prezenty. Z kim miał je wszystkie otworzyć? Otóż i dylemat kawalera.

Od czasu do czasu szedł do garażu i stał tam, przyglądając się czerwonemu rowerowi. Żaden z leżących pod choinką prezentów nie cieszył go tak bardzo, jak myśl o tym, że pomoże w podarowaniu Dooleyowi Barlowe'owi obiektu jego marzeń.

Do kierownicy przywiązał ogromną kokardę i załączył bilecik następującej treści: „Dla Dooleya od Dooleya, i również od jego przyjaciela, pastora. Gdy zobaczysz ten rower, proszę, nie krzycz”.

Gdy usłyszał pukanie, myślał, że to Barnaba skrobie do drzwi.

Po chwili usłyszał je ponownie.

Gdy otworzył tylne drzwi, zobaczył Dooleya Barlowe'a w cienkiej kurtce, zasapanego i trzęsącego się z zimna.

— Dziadek jest bardzo chory — zawołał przerażony chłopiec. — Musi ojciec ze mną pójść.

Dał chłopcu puchową kurtkę, rękawiczki i wełnianą czapkę. Wyruszyli obaj do domu Russella na skuterze, a lodowaty wiatr smagał ich twarze.

O tej porze za rok będę znowu jeździł moim samochodem. Minęło już osiem lat, odkąd zrezygnowałem z niego na intencję postu, i myślę, że to już wystarczy.

— Zapalenie płuc — zawyrokował Hoppy. Pastor nie był zdziwiony.

Gdy przyjechał z Dooleyem do domu Russella, zastał starego mężczyznę leżącego w łóżku. Oddychał z ogromną trudnością, a z jego piersi dobywał się przerażający świst. Ojciec Tim dołożył do ognia, przykrył kościelnych kocami z łóżka Dooleya, a ponieważ w domu nie było telefonu, pojechał do szpitala i wysłał stamtąd karetkę po swojego przyjaciela i przerażonego chłopca.

Hoppy przybył niezwłocznie z oddalonego o trzy przecznice od szpitala domu.

— Mamy mnóstwo pracy — ocenił. — Jest z nim bardzo źle. Czy chłopiec ma się gdzie podziać?

Ojciec Tim spojrzał na Dooleya, którego twarz zrobiła się popielata.

— Zatrzyma się u mnie.

— Czy przyjechaliście na tym cholernym skuterze?

— Tak.

— Zostawcie go w szpitalnym garażu, na litość boską. Wyślę was do domu z siostrą Herman.

— Naprawdę, nie musisz...

— Ależ oczywiście, że muszę. Jest dwadzieścia stopni mrozu, a temperatura cały czas spada, i jeśli mam zacząć chodzić do kościoła, chciałbym widzieć na ambonie żywego duchownego.

Gdy wrócili ze szpitala, Barnaba przybiegł do tylnych drzwi, oparł przednie łapy na ramionach Dooleya i wyraźnie uradowany oblizał mu twarz.

— Temu staremu psu śmierdzi z pyska.

— On na ciebie nie narzeka — odparł ojciec Tim, pomagając Dooleyowi zdjąć kurtkę.

— Czy dziadek umrze?

— Myślę, że nie.

Dooley ściągnął czapkę i rękawiczki, rzucił je na podłogę i zrobił krok w stronę pokoju.

— Dooley...

Popatrzył na pastora, a ten spojrzał na czapkę i rękawiczki. Minęło trochę czasu, zanim chłopiec westchnął ciężko i podniósł je z podłogi.

— Mieszkanie w tym domu wcale nie będzie zabawne — wymamrotał.

— Na twoim miejscu nie wygłaszałbym sądów tak przedwcześnie. Włóż czapkę i rękawiczki do tego kosza. Powieś kurtkę na tym wieszaku. Gdy to zrobisz, chciałbym ci coś pokazać.

Gdy weszli do salonu, w którym nadal było ciepło od płonącego na kominku ognia, Dooley zobaczył sięgający do zdobionego poprzecznymi belkami stropu, pachnący świerk. Migotał tysiącem kolorowych światełek, a na podłodze, pod jego gałązkami, leżało całe mnóstwo prezentów.

— Może rzeczywiście nie będzie tak źle — stwierdził.

Dooley nałożył spodnie od piżamy ojca Tima, ściągnął sznurek w pasie i podwinął nogawki, żeby sięgały mu do kostek. Potem na podkoszulek włożył górę od piżamy, zapiął jej guziki, a stopy wsunął w zielone skarpetki. Na to wszystko nałożył sięgający do samej ziemi welurowy szlafrok koloru burgunda i przewiązał go paskiem.

— I co o tym myślisz? — zapytał pastor, który również przebrał się w piżamę i szlafrok, i stojąc przy kuchennej ladzie, nalewał zupę na talerze.

— Dobrze, że jest ojciec niski — stwierdził Dooley, pokazując na dół szlafroka. — Jest na mnie w sam raz.

Zadzwoił telefon.

— Wygląda to na wirusowe zapalenie płuc — powiedział Hoppy. — To ciężka odmiana, ponieważ nie można jej wyleczyć kuracją antybiotykową. Podajemy mu tlen, pobraliśmy również fragment tkanki płucnej, jutro więc będziemy wiedzieć więcej. Zadzwoię do ciebie.

— Modłę się za ciebie.

— Takiej właśnie pomocy potrzebuję — odparł Hoppy, odkładając słuchawkę.

— Czy dziadek umrze?

— Myślę, że nie.

— W takim razie zjedźmy kolację — zaproponował Dooley.

Obudził się wcześniej rano. Podczas gdy Barnaba chrapał, on wpatrywał się w sufit i modlił za Russella Jacksa i Hoopy'ego Harpera, za Cynthię Coppersmith i Bezdomnego Hobbesa oraz za wszystkich, których Duch Święty polecił właśnie jego pamięci. W takich chwilach, gdy jego umysł wyzwalał się z zaprzatających głowę codziennych spraw, przypominał sobie ludzi, o których nie myślał od miesiący, a nawet od lat.

Nagle zerwał się i usiadł na łóżku.

Czerwony rower!

Stał sobie w garażu i każdy, kto zaglądnąłby tam, zobaczyłby go jak na dłoni.

Wyszedł z łóżka, wsunął stopy w stare skórzane pantofle i starając się nie hałasować, nałożył szlafrok.

— Zostań — nakazał Barnabie, który otworzył jedno oko, po czym je zamknął i zaczął uderzać ogonem w podłogę.

Nie chciał, aby zaniepokojony Barnaba zaczął szczekać jak oszalały i obudził Dooleya.

Światło ulicznej latarni wpadało do domu przez szerokie okna w korytarzu i pastor, jak zwykle nocą, nie włączył światła, żeby oświetlić schody.

Rower stał obok jego nie używanego samochodu. Z ogromną czerwoną kokardą i bilecikiem ręcznej roboty sprawiał, że garaż wyglądał jak jakieś magiczne miejsce.

A jeśli chłopiec już go widział? Wszystkie misterne plany zniweczone!

Wyciągnął z szafy kilka koców i okrył nimi rower. Potem położył go delikatnie na boku, w kącie, żeby nie był widoczny od strony drzwi do salonu. Na powstałej w ten sposób konstrukcji umieścił stertę starych numerów „Mitford Muse”.

— Idealnie! — ocenił, przyglądając się z odległości kilku kroków swojemu kamuflażowi.

Wyłączył światło, podszedł cicho do schodów i zaczął wchodzić na górę. Znajdował się już nieomal na półpiętrze, gdy nagle poczuł w głowie gwałtowną eksplozję.

Gdy zachwiał się na nogach i zataczając koło, wpadł plecami na barierkę przy schodach, ujrzał oślepiające światło i poczuł w skroniach przeszywający ból. Następnie zapanowała ciemność.

Gdy odzyskał przytomność, siedział na schodach. Dooley Barlowe płakał i wpatrywał się w niego intensywnie. Barnaba lizał mu ucho.

— Co, na litość boską... — zaczął słabo.

— Nie wiedziałem, że to ojciec! — łkał Dooley. — Myślałem, że to jakiś przeklęty złodziej skrada się do mnie!

Mimo że oberwał jedynie tenisówką Dooleya, jedną z pary, którą jak na ironię, sam mu kupił przed początkiem roku szkolnego, czuł się dokładnie tak, jakby przejechał po nim pociąg.

— Kiedyś, gdy byliśmy sami, do domu mamy włamał się złodziej i zachowywał się dokładnie tak jak ojciec przed chwilą, skradając się w ciemnościach po schodach. — Strach Dooleya przerodził się nagle w rosnący gniew. — Dlaczego skradał się ojciec po własnych cholernych schodach? Dlaczego nie mógł ojciec wejść po schodach normalnie? Nie uderzyłbym wtedy ojca butem w głowę!

Zapadając później w niespokojny sen, pastor wypowiedział cicho wielką prawdę:

— Mieszkać pod jednym dachem z chłopcem to coś zupełnie innego.

Powiedzieć Rodneyowi o klejnotach — po świętach.

Porozmawiać z Hoppym o Olivii — po świętach.

Te delikatne tematy wisiały na jego liście spraw do załatwienia niczym sople lodu na gałęzi.

W dniu po nocnym wypadku na schodach Mitford otulone było płaszczem gęstej mgły i deszczu. A ponieważ parafianie najwyraźniej byli zajęci własnymi sprawami, ojciec Tim wyszedł z kancelarii wcześniej i poszedł do domu. Nawet tylenol nie zdołał złagodzić koszmarnego bólu głowy, który go męczył.

— Niech mnie kule biją! — powiedział z podziwem Percy, gdy pastor zaglądnął do baru, żeby kupić trochę zupy. — Ktoś ojcu nieźle przyłożył.

— Jak sam widzisz.

Zapłacił dolara sześćdziesiąt dziewięć centów za zupę, myśląc w duchu, że to bulwersująca cena, i wyszedł, nie dzieląc się z Percym szczegółami. Gdy mijał bar, zobaczył go przez okno, stojącego przy kasie. Jego oblicze mówiło, że został zraniony. Jeśli jest coś, czego znajomość sprawia Percy'emu szczególną przyjemność, to są to z pewnością szczegóły, pomyślał.

O godzinie czwartej pomógł Dooleyowi odrobić lekcje i przyłożył zimny okład na rosnący guz, który powoli zmieniał kolor na czarny, niebieski i musztardowy.

— Bardzo mi przykro — powiedział z rozpaczą w głosie Dooley.

— Nie bardziej niż mnie. Ale ogólnie rzecz biorąc, uważam, że byłeś dzielny.

— Naprawdę?

— Tak. Mam tylko jedną uwagę.

— Jaka?

— Mogłeś się przyjrzeć, zanim zaatakowałeś. Na schodach nie było przecież tak ciemno, więc myślę, że zobaczyłbyś mój świecący czubek głowy.

— Ależ ja widziałem! Ale nie jest ojciec jedynym łysiejącym mężczyzną na świecie. Złodzieje przecież też łysieją!

O dziewiątej otrzymali dokładne informacje na temat zdrowia Russella Jacksa. Nie było z nim rewelacyjnie, ale stan się ustabilizował. Hoppy powiedział, że zaawansowany wiek przy wirusowym

zapaleniu płuc jest dodatkowym obciążeniem. W czasie gdy Dooley brał kąpiel, pastor dwukrotnie zadzwonił z prośbą o modlitwę i przekazał najnowsze wiadomości pannie Sadie.

Potem wyciągnął się przed migoczącym ogniem i zamknął oczy. Puny dzisiaj nie przyszła i jak zwykle ze zdziwieniem stwierdził, że Jest to zauważalne. Coraz bardziej się od niej uzależnił, wiedział o tym, a można się było od niej uzależnić.

Postanowił, że wsunie szeleszczący banknot studolarowy do jej bożonarodzeniowej koperty. I to z własnego „sekretnego funduszu”, a nie Pearly McGee. Zdał sobie sprawę, że w przeciągu kilku dni sprezentował dwa banknoty o gwiazdnym nominale, i stwierdził, że sprawia mu to przyjemność. Bardzo dużą przyjemność.

Pachnący mydłem Dooley wszedł do pokoju. U jego boku dreptał Barnaba.

Spojrzał z niekłamanym zadowoleniem na stojącą przed nim parę.

— Czyżbyś chciał zabrać mi mojego psa?

— Ten stary pies nie odstępuje mnie na krok. To nie moja wina, że mnie lubi.

— Cóż, idź do łóżka i poczytaj książkę. Przyjdę za chwilę powiedzieć ci dobranoc.

— Jestem wykończony — obwieścił Dooley, wzdychając.

— Ja też, przyjacielu.

Gdy doszedł do drzwi, Dooley odwrócił się i spojrzał na pastora.

— Gdy będzie ojciec wchodził wieczorem po schodach...?

— Tak?

— Niech się ojciec nie skrada. Nie znoszę, jak się ktoś skrada.

Ten chłopiec musi się jeszcze dużo nauczyć, pomyślał, wyciągając nogi na sofie. Od jutra zaczynamy ćwiczyć słowa, których w dzisiejszych czasach prawie w ogóle się nie słyszy. Będziemy się uczyć, jak się mówi: „tak, proszę pana”, „nie, proszę pana”, nie wspominając nawet o: „dziękuję” i „proszę”. Wbijanie ich do głowy powinno być co najmniej tak zabawne, jak wrywanie zębów.

Pomyślał, że chętnie położyłby się i poobserwował migoczące na choince światełka. Wtedy jednak zasnąłby w przeciągu kilku minut, a Dooley czekałby na niego na górze. Poszedł więc do kuchni i włączył gaz pod czajnikiem.

Usłyszał delikatne, ciche pukanie do drzwi.

Nie ma spoczynku dla potępionych, pomyślał, cytując Russella Jacksa.

Za drzwiami stała jego sąsiadka w żółtym, ociekającym deszczem, nieprzemakalnym płaszczu.

— Tylko jedną chwilkę — powiedziała — nie zabiorę ojcu więcej czasu. Czy mogę wejść?

— Ależ tak, oczywiście! Proszę bardzo.

— Dziękuję, stanę na wycieraczce, żeby nie zachlapać wodą całej kuchni. Chciałam jedynie przynieść ojcu bożonarodzeniowy prezent! — Jedną rękę trzymała pod płaszczem.

— Nie powinnaś była robić sobie kłopotu! — wykrzyknął szczerze. Co go podkusiło, żeby rozdać wszystkie belgijskie czekoladki siostrze w szpitalu! Mógł przecież zostawić trochę w domu na takie niespodziewane okazje. — Właśnie szykowałem sobie herbatę i mam nadzieję, że się do mnie przyłączysz.

— Bardzo chętnie — powiedziała z wyraźnym entuzjazmem — ale nie mogę. Skończyłam prezent dla ojca kilka minut temu i nie mogłam się doczekać, kiedy go ojcu wręcę.

W jej niebieskich oczach dostrzegł wyraz przejęcia.

— Mam nadzieję, że rozpakuje go ojciec jeszcze dzisiaj.

— Tak, oczywiście — odpowiedział nieco zdezorientowany — ale czy nie chciałabyś wejść na chwilę i ogrzać się przy ogniu? Rozpakowałbym go...

— Naprawdę nie mogę. Muszę uciekać. Proszę! Wyciągnęła rękę spod płaszcza i podała mu płaską szarą kopertę.

— Świetnie! — krzyknęła. — Sucha jak pieprz!

Odwróciła się i wybiegła z kuchni. W świetle znajdującej się na ganku lampy widział, jak biegnie przez ogródek, a woda pryska spod jej nóg na boki. Po chwili zniknęła za żywopłotem.

— Wesołych Świąt! — zawołał.

Ale jej już nie było. Ani słowem nie wspomniała o jego okropnym wielobarwnym guzie na głowie.

Rozdział dwunasty

PUSTE NACZYNIĘ

Wiadomości ze szpitala nie były pomyślne. Stan Russella Jacksa się ustabilizował, nie było jednak widać wyraźnych oznak poprawy.

— Zapalenie płuc przybiera różne formy — poinformował pastora Hoppy. — Przypadek Russella jest najgorszy z możliwych u mężczyzny w jego wieku. Robimy wszystko, co w naszej mocy, i nie tracimy nadziei, ale to tak, jakby płynąć pod prąd.

W Lord's Chapel odprawiano regularnie msze w intencji Russella, modliły się za niego kolejno wszystkie kościoły w Mitford. Ojciec Tim nie był wcale zdziwiony, widząc zatroskanie swoich parafian. Martwili się o małomównego starszego mężczyznę, którego czule serce mogli dostrzec jedynie w efektownych klombach, starannych ścieżkach i wypielęgnowanych rabatach kościelnych ogrodów.

Do domu pastora zewsząd napływała żywność, aby wspomóc go w wywiązaniu się z nieoczekiwanego obowiązku wyżywienia chłopca.

— Dorastający chłopcy to studnie bez dna — powiedział Percy, który przysłał świeżą sałatkę z ziemniaków i ser pimiento.

Winnie Ivey dostarczyła pączki, rożki z kremem i ciasto kokosowe.

Panna Sadie kazała przywieźć Lutherowi całą torbę zapiekane z kurczakiem i ciasto z bakaliami, a Bractwo Ołtarzowe przyniosło pieczonego indyka.

— Jak żyję, nie widziałem niczego podobnego — wyznał Dooley, który mógł wybrać swój lunch spośród kilkunastu różnych dań.

— Jak... Szczerze mówiąc, ja też nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego — odparł ojciec Tim, gdy siadali przy kuchennej ladzie.

Wkrótce będzie się musiał zająć językiem Dooleya, ale ponieważ właśnie zaczął ćwiczyć „proszę” i „dziękuję”, nie chciał podejmować dodatkowego ryzyka.

Jego wzrok spoczął na szarej kopercie, którą Cynthia Coppersmith przyniosła w strugach ulewnego deszczu. Wsunął prezent pomiędzy książki leżące na ladzie.

„Mam nadzieję, że rozpakuje go ojciec jeszcze dzisiaj!” — powiedziała. Było mu bardzo wstyd, że zupełnie o tym zapomniał. Jak mógł tak po prostu zapomnieć? Wsunął kopertę pomiędzy książki, żeby nie wylać na nią herbaty. Zamierzał wziąć ją ze sobą na górę, gdy będzie szedł spać, ale potem zapomniał o niej na śmierć. Bez względu na to, co znajduje się w środku, najwyraźniej na to nie zasługuje.

Wyciągnął prezent z koperty i delikatnie go rozpakował, żeby nie zniszczyć kolorowego papieru, w który był zawinięty.

— Wiesz, kiedy zauważyłam, że się starzeję? — spytała kiedyś jego matka. — Gdy zaczęłam odkładać używany papier z prezentów.

Była to zmatowiona akwarela przedstawiająca futerkowe stworzenie w ciemnym garniturze z koloratką i okularach w rogowych oprawkach, zatkniętych na czubku nosa. Sympatyczne stworzenie miało małe paluszki u kosmatych stóp, bardzo szeroki uśmiech i ujmujące oczy.

„Ojciec Talpidae” — brzmiał napis na dole.

— Zabawny — powiedział Dooley, zaglądając pastorowi przez ramię.

Pastor był zdania, że to najbardziej czarujące stworzenie, jakie widział w przeciągu ostatnich kilku lat. Nawet Beatrix Potter nie wymyśliłaby niczego równie dobrego.

„Ojciec Talpidae — brzmiało wyjaśnienie na odwrocie — jest dobrym pastorem małej parafii znajdującej się tuż pod zieloną trawą porastającą ogródek wokół domu ojca Tima w Mitford. Ojciec Talpidae mówi, że oto z ogromną radością obwieszcza, że jego kongregacja powiększa się i że wcale nie zamierza w najbliższym czasie przechodzić na emeryturę”.

„Kret — przeczytał ojciec Tim w słowniku Webstera — rodzina Talpidae”. Już dawno nie śmiał się tak serdecznie.

— Nie jest aż tak zabawny — skomentował Dooley.

— To twoje zdanie.

— Lubię, gdy ojciec się śmieje — odparł chłopiec. — Od razu robi mi się weselej.

— Wobec tego postaram się śmiać częściej — oświadczył, nadal dławiąc się od śmiechu. Czyż nie obiecał ostatnio tego samego Cynthii Coppersmith?

Tego wieczoru razem z Dooleyem poszli na spacer z Barnabą pod pomnik i po drodze oglądali wszystkie wystawy sklepowe. Na drzwiach wisiały ozdobne wianuszki z ostrokrzewu, a okna przystrojone były maleńkimi migającymi światełkami. Mitford w czasie świąt Bożego Narodzenia przypominało baśniową krainę. Gdyby tylko ich bożonarodzeniowy śnieg nie spadł w Święto Dziękczynienia!

Dooley uważnie przyglądał się wszystkim okiennym wystawom, od spinek do mankietów i sportowych marynarek w Collar Button począwszy, a na żeliwnych rondlach, sprzęcie wędkarskim i stojakach na choinki w sklepie żelaznym skończywszy.

Gdy skręcili w drogę prowadzącą do domu, pastor był pewien, że widział szarego mercedesa Andrew Gregory'ego stojącego przed malutkim domkiem jego sąsiadki.

— Gorące kakao? — zapytał Dooleya, gdy się rozebrali. Czuł się dziwnie roztargniony i nie potrafił się skoncentrować.

Ostatnio widział samochód Andrew zaparkowany dokładnie w tym samym miejscu co najmniej pięć razy.

— Nie.

— Nie, dziękuję. Co wobec tego?

— Nic.

Dooley był ostatnio przygnębiony, jak określił to Russell.

— Wie ojciec, co ja bym zrobiła? — oświadczyła w środę Puny. — Dałabym mu klapsa. Niech mu ojciec powie, pozwól no tutaj na kolano, kochanie, i buch, i zobaczyłby ojciec innego chłopca. Mój dziadek prędzej zacząłby fruwać, niż pozwoliłby mi chodzić po domu ze smętną miną. Jednym klapssem stawiał mnie na nogi i głosił mi takie kazanie, że włosy mi się jeżyły.

— Mam dużo szacunku dla takich metod, ale niestety, nie umiałbym wcielić ich w życie z pozytywnym skutkiem.

— Łatwiej by się ojcu żyło, gdyby był ojciec chociaż w połowie baptystą.

— Być może zainteresuje cię fakt, że jestem nim dokładnie w pięćdziesięciu procentach.

Puny spojrzała na niego podejrzliwie.

— Moja mama była zagorzałą baptystką, a mój ojciec był... letnim członkiem Kościoła episkopalnego.

— Letnim! Dla mnie nawet woda do mycia naczyń nie może być letnia!

— Puny, a co będzie, jeśli Russell Jacks z tego nie wyjdzie? Co zrobimy z Dooleyem?

— Czy udało się ojcu dowiedzieć, co się dzieje z jego mamą?

— Alkohol. Nie znam dokładnie tej historii. Oddała całą piątkę swoich dzieci.

Przez dłuższą chwilę Puny nic nie mówiła, czyszcząc srebro i wkładając je do wody z mydlinami.

— Wobec tego — powiedziała w końcu — być może wcale nie potrzeba mu lania.

— Naprawdę?

— Być może potrzebuje po prostu... dużo, dużo... miłości. No, nareszcie!, pomyślał. W końcu zobaczyliśmy jakieś światełko w tunelu.

— Puny — powiedział — to bardzo szlachetna myśl. Tak szlachetna, że zaiste zasługuje na szczególną nagrodę. Wytrzymaj, proszę, rękę.

Poszedł do salonu i z szuflady biurka wyciągnął kremową kopertę, którą wręczył Puny przy zlewozmywaku.

— Wesółych Świąt!

Puny zaglądnęła do środka, zobaczyła studolarowy banknot i wybuchnęła płaczem właśnie w chwili, gdy do domu wchodził Dooley z Barnabą.

— Możesz sobie wsadzić gdzieś tę głupią układankę, którą kazałaś mi układać — powiedział chłopiec, obrzucając Puny wściekłym spojrzeniem.

Ojciec Tim zauważył, że twarz Puny robi się czerwona.

— To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem — oświadczył Dooley. — Wyrzuciłem ją do śmieci.

— Czy wiesz, co ja ci zaraz zrobię? — zapytała ze złością.

— Co takiego?

— Spuszczę ci lanie! — I ruszyła w jego kierunku z gniewnym błyskiem w lśniących jeszcze od łez oczach.

Dooley zaczął się wycofywać w stronę Barnaby, który zaskowyczał i uciekł w głąb korytarza.

— Ale wiesz, co zrobię najpierw? — Uśmiechnęła się szelmowsko do Dooleya, którego oczy zrobiły się okrągłe ze strachu. — Schwytam cię i z całej siły przytulę!

— O nie, nie zrobisz tego!

Gdy wbiegał na górę po schodach, Puny obróciła się do pastora.

— No — powiedziała, wyraźnie z siebie zadowolona. — To powinno mu wystarczyć na jakiś czas.

Po południu w Wigilię ojciec Tim i Dooley chcieli odwiedzić Russella, który mógł już siedzieć i nie potrzebował tlenu.

— Zajrzyjmy do Mitford Blossoms — zaproponował ojciec Tim — i kupmy Russellowi głośnię.

Po drodze wstąpili do drogerii, gdzie ojciec Tim kupił torebkę cukierków żelowych dla Hoppy'ego i dukat z orzeszkami ziemnymi w polewie czekoladowej dla Dooleya.

W kwiaciarni, ku zdziwieniu pastora, spotkali Hoppy'ego. Stał przy ladzie. Miał na sobie szpitalny fartuch, krótką dwurzędową granatową marynarkę, wysokie buty wyłożone baranym futerkiem, lekko zniszczony prochowiec i czapkę z nausznikami.

— Wybiegłem na chwilę ze szpitala — zakomunikował, uśmiechając się.

— Przyjacielu, wyglądasz, jakby ubrała cię panna Rose Watson.

Hoppy zaśmiał się. Cudowny śmiech, pomyślał ojciec Tim, którego już tak dawno nie słyszał.

— To najlepsze, jakie mamy — powiedziała Jena Ivey, wychodząc z chłodni z wiadrem róż.

— Dzień dobry, ojcze! Wesołych Świąt! Wesołych Świąt, Dooley!

— To moja nauczycielka ze szkoły niedzielnej — szepnął Dooley do doktora.

Jena z dumą postawiła na ladzie wiadro róż.

— Co myślisz, przyjacielu? — zapytał Hoppy. — Jesteś autorytetem w kwestii róż.

Róże Jeny były hodowane w Holandii. Z tego powodu ich cena była znacznie wyższa, ale za to łebki nigdy nie opadały w dół po jednym dniu w wazonie i zawsze pachniały jak róże. Z aprobatą pokijał głową.

— Dwa tuziny! — poprosił Hoppy, wyciągając portfel. — I, Jen, proszę, doręcz je od razu. Znasz adres.

Kiedy Jena układała łądygi róż w długim różowym pudełku, Hoppy obrócił się do pastora.

— Prawie w ogóle się do mnie nie odzywa — powiedział.

— Kto?

— No wiesz, Olivia.

— Aha.

— Najpierw była obojętna, a teraz prawie w ogóle mnie nie zauważa.

Ojciec Tim poczuł, że serce bije mu mocno. W jednej chwili chciał zabrać Hoppy'ego do znajdującej się po drugiej stronie ulicy kancelarii i natychmiast wyznać mu całą prawdę. Nie mógł jednak, złożył obietnicę, zgodnie z którą miał powiedzieć mu o wszystkim po świętach, po radości i drzeniu serca towarzyszącym posłaniu dwóch tuzinów cudownych róż, po zachwycie i smutku Olivii, dla której były przeznaczone. Dobry Boże, dlaczego musiało się to przytrafić dwojgu najwspanialszym ludziom, jakich zna?

— Jesteś wyjątkowo milczący. Czyżbyś wiedział coś, o czym ja nie wiem? — zapytał Hoppy.

Pastor sięgnął do kieszeni kurtki.

— Nie, ale wiem na pewno, że ta torebka zawiera co najmniej jednaście zielonych cukierków żelowych, bo tyle naliczyłem przez opakowanie. Wesołych Świąt!

Hoppy zaśmiał się, otwierając torebkę.

— Czy idziecie może odwiedzić Russella?

— Tak.

— Przed sklepem mam samochód. Podwiozę was.

Gdy wychodzili, niosąc pąsową gloksynię, Dooley pociągnął ojca Tima za rękaw.

— Niech ojciec chwileczkę poczeka — poprosił i podszedł z powrotem do lady, żeby wręczyć Jenie Ivey swój czekoladowy dukat.

W szpitalu stanęli przy drzwiach do pokoju Russella i rozmawiali.

— To nieomal cud — przyznał Hoppy. — Myślę, że się z tego wygrzebie, ale pozostaje jeszcze inny problem.

— Jaki?

— Być może będzie musiał przez kilka miesięcy leżeć. Przy tego typu chorobie najlepszym lekarstwem jest odpoczynek w łóżku. Oznacza to, że nie będzie się mógł opiekować chłopcem. Prawdę powiedziawszy, sam będzie potrzebował opieki.

— Cóż — powiedział ojciec Tim, ponieważ nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Dooley stał przy łóżku, wpatrując się z niepokojem w dziadka. Starszy mężczyzna był słaby i mówił z zamkniętymi oczami.

— Dooley, czy jesteś grzeczny?

— Nie.

— Nie przynoś mi wstydu, chłopcze. Słyszysz?

— Dobrze, dziadku, postaram się.

Przed wyjściem Dooley wziął dziadka za rękę.

— Dziadku — powiedział — nie umieraj!

Russell Jacks otworzył oczy, spojrzał na wnuka i uśmiechnął się słabo.

— Dobrze, chłopcze. Nie umrę.

Według parafian msze wigilijne w Lord's Chapel jeszcze nigdy nie były tak piękne, porywające i poruszające.

Na parapetach pośród pachnących gałęzi świerka i sosny paliły się świece. Cedrowe belki ze stropu kościelnej nawy oplecione były świeżymi girlandami. Przepiękne drzewko z farmy Meadowgate stało w pobliżu ambony, a u jej stóp wyrastał bujny ogród kremowych poinsecji.

Szczególnie podczas pasterki w kościele panował niecodzienny, przesycony nadzieją spokój, znacznie głębszy niż zwykła, poprzedzająca mszę, pełna czci cisza. Pewna kobieta powiedziała nawet, że po raz pierwszy w życiu poczuła w swoim sercu obecność słodkiego Bożego Dzieciątka.

Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem, wesola nowina,

Ze Panna czysta, ze Panna czysta porodziła Syna...

Pewna osoba, spacerująca w pobliżu i rozkoszująca się balsamicznym powietrzem, usłyszała radosny i donośny śpiew dochodzący z małego kamiennego kościółka. Melodia zdawała się chwytać za serce swą prostotą i wymownością.

Choć w stajeneczce, choć w stajeneczce

Panna Syna rodzi,

Przecież On wkrótce, przecież On wkrótce ludzi oswobodzi...

Chrystus się rodzi, nas oswobodzi, Anieli grają, króle witają...

Panna Rose przysłała na pasterkę, trzymając pod ramię wujaszka Billy'ego. Ubrana była w nowy kostium i płaszcz w kolorze fuksji. Na nogach miała skarpety w czerwone i granatowe romby oraz dwukolorowe nie zasznurowane półbuty.

— Jesteśmy już bardzo blisko celu — powiedział wujaszek Billy ojcu Timowi po mszy. — Można powiedzieć, że zesliśmy już niezły kawał poniżej głowy, ale nie dotarliśmy jeszcze do czubków palców.

Gdy wrócił z Dooleym do domu około pierwszej trzydzieści, czuł się bardzo szczęśliwy, ale wyjątkowo zmęczony.

Nigdy nie umiał się zdecydować, kiedy rozpakować swoje prezenty. Było to właściwie niemożliwe w wieczór wigilijny, gdy wracał do domu po pierwszej w nocy, po odprawieniu dwóch mszy. W dzień Bożego Narodzenia z kolei odprawiał dwie msze przed południem i nie wychodził z kościoła przed dwunastą.

— Ja robię to na wycucie — powiedziała mu kiedyś Emma, która nie wyobrażała sobie, aby poczynając od piętnastego grudnia, albo nawet wcześniej, nie mogła otworzyć swoich prezentów, kiedy tylko miała na to ochotę.

Była już prawie druga nad ranem, gdy razem z Dooleym usiedli na dywanie, popijając gorące kakao i jedząc pączki Winnie. Pastor dał Dooleyowi prezenty od panny Sadie, Puny, Emmy i wełniany szalik z Collar Button od siebie.

Panna Sadie przysłała dla niego dwie chusteczki z materiału, parę sznurówek oraz banknot pięciodolarowy zawinięty w kawałek folii aluminiowej i zawiązany czerwoną wstążeczką. Puny podarowała

Dooleyowi żółtą wiatrówkę, a Emma — dwadzieścia cztery dukaty z orzeszkami ziemnymi w polewie czekoladowej.

Dooley siedział ze smutną miną pośród swoich prezentów.

— Chciałem ten głupi rower.

— Sądząc po tym, jak szybko rosną twoje fundusze, będziesz go miał już wkrótce. Teraz chciałbym otworzyć prezent, który dostałem od ciebie.

— Niech ojciec poczeka do rana. I tak się ojcu nie spodoba — powiedział Dooley z irytacją w głosie.

— Wolałbym sam ocenić.

— Niech ojciec poczeka do rana. Jestem wykończony.

Była już druga trzydzieści, gdy obaj weszli po schodach na górę. Barnaba poszedł do sypialni dużo wcześniej i leżał już wyciągnięty w nogach łóżka, mocno chrapiąc.

Na półpiętrze pastor położył dłoń na ramieniu Dooleya.

— Wstanę przed wschodem, ponieważ muszę popracować nad dwoma kazaniami, możesz więc usłyszeć, jak idę po schodach. Ale jak złapię cię na tym, że zamierzasz się na mnie butem...

— To będzie po mnie.

— Zgadza się!

O szóstej trzydzieści Barnaba i pastor obudzili Dooleya.

— Nie chcę wstawać! — lamentował chłopiec. — Wykończył mnie ojciec tym chodzeniem do kościoła. Nigdy w życiu nie spędziłem tyle czasu w kościele. Nie myślałem nawet, że na tym cholerym świecie można tak często chodzić do kościoła.

— Mój przyjacielu, z pewnością się ucieszysz, gdy ci powiem, że święty Mikołaj zawitał zeszłej nocy w niskie progi naszego domu i zostawił coś w salonie dla niejakiego Dooleya Barlowe'a.

— Nie ma żadnego świętego Mikołaja. Nie wierzę w te stare brednie.

— Wobec tego leż sobie dalej i wierz, w co chcesz. Ja schodzę na dół zjeść swój słynny bożonarodzeniowy gulasz.

Barnaba wskoczył na łóżko Dooleya i zaczął oblizywać mu ucho.

— Ten głupi pies to najbardziej obrzydliwe stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem! — jęczał Dooley, odwracając się twarzą do ściany.

— Chodź, Barnaba. Zostaw go w spokoju.

Barnaba położył się rezolutnie na łóżku Dooleya i przyglądał się swojemu panu. Przynajmniej on był zdeterminowany wcielić w życie dobrą myśl Puny.

Przygotował dwa nakrycia i wyciągnął z piekarnika dymiący gulasz. Dzisiaj będzie dzień bez diety. Włączył gramofon i usłyszał znajome, choć lekko trzeszczące, dźwięki *Mesjasza*.

W drzwiach do kuchni pojawił się Dooley w szlafroku koloru burgunda.

— Można by pomyśleć, że wprowadziła się do nas cała armia.

— Przyjacielu, trafiłeś w samo sedno. To armia najcudowniejszych głosów najnowszej historii, śpiewających najznakomitsze kompozycje muzyczne wszech czasów!

Dooley przewrócił oczami.

— Wydaje mi się, że jesteś zaproszony na poranne spotkanie z Jeną Ivey i przyjaciółmi ze szkoły niedzielnej, zgadza się?

— No.

— Tak, proszę ojca. Ciszka.

Zaraz po świętach rozprawi się ostatecznie z tym nieznośnym zachowaniem.

— Nie czuję się za dobrze.

— Naprawdę? Co ci dolega?

— Zwymiotowałem na zielono.

— Rzeczywiście?

— Było też tam dużo czegoś brązowego.

— Spacer do kościoła powinien cię orzeźwić. Z pewnością ostatnie dni przeżyte pod dyktando pastora musiały być dla ciebie bardzo męczące. A może zagłędiesz do salonu i zobaczysz, czy Barnaba czegoś nie zbroił?

Poszedł za chłopcem, żeby zobaczyć to, co wyobrażał sobie już od tygodni: wyraz radosnego zaskoczenia na twarzy Dooleya Barlowe'a.

Dooley rzeczywiście nie wyglądał za dobrze. Do takiego wniosku pastor doszedł w drodze powrotnej z kościoła do domu. Obiecał, że będzie leżał na sofie w salonie, popijając 7-Up i przyglądając się swojemu nowemu rowerowi. Mimo że ojciec Tim otrzymał trzy zaproszenia od parafian na świąteczną kolację, marzył jedynie o tym, że wrócić do domu i położyć się. Później, jeśli Dooley będzie czuł się dość dobrze, wezmą rower i pójda na szkolne podwórko i parking przy kościele prezbiterian.

Był tylko jeden problem — Dooleya nie było ani w salonie, ani w żadnej innej części domu. Podobnie jak jego nowego czerwonego roweru.

Z wieszaka zniknęła puchowa kurtka, a w koszu nie było rękawic. I chociaż bez większych trudności znalazł chusteczki i sznurówki od panny Sadie, nigdzie nie było wiatrówki, pięciodolarowego banknotu i czekoladowych dukatów.

Siostra Herman powiedziała, że nie widziała Dooleya. Obiecała też, że nie powie o tym telefonem Russellowi.

Pojechał na skuterze najpierw na szkolne podwórko, a potem na parking przy kościele prezbiterian.

Przejechał dwa razy w górę i w dół Main Street, objechał dookoła pomnik i sprawdził parking za budynkiem poczty. Na ulicach nie było żywej duszy, mimo że świąteczne światelka migąły wesoło w oknach wystawowych. Zwolnił przy skrzyżowaniu z Old Church Lane, potem skręcił w lewo na wysokości kancelarii i pojechał w górę do Fernbank. Może chłopiec zabrał rower, żeby pokazać go pannie Sadie, pomyślał. Wyglądało jednak na to, że w białej willi nie ma żadnych gości. Nie było też widać samochodu właścicielki.

Zjeżdżając na wolnym biegu ze wzgórza, w coraz bardziej dokuczliwym wietrze, doszedł do ostatecznego rozpaczliwego wniosku: Dooley Barlowe uciekł.

Rodney Underwood odebrał telefon, przekrzykując dziki śmiech swoich trzech małych córek.

— Prawdopodobnie wybrał się tylko na małą przejażdżkę — stwierdził szef policji. — Może pojechał polnymi drogami do Farmer.

Pastor był pewien, że Dooley Barlowe nie wzięłyby swojego nowego czerwonego roweru na polną drogę. Chłopiec zniknął. Czuł to w kościach i wiedział, że przecucie go nie myli.

Rodney obiecał, że osobiście złoży zawiadomienie o zaginięciu chłopca i wyśle na poszukiwania radiowóz.

— Niech się ojciec nie martwi. Rudy chłopiec na czerwonym rowerze nie może się tak po prostu zapaść pod ziemię. Znajdziemy go.

Gdy skończył rozmawiać z Rodneyem, poszedł do szpitala. Russell Jacks siedział w łóżku i z pewnym wysiłkiem próbował zjeść talerz zupy.

— Dooley chciał przyjść, Russellu, ale dzisiaj rano... miał torsje.

— Zwymiotował, tak? — zapytał starszy mężczyzna z wyraźną dumą.

W małym pokoju było tak gorąco, że brakowało powietrza. Ojciec Tim ściągnął marynarkę i usiadł przy łóżku.

— Wiesz, Russellu, myślałem o jego matce. Czy ktoś próbował jej pomóc?

— Dostaje bloczki na jedzenie i tym podobne, i ja próbowałem pomóc.

— Rozumiem. Ale chodzi mi o pomoc w jej chorobie alkoholowej...

— Była kiedyś w Broughton, na odwyku. Wróciła i znowu zaczęła.

Dłonie Russella zaczęły drżeć i wylał trochę zupy na przód szpitalnej piżamy. Ojciec Tim czuł się ogromnie nieszczęśliwy, zadając mężczyźnie takie pytania w dniu, w którym chorzy zasługiwali na szczególną opiekę i troskę.

— A przy okazji, jak ma na imię twoja córka i gdzie mieszka?

— Na imię ma Pauline. Wyszła za mąż za niejakiego Barlowe'a, robotnika, który przyjechał budować w okolicy nowe autostrady. Urodziła pięcioro dzieci, jedno po drugim, a mąż, jak zbudował autostrady, wskoczył na jedną z nich i odszedł w siną dal, i już się nie pokazał.

Nigdy nie przestawał go zadziwiać ogrom smutku na świecie. Pewien poeta, całkiem słusznie, nazwał ziemię „padołem łez”.

— A ona mieszka nadal w Holding?

— Mam nadzieję, że tak.

— Ma zapewne jakiś własny kąt i dach nad głową.

— Przyczepę za budynkiem Shoney's. Pracowała tam przez jakiś czas, dopóki nie wyrzucili jej za picie w pracy.

Tak. To powinno wystarczyć na początek. Zadzwoń do Rodneya z telefonu w poczekalni.

— Russellu — zapytał pastor, przybierając radośniejszy ton głosu i zmieniając temat — gdybyś mógł mieć jedno bożonarodzeniowe życzenie, to jak by brzmiało?

Russell odstawił talerz i wytarł usta drżącą dłonią. Oparł głowę na poduszce i zamknął oczy. Pastor myślał nawet przez chwilę, że nie słyszał pytania. Potem powiedział:

— Chciałbym, żeby Ida jeszcze żyła, przy niej chłopiec byłby szczęśliwy... I chciałbym, żeby rododendrony wypuściły mocne pąki, żebyśmy potem mogli podziwiać na wiosnę piękne kwiaty.

Lubił, żeby była w miejscu, do którego mógł sięgnąć i natychmiast ją znaleźć. A jednak nie mógł znaleźć swojej małej, zniszczonej, oprawionej w skórę Biblii, z własnym nazwiskiem odcisniętym na okładce.

Włączył światło nad amboną i jeszcze raz zajrzał na pustą półkę.

Bardzo zły poszedł do kancelarii. Biblia zawierała niezastąpione uwagi na marginesie i inne cenne zapiski. Kto mógł być tak bezmyślny, żeby położyć ją gdzie indziej, a jeśli tak, to gdzie i po co?

— Zaginione Bible, zaginione ciasta, zaginieni chłopcy — skomentowała Emma, jakby składała raport.

— Czy dzwonił może Rodney?

— Nie, od waszej ostatniej rozmowy o dziesiątej.

Po południu w dzień Bożego Narodzenia Rodney powiadomił policję w Holding, podając im imię i nazwisko Pauline Barlowe oraz określając miejsce, w którym stała przyczepa. Oddzwonili wkrótce z informacją, że przyczepa została przeniesiona w inne miejsce i kontynuują poszukiwania.

To już trzeci dzień, myślał pastor z niepokojem.

Emma odbierała telefony.

— Nie, nic jeszcze nie wiemy. Dziękujemy za telefon, jesteśmy wdzięczni, nie mamy pojęcia. Tak, damy znać.

Zauważył, że zaczęła przykładać do oczu zwitek papieru toaletowego, który zawsze przy sobie nosiła.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał.

I wtedy nie wytrzymała:

— Ten biedny mały sierota, nie dość odpowiedzialny, aby posiadać coś, co zostało mu podarowane! Wolałabym nie musieć tego mówić, ale przecież cię ostrzegałam!

Odwrócił się i wypalił ze złością:

— W takim razie, na litość boską, nie mów!

Gdy poszedł do domu na lunch, Puny była już z powrotem. Wróciła ze świątecznego wyjazdu do siostry. Powiedział jej o Dooleju. Zrobiła się biała jak płótno.

— Tak właśnie myślałam — powiedziała.

Och, to odwieczne przekonanie ludzi o własnej nieomyślności! Miał ogromną ochotę westchnąć, ale przypomniał sobie o kasetce z datkami dziękczynnymi, która zawierała obecnie jedenaście dolarów ekwiwalentu jego godnego potępienia wzdychania.

— A niech to — powiedziała Puny, gdy wychodził do kancelarii. — Naprawdę bardzo się martwię o tego małego postrzelca!

Wybuchnęła płaczem i pobiegła w głąb korytarza, do kuchni. Według Puny, która spotkała później Emmę w Sklepie, pastor „dziobał lunch jak ptaszek i był szary na twarzy”.

— Phi — prychnęła Emma, której nie przeszła jeszcze złość po porannej sprzeczce. — Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że zachowuje się dokładnie tak jak wtedy, gdy dostał cukrzycy.

— Nie może przecież dostawać jej po raz drugi, skoro już ją ma.

— Może wobec tego dostaje czegoś innego — rzuciła lekceważąco Emma.

„Najbardziej nużącą rzeczą w świecie — powiedziała Agatha Christie — jest analizowanie raz napisanych słów i układanie ich w odpowiedniej kolejności bądź zastępowanie lepszymi”.

Pastor całkowicie się z tym zgadzał, gdy mozolnie pracował nad kazaniem. Zaraz po spotkaniu z nieznajomym w nawie jego kazania gwałtownie się polepszyły, były nieomal doskonałe. Potem poczuł nagle, że znowu znalazł się w punkcie wyjścia.

— Twój problem polega na tym — stwierdził Walter podczas niedawnej rozmowy telefonicznej — że jesteś za bardzo przygotowany. Nie pozostawiasz żadnej przestrzeni dla Ducha Świętego, żeby mógł działać cuda. Od czasu do czasu musisz podejmować ryzyko. To właśnie odrobina szaleństwa nadaje życiu prawdziwego smaku.

Odrobina szaleństwa? Nie dość, że wszyscy ubóstwiali informować go, że przecież mu mówili, to jeszcze diabelnie chętnie służyli dobrą radą.

Spojrzał na stojący na biurku zegar z kalendarzem. Jeśli chłopiec nie pojawi się w przeciągu kilku najbliższych godzin, razem z panną Sadie postanowili pojechać do Holding i przeczesać dokładnie całe miasto.

— Mam nowe tenisówki — powiedziała mu. — Ja będę szła jedną stroną drogi, a ojciec drugą!

— Posłuchaj — powiedział pastor do wyciągniętego u jego stóp Barnaby.

W czasie gdy czytał pierwszy szkic kazania, Barnaba słuchał go z autentycznym zainteresowaniem.

Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że jego pies przysłuchuje się mu z większą uwagą niż niejeden z jego parafian. Z drugiej jednak strony, nikt z jego wiernych nigdy nie zaczynał się w środku kazania gwałtownie drapać. Był więc remis.

Wstał i podszedł do wysokiego drzewka przyozdobionego migającymi światełkami. Spojrzał na całe mnóstwo prezentów leżących pod choinką, ale stracił jakoś ochotę na ich dalsze otwieranie. Cho-

ciężki kiedy rozpakował prezent od kuzyna, odkrył, że rzeczywiście jest to kolejka elektryczna. Jak tylko wróci Dooley, pomyślał, rozłożymy tory i ją wypróbujemy. Bo Dooley przecież wróci. Nagle przypomniał sobie o prezencie, który zrobił dla niego chłopiec, i znalazł go obok pękatego podarunku od Winnie.

Rozpakował prezent pospiesznie.

Futurał na okulary, zrobiony w szkole. Dwa kawałki skóry sklejone z trzech stron, z odcisniętym w skórze monogramem. Na jednej stronie FT, na drugiej DB. W środku kawałek kartki z notatnika, na której Dooley napisał: „Wycisnąłem również swoje inicjały, żeby mnie Ojciec nie zapomniał”.

Zapomnieć Dooleya Barlowe'a? Nigdy!

Stwierdził, że wielu chłopców wychowanych tak jak Dooley, byłoby nicponiami. Dooley, był o tym przekonany, będzie w życiu kimś wyjątkowym. Czas pokaże, kim dokładnie.

Żałował, że nie ma nikogo, z kim mógłby w domu porozmawiać o tym niepokojącym rozwoju wydarzeń. Na przykład kogoś takiego jak Walter, któremu powierzał wszystkie sekrety od najmłodszych lat.

Włożył futerał na okulary do kieszeni koszuli i podszedł do biurka. „Porozmawiać z Hoppym. Powiedzieć Rodneyowi. Podziękować Cynthii” — tak brzmiały zapiski na stronie leżącego na biurku kalendarza. Postanowił zacząć od końca.

Cynthia, pomyślał, nie potrzebuje wiele, żeby poczuć się swobodnie u niego w domu. Gdy zadzwonił, żeby podziękować jej za akwarelkę z kretem, zaproponowała mu herbatę, a on powiedział, że właśnie nastawił wodę. Nie minęły dwie minuty, a „przeskoczyła przez żywopłot”, jak lubiła mówić, i usadowiła się wygodnie na sofie w jego salonie, częstując się ciastkiem maślanym. Z zainteresowaniem spostrzegł, że jeden z jej różowych wałków, którego najwyraźniej nie zauważyła, zdobił tył jej głowy.

— Bardzo mi przykro — rzekła, gdy powiedział jej o Dooleju. — Zawsze myślałam, że chłopcy wracają do domu, jak tylko zgłodnieją.

— No cóż, sprawę komplikuje fakt, że to nie jest jego dom.

— Czy ktoś go widział?

— Rodney mówił, że widziały go trzy osoby, jak zjeżdżał w dół. Zapamiętali czerwony rower.

— Czy widzieli coś jeszcze?

— Mówili, że... że pędził jak szalony.

— Pędził jak szalony! To niedobrze. Milczeli przez chwilę w skupieniu.

— Nigdy nie wychowywałam chłopca — powiedziała Cynthia.

— To nie jestem sam.

— Ale usiłuję zrozumieć ich uczucia. Zawsze, gdy piszę książki o Violet, udaję, że jestem dzieckiem, i piszę wtedy dokładnie to, co chciałabym usłyszeć.

Czy właśnie tak powinien pisać kazania? Mówiąc dokładnie to, co sam chciałby usłyszeć?

— Wydawca, który spojrział na mój pierwszy rękopis, powiedział, że nie mogą tego wydrukować, bo to jest zbyt głupie. Następny wydawca jednak zrozumiał i od tej pory ukazało się osiem książek. Wszystkie głupie!

— I wszystkie odniosły duży sukces, przypuszczam.

— No cóż, tak, a potem przyznano mi Medal Davant i zaczęliśmy robić drugie i trzecie wydanie każdej pozycji. Zmierzałam jednak do tego, że powinniśmy spróbować postawić się na jego miejscu, nawet jeśli wydaje się to głupie. Być może w czymś nam to pomoże! Zastanówmy się... Gdybym była chłopcem, który właśnie dostał nowy rower, gdzie pojechałabym?

Wpatrywała się intensywnie w ogień, marszcząc czoło.

— Myślmy, że pojechał do mamy, nie możemy jej jednak odnaleźć.

— Gdzie mieszka jego mama?

— Miała przyczepę w Holding, ale przyczepa została przestawiona w jakieś inne miejsce.

— Moglibyśmy pojechać i popytać w sąsiedztwie. Ktoś na pewno by coś wiedział.

— Policja się tym zajęła. Na razie nic nie znaleźli.

— Myślę, że to okropne — powiedziała.

— A ja myślę, że to przerażające.

Jak, zastanawiał się, może sobie siedzieć spokojnie przy kominku, podczas gdy pozbawiony ojca chłopiec tuła się gdzieś po świecie, prawie na pewno zziębnięty i głodny?

Ktoś zapukał cicho do tylnych drzwi. Jego serce waliło mocno, gdy Barnaba podniósł się ze swojego miejsca przy kominku i pobiegł w podskokach do kuchni. Rodney! To na pewno Rodney z jakimiś wiadomościami.

Gdy otworzył drzwi, stanął twarzą w twarz z Dooleyem Barlowe'em.

— Mama kazała mi wracać.

— Wejdz — odparł łamiącym się głosem pastor.

Na twarzy chłopca widać było brzydką pręgę. Barnaba lizał ją, podczas gdy Dooley, nie mówiąc ani słowa, zdejmował rękawiczki, kurtkę puchową i żółtą wiatrówkę. Włożył rękawiczki do kosza i powiesił kurtkę na wieszaku.

— Chodź i przywitaj się z panną Coppersmith. Dooley spojrział Cynthii prosto w oczy.

— Hej — powiedział.

— Hej — odwzajemniła powitanie Cynthia.

Jego twarz była czerwona od jazdy na rowerze w zimnym wietrze, a cały lekko drżał z zimna.

— Pewnie byłoby dobrze, gdybym zrobił gorącą czekoladę, żebyś się rozgrzał — zaproponował pastor.

Ale Dooley szedł już w kierunku schodów, a tuż za nim podążał Barnaba.

— Nie mogę tak tutaj stać i rozmawiać — krzyknął przez ramię. — Muszę iść w pewne miejsce.

Pastor spojrział na sąsiadkę, gwałtownie czerwieniejąc.

— Niech ojciec na mnie nie patrzy — odparła. — Nigdy nie wychowywałam chłopca!

Przed skontaktowaniem się z Rodneyem w sprawie klejnotów zadzwonił do Waltera.

— Znajdujesz się w posiadaniu skradzionych przedmiotów — obwieścił Walter.

— Dobry Boże!

— Myślę, że Rodney nie postawi ci żadnych zarzutów, ale powinieneś wiedzieć, w jakim położeniu się znalazłeś, nie zawiadamiając policji o znalezisku.

— Wiedziałem, że powinienem to zrobić. Wszystko dlatego, że chór odbywał próby przed trzema różnymi występami, a ja byłem zajęty czytaniem i kolędami, a Rodney prowadziłby długie dochodzenie i...

— Wierz mi, ja to rozumiem. Ale mimo to postąpiłeś bardzo głupio — stwierdził Walter.

Gdy skończył rozmawiać z Walterem, siedział przez chwilę z głową schowaną w dłoniach. Potem zadzwonił do Rodneya.

— Jest coś, co chciałbym ci pokazać. Co powiesz na to, żebyśmy spotkali się dzisiaj rano w Lord's Chapel?

— Niech mi ojciec da tylko trochę czasu na kawę w barze Grill, żebym się rozbudził, i zaraz u ojca będę.

Było mu słabo. W posiadaniu skradzionych przedmiotów! Niezła reklama dla duchownego, nie ma co. Jeśli była za to jakaś kara, to na pewno było nią to przyprawiające o mdłości upokorzenie, które w tej chwili odczuwał. Nie potrzebował niczego więcej.

— Wyglądasz jak z krzyża zdjęty — powiedziała Emma, wchodząc do biura.

— Niezłe powitanie. Westchnęła.

— Dooley Barlowe służy ci mniej więcej tak jak ta cukrzyca, jeśli chcesz znać moje zdanie.

— Wrócił wczoraj wieczorem.

— Co za ulga! Szkoda, że do mnie nie zadzwoniłeś!

— Zadzwoniłem. Nikt nie odbierał.

— Och, tak, rzeczywiście... Byłam u mamy Harolda i zajmowałyśmy się moim kostiumem.

— Twoim kostiumem?

— Tym do ślubu. Czerwony. Czarne guziki. Baskinka. Pod szyję.

— Rozumiem.

— Czarne czółenka z lakierowanej skóry. Czarne pończochy. Perłowe kolczyki. Gdzie był?

— U mamy, tak jak myśleliśmy. Przysłała go z powrotem. Powiedziała mu, że nie może się nim zajmować.

— Nie mogę tego słuchać — powiedziała Emma. To dobry znak, pomyślał.

— Ale przede wszystkim, jak o tym myślę, to jestem wściekła. Otóż i cała Emma.

— Dostajesz pomoc domową, zmieniasz dietę, znajdujesz sobie miłego psa do towarzystwa, zaczynasz się lepiej czuć i co się wtedy dzieje?

Był tak zdziwiony, gdy usłyszał, że Emma nazywa Barnabę miłym psem, że na chwilę zanie-mówił.

— Otóż znajdujesz sobie chłopca, który cię wykańcza i z powodu którego zamartwiasz się na śmierć, po czym znowu wracasz do punktu wyjścia. Stwierdzam, że nawet przy cukrzycy wyglądałeś dużo lepiej niż dzisiaj rano. — Wzięła głęboki oddech i brnęła dalej: — Czy wiesz, ile masz lat?

Przypomnij mi, pomyślał, znosząc dzielnie jej atak.

— Nie dwadzieścia pięć! Nie trzydzieści dwa! Sześćdziesiąt!

Jesteś za stary, żeby zajmować się chłopcem w piątej klasie, głosić kazania, chodzić do szpitala, odwiedzać starszych ludzi, brać udział w spotkaniach i czytać Pismo Święte w tym programie z Olivią Davenport, nie wspominając już o dzwonach, które przyjadą lada dzień, o rozpoczęciu budowy domu opieki i o tym starym parszywym psie, którego musisz kapać...

Teraz jego miły pies jest stary i parszywy.

W czasie gdy Emma kontynuowała swą słowną masakrę, pastor ze śmiertelnym przerażeniem doszedł do trzeźwego wniosku. Z pewnością nigdy tego nie powie, ale musi jej przyznać jedno: ma rację.

— Ciemno tutaj — powiedział Rodney. — Ale za to ładnie pachnie.

— To stare drewno, wszechobecne w kościele kadzidło, воск do podłóg, kwiaty, olejek cytrynowy i suszone hortensje. To cudowny zapach! — zgodził się pastor, włączając światło. — Proszę bardzo, tędy. To, co chciałbym ci pokazać, znajduje się w miejscu, gdzie trzymamy popioły zmarłych.

Przeszli kilka metrów korytarzem i zatrzymali się obok schowka. Pastor ściągnął klucz z górnej futryny drzwi. Rodney poprawił futerał na rewolwer.

— Czy coś może na nas stamtąd wyskoczyć?

— Mam szczerą nadzieję, że nie.

Otworzył drzwi i włączył światło. Z zadowoleniem stwierdził, że wszystko wygląda tak, jak podczas jego ostatniej wizyty. Nikt nie wrzucił do środka żadnych plastikowych kwiatów ani zniszczonych śpiewników.

— W takim razie — zaczął, delikatnie biorąc w dłonie trzecią od lewej, mosiężną urnę — to jest Parrish Guthrie. Pamiętasz go?

— Ha! Jakże mógłbym zapomnieć tego starego takiego owakiego? Nie tylko ja odetchnąłem z ulgą, gdy poszedł do grobu, czy też... jak się to tam nazywa?

— To jest urna. Po kremacji ciała chowa się w niej popioły, na które składają się przede wszystkim kawałki kości.

— Kawałki kości! — powtórzył Rodney, wzdragając się. — Ja wolę tradycyjny sposób, żeby na moim grobie rosły kwiatki.

— Weźmy tę urnę i chodźmy do kuchni.

Serce pastora waliło jak oszalałe. Tak bardzo chciałby nie musieć mówić tej gorzkiej prawdy o swoim niewłaściwym zachowaniu.

Stanął przy zlewozmywaku i odkręcił pokrywę mosiężnej urny. Poszło mu dużo łatwiej niż poprzednim razem.

— Chcę pokazać ci coś bardzo... brakuje mi odpowiedniego słowa. Coś, co mnie bardzo martwi.

Drugą ręką ściągnął z wieszaka ścierkę i rozłożył ją na części zlewozmywaka służącej do suszenia naczyń. Następnie delikatnie potrząsnął urną, żeby usunąć z niej zawartość.

Nic jednak z urny nie wypadło.

Potrząsnął nią jeszcze raz i przewrócił do góry dnem. Nie było słycać grzechotu, jakby w środku znajdowały się małe muszelki, nic też nie wypadło na ścierkę. Zdał sobie sprawę, że istnieje po temu bardzo prosty powód: mosiężna urna jest pusta.

Poczuł nagle ogromną pustkę w głowie i zmieszanie.

— Nie rozumiem — zaczął.

— W czym problem? Pastor potrząsnął urną.

— Nie wiem. Jestem...

— Coś miało być w tym naczyniu. Tak?

— Klejnoty — powiedział słabo. — Klejnoty, które znalazłem w tej właśnie urnie przed świętami Bożego Narodzenia.

— Nie rozumiem.

— Usiądźmy.

Rodney usiadł na krześle obok wiszącego na ścianie telefonu, a ojciec Tim — na starym sosnowym stole, stojącym na środku kuchni.

— Przed świętami — wyznał — sprzątałem w tym schowku i wyrzucałem niepotrzebne rzeczy. Podniosłem urnę Parrisha Guthrie'a i usłyszałem dziwny brzęk. Pomyślałem, że nigdy nie widziałem wnętrza urny, więc z ciekawości przyniosłem ją do kuchni i otworzyłem. W środku znajdowały się małe płócienne woreczki, pełne klejnotów, szlifowanych kamieni szlachetnych.

— Może przyniósł ojciec tutaj inne naczynie.

— Nie. To na pewno była urna Parrisha. Rodney oparł rękę na kolbie pistoletu.

— Dlaczego więc ojciec tego nie zgłosił? Właśnie! Oto pytanie, którego się obawiał.

Kiedy wyjaśniał dlaczego, Rodney ściągnął kapelusz i podrapał się po głowie.

— Nie wiem — powiedział szef policji — nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z czymś takim. Gdy ojciec je znalazł i nie zgłosił tego faktu na policję, znajdował się ojciec w posiadaniu skradzionych przedmiotów, to wiem.

— To właśnie powiedział mi mój kuzyn, który jest prawnikiem.

— Ale teraz, gdy nic tu nie ma, nie wydaje mi się, że jest jakiś zarzut, który mógłbym ojcu postawić. Może powinniśmy zajrzeć do pozostałych naczyń.

Pastorem wstrząsnął dreszcz. Wątpił, żeby miało to przynieść jakieś rezultaty.

— Aż ciarki człowieka przechodzą — oświadczył Rodney, zaglądając do urn i przeszukując ich zawartość za pomocą noża kuchennego z szuflady ze sztućcami. — Bóg mi świadkiem, żałuję, że nie przyniosłem ze sobą trochę tytoniu do żucia.

W trakcie godzinnych poszukiwań nie znaleźli nic podejrzanego.

— Sporządzą raport, który ojciec podpisze, złożę go i to wszystko.

— Gdzie? Gdzie go złożysz?

— W prawej szufladzie mojego biurka, na posterunku.

— Aha! Myślałem, że mógłbyś złożyć raport J.C. Hoganowi.

— Za nic w świecie, tak długo jak będzie to ode mnie zależało. Pastor poczuł pewną ulgę.

Podziękował sąsiadce za jej oryginalny i pomysłowy prezent.

Powiedział Rodneyowi o swoim nieszczęsnym odkryciu i równie nieszczęsnym zachowaniu.

A teraz została mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz z listy — musiał porozmawiać z Hoppym.

Miał ochotę natychmiast zadzwonić do linii lotniczych i polecieć bez międzylądowań prosto do Shannon, następnie wynająć samochód i pojechać do Sligo. Tam spędziłby co najmniej cztery tygodnie w jakiejś cichej gospodzie, jeżdżąc rowerem po wąskich drózkach i przytupując nogą w tak muzyki granej na skrzypcach w pokrytych strzechą chatkach.

Zamiast do linii lotniczych, zadzwonił do Hoppy'ego.

— Harper.

— Twój dobry pastor — przedstawił się ojciec Tim, chociaż czuł się zgoła inaczej. — Jak się ma Russell?

— Nie do wiary, jak jego choroba ustępuje. To bardzo rzadkie w takich przypadkach. A jak twoje samopoczucie? Biegasz?

— Ostatnio trochę się zaniedbałem.

— Mam ci do powiedzenia tylko trzy słowa: musisz to robić.

— W porządku. Masz rację i zamierzam cię posłuchać. Chciałbym cię o coś poprosić. Muszę z tobą porozmawiać... na bardzo ważny temat. U ciebie czy u mnie?

— U mnie, jeśli ci to nie przeszkadza. Wygląda na to, że wszyscy stąd do Wesley i z powrotem chorują na zapalenie górnych dróg oddechowych. Nie mogę się stąd ruszyć.

— Powiedz, o której?

— Około szóstej.

— No to do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Po raz pierwszy miał chwilę, żeby złapać oddech, i od razu przyszedł mu na myśl klejnoty.

Dlaczego zniknęły z urny? Dlaczego ktoś przeniósłby je w inne miejsce? Czyżby ktoś dowiedział się o tym, że je znalazł? Poczłł dziwny chłód i wcale mu się to uczucie nie podobało.

— Wirusowe zapalenie mięśnia sercowego! — Hoppy wyglądał, jakby otrzymał cios. — Dobry Boże — dodał cicho i usiadł ciężko na krześle.

Ojciec Tim spojrział na notatki, które robił, gdy Olivia opowiadała mu swoją historię. Jej sytuacja była bardzo skomplikowana i starał się precyzyjnie zebrać fakty.

Lekarz pochylił się do przodu.

— Opowiedz mi wszystko, co ci mówiła.

— Wszystko zaczęło się od czegoś, co wyglądało jak grypa, około dwa lata temu.

— Ciągłe zmęczenie — powiedział Hoppy. — Problemy z oddychaniem, bóle w piersiach.

— Zgadza się. Mówiła, że czuła się tak, jakby się miała rozsypać na kawałki. Poszła do lekarza, wzięła antybiotyki, zwiększyła liczbę witamin, dużo odpoczywała, ale nic nie pomagało. Zrobili jej całą serię badań krwi, ale nic nie znaleźli.

— Typowe.

— W końcu zrobili jej badanie EKG i zauważyli pewne nieprawidłowości. Potem echokardiogram, który wykazał powiększone serce.

— Potem biopsję — uzupełnił Hoppy.

— Zgadza się. Wirusowe zapalenie mięśnia sercowego. Twarz lekarza zrobiła się popielata.

— Objawy to się nasilały, to znów ustępowały. Bywały okresy, gdy czuła się zupełnie normalnie, tak jak od czasu przyjazdu do Mitford, a potem następowało nagłe pogorszenie, kiedy prawie nie mogła oddychać ani poruszać się na własnych nogach ze względu na obrzęki.

— Nagłe zapaści są nie do przewidzenia. Kto jest jej lekarzem?

— Człowiek z twojej macierzystej uczelni, z Mass General.

— Leo Baldwin, mam nadzieję! Pastor sprawdził notatki.

— Zgadza się! Leo Baldwin.

— Najlepszy. Znam go. Niesamowite referencje. Jaki był wynik biopsji tkanki?

— Cossackie typu B, powiedziała. Próbowali leczenia środkami farmakologicznymi, ale skutki uboczne były przerażające. Zmieniły obraz krwi.

— Czy widziałeś kiedyś, jak pracują termity? — zapytał Hoppy.

— Tak. Co gorsza, tuż pod moimi tylnymi schodami.

— Cocksackie zjada dokładnie w ten sam sposób mięsień serca. Ohydny, podstępny, nie do wyleczenia. Dlaczego nie skorzystała z przeszczepu?

— Czy wiesz, jakie są szanse znalezienia dawcy z typową grupą krwi?

— Jeden na siedemdziesiąt pięć, jeden na sto.

— Dodaj do tego szanse znalezienia dawcy z grupą krwi typu B.

— Jeden na tysiąc.

— A potem szanse dowiezienia serca do pacjenta w odpowiednim momencie.

Hoppy ściągnął okulary i przetarł oczy.

— Sytuacja bez wyjścia — powiedział cicho.

Zadzwoił do Waltera.

— Nie ma ich tam? Mówisz, że... zniknęły?

— Urna była pusta.

— Słuchaj, Timothy. Ostatnio miałeś ciężki okres. Od lat nie byłeś na wakacjach i...

— Nie, nie mam przywidzeń, i to nie moja wyobraźnia. Klejnoty były tam przed świętami.

Otworłem wtedy tylko jeden mały woreczek, musiało w nim być około piętnastu, dwudziestu kamieni, i widziałem, że są też inne małe płócienne woreczki, identyczne jak ten, który wyciągnąłem.

Westchnął.

— Jest w tym wszystkim jedna pocieszająca rzecz.

— To znaczy?

— Nie znajduję się już w posiadaniu skradzionych przedmiotów.

Rozdział trzynasty

PRZYPADŁOŚCI SERCA

— Prawie w ogóle się do mnie nie odzywa — powiedziała Olivia.

Do stolika podszedł Percy, wycierając ręce w podniszczony fartuch.

— Nie wydaje mi się, żebym miał już przyjemność — zwrócił się do Olivii.

— Przedstawiam ci Olivię Davenport — dopełnił formalności ojciec Tim. — Olivia Davenport, Percy Mosely, właściciel tego szacownego przybytku. Gdy byliśmy tutaj na śniadaniu, Percy leżał w domu chory na grypę.

Olivia uśmiechnęła się i podała Percy'emu rękę.

— Słyszałam, że pańska wątróbka cieleca z cebulą to prawdziwy specjał.

— Nie ode mnie — wyjaśnił pastor.

— Cóż, nie smakuje naszemu pastorowi i pannie Rose, ale reszta z nas nie jest tak wybredna.

— Bardzo chętnie wyrobię sobie na ten temat własne zdanie.

— Dla pani — powiedział najwyraźniej oczarowany Percy — możemy umieścić ją z powrotem na liście specjalności zakładu już we wtorek.

— Wobec tego przybędę niezawodnie!

Odchodząc, Percy był tak zachwycony, że pastor zaczął się martwić o jego nie do końca jeszcze wyleczoną grypę.

— Prawie w ogóle się nie odzywa? — zapytał ojciec Tim.

— Wiem, oczywiście, dlaczego. Boi się.

— Tak, oczywiście. I jest mu wstyd.

— Nie rozumiem.

— Bardzo chciałby być dzielny i pozwolić, aby uczucie do ciebie się rozwijało. Myślę też, że jednocześnie, poza obawą przed bólem, wstydzi się samego strachu.

Zastanawiając się nad słowami pastora, Olivia zmarszczyła brwi.

— Tak, tak. Rozumiem.

— Wydaje mi się też, że Hoppy...

— Tak? — spytała niecierpliwie.

— Zastanawia się.

— Zastanawia się?

— Zna twojego lekarza.

— Nie! Leo? Zna Leo?

Była wyraźnie poruszona tą wiadomością.

— Hoppy robił specjalizację w Mass General.

Olivia zaśmiała się ciepło i swobodnie. W jej oczach znowu pojawiły się iskierki.

— Mass General to dla mnie drugi dom! Spędziłam tam tak dużą część życia, że sama rozmowa o tym miejscu sprawia, że odczuwam nagłą... tęsknotę. I Hoppy... robił tam specjalizację i zna Leo.

Powiedziała to miękko, jakby dzięki temu poczuła się dużo bezpieczniej.

— Myślę, że Hoppy się zastanawia, w jaki sposób mogłabyś... to znaczy, co mógłby zrobić, gdybyś...

— Przeszczep? Nie. To zbyt skomplikowane. Podałam się. Szanse, ryzyko... wszystko jest przeciwko mnie. Ojczy, mówię szczerze, to ponad moje siły.

— Cóż, Olivio, mogę ci powiedzieć tylko jedno: List do Filipian rozdział czwarty, wersety trzy-nasty.

Zaśmiała się lekko.

— Uwielbiam, gdy ojciec tak mówi!

Emma podała mu słuchawkę z wyrazem niepewności na twarzy.

— Ksiądz Harolda — zaanonsowała.

— Mój dobry bracie — powiedział głos w słuchawce — mówi Absalom Green właściciel sadu, kierownik sklepu wielobranżowego, pastor trzech małych kościółków i wszechstronny robotnik w winnicach Pana.

— Pastor Greer! — zawołał ojciec Tim, czując natychmiastową sympatię do obdarzonego tak ujmującym głosem rozmówcy. — Co mogę dzisiaj zrobić dla pastora?

— Cóż, przyjacielu, ponieważ razem mamy prowadzić pewną ceremonię, byłbym zobowiązany, gdybyśmy się mogli przedtem troszeczkę poznać!

— Załatwione! — odparł, ciesząc się szczerze na spotkanie. — Załatwione!

— Stwierdzam — zwrócił się do Puny w środę — że jeśli Dooley i ja nie wybierzemy się wkrótce do Meadowgate, Rebecca Jane będzie w college'u.

— Kiedy chrzciny?

— Za dwa tygodnie. Pogoda była tak zmienna, a w dodatku prawie w każdą niedzielę padał deszcz albo śnieg, że nie miałem okazji jej zobaczyć.

— Jakże chciałabym potrzymać w rękach dziecko — powiedziała tęsknie Puny.

— No, cóż, młoda damo. Idź wobec tego i znajdź sobie męża.

— Ha! Nie ma takiego, który by mi się podobał.

— Skąd wiesz, skoro ograniczyłaś swoje poszukiwania do Mitford i Wesley?

To dobre pytanie, pomyślał.

— Mama mówiła, że kobiety nie polują na mężczyzn, a jedynie pozwalają im przechodzić obok, jakby w paradzie.

— No cóż, może to i racja. Ale czy widziałaś, żeby przechodziły tędy ostatnio jakieś parady?

Puny westchnęła.

— Co chciałby ojciec na kolację?

— Ty mnie pytasz?

— Cóż, pomyślałam, że dla odmiany zapytam, zamiast zostawiać ojcu niespodziankę.

— Puny, proszę, nie próbuj naprawiać czegoś, co działa bez zarzutu.

Puny spojrzała na niego uważnie.

— Co ojciec ma na myśli?

— Otóż błagam cię z całego serca, żebyś robiła wszystko tak, jak do tej pory. Twoje niespodzianki są dla mnie niewypowiedzianą przyjemnością.

Składając parami jego skarpetki, uśmiechnęła się z zadowoleniem, ale jakby słabo, pomyślał.

— Puny — powiedział — codziennie modlę się za ciebie szczerze. Myślę jednak, że muszę uzupełnić swoją modlitwę. Poproszę Pana, aby rozpoczął paradę!

Puny zarumieniła się i spuściła oczy. Z niedowierzaniem zauważył, że po jej piegopatym policzku spłynęła łza.

Zupełnie nie wiedział dlaczego, ale tak bardzo go to wzruszyło, że odwrócił się w przeciwną stronę. Słyszał, jak wyciera nos.

— Chleb kukurydziany — powiedziała nagle z wielkim uczuciem.

— Chleb kukurydziany?

W jednej chwili znalazła się obok kuchenki.

— Zrobię dla ojca chleb kukurydziany i zupełnie mnie nie obchodzi, co mówi ojca lekarz! I będzie w nim sól i kawałki tłustego bekonu, i zamierzam usmażyć go na tłuszczu, bo mam już dość rezygnowania z mojego wspaniałego chleba kukurydzianego.

— Wobec tego — odparł z uznaniem pastor — bierz się do dzieła!

Pogoda w czwartek rano była ponura. Przez całą noc ojciec Tim słyszał, jak pada deszcz, a około czwartej nad ranem wślizgnął się do jego sypialni Dooley. Słyszając hałas, i on, i Barnaba natychmiast usiedli na łóżku. W drzwiach zobaczyli jedynie zarys postaci. Barnaba zawarczał groźnie.

— Och, zamknij się! — zaczął Dooley. — Nie jestem złodziejem. Przyszedłem powiedzieć, że zmarłem na kość.

Pastor wstał i nastawił ogrzewanie na sześćdziesiąt stopni. Dooley poczłapał do łóżka. Podłoga była zimna jak lód, a ulewny deszcz zacinał prosto w okna.

O piątej, właśnie gdy miał wstać, żeby odmówić poranną modlitwę i trochę popracować, zaczął wiać wiatr. Smagał widoczne z okna w sypialni drzewa, wył dziko, omiatając dom, i przypomniał mu o złowieszczej prognozie, która mówiła, że przed południem lód pokryje ulice, tworząc na nich prawdziwą szklanę. Przypomniał sobie również, że właśnie dzisiaj miała przyjechać do Mitford Louella, żeby zamieszkać ponownie w Fernbank.

Podszedł do okna i spojrzał na stojący obok mały domek. W oknie na piętrze paliła się lampa, tworząc w ciemnym ulewnym deszczu ciepłą plamę światła.

— Cóż, Panie — powiedział na głos, stojąc przy oknie. — Czy jest to kolejny znak od Ciebie, że mam zaprowadzić samochód do Lew Boyda, żebym mógł znowu zacząć nim jeździć? Jak chłopiec ma się dostać do szkoły? I jak ja mam dojść do szpitala w tej ulewie?

Usłyszał za plecami jakiś dźwięk.

— Czy to ojciec?

— Tak.

— Stoi tu ojciec po ciemku i pepla coś do siebie w środku całej tej szalejącej wichury. Aż ciarki przechodzą po krzyżu.

— Peplam?

— Brzmi to tak, jakby ktoś powtarzał na okrągło ple, ple, ple. Spojrzał na zaniepokojoną twarz chłopca i otoczył go ramieniem.

— Dooley?

Chłopiec zawahał się, a potem powiedział:

— Tak, proszę ojca?

— A co ty na to, gdybyśmy zrobili dzisiaj coś wyjątkowego?

— To znaczy?

— Gdybyśmy zostali w domu i pobawili się tą kolejką, którą dostałem od kuzyna?

Dooley krzyknął tak głośno, że Barnaba wyskoczył z łóżka i wybiegł na korytarz, szcękając na cień na ścianie.

— To wspaniały pomysł! Kochani, to wspaniały pomysł!

— Czy przyznasz wobec tego, że kaznodzieje miewają od czasu do czasu wspaniałe pomysły?

— Pewnie! Tak, proszę ojca! Ale ekstra!

— A jak już będziemy się tym zajmować, to może poczęstujemy się przy okazji naszymi ulubionymi smakołykami, na przykład gorącą czekoladą z trzema piankami cukrowymi i chili con carne, i...

— Prażoną kukurydzą i szarlotką z lodami...

— I odrobiną Wordswortha...

— Uch!

— I przez cały dzień będziemy chodzić w piżamach i szlafrokach.

— Czadowo!

— O ósmej trzydzieści zadzwonię do twojej szkoły i powiem: „Dooley Barlowe nie jest dzisiaj chory, ale jeśli wyjdzie z domu w taką pogodę, to na pewno zachoruje. Spodziewajcie się więc go jutro”.

Bez słowa Dooley Barlowe wziął rękę pastora i potrząsnął nią energicznie.

Wcześniej następnego ranka ołowiane chmury ustąpiły, na niebie pojawiło się słońce i rześki dzień powitał miasteczko. Po wizycie w szpitalu ojciec Tim zadzwonił do Lew Boyda, który zgodził się zrobić wszystko, co konieczne, aby uruchomić jego samochód.

Następnie pojechał na skuterze do Wesley, przystąpił do egzaminu na prawo jazdy i — jak później powiedział — tylko dzięki łasce Bożej zdał.

Lew Boyd wyglądał właśnie przez okno, gdy zobaczył, jak pastor mija pomnik i idzie w kierunku stacji.

— Oto i jest, chłopcy — powiedział, ucinając prymkę tytoniu do zucia.

— Minęło już dwadzieścia lat, odkąd ostatni raz jeździł samochodem — obwieścił Coot Hendrick.

— Nie, nie dwadzieścia — zaproponował Bailey Coffey. — Czternaście, a może piętnaście.

— Żaden z was nie ma racji — sprostował Lew. — Ostatni raz jechał tym buickiem osiem lat temu. Sprawdziłem, kiedy zmieniałem mu płyny.

— Ale ten czas leci — westchnął Coot, wrzucając do butelki; coca-coli paczkę orzeszków ziemnych.

— Chłopcy — powiedział ojciec Tim, ukazując się w drzwiach — wygląda świetnie.

Lew zaczął odczytywać listę wykonanych napraw:

— Umyliśmy go, nawoskowaliśmy, założyliśmy opony radialne, wymieniliśmy płyny, włożyliśmy akumulator, odkurzyliśmy goi w środku, usunęliśmy wszystkie plamy z przedniego siedzenia, umyliśmy wycieraczki, zatankowaliśmy paliwo, zrobiliśmy małą rundkę, wypróbowaliśmy klakson i sprawdziliśmy, czy działa radio.

— Usłyszałem swoją ulubioną piosenkę. „Jeśli nie będziesz walczył o najmniejszą rzecz, stracisz wszystko” — powiedział Coot.

— Jeśli chce ojciec znać prawdę, to wszyscy załadowaliśmy się do środka i przejechaliśmy się dookoła — wyznał Bailey Coffey.

— Oto ojca rachunek — powiedział Lew — i muszę przyznać, że jest spory.

Coot poklepał stojące obok siebie krzesło z chromowanej stali.

— Mogę tylko zaproponować, żeby sobie ojciec usiadł.

— Czteryście osiemdziesiąt sześć dolarów siedemdziesiąt osiem centów? — zapytał pastor.

— To razem z dezodorantem o zapachu brzoskwini.

— Tanio jak barszcz! — stwierdził pastor i z entuzjazmem potrząsnął dłonią Lew.

Poszli za nim do samochodu.

— Chłopcy — ostrzegł Lew, gdy ojciec Tim przekręcał kluczyk w stacyjce — ponieważ długo nie jeździł, na waszym miejscu odsunąłbym się trochę.

Stali i patrzyli, jak samochód jedzie wokół pomnika i znika, zjeżdżając w dół Main Street, gdzie kilkoro przechodniów obróciło głowy, z niedowierzaniem gapiąc się na jadącego samochodem miejscowego pastora, który wyglądał na pogrążonego w myślach, choć w rzeczywistości słuchał stacji radiowej z muzyką country, która właśnie nadawała kawałek zatytułowany: *Kupiłem buty, które ode mnie odeszły*.

Podczas mszy następnej niedzieli zapytał wiernych, czy ktoś widział jego Pismo Święte, podając jednocześnie bardzo szczegółowy opis.

Czarne. Z jego nazwiskiem wytłoczonym złotymi literami. W skórzanej oprawie. Zniszczone. Małe. Czerwony druk. Na marginesach odręczne notatki.

Nikt nie podniósł ręki, nie wstał, nie przyznał się ani w żaden inny sposób nie wskazał na miejsce, w którym obecnie jego Pismo Święte mogłoby się znajdować. Nie wiedział, dlaczego przyszło mu

to do głowy, ale pomyślał, że powinien przeszukać kościół. Piwnice, strych, tego typu miejsca. Zbyt wiele rzeczy zginęło. Czuł się tak, jakby spoglądał na wiszący krzywo na ścianie obrazek, jakby coś w tym wszystkim było nie tak.

Zrobiło się już ciemno, gdy wybrał się do Lord's Chapel. Przechodząc obok Oksfordzkich Antyków, zauważył na drzwiach wywieszkę: „Wyjechałem”, co w osobistym języku Andrew znaczyło: „Zamknięte”. Słyszał, że Andrew tydzień temu wybrał się w podróż do Anglii. Wyjeżdżał tam raz na dwa lata, żeby kupić antyki i spotkać się z ludźmi, którzy kolekcjonowali pamiątki po Churchillu. Przez jakiś czas nie będzie widział stojącego przy krawężniku szarego mercedesa. Poczuł dziwną ulgę.

Po przyjeździe do kościoła włączył wszystkie światła i najpierw zszedł do piwnicy. Przeszukał dokładnie rozległe nie wykończone pomieszczenie, zaglądając nawet do szafki z zapasami, gdzie przechowywali żywność w puszkach na kościelne kolacje. Szafka — zawsze gdy zdarzyło mu się do niej zaglądać — była pełna, jako że majordomusem wszystkich kuchennych przedsięwzięć była słynąca ze swojej dbałości o zapasy Esther Bolick.

Tym razem szafka była prawie zupełnie pusta. Brakowało nawet papieru toaletowego.

— Czy próbowałaś kiedyś skorzystać z toalety u baptystów? — zapytała go kiedyś Esther. — Oni nigdy nie mają papieru toaletowego. Musisz użyć własnych chusteczek higienicznych, jeśli akurat masz jakieś przy sobie!

Szczególną ambicją Esther było dopilnowanie, aby w Lord's Chapel nigdy nie zabrakło tego artykułu.

Gdy wszedł do świetlicy parafialnej, stwierdził ze zdziwieniem i bez cienia wątpliwości, że w powietrzu unosi się zapach rosółu drobiowego z makaronem. Rozpoznałby go wszędzie, ponieważ w pierwszych latach pracy duszpasterskiej żywił się prawie wyłącznie tą potrawą.

Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek przed nim był w kościele. Nie było w planie żadnych spotkań. Bractwo Ołtarzowe nigdy nie pracowało w niedzielę, ponieważ już tradycyjnie sprząтали w poniedziałki. Russell z kolei leżał chory w szpitalu.

Nagle ogarnęły go złe przeczucia. Coś było nie w porządku. Czuł to przez skórę i wcale mu się to nie podobało.

Stanął po lewej stronie ołtarza, podniósł do góry rękę i pociągnął za łańcuch służący do opuszczania prowadzących na poddasze schodów.

Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś umieścił schody na poddasze tuż obok ołtarza. Musiał jednak przyznać, że zawieszony na łańcuchu podczas wiosennych i letnich mszy kosz kwiatów prezentował się doskonale.

Rosół drobiowy z makaronem! Gdy włączył światło na strychu i zaczął się wspinać po skrzypiących schodach, poczuł ten zapach jeszcze wyraźniej.

W czasie dwunastu lat, które spędził w Lord's Chapel, był na poddaszu tylko raz. Wydawało mu się tak ogromne, jak strych nad stodołą w Nowej Anglii. Według panny Sadie w kościele wybudowano tak duże poddasze, aby w przyszłości pomieścić wszystkie dzieci ze szkoły niedzielnej. Gdy jego oczy znalazły się na wysokości podłogi strychu, zobaczył wypełnioną cieniami, ogromną pustą przestrzeń.

Stojąc w tym wolnym od natłoku „rzeczy” miejscu, poczuł, jak opanowuje go dziwne uczucie spokoju.

Zauważył, że w kącie, w pobliżu okna, coś leży. Gdy jednak podszedł bliżej, okazało się, że to tylko opakowanie batonika. Migdałowy Raj. Jeden z jego ulubionych.

Wziął papierek do ręki. Pachniał jeszcze czekoladą.

Włożył opakowanie do kieszeni spodni i podszedł do drzwi prowadzących do prawie zupełnie pustej dzwonnicy. Zobaczył trzy dębowe konstrukcje, na których jeszcze niedawno wisiały ogromne dzwony. Czwarły, duży i uroczysty, zwany „dzwonem pogrzebowym”, stał niemo w kącie normańskiej wieży.

— Czego w ogóle szukam? — zadał sobie pytanie. Być może miał nadzieję, że klejnoty znajdą się ponownie na terenie kościoła i że zabierze je Rodney Underwood, a on pozbędzie się problemu i zapomni o całej sprawie. Istnieje przecież duże prawdopodobieństwo, iż ktoś, kto najpierw włożył klejnoty do urny, mógł je przenieść do innej kryjówki w kościele.

Mimo że niczego nie znalazł, mógł przynajmniej stwierdzić — zauważalny nawet w przydymionym, padającym z gołych żarówek światło — idealny stan starego budynku.

Zamknął drzwi do dzwonnicy i podszedł do schodów.

Bardzo możliwe, pomyślał, że kradzież ciasta pomarańczowego

Esther Bolick była sprawką kogoś z parafian, figlem spletanym przez jednego z licznych wielbicieli jej słynnego wypieku. Zaginione Pismo Święte natomiast znajdzie się w jakimś nieoczekiwanym miejscu, przy czym jego pojawienie się tam będzie można zupełnie racjonalnie wytłumaczyć.

Jednak klejnoty to zupełnie inna historia. Miał nadzieję, że po wizycie na poddaszu i w piwnicy w jego sercu zagości spokój. Niestety, sprawa klejnotów miała go dręczyć dalej.

Gdy po dniu spędzonym w kancelarii wracał w poniedziałek do domu, Puny stała w drzwiach i czekała na niego. Nawet przez drzwi z siatką zauważył jej przeszywające spojrzenie.

— Co za miła niespodzianka — powiedział, czując, że wcale nie będzie miła. — Zazwyczaj gdy wracam do domu, ciebie już nie ma.

— Czy ojciec nadal odmawia tę modlitwę o paradę? — zapytała kiedy wchodził do kuchni, niosąc butelkę mleka i bochenek chleba.

— Modlitwę o paradę?

— Wie ojciec, tę, w której prosi ojciec Pana, żeby zaczął paradę.

— Aha! Cóż, tak.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

— Jeśli nie ma ojciec nic przeciwko, byłabym wdzięczna, gdyby ojciec poprosił Pana, żeby skończył tę paradę!

— Cóż — powiedział, stawiając torbę z zakupami na ladzie i siadając na krześle. — Co się dzieje?

— Dokładnie w dniu, w którym o tym rozmawialiśmy, poszłam do Sklepu, żeby kupić te nektarynki, nad którymi Avis tak się rozplywał. Stoję sobie obok skrzynki z owocami, a tu podchodzi do mnie jakiś bałwan i zaczyna: „Cóż, moja maleńka, gdzie się podziewałaś przez całe moje życie?” Całe usta miał wypchane tytoniem. Wystarczyłoby, żeby zakneblować kozła. Chodził za mną, aż musiałam mu nieomal dać w twarz, żeby mnie w końcu zostawił. Następnego dnia — kontynuowała czerwona na twarzy Puni — miałam do załatwienia kilka sprawunków w mieście i szukałam właśnie szmat do mycia podłóg, a tu sunie niczym wąż jakiś safandula w moim kierunku i mówi: „Czy nie wybrałabyś się ze mną po paluszki drobiowe do podcieni?” Paluszki drobiowe! Pokazałam mu paluszki drobiowe!

— Puni — odparł — gdy oglądasz paradę, czy podoba ci się każda przejeżdżająca dekoracja?

— Jedne podobają mi się bardziej, inne mniej — odpowiedziała gniewnie.

— Sama widzisz.

— Nie jestem pewna. Myślę, że powinien ojciec rozpocząć jakąś inną modlitwę. Ta przeraża mnie na śmierć.

— Poczekaj — powiedział łagodnie. — To tylko początek. Nie przeszły jeszcze zespoły z bębnami i trąbkami, że nie wspomnę już o orkiestrach wojskowych!

— A co to niby ma znaczyć? — zapytała z niesmakiem.

Tego wieczoru przed kolacją pastor nałożył drewna do kominka. Dooley zrobił prażoną kukurydzę, a Barnaba sprawnie załatwił pod żywoplotem swoją potrzebę. Niczym dziecko ojciec Tim cieszył się przytulnością, ciszą i perspektywą odpoczynku w domu.

Wziął do ręki chyba po raz czwarty czy piąty „Mitford Muse” sprzed czterech dni, żeby przeczytać artykuł wstępny Esther Cunningham o lipcowym Festiwalu Róż. J.C. znowu się nie popisał. „Festiwal Zórz przeobrazi Main Street” — brzmiał nagłówek.

Dooley odebrał w kuchni telefon.

— Dom ojca Tima. Tak. Jest, ale nie chce z nikim rozmawiać. Chłopiec zakrył dłonią słuchawkę i krzyknął:

— Ojca lekarz!

— Odłóż słuchawkę — powiedział i podniósł leżący na sofie telefon bezprzewodowy.

— Masz coś na wyczerpanie, bezsenność i ogólnie złe samopoczucie? — zapytał.

— Dzwoniłem do ciebie, żeby zadać ci to samo pytanie.

— Prowadził ślepiec ślepego. Jak się masz, przyjacielu?

— Już niedługo nic ze mnie nie zostanie. Muszę wyrwać się stąd na chwilę, a kuchnia obiecała, że przygotuje mi danie na wynos. Zastanawiałem się, czy mógłbym je przynieść ze sobą do ciebie. To się nazywa „bywanie w świecie”.

— Oczywiście! — odpowiedział, starając się, żeby Hoppy nie wyczuł w jego głosie zmęczenia.

— Dla ciebie też przyniosę porcję.

— Sam nie wiem — odparł pastor ostrożnie. — Jak myślisz... aa, co to może być?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Jadłem to już kiedyś. W takim razie przynieś i dla mnie. Potrzebuję więcej niespodzianek w życiu.

— Ohyda — powiedział Dooley — ja tego nie będę jadł. Spróbowałem kiedyś obiadu dziadka w szpitalu i o mało się nie udławiłem.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Mnie wystarczy trochę prażonej kukurydzy, masła orzechowego z marmoladą i kawałek przysmażonej kiełbasy bolońskiej.

— Ohyda — odparł pastor.

— Kiedy, na litość boską, postarasz się o jakąś pomoc w szpitalu? — zapytał swojego lekarza. Siedzieli z tacami na kolanach przy ogniu.

— Lada dzień.

— Zawsze tak mówisz. A pomocy jak nie miałaś, tak nie masz. Spójrz na siebie. Absolwent medycyny na Uniwersytecie Harvarda. Każda placówka w kraju przyjęłaby cię z otwartymi rękami, a ty wybrałaś nikomu nie znane małe miasteczko i pracujesz za trzech.

— Już niedługo człowiek z Wesley będzie przyjeżdżał do szpitala na kilka popołudni w tygodniu. Dobry lekarz. Wilson. Spodoba ci się. Młody.

— Jagnię na rzeź. Hoppy uśmiechnął się.

— No więc, jaki jest twój werdykt odnośnie do kuchni?

— Cóż... nie znajduję słów.

— Daj spokój. Mówimy o kurczaku Cordon Bleu. Zaśmiał się.

— Jeśli tak, przyjacielu, to mówimy dwoma różnymi językami. Lata zbyt ciężkiej pracy i braku personelu nauczyły Hoppy'ego

połykania jedzonych naprędce posiłków. Teraz przełknął szybko kawałek kurczaka i oparł się wygodnie o oparcie fotela.

— Chciałbym się ciebie poradzić w pewnej sprawie — powiedział, wpatrując się w ogień.

— Zamieniam się w słuch.

— Sam nie wiem, dokąd mnie to zaprowadzi. Może donikąd.

Zamilkł na chwilę, a ciszę mącił jedynie odgłos buzującego na kominku ognia. Barnaba podniósł się z miejsca obok stóp pana i poszedł położyć się obok Hoppy'ego. Ten prosty gest pocieszenia był tylko jednym z powodów, dla których ojciec Tim podziwiał charakter swojego psa.

— Gdy umierała Carol, nie byłem w stanie nic zrobić. Mogłem jedynie uśmierzać ból. To było... beznadziejne.

— Tak, to prawda. Hoppy spojrział na pastora.

— Ciężkie zapalenie mięśnia sercowego nie jest beznadziejne! — powiedział z uczuciem.

— Mów dalej.

— To znaczy, że nie jestem bezsilny!

— Słucham cię uważnie.

Hoppy podniósł się z fotela i zaczął chodzić po pokoju.

— Jestem śmiertelnie przerażony. Prawie w ogóle nie znam tej kobiety. Rozmawialiśmy ze sobą na wystawie, widuję ją w kościele, czasami spotykamy się na kawie w pokoju dla personelu. Widzę też oczywiście, jak bardzo pomaga moim pacjentom. Jest dla nich najlepszym lekarstwem.

Ojciec Tim usłyszał, że Dooley nalewa wody do wanny w łazience na górze.

— Wysłuchaj mnie i powiedz, czy to ma sens.

— Zamieniam się w słuch.

— Ciężkie zapalenie mięśnia sercowego nie jest beznadziejne tylko w jednym przypadku — jeśli weźmiemy pod uwagę przeszczep. Grupa krwi Olivii jednak wszystko komplikuje. Nie wiadomo, czy udałoby się nam znaleźć odpowiedniego dawcę nawet za sto lat. A gdybyśmy go znaleźli, czy jej stan byłby na tyle stabilny, że moglibyśmy przeszczepić jej serce? W dodatku, nie wystarczy, żeby dawca miał jej grupę krwi, musi mieć również mniej więcej tę samą wagę ciała. To wszystko jest bardzo ryzykowne, chciałbym jednak powiedzieć...

Stał przed ogniem, a cień jego wysokiej szczupłej postaci padał na podłogę.

— Prawie w ogóle nie znam tej kobiety, ale... czuję do niej coś tak silnego, tak... nieodpartego... że chcę jej pomóc. Chcę się dla niej poświęcić i przyjść jej z pomocą. Chcę, żeby miała sprawne serce. Chcę...

— Czego chcesz?

— Chcę, żeby żyła — powiedział miękko Hoppy.

— Pragnę tego razem z tobą.

— Czy będziesz się za mnie modlił?

— Tak.

— Pomyślisz, że jestem szalony, ale rozważyłem wszystkie możliwe scenariusze. Mam przyjaciela w Wesley, który jest pilotem. Nie zawsze można się z nim natychmiast skontaktować, ale droga do jego samolotu zajmie nam tylko dwadzieścia minut. Jeśli nawet nie będę mógł znaleźć Miliarda, z

tego samego pasa startowego korzysta dysponujący kilkoma małymi samolotami cessna prywatny przewoźnik. Bez względu na to, gdzie czekałoby serce, mogłoby zostać przechowane w lodzie do naszego przyjazdu. Mogłoby też zostać przewiezione w takich warunkach do Bostonu. Porozmawiam o tym z Leo Baldwinem z Mass General.

Ojciec Tim poczuł się dziwnie poruszony i szczęśliwy.

— Możemy zapisać ją na ogólnokrajową listę oczekujących i gdy tylko pojawi się dawca z jej grupą krwi, będziemy musieli natychmiast przystąpić do działania. Będzie musiała nosić beeper i... chciałbym, żebyś i ty go nosił. Gdy tylko zawyje, czas, żebyś rozpoczął modlitwę.

Do pastora dotarło pełne znaczenie zobowiązania wynikającego z takiego planu. Chodziło o to, że będą musieli być dostępni o każdej porze dnia i nocy.

— W każdej chwili musimy być przygotowani na telefon, nieomal z każdego miejsca — powiedział Hoppy. — Być może uda się nam nawet utrzymać dawcę przy życiu i podtrzymać akcję serca do momentu, aż Olivia będzie na miejscu.

— Czy byłoby to wskazane?

— Im dłużej serce będzie się znajdować w stanie fizjologicznym, tym lepiej.

— Rozumiem.

Hoppy przetarł oczy i usiadł ponownie, jakby zmęczony.

— Co mam jej powiedzieć? — zapytał zatroskanego gospodarza. — Że jestem gotowy zadać sobie wiele trudu, skomplikować własne życie, zdeorganizować praktykę lekarską na Bóg raczy wiedzieć jak długo, tylko dlatego, że jestem miłym facetem? Jak mam utrzymywać... jak zinterpretuje ona moje zaangażowanie?

Siedzący na sofie ojciec Tim pochylił się do przodu.

— Proponuję, żebyś nie zastanawiał się nad tym, co ona pomyśli. Jesteś lekarzem. Twoim zadaniem jest ratowanie ludzkiego życia.

— Mówiłeś jednak, że Olivia całkowicie odrzuciła pomysł przeszczepu. Leo prawdopodobnie przedstawił jej dokładnie wszystkie scenariusze, potem szczegółowo je rozważyła i zrezygnowała z tej możliwości. Koniec, kropka. Kto więc ma ją do tego przekonać?

— Zapewne nie ja i nie ty.

— Kto wobec tego?

— Bóg — odparł prosto pastor.

— Wy tłumacz mi to.

— Jeśli mamy być drużyną, przyjacielu, musimy myśleć jak drużyna. Żeby nam się to udało, musimy połączyć się w modlitwie.

— Możesz na mnie liczyć.

— Możliwe, że ani mnie, ani tobie nie udałoby się przekonać jej do przeszczepu, ale jeśli Bóg uważa, że jest to dla niej najlepsze, reszta jest tylko kwestią czasu.

— Bierzmy się wobec tego do roboty — zaproponował Hoppy.

Mężczyźni pochylili głowy, a Barnaba oparł swoją na stopie pastora.

Po wyjściu przyjaciela siedział przez chwilę na sofie. Następnie poszedł na górę, powiedział dobranoc Dooleyowi i wziął gorący prysznic. Jednak jeszcze godzinę po położeniu się do łóżka czuł, jak morze adrenaliny zalewa jego organizm i do trzeciej nad ranem nie udało mu się zmrużyć oka. O czwartej obudził się niezwykle zmęczony i leżał do świtu, wpatrując się w oświetlone światłem księżyca okno.

Zaczął się zastanawiać nad ogarniającym go ostatnio coraz częściej zmęczeniem. Biegał sporadycznie i pozwolił, aby do jego diety wkradło się kilka zakazanych potraw. Jego nieostrożność w tym względzie była jednak minimalna. Dotyczyła zaledwie spożywanego od czasu do czasu kawałka chleba kukurydzianego i kosteczki czekolady.

Dobry Boże, jakie to okropne, że dał się tak pokonać, podczas gdy przez większość życia cieszył się żelaznym zdrowiem. Leżąc tak w łóżku, zaczął rozmyślać o starszych ludziach i o ich bezradności, o ludziach z bezwładnymi nogami, którzy nie mogli pójść do fryzjera ani wstać i wyjść do toalety.

Poświęcił życie modlitwie wstawienniczej, prosząc o niewiele dla siebie, zawierając los Panu i widząc, że Bóg nigdy go nie zawodzi. Oto jednak teraz leżał i czuł, że z jego ciała ulatuje cała jego istota, i modlił się żarliwie, prosząc o nowe siły, o mądrość i o odnowę.

Chrzciny były prawdziwie cudownym wydarzeniem. Gdy wziął ją na ręce i powiedział: „Rebecca Jane, Bóg wszechmogący sam namaszcza ciebie Krzyżem zbawienia, abyś włączona w lud Boży wytrwała w jedności z Chrystusem Kapłanem, Prorokiem i Królem na życie wieczne”, poczuł w środku ogromną falę ciepła, a niemowlę poruszyło się w jego ramionach i spojrzało mu w oczy.

Podczas przyjęcia w świetlicy parafialnej wszyscy stali w kolejce, żeby potrzymać przez chwilę słodką Rebeccę Jane, której zielone oczy, sterczące rude włosy i podbródek z dołeczkiem chwytaly wszystkich za serca.

Chociaż Dooley nie usiłował wziąć dziecka na ręce, stał obok każdej osoby, która to robiła, i pełen podziwu wpatrywał się w nie w skupieniu.

— Lubię to niemowlę — zwierzył się ojcu Timowi. — Lubię ją jeszcze bardziej niż...

— Niż tabakę, przypuszczam?

— Nie, bardziej niż Goosedown Owen!

— To prawdziwy komplement.

— Ma śmieszne włosy. Przypomina mi pniak pełen pajaków dziadka.

— Każde dziecko jest wyjątkowe — powiedział pastor do Marge, która w końcu przejęła córkę od zachwyconych parafian — ale Rebecca Jane jest jeszcze inna. Wydaje mi się, że Bóg obdarzył ją szczególnymi łaskami.

— Mnie się też tak wydaje — odparła, całując puchatą główkę dziecka.

Widok szerokiej mahoniowej twarzy Louelli, śmiejącej się do niego od niedawna z lewej strony kościoła, był bardzo inspirujący. Jej obecność ubogacała ducha kongregacji niczym dodane do bułki rodzynki.

Miłym dodatkiem był również jej piękny głos, barwny mezzosopran o zadziwiającej mocy. Razem z parafianami śpiewała anglikańskie pieśni, których nauczyła się w dzieciństwie właśnie w tym kościele.

— Dzięki niej czuję się młoda — powiedziała panna Sadie, gdy ojciec Tim wybrał się do Fernbank na lunch. — Gdy w pobliżu jest Louella, wydaje mi się, że moja mama jest znowu przy mnie!

— Czy ojciec wie, że panna Sadie kołysała mnie na rękach, gdy byłem niemowlęciem? — obwieściła z dumą Louella. — Dlatego gdy jestem razem z panną Sadie, czuję się młoda!

— Same nie wiemy, kto kogo wychował! — podsumowała rozmowę dziedziczka Fernbank.

Niezły galimatias, pomyślał rozbawiony pastor.

W czwartek wieczorem uświadomił sobie, że do tej pory nie zaprosił swojej sąsiadki na mszę w Lord's Chapel. Cóż za brak gościnności, wyrzucał sobie, wykręcając numer jej telefonu.

— Nie muszę ci chyba mówić — wyznał — że już od dawna chciałem cię zaprosić na mszę, ale cały czas wylatywało mi to z głowy. Bardzo przepraszam!

— Czy odstawia ojciec do namoczenia fasolę? — zapytała Cynthia.

— Ależ tak. Odstawiam — odpowiedział zupełnie zaskoczony.

— Kocham gotowaną fasolę. Nigdy ojciec nie zgadnie, co zrobiłam kilka dni temu, jeśli mowa o zapominaniu.

— Nie mam pojęcia — przytaknął, a była to najszczerza prawda.

— Przygotowałam duży garnek fasoli z wodą. Przykryłam go pokrywką i postawiłam na kuchence. Po tygodniu poczułam w kuchni okropny zapach. Myślałam, że coś zdechło w mojej kuchni, że Violet, no wie ojciec...

— Zabiła mysz?

— Właśnie! Ale niech ojciec zgadnie, co to było? Ta fasola! Zapomniałam po prostu, że jest w tym garnku i się... no cóż...

— Zepsuła.

— Właśnie! Proszę więc nie mieć wyrzutów, że zapomniał mnie ojciec zaprosić do kościoła.

— W takim razie nie będę się z tego powodu zadrećzał. Kiedykolwiek jednak zechciałabyś przyjść, pamiętaj, że będziesz mile widziana przez wszystkich razem i każdego z osobna.

— Chodziłam do kościoła prezbiterian — oznajmiła — ale chętnie zagłędę do was już wkrótce!

Po przekazaniu sąsiadce zaproszenia do kościoła, zadzwonił do szpitala, żeby zapytać o zdrowie Russella.

Siostra Herman powiedziała, że odesłał prawie zupełnie nie tknięty obiad, twierdząc, że sam ugotowałby lepszy, myśli więc, że chyba z nim lepiej. Poprosiła też, żeby przyniósł pół kilograma wątróbki, gdy będzie następnym razem w szpitalu, ponieważ oni zazwyczaj jej nie kupują, a Russell powiedział, że za odrobinę tego specjału oddałby całą rentę kombatancką.

— Nalegał też — kontynuowała siostra Herman — że sam zejdzie do kuchni i osobiście ją usmaży, na co doktor Harper powiedział, że w porządku i żeby jemu też trochę usmażył. Czy może to sobie ojciec wyobrazić?

„Wątróbka” — zapisał ojciec Tim na liście spraw do załatwienia.

Po bezowocnym i frustrującym spotkaniu w piątek po południu pastor postanowił zabrać Barnabę na długi spacer. Gdy Dooley pojechał na rowerze wykonać swoje zwyczajowe prace w Fernbank, on wyruszył z szarpiącym się na smyczy Barnabą do Little Mitford Creek.

Mokra zima zapowiadała cudowną wiosnę, a ledwie widoczne zielone kielki przebijały się tu i ówdzie przez nasiąkniętą wodą liściaste poszycie lasu, radując jego serce. Kochał zapach drzew i wilgotną aluwialną ziemię, okrywającą te góry niczym płaszcz.

Z komina wydostawał się dym, duża aluminiowa balia, której Bezdomny używał do kąpieli, wisiała na bocznej ścianie domu, a na sznurku suszyło się kolorowe pranie. Bezdomny otworzył drzwi. Stał oparty na kuli, szczelnie owinięty pledem.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie przedstawiciel duchowieństwa! Proszę bardzo, proszę bardzo. Niech się ojciec rozgości!

Pastor i pies ujrzeni buzujący w starym piecu ogień, na blasze garnek z gotującą się zupą, a na małym stoliku, gdzie płonąca lampa naftowa rozświetlała powoli zapadający zmrok — otwartą książkę. W rogu stało starannie zasłane łóżko. W jego nogach leżały zwinięte dwa zniszczone koce.

— Mówię ci szczerze, Bezdomny, mógłbym się tutaj wprowadzić i żyć spokojnie jak świerszcz za kominem.

— Tak, czuję się tu tak dobrze jak lis w norze. Proszę, niech ojciec usiądzie — powiedział, podsuwając pastorowi swoje jedyne krzesło.

Gość przyjął je bez wahania, bo wiedział, że gospodarz jest szczęśliwy, mogąc mu zaproponować najlepsze miejsce w domu. Bezdomny usiadł na pudełku pomiędzy stołem i piecem.

— Przyjacielu — zaczął pastor — ostatnimi czasy zaczęły mi doskwierać troski tego świata. Pomyślałem więc, że wybiorę się z wizytą do człowieka, który ma odrobinę zdrowego rozsądku.

— Przyszedł ojciec do człowieka, który rzeczywiście żyje bardzo prosto i siedzi tu oto bez spodni. Jedna para suszy się na sznurze, a drugą wydałem. Jeden poczciwiec, który mieszka trochę dalej przy strumieniu, był zbyt obdarty, żeby szukać pracy. Zdjąłem więc swoje, on je włożył i poszedł do miasta. Przypuszczam, że nie chciałby ojciec żyć aż tak prosto.

— Rzeczywiście. Nie chciałbym. Masz rację. To dla mnie zbyt prosto.

— Według mnie, czasami trzeba się przejeść wszystkim, co wyszukane, żeby potem docenić to, co proste. Przez zbyt wiele lat jadłem wykwintne potrawy, ubierałem się modnie, mówiłem wyszukany językiem. Jakiś czas temu postanowiłem, że zacznę mówić tak, jak nauczono mnie w dzieciństwie, i po raz pierwszy od czterdziestu lat rozumiem sam siebie.

Zaśmiali się swobodnie.

— Tak właśnie mówiłem przez wiele lat — powiedział Bezdomny. — Mógłby ojciec przypuszczać, że posiadam dyplom jakiejś renomowanej uczelni. W mojej pracy wystarczyło dbać o pozory — uśmiechnął się. — To koniec pokazu pod tytułem: mówienie wyszukany językiem...

— Bardzo chętnie dowiedziałbym się, co robiłeś przez te wszystkie lata pracy w reklamie.

Siedząc na krześle z prostym oparciem, pastor czuł dziwną ulgę, jakby uciekł nad strumień i zostawił za sobą wszystkie troski.

— Byłem tak zwanym account menedżerem. Pasta do zębów, piwo i sektor motoryzacyjny oraz częściowo usługi bankowe i płatki śniadaniowe — to były moje działki. Właśnie wtedy, gdy zająłem się płatkami śniadaniowymi, dopadł mnie alkohol. Gdybym pracował jeszcze w tym biznesie podczas całego boomu na otręby owsiane, mogłoby mnie dopaść coś jeszcze gorszego niż wódka.

Bezdomny wstał, otworzył drzwiczki do pieca i poprawił drewno patykiem. Koc, którym był owinięty, przesunął się i zaczął spadać w dół. Bezdomny chwycił go jednak i poprawił, po czym szeroko się uśmiechając, usiadł na pudełku.

— Wszystko zdaje się mi mówić, że powinienem kupić jeszcze jedną parę spodni, ale odpędzam od siebie tę pokusę.

Ojciec Tim roześmiał się szczerze.

— Najważniejsze jednak, że przez trzydzieści lat byłem pijany. Trzydzieści lat! Do dzisiaj nie mogę w to uwierzyć. Podpisywałem kontrakty, robiłem prezentacje, jeździłem samochodami, latałem samolotami, prowadziłem spotkania i przez cały ten czas nie trzeźwiałem. Straciłem trzy żony, dziewięć miejsc pracy, cztery domy, dwoje dzieci i jedną stopę. Jedyne, czego nigdy nie straciłem, to szacunek dla samego siebie, i to tylko dlatego, że go nigdy nie miałem.

Barnaba słuchał uważnie.

— Można powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zasłużyć na obecne imię — Bezdomny — i żyć, dźwigając jego brzemię. A teraz, gdy wszystko się zmieniło i jestem trzeźwy już od dziewięciu lat, nie próbuję się go pozbyć. Przypomina mi o tym, jaki byłem. Bezdomny! Chory! Leżałem w rynsztoku! Boże Wszechmocny.

— Co sprawiło, że tutaj wróciłeś?

— Zadałem sobie pytanie, gdzie byłem najszczęśliwszy, i doszedłem do wniosku, że tutaj, w domu, gdzie się wychowałem. Czasy były ciężkie, gdy dorastałem, ale to były dobre czasy. Doszedłem do takiego momentu w życiu, że wszystko rozumiałem. Zarabiałem duże pieniądze, moje konta w bankach były pokaźne, miałem wszystko, o czym tylko można zamarzyć. Poszedłem na odwyk i już nie wróciłem do picia. Wszystko sprzedałem, zwróciłem długi i przyjechałem do Wesley z sześćdziesięcioma dolarami w kieszeni.

— Czy kiedykolwiek spoglądałeś wstecz?

— Nigdy.

Płonące drewno trzaskało w piecu.

— Wybacz, że zapytam, ale jestem ciekaw, jak układają ci się stosunki z Bogiem?

— Rozmawiamy ze sobą — odparł Bezdomny. — Zdecydowanie tak. Nie jestem poganinem z krwi i kości, żadną miarą. Wychowałem się w wierze i jako dziecko przyjąłem chrzest. Moja wiara jest jednak jakby niepełna i nie wiem, czego jej brakuje. To tak, jakbym odczuwał swędzenie, które nie daje mi spokoju. Nie umiem tego określić i prawdę powiedziawszy, nie chcę o tym myśleć. Wie ojciec, jak zachowują się wszystkie Kościoły w mieście? Przynoszą mi coraz to coś innego do jedzenia i chcą mnie do siebie zwabić. Przychodźcie tutaj do mnie nad strumień i sprawiacie, że czuję się jak żaba, którą chcecie złowić za pomocą dzidy.

Pastor wyciągnął z kosza z drewnem jeden patyk. Odczuwał radość, obracając go w palcach i przyglądając się jego sękom i słojom. Poczuł nieodpartą chęć ostrugania go nożem, ale zupełnie nie miał ochoty się odzywać. Bezdomny miał rację.

— Wiem, że to bardzo nieładnie z mojej strony tak mówić, ale mogę swobodnie z wami dyskutować, mogę rozmawiać z wami jak równy z równym.

— Rozumiem to, przyjacielu. Od czasu do czasu i ja muszę rozmawiać z niektórymi ludźmi jak równy z równym.

— Ze mną, kiedy tylko ojciec zechce. Teraz jednak — odpowiedział Bezdomny, biorąc do ręki kulę — zamierzam tu wskoczyć, nakryć do kolacji i dla odmiany dać ojcu coś do jedzenia!

Zdjął z garnka pokrywę, a ze środka uniósł się tak boski zapach, że gość zupełnie osłupiał.

— Obawiam się, że nie mogę zostać. Mam chłopca, który będzie czekał na kolację.

— Mam tutaj dużą kość wieprzową dla poczciwego Barnaby — kontynuował gospodarz, mieszając zupę łyżką na długiej rączce.

Barnaba zaczął bić ogonem o podłogę.

— Nawet nie wiesz, jak chętnie bym został, ale chłopiec...

— Ile lat ma ten chłopiec? — zapytał Bezdomny, stawiając na blasze żeliwną patelnię.

— Dooley ma jedenaście lat.

— Gdy ja byłem w jego wieku, mój tato miał dużą farmę po drugiej stronie Wesley. Od śmierci mamy wstawałem codziennie rano o czwartej, przygotowywałem śniadanie dla trojga młodszego rodzeństwa, doilem krowy, sprzątałem w kuchni i szedłem do szkoły. Jeśli ten chłopiec nie umie sobie zrobić kromki chleba z dżemem...

— Przygotuj dla mnie nakrycie.

— Mam układ z Avisem — wyjąwił Bezdomny, nalewając gościowi drugi talerz zupy. — Przełóżam wszystko, co on wyrzuci. Ale niech się ojciec nie boi, że ta zupa jest niehigieniczna. Przyniosłem kapustę do domu i dokładnie ją wypłukałem. Wyszorowałem ziemniaki szczoteczką, usunąłem miękkie fragmenty cebuli, wydłubałem zepsute kawałki brukwi, a kiedy się już wykapałem i zrobiłem pranie, wrzuciłem wszystko do garnka, żeby się gotowało. Cały czas mam zajęcie. Nie należę do tych, co lubią leniuchować.

Pastor był zdania, że to najprawdopodobniej najlepsza zupa, jaką kiedykolwiek jadł, chociaż nawet nie lubił brukwi.

Bezdomny wskazał na ich kolację, która składała się ponadto z dwóch kubków gorącej kawy oraz przypieczonego na patelni i posmarowanego masłem wczorajszego chleba.

— Zapłaciłem za kawę i masło, ale za nic więcej. Wszystko to kosztowało zapewne niecałe dwadzieścia pięć centów.

— To prawdziwy interes.

— Jak tylko przyjdzie wiosna, nie będę płacił nawet za kawę. Zamierzam wykopać całą masę cykorii, wypalić i zemleć jej korzenie. Gotujesz to z rana, pijesz i od razu stajesz na równe nogi.

— Wziąwszy wszystko razem, przyjacielu, uważam, że jesteś jednym z najbogatszych ludzi w Mitford.

Bezdomny mrugnął i zaśmiał się tym swoim rechoczącym śmiechem.

— Najbogatsi ci przyjaciele, którym do szczęścia nie trzeba wiele!

— Thoreau — powiedział ojciec Tim.

— Zgadza się — rozpromienił się gospodarz.

Gdy razem z Barnabą doszli do Lilac Road, gdzie stał domek Winnie Ivey, pastor poczuł się tak, jakby wracał z wakacji.

— Po co wydawać majątek, żeby polecieć na miesiąc do Sligo, skoro mogę spędzić godzinę czy dwie w Mitford Creek? — zapytał na głos w ogarniającym miasteczko zmierzchu.

Nie zwrócił uwagi na słabo oświetlony samochód, który po wąskim moście wolno jechał w ich kierunku. Barnaba jednak zauważył go od razu. Zaszczekał napastliwie, rzucając się z całej siły do przodu. W tym czasie samochód zwolnił, jakby miał się za chwilę zatrzymać.

Dokładnie w tym momencie jeden z ludzi Rodneya Underwooda pojawił się na Lilac Road w radiowozie.

Pastor musiał użyć całej siły, żeby opanować dziko szarpiącego się na smyczy Barnabę, gdy tymczasem zardzewiały samochód marki Impala zawarczał dziko i przemknął obok nich z niesamowitą prędkością, pozostawiając za sobą obłok duszących spalin.

Rozdział czternasty

ABSALOMIE, SYNU MÓJ

Gdy przyszedł do kościoła w następną niedzielę, znalazł swoje Pismo Święte. Leżało otwarte na ambonie. Poczul tak ogromną ulgę, jakby ktoś nareszcie poprawił wiszący krzywo na ścianie obraz.

Rodney Underwood zadzwonił do niego w poniedziałek po południu.

— Przeczytałem właśnie ciekawy artykuł. Piszą, że siatka angielskich sprzedawców antyków przemyślała do nas na statkach klejnoty w wydrążonych nogach stołów i w sekretnych szufladach biurerek. Mówią, chwileczkę... mówią, że obecnie podejrzewają trzech angielskich sprzedawców o przemykanie rzadkich kradzionych kamieni i zabytkowej biżuterii w meblach transportowanych statkami w zapieczętowanych kontenerach. Do chwili obecnej władze nie zdołały przechwycić transportu, ponieważ ten wysłany do Ameryki został zawrócony i skierowany do innych, na razie nie znanych portów.

— Jak ojciec myśli, czy ojca klejnoty mogłyby mieć jakiś związek z tą sprawą?

Błagam, nie nazywaj ich moimi klejnotami!, pomyślał.

— Myślę, że nie. Prawdę powiedziawszy, przeszukałem właśnie kościół, mając nadzieję, że... nieważne, w każdym razie niczego nie znalazłem. Niczego poza, mówiąc całkiem szczerze, jednym niewinnym opakowaniem batonika.

— Opakowaniem batonika? Jakiego batonika?

— Migdałowego Raju.

— Gdzie je ojciec znalazł?

— Na poddaszu. Niczego poza nim tam nie było, ponieważ w ogóle nie korzystamy z tego pomieszczenia.

— Skąd mógł się tam wziąć?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

Ogarnęła go nagle obawa, że z powodu jednego niewinnego opakowania batonika Rodney może przysłać brygadę specjalistów, którzy będą poszukiwać odcisków palców na terenie całego kościoła.

— Byłoby dobrze, gdybym obejrzał to opakowanie — stwierdził Rodney.

— Jeśli chciałoby ci się podjechać do mnie do domu i poprosić Puny, żeby zajrzała do kieszeni moich brązowych spodni, to wydaje mi się, że tam je właśnie włożyłem.

— Poślę tam radiowóz — podsumował Rodney, najwyraźniej zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Godzinę później szef policji zadzwonił ponownie.

— Jest ojciec pewien, że dobrze przeszukał kościół? Czy zaglądał ojciec we wszystkie trudno dostępne miejsca?

— Dokładnie go przeczesalem. Nie wyjmowałem oczywiście desek z podłogi i nie zaglądałem za szafki.

— Mamy to opakowanie i resztki czekolady, jakie na nim zostały, są jeszcze świeże. Mówi ojciec, że nikt nie wchodzi na poddasze?

— Nikt.

— Cóż, na opakowaniu jest pełno odcisków palców. Skoro jednak miał je ojciec w ręce, będziemy musieli przyjść i pobrać ojca odciski palców, żeby przekonać się, do kogo należą.

Zaczyna się, pomyślał.

— Tylko odciski ojca — poinformował go Rodney, gdy zadzwonił do niego do domu wieczorem. — Ale coś ojcu powiem.

— Co takiego? — zapytał, siadając na sofie z bezprzewodowym telefonem w ręce.

— Brak innych odcisków palców oznacza, że ktokolwiek jadł ten Migdałowy Raj, robił to w rękawiczkach. Rozumie ojciec? — zapytał pastora, który najwyraźniej nie rozumiał.

— Nikt, kto je w rękawiczkach czekoladowy batonik, nie ma dobrych zamiarów.

— Aha.

— Chodzi mi o to, że najlepiej będzie, jak przyjadę jutro z chłopcami i przeszukamy kościół.

A może to i lepiej. Być może to ostatecznie zakończy całą sprawę.

— Przyjeżdżajcie — odpowiedział.

Gdy przyszedł następnego dnia rano do kancelarii, dzwonił telefon.

— Ojciec! — powiedział dzwoniący. — Pete Jamison.

— Pete Jamison?

— Wie ojciec, człowiek, którego ojciec uratował. Nieznajomy z nawy!

— Chciałbym od razu sprostować, że to nie ja cię uratowałem, Pete, to wyłącznie przywilej Boga. Jak ci się wiedzie, przyjacielu?

— Coraz lepiej, myślę. Gdy znowu będę w tamtych stronach, chciałbym zaglądnąć i zobaczyć się z ojcem. W tej chwili dzwonię z kawiarni w Duluth, w Minnesocie. Chciałem tylko podziękować. Dziękuję, że był tam ojciec wtedy. Czy mogę jeszcze kiedyś zadzwonić?

— Będę zawiedziony, jeśli tego nie zrobisz — odpowiedział pastor, słysząc wyraźną różnicę w głosie Pete Jamisona.

Przez cały dzień Rodney, Joe Joe Guthrie i jeszcze jeden funkcjonariusz przeszukiwali Lord's Chapel. Szukali desek w podłodze, które mogły być niedawno wyjmowane. Pukali w ściany, sprawdzając, czy nie ma jakichś nieoczekiwanych ubytków. Zagląдали pod chodniki w klasie szkoły niedzielnej, sprawdzali sufity w poszukiwaniu luźnych cegieł, zdejmowali osłonki z przewodów wentylacyjnych i ogólnie rzecz biorąc, wzbijali tumany kurzu, który sprawiał, że pastor kaszlał i kichał przez cały dzień.

Szukali śladów w ogrodzie, które mogły wskazywać na to, że ktoś zakopywał w ziemi coś innego niż cebulki kwiatów. Nałożyli rękawice i maski, żeby ściągnąć paski izolacji na poddaszu. Świecili latarkami w dzwonnicy, przeszukali zawartość szafki pod zlewozmywakiem w świetlicy parafialnej i zagląдали za drzwiami retabulum.

W wyniku tych poszukiwań znaleźli jedynie dawno zaginiony modlitewnik, należący kiedyś do babci Wilmy Malcolm, pudełko biuletynów wydanych z okazji Niedzieli Palmowej w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku i kilka gniazd wiewiórek zawierających cały zapas orzeszków z drzew rosnących w tylnej części kościelnego ogrodu.

— A niech to! — powiedział z uczuciem Rodney.

Kiedy popołudnie zbliżało się ku końcowi, pastor miał ogromną ochotę pójść do Sklepu, kupić pudełko Little Debbies dowolnego rodzaju i pochłonąć całą jego zawartość w zaciszu własnej kuchni. Nie czekałby nawet, aż zagotuje się woda na herbatę.

W zapadającym zmierzchu Absalom Greer dzięki swej szczupłej sylwetce mógł się wydawać dwudziestoletnim młodzieńcem zbiegającym po schodach starego sklepu wielobranżowego.

— Witamy w krainie Boga! — powiedział, otwierając drzwi buicka. — Proszę wysiadać i wchodzić do środka, ojcze!

Pastor ze zdziwieniem zauważył, że na twarzy osiemdziesięciosześcioletniego gospodarza nie ma prawie żadnych zmarszczek, a jego głowę zdobi bujna czupryna.

— Spodziewałem się, że przywita mnie starszy dżentelmen. Pastor Greer chyba przysłał syna!

Starszy mężczyzna zaśmiał się serdecznie.

— Nadal słyszę wędrującą w trawie mrówkę — powiedział z satysfakcją — ale nie mam w ustach ani jednego własnego zęba.

Miejscowy kaznodzieja poprowadził pastora z miasteczka w górę po schodach, a potem zaprosił do mrocznego wnętrza najstarszego w kilku okręgach sklepu.

Ojciec Tim miał wrażenie, że nagle znalazł się na jednym z obrazów Rembrandta. Ostatnie promienie słońca przybrały kolor lekko podsmażonego masła, zdobiąc kasztanowe ściany i sosnowe podłogi złotą poświatą.

— Mój tato wybudował ten sklep, gdy miałem sześć lat. Są tutaj pierwsze wbite przeze mnie gwoździe. Przestał należeć do mojej rodziny po sprzedaży w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, ale odkupiłem go i chcę zatrzymać, chociaż jego zasługi dla mojego utrzymania są niewielkie... Chciałbym poczęstować ojca skromnym regionalnym koktajlem — zaproponował po chwili ubrany w schludny szary garnitur i nakrochmaloną koszulę gospodarz.

Wyjął ze znajdującej się za kasą lodówki chłodzony napój, otworzył go i podał pastorowi.

— Patrzy ojciec na miejsce, z którego wygłaszam najlepsze kazania — powiedział, klepiąc ręką wysłużone drewno starej lady. — To właśnie tutaj teoria styka się z praktyką. Tak jak Grecy powiedzieli Filipowi: „Panie, na pewno poznalibyśmy Chrystusa”. Jeśli nie będą Go widzieć przez sześć dni w tygodniu za tą ladą, to mogę równie dobrze wyrzucić całe moje niedzielne nauczanie przez okno. A gdzie jest twoja ambona na powszedni dzień, przyjacielu?

— Main Street.

— To dobre miejsce. Niektórzy żołnierze wyruszają w świat, idą za zapachem kawy i patrzą, jak się smaży bekon, ale prawdziwa bitwa rozgrywa się na naszych oczach.

— Absalom — usłyszeli cichy głos dobiegający z tyłu sklepu — kolacja gotowa. Możecie przyjść w każdej chwili.

Ktoś zamknął delikatnie drzwi.

— Moja siostra, Lottie — wyjaśnił z wyraźną dumą starszy mężczyzna. — Mieszka ze mną i zajmuje się domem i gotowaniem. Zapewniam ojca, że w całym swoim życiu nie zrobiłem niczego, żeby zasłużyć sobie na jej opiekę. Jest zesłanym przez Pana aniołem!

Gospodarz odwrócił wywieszkę na drzwiach wejściowych — mówiła teraz: „Zamknięte”. Przeszli następnie całą długość wąskiego sklepu, mijając po drodze skrzynie pełne ziarna i gwoździ, rzędy żywności w puszkach, worki karmy, szpulki nici, guziki, żeliwne rondle i aluminiowe balie. Pod ich stopami skrzypiały deski podłogi.

Absalom Greer otworzył drzwi i oniemiały z zachwytu pastor zatrzymał się na progu cudownego pokoju. Przez starodawne, zdobione siatką z ołowiu szyby wpadały do wnętrza ostatnie promienie zachodzącego słońca. Na środku pokoju stał duży, przykryty białym obrusem stół, a na nim — cały zestaw parujących półmisek. Pokój oświetlała stojąca na stole lampa naftowa. Na kominku w rogu buzował ogień. Ściany były wypełnione półkami z książkami, a w ich pobliżu królowały dwa wygodne fotele do czytania. Na stoliku obok jednego z nich leżało noszące ślady częstego używania czarne Piśmo Święte, a na szerokim parapecie spoczywał spokojnie, zwinięty w kłębek, pomarańczowy kot.

Pomyślał, że jeszcze nigdy nie był w domu, z którego emanowałby taki cudowny spokój.

Wysoka, szczupła, ubrana w fartuch kobieta weszła z kuchni do pokoju. Jej niebieska sukienka doskonale pasowała do ściągniętych gładko do tyłu i zawiązanych wstążką, siwych włosów. Uśmiechnęła się nieśmiało i wyciągnęła rękę.

— Ojciec Tim! — dokonał prezentacji Absalom Greer. — Lottie Miller! Moja radość i moja korona, moja ziemskie oparcie i tarcza oraz moja owdowiała siostra.

— Bardzo mi miło panią poznać — powiedział pastor, który miał wrażenie, że przyjechał z wizytą do innego kraju.

— Moja siostra jest płochliwa jak sarna. Nieczęsto mamy tu towarzystwo, ponieważ Słowo Boże głoszę w kościele i w sklepie. Może chciałby ojciec usiąść tutaj, widać stąd płonący na kominku ogień, a to tak dobrze nastraja.

Po umyciu rąk w czyściutkiej łazience ojciec Tim usiadł przy stole i doszedł do wniosku, że nawet krzesło z twardym oparciem wydaje się wyjątkowo wygodne.

— Przestałem chodzić do szkoły, gdy miałem dwanaście lat — opowiadał Absalom Greer podczas kolacji — żeby pomagać tacie w sklepie. Radziłem sobie jednak całkiem nieźle, ucząc się sam nocami. Pewnego wieczoru, a miałem wtedy około czternastu lat, siedziałem w tym właśnie pokoju i czytałem książkę. Nagle zaczął wiać i wycić wyjątkowo mocny wiatr.

Lottie była jeszcze małym dzieckiem i mama kołysała ją na rękach. Mam ten obraz przed oczami — mama siedzi przy kominku, kołysze Lottie i nuci jakąś melodię. Ja siedziałem dokładnie w tym miejscu, na niedużym łóżku.

Oczy otwały mi się szeroko, gdy nagle zobaczyłem całą armię aniołów. Ten pokój wypełnił się jasnością aniołów! Były idealnie białe, jedynie ich skrzydła miały ledwie dostrzegalną barwę, podobną do koloru oglądanego pod słońce pryzmatu. Nigdy przedtem i nigdy potem nie widziałem niczego równie pięknego. Nie potrafiłem wypowiedzieć ani słowa, a mama kołysała w ramionach Lottie i nuciła z zamkniętymi oczami tę samą melodię. Wokół niej stały anioły i wszyscy byliśmy otoczeni ich jaśniejącymi zastępami.

Potem miałem wrażenie, że ktoś spuścił obok drzwi złote schody, anioły obróciły się i zaczęły tłumnie wspinać się po nich na górę, aż po chwili zniknęły. Pamiętam, że zacząłem szlochać, ale mama mnie nie słyszała. Próbowałem otrzeć łzy dłonią, ale moje policzki były suche. Przez wszystkie lata myślałem o tym wiele razy i wydaje mi się, że to moja dusza płakała z radości.

Lottie Miller nic nie mówiła, ale każde danie podawała, jak się pastorowi wydawało, dokładnie w chwili, gdy było potrzebne. Zjadł drugą porcję pokrojonych w plastry i zapieczonych z gruboziarnistą solą i szczypiorkiem ziemniaków oraz jeszcze jeden kawałek baraniny. Już dawno nie jadł tak doskonałego mięsa.

— Do dziś nie potrafię pojąć, jak mogłem to zrobić, ale zupełnie zapomniałem o tym niebiańskim widzeniu — kontynuował kaznodzieja, smarując bułkę masłem. — Gdy byłem szesnastolatkiem,

zaczęło mi się wydawać, że w ogóle nie mam duszy. Zabierano mnie do kościoła, a ja nic nie słyszałem. Mój tato mówił, że to przez imię, jakie mi dali: Absalom! Najgorsza, najbardziej buntownicza i grzeszna postać w historii. Gdy się urodziłem, moja mama była bardzo młoda i nierozważna. Podobało się jej brzmienie tego imienia i tak dostałem je na zawsze. Potem, gdy zacząłem czytać Pismo Święte, zrozumiałem Absaloma i jego tatę, i ich nieszczęśliwe życie, a moje imię zamiast być przekleństwem, stało się dla mnie błogosławieństwem. Z łaski Pana, wiele moich najlepszych kazań zawdzięczam właśnie temu imieniu.

Gdy miałem lat dwadzieścia, pocałowałem na pożegnanie mamę, tatę i moją małą siostrę i poszedłem do Wesley, skąd pojechałem pociągiem na zachód. Mój jedyny bagaż stanowiło zawiązane sznurkiem tekturowe pudełko. Czasy były tak ciężkie, że nigdzie nie mogłem znaleźć pracy. Doszło do tego, że tekturą z pudełka wyściełałem podeszwy butów. Ktoś powiedział mi, że na jednej podeszwie jest napisane: „Najlepsza pszenica”, a na drugiej: „Tą stroną do góry”. Chodziłem na tekturze z pudełka przez trzy miesiące, aż w końcu dostałem pracę w kopalni srebra. Głęboko pod ziemią, w ciemnym szybie tej kopalni, usłyszałem, że woła mnie Pan. „Absalomie, synu mój — powiedział jasnym, wyraźnym głosem — wracaj do domu. Wracaj do domu i głoś swoim ludziom moje Słowo”.

Cóż, proszę ojca, nie znałem Jego Słowa, żebym mógł je głosić. Zostawiłem pracę i ruszyłem do domu, wsiadłem do pociągu, który przewiózł mnie na drugi koniec tego ogromnego kraju, wysiadłem w Wesley i w środku nocy, którą rozświetlało jedynie światło księżyca w pełni, przeszedłem dwadzieścia kilometrów dzielących mnie od Farmer, dotarłem do drzwi domu mojej mamy i taty, położyłem się obok psów i zasnąłem na worku mąki.

Pamiętam, że tłumaczyłem sobie, iż wcale nie słyszałem głosu Pana wołającego mnie w tej kopalni, że czułem się po prostu samotny i szukałem wymówki, żeby wrócić do domu.

Żyłem tak przez rok czy dwa, chodziłem do kościoła popatrzeć na dziewczyny, pomagałem tacie w sklepie. Wszystko to jednak nie wystarczało, czegoś mi bardzo brakowało. Pewnego dnia zacząłem czytać wszystkie teologiczne książki, jakie udało mi się zdobyć. Zaczytywałem się Spurgeonem, przedzierałem się przez Kalwina, pochłaniałem Whitefielda i rozkoszowałem się Matthew Henrym. Wkładałem w to całą swoją energię. Walczyłem jednak z powołaniem i moje serce było twarde jak kamień.

Pewnego dnia odpoczywałem w sadzie, który zakładałem, będąc chłopcem, i Pan przemówił do mnie ponownie: „Absalomie, synu mój — powiedział wyraźnie — głoś pośród swego ludu moje Słowo”. Włosy stanęły mi dęba. Nie minęło jednak pięć minut, a położyłem się w słońcu i zasnąłem jak jaszczurka.

Żyłem w ten sposób przez trzy lata. Nie słuchałem Pana, aż obudził mnie pewnej nocy. Miałem wrażenie, że ktoś uderzył mnie w głowę żerdzią. Było to tak, jakby trafił mnie piorun z nieba. Spadłem

z łóżka prosto na podłogę. Bęc! „Absalomie, synu mój — powiedział Pan — idź i nauczaj swój lud mego Słowa. I pośpiesz się z tym”.

Podniosłem się z podłogi, przybiegłem do tego pokoju, a było tutaj zimno jak w kostnicy, otuliłem się kocem, zaświeciłem lampę naftową i zacząłem czytać Świętą Księgę. Nie odrywałem się od niej przez dwa lata. Wszyscy, którzy mnie znali, myśleli, że straciłem rozum. „Absalom Greer dopadł religii” — mówili, ale tylko po części mieli rację. To religia mnie dopadła, to sam Bóg zawładnął mną w końcu i był to najbardziej pasjonujący okres w moim życiu.

Słowa zdawały się ożywać. Zacząłem rozumieć rzeczy, których nigdy wcześniej nie rozumiałem. Czytałem na przykład werset, po którym przemknął mój wzrok w kościele, i zaczynałem odkrywać jego cudowne i poruszające znaczenia, które sprawiały, że włosy mi się jeżyły.

Szedłem do pracy w tartaku i zabierałem te słowa ze sobą. Zamykałem się w toalecie i czytałem je. Szedłem do miasta, czytając je, i byłem tym tak pochłonięty, że wpadałem do rowu, wstawałem i szedłem dalej, przewróciwszy następną stronę.

Czułem, że Bóg mówił do mnie przez całe dwa niezwykle lata. Chwała! Chwała! Chwała! — powiedział stary kaznodzieja z błyszczącymi oczami.

Pewnej niedzieli rano byłem w tym małym, oddalonym stąd o pięć kilometrów przydrożnym kościółku. Joshua Hoover był wtedy pastorem. Pamiętam, że siedziałem w tym małym słodkim kościółku w ławce i pastor Hoover, biały jak ściana, podszedł do mnie nagle. Powiedział: „Absalomie, Bóg poprosił mnie, żebym pozwolił ci dzisiaj rano wygłosić kazanie”.

Chciałem się zapaść pod ziemię. A on ciągnął: „Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, i czuję się tym bardzo zakłopotany, ale to właśnie kazał mi zrobić Pan”. Gdy wstałem, nogi się pode mną ugięły i wydawało mi się, że zaraz zemdleję.

Lottie Miller zaśmiała się cicho.

— Przypomniałem sobie słowa Billy'ego Sundaya. Powiedział, że jeśli ktoś chce mleka i miodu do chleba, to musi pójść do krainy olbrzymów. Podszedłem więc do ambony i zacząłem się modlić, a wszyscy ludzie w kościele też zaczęli się modlić i wie ojciec, co się stało? Duch Święty zstąpił na nas i zacząłem głosić Słowo Boże. W niedługim czasie miałem wrażenie, że ruszyło koło młyńskie, a my zaczęliśmy mielić ziarno!

— Czysta rozkosz! — powiedział ze zrozumieniem pastor.

— Czysta rozkosz, przyjacielu, zaiste! Nic nie może równać się ze stanem, w którym czujesz, że przemawia przez ciebie sam Bóg, a jeśli chodzi o mnie, to trwa to już od sześćdziesięciu czterech lat, czy wieje wiatr, czy świeci słońce.

— Czy miewał pastor gorsze okresy?

Kaznodzieja odsunął talerz, a Lottie wstała, żeby posprzątać ze stołu. Ojciec Tim poczuł zapach kawy, jaką pamiętał z Missisipi — mocnej czarnej i parzonej na piecu.

— Bracie, „gorsze” to niewłaściwe słowo. Był czas, że poszedłem na dno stawu jak rzucony do wody kamień. Leżałem na tym dnie przez dwa straszne lata i myślałem, że już nigdy nie zobaczę promyka słońca w mojej duszy.

— Nie mógłbym powiedzieć, że moje obecne kłopoty to coś podobnego. W pewnym sensie jednak jest jeszcze gorzej.

— Na czym dokładnie polega ojca zmartwienie? — zapytał życzliwie Absalom Greer.

— Gdy przychodzi do karmienia Jego owczarni, obawiam się, że moje kazania są tak odżywcze jak tektura.

— Czy ojciec odpoczywa?

— Czy odpoczywam?

— Tak. Czy ojciec odpoczywa? Czasami tak bardzo staramy się być użyteczni, że tracimy wszystkie siły i w końcu stajemy się bezużyteczni. Zadam ojcu pytanie, które zadał kiedyś inny kaznodzieja: Czy jest ojciec zbyt zmęczony, żeby biec, i zbyt przerażony, żeby odpocząć?

Zbyt przerażony, żeby odpocząć! Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. „Kiedy, na litość boską, wybierzesz się w końcu na urlop?” — zapytał znowu Hoppy zaledwie kilka dni temu. Nie znał wtedy prawdy, ale wydawało mu się, że zna ją teraz — tak, był zbyt przerażony, żeby odpocząć.

Oczy starego kaznodziei były jasne jak szlachetne kamienie.

— Bracie, gorąco namawiam cię, żebyś poradził się serca Jezusa w tej sprawie, ponieważ to właśnie ten problem sprawił, że opadałem na dno stawu.

Spojrzeni na siebie z powagą i zrozumieniem.

— Byłbym wdzięczny za modlitwę pastora w tej intencji — poprosił ojciec Tim.

Kiedy dwaj mężczyźni siedzieli przy kominku i omawiali ślub Newlandów, Lottie Miller przysunęła nieśmiało krzesło i dołączyła do nich. Siedziała ze spuszczoneymi oczami, zajęta robótką na drutach.

— Panno Lottie — powiedział ojciec Tim — już dawno nie jadłem tak wyśmienitej kolacji. Było w niej i piękno, i dobro.

— Dziękuję, że jest ojciec z nami — odpowiedziała z wyraźnym wysiłkiem. — Nieczęsto miewamy z Absalomem gości na kolacji, a ja jestem dumna, że mój brat może porozmawiać z wykształconym człowiekiem. To dla niego ogromna radość.

Wykształcony człowiek!, pomyślał ojciec Tim. To ja mógłbym się uczyć od Absaloma Greera!

— Proszę, to kilka jabłek dla ojca — powiedziała Lottie, podając pastorowi koszyk owoców, które wyglądały na „Rome Beauties”.

— Jeśli będą ojcu smakować — dodał jej brat — damy ojcu całą skrzynkę, gdy znów nas ojciec odwiedzi!

— Jestem zobowiązany. Jak może wiecie, w Mitford też mamy pewien wyjątkowy sad. Panna Sadie Baxter hoduje jabłka, które nazwaliśmy „Baxter”.

Na twarzy Lottie Miller pojawił się na chwilę dziwny wyraz.

— Panna Sadie Baxter — powiedział cicho Absalom Greer. — Kiedyś poprosiłem tę wspaniałą damę o rękę.

Znowu deszcz!, pomyślał, nastawiając wodę na herbatę. Jednak każda spadająca kropla obiecywała kolejny liść, kolejny kwiat i kolejne źdźbło trawy na wiosnę. Co ważniejsze, pomagała w spełnieniu marzenia Russella, ponieważ rosnące na rododendronach pąki były już tak duże, jak staromodne światełka na choinkę.

Choć było dość ciepło, rozpałił ogień na kominku, myśląc, że razem z Dooleyem zjedzą kolację w salonie. Kiedy jednak zajrzał do lodówki, nie znalazł niczego inspirującego.

— Ale pustki! — stwierdził dokładnie w chwili, gdy zadzwonił telefon.

— Dzień dobry, ojczy! — przywitała go sąsiadka. — Przypomniałam sobie, że w czwartki nie ma Puny, i ugotowałam zupę ze świeżych krewetek i małż, które dostałam w Sklepie. Czy mogłabym przynieść ojcu garnek?

Opatrzność!, pomyślał. A na dodatek, jedno z jego ulubionych dań.

— Cóż, w takim razie...

— Aha, i z mięsa krabów. Użyłam mięsa krabów i obiecuję, że nie jest ani przypalone, ani zwęglone.

Zaśmiał się.

— Mogłabym przeskoczyć przez żywopłot — zaproponowała.

— Nie ma potrzeby. Poproszę Dooleya, żeby poszedł po naszą kolację. Ja mam z kolei dwa ciasta cytrynowe, które wczoraj upiekła Puny. Poślę ci jedno.

— Kocham ciasta cytrynowe! — ucieszyła się.

— Oczywiście, byłoby nam bardzo miło, gdybyś do nas dołączyła. Dooley będzie kończył na podłodze w salonie pracę na lekcję matematyki, ale jeśli nie przeszkadzałby ci mały bałagan...

— Powinien ojciec zobaczyć, jaki u mnie jest bałagan! Bardzo chętnie zamieniłabym się z wami!

— W porządku, zupa z owoców morza i ciasto cytrynowe wobec tego! Daj nam godzinę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście! Bardzo chętnie was odwiedzę — powiedziała.

Przyszło mu na myśl, że jego sąsiadka była tak uradowana, jak mała dziewczynka, którą właśnie zaproszono na podwieczorek.

W czasie gdy się golił, zadzwonił telefon. W drzwiach łazienki pojawił się Dooley i podał mu bezprzewodowy telefon.

— Kobieta — poinformował i usiadł na opuszczonej klapie muszli klozetowej, żeby posłuchać. Ojciec Tim trzymał słuchawkę z dala od rozproowanej na twarzy piany.

— Proszę?

— Ojczy, mówi Olivia.

— Olivia! Bardzo dużo o tobie myślałem.

— Czułam to. Bardzo mocno odczuwałam ojca modlitwę. Mam wrażenie, że dzieje się coś dziwnego.

— Zamieniam się w słuch.

I obrastam w pianę, pomyślał, zauważając, że duża jej część znajdowała się obecnie na słuchawce.

— Czuje, że opuszcza mnie strach związany z wyrażeniem zgody na przeszczep, po prostu... Czuje, że w jakiś sposób... mój strach ustępuje. Dokładnie przemyślałam każdą możliwość, ryzyko, odrobiłam swoją pracę domową — przeszczep nie ma sensu, nawet Leo zgodził się z tym w końcu. Myślałam, że wszystko już postanowione, a teraz... A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że w pewnym sensie boję się, że już nie będę się bała.

— Strach jest jedną z najbardziej niebezpiecznych taktyk szatana. Musisz pokonać ten strach, Olivia.

Dooley przyglądał się mu bacznie.

— Ale jakie to dziwne pomyśleć, że mogłabym mieć... inne serce.

— Czy powiedziałaś to wszystko komuś, kto jeszcze bardziej ode mnie chciałby to usłyszeć?

— Nie — odparła — nie czuję się na tyle pewna, mam w głowie lekki zamęt. Czy pomodli się ojciec za mnie, żeby Bóg pomógł mi w podjęciu właściwej decyzji? Nie chcę umierać, ojczy. Myślałam, że się z tym pogodziłam, ale nie. Nie pogodziłam się!

— Wiesz, że twoje słowa sprawiają mi szczególną radość.

— Niech się ojciec za mnie modli — poprosiła, a lekki ton jej głosu poruszył go do żywego.

— Dużo kobiet dzwoni do ojca — stwierdził Dooley posepnie, biorąc słuchawkę.

Pastor zauważył, że kogut na głowie Dooleya jest dzisiaj wyjątkowo widoczny.

— Przyjacielu, do duchownego dzwoni dużo kobiet i mężczyzn. Szczerze mówiąc, przychodzą takie chwile, kiedy mam ochotę otworzyć okno i wyrzucić telefon do ogródka!

— Mogę im mówić, że nie jest ojczy w domu.

— Że nie ma ojca w domu. Cisza.

— Byłoby to jednak kłamstwo, prawda?

— Chyba tak.

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Byłoby to kłamstwo, a kłamstwo to nikczemna

rzecz.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, mówienie kłamstw to jak jedzenie orzeszków ziemnych. Gdy już raz się zacznie, to nie można skończyć, i ani człowiek nie zauważy, kiedy cała torebka będzie zjedzona.

Wyplukał maszynkę do golenia pod kranem.

— Co gorsze, stajesz się niewolnikiem czegoś, co nie istnieje.

— Uczyliśmy się o niewolnikach. Nie chciałbym nim być.

— Powtórzę więc jeszcze raz, że kłamiąc, stałbyś się niewolnikiem, ponieważ każdy, kto opowiada kłamstwa, staje się ich sługą. Mam nadzieję, synu, że weźmiesz to sobie do serca. — Położył dłoń na ramieniu chłopca. — A teraz, zanim przybędzie nasz gość, spróbujemy może coś poradzić na tego koguta.

Cynthia przybyła, niosąc duży parujący rondel. Na rękach miała niebieskie kuchenne rękawice.

Postawiła rondel na kuchence i podała Dooleyowi książkę, którą trzymała pod pachą.

— To dla ciebie. To moja ostatnia książka i jednym z jej bohaterów jest chłopiec z rudymi włosami.

Dooley spojrział na okładkę.

— To te bajki o Violet dla dzieci — powiedział urażony.

— Oczywiście, że nie! Ta książka przeznaczona jest dla czytelników do lat dziesięciu!

— Ja mam jedenaście — oznajmił Dooley — ale jak na mój wiek jestem bardzo dojrzały.

Chyba jest w tym dużo racji!, pomyślał pastor.

— Dobrze, umówmy się wobec tego — zaproponowała Cynthia — że przeczytasz ją i jeśli nie będzie ci się podobała, to już nigdy w życiu nie będziesz musiał czytać żadnej innej książki o Violet.

— Dooleyowi zdarza się czasami wypowiadać przedwczesne sądy.

— Rozumiem to doskonale. Przez wiele lat sama cierpiałam na tę dolegliwość.

— Czy dzisiaj wieczorem będziemy pić gorącą czekoladę? — zapytał Dooley.

— Tak, jak tylko skończysz przygotowywać swoją pracę. Dla ciebie dwie pianki cukrowe. Gdy będę w kuchni, może poprawisz drewno w kominku, żeby panna Coppersmith nie zmarzła?

— Mów do mnie Cynthia — zaproponowała Dooleyowi.

— Czy chciałabyś zobaczyć nasz pociąg? — zapytał chłopiec.

— Bardzo! Kocham pociągi.

Czy jest coś, czego ona nie kocha?, pomyślał.

— Co to za zapach?

Ojciec Tim ściągnął z dymiącego rondla pokrywkę i uniósł się aromatyczny obłoczek cudownego zapachu.

— Jest to, przyjacielu, wyjątkowy przysmak. Mówiąc krótko, zupa z owoców morza.

— Uch! Nie zamierzam tego jeść.

— Dzięki Ci, Panie! Zostanie więcej dla nas.

— Nie wiesz, co tracisz — stwierdziła z przekąsem ich sąsiadka. — Wrzuciłam tam też ośmiornicę.

Dooley spojrział z niepokojem na rondel.

— Nie wspominając już o pocziwym dorszu.

— Dorszu?

— I rybich oczach. Mniam, mniam. Wyborne! Moje ulubione! Takie delikatne.

— Uch! Co za ohyda! — rzucił Dooley, uciekając do salonu. Rozbawiona Cynthia zaśmiała się.

— Mam nadzieję, że wybaczy mi ojciec to niewinne kłamstwo.

— Cóż — powiedział z uśmiechem — ale tylko ten jeden raz.

— Przeczytałem już połowę tej książki — powiedział Dooley, gdy skończył jeść kanapkę ze smażoną kielbasą bolońską i zajął się zadaniem z matematyki. — Zdążyłem tyle przeczytać, gdy byliście w kuchni.

— I co myślisz? — zapytała Cynthia.

— Czadowa.

— Dziękuję — odpowiedziała wyraźnie zadowolona.

Stół przenieśli z miejsca obok półek z książkami w pobliże kominka, a pastor przykrył go obrusem z adamaszku, który dostał razem z domem. Dooley zapalił zieloną świeczkę bożonarodzeniową i postawił ją na talerzyku. Atmosfera była tak uroczysta, że jeszcze przez dłuższy czas po zakończeniu kolacji siedzieli przy stole, delektując się ciastem cytrynowym i kawą.

— Muszę powiedzieć to jeszcze raz: zupa była znakomita.

— Cieszę się, że ojcu smakowała.

Cynthia uśmiechnęła się, skrywając lekkie zażenowanie.

— Ohyda! — stwierdził Dooley.

— Przy okazji — powiedziała sąsiadka — jeśli uda się wam złapać jakiegoś kreta tej wiosny, to byłabym wdzięczna, gdybyście mogli mi go podarować.

Pomysł był tak niesmaczny, że nawet leżący przy kominku Barnaba zrozumiał niestosowność propozycji i warknął. Martwy kret! Nigdy w życiu nie spotkał się z takim dziwnym i chorym życzeniem.

— Chyba zaraz zwymiotuję — zapowiedział Dooley, znikając w kuchni.

— Przypuszczam, że wydaje się ojcu, iż Beatrix Potter malowała swoje zwierzęta z wyobraźni albo na podstawie jednego przelotnego spojrzenia, które udało jej się rzucić na coś, co przebiegło jej przez drogę?

— To znaczy, że nie?

— Oczywiście, że nie! Malowała z natury. Czy też może raczej — z martwej natury.

— Jesteś bez porównania najbardziej niezwykłą, to znaczy najbardziej wyjątkową osobą, jaką miałem przyjemność poznać w ciągu ostatnich kilku lat.

— Myślę, że nazywa mnie ojciec niezwykłą z czystej uprzejmości. Przywykłam do surowszych ocen!

Uśmiechnął się.

— Niemożliwe!

— Szczególna...

— Nie!

— Dziwna...

— Oczywiście, że nie.

— A nawet ekscentryczna...

— Zupełnie niewłaściwe! Westchnęła.

— Są i tacy — powiedział — którzy mówią, że ja jestem dziwny. Rozumiem cię więc doskonale. Przez osiem lat nie używałem samochodu i zadaję się ze zbłąkanym psem, którego można uspokoić, jedynie recytując na głos Pismo Święte.

— Jakże chciałabym, żeby nas wszystkich można było w ten sposób uspokoić.

No właśnie, pomyślał. Jaka wspaniała myśl.

— Jak to się stało, że zostałam artystką?

— Moja matka miała zdolności artystyczne, tato zresztą też. Na dodatek byłam jedynaczką. Nauczylili mnie patrzeć i widzieć. Tak, myślę, że to najbardziej odpowiednie słowa. Na malowidło czy obraz nie patrzyłam ot tak, po prostu, ale zwracałam uwagę na każdą najdrobniejszą perspektywę. Małuteńkiemu kwiatkowi, który większość ludzi rozdeptuje, nie zauważając nawet jego istnienia, my przyglądaliśmy się bardzo dokładnie i znajdowaliśmy w nim tak wyjątkowe szczegóły.

— „Świat widzieć w jednym ziarnku piasku, Niebo — w przydrożnej koniczynie” — zacytował fragment wiersza Blake'a.

— „Dłonią ogarnąć Nieskończoność, A Wieczność zamknąć w godzinie” — dokończyła Cynthia*.

— Już tylko za to należy ci się kret. Sama rozumiesz, że wolałbym nie składać w tej chwili żadnych obietnic, ale zobaczę, co się da zrobić.

* Fragmenty wiersza Williama Blake'a pod tytułem *Wróżby niewinności* w tłumaczeniu Jolanty Kozak zaczerpnięto z książki: William Blake, *Wiersze i poematy*, Świat Literacki, Warszawa 1994.

Cynthia zaśmiała się.

— Prawdę powiedziawszy, nauczyłam się nie wierzyć w żadne obietnice, z wyjątkiem Bożych.

— Jest to oczywiście ta wiara, której zdobycie przychodzi nam najtrudniej.

— O tak, rzeczywiście nie było mi łatwo. Przez wiele lat byłam żoną człowieka, który w pewnym momencie... zaczął piastować bardzo odpowiedzialną funkcję publiczną. Ja z kolei jestem zapewne najmniej publiczną osobą na świecie. Sprzeczność bardzo trudna do pogodzenia w małżeństwie. Ponadto on pragnął dzieci, był wręcz zdesperowany, a ja nie mogłam mu ich dać. Dowiedziałam się, że miał co najmniej troje, każde z inną kobietą.

Jej oczy, które zawsze wydawały mu się intensywnie niebieskie, nagle zrobiły się dziwnie szare.

Śmierć matki była dla niego zawsze bolesnym wspomnieniem, a konflikt z ojcem nigdy nie dawał mu spokoju. W porównaniu jednak ze smutkiem i bólem innych osób miał wrażenie, że jego własne życie jest bliskie idylli.

— Muszę ojcu powiedzieć — kontynuowała — że nigdy nie marzyłam, że będę tu dzisiaj siedzieć... żywa. I szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy nawet nie marzyłam, że mogę być tak szczęśliwa. Odnosić sukcesy w pracy, mieć własny dom, bez hipoteki i przesympatycznego sąsiada, który zadał sobie tyle trudu, żebym poczuła się w nowym miejscu jak u siebie.

— Muszę ci się do czegoś przyznać.

— Tak?

— Nie zadałem sobie najmniejszego trudu.

— A niech to! — zawołała Cynthia, śmiejąc się. — A ja miałam nadzieję, że tak!

Jej oczy znowu były niebieskie.

— A ojciec? Czy ktoś złamał kiedyś ojcu serce?

Co do jednego miał absolutną pewność — jego sąsiadka potrafiła zadać zaskakujące pytanie. Chociaż niektórzy pytali go wcześniej, czy był kiedyś zakochany, nikt nigdy nie zapytał go wprost o serce.

— Dooley — zawołał w kierunku kuchni, nie spuszczać wzroku z Cynthii — czy nie czas już na gorącą czekoladę?

Przygotował czekoladę, postawił na tacy trzy kubki i wrócił do salonu. Zobaczył tam swoją sąsiadkę i Dooleya, czekających na czworakach, aż z tunelu wynurzy się pociąg.

Krople deszczu stukały w dach, chłopiec wyglądał na szczęśliwego i rozbawionego, w domu pastora słychać było śmiech, a gdy stawał na stole tacę, zauważył, że na kominku wesoło huczy ogień.

Ojciec Tim zdał sobie sprawę, że wszystko to razem sprawia mu niewypowiedzianą przyjemność.

Reaktywowany harmonogram biegów dodał mu energii. Skończył wielkopostne homilie, a Dooley Barlowe powiedział cztery razy z rzędu: „Dziękuję”.

Mama Evie Adams przestała wkładać do piekarnika mokre pranie, a komitet budowlany domu opieki wybrał architekta. Jakie znaczenie miał fakt, że termin dostarczenia dzwonów znowu się przeciągnął, skoro tyle innych spraw układało się tak pomyślnie?

W niedzielę rano, gdy razem z Dooleym wychodzili właśnie na mszę o godzinie ósmej, zobaczył idącą chodnikiem sąsiadkę. Zbliżała się do nich żwawym krokiem. Na głowie miała mały kapelus, ubrana była w granatowy kostium i wyglądała naprawdę ślicznie.

— Dzień dobry! — zawołał.

— Dzień dobry! Cześć, Dooley! Jakie wspaniałe szelki! Pomyślałam, że zagładnę na waszą poranną mszę i zobaczę, co słyhać u anglikanów, zanim zawitam do prezbiterian.

— Twoja obecność będzie dla nas przyjemnością.

— Dziękuję! Pomyślałam, że skoro mamy dzisiaj taki piękny ranek, to pójde trochę wcześniej i nacieszę się panującym w kościele spokojem.

Gdy to mówiła, pastor z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu spojrział w dół, na zgrabne nogi Cynthii, i zauważył jej stopy. Dostrzegając najwyraźniej wyraz zdziwienia na jego twarzy, Cynthia też spojrziała w dół. Jej stopy były nadal obute w welurowe pantofle z haftowanymi fiołkami.

— O, nie — powiedziała z rozpaczą.

Bez słowa obróciła się na pięcie i uciekła do małego domu.

— Ale to było śmieszne — skomentował Dooley. Wiedział, że to okropne, ale rozumiał doskonale, dlaczego Cynthia nigdy nie powinna była być żoną senatora.

— A niech to! — powiedziała Emma, usiłując podsumować wpływy z ofiar za pierwszy kwartał. — Nie zebraliśmy stu osiemdziesięciu tysięcy! Zebraliśmy zaledwie tysiąc osiemset!

— Łatwo się pogubić w dziesiątkach — odparł. — Ale jak na recesję, to i tak nieźle.

— Jaką recesję?

— Wiem, że byłaś zajęta planowaniem ślubu, ale czy chcesz mi powiedzieć, że nie zauważyłaś, że kraj pogrąża się w recesji?

— Wiem tylko tyle, że poczta wprowadziła takie oszczędności, że Harold musi przynosić do pracy własny papier toaletowy.

— Nie!

— Tak, czy możesz w to uwierzyć? A na dodatek, podnieśli cenę znaczków.

Zadzwoił telefon i przed podaniem słuchawki ojcu Timowi Emma wysłuchiwała cierpliwie dzwoniącej osoby.

— Evie Adams — szepnęła.

— Dzień dobry, Evie. Co słyhać?

Tego pytania, pomyślała Emma, lepiej Evie Adams nie zadawać.

— Rzeczywiście? Niemożliwe. Aha. Rozumiem. Przykro mi. W takim razie... przyjadę zaraz po lunchu. Tak, oczywiście, będę się za ciebie modlił.

Odłożył słuchawkę i potrząsnął głową.

— W ubiegłym tygodniu panna Pattie brała kąpiel, trzymając nad głową otwarty parasol.

— Nie!

— Tak! Ale rzeczywiście, trochę kapało z prysznicza.

— To wszystko tłumaczy — stwierdziła Emma.

— A gdy Evie przyjmowała wczoraj gości na lunchu z brydżem, pana Pattie udekorowała środek stołu czerwonymi szpilkami Evie, w których umieściła kaczeńce.

— Całkiem oryginalnie. Muszę wypróbować to u siebie.

— Cóż, zobaczymy, jakie zdanie na ten temat będzie miał twój nowy mąż.

— Mój nowy mąż! — powiedziała nieomal gniewnie Emma. — Czy wiesz, że błagał mnie wczoraj wieczorem, żebyśmy przenieśli ślub do ratusza, tak bardzo się wstydzi tego dużego wesela? Dottie powiedziała mu, żeby nawet sobie nie myślał, że do ratusza ubiorę się w ten czerwony kostium z czarną lamówką. Tyle pracy włożyliśmy w przygotowanie tego stroju.

— Wyobrażam sobie.

— Widziałam twoją sąsiadkę, jak wychodziła z kościoła po porannej mszy w niedzielę.

— Naprawdę?

— Widziałam też Hoppy'ego Harpera, jak jechał razem z Olivią Davenport po mszy o jedenastej.

— Rzeczywiście?

— Czy ona nadal umiera?

— Nadal żyje. A to więcej niż można powiedzieć o większości ludzi.

— Nie musisz się od razu obrażać — odparła.

Otworzył list zawierający zdjęcia nowo narodzonego wnuka jednego z byłych parafian. Zadziwiające! Niemowlę wyglądało dokładnie jak Dick Satterfield, z szydełkowym kapelusikiem na głowie.

— Wiesz, co powinieneś zrobić? — zapytała nagle Emma.

— Nie mam pojęcia.

— Powinieneś więcej bywać. Zabierz Dooleya do kina w Wesley. Chłopcy lubią kino.

Pastor dalej czytał list, który przyszedł razem ze zdjęciami.

— Albo — powiedziała, spoglądając na niego sponad okularów — mógłbyś zabrać swoją sąsiadkę.

Obrócił się na krześle, twarzą do półek z książkami.

— Harold, Dottie i ja oglądaliśmy ostatnio wspaniały film. Coś tam, coś tam, coś tam, taki miał tytuł. No wiesz, wszyscy o nim mówią.

— Rzeczywiście?

— A niech to! Za żadne skarby świata nie mogę sobie przypomnieć tytułu. Na pewno wiesz, o który mi chodzi. Coś tam, coś tam, coś tam.

— Kto w nim gra? — zapytał bez większego zainteresowania.

— No, jak on się nazywa? No wiesz. Nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

— Nie przypominasz sobie? — zdziwiła się. — Mówili o tym w telewizji, że już niedługo będzie go można obejrzeć w kinie za rogiem. — Zmarszczyła brwi. — Zaczyna się chyba na B. Coś tam, coś tam, B — coś tam.

— Aha.

— Doprowadza mnie to do szału. No wiesz, wszystkie te reklamówki w telewizji. Jest tam taka kobieta z długimi czarnymi włosami, coś w stylu Loretty Young, i ten mężczyzna, który wygląda dokładnie jak Caesar Romero, ale to nie on. Na pewno wiesz, o kogo mi chodzi, taki dość wysoki.

Dobry Boże, pomyślał ojciec Tim, chyba pękła Ci forma, gdy lepiłeś Emmę Garrett.

— W każdym razie — podsumowała — powinieneś zobaczyć ten film. Grają go w „Avonie”, w Wesley. To to nowe miejsce za Farmer's Market. Wiesz gdzie. Trzeba tam gdzieś skręcić, nie pamiętam dokładnie czy w lewo, czy w prawo, a dalej jest ten sklep z oponami, chyba gdzieś na rogu. Nie, wydaje mi się, że to pralnia. Nieważne. Na pewno nie można tam zawrócić na drodze, trzeba pojechać prosto, aż do budynku poczty, i zakręcić na ich parkingu — Harold tak zawsze robi. Wydaje mi się, że to poczta — a może biblioteka — później mija się jeszcze dwie przecznice i jesteś na miejscu. Widać stamtąd kino.

— Czy nie ma już balsamu w Gileadzie? — zastanawiał się.

Nadal nie sypiał dobrze. Ostatnio miewał problemy nie tylko z zasypianiem, ale również z samym snem. W trakcie nocnych czuwań, jak nazwał je psalmista, nieustannie rozmyślał o Andrew Gregorym i wydrażonych nogach od stołów, o których wspominał Rodney, jak również o wycinku z gazety, który widział w Oksfordzkich Antykach.

Z ulgą odkrył, że w żaden sposób nie potrafi sobie wyobrazić Andrew zajmującego się przemysłem do kraju kradzionych przedmiotów, klejnotów czy czegoś podobnego. Andrew Gregory włamujący się do kościoła i chowający klejnoty w schowku, którego istnienia zapewne nawet nie podejrzewał? Andrew Gregory w pięknych garniturach i marynarkach z kaszmiru, potykający się w ciemnościach jak pospolity złodziej? Nie. To niemożliwe. Absolutnie! Andrew Gregory na pewno nie jest w to zamieszany. Dzięki Ci, Panie.

Po takich myślach, które męczyły go nieustannie, zasypiał na chwilę, ale tylko po to, żeby obudzić się z nowymi troskami.

Mimo że klejnoty, o których mówił wycinek z gazety, stanowiły element naszyjników i innych ozdób, czy te same klejnoty nie mogły zostać wyciągnięte ze złota, w którym były osadzone, żeby nikt

nie skojarzył ich z kradzieżą w muzeum? I czy te same klejnoty nie mogły zostać włożone do nogi, na przykład, starego angielskiego stołu i wysłane statkiem do Andrew w jednym z tych ogromnych kontenerów, które otrzymywał dwa razy do roku? I gdyby władze połączyły kradzieże ze sprzedawcami antyków, czy Andrew nie pozbyłby się natychmiast klejnotów z własnego sklepu? I może właśnie przeniósłby je do kościoła, gdzie nikomu nie przyszłoby nawet do głowy ich szukać?

Albowiem Bóg nie jest autorem zamętu, ale pokoju, przypomniał sobie po raz kolejny, tak jak święty Paweł przypominał Koryntów. Zamęt był grzeszny, pora była nieprzyzwoita, a Barnaba zaczął ostatnio chrapać na przemian to basem, to barytonem.

Znowu zapadał w sen, żeby po chwili obudzić się i spojrzeć na zegarek. Na litość boską, Andrew Gregory, uosobienie wszelkich doskonałości, miłośnik rzadkich książek i Wordswortha? Nie, nie Andrew. Nigdy.

W sobotę, po wyjeździe Dooleya na weekend do Meadowgate ojciec Tim wyłączył telefon i położył się na sofie w salonie? Spał przez dziesięć godzin, przykryty dzianym szalem wełnianym, który podarowała mu na Boże Narodzenie Winnie. Obudziło go dochodzące z garażu szczekanie i z niedowierzaniem stwierdził, że jest późny wieczór.

Po wyprowadzeniu Barnaby na spacer do żywopłotu i z powrotem oraz po nakarmieniu go, wyczerpany położył się ponownie w salonie i czekał na wiadomości o jedenastej.

Powinien był odwiedzić dzisiaj Russella Jacksa, pójść zobaczyć się z Olivią, wykapać Barnabę, wysprzątać w garażu, odkurzyć w samochodzie, wyczyścić buty i spakować gazety na makulaturę. Jakie to dziwne, pomyślał, że spał przez cały dzień. Nie przypominał sobie, żeby zdarzyło mu się to kiedykolwiek wcześniej. Czuł się dziwnie zdezorientowany, miał niewielkie poczucie winy i przez chwilę nie potrafił sobie przypomnieć, jakie jest główne przesłanie kazania, które ma wygłosić następnego dnia.

Za piętnaście jedenasta zadzwonił telefon.

— Ojczy — powiedział Hoppy Harper — z Olivią jest niedobrze.

W domu Olivii na Lilac Road drzwi otworzył mu Hoppy.

— Nie będzie ci się to podobało — uprzedził.

— Co mi się nie będzie podobało?

— Jak wygląda. Przeżyjesz...

— Szok?

— Najprawdopodobniej.

— Nie po raz pierwszy, przyjacielu.

Hoppy przeczesał palcami rozwichrzone włosy.

— Rozmawiałem z Leo Baldwinem. W ubiegłym tygodniu podjąłem ogromne ryzyko i umieściłem jej nazwisko na liście oczekujących. Jeszcze o tym nie wie.

— Dobrze! W samą porę — odpowiedział, dostrzegając wyraz cierpienia na twarzy przyjaciela. Gdy szli korytarzem, pastor położył rękę na ramieniu Hoppy'ego.

— Cokolwiek robimy, pamiętajmy, kto nad tym wszystkim czuwa.

Gospodyni Olivii, pani Kershaw, stała przed drzwiami do sypialni, ocierając chusteczką czerwone oczy i wycierając głośno nos.

Gdy weszli do sypialni, pastor zobaczył jedynie duży wysoki pokój. Ściany miały pastelowy kolor, a na podłodze leżał gruby dywan. Jedwabne draperie zaczynały się przy suficie i opadały w swobodnych upięciach aż do podłogi. W kilku miejscach w pokoju jarzyły się nieduże lampki, tworząc plamy ciepłego światła. Mimo okoliczności pastor czuł, że znajduje się w oazie ciszy i spokoju.

— Dzień dobry... ojciec — usłyszał wypowiedziane z trudem słowa.

Odwrócił się i zobaczył Olivie w jedwabnym szlafroku, siedzącą na fotelu. W jednej chwili do oczu napłynęły mu łzy i był wdzięczny za panujący w pokoju półmrok. Pomimo całego bagażu doświadczeń zdobytego w duszpasterskiej posłudze, kiedy to nie jeden raz miał do czynienia ze smutkiem i przerażeniem, był zupełnie nie przygotowany na widok, który ukazał się jego oczom.

— Ojciec... — zaczęła, nieznacznie unosząc spoczywającą na kolanach dłoń. Olivia była tak spuchnięta, że prawie w ogóle nie mógł jej poznać. Jej alabastrowa skóra natomiast, zawsze tak wspaniale uwydatniająca kolor fiołkowych oczu, miała niepokojąco żółty odcień. Musiał zmobilizować swój cały profesjonalizm, aby zrobić wrażenie opanowanego.

— Olivia — powitał ją zwyczajnie, ujmując jej dłoń. Nie poznał własnego głosu.

— Prze...rażające — powiedziała, łapiąc z wysiłkiem powietrze.

Spojrzał na jej oparte na niskim krzeselku stopy. Były dwa razy większe niż zwykle. Zauważył też z rozpaczą, że pantofle stojące obok wyglądają na śmiesznie małe.

— To zastój krwi — wyjaśnił Hoppy. — Cofa się z okolic jej serca i powiększa wątrobę. Zamierzam umieścić ją na kilka tygodni na oddziale intensywnej terapii. Będę podawał jej leki dożyłne, aby poprawić krążenie. Pani Kershaw, czy spakowała pani jej rzeczy?

Pani Kershaw płakała już teraz jawnie, nie maskując rozpacz chusteczką. Wzięła do ręki niebieską walizkę, która stała obok drzwi do sypialni, i zaniósła ją do holu.

Ogromnemu wysiłkowi, z jakim Olivia chwyciła powietrze, towarzyszył przerażający dźwięk, jakiego pastor nie słyszał od czasu okropnej choroby swojej matki.

Ukląkł przy jej nogach i ujmując jej dłonie, zaczął się modlić.

— Skarpety — powiedział Hoppy. — Czy są w tym domu jakieś skarpetki, które mogłaby nałożyć?

— Skarpety? — zapytała z godnością pani Kershaw. — Panna Olivia nie nosi skarpet!

Pani Kershaw czule owinięła stopy swojej pani w chusty i wyciągnęła z szafy ciemne futro z norek. Nakrycie to miało stanowić ochronę przed nocnym chłodem.

Hoppy pochylił się i otoczył jednym ramieniem plecy Olivii, a drugim ujął ją pod nogi. Delikatnie podniósł ją z fotela.

— Nie może leżeć w karetce ze względu na problemy z oddychaniem, a poza tym nic nie mogą dla niej zrobić. Zabierzemy ją moim samochodem.

Była dokładnie dwunasta w nocy, gdy otwarły się prowadzące na pogotowie wahadłowe drzwi i Hoppy wniósł do środka swoją pacjentkę.

Lekarz szedł szybko korytarzem, niosąc kobietę zawiniętą w chusty i futro. Jej ciemne, zwisające luźno włosy tworzyły na jego ramieniu rodzaj mantyli.

— Proszę przygotować kroplówki — polecił pielęgniarce, która zbliżała się do nich, pchając przed sobą nosze. — Tlen. EKG. Cała aparatura.

Gdy położył ją na noszach, opierając jej głowę na poduszkach, Olivia spojrzała na pastora. Łapała oddech jak wyrzucona przez fale na brzeg morza ryba.

— List do Fili... pian cztery... trzynaście, na... litość boską — powiedziała i uśmiechnęła się.

— Proszę ją podłączyć — polecił lekarz.

— Jak do tego doszło, że... znalazła się w takim stanie? — zapytał pastor, gdy stali przed pokojem Olivii na oddziale intensywnej terapii. — Wiedziałem, że nie czuje się najlepiej, ale zapewniała mnie, że to nic poważnego. Widziałem ją zaledwie kilka dni temu.

— Atak przychodzi bez ostrzeżenia, a ona nie chciała się przyznać sama przed sobą, że właśnie się zaczął. Wcześniejsza kuracja sprawiła, że od kilku miesięcy jej organizm był w dobrym stanie i pozwoliła sobie uwierzyć w... niemożliwe. Gdy nastąpiło pogorszenie, zbyt długo zwlekała z zawiadomieniem lekarza. Pani Kershaw została poinstruowana, że pod żadnym pozorem nie wolno jej do mnie zadzwonić.

— Co dalej?

— Bóg raczy wiedzieć. Załamanie mogło przyjść w każdej chwili.

— Co dokładnie masz na myśli?

— Mogła umrzeć — Hoppy pstryknął palcami — tak po prostu.

— Rozumiem.

— Módl się za mnie, gdy będę jej mówił, że zapisałem ją na listę oczekujących.

— Ta modlitwa została już być może wysłuchana. Rozważała tę możliwość, ale nie chciała ci o tym mówić, dopóki nie podejmie ostatecznej decyzji. Co teraz?

— Zatrzymam ją co najmniej na kilka tygodni, potem wypuścimy ją do domu... jeśli wszystko pójdzie dobrze.

— Pójdzie dobrze — powiedział ojciec Tim z niezwykłą pewnością.

Hoppy ściągnął okulary i przetarł oczy.

— Musisz wiedzieć, że jedna trzecia pacjentów z listy oczekujących umiera, czekając.

— To znaczy — odparł pastor — że dwie trzecie doczekuje przeszczepu.

Hoppy spojrział na niego przeciągle.

— Jesteś niesamowicie wspaniałym facetem — powiedział.

Gdy przyjechał do domu o drugiej w nocy, zaglądnąwszy wcześniej do Russella Jacksa, pośpieszył do pokoju Dooleya, żeby sprawdzić, czy dobrze śpi. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że chłopiec jest w Meadowgate.

Siedział zupełnie oszołomiony na brzegu łóżka do prawie drugiej trzydzieści. Potem w końcu się rozebrał i położył, nastawiwszy najpierw budzik na piątą.

Był jednocześnie zdziwiony i skonsternowany, że zrobił coś, czego nie zdarzyło mu się zrobić od dzieciństwa: zasnął utulony własnym płaczem.

Rozdział piętnasty

NAJWSPANIALSZE KAZANIE

W niedzielę rano wpisał intencje modlitewne za parafian do prowadzonego specjalnie w tym celu zeszytu z wymiennymi kartkami. W rubryce zawierającej prośby o powrót do zdrowia umieścił Oliwię Davenport i Russella Jacksa, pannę Sadie, którą bolało gardło, Rebeccę Jane, która cierpiała na kolkę, Harolda Newlanda, który skaleczył sobie rękę na ostrzu piły, przedszkole baptystów, które przechodziło epidemię odry, i Dooleya Barlowe'a, który z gorączką wrócił dziś rano z Meadowgate.

Panie, modlił się w drodze do kościoła o siódmej rano, spraw, żeby ten chłopiec nie ruszał się dziś z łóżka i żeby nic nie zbroił.

Choć zazwyczaj zatrzymywał wzrok na wiszącym w tyle nawy obrazie od panny Sadie, dzisiaj pozwolił sobie na pobieżne przyjrzenie się swojej kongregacji. Hal z fajką wystającą z kieszeni kurtki. Emma w kapeluszu ze skóry lamparta. Louella z Esther Bolick. Tak, była też jego sąsiadka, w ławce po prawej stronie kościoła, z wyrazem zadowolenia i radosnego napięcia na twarzy.

W trakcie modlitwy przed kazaniem usłyszał dochodzący z tyłu sanktuarium, zza jego pleców, nieprzyjemny zgrzytliwy dźwięk. Gdy skończył modlitwę, zauważył, że wszyscy wierni siedzą z otwartymi ustami i zdziwionymi minami, wpatrując się w sufit.

Być może to fakt, że ostatnio źle i nieregularnie sypiał, sprawił, że w jednej chwili ogarnęła go panika. Odwrócił się z mocno bijącym sercem i zobaczył, że prowadzące na poddasze schody są opuszczone i że schodzi po nich ktoś z bosymi stopami.

Usłyszał, że cała kongregacja wzięła głęboki oddech, a potem nieomal jednocześnie wypuściła z płuc powietrze. Gdy mężczyzna zszedł na podłogę i stanął przy ołtarzu, odwrócił się i spojrział na nich.

Był wysoki i bardzo szczupły. Miał rudawą brodę i sięgające do ramion włosy. Jego ubranie było wyraźnie za duże, jakby zostało kupione dla kogoś innego.

Jednak w całym tym zdarzeniu najbardziej wyjątkowe były, jak opowiadał później pastor, nie okoliczności nagłego pojawienia się mężczyzny, ale wyraźnie widoczna jasność bijąca z jego twarzy.

Hal Owen zastygł w bezruchu, stojąc przy swojej ławce po prawej stronie kościoła.

— Muszę wam coś wyznać — powiedział mężczyzna do wiernych głosem tak czystym, że zdawał się szybować lekko w górę, do samego sklepienia. Spojrzał na pastora. — Jeśli ojciec pozwoli.

Hal Owen spojrział na ambonę, a ojciec Tim uniósł do góry rękę. Pozwólmuy mu, zdawał się mówić ten gest.

Mężczyzna wyszedł przed balaski i stanął na stopniach.

— Nazywam się — zaczął — George Gaynor. Przez kilka ostatnich miesięcy wasz kościół był moim domem i... więzieniem. Widzicie, mieszkałem za dzwonem pogrzebowym, na waszym poddaszu.

W nawie panowała idealna cisza.

— Do niedawna symbolizował on w dużym stopniu moje życie, ponieważ było ono w rzeczywistości... życiem śmierci. Jako dziecko chodziłem do kościoła takiego jak ten. Był to kościół episkopalny w Vermont, w którym pastorem był mój wujek. Myślałem nawet o tym, żeby zostać duchownym, ale dowiedziałem się, że bardzo marnie się zarabia. A widzicie, ja lubiłem pieniądze. Moja matka i ojciec też lubili pieniądze.

Dużo dawaliśmy kościołowi. Dobudowaliśmy skrzydło, pokryliśmy dach dachówką, podarowaliśmy pastorowi cadillaca. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, co robi mój wujek i ojciec. Mój ojciec dawał kościołowi tysiące dolarów i odpisywał je, mój wujek zatrzymywał sobie pewien procent, a resztę przelewał na konto ojca w szwajcarskim banku. W ten sposób sześćset tysięcy dolarów pod postacią jałmużny dla ubogich trafiło wprost do kieszeni mojego wujka.

Gdy miałem dwanaście lat zacząłem kontynuować rodzinną tradycję. Pierwszą rzeczą, którą ukradłem, była deskorolka. Później ukradłem samochód i nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Mój ojciec znał wszystkich, od szefa policji po gubernatora. Byłem kryty na całej linii.

Poszedłem na uniwersytet i radziłem sobie całkiem nieźle. Dla mnie zdobywanie wiedzy było jak zdobywanie pieniędzy czy czegokolwiek innego. Czułem się silny i nietykalny. Zrobiłem doktorat z ekonomii i mając trzydzieści trzy lata, byłem zatrudniony w jednym z najlepszych college'ów w kraju.

Potem miałem wypadek lotniczy. To był mały samolot, który należał do przyjaciela. Leżałem w rozbitym samolocie, z pilotem, który zginął na miejscu, oraz z matką i ojcem, którzy mieli umrzeć za... kilka godzin. Temperatura była minusowa, a ja przez trzy dni tkwiłem unieruchomiony w kabinie samolotu.

George Gaynor przerwał i odchrząknął. Dopiero po dłuższej chwili zaczął ponownie:

— Miałem złamane obydwie nogi, rozbitą czaszkę, radio uległo zniszczeniu. Być może domyślacie się, co zrobiłem — zawarłem układ z Bogiem. Wyciągnij mnie z tego, poprosiłem, a zmienię całe swoje życie, zadośćuczynię za całe zło wyrządzone przez ojca, wujka, przez nas wszystkich.

Ubiegłego lata jeden z moich znajomych, sprzedawca antyków, wypił trochę za dużo. Zaprowadził mnie do swojego magazynu, wyciągnął z rogu osiemnastowieczny stół i odkręcił jedną z jego nóg.

Serce ojca Tima biło mocno. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

— Z nogi tego stołu wyciągnął rzadkie kamienie, wartości około dwóch i pół miliona dolarów, skradzione z muzeum w Anglii, w hrabstwie Berkshire.

Właśnie rozwiodłem się po dwóch latach małżeństwa i zapomniałem o wszystkich umowach, jakie zawarłem z Bogiem w kabinie tej cessny. Wszystko sprowadzało się do tego, że nic innego nie miało już dla mnie żadnego znaczenia.

George Gaynor usiadł na stopniu przy balaskach. Mogło się zdawać, że mówi do kilku bliskich przyjaciół zebranych u niego w domu.

— Odkryłem, że myślenie o tych klejnotach jest dla mnie bardzo ważne. Pożerała mnie chęć ich posiadania, i wielu takich jak one.

Władze brytyjskie odkryły, że towar przemywany jest z Anglii w statkach z antykami, i mój przyjaciel nie był w stanie przechowywać u siebie dłużej tych klejnotów, ze względu na FBI. Pewnej nocy wlałem w niego całą, wartą dziewięćdziesiąt dolarów, butelkę koniaku. Powiedział mi, że schował klejnoty w jednym ze swoich zabytkowych samochodów. Ukradłem mu klucze i poszedłem do magazynu z kluczem imbusowym. Wczołgałem się pod packarda z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, odkręciłem miskę olejową i zabrałem klejnoty do domu w torbie. Spakowałem kilka rzeczy, potem wyszedłem na ulicę i ukradłem samochód. Zmieniłem tablice rejestracyjne i ruszyłem przed siebie. Jechałem na południe.

Przerwał i spojrzał w dół. Siedział tak ze spuszczonego wzrokiem przez dłuższą chwilę. Gdzieś w tylnym rzędzie zakwiliło dziecko.

Znowu wstał. Trzymał ręce w kieszeniach luźnych brązowych spodni.

— Nie rozmawiałem z Bogiem od wielu lat. Prawdę powiedziawszy, tylko raz w życiu rozmawiałem z Nim naprawdę. Pamiętałem jednak, jakiego rodzaju języka należy używać, z modlitewnika. „Niech będzie błogosławiony Pan, który wybacza nam nasze grzechy. Jego miłosierdzie trwa na wieki”. To właśnie przyszło mi do głowy, gdy jechałem. Zatrzymałem samochód na przydrożnym parkingu, oparłem głowę na kierownicy i modliłem się, prosząc o litość i wybaczenie.

Chciałbym wam powiedzieć, że spłynął na mnie wielki spokój, ale wcale tak się nie stało. Uruchomiłem po prostu samochód i jechałem dalej. Nie ogarnęło mnie wielkie poczucie spokoju, ale wie-

działem, w jakim kierunku jechać. Zacząłem rozumieć, gdzie zmierzam, jakbym znajdował się na końcu żyłki, którą rybak nawija na kołowrotek. Zatrzymałem się i kupiłem całe pudło żywności w puszkach i krakersów... batoników, napoju witaminizowanego, suszonej na słońcu wołowiny, żebym nie musiał się tak często zatrzymywać, aby coś zjeść, i ryzykować, że ktoś mnie zobaczy.

Pewnego dnia około drugiej nad ranem znalazłem się na Blue Ridge Parkway i jechałem nią aż do momentu, gdy zauważyłem drogę oznaczoną znakiem: „Mitford”. Skręciłem w tę drogę, dojechałem do Main Street i zobaczyłem ten kościół.

Głos uwiązał mu w gardle.

— Miałem wrażenie... że przyjechałem do domu. Nigdy wcześniej nie czułem niczego podobnego. Nie mogłem się oprzeć sile, z jaką Bóg przyciągał mnie do siebie, nawet gdybym próbował. Wyłamałem zamek w tylnych drzwiach, ojczcie.

Pastor pokiwał głową.

George wytarł oczy rękawem koszuli.

— Przyniosłem swoje rzeczy... ubranie na zmianę, latarkę, koc i moje pudło z 7-Eleven. Potem zaparkowałem samochód dwie przecznice dalej i ściągnąłem tablice. Ulica była pusta. Wróciłem tutaj i zacząłem szukać... jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym odpocząć, ukryć się na kilka dni.

George Gaynor podszedł do pulpitu i wskazał ręką na prowadzące na poddasze schody.

— Muszę wam powiedzieć, że to bardzo dziwne miejsce na zainstalowanie schodów.

Przyjmując to stwierdzenie z ulgą, cała kongregacja zaśmiała się. Już od lat parafianie żartowali sobie z umieszczenia tych schodów.

— W taki oto sposób zamieszkałem za dzwonem pogrzebowym, na platformie, gdzie jest zamontowany. Nie miałem najmniejszego pojęcia, dlaczego jestem w tym właśnie miejscu, jakby ktoś rozkazał mi tu przyjść. Tuż przed Świętem Dziękczynienia jednak znalazłem odpowiedź.

Trzymałem swoje rzeczy za dzwonem, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Klejnoty jednak włożyłem do urny w schowku w korytarzu. Schowek wyglądał na nie używany, pomyślałem więc, że nikt tam nie zagląda, a nie chciałem mieć ich przy sobie, w razie gdybym wpadł w ręce policji.

W ciągu dnia mieszkałem na poddaszu nad parafialną świetlicą. Ćwiczyłem, siedziałem przy oknach w słońcu, nauczyłem się nawet kilku pieśni, żeby zachować sprawność umysłową. W niedzielę słyszałem bardzo wyraźnie każde słowo i każdą nutę, jakbyśmy wszyscy znajdowali się w jednym pomieszczeniu. Nocą chodziłem po kościele, korzystałem z toalety, zaglądałem do lodówki, znalazłem też zapasy w szafce w piwnicy. I zawsze wkładałem rękawiczki, na wszelki wypadek. Pewnego dnia w grudniu spadły mi z platformy buty i wylądowały u stóp wieży.

Uśmiechając się, spojrział na swoje stopy, a potem na zgromadzonych w kościele.

— Za każdym razem, gdy ktoś przynosił jakieś rzeczy na wyprzedaż, schodziłem na dół z latarką. Jak na razie jednak nie udało mi się znaleźć pary butów w rozmiarze czterdzieści pięć.

Fala śmiechu przeszła przez kościół. Hal Owen cały czas stał obok ławki, czujnie obserwując sytuację.

— Pewnego popołudnia siedziałem na poddaszu zdesperowany jak nigdy przedtem. Moja obecność tutaj nie miała sensu, mogłem przecież być we Francji albo w Ameryce Południowej. Nie byłem jednak w stanie stąd wyjechać. Czuję się bezsilny. Nagle usłyszałem, jak otwierają się drzwi wejściowe, i po kilku minutach jakiś mężczyzna krzyknął: „Czy jesteś tam na górze?”

Byłem sparaliżowany ze strachu. To już koniec, pomyślałem. Potem mężczyzna zawołał jeszcze raz. Wiedziałem już jednak, że pytanie nie było skierowane do mnie, tylko do Boga. W jego głosie brzmiało coś, co wydało mi się bardzo znajome — ta sama desperacja duszy. Mówiłem wam, że głos z dołu niesie się na górę, i usłyszałem cię, ojciec, jak przemówiłeś do tego człowieka.

Powiedział ojciec, że jego pytanie powinno brzmieć: „Czy jesteś tu na dole?”, a nie — „Czy jesteś tam na górze?”

Ojciec Tim pokiwał głową.

— Odpowiedział ojcu, że nie wierzy, że nic nie czuje. Ojciec z kolei powiedział mu, że to nie kwestia uczuć, a wiary. W końcu odmówiliście razem prostą modlitwę.

Przypominając sobie tę chwilę, pastor przeżegnał się. Przez kościół przeszła fala poruszenia, jakby pomruk zainteresowania i zdziwienia.

— Doskonała technika sprzedaży, ojciec, ponieważ odmówiłem tę modlitwę razem z wami. Rzuciłeś linę jednemu, a Bóg wyciągnął na niej dwóch straceńców.

Wierni poczęli spontanicznie bić wielkie brawa. Pastor zauważył, że Cynthia płacze otwarcie, zupełnie się tego nie wstydząc.

George Gaynor zszedł po schodach prowadzących do ołtarza i stanął w przejściu pomiędzy ławkami.

— Gdy odmówiłem tę modlitwę z dwoma mężczyznami, których nigdy nie widziałem, kierując jej słowa do Boga, którego nigdy nie znałem, zszedłem na dół, ojciec, i ukradłem ojca Pismo Świète.

Spojrzał błagalnie na pastora, który uśmiechnął się do niego i skinął głową.

— W miarę jak czytałem je przez kilka następnych tygodni, zaczął ogarniać mnie niezwykle spokój. Jeszcze bardziej niezwykła była bliskość Boga, jaką odczuwałem — byłem z Nim sam na sam w każdym momencie dnia.

Mężczyzna z poddasza zbliżył się do pierwszej ławki po lewej stronie kościoła i oparł się na jej pulpicie.

— Przychodzę do was dzisiaj rano, ponieważ pragnę was nakłonić do odkrycia tej bliskości, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. Przychodzę również, żeby podziękować wam za waszą gościnność i żeby powiedzieć osobie, która zrobiła to ciasto pomarańczowe, że było to najwspanialsze ciasto, jakie kiedykolwiek jadłem.

Esther Bolick zrobiła się czerwona jak burak i zakryła twarz modlitewnikiem, ponieważ wszystkie głowy w kościele obróciły się w stronę miejsca, gdzie siedziała, w trzecim rzędzie od organów.

— Ojciec — powiedział na zakończenie George Gaynor — byłbym wdzięczny, gdyby wezwał ojciec kogoś, kto mógłby mnie zaarrestować.

Pastor spojrział na starszego kościelnego.

— Hal, podejdź do kościoła baptystów i sprowadź Rodneya Underwooda.

Spojrzał następnie na wiernych.

— Powstańmy i wyznajmy naszą wiarę — powiedział — słowami Credo nicejskiego.

Po wyznaniu grzechów ojciec Tim zauważył, że do kościoła wszedł Hal, Rodney i jeszcze dwóch innych funkcjonariuszy. Zatrzymali się przy końcu nawy. Pastor wiedział, że dopóki nie uczyni odpowiedniego znaku, starszy kościelny nie pozwoli, aby zbliżyli się do niego policjanci. Jak wspólnie mieć u swojego boku takiego mężczyznę jak Hal Owen, pomyślał. Harry Nelson sprowadziłby cały garnizon policji, który wtargnęłaby do kościoła z odbezpieczonymi rewolwerami w rękach.

W czasie ostatniej pieśni podszedł do George'a Gaynora, który siedział w pierwszej ławce, i ujął go za rękę. Razem poszli wzdłuż nawy, mijając krzyż, aż na koniec kościoła.

Ron Malcolm, przewodniczący komitetu budowlanego domu opieki, wyszedł z ławki w samych tylko skarpetach i podał George'owi Gaynorowi swoje buty.

Gdy George brał je do ręki, mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Jak wszyscy mogli naocznie stwierdzić, pasowały jak ulał.

Znalazłszy się na końcu nawy, pastor odwrócił się i obwieścił:

— Idźcie w pokoju, kochać i służyć Panu!

— Dzięki niech będą Bogu! — odpowiedzieli chóralnie zadziwieni parafianie.

W czasie gdy ojciec Tim, Hal Owen i jeden z policjantów odwozili George'a Gaynora do więzienia w Mitford, Rodney i drugi policjant zabrali jego rzeczy z dzwonnicy. Był wśród nich dzban po napoju witaminizowanym, z klejnotami w środku.

J.C. Hogan, który na stacji ESSO Lew Boyda usłyszał nowinę z ust zasapanego członka Lord's Chapel, pobiegł czym prędzej do kościoła, ale świątynia była już zamknięta. Zjawił się w więzieniu w chwili, gdy podawano lunch.

— Czy to on? — zapytał Joe Joe Guthriego.

Jednym okiem patrzył na siedzącego w celi razem z ojcem Timem więźnia, a drugim — na przejeżdżający obok wózek z niedzielnym lunchem.

— Zgadza się, to on.

— Pieczony kurczak? — chciał wiedzieć J.C.

— Pieczone oberżyny — odparł Joe Joe. J.C. wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

— Zamierzałem sprawdzić, czy coś wam dzisiaj zostanie, ale straciłem ochotę.

— Oberżyny są dobre, jeśli się je najpierw namoczy — powiedział Joe Joe.

Siedział na krześle z wysokim oparciem, które policja kupiła na wyprzedazy od biblioteki, i opierał się o ścianę.

— Słyszałem, że ten facet ukrywał się na kościelnym poddaszu w Lord's Chapel.

— Był specjalistą od ekonomii, zarabiał niezłe pieniądze. Wyszedł z ukrycia w czasie mszy, wygłosił im niezłe kazanie.

— W czym rzecz? — zapytał J.C. — Podobno ukradł klejnoty warte cały majątek.

— Ponoć cztery czy pięć milionów — rzucił Joe Joe, ściągając z przejeżdżającego wózka talerz. Wziął go w obydwie ręce, uniósł w kierunku nosa i powąchał, a potem przyjrzał się mu dokładnie. — Sprawdzam, czy jest w tym cebula. Jestem umówiony dzisiaj wieczorem.

— Z kim? — zapytał J.C.

— A to już moja tajemnica, bracie.

Na korytarzu pojawił się Rodney. Szedł w ich kierunku, poprawiając futerał na rewolwer.

— J.C. w czym mogę ci pomóc?

— Chciałbym porozmawiać z twoim więźniem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Cóż, po pierwsze, mam. Po drugie, to przestępstwo federalne i więzień jest poza moją jurysdykcją. Idź i porozmawiaj z kimś, kto był dzisiaj rano w Lord's Chapel. Już samo opowiadanie wystarczy ci na niezły artykuł.

— Może po prostu poczekam na ojca.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego — poradził Rodney bez wyjaśnienia. — Na twoim miejscu porozmawiałbym z Ronem Malcolmem. Dał więźniowi buty, które ściągnął z własnych nóg. To będzie spojrzenie z ludzkiej perspektywy.

— To miasto pełne jest ludzkich perspektyw. Mnie interesują nagie fakty — powiedział J.C. następnie odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

— Chętnie dostarczyłbym mu kilku nagich faktów — rzucił Joe Joe.

Siedział razem z więźniem w nieskazitelnie czystej małej celi, w której znajdowało się łóżko, krzesło, stojąca na podłodze lampa, zlew, toaleta, chodnik ze sznurka i stolik z równo ułożonym plikiem czasopism „Southern Living”.

— Nie wiedziałem, że znalazł ojciec klejnoty w urnie. Przekładałem je z miejsca na miejsce, na wszelki wypadek. Jednak gdy przyszedł ojciec na poddasze, zorientowałem się, że coś jest nie tak. Siedziałem na strychu i czytałem Pismo Święte ojca, gdy usłyszałem, że opuszcza ojciec schody. Zacząłem się skradać na czworakach do mojej kryjówki za dzwonem i wtedy z kieszeni wypadło mi opakowanie z batonika. Gdy znalazłem się przy drzwiach wieży, obejrzałem się i zobaczyłem, że leży na środku podłogi. Wydawało się tak ogromne jak piłka do futbolu.

— Sam też lubię Migdałowy Raj — powiedział życzliwie pastor

— Wiele razy tam na górze marzyłem o solidnym posiłku. Szybko opróżniłem pudełko z 7-Eleven, potem znalazłem pusztę z żywnością w piwnicy. Wszystkie te pomidory w zalewie nieźle dały mi się we znaki po jakimś czasie. W okolicy świąt Bożego Narodzenia rozpoczęły się i trwały prawie przez miesiąc spotkania przy kawie. Pamiętam, jak zszedłem na dół pewnego sobotniego wieczoru i zmiotłem prosto z półmiska całą górną warstwę kanapek z serem pimento. Nie zostawiłem ani okruszka. Na Święto Dziękczynienia zjadłem słoik pikli i puszkę zupy zagęszczanej strąkami piżmaka. Na deser wypilem pół litra wody ze słodzikiem. Z waszego poddasza zszedłem z nowym sercem i żelaznym żołądkiem.

Pastor zaśmiał się.

— Bezcenna kombinacja we współczesnym świecie.

— Mam wiele sympatii dla Lord's Chapel. Może to dziwne, ale pod wieloma względami wasz kościół był dla mnie prawdziwym domem. Ponieważ słyszałem wszystko, co działo się w kościele i świetlicy parafialnej przez przewody wentylacyjne, wszyscy staliście się mi bliscy. Miałem wrażenie, że tworzymy jedną rodzinę.

— Dzisiaj rano przemawiał przez ciebie Duch Święty i zdziała cudowne rzeczy. To było najwspanialsze kazanie, jakie udało mu się wygłosić w Lord's Chapel w ostatnim czasie.

— Czy zobaczę ojca jutro?

— Jutro i pojutrze, i jeszcze następnego dnia. Będę odwiedzał cię codziennie, dopóki nas nie opuścisz.

— Chciałbym przyjąć chrzest. Pastor objął mężczyznę z poddasza.

— Możesz na mnie liczyć — odpowiedział.

— Gdzie znowu ojciec przepadł?

Opatulony kocem Dooley Barlowe siedział na sofie i patrzył gniewnie na pastora.

— W więzieniu.

— Telefon dzwonił jak opętany. Chciałem wyrzucić go przez okno.

— Proszę bardzo.

— Nie miałem nic w ustach.

— Jeszcze z głodu nikt się nie rozchorował, a z przejedzenia wielu.

— Łatwo ojcu mówić.

Zdjął marynarkę i usiadł na sofie. Barnaba wyciągnął się u jego stóp.

— Kto dzwonił?

— Ojca lekarz.

— Czego chciał?

— Prosił, żeby ojciec tam przyszedł, jak tylko znajdzie chwilę.

— Kto jeszcze?

— Walter.

— I?

— Powiedział, żeby ojciec do niego zadzwonił po jakimś programie telewizyjnym.

— *60 minut*. Kto jeszcze?

— Ojca sąsiadka. Cynthia.

— Co mówiła?

— Żeby ojciec do niej zadzwonił. Jej kot utknął gdzieś w piwnicy.

Przyjedź tu. Pojedź tam. Zrób to, zrób tamto.

— Co chciałbyś zjeść na kolację?

— Kielbasę bolońską.

— To zrób ją sobie sam — poradził ojciec Tim, wstając z sofy.

W poniedziałek przygotował śniadanie, wyprawił Dooleya do szkoły z lunchem i trzydziestoma pięcioma centami na sok oraz przywitał Puny, która rozpływała się w uśmiechach. Zdał jej krótką relację z niezwykłego zdarzenia, którego byli świadkami w niedzielę, a ponieważ widział poprzedniego popołudnia prawie wszystkich pacjentów szpitala, poszedł szybko do kancelarii, prowadząc Barnabę na smyczy.

Gdy znalazł się przy Oksfordzkich Antykach, Andrew Gregory otwierał właśnie sklep.

— Andrew, przyjacielu! — przywitał go pastor z nie ukrywaną radością. Klepnął następnie mocno sprzedawcę antyków w plecy i przez dłuższą chwilę potrząsał energicznie jego dłonią. — Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że cię widzę! Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

Jak to cudownie znowu być w domu!, myślał zadowolony Andrew, gdy w drzwiach powitał go znajomy zapach sklepu.

Rzadko kiedy zamykał kancelarię z taką przyjemnością.

Telefon nie przestawał dzwonić przez cały dzień. J.C. Hogan zajrzał dwa razy, a Associated Press dzwoniła po tym, jak jeden z parafian opowiedział całą historię redaktorowi wydawanego w Wesley „Weekly”. Reporterzy z lokalnej stacji telewizyjnej w Wesley kręcili się cały dzień po miasteczku, prosząc go, żeby otworzył kościół i pozwolił im nakręcić materiał. Skierowali potem oślepiające światła wprost na arras z Mortlake.

Puny zadzwoniła, żeby powiedzieć, że zatkał się zlewozmywak i że Dooleya „ścięło jak rybę”.

Odwiedził George'a w więzieniu, Oliwię i Russella w szpitalu, a wreszcie z opłakany rezultatem usiłował pracować nad kazaniem.

Dla odmiany przeszli z Barnabą przez ulicę i kontynuowali spacer obok Mitford Blossoms. Zapadał zmierzch. Gdy zbliżali się do skrzyżowania, zapaliły się latarnie. Co najmniej godzinę wcześniej, pomyślał, spoglądając na zasnuite chmurami niebo.

Nagle Barnaba zawarczał złowrogo i rzucił się w kierunku samochodu, który zwolnił, jadąc pasem jezdni przy chodniku, na którym się znajdowali. Na ulicy nie było innych samochodów, a oni byli jedynymi przechodniami.

Zanim zdołał zrozumieć, co się dzieje, ktoś otworzył tylne drzwi samochodu i chwycił Barnabę za obrożę, wrywając mu smycz z ręki.

— To cię nauczy kraść naszego cholernego psa!

Przez otwarte okno wysunęła się ręka i uderzyła go w pierś.

Zatoczył się do tyłu, a jakaś niewidzialna osoba wciągnęła Barnabę do samochodu i nałożyła mu kaganiec.

Chciał chwycić za klamkę od drzwi, ale znowu został odepchnięty, i to tak gwałtownie, że wpadł na latarnię i przewrócił się na chodnik.

„VAT”, zdołał przeczytać na tablicy rejestracyjnej, gdy samochód oddalał się z warkotem. Próbował się podnieść, ale zupełnie nie mógł złapać tchu.

Rozdział szesnasty

PEWNA NAGRODA

Pastor kiwnął głową do szefa policji, który poprawił futerał na rewolwer i wziął głęboki oddech.

— Proszę o chrzest święty dla tego oto George'a Gaynora — powiedział głośno.

— Czy chcesz być ochrzczony? — zapytał pastor świeżo ogolonego więźnia.

— Chcę.

— Czy wyrzekasz się szatana i wszystkich złych mocy duchowych, które buntują się przeciwko Bogu?

— Wyrzekam się.

— Czy wyrzekasz się wszystkich złych mocy tego świata, które atakują i niszczą wszystkie stworzenia Boże?

— Wyrzekam się.

— Czy wyrzekasz się wszystkich grzesznych pragnień, które oddalają cię od miłości Boga?

— Wyrzekam się.

— Czy zwracasz się do Jezusa Chrystusa i przyjmujesz go jako swojego Zbawiciela?

— Przyjmuję.

— Czy pokładasz całą swoją ufność w Jego łasce i miłości?

— Pokładam.

— Czy przyrzekasz iść za Nim i być Mu posłusznym jako swojemu Panu?

— Przyrzekam.

Ojciec Tim zwrócił się do szefa policji, Joe Joe Guthrie i dwóch pozostałych funkcjonariuszy.

— Czy wy, którzy jesteście świadkami tej przysięgi, zrobicie wszystko, co w waszej mocy, aby wspierać tego człowieka w jego życiu w Chrystusie?

— Zrobimy!

Po dziękczynieniu nad wodą George upadł na kolana na plecionym chodniku.

Ojciec Tim nalał do swojej lewej dłoni trochę wody z dzbana.

— George'u Gaynorze — powiedział, wylewając wodę na głowę więźnia — ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

— Amen! — odpowiedziała chórem reprezentacja policji z Mitford.

Po modlitwie pastor przeszedł do tej części obrzędu, która przez wszystkie lata posługi zawsze poruszała go najgłębiej.

Kładąc jedną dłoń na głowie więźnia, a drugą czyniąc znak krzyża na jego czole, powiedział:

— George'u Gaynorze, Bóg wszechmogący, Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który cię uwolnił od grzechu i odrodził z wody, i z Ducha Świętego, On sam namaszcza ciebie Krzyżem zbawienia, abyś włączony w lud Boży wytrwał w jedności z Chrystusem Kapłanem, Prorokiem i Królem na życie wieczne. Amen.

Namaszcza ciebie! Na życie wieczne. Czuł nieodwracalność tych słów.

Po chrzcie więzień przyjął komunię. Następnie dostał ciasto Esther Bolick.

— Zobacz tylko — powiedział Rodney. — Pani Bolick przyniosła dla ciebie swoje rewelacyjne i niepowtarzalne ciasto.

Joe Joe Guthrie podszedł, trzymając w rękach pudełko z Collar Button.

— Razem z chłopcami poszliśmy i kupiliśmy ci koszulę i spodnie. Pięćdziesiąt procent zniżki. Nie chcemy żadnych podziękowań.

Jeszcze inny oficer wyciągnął z kieszeni spodni parę skarpetek.

— Proszę — powiedział nieśmiało — nie są nowe, ale moja żona je wyprała, widząc, że są ci potrzebne.

George stał na środku oniemiały, a po policzkach spływały mu łzy.

— Ten gość — zwrócił się Rodney do pastora — jest strasznie płacziwy. Niewiele brakowało, a ja sam rozplakałbym się już kilka razy.

— Nasze serce łagodnieje pod wpływem Ducha Świętego.

— Wie ojciec, nie chcę się mieszać w sprawę Ducha Świętego — powiedział Rodney — ale musimy pokroić to ciasto.

Przed wyjściem z więzienia pastor zawiesił na szyi nowego członka Kościoła krzyżyk na srebrnym łańcuszku.

— Bardzo mi przykro z powodu ojca psa — odezwał się George. Mojego psa!

Podczas ceremonii chrztu świętego zapomniał na chwilę o tym smutnym wydarzeniu. W jednej chwili poczuł ból w okolicy serca.

— Módl się za mnie — powiedział zwyczajnie. Rodney czekał na niego w korytarzu.

— Robimy wszystko, co w naszej mocy. Czarny pies wielkości buicka nie może przepaść bez śladu, jak na przykład jeden z tych malutkich piesków rasy chihuahua. Znajdzie się, wspomni jeszcze ojciec moje słowa.

Barnaba porwany! Nie do pomyślenia. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Zupełnie to do niego nie docierało. Uświadamiał sobie to jedynie nocą, gdy koniec łóżka wydawał mu się zimny jak grobowiec.

Miał wrażenie, że w ostatnich miesiącach zginęło wiele ważnych rzeczy. Trzymał się jednak kurczowo jednej pocieszającej myśli — wszystko, co zginęło: klejnoty, Pismo Święte, Dooley, wróciło bądź się znalazło. Tylko i wyłącznie ta myśl dodawała mu sił do dalszego życia.

Joe Joe Guthrie podbiegł, żeby otworzyć mu drzwi.

— Bardzo nam przykro z powodu ojca psa, ojcze.

— Dziękuję, Joe Joe.

— Moja babcia jest ojcem zachwycona.

— Ja też jestem zachwycony naszą panią burmistrz. Jest zupełnie wyjątkowa.

— Tak, ojcze — odparł Joe Joe, uśmiechając się.

J.C. Hogan dogonił go, gdy przechodził przez ulicę w pobliżu Collar Button.

— Dowiedział się ojciec czegoś? — zapytał J.C.

Teczka redaktora otwarła się nagle i wszystkie papiery wysypały się na chodnik.

— Więzień przyjął chrzest — odparł, przyklękając, żeby pomóc w zbieraniu.

J.C. upchnął papiery z powrotem do teczki i wyciągnął chusteczkę.

— To za mało — rzucił, wycierając twarz. — Potrzebuję czegoś więcej.

Dwaj mężczyźni szli przez chwilę razem.

— Jedyne, co mogę ci jeszcze powiedzieć, to to, że Esther Bolick przyniosła dla niego ciasto pomarańczowe, a chłopcy z posterunku podarowali mu nową koszulę i spodnie.

— Co jeszcze? — naciskał J.C. starając się dotrzymać pastorowi kroku.

— Niestety, żaden inny ochłap informacji nie przychodzi mi do głowy.

— Chciałbym skończyć z tą pracą w dziennikarstwie — rzucił ze złością J.C.

Szli w milczeniu.

— A co z ojca psem? — zapytał J.C. z nagłym entuzjazmem. — Chciałby ojciec, żebym zamieścił jego zdjęcie?

— Cudownie! Dziękuję, że pomyślałeś o tym, przyjacielu.

— Niech ojciec dostarczy je dzisiaj do redakcji, to opublikuję je w gazecie w poniedziałek.

Uświadomił sobie, że nie ma zdjęcia. Już od lat nie miał aparatu.

— Nie mam zdjęcia. Czy zamiast zamieszczać zdjęcie Barnaby, nie mógłbyś go opisać? Wiesz, mógłbyś stworzyć cudowny opis mojego psa. Jeśli się przyłożysz, to jesteś doskonałym pisarzem.

— Tak, ale teraz nie mam do tego głowy — odparł gniewnie J.C. zostawiając ojca Tima i przechodząc na drugą stronę ulicy.

Oto człowiek, pomyślał pastor, który bardzo potrzebuje modlitwy.

— A co ty tutaj jeszcze robisz, młoda damo? — zapytał Puny, gdy przyszedł do domu o piątej.

— Porządkuję to miejsce — odpowiedziała, uśmiechając się. — Jeszcze nigdy nie widziałam domu, którego porządkowanie zajmowałoby tyle czasu.

— A co dokładnie przez to rozumiesz?

— Przewietrzyć poduszki, wyprać pokrowce na materace, namoczyć ojca nasiona...

— Namoczyć moje nasiona?

— Jeśli chce ojciec mieć pomidory wielkości talerza, tak jak ojciec mówił, musi ojciec najpierw namoczyć nasiona i posadzić je w małych doniczkach w domu.

— Naprawdę?

— Mam nadzieję, że nie myśli ojciec, że sadi się małe nasionka w ziemi i czeka, aż same sobie poradzą.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nigdy wcześniej nie hodowałem pomidorów.

— A ja wyhodowałam już dziesiątki kilogramów! — odparła z zadowoleniem Puny.

Pastor otworzył lodówkę.

— A co to takiego?

— Sałatka z kurczaka z cynamonem, z książki dla chorych na cukrzycę. Próbowałam jej i jest przesmaczna, są w niej migdały i winogrona.

— Zastanawiam się, co ja bym bez ciebie zrobił? Puny zaśmiała się.

— Ja się nie zastanawiam. Ja wiem! Zatrzasnął drzwi.

— Czy mnie się zdaje, czy... rzeczywiście jesteś dzisiaj jakaś inna? Coś jakby... Wiem, czy nie było tu przypadkiem ostatnio jakiejś parady?

— Ha! — rzuciła, lekko się rumieniąc. Uniósł brwi i uśmiechnął się.

— No, no.

— No, no!

— Domyślam się, że raczej wolałabyś mnie nie wtajemniczać w szczegóły? — zapytał jakby od niechcenia, myjąc marchewkę pod wodą z kranu.

— Bez obrazy, oczywiście — odparła — ale to już moja tajemnica.

— Co mogę zrobić? — zapytała Cynthia, stojąc po drugiej stronie drzwi z siatką. — Wiem, że na pewno jest coś, co mogę zrobić.

— W sprawie...?

— Ależ oczywiście, że w sprawie Barnaby! Czy zamierza ojciec dać ogłoszenie do gazety?

— J.C. powiedział, że mógłby zamieścić zdjęcie, ale ja nie mam zdjęcia.

— Ależ oczywiście, że ojciec ma! — odparła urażona. — Dałam ojcu podobiznę Barnaby w tej foremce po szarlotce, pamięta ojciec?

Oczywiście! Akwarela przedstawiająca Barnabę, na której wyglądał tak prawdziwie i naturalnie, że wydawało się, że zaraz zaszczeka.

— Cynthia, jesteś... — szukał przez chwilę odpowiedniego słowa — ...kapitalna.

Jej oczy wydawały mu się bardzo niebieskie, gdy się zaśmiała.

— Jeśli to tylko możliwe, staram się wychodzić naprzeciw oczekiwaniom — odpowiedziała.

— Potrzebne mi są buty — oznajmił Dooley w drzwiach, wszedł do środka i rzucił torbę z książkami na kuchenną ladę.

Pastor spojrział na niego znad lady, przy której siedział, przygotowując kazanie.

— Nie życzę sobie, żebyś tak się do mnie odzywał — upomniał go spokojnie. — Nigdy i nigdzie.

Dooley spojrział mu gniewnie w oczy.

— Mimo to potrzebuję tych cholernych butów.

Poczuł, że wrogość Dooleya rodzi w nim bunt, i było to uczucie, które wcale mu się nie podobało. Chłopcy, niestety, nie przychodzili na świat wyposażeni w instrukcję obsługi, a mówiąc poważnie, wychowanie tego konkretnego chłopca równało się przebudowaniu silnika w jego buicku. W rzeczywistości, mimo że nigdy nie udało mu się zrobić nic więcej ponad podniesienie kłapy silnika i wpatrywanie się w niego bezsilnie, wydawało mu się, że łatwiej byłoby mu przebudować silnik, niż wpoić Dooleyowi Barlowe'owi szacunek i posłuszeństwo.

— Dooley — zaczął — jest w twoim głosie coś, co sprawia, że... twoja potrzeba zupełnie mnie nie wzrusza. Może mógłbyś wyjść, a potem wejść jeszcze raz.

Dooley spojrział na niego bezmyślnie. W rodzinie z pięciorgiem dzieci, bez pieniędzy i bez stałego punktu, wokół którego koncentrowałoby się życie, istniało wiele sposobów na zwrócenie na siebie uwagi. Wrogość była tylko jednym z nich. Za każdą cenę musiał chłopcu pokazać, że ta strategia nie zda egzaminu w jego domu.

Nastąpiła chwila chłodnej ciszy.

— Prawdę powiedziawszy, życzyłbym sobie, żebyś to zrobił. Może mógłbyś wyjść za drzwi i wejść jeszcze raz. Mógłbyś zacząć od czegoś w rodzaju: „Dzień dobry” albo „Co słyhać?” Czegoś cywilizowanego. Wtedy mógłbyś podejść i opowiedzieć mi wszystko o butach, których potrzebujesz. Możesz być pewien — powiedział, patrząc chłopcu prosto w oczy — że wysłucham cię uważnie.

Ojciec Tim wyczuwał w wahaniu Dooleya wewnętrzną walkę. Wiedział, że rozważa on słowa, które właśnie usłyszał. Wiedział też, że zastanawia się nad alternatywą.

Dooley cofnął się i przeklął tak siarczyście, że pastor zaniemówił z wrażenia. Potem wbiegł po schodach na górę i zamknął z trzaskiem drzwi do sypialni.

Dobry Boże! Jego serce opanowała nagle ogromna wściekłość. Zmusił się do pozostania na miejscu, aż się uspokoi.

Zamknął zeszyt z notatkami do kazania, ściągnął okulary i przetarł oczy. W pobliżu leżał zeszyt Dooleya, który wypadł z jego torby i został na ladzie. Zauważył, że chłopiec zapisał wiele razy na okładce zeszytu swoje imię. Próbuje się określić, pomyślał pastor.

Wziął do ręki zeszyt i położył go obok swojego. Dwa zeszyty. Dwóch ludzi usiłujących odnaleźć sens życia.

Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Chłopiec mieszkał tu już od wielu tygodni i przez cały ten czas nie wypowiedział takich słów. Zważywszy na jego przeszłość, czyż nie było to, mimo wszystko, ogromne osiągnięcie?

Powiedział głośno sam do siebie:

— Pomyśl o tym osiągnięciu, Timothy. Potem spróbuj zrobić coś z tym, co się wydarzyło.

Przyszedł mu na myśl fragment psalmu: „Pouczę cię i wskażę drogę, którą pójdiesz; umocnię moje spojrzenie na tobie”.

Poczuł pokój, jaki niosła ze sobą ta obietnica, i poszedł na górę. Zapukał do drzwi, ale Dooley nie odpowiadał.

— Dooley?

Cisza. Oczywiście, czego innego mógł się spodziewać. Otworzył drzwi.

Dooley siedział na brzegu łóżka i szlochał. Całym jego ciałem zdawał się wstrząsać smutek, frustracja i gniew.

Moje serce, pomyślał pastor, czując, jak w jednej chwili ścisną je ogromny żal. Moje serce nigdy nie zaznało tak wielu uczuć w tak krótkim czasie.

Usiadł obok Dooleya Barlowe'a i przytulił go. Tulił go mocno, jakby chciał mu powiedzieć: trzymaj się, trzymaj się. Już cię nie zostawię.

— Chciałbym trochę cebuli, a ojciec? — zapytał Dooley, którego twarz, mimo że czerwona od płaczu, wyglądała na rozluźnioną.

Była to jedna z tych nielicznych chwil, gdy pastor widział w Dooleyu jedenastoletniego chłopca.

Hamburgery skwierczały w czarnym żeliwnym rondlu.

— Chętnie. Majonez?

— Majonez, ketchup, musztarda, przyprawa, pikle, cały kram.

— Cały kram, mówisz?

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy słyszał ostatnio, żeby chłopiec prosił o cały kram w czymkolwiek.

— Na marginesie, ktoś powinien ci powiedzieć, że płacz to bardzo dobra rzecz. Mam nadzieję, że nie pozwolisz, aby ktokolwiek wmówił ci coś innego.

Podszedł do kuchenki, żeby przewrócić hamburgery. Dooley nic nie odrzekł, ale pastor wiedział, że słucha.

— Daje nowy początek, można powiedzieć. A mówiąc o nowych początkach, chciałbym, żebyś wiedział, że doceniam i przyjmuję twoje przeprosiny. Te przeprosiny dają tobie i mnie nowy początek.

Dooley rozkładał talerze i sztucce na ladzie.

— Czy ojciec płacze?

— Czasami.

— Czy płakał ojciec, gdy skradziono ojcu psa?

— Jeszcze nie, ale miałem ochotę.

— Ja płakałem. Płakałem z powodu tego psa. Tęsknię za nim, chociaż śmierdzi mu z pyska. To nic, że śmierdzi mu z pyska. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia, chciałbym, żeby wrócił, dałbym mu ogromną kość albo... albo nawet swojego hamburgera.

Pastor przełknął z trudem.

— Czy mógłbym ojca o coś zapytać?

— Pytaj.

— Skoro jest ojciec duchownym, to dlaczego może ojciec bezkarnie kłamać?

— Po pierwsze, nikt nigdy nie kłamie bezkarnie, bez względu na to, czy jest duchownym, czy też nie. Kiedy skłamałem?

— Chodzi o mnie i Goosedown Owen. Powiedział ojciec, że będziemy tam jeździć co miesiąc i że Goosedown będzie jakby należeć do mnie, jeśli nie będę się bił. Ani razu nie byliśmy tam obaj, a ja sam byłem tylko raz. Było to więc najzwyczajniejsze kłamstwo.

Było i nie było. Wszystko zależy od okoliczności, jak mawiał wuj Chester.

— Gdy ci to obiecywałem, mówiłem szczerze. Potem, przez kilka kolejnych tygodni, w sobotę była zła pogoda, a nie było przecież sensu jechać na wieś i siedzieć w domu. Potem przyszło Boże Narodzenie, potem chrzciny, a potem do Owenów przyjechali goście, a potem... ty uciekłeś. Sam więc widzisz, wszystko zależy od okoliczności.

Dooley zmarszczył brwi. Miał na sobie czerwoną koszulę i czyste niebieskie dzinsy, a jego kógut we włosach wyjątkowo dzisiaj nie sterczał.

— A mnie się wydawało, że ojciec skłamał.

— Rozumiem. I dlatego nie będę już więcej składał żadnych obietnic. Będę cię po prostu tam zabierał, kiedy tylko będę mógł. Co ty na to?

— W najbliższy weekend?

— Możliwe, jeśli uda nam się ulokować twojego dziadka w domu pielęgniarki. Zaraz sprawdzę w kalendarzu. Teraz jednak zajmijmy się hamburgerami.

— Super — powiedział Dooley, gdy pastor stawiał na ladzie gorący pólmisek.

— Muszę zabrać Dooleya do sklepu obuwniczego Shoe Barn o czwartej.

Przekładał drobne z kieszeni do niebieskiego pudełka z datkami dziękczynnymi.

— Co znowu? — zapytała Emma. — Dopiero kupiłeś mu buty.

— Chłopcy szybko je zdzierają.

— Co kupujecie?

— Lakierki — odparł pastor, czując się trochę głupio.

— Lakierki!

— To się teraz nosi.

— Lakierki?

Emma zaniemówiła z wrażenia.

— Tak i mam zamiar kupić też przy okazji parę dla siebie. Tak. Postanowione. Czy biskup nie powiedział, że powinien zrobić dla siebie coś wyjątkowego?

— Brak mi słów — stwierdziła Emma.

Alleluja, pomyślał pastor.

— Wiesz, wydaje mi się, że nie wyglądasz za dobrze. Bierzesz lekarstwa?

— Muszę uzupełnić zapasy. Zrobię to dzisiaj.

— Czy widzisz swoją sąsiadkę?

Sam nie mógł uwierzyć w to, co powiedział.

— Nie tak często, jak bym sobie tego życzył!

Skąd mu to w ogóle przyszło do głowy? Zdawało mu się, że słowa wyszły z jego ust i zawisły w powietrzu. Obrócił się na krześle w stronę półek z książkami, czując, jak czerwony płomień zalewa mu twarz.

— Mógłbyś coś na to poradzić — powiedziała, ku jego ogromnemu zdziwieniu, rozsądnie Emma. — Słyszałam, że ona gotuje, powinna cię zaprosić.

Nastąpiła chwila znaczącego milczenia.

— Albo skoro ty też gotujesz, czemu ty nie miałbyś jej zaprosić? Z pewną przyjemnością, jakkolwiek niewielką, pomyślał, że

Emma Garrett jest zdecydowanie do tyłu, jeśli chodzi o bieżące informacje na ten temat.

Odwiedzając teraz codziennie więzienie w Mitford, zauważył piramidę pudełek przy drzwiach wejściowych.

— Buty — powiedział Rodney. — Przysyłają nam buty z całego kraju. Stare, nowe, czarne i niebieskie. Jesteśmy zasypani butami. FBI będzie musiało zabrać George'a do Connecticut w samochodzie z przyczepą.

— Opowiedz ojcu o gulaszach — przypomniał Joe Joe.

— Siedem gulaszów — poinformował Rodney, odczytując listę — dwa ciasta z borówkami, pół kilograma indyka w plastrach, bo nie miał okazji zjeść uroczystego obiadu w Święto Dziękczynienia, i pudełko mieszanki krakersów z drogerii. Zobaczmy, mamy też rożki z kremem i pączki od Winnie, ciasto kokosowe od gosposi panny Sadie i Pismo Święte od aa... nie potrafię odczytać tego nazwiska, Joe Joe?

— Zdaje mi się, że Cynthia... Copperfield.

— Potrzebny nam punkt przyjęć — powiedział Rodney.

Gładko ogolony George Gaynor miał na sobie nową koszulę i spodnie. Siedział na łóżku i pisał. Wstał i uśmiechnął się do pastora.

— Sam go ogoliłem i ostrzygłem. Jak się ojcu podoba? — zapytał Rodney, otwierając zamknięte na klucz drzwi do celi.

— Mógłbyś wyprzeć z rynku Joe Ivey.

— Cieszę się, że ojca widzę — powiedział George, ściskając obiema dłońmi dłoń pastora.

Wyglądał zupełnie inaczej niż ten wychudzony zarośnięty mężczyzna, który zszedł z poddasza.

— Jakież wieści o ojca psie?

— Żadnych.

— Chciałbym ufundować nagrodę, jeśli Rodney pozwoli mi skorzystać z moich pieniędzy. Miałem w portfelu około dwustu dolarów.

— Dziękuję, George. Dziękuję.

— Niech będzie dwieście dwadzieścia pięć — powiedział Joe Joe Guthrie, wyjmując portfel.

— A może utworzymy wspólny fundusz na nagrodę i będę go trzymał w szufladzie? — zaproponował szef policji, poprawiając futerał na rewolwer. — Wiecie, nic tak nie przemawia do ludzi jak pieniądze.

Przed wizytą w Sklepie wykonał jeden telefon.

— Ron, musimy się zająć Russellem Jacksem. Betty Craig zgodziła się pielęgnować go u siebie w domu. Bardzo się z tego cieszę. Spodziewam się, że będzie potrzebował opieki przez co najmniej trzy lub cztery miesiące. Gdybyś mógł od czasu do czasu podesłać mu coś, chętnie wyrównam wszystkie rachunki.

— Ojciec już wyrównał wszystkie rachunki — odparł Ron Malcolm. — Zorientuję się w potrzebach i wszystko ojciec dostanie.

— Jesteś jak zdrowie, przyjacielu. Dzięki Panu za to! Kiedy będziemy mogli oglądać pierwsze szkice?

— Może dopiero latem. Architekt spotyka się z panną Sadie we wtorek. Gdzieś w kwietniu powinniśmy mieć ogólne pojęcie o powierzchni całkowitej, jak będzie usytuowany, tego typu rzeczy. Zanim ruszy szybko, ojciec, zawsze najpierw idzie powoli.

— Ucałowania dla Wilmy — powiedział pastor.

Po drodze do Sklepu wstąpił do baru Grill.

— Zbieramy pieniądze na nagrodę — wyjaśnił Mule Skinner, który siedział przy kontuarze i liczył. — Sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt pięć, sto...

Esther Cunningham, która piła kawę i jadła kawałek ciasta cytrynowego przy stole, zanurzyła rękę w swojej przepastnej torbie szydełkowej i wyciągnęła z niej książeczkę czekową. Podała Mule'owi czek na pięćdziesiąt dolarów.

— W Mitford dbamy o swoich — powiedziała dumnie, cytując hasło pomocnicze swojego programu politycznego.

— Równie dobrze możecie schować sobie swoje pieniądze do kieszeni — wtrącił jeden z zajmujących się pożyczkami urzędników z banku po przeciwnej stronie ulicy. — Ten pies już dawno przekroczył granicę stanu, jeśli chcecie znać moje zdanie.

— Ja osobiście nie chcę — rzucił gniewnie Percy, po czym odwrócił się do ojca Tima. — Dostaniemy naszego Barnabę z powrotem, jeszcze ojciec zobaczy.

Avisa Packarda zastał za ladą z towarami mięsnymi. Właściciel miał na sobie fartuch rzeźnika z następującym napisem: „Słynny na cały świat Sklep. Doskonałe wina i wyborne mięsa”.

— Avisie, co słyhać z tą kaczką, o której opowiadałeś mi na wystawie wujaszka Billy'ego?

— Patrzy ojciec na nią — powiedział Avis, sięgając pod szybę i wyciągając z chłodni kaczkę. — Mniej tłuszczu, więcej smaku, chowana na ziarnie, żadnych chemikaliów. Ma też w środku dużą wspaniałą wątrobę, będzie z niej pasztet gładki jak jedwab.

Piewca jedzenia, oto kim był Avis.

— Niewiele ponad dwa kilogramy. W sam raz dla dwóch osób. Na miejscu ojca — poradził w zaufaniu Avis — zwieńczyłbym tę kolację wytrawnym szampanem.

— Zapakuj ją — zdecydował pastor, odczuwając pewien niepokój wynikający z tego, że jeszcze nie wystosował zaproszenia na planowany sobotni wieczór.

Widział Olivię, która siedziała i wyglądała prawie zupełnie normalnie. Opuchlizna ustąpiła i Hoppy gotów był wysłać ją do domu w niedzielę. Uznał, że choć nadal osłabiona, będzie mogła spacerować po domu, a nawet wyjść na godzinę czy dwie na zakupy z panią Kershaw.

Co za ulga, pomyślał. Podobnie było z wizytą u Russella Jacksa. Już w następnym tygodniu przeniesie się do zadbanego małego domku Betty Craig, znajdującego się nad szpitalem. Dwa triumfy. Dwa zwycięstwa.

Zatelefonowała do niego Marge Owen, prosząc, żeby przysłał na weekend Dooleya. W samą porę, i to co najmniej z kilku powodów. Znaczyło to bowiem, że będzie się mógł bardziej skoncentrować na wielkanocnym kazaniu, od którego dzieliły go już tylko dwie niedziele. Rozmowa telefoniczna z Rodneyem potwierdziła jego nadzieję, że George będzie mógł usiąść pomiędzy dwoma funkcjonariuszami i brać udział w wielkanocnej mszy, zakładając, że do tego czasu nie przejmie go FBI.

— Mam wrażenie, że doszli do wniosku, że zamierzamy go tu trochę podchowąć — powiedział Rodney, któremu nie mieściła się w głowie biurokracja agend federalnych.

O piątej w piątek, gdy Dooley w najlepsze pakował się na wyjazd do Meadowgate, zadzwoniła panna Sadie.

— Czy nie poczerwieniały ojcu przypadkiem uszy? — zapytała radośnie.

— Chwileczkę, zaraz sprawdzę. Nie, wydaje mi się, że nie.

— A powinny! Przez cały dzień mówiłyśmy z Louellą o ojcu.

— Panno Sadie, jestem zaskoczony, że nie mają panie ciekawszych tematów do rozmowy.

— Wie ojciec, co postanowiłyśmy zrobić?

— Rozwiesić kolorowe lampiony na murawie wokół domu i urządzić powitanie wiosny.

Roześmiała się rozbawiona.

— Proszę zgadywać jeszcze raz.

— Niech no pomyślę... wynająć szofera i pojechać na cały dzień na zakupy do Charlotte.

— Nigdy w życiu! — odpowiedziała panna Sadie. — Ma ojciec jeszcze jedną szansę.

— To za trudne. Proszę chwileczkę poczekać. Postanowiły panie zaprosić mnie na lunch.

— Zgadza się. Ale nigdy nie domyśli się ojciec najlepszego.

— Proszę nie kazać mi już więcej zgadywać.

— Zamierzamy dorzucić Rodneyowi co nieco do nagrody.

— Cóż...

— Tysiąc dolarów!

— Panno Sadie!

— Tak, to już postanowione, i proszę mi nawet nie dziękować. Louella się modliła i ja się modliłam, i obydwie dostałyśmy taką samą odpowiedź.

— Czy są panie pewne co do kwoty? Są panie pewne, że nie powiedział: sto? Łatwo się pogubić w dziesiątkach.

— Jesteśmy pewne. Z całego serca pragniemy, żeby Barnaba wrócił do ojca. Serce nam pęka, gdy pomyślimy o tej strasznej zbrodni. Że też coś takiego mogło się zdarzyć w Mitford, i to w biały dzień.

— Bardzo jestem wdzięczny paniom za ich troskę... Nie umiem nawet tego wyrazić jak bardzo.

— Przyjdzie ojciec wobec tego na lunch w Wielkanoc, razem z Dooleyem?

— Panno Sadie, może pani na nas liczyć! — obiecał ojciec Tim swojej najstarszej parafiance.

Po wyjeździe Dooleya pastor znalazł koronkowy obrus w kolorze écru, który żona poprzedniego biskupa podarowała kaplicy Lord's Chapel. Zamierzał położyć go na obrusie z różowego adamaszku, który Punny wyprała po Bożym Narodzeniu.

Z samego rana zadzwoni do Mitford Blossoms, do Jenny i zamówi... no właśnie, co? Róże, oczywiście.

Wypolerował mosiężne świeczniki, które Walter i Katherine podarowali mu na czterdzieste urodziny. Czterdzieści lat! Prawie niczego już nie pamiętał z tamtego przełomowego okresu. Jedynie to, że myślał wtedy, że zaczyna się starzeć. Teraz znał prawdę. Mając czterdzieści lat, wcale nie był stary, ani trochę. Dopiero mając sześćdziesiąt lat, mógł powiedzieć, że się starzeje, a jego sześćdziesiąte pierwsze urodziny zbliżały się w zastraszającym tempie. Postanowił już dłużej nie rozważać tego bolesnego tematu.

Przygotuje coś nieskomplikowanego do podania przed obiadem. Może pasztet? Nie chciał jednak za żadną cenę wydać się... no właśnie, jaki nie chciał się wydać? Nazbyt przygotowany, może, jakby wieczór został zbyt szczegółowo zaplanowany.

Położył na stole obydwa obrusy, rozstawił serwis babci z porcelany Haviland i położył serwetki. Następnie poszedł do salonu zaplanować resztę wieczoru. Na deser, myślał, może gruszki? W polewie z kawy, cukru, brandy i czekolady?

Kiedy powinien zadzwonić? A może powinien zapukać do jej drzwi i zaprosić ją osobiście? Wstał i zaczął chodzić niespokojnie po pokoju, czując piekący ból w żołądku. Wrzód, bez wątpienia! I to tuż przed kolacją z proszonym gościem.

Dlaczego nie miałyby najnormalniej w świecie wziąć do ręki słuchawki telefonu i zadzwonić do swojej sąsiadki? Robił to już przecież wiele razy w przeszłości i nie zastanawiał się nad tym tak długo. To nie był dobry znak. Poszedł do kuchni i rozejrzał się niepewnie dookoła. Potem powędrował na górę i spojrzął w dół na mały domek Cynthii. Zauważył siedzącą na dachu Violet.

Cóż za cudowny zbieg okoliczności! Szybko zszedł na dół.

— Cynthia — powiedział, gdy odebrała telefon — przed chwilą widziałem, że Violet siedzi na twoim dachu.

— Nie!

— Tak. I liże pazury.

— Ach, to straszne. Najpierw piwnica, teraz dach. Nie nadażam za nią. I w dodatku liże pazury! Wygląda na to, że złapała jakiegoś ptaka. Mówię szczerze, wolałabym mieć psa!

Oto myśl.

— Czy chciałabyś, żebym ściągnął ją na ziemię?

— Nie! Niech sobie tam siedzi do białego rana. To znaczy, tak, czy byłby ojciec tak miły?

— Zaraz u ciebie będę. Spotkali się przy tylnych drzwiach.

Od razu zauważył, że wygląda olśniewająco, mówiąc oględnie. Miała na sobie sukienkę w kolorze klematisu, który hodował kiedyś w ogrodzie. Kolor był tak intensywnie niebieski, że aż robił wrażenie fioletowego. W dodatku w cudowny sposób podkreślał jej oczy.

— Dzień dobry! — powiedziała, uśmiechając się. — Tak miło z ojca strony, że zechciał ojciec przyjść. Jestem taka zła, że będzie musiał ojciec wyciągać tę starą drewnianą drabinę, jest ciężka jak wór kamieni.

Nie mógł nie poczuć jej perfum. Podobne do wistarii, jakiś kwiatowy zapach.

— Nie ma sprawy. Wiem, gdzie ją trzymasz, bo używałem jej już raz, gdy Violet utknęła w przewodzie wentylacyjnym.

— Gdzie była, gdy ją ojciec widział?

— Ostatnio była gdzieś nad twoją sypialnią.

— Czy myśli ojciec, że byłoby łatwiej, gdybym spróbowała ją czymś skusić? Właśnie otworzyłam puszkę jej ulubionego dania.

— Możemy spróbować.

Pobiegła do kuchni i wróciła, niosąc miseczkę z cuchnącą brązową bryłą. Mimo to coś ścisnęło go za serce, bo była to również pora kolacji dla Barnaby.

— Uch, to wątroba — powiedziała, machając naczyniem nad głową i wołając: — Kici, kici, kici.

— Wydaje mi się, że nie musisz podnosić jej do góry — poradził pastor, biorąc od niej miseczkę. — Myślę, że zapach sam się uniesie.

— Ojej — powiedziała Cynthia, wygładzając sukienkę i spoglądając na zegarek. — Violet, ty szelmo — zawołała w stronę dachu — schodź na dół w tej chwili!

Mógł powiedzieć coś w rodzaju: Cynthia, myślałem, że mogłabyś wpaść do mnie jutro wieczorem na kolację. Oczywiście, nie za późno, ze względu na msze w niedzielę rano...

— Szósta trzydzieści! — obwieściła Cynthia z irytacją w głosie, spoglądając ponownie na zegarek. — Ojej. A ja mam zaproszenie na dzisiejszy wieczór do country klubu.

— Pozwól wobec tego, że ja się tym zajmę, a ty ruszaj śmiało.

— Byłoby wspaniale, po prostu wspaniale! Jak to miło z ojca strony, jak uprzejmie. Postaram się jakoś odwdziżyć, obiecuję.

— Ale ty już się odwdzięczyłaś. Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty przyjść...

— Oto i dzwonek. Czy chciałby ojciec przywitać się z Andrew Gregorym?

Andrew Gregory!

— Ach, nie — odparł szorstko — będę kontynuował akcję ratowniczą.

— Jest ojciec cudowny. Proszę ją po prostu wrzucić do domu przez tylne drzwi, nigdy ich nie zamykam. W takim razie, do zobaczenia — powiedziała, posyłając mu w powietrzu całusa i idąc szybko korytarzem w kierunku drzwi wejściowych.

Równie szybko zszedł do piwnicy i znalazł tam ciężką drabinę. Szkoda marnować cenny czas i wołać zbiegłego kota.

Zaniósł drabinę do ganku, wszedł na dach i od razu zobaczył Violet zwiniętą szczęśliwie obok komina.

Usłyszał warkot uruchamianego silnika mercedesa, a potem odgłos ruszającego powoli z miejsca przy krawężniku samochodu.

Z miejsca, w którym się znajdował, zobaczył Cynthię, jak spogląda z niepokojem do góry, ona go jednak nie widziała.

Serce waliło mu mocno.

— Violet, ty szelmo — powiedział.

Istniała pewna grupa doznań, które nie sprawiały mu szczególnej przyjemności. Listę tę z pewnością otwierała świadomość, że się ośmieszył. Bez wątplenia. To wszystko stało się zbyt nagle. Najpierw niespodziewany komentarz Emmy i zadziwiająca świadomość, że brakowało mu spotkania z Cynthią. Potem powodowana impulsem nagła wizyta w Sklepie, pozbawiona jakiegokolwiek racjonalnego uzasadnienia, i rozpoczęcie wszystkiego od końca. Oczywiście, najpierw powinien zaprosić Cynthię, a potem zacząć planować. Nie o to jednak w tym wszystkim chodziło. Chodziło o Andrew Gregory'ego. Wysokiego, wytwornego, przystojnego Andrew Gregory'ego.

Po wrzuceniu Violet, zgodnie z prośbą, przez tylne drzwi do kuchni, poszedł do domu, który wydawał mu się teraz pusty jak grobowiec. Nie było w nim bezpańskiego psa, który witałby go, skacząc z radości. Nie było w nim chłopca z kogutem, któremu należałoby przyczesać na mokro włosy albo dla którego trzeba byłoby przygotować kakao, albo któremu trzeba byłoby pomóc w odrobieniu lekcji.

Nigdy nie przyzna się Avisowi, ale włożył kaczkę do zamrażalnika. Przypuszczał, że zamrażanie świeżej, pochodzącej od miejscowego farmera, chowanej na ziarnie kaczki graniczyło ze zbrodnią moralną.

Chodził tam i z powrotem po salonie i bezmyślnie spoglądał na drzwi, potem poszedł do jadalni i wpatrywał się w stół, który wyglądał jakoś smutno, pomimo pięknej koronki i różowego adamaszku.

Zimny wiatr i szalejąca w Wielki Czwartek śnieżycy sprawiły, że opustoszały ołtarz wydawał się jeszcze bardziej posepny. Wierni wyszli po wieczornej mszy w ciszy, nie odzywając się ani słowem, aż znaleźli się za bramą cmentarną, która prowadziła wprost na Old Church Lane.

Wielkoczwartkowa msza wydawała się ojcu Timowi najbardziej posepną mszą w liturgii kościelnej, ale jednocześnie jedną z najbardziej istotnych. Rozkoszowanie się radością świąt Wielkiej Nocy, bez wcześniejszego rozważenia cierpienia na krzyżu, było w sensie duchowym co najmniej ryzykowne.

W niedzielę nadal wiał mocny wiatr, ale świeciło też jasne słońce. Wielu parafian z Lord's Chapel miało ponadto wrażenie, że udało im się nareszcie wydostać z mrocznego tunelu i oto mają okazję rozpocząć nowe życie.

Dodatkową osobistą radość sprawił pastorowi fakt, że George Gaynor mógł uklęknąć przed ołtarzem i przyjąć komunię świętą podczas porannej mszy w Wielkanoc. Rodney i Joe Joe stali za więzieniem z urzędową powagą, kiedy przyjmował opłatek i pił z kielicha, a potem odeskortowali go na miejsce w ławce po lewej stronie kościoła.

Agenci FBI mieli przyjechać do Mitford w środę, ale prawie nikt nie chciał, żeby mężczyzna z poddasza opuścił ich miasteczko. Wszyscy w dziwny sposób polubili tego bardzo niezwykłego złodzieja, a szkolne dzieci, jakby rozumiejąc wyjątkowość sytuacji, też zaraziły się tym uczuciem. Do więzienia płynęły nieprzerwanym strumieniem kartki i listy. Niektóre z nich zawierały wykonane kredką albo farbami obrazki, które więzień przyklejał na ścianach w celi.

Jedynie przedstawiciele duchowieństwa mogli go odwiedzać, a przy drzwiach wartę trzymał Cleo, aby chronić więźnia przed licznymi dowodami sympatii ze strony mieszkańców miasteczka.

— Niech mnie kule, niechętnie to mówię — zauważył szef policji — ale już nie mogę się doczekać, kiedy go stąd zabiorą. Gdyby federalni nie przyjeżdżali w najbliższą środę, musiałbym ściągnąć dodatkowe posiłki.

— Jak myślisz, ile może... dostać?

— Nie znam się na tych wyszukanych mokrych robotach z kamieniami — powiedział Rodney, poprawiając futerał na rewolwer. — Dałbym mu jakieś dwadzieścia lat, co najmniej.

Dwadzieścia lat, pomyślał pastor. Dwadzieścia lat z życia jego nowego przyjaciela. Z drugiej strony, zyskał wieczność.

Pastor pożegnał się z więźniem w celi. Obaj mężczyźni uścisnęli się z uczuciem. Gdy George się wyprostował, z oczu płynęły mu obficie łzy.

— Jak długo — zapytał, śmiejąc się — może to trwać?

Pastor z trudnością przemówił:

— Co, mianowicie, przyjacielu?

— Te... ły.

— Niechaj trwają wiecznie — odparł pastor, który znał gorsze konsekwencje zatwardziałego serca.

Szedł szybkim krokiem z więzienia, planując, że pójdzie do domu i przez najbliższą godzinę będzie obkopywał różane krzewy. Na chodniku jednak natknął się na Percy'ego i tłum jego stałych klientów z godziny dziesiątej, czekających na samochód FBI, który miał przejeżdżać tędy w drodze z miasta.

— Ja już się pożegnałem — oznajmił Percy'emu.

— Daj się namówić i zostań z nami. Będzie nas więcej — przekonywał go Mule Skinner.

Zauważył, że ludzie wyszli ze sklepów i ustawiali się wzdłuż chodnika po przeciwnej stronie drogi.

Dostrzegli zbliżający się w ich kierunku samochód dokładnie w chwili, gdy Cynthia wyszła ze Sklepu i przebiegła przez ulicę, trzymając w ręce sznurkową siatkę z zakupami. Stała obok pastora, z trudem łapiąc oddech.

Na całej długości ulicy zgromadzony tłum machał w ciszy do przejeżdżającego samochodu, którego wnętrze, ze względu na czarne szyby, pozostawało nieodgadnioną tajemnicą.

Cynthia ujęła dłoń pastora, ścisnęła ją, a potem pobiegła dalej. Szary samochód na urzędowych rejestracjach okrążył wolno pomnik, a potem zniknął z pola widzenia.

Całkowita suma pieniędzy zebranych na nagrodę wynosiła dwa tysiące czterysta dolarów, dopóki Winnie i Joe nie dołożyli dodatkowych stu. Wtedy komitet do spraw nagrody, złożony z Rodneya Underwooda i Percy'ego Mosely'ego, podjął się wydrukowania plakatów w znajdującym się przy głównej ulicy punkcie ksero. Wkrótce ogłoszenia rozwieszono w całym mieście.

— Dwa tysiące pięćset dolców — powiedział Mule Skinner. —

Jeśli to nie podziała na tych nędznych rzezimieszków, to już nie wiem, co innego mogłoby pomóc.

Krażyła plotka, że panna Rose Watson osobiście szukała Barnaby, podobnie jak wielu innych mieszkańców miasteczka, nie wyłączając Coota Hendricka, który upchał do kieszeni roboczych spodni dwie paczki orzeszków ziemnych i pojechał w stronę Farmer swoim pick-upem ze spuszczoneymi szymbami, gwizdząc i nawołując.

— Pani burmistrz — powiedział pastor podczas porannej rozmowy telefonicznej — przysła mi do głowy pewna myśl. Mówiłaś, że miasto mogłoby utrzymywać wujaszka Billy'ego w Porter Place po śmierci panny Rose. A gdyby panna Rose przeniosła prawa do domu na miasto już teraz i zachowała prawo wieczystego użytkowania, powiedzmy, dwóch pokoi i łazienki? Czy rada miasta rozważyłaby otoczenie opieką obojga?

Dwa wygodne, dobrze ogrzewane pokoje, utrzymywane przez miasto. Chłodne latem, ciepło zimą, z dobrym dachem i solidną podłogą, i działająca bez zarzutu muszla klozetowa. A ponadto, odnowiony Porter Place, lśniący na zielonej murawie naprzeciwko pomnika, świetnością ustępujący jedynie rezydencji Fernbank. Jeśli ktoś nie zajmie się nim wkrótce, może być za późno. Cały plan wydawał mu się najlepszym pomysłem, jaki ostatnio przyszedł mu do głowy.

— Zastanowię się nad tym — obiecała Esther Cunningham — i dam ci znać. Czy myślałeś już o swoim wystąpieniu?

— Jakim wystąpieniu?

— Na Festiwalu Róż, oczywiście.

— Co powiesz na to: „Róże, jakże je lubię. Zasadź dziś kilka. Amen”?

— Potrafisz być zabawny — zaśmiała się swym charakterystycznym świszczącym śmiechem Esther.

— Mam taką nadzieję.

— Joe Joe opowiadał mi o całym tym zamieszaniu z człowiekiem z poddasza. Domyślam się, że to twój sposób na podniesienie frekwencji w kościele.

— Masz rację, jak zwykle. Szkoda, że nie widziałas, ilu baptystów udało nam się ściągnąć w następną niedzielę.

— Ha, mógłbyś poczytać to sobie za ogromny sukces, gdyby udało ci się przekonać nas, baptystów, do śpiewania tych przygnębiających pieśni w waszym kościele.

— Pani burmistrz, te pieśni nie są przygnębiające, one są starodawne, a to różnica.

Parsknęła.

— Myślałby kto. Weź na przykład Raya, on jest i starodawny, i przygnębiający. Czy wiesz, ile lat wspólnego życia stuknie nam jutro o czwartej po południu?

— Zbyt wiele?

— Zgadza się! Czterdzieści osiem.

— Jeśli o mnie chodzi, to jedyną czynnością, jaką wykonywałem przez czterdzieści osiem lat z rzędu, jest oddychanie.

— Urządzamy przyjęcie na świeżym powietrzu w sobotę i bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś mógł przyjść. Będą wszystkie dzieci i wnuki, i prawnuki, cały klan.

— Nie, to połowa miasta. Ulice będą zupełnie puste!

— Po prostu przyjdź i nie gadaj tyle — powiedziała.

— Zastanowię się. Może Dooley będzie zainteresowany.

— Jeszcze jedno słówko. Przypuszczam, że wiesz o Joe Joe i twojej Puny.

Aha! Nie wiedział. Ale teraz już tak.

— Tak, oczywiście — uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Chętnie dowiedziałabym się, jakie masz na jej temat zdanie, jest przecież sierotą.

— Oto co myślę o Puny Bradshaw. Jest najwspanialszą, najbardziej pracowitą, przyzwoitą i uczciwą dziewczyną na powierzchni ziemi.

— Proszę! — powiedziała z aprobatą pani burmistrz. — Wiesz, oczywiście, że Joe Joe jest moim pierwszym wnukiem i nie chciałabym nikogo, kto nie byłby...

— W porządku, pani burmistrz, każdy kij ma dwa końce. A co z referencjami Joe Joe?

— Joe Joe — odpowiedziała z zapalem — jest Cunninghamem!

Według pani burmistrz, to tłumaczyło wszystko. Nigdy nie przestawało go dziwić, podobnie zresztą jak wielu innych, że pośród całej gromady pięciu pięknych córek państwa Cunningham i ponad dwudziestu wnuków nie było ani jednej czarnej owcy. Z wyjątkiem Omera.

— Wszyscy pamiętamy, co zrobił Omer — powiedziała szorstko — ale ma to już za sobą.

— Powiedzmy, że pomyślność tych dwojga leży mi na sercu tak samo jak tobie — zaproponował pastor. — Prawdę mówiąc, tak się składa, że sam szalenie lubię Joe Joe, i gdyby miało się to prze-rodzić w coś poważnego, byłby on najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem. Zaraz po Rayu, oczywiście.

— Ojcie — powiedziała pani burmistrz — pochlebstwo wyczuwam na kilometr.

— Wie ojciec, jak mówią na mnie na farmie?

— Jak?

— Wujek Dools.

Pastor, który klęczał właśnie przy rabacie z bylinami, spojrział w górę i roześmiał się.

— Wujek Dools, naprawdę?

Dooley stał z założonymi rękami, a jego kogut we włosach sterczał do góry jak buchający gejzer. Kilka dni na słońcu zwiększyło liczbę piegów na jego twarzy, a jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

— Tak, a stara Goosedown próbowała jeszcze raz tej głupiej sztuczki z wrzuceniem mnie do pomyj, ale ja trzymałem się jej bardzo mocno i była posłuszna jak baranek.

— Nie do wiary.

Zapadła cisza. Słysząc było śpiew jakiegoś ptaka. Ojciec Tim był spokojny i szczęśliwy.

— Trzy razy trzymałem w rękach małą.

— Rzeczywiście?

— Śmiała się do mnie.

Kontynuując pracę, układał mleczkę w jedną stertę.

— Potem zawołała mnie po imieniu.

Pastor przestał plewić i wstał, czując, że zeszywniały mu kolana. Zrozumiał nagle, że Dooley dzieli się z nim ogromnym sekretem.

— Nie mówisz poważnie!

— Tak, powiedziała: „Duu-uu-uuls”, dokładnie. Miałem ochotę zatańczyć z radości. Nie ma jeszcze sześciu miesięcy, nawet zęby jej jeszcze nie wyrosły.

— Wielki Boże — nie mógł wyjść z podziwu pastor.

— Tylko ja to słyszałem — zwierzył się mu chłopiec, niepewny, czy może zaufać własnym uszom.

— Wierzę ci, synu.

Dooley z powagą pokiwał głową. Oto zrodziła się pomiędzy nimi jakaś ważna więź. Ojciec Tim wiedział to na pewno.

„Wiosna wspina się powoli po szczycie do Mitford, ubrana w sukienkę z porannej mgły, dzwigając naręczę forsycji” — informowała poświęcona ogrodnictwu kolumna w „Muse”. „Na nogach ma buty z winorośli i mleczu, a we włosach gałązki tojadu. Niestety, łatwo się rozprasza i często przerywa swoją wędrówkę, żeby spędzić kilka miłych chwil na kanapce z mchu, gdzie zasypia i śpi potem przez długie dni”.

Śmiejąc się, ojciec Tim odłożył gazetę i podszedł do otwartego okna w sypialni. Hessie Mayhew znowu czytała Coleridge'a!

Zobaczył szarego mercedesa zaparkowanego przy krawężniku przed domem swojej sąsiadki. Dobry Boże, czy ten człowiek nie ma własnego kąta?

Zawiązał pasek od szlafroka i oparł łokcie na parapecie. Powietrze było balsamiczne i przyjemne, a dźwięk deszczu tak delikatny jak szmer skrzydełek ćmy.

Oddychał głęboko. Jutro czeka go sporo pracy. Musi odwiedzić Winnie Ivey, która wraca do zdrowia po operacji woreczka żółciowego, zanieść Bezdonnemu egzemplarz Nowego Testamentu i Psalmów oraz wyciągnąć z zamrażarki i zanieść Russellowi pół kilograma wątróbki Jenkinsa. Wątróbkę tego producenta można było kupić jedynie w Wesley, a nikt nie miał sumienia prosić Betty Craig, żeby wybierała się w taką podróż, skoro miała na głowie tyle ważniejszych spraw związanych z pielęgowaniem swojego kapryśnego pacjenta.

Musiał też napisać ponaglący list w sprawie dzwonów. Dzwony! Oto namacalny dowód na istnienie Wszechmogącego Boga.

Gdyby dzwony wróciły w czasie, gdy George Gaynor mieszkał na poddaszu, na pewno zostałby zdemaskowany i aresztowany, i plan Boga by się nie powiódł. Być może powinien napisać list do angielskiej firmy renowacyjnej i podziękować jej za wieczną zwłokę! „Szanowni Państwo, dzięki Państwa niewybaczalnemu zaniedbaniu ktoś narodził się na nowo za naszym dzwonem pogrzebowym!”

W południe powinien pójść do szkoły i zjeść razem z Dooleym lunch w stołówce, ponieważ właśnie jutro wypada dzień, kiedy rodzice zapraszani są do kultywowania tego nostalgicznego zwyczaju.

Powinien też uzupełnić leki. A może już to zrobił? Nie potrafił sobie przypomnieć. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Ma jeszcze chwilę przed wieczorną modlitwą.

Zdał sobie sprawę, że przeanalizował całą tę nie kończącą się listę, żeby nie myśleć o czymś dużo ważniejszym. Co tak naprawdę działo się tam na dole?

Jego uszu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi wejściowych domu sąsiadki i śmiech Cynthii z opowieści o kretach, który po raz pierwszy usłyszał na wystawie wujaszka Billy'ego. Zastygł w bezruchu.

— Mimo wszystko, przemyśl moją propozycję — powiedział Andrew Gregory.

— Ale ja już wszystko przemyślałam — odparła Cynthia.

Ich głosy niosły się do pokoju pastora, jakby stali tuż obok niego. Zdawało mu się, że z ogromnym wysiłkiem zamknął okno.

Nie mam do niej żadnych praw, żadnych, nie ma też żadnego powodu, abym interesował się tym, co robi. Co się w ogóle ze mną dzieje? Było to pytanie, które nie tylko należało zadać, ale na które przede wszystkim należało znaleźć odpowiedź.

— Niech ojciec powie mi tylko jedną rzecz — zażądała jego sąsiadka, stojąc po drugiej stronie drzwi z siatką. — Dlaczego jest ojciec na mnie wściekły?

Był zupełnie zaskoczony jej nagłym pojawieniem się, jej wyjątkowym pytaniem, a jeszcze bardziej — zadziwiającym blaskiem jej oczu. Skoro widział je już tyle razy, dlaczego zawsze tak bardzo porażał go ich intensywny kolor?

— Słucham? — zapytała z otwartością, która zupełnie go rozbrajała.

— Nie jestem...

— Może mi ojciec powiedzieć — stwierdziła, spoglądając na niego pytająco.

— Ale dlaczego myślisz...?

— Ja to po prostu czuję — powiedziała.

— Może wejdiesz do środka?

— A może ojciec wyjdzie na zewnątrz? Moglibyśmy usiąść na ławce w ogrodzie. Już od dawna chciałam na niej usiąść.

Przechyliła głowę na bok i patrzyła na niego, lekko się uśmiechając.

— Cóż...

Serce waliło mu mocno i wcale mu się to nie podobało, ani trochę. Już od lat nie czuł niczego podobnego i był całkowicie zadowolony z takiego stanu rzeczy, a teraz coś takiego. Czuł, jak coś ścisną go za gardło, a gdy usiłował coś powiedzieć, jego głos załamał się. Jest tylko jedna rada, postanowił, dopóki ten straszny stan nie minie — nie może odezwać się ani słowem.

Uważał, że było stanowczo za zimno na to, żeby siedzieć na porośniętej mchem, kamiennej ławce. Mimo to poszedł posłusznie za Cynthią na drugą stronę ogrodu.

Bardzo możliwe, doszedł do wniosku, że to się w ogóle nie dzieje. Być może zdrzemnął się tylko na sofie w salonie, a całe to zdarzenie jest jedynie figłem spletanym przez jego podświadomość.

— Po prostu pięknie — wyszeptała Cynthia, siadając na ławce.

Był pewien, że wilgotny mech popłami jej spódnice, ale wiedział, że to nie jego sprawa.

— Chciałabym narysować ten malutki zakątek — zwierzyła się. — Widzę go z okna w sypialni i nawet zimą robi wrażenie zaczarowanego.

Pokiwał głową w milczeniu.

— Proszę, niech ojciec usiądzie — zaproponowała, spoglądając na niego i klepiąc ławkę.

Usiadł.

— Czyż nie mamy wyjątkowego szczęścia, że możemy cieszyć się takimi chwilami, podczas gdy wszyscy inni pracują gdzieś daleko w oświetlonych sztucznym światłem pomieszczeniach, bez okien, przez które mogliby wyglądać i zobaczyć śmigającą w pobliżu ziembę amerykańską?

Malutki szary ptak usiadł na gałęzi rododendronu i muskał dziobem piórka.

— Uhm — bąknął, nadal nie ufając swojemu głosowi. Obróciła głowę i spojrzała na niego.

— Widzi ojciec, nie chodzi o nic, co ojciec powiedział albo zrobił. Chodzi to, że ja po prostu czuję, że coś... się zmieniło. Może nie powinnam o tym mówić, ale... Widzi ojciec, to dla mnie bardzo ważne. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Bardzo chciałabym to naprawić.

Miał ochotę przeskoczyć przez żywopłot i odzyskawszy twardy grunt pod nogami, biec aż do parku Baxter.

— Nic się nie... — zaczął i odkrył z przerażeniem, że nie odzyskał jeszcze głosu.

Przyglądała mu się spokojnie, powstrzymując śmiech. Czuł, jak jego twarz czerwienieje.

— Ojciec jest taki zabawny — stwierdziła. — Jak chłopiec, naprawdę.

— Zahamowany rozwój! — wykrzyknął.

Nareszcie! Odzyskał głos, dzięki Bogu.

Zimny wiatr poruszył jej spódnice, która dotknęła jego nóg.

— Czy nie chciałabyś wejść do środka? — zapytał.

Siedząc na porośniętej mchem ławce, miał wrażenie, że siedzi na przemoczonej poduszce w kościelnej ławie.

— Nie, zostanmy tutaj, aż oboje zamarzniemy na śmierć. Zięba wleciała, a potem wyleciała spomiędzy gałęzi, śpiewając.

— Niech ojciec pozwoli mi zgadnąć — powiedziała, zamykając oczy. — Jest ojciec na mnie wściekły, bo musiał ojciec wejść na dach i ściągnąć stamtąd Violet.

— Ależ skąd. Miałem okazję spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.

— Wobec tego jest ojciec wściekły, bo nie poczęstowałam ojca zupą rybną w tamtym tygodniu, a wiedział ojciec, że ją gotuję, bo pachniało nią u ojca w domu.

— Miałem katar — odparł, pociągając nosem — i nic nie czułem.

Cynthia roześmiała się na całe gardło. Jemu wcale nie wydawało się to zabawne. Czy to się nigdy nie skończy?

— Timothy — powiedziała — rozeznałam tę sprawę dyskretnie i dowiedziałam się, że nie ma niczego niewłaściwego w tym, żeby przyjaciel zwracał się do pastora po imieniu.

— Masz absolutną rację.

— Wobec tego pozostaje nam do ustalenia tylko jedna kwestia.

— Co mianowicie? — zapytał, czując, że w miejscu, w którym siedzi na ławce, jego spodnie robią się mokre od wilgotnego mchu.

— Czy jesteśmy przyjaciółmi?

Wydawało mu się, że wygląda bardzo niepewnie.

— Oczywiście, że jesteśmy. Myślisz, że targałbym tę ciężką drewnianą drabinę z czyjejs innej piwnicy? Albo wchodziłbym na dach, walcząc z zawrotami głowy, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi?

— Ach, Timothy, wszystko w tym życiu jest takie skomplikowane. A ja tak bardzo się bałam przyjść do ciebie i zapytać, dlaczego jesteś na mnie wściekły.

— Dlaczego się bałaś?

— Ponieważ myślałam, że naprawdę mi powiesz! Ale oczywiście, jak widać, niczego mi nie zamierzasz powiedzieć. I w sumie, nie mam nic przeciwko temu. Bo wydaje mi się, że wszystko jest już w porządku. Tak jak przedtem.

— Może wobec tego napijemy się herbaty?

— Świetnie! — wykrzyknęła. — Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

— Andrew! — zawołał, widząc sprzedawcę antyków, jak otwiera drzwi do sklepu.

— Ojcie, dzień dobry! Dobrze ojciec wygląda — przywitał go Andrew, energicznie potrząsając jego dłonią. — I mam wrażenie, jakby ojciec zeszczupłał.

— Moim marzeniem jest dobra kondycja, ale na razie zadowolę się szczupłą sylwetką, dziękuję. Co słychać, przyjacielu?

— Mówiąc szczerze, wszystko w najlepszym porządku. Mam ochotę wybrać się na kilka dni na Florydę, jeszcze przed wiosenną powodzią.

Andrew otworzył jedno z podwójnych ciężkich drzwi do sklepu i z wnętrza niczym kadzidło uniósł się aromat starego drewna i olejku cytrynowego.

— Zapraszam na kawę. Już tak dawno nie mieliśmy okazji porozmawiać, musimy nadrobić zaległości! I Bóg mi świadkiem, ciekaw jestem wszystkich szczegółów o człowieku z poddasza.

— Obawiam się, że nie dzisiaj. Wzywa mnie zbyt wiele obowiązków. Ale już wkrótce — obiecał.

— Jesteśmy wobec tego umówieni — powiedział Andrew, wrzucając klucze do kieszeni kurtki.

— Wyjeżdżasz pograć trochę w golfa? — zapytał pastor.

— Tak, wydaje mi się, że nie będę zamykał sklepu, a jedynie poproszę jedną z córek Cunninghamów, żeby przypilnowała interesu. Nie będzie mnie przez jakieś trzy, cztery dni. Zamierzam się tam spotkać z jedną z moich latorośli i wziąć udział w zawodach. Mam nadzieję, że uda mi się namówić twoją sąsiadkę, żeby zechciała mi towarzyszyć. Mieszkalibyśmy u mojego syna i jego żony.

— Aha!

W biurze Andrew, znajdującym się na tyłach sklepu, zadzwonił telefon.

— Wobec tego do zobaczenia wkrótce — powiedział właściciel, machając ręką na pożegnanie i wchodząc pośpiesznie do sklepu.

Gdy zaglądnął do Oksfordzkich Antyków w czwartek, żeby rzucić okiem na zadedykowaną królowej Wiktorii książkę o różach, zastał tam czuwającą nad wszystkim Marcie Guthrie.

Nie był zdziwiony, zauważając, że widziana z tyłu wygląda jak wierna kopia swojej matki. Prawdziwe zaskoczenie przyszło dopiero wtedy, gdy się odwróciła. Najstarsza córka pani burmistrz była bowiem zadziwiająco piękna i chociaż — podobnie jak pani burmistrz — nosiła sukienkę w rozmiarze pięćdziesiąt, poruszała się w niej z zachwycającą gracją.

— Mama mówiła mi, że wygłosi ojciec przemówienie na Festiwalu Róż.

— Tak, wygłoszę, jak Bóg da, ale co powiem, to już zupełnie inna sprawa. Myślisz, że zadowolilibym słuchaczy odgrzewanym kazaniem o nierzetelności w pracy?

— Nie — zaśmiała się, pokazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

— A co powiesz wobec tego na zwykłe lenistwo, największego wroga hodowcy róż?

— Myślałam, że to chrząszcz japoński — odparła, marszcząc brwi.

— Czy właściciel tego przybytku wyruszył na pola golfowe?

— Tak, wczoraj.

— Pojechał w jakimś towarzystwie, przypuszczam. To niezły kawałek drogi.

— Och, nie. Pojechał sam. I chyba lepiej. Był dziwnie rozdrażniony. Jeszcze nigdy go w takim stanie nie widziałam! Kapryśny, można powiedzieć, jak chore na kolkę dziecko.

Pastor nagle poczuł się bardzo radosny.

— Skoro jesteśmy przy dzieciach, czy nie zostałeś po raz kolejny babcią?

— Już myślałam, że ojciec nie zapyta! — rzuciła rozpromieniona Marcie, błyskawicznie wyciągając skądś składany w harmonijkę album ze zdjęciami wszystkich siedmiu wnuków. — Gdybyśmy tylko mogli znaleźć kogoś dla Joe Joe — powiedziała tęsknie. — Ze wszystkich moich dzieci tylko on nie założył jeszcze rodziny.

Ojciec Tim usiadł przy stole z drewna orzechowego i z prawdziwą przyjemnością zaczął się przyglądać po kolei każdej uśmiechniętej twarzy.

Rozdział siedemnasty

ZASKAKUJĄCE PYTANIE

Gdy Dooley odrabiał lekcje w czwartek wieczorem, pastor wyszedł na tylny ganek i usiadł na poręczu. Na pewno czeka ich jeszcze wiele mroźnych nocy, póki więc sprzyja pogoda, należy się delektować balsamicznym powietrzem ostatnich ciepłych wieczorów.

Ujrzał światło w oknach Cynthii. Zastanawiał się, co robi z wolnym czasem wieczorami, gdy nie wychodzi do country klubu. On też mógł zostać jego członkiem — rada parafialna złożyła mu taką propozycję zaraz po przyjeździe. On jednak nie chciał, nie grał w golfa, nie pływał, a jeśli chodzi o spotkania towarzyskie, to zdecydowanie bardziej wolał organizować je w domu. Poprosił więc, żeby środki finansowe przeznaczone na jego członkostwo w klubie, zostały przekazane na jeden z funduszy organizujących pomoc dla głodujących dzieci, co do którego etyki finansowej nie miał żadnych zastrzeżeń. Nigdy tego nie żałował i nikt nie miał z tego powodu do niego żalu.

Nagle usłyszał trzaśnięcie tylnych drzwi domu sąsiadki.

— Violet! — syknęła Cynthia. — Violet, ty beznadziejna, pozbawiona rozumu kreaturo, wracaj tu w tej chwili!

Uszu pastora następnie dobiegła ogłuszająca kakofonia dźwięków, która była bez wątpienia odgłosem walczących na śmierć i życie kotów.

— Violet! — krzyknęła jej pani. — Ja cię za to zamorduję!

Gdyby tylko Barnaba tu był, zaśmiał się po cichu pastor, te koty czmychałyby, gdzie pieprz rośnie. Podeszedł do żywopłotu.

— Cynthia! — zawołał. — Czy potrzebujesz pomocy?

Cynthia w mgnieniu oka podbiegła do żywopłotu, od strony swojego ogrodu. Ubrana była w szlafrok, a na nogach miała pantofle. Jej głowa jeżyła się od znanych już pastorowi różowych wałków.

— Timothy! Violet uciekła do ogrodu i dwa kocury o mało się o nią nie pozabijają. Muszę ją złapać i zabrać do domu. Ma cieczkę!

Dobry Boże, pomyślał pastor, chwycił oparte o ganek grabie i przeszedł przez ciemny żywopłot do ogrodu sąsiadki.

— Jesteś wspaniały — powiedziała Cynthia, patrząc na niego okrągłymi z podziwu oczami i siedząc w swojej pracowni na kanapce, która wielkością przypominała mebel z domku dla lalek. — Po prostu wspaniały. Najpierw przepędziłeś te grasujące koty, a potem zsunąłeś się do zsypu na węgiel, żeby wyratować Violet. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczna. Nigdy! — dodała z zapalem.

Nalała dwa kieliszki zniewalającej sherry, którą zdawała się trzymać specjalnie dla niego.

— Szkoda, że się nie widzisz! — rzuciła, patrząc z podziwem na pył węglowy, którym był pokryty od stóp do głów.

Ha, szkoda, że sama się nie widzisz, pomyślał. W tych dziwnych pantoflach i starym szlafroku, z wałkami na głowie sterczącymi na wszystkie strony jak nasady kominowe.

— Niezła z nas para, na pewno — zaśmiał się. — A ja myślałem, że... wyjeżdżasz na ten weekend.

— Że wyjeżdżam? — zapytała, bacznie mu się przyglądając. — Och.

Chwila ciszy.

— Że wyjeżdżam. Cóż — powiedziała wyraźnie zaskoczona — jak widzisz, nie wyjechałam, zostałam w domu, gdzie jestem najzupełniej szczęśliwa.

— Aha.

Rozejrzał się po jej małej pracowni. Każdy centymetr ściany zakryty był jakimś wesołym rysunkiem, akwarelą albo wyciętym z czasopisma zdjęciem. Przepisała werset z szesnastego rozdziału Księgi Przysłów i przypięła go szpilką nad stołem do rysowania: „Powierz Panu swe dzieło, a spełnią się twoje zamiary”.

— To — powiedział — godny polecenia sposób.

— Dla mnie jedyny. Nawet nie zabieram się do pracy, jeśli nie powierzę jej najpierw Bogu. Próbowалам kiedyś inaczej i odkryłam, że to wszystko zmienia.

Koniec, kropka! Pastor uśmiechnął się. Podobał mu się praktyczny stosunek Cynthii do Boga. Nie miał w sobie nic ze śmiałości wspaniałej wiary Olivii Davenport. Był zwyczajny i bezpośredni. Wyglądało na to, że Cynthia jest bardzo praktyczna, jeśli chodzi o boskie sprawy.

— Wobec tego — powiedział, stawiając pusty kieliszek na pełnej książce dla dzieci półce — muszę wracać do swojego studenta. Przygotowuje się do jutrzejszego sprawdzianu i chciałbym mu pomóc, gdyby miał jakieś pytania.

Cynthia uśmiechnęła się i przechyliła na bok głowę.

— Jesteś kochany — powiedziała.

— Ty też — usłyszał własną odpowiedź.

— Z jakiego powodu tak rozplywa się ojciec cały w uśmiechach? — zapytał Dooley, patrząc na pastora zamglonym sennym wzrokiem.

— Wcale się nie rozplywam cały w uśmiechach. — Usiadł na brzegu łóżka. — Czy dobrze poszła ci nauka? Nie potrzebowałeś mojej pomocy?

— Nie, jakoś rozgryzłem cały ten galimatias.

— Będę się modlił za ciebie jutro o pierwszej, gdy będzie zaczynał się sprawdzian.

— Modlitwa nie rozwiąże testu.

— Masz rację, przyjacielu. Pomoże jednak tobie w jego rozwiązaniu.

Dooley ziewnął i obrócił się do ściany.

— Dobranoc — powiedział.

— Dobranoc — odpowiedział pastor, kładąc dłoń na ramieniu chłopca.

Ojcze, modlił się po cichu, dziękuję Ci za to, że zesłałeś mi tego chłopca. Dziękuję Ci za radość i smutek, jaki przynosi. Nigdy go nie opuszczaj, aby zawsze znajdował się pod Twoim dobrym wpływem, a gdy nadchodzą jakiegokolwiek sprawdziany, daj mu mądrość i siłę, aby mógł postępować zgodnie z Twoją wolą. Opiekuj się również jego matką i pozostałymi dziećmi, gdziekolwiek się znajdują. Karm i ubieraj je, zachowuj od złego i przyprowadź je pewnego dnia, aby zaznały pełnej więzi z Twoim Synem.

Siedział jeszcze przez jakiś czas z dłonią opartą na ramieniu śpiącego chłopca, czując, jak jego serce przepelnia się czułością. Potem zszedł na dół i wziął do ręki słuchawkę telefonu.

— Cynthia, właśnie sobie o czymś przypomniałem.

— Tak? — zapytała wesoło.

— Chciałbym cię zaprosić jutro wieczorem na kolację... jeśli nie masz innych planów.

— Nie mam — powiedziała. — Bardzo chętnie przyjdę!

Idąc do lodówki, ze zdziwieniem zauważył, że na czoło wystąpił mu niewielki pot.

Otworzył drzwi do zamrażalnika i wyciągnął kaczkę.

Gdy przyszedł w piątek do domu na lunch, zobaczył, że Puny zaparowała okna w kuchni swoimi kulinarnymi eksperymentami.

— Zostawiam ojcu duszoną kurę i trochę sałatki z ziemniaków na weekend.

— Wielkie dzięki.

Usiadł przy ladzie i zaglądnął do środka kanapki. Tofu!

— Nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, w którym się tego tknę — powiedziała Puny, przyglądając mu się kątem oka — ale przeczytałam, że tofu jest dobre dla takich ludzi jak ojciec, więc niech ojciec je na zdrowie! Nie ma ojciec pojęcia, jakie to uczucie, gdy się to kroi. Uch.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

— O niebo bardziej wołałbym twój chleb kukurydziany.

— Może sobie ojciec woleć. Nie zamierzam piec dla ojca chleba kukurydzianego przez następny miesiąc. Zaznaczyłam w kalendarzu.

Zjadł kanapkę z pewnym niepokojem, ale nic nie mówił.

— Widziałam stół w jadalni. Wygląda, jakby się ojciec spodziewała Karola i Diany. Kogo ojciec zaprosił?

Z pewną trudnością pastor przełknął ostatni kęs kanapki i wytarł usta.

— A to, panno Bradshaw, jest już moja tajemnica — odparł z nie ukrywaną radością.

Po zainstalowaniu Dooleya w jego pokoju razem ze sklejanym modelem samolotu poszedł do zamrażarki. Akurat zdąży wszystko przygotować na kolację o siódmej.

Trudno znaleźć słowa, które najlepiej oddałyby jego zaskoczenie dokonany odryciem. Puni Bradshaw wzięła jego pierwszorzędną kaczkę za kurę i przygotowała z niej duszone mięso.

— Tylko jeśli jest bezkofeinowa — powiedziała Cynthia. — W przeciwnym razie nie zasnę do Święta Dziękczynienia!

— Nie chcielibyśmy tego — oznajmił gospodarz, który w mgnieniu oka przyniósł srebrną tacę z dzbankiem kawy, filiżankami i dwoma talerzykami gruszek w polewie.

— Och! Po prostu kocham gruszki.

— Cynthia, czy jest coś, czego nie kochasz?

Myślała przez chwilę, gdy nalewał jej aromatyczną kawę.

— Uhm. Ludzi, którzy zawsze się spóźniają. To takie bezmyślne, jak okradają nas z czasu, który marnujemy, czekając.

— Zgadzam się z tobą całkowicie.

— Niech pomyślę, czego jeszcze. Ślimaków w ogrodzie.

— Aha.

— Sztucznych kwiatów!

— Ja też.

— Głośnej muzyki. Starych krakersów. Przeklinania. Narzekania.

Zaśmiała się.

— Na pewno się ucieszysz, gdy ci powiem, że nie zadam ci takiego niemądrego pytania — powiedziała. — Chętnie jednak zapytałabym cię o coś innego.

— To znaczy?

— Jacy byli twoi rodzice?

Nalał sobie kawy i podał jej talerzyk z gruszkami.

— Moja mama była baptystką, córką wielkiego kaznodziei z Missisipi. Doskonale znała Pismo Święte, miała niezależne poglądy, a do tego wszystkiego — błyskotliwy umysł. Gdy byłem jeszcze i małym dzieckiem, oddała mnie Panu, tak jak Anna Samuela. i

Wychowała mnie na Piśmie Świętym, a najbardziej niezwykle jest to, że sprawiła, iż je pochałem. Niektórzy ludzie wychowywani w ten sposób w pewnym momencie zaczynają nienawidzić Słowo Boże, ponieważ przekazywane jest im w niewłaściwym duchu. Któż jednak mógł nie kochać tego, czego nauczyla moja matka? Wszyscy ją uwielbiali. Wszyscy z wyjątkiem, muszę to stwierdzić z żalem, mojego ojca.

Cynthia zamieszała kawę ze śmietanką, słuchając uważnie.

— Moja mama, przepełniona pasją i miłością do Boga i ludzi, oraz mój ojciec, nieprzystępny, arogancki, przystojny i nie lubiany. Pamiętam, co powiedział kiedyś wujek Gus: „Zarozumiały, skostniały wyznawca Kościoła episkopalnego i kochająca życie, wyznająca Biblię baptystka. Biegun północny i biegun południowy pod jednym dachem!” Dlaczego się pobrali? Wydaje mi się, że moja mama dostrzegła w nim coś czulego i wydawało się jej, że może go zmienić.

— Co za szkoda — powiedziała z przejęciem Cynthia.

— W wieku około dziesięciu lat poznałem jeden z najistotniejszych wersetów na temat małżeństwa. — Zaśmiał się, przypominając sobie, jak często powtarzała go jego mama. — „Nie wprzęgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo... cóż ma wspólnego światło z ciemnością?” Mój ojciec miał rzeczywiście posępny charakter, a jej wesołość zdawała się wpędzać go w jeszcze większą ciemność.

Przez lata kościół był źródłem niezgody. Mama chodziła do kościoła ojca do momentu, gdy — jak lubiła mówić — zamarzyła na sopel lodu. W końcu ojciec zupełnie zrezygnował z kościoła, a mama wróciła do swoich baptystycznych korzeni. Ja podążyłem za nią.

Napił się łyk kawy z filiżanki z porcelany Haviland. Jego słuchaczka, sama obdarzona talentem do opowiadania, wydawała się zaszuchana w jego opowieść.

— A co ty o tym myślałeś? — chciała wiedzieć.

— Mnie się podobało. Czuję się tak, jakbym przysunął swoje krzesło do ognia. Kościelne kolacje, śpiewanie pieśni, uczucie, że jesteśmy jedną wielką rodziną. Doświadczyłem tam czegoś, czego nigdy nie było mi dane doświadczyć w życiu z ojcem — rodzaju bezwarunkowej miłości. Bezwarunkowej miłości, ale nie pozbawionej jednak słonego smaku, ponieważ towarzyszyło nam poczucie ogromnego szacunku wobec Bożego prawa. Walnut Grove to był prosty kościół i nauczył mnie cenić prostotę. Myślę również, że to właśnie tam zrodziło się moje pragnienie, żeby zostać pastorem. Nigdy nie marzyłem o tym, aby zostać biskupem. Chciałem jedynie zostać pastorem niedużej parafii i bardzo... ściśle wtopić się w jej życie.

— Widzę, że ci się to udało, i to ze wspianiałym rezultatem.

— Sam nie wiem. Bardzo często nie jestem tego pewien.

— To zupełnie zrozumiałe! Zazwyczaj tak się dzieje. Ja często nie wiem, czy moja akwarela jest dobra. Chciałabym mieć kogoś, do kogo mogłabym pójść i powiedzieć, spójrz, co o tym myślisz. Wspianiale, mogłabym usłyszeć, tak trzymaj. Albo, czy te głowy nie są trochę za duże?

Zaśmiał się.

— Te gruszki — powiedziała — są zachwycające, bez silenia się na wyszukane słowa.

Zaśmiał się.

— Bardzo podoba mi się w tobie to, że nigdy nie silisz się na wyszukane słowa.

— Co jeszcze ci się we mnie podoba? — zapytała, bez zażenowania zlizując z łyżeczki polewę.

— Ależ, Cynthia...

Poczuł lekką panikę.

— Po prostu powiedz! A potem ja powiem, co mi się w tobie podoba.

Tylko pomyśleć, że mógłby sobie tutaj siedzieć w zupełnym spokoju, w swoim szlafroku koloru burgunda i starych pantoflach czytając albo drzemiąc...

— A zatem, czy obowiązuje całkowita szczerość? Czy mamy ukrywać prawdę i prawić sobie wzajemnie komplementy?

— Całkowita szczerość!

— „A takie przykazania powinniście zachować” — zacytował z Księgi Zachariasza. — „Bądźcie prawdomówni wobec bliźnich”.

— Sam widzisz! — odparła, śmiejąc się.

Oparł się wygodnie na starej sofie, przykrytej przypadkowym pokrowcem.

— Podoba mi się w tobie, że... — specjalnie odczekał dłuższą chwilę, podczas gdy jej oczy robiły się okrągłe z udawanego zniecierpliwienia — ...jesteś zabawna — powiedział, uśmiechając się.

— Och, cudownie!

— Podoba mi się w tobie — kontynuował, znajdując przyjemność w tej zabawie — twój... entuzjazm.

— Naprawdę?

— Poza tym, podoba mi się twoja odwaga.

— Moja odwaga?

— Tak. Nie opowiadałaś mi nigdy o swoich aktach odwagi, ale to coś, co wyczuwam. Najbardziej natomiast podoba mi się w tobie to, że jesteś zbyt uprzejma, żeby pozwolić mi kontynuować tę listę, oczywiście do czasu, gdy lepiej cię poznam.

— W porządku! — obwieściła, zeskrobując resztkę polewy z talerza i oblizując po raz ostatni łyżeczkę. Postawiła talerzyk na ławie i podciągnęła rękawy. — Teraz kolej na ciebie.

— Bądź wyrozumiała — poprosił.

Cynthia usadowiła się wygodnie w rogu sofy.

— Podoba mi się w tobie to, że jesteś... romantyczny. Poczuł, że się rumieni.

— Muszę przyznać, że nigdy w życiu nie uważałem się za romantyka.

— Jak mogłeś tego nie zauważyć? To tak oczywiste, jak to, że dwa razy dwa jest cztery. Spójrz tylko, jak lubisz dawnych pisarzy, a szczególnie Wordswortha. I swoje róże, i ogrody przy Lord's Chapel. I jak nakrywasz do stołu, używając rodzinnej porcelany, i troszczysz się o potrzeby przyjaciół... i chociażby, jak przez te wszystkie lata potrafiłeś nie używać samochodu!

— To jest romantyczne? — zapytał zmieszany.

— Szalenie!

Taki wieczór z pewnością bił na głowę kolację w country clubie. O tej porze mogłoby się już udać komuś przekonać go do zagrania robra w brydża, którego nie cierpiał, albo — co gorsza — do zatańczenia fokstrota z Hessie Mayhew. Wieczór z Cynthią Coppersmith jednak też miał swoją cenę — poczuł, że koloratka coraz ciśnie mu szyję.

— Mogłabym kontynuować w nieskończoność — obwieściła, przechylając na bok głowę i wpatrując się w niego.

— Proszę, nie! — powiedział. Proszę, tak, pomyślał.

— Może wobec tego wybierzemy się na przechadzkę?

Jego sąsiadka wstała i wygładziła jedwabną sukienkę, która, jak zauważył, była koloru malin rozgniecionych w śmietanie.

— Jaka wspaniała kolacja! Jestem pod wrażeniem. Uśmiechnął się.

— Można to i tak ująć.

Poszli na spacer pod pomnik, czując lekki chłód wieczornego powietrza. Nie mógł nie zauważyć w każdym mijanym oknie wystawowym obiecujących nagrodę plakatów z imponującą, wykonaną przez Cynthię, podobizną patrzącego smutno na ulicę Barnaby.

Gdy okrążyli pomnik i przechodzili obok Porter Place, zobaczył, że panna Rose i wujaszek Billy wyszli do ogrodu i usadowili się na krzesłach z chromowanego metalu, stojących zawsze na brzegu zaniedbanego trawnika.

— Spójrz tylko, Rose, to pastor!

— Przecież widzę — rzuciła panna Rose.

Miała na sobie gumowe kalosze, szydełkowy szlafrok, bawełnianą podomkę, spodnie od piżamy i czapkę golfową. Ojciec Tim nie mógł wyjść z podziwu, z jakim stylem potrafi nosić tak wyjątkowy strój.

— Panno Rose, wujaszku Billy, wydaje mi się, że mieliście już okazję poznać moją sąsiadkę.

— Cynthia Coppersmith! — przedstawiła się Cynthia, wyciągając rękę. — Spotkaliśmy się w kościele. Miło mi państwa ponownie spotkać. Podziwiam państwa dom.

— Tylko nie próbuj go kupować — ostrzegła złowrogo panna Rose.

— Ojcze, może wejdziecie do środka? Wejdźcie i napijcie się z nami herbaty, którą zrobiła dzisiaj Rose. Nigdy nie był ojciec w naszym domu.

— W moim domu — sprostowała panna Rose, szturchając go mocno łokciem.

— Rose, nie popisuj się. Mamy gości.

— Wujaszku Billy, wydaje mi się...

— Ależ, ojcze, naprawdę zapraszam, chociaż na chwilkę. Bylibyśmy zaszczyceni.

Pastor spojrzał na swoją sąsiadkę, która z entuzjazmem pokiwała głową.

— Chodźmy! Kocham stare domy.

Gdy szli w ciemności po połamanych płytkach chodnika, ujął Cynthię za ramię i szepnął:

— Uważaj na poczęstunek.

Roześmiała się rozbawiona. Domyślił się, że uważa to za wspaniałą przygodę. Jakie to ekscytujące składać wizytę w domu, gdzie należy uważać na poczęstunek.

Gdy znaleźli się za wejściowymi drzwiami, wujaszek Billy włączył światło w holu i ogromny żyrandol zaświecił słabo przez warstwę brudu i kurzu.

— Brakuje kilku żarówek — powiedział przepaszająco gospodarz.

Usłyszał szept podziwu Cynthii. Znajdowali się w obszernym foyer, którego sufit sięgał drugiego piętra. Po obu stronach hol ozdobiony był schodami. Nawet w tym mrocznym świetle wyraźnie było widać ich piękną konstrukcję. Wyblakłe malowidła pokrywały ściany, przedstawiając wymyślne ogrody i rzeźby, egzotyczne ptaki i wazy pełne owoców. Brakowało rzeźbionych balustrad, których część leżała na podłodze, najwyraźniej w miejscu, gdzie spadła.

W pewnym dziwnym sensie przebywanie w Porter Place było przywilejem, ponieważ bardzo nieliczni zostali tutaj kiedykolwiek zaproszeni, a ostatnio prawie nikt tego nie chciał.

— To jest hol frontowy — objaśniła panna Rose, spoglądając z dumą na gości.

— Cudowny! — powiedziała Cynthia. — Absolutnie cudowny. Kto zbudował ten dom?

— Mój brat, Willard — poinformowała panna Rose, której chłód zaczął nagle ustępować miejsca gościnności. — Mój brat, Willard James Porter. Oto jego portret.

Wskazała ręką w kierunku schodów, na prawo, gdzie wisiał duży, oprawiony w szeroką ramę obraz. Nawet w przyćmionym świetle ojciec Tim rozpoznał wyjątkowo przystojną twarz wyrazistego młodego mężczyzny, znaną mu z oprawionego w srebrną ramkę zdjęcia panny Sadie.

— Niesamowicie przystojny! — oceniła jego sąsiadka.

W zaskakującym geście serdeczności panna Rose zapytała, czy nie poczęstowaliby się ciastem z bakaliami.

— Kocham ciasto z bakaliami! — ucieszyła się Cynthia. No to się zaczyna, pomyślał.

— Wy idźcie prosto, przez jadalnię — zaproponował wujaszek Billy, otwierając znajdujące się po prawej stronie oszklone drzwi. — Rose i ja przyjdziemy od tyłu.

Ojciec Tim popatrzył na ogromny ciemny pokój z wąską ścieżką wytyczoną przez wznoszące się po obu stronach sterty zmurszałych gazet.

— Ty idź pierwszy — powiedziała Cynthia.

Wziął swoją sąsiadkę za rękę i zanurzył się w ciemność, kierując się w stronę światła widocznego w szparze znajdujących się w oddali drzwi.

Zauważył, że zjadła ciasto z bakaliami, jakby przez cały wieczór nie wzięła nic do ust. W dodatku nie przyjrzała się nawet swojemu talerzykowi i widelczykowi. Jeśli chodzi o niego, odłamał

nieskończenie mały kawałek z rogu cienkiego plastra i przykrył resztę serwetką. Stwierdził, że ślepe naśladowanie dobrych manier to jedno, a zachowywanie podstawowych środków ostrożności to drugie.

Zauważył, że obszerna kuchnia jest dość duża, żeby pomieścić całe mieszkanie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że prowadzi do holu, w którym znajduje się łazienka. Po gruntownej przeróbce powstałby z niej tak cudowny dom, o jakim tylko można marzyć.

— Mój brat — mówiła głośno do Cynthii panna Rose — nieomal się ożenił, wie pani.

— Naprawdę?

— Tak. Byłaby to najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił, oczywiście.

— Rozumiem.

— Wywołałaby oburzenie.

— Uhm.

— Narobiła niezłego bigosu!

— Ojej.

— Nieomal stracił przez to wiarę.

— Och, nie!

— Naraził nas na obmowy.

— Nie do wiary.

Cynthia spojrzała na pastora, szukając pomocy.

— Chcielibyście zobaczyć resztę domu? — zapytał wujaszek Billy.

— Tak! — krzyknęła Cynthia, wstając tak gwałtownie, że niemal przewróciła stolik. Chwyła pastora za rękę i trzymała go tak przez większość drogi. W każdym pokoju były przecież sterty gazet, stare obrazy, połamane meble, lustro, które spadło ze ściany i rozbiło się na wiele leżących na dywanie kawałków, a nawet kilkanaście srebrnych kandelabrow, szerniałych przez lata nieużywania, ustawionych na środku pustego pokoju, z którego ścian całymi pasami schodziła tapeta.

Młody Willard Porter na pewno przechadzał się po tych pokojach, podziwiając ich wysokie sufity, wymyślne zdobienia, witraże w każdej łazience i drewniane podłogi. Pastor zaczynał żałować, że przyszli tutaj, żeby osobiście przekonać się, jak niegdyś wspinały dom popada w smętną ruinę.

Na końcu korytarza na piętrze Cynthia dokonała odkrycia.

— Co to? — zawołała, wskazując na niebieskie drzwi.

Wyglądały tak, jakby ktoś zamontował je tutaj specjalnie dla dzieci.

— To mój pokój do zabawy! — poinformowała panna Rose, która zdjęła jeden z gumowych kaloszy, ponieważ gniótł ją w odcisk, i szła za nimi korytarzem, kulejąc. — Mój drogi brat kazał zainstalować tutaj te drzwi dla swojej małej siostry. Nikt inny nie miał tutaj prawa wstępu.

— Czy wobec tego był tam kiedykolwiek ktoś inny oprócz pani? Panna Rose spojrzała gniewnie na wujaszka Billy'ego.

— Billu Watsonie, czy wchodziłeś tam kiedyś?

— Nie, nigdy — zarzekał się jej urażony mąż. — Bóg mi świadkiem!

— Cóż, zaraz zobaczymy. W jednej sekundzie potrafię powiedzieć, czy ktoś był w moim pokoju do zabawy.

— Ty sama tam nie byłaś przez ostatnie sto lat!

Panna Rose pochyliła się i pod stojącą obok drzwi pękniętą doniczką znalazła mały zardzewiały kluczyk, po czym wsunęła go do zamka.

Pastor usłyszał delikatne zgrzytnięcie i małe niebieskie drzwi otworzyły się z łatwością.

— Musi pani stanąć na czworakach — poinstruowała panna Rose, sama postępując zgodnie z instrukcją — i wczółgać się do środka.

Cynthia wykonała polecenie.

— Cynthia, czy zamierzasz tam wejść? — spytał pastor.

— Oczywiście, że tak! Jakże mogłabym nie skorzystać z takiego zaproszenia?

Rzeczywiście, jak mogłaby nie skorzystać z zaproszenia, skoro pokój wydawał się małą czarną dziurą w ścianie, pozbawioną jakiegokolwiek światła czy wentylacji.

— Proszę! — powiedziała zadowolona panna Rose, która sięgnęła do środka i pociągnęła za łańcuch, oświetlając wnętrze małego pomieszczenia i sprawiając jednocześnie, że nabrało ono zadziwiającego ciepła. — Chodźmy.

Zupełnie nie zważając na jedwabną sukienkę, Cynthia wślizgnęła się przez maluteńkie drzwi i zniknęła w środku.

— Niech pani idzie po prostu za tym kaloszem i stopą w pończosze — zawołał wujaszek Billy.

Zza ściany doszły ich uszu okrzyki radości, nie kończące się kichanie i głośne wybuchy śmiechu.

— Timothy, jeśli spotkam tu Białego Królika, to proszę, zaopiekuj się Violet!

Pastor spojrzał pytająco na gospodarza.

— Czy to nie jest niezwykle... dwie dorosłe kobiety zachowujące się w ten sposób? Czy to nie bije wszystkiego innego na głowę?

— Ależ, Timothy, tu jest serwis do herbaty dla lalek! Haviland, dokładnie taki jak porcelana twojej babci! Musisz tu wejść!

W przeciągu tygodnia zdążył już być dla Cynthii Coppersmith na dachu i w zsypie węglowym. To mu na razie zupełnie wystarczało. Przyciągnął stary drewniany fotel z poduszkami i usiadł pod drzwiami jak kot czekający na myszkę.

— Będziesz musiała przynieść go tutaj, Cynthia — zawołał, siadając wygodnie i mrugając do wujaszka Billy'ego.

— Ma ojciec rację!

— Obawiam się, że nie wyjdziemy stąd przez najbliższe kilka godzin.

— A ty, Billu Watsonie — krzyknęła panna Rose — nawet nie waż się tu wchodzić!

Jej mąż zaśmiał się.

— Nie musi się o to martwić.

— Wujaszku Billy, nie mam pojęcia, jak wytrzymałeś z panną Rose przez te wszystkie lata.

— Cóż, dałem jej słowo.

Tak. Otóż i cała filozofia. Pojęcie, które nie miało już prawie żadnego znaczenia dla nikogo.

Wujaszek Billy potrząsnął głową.

— Wie ojciec, im więcej człowiek ma, tym większym staje się niewolnikiem swojego bogactwa. Rose zawsze była niewolnikiem tego domu i nic nie można było na to poradzić ze względu na sposób, w jaki jej brat uzgodnił to z prawnikami. Dom jest taki duży i zimny, wie ojciec, a my mieszkamy tu tylko w dwóch pokojach. Rose prawie nigdy nie pozwala na korzystanie z oleju wlewanego do zbiornika, ponieważ nie chce go palić i przyjmować w ten sposób jałmużny, ale z drugiej strony, nie przeszkadza jej żebranie o jedzenie na ulicy...

Usłyszeli, jak panna Rose wydała z siebie pisk zachwytu.

— Zawsze, gdy się tam wślizguje, jej artretyzm po prostu znika i staje się znów jak mała dziewczynka.

— Być może znajdzie się sposób na rozwiązanie tego problemu. Istnieje szansa, że panna Rose mogłaby już teraz przenieść prawo własności do domu na miasto i zachować prawo wieczystego użytkowania jednego czy dwóch pokoi, a miasto mogłoby kiedyś przekształcić resztę domu w muzeum albo salę koncertową. Wasza część byłaby dobrze ogrzewana, miałyby dobry dach i ładną nowoczesną kuchnię oraz łazienkę. Jak wujaszek myśli, jak najlepiej byłoby jej o tym powiedzieć?

— Boże, nie mam pojęcia. Ona trzyma się tego domu jak tratwy ratunkowej, a on sypie się nam na głowę. Już tyle lat minęło od czasu, gdy byłem w stanie wejść na drabinę, że nieomal spróchniała w miejscu, gdzie ją zostawiłem.

— Cóż, przyjacielu, to coś, czym musimy się zająć.

— Wie ojciec, Rose mówiła o ustawieniu pomnika Willarda przed domem. Gdyby udało się ojcu przekonać do tego miasto, to mogłoby ją dobrze usposobić.

— Aha!

— Nie chciałbym jednak, żeby pomnik Willarda był stojący, myślę, że to zbyt dumne. Gdyby Willard mógł siedzieć, myślę, że to byłoby dobre rozwiązanie.

— Wujaszku Billy, wujaszek to ma głowę!

— Timothy!

Spojrzał w dół na malutkie drzwi i zobaczył swoją potarganą sąsiadkę, jak wyczołguje się na zewnątrz, ściskając coś pod pachą.

— Spójrz, Timothy! Wujaszku Billy! To wujaszka rysunki w tuszu! Cały plik! Panna Rose chciała je spalić i zupełnie o nich zapomniała!

— Co za przygoda — powiedziała Cynthia, gdy szli do domu opustoszałą Main Street.

Nióśł pod pachą pokryty kurzem pakunek z rysunkami, ponieważ panna Rose nalegała, że na jakiś czas musi je wziąć do siebie Cynthia.

— Tak będzie najlepiej — stwierdził wujaszek Billy, nie potrafiąc ukryć radości.

— Jestem prawie zupełnie wykończona, tak dobrze się bawiłam — westchnęła Cynthia.

Pastor zaśmiał się.

— Bardzo rzadko słyszy się takie słowa w Mitford.

On też czuł się wyraźnie odprężony. Przy drzwiach jej domku wręczył jej rysunki.

— Muszę wracać do mojego chłopca — powiedział. — Dziękuję za miłe towarzystwo. Dzisiejszy wieczór przypomniał mi o jeszcze jednej twojej cesze, którą bardzo lubię.

— Co to takiego? — zapytała, uśmiechając się.

— Jesteś taka zwykła.

— Jestem chyba jedyną kobietą na ziemi, która uznałaby takie określenie za komplement.

Zaśmiał się.

— Wiedziałem, że zrozumiesz — powiedział, ujmując jej dłoń.

— Timothy?

— Tak?

— Czy chciałbyś ze mną chodzić?

Miał wrażenie, że cały przedni ganek zaczął się zapadać pod ziemię, ale okazało się, że to jedynie kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Nie miał odwagi nic powiedzieć, wyczuwając instynktownie, że zawiedzie go głos.

— Och, nie musisz odpowiadać już teraz — uspokoiła go, spoglądając na niego z rozbawieniem. — Przemyśl to.

Pochyliła się do przodu i musnęła go delikatnie w policzek. Wistaria!

Potem obróciła się i weszła do środka.

— Dobranoc — pożegnała go, zamykając drzwi.

Trudno mu było powiedzieć, jak długo siedział na jej schodach, nie będąc w stanie przejść kilku metrów dzielących go od tylnego ganku własnego domu.

Rozdział osiemnasty

COŚ DO PRZEMYŚLENIA

Kiedy Betty Craig otworzyła drzwi, zobaczył, że wygląda na zmartwioną.

— Ojciec — powiedziała, biorąc od niego cotygodniową dostawę połowy kilograma wątróbki.

— Cieszę się, że ojciec przyszedł. Wątróbka zawsze rozwesela go na dzień lub dwa.

— Co u niego?

— Jest bardzo niedobry.

— Aha.

Weszli do uporządkowanej kuchni Betty, której ściany oklejone były tapetą w gąski w niebieskich kapelusikach. Na parapecie stało całe mnóstwo afrykańskich fiołków, a za oknem zobaczył kilkadziesiąt karmników dla ptaków z plastikowych pojemników na mleko.

— Co takiego zrobił Russell?

— Proszę, niech ojciec usiądzie i wszystko ojcu opowiem.

Betty, która była jedną z najbardziej optymistycznie nastawionych do życia osób, jakie znał, wyglądała na zasmuconą. Usiedli przy jej okrągłym stole, na drewnianych krzesłach wyłożonych niebieskimi poduszkami.

— Wstaje rano, narzekając, i kładzie się spać, narzekając. Ida zrobiłaby to, Ida zrobiłaby tamto. Nie smakuje mu moja kuchnia, nie chce brać lekarstw i obcina paznokcie u nóg na sznurkowym chodniku. Gonił mojego kota po korytarzu z parasolką w ręce i...

Spojrzała na dłonie, które nerwowo ścisnęła.

— I co?

— Zsikał się dwa razy do łóżka tylko po to, żeby mi zrobić na złość!

— Nie!

— Tak, proszę ojca — powiedziała Betty.

Zauważył, że jej dolna warga zaczęła drżeć.

— Betty Craig, jesteś najwspanialszą pielęgniarką w tych górach. Jesteś opiekuńcza, wrażliwa, dzielna i wytrwała. Poza tym masz jeszcze jedną wspaniałą cechę.

— Jaką? — zapytała słabo.

— Jesteś twarda! Opiekowałaś się przecież mężczyznami wielkimi jak buicki i przeniosłaś w swoim życiu tyle kaczek, że wystarczyłoby, żeby zatopić statek. Jak mogłaś w ogóle do tego dopuścić, żeby taki stary osioł jak Russell Jacks doprowadził cię do takiego stanu?

Spojrzała na niego gniewnie.

— Nie mam pojęcia.

— Zastanów się nad tym. Doglądałaś Parrisha Guthrie'ego w jego ostatnich dniach, nieprawdaż?

— Doglądałam!

— Wobec tego możesz sobie poradzić z kilkunastoma takimi jak Russell Jacks.

Westchnęła głęboko.

— Muszę przyznać, że mniej więcej miesiąc temu odstawiłam witaminy.

— No właśnie! Oto powód! Zaczynij brać je z powrotem, Betty. Weź byka za rogi! Wyrwij tę sztangę!

— Na Boga! Co też w ojca wstąpiło?

— Wiesz, co zrobię? Porozmawiam z Russellem. Nazwę rzeczy po imieniu, powiem mu, że wystawisz go na ganek razem z walizką, jeśli nie poprawi się od zaraz.

Na twarzy Betty pojawił się wyraz ulgi.

— Niech ojciec to zrobi! — powiedziała, a spod powieki wypłynęła jej łza. — I mam nadzieję, że to pomoże, bo jeśli odejdzie ode mnie pan Jacks... — zawiesiła głos z przerażeniem — chcę, żebym wzięła do siebie pannę Pattie!

Russell spał w łóżku w pełnym słońca pokoju z drapowanymi firankami. Włączony był telewizor i leciał właśnie odcinek serialu *Wszystkie moje dzieci*. Pastor wyłączył go po cichu. Jego ostatnie dwie wizyty były pośpieszne. Dzisiaj postanowił spędzić z Russellem całą godzinę.

Usiadł w stojącym obok łóżka fotelu z wysokim oparciem i pomodlił się za starszego mężczyznę. W sprzyjających okolicznościach mógłby zostać drugim „Capability” Brownem*.

* Lancelot „Capability” Brown — najsłynniejszy angielski projektant ogrodów i zieleni, żył w XVIII wieku.

— Nie śpię — powiedział Russell, nie otwierając oczu.

— Rzeczywiście?

— Nie, nie mogę tutaj spać.

Dooley Barlowe za siedemdziesiąt lat, gdybym dożył tego czasu!

— Dlaczego?

— Hałas. Cały czas ktoś przychodzi, to znów wychodzi, kot ociera mi się o nogi, dzwoni telefon, do drzwi pukają sąsiedzi.

Jeśli udało mu się cokolwiek zapamiętać z diecezjalnych warsztatów na temat udzielania porad, to przede wszystkim, że współczucie może być zabójcze.

— Russellu, chciałem cię zapytać... czy wiesz, czy chłopiec został ochrzczony?

— Nie, proszę ojca. Na pewno wiedziałyby o tym Ida. Miała specjalne Pismo Święte z takimi informacjami: kiedy wzięliśmy ślub, kiedy urodziły się dzieci, takie rzeczy. Ida chodziła do kościoła i nawet nie chcę o tym myśleć, jak często prosiła mnie, żebym z nią poszedł.

Starszy mężczyzna milczał przez jakąś chwilę, potem odwrócił głowę. Gdy spojrzął na pastora, z jego oczu płynęły łzy.

— Oddałbym wszystko na tej słodkiej ziemi, żeby pójść teraz do kościoła z Idą. Czekałem jednak zbyt długo.

Jak wiele razy słyszał te słowa od rozpaczających parafian? Za późno! Za późno, żeby kochać. Za późno, żeby pomóc. Za późno, żeby posłuchać. Za późno, żeby się poprawić. Za późno, żeby przeprosić.

— Russell, jest już za późno, żeby zrobić to, czego chciała Ida, ale nie jest jeszcze za późno, żeby zrobić to, czego chce Betty — usłyszał własne, wypowiedziane z niezwykłą stanowczością słowa.

Russell westchnął głęboko.

— Ma ojciec rację, ma ojciec śmiertelną rację, i dobrze to wiem. Gdy przychodzi do posłuszeństwa, jestem najbardziej krnąbrnym starym satrapą pod słońcem. To właśnie dlatego tak długo walczyłem z Bogiem. Bo gdybym chciał za Nim iść, musiałbym Go posłuchać. Ta walka z Nim prawie zupełnie mnie wykończyła. Oczywiście nie mówię, że Go nie szanuję — bardzo Go szanuję. Ale nie chciałem Go słuchać.

Niewykształcony Russell Jacks, pomyślał pastor, właśnie określił w kilku precyzyjnych słowach podstawowe źródło wszelkiego zła na świecie.

— Cóż, Russell, gdy znajdziemy kogoś na twoje miejsce... Starszy mężczyzna usiadł gwałtownie.

— Zamierzacie zatrudnić kogoś nowego, żeby wykonywał moją pracę?

— Będziemy zmuszeni, sam rozumiesz. Tak źle układa ci się z Betty, że najprawdopodobniej będziesz się musiał spakować i przeprowadzić do siebie. Gdy zostaniesz bez pielęgniarki, twoja rekonwalescencja potrwa zapewne o kilka miesięcy dłużej, a może nawet będziesz musiał wrócić do szpitala. Sam więc widzisz, że nie mogę zostawić ogrodów bez żadnej opieki na tak długo.

Russell zrzucił przykrycie i usiadł na brzegu łóżku, co wywołało atak rozdzierającego kaszlu.

— Wszystko popadnie w ruinę — powiedział bez tchu — wszystkie cebulki przekwitną, łodygi i liście obumrą, chwasty się rozplenią, a staw pokryje się szlamem...

— A ty będziesz tutaj siedział, marnując energię na przeganianie kota Betty, podczas gdy mógłbyś nabierać sił.

Ojciec Tim spojrzął na niego przeciągle. Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Russell Jacks przyglądał się bacznie swoim stopom.

— Czy zatrzyma ojciec moją pracę?

— Czy będziesz się starał nad sobą panować? Russell rozważył pytanie.

— Tak — obiecał.

— Wobec tego umowa stoi — odparł pastor.

Zapadła kolejna chwila ciszy.

— Powinien ojciec brać do pomocy w ogrodzie kościelnym chłopca, kiedy tylko jest wolny. Ma do tego talent.

— Wiesz, czego naprawdę bym chciał? Chciałbym zobaczyć, jak on się śmieje.

— On się nie śmieje. Zawsze był najbardziej poważnym dzieckiem na świecie. Dlatego, że był najstarszy, i wie ojciec, miał bardzo dużą odpowiedzialność, bo musiał przez cały czas opiekować się młodszym rodzeństwem.

Zobaczyć, jak Dooley się śmieje! Na swojej spisanej w myślach liście spraw do załatwienia to właśnie pragnienie nagle powędrowało na sam początek.

Betty Craig delikatnie zapukała do drzwi i weszła do środka, niosąc tacę.

— Czas na lekarstwo! — obwieściła, spoglądając na pastora i szukając w jego twarzy jakiegoś znaku nadziei.

— Ty jesteś najlepszym lekarstwem dla takiego starego faceta jak ja — zdobył się na komplement Russell Jacks.

„Przemyśl to” — powiedziała mu. Przemyśl to! Jakby w ogóle mógł myśleć o czymś innym. Miał nieprzepartą ochotę porozmawiania z Walterem, ale nie potrafił się zmusić do podniesienia słuchawki telefonu. Czy Walter byłby zaskoczony? Prawdopodobnie nie. Rozbawiony? Nieszczególnie. Walter byłby na pewno sceptyczny.

— Jest ojciec jak ten głupi kot — narzekał Dooley.

— W jednej sekundzie się śmiejesz, a w następnej miałbyś ochotę ukreć mi głowę — rzuciła gniewnie Emma.

— Czy bierze ojciec lekarstwa? — chciała wiedzieć Puny. Cóż, nie brał. Miał taki zamiar i na pewno już wkrótce zacznie.

Już dziś wieczorem.

— Martwi się ojciec tym psem? — zapytał Joe Ivey, podcinając mu włosy na karku.

Wyglądało na to, że obecnie każdy ma coś do powiedzenia na temat jego zachowania.

Chodzić z kimś? W jego wieku? Z wyjątkiem tych jedenastu miesięcy, gdy zabiegał o względy Peggy Cramer, nigdy w życiu z nikim nie chodził. Co to w ogóle znaczy? Jak, na litość, miał wiedzieć, czy jest to coś, co by mu się podobało, skoro nawet nie potrafił sobie wyobrazić, na czym to polega?

I jak się to wszystko stało? Wcale nie chciał, żeby cokolwiek się stało. Myślał jedynie o jakiejś wspólnej kolacji od czasu do czasu, z jej dźwięcznym śmiechem i szczerym sposobem wyrażania się, bez żadnego podstępu.

Wszystko sprowadzało się do tego, że ją lubił. No właśnie! O to właśnie chodziło. Tylko tyle. Niczego więcej nie potrzebował. Czy już samo to nie było wyjątkowe?

Czuł się dziwnie podekscytowany. Więc — lubił Cynthię. Co było w tym takiego niezwykłego? Czy o tym nie wiedział? Może i wiedział. Ale nigdy tego wyraźnie nie nazwał. Stwierdzenie tego prostego faktu miało wyzwalającą moc. Nagle poczuł ogromną ulgę.

Ten błogosławiony stan nie trwał jednak długo. Jego odwieczna praktyczność sprawiła, że zaczął się zastanawiać, co powinien począć z odkryciem, że lubi Cynthię. Z drugiej jednak strony, rozumował, dlaczego nie może jej po prostu lubić, bez odczuwania potrzeby zrobienia czegoś z tym faktem?

Gdy zauważył, że chodzi w kółko po salonie jak nakręcana zabawka, poszedł do swojego pokoju i przebrał się w strój do joggingu.

Gdy biegł w kierunku parku Baxter, popatrzył na jej dom przez żywopłot i zobaczył, że siedzi na tylnym ganku, obejmując Violet. Spojrzała w jego stronę.

Jego serce zabiło mocno i zachował się tak, jak już od lat nie zachował się w stosunku do nikogo innego. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Odwrocił głowę, jakby w ogóle jej nie zauważył, i począł biec w stronę parku, narzucając sobie mordercze tempo.

J.C. Hogan zadzwonił do niego do kancelarii o ósmej trzydzieści rano w poniedziałek.

— Otrzymałem list do redakcji, na który muszę odpowiedzieć — oznajmił J.C.

— Jak mogę ci pomóc, przyjacielu?

— Jeden dzieciak przeczytał moje opowiadanie o człowieku z poddasza, o modlitwie, którą odmówiłeś z gościem z ławki, i o tym, jak udało ci się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, można powiedzieć. Przesłał mi taki list. — J.C. odchrząknął. — „Drogi Panie Redaktorze, jak dokładnie brzmiała modlitwa, którą odmówił pastor, gdy człowiek na poddaszu został zbawiony? Mój tato chciałby wiedzieć i ja też. Dziękuję”.

— Chciałbyś, żebym ją napisał i podrzucił ci przy okazji czy po prostu podyktował przez telefon?

— Wystarczy przez telefon — powiedział J.C., ciężko oddychając do słuchawki.

— A więc proszę. „Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz, i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy...”.

— Zapisałem — oświadczył J.C.

— „Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela”.

— Zapisałem.

— „Teraz, jako Twoje dziecko, zawierzam Ci całe swoje życie. Amen”.

— Co jest takiego niezwykłego w tej modlitwie? Mnie przypomina jeden z tych małych wierszyków ze szkoły niedzielnej. Jest taka prosta.

— To kwintesencja prostoty. Mimo to, może zupełnie zmienić życie, jeśli odmówi się ją we właściwym duchu.

— Spodziewałem się czegoś z większym jajem.

— Przyjacielu, osoba, która odmówi tę modlitwę i zrobi to szczerze, dostanie więcej jaj, niż będzie w stanie zjeść.

— Miał ojciec jakieś wiadomości od człowieka z poddasza?

— Jeszcze nie, ale spodziewam się, że się odezwie.

— Proszę dać mi znać. Chętnie wydrukowałbym te listy. Myślę, że wzbudziłyby duże zainteresowanie.

— Masz to załatwione.

— Do zobaczenia w barze Grill.

Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Tym razem była to Louella.

— Panna Sadie nie czuje się zbyt dobrze. Nie mówię, że to jej ostatnie godziny, ale pomyślałam, że mógłby ojciec poprosić Jezusa, żeby jej nie opuszczał, tak jak nie opuścił Ezechiasza. Pamięta ojciec Ezechiasza, prawda?

— Oczywiście, że pamiętam. Był chory i zawołał do Pana, który odpowiedział: „Słyszałem twoją modlitwę, widziałem twoje łzy. Uzdrowię cię” i dodał piętnaście lat do życia starego króla.

— Mam nadzieję, że dobry Pan zrobi to samo dla panny Sadie.

— Powiedz jej, że modlę się za nią i że odwiedzę ją jutro. Myślisz, że będzie miała ochotę na towarzystwo?

— W naszym domu towarzystwo jest zawsze dobrym lekarstwem. Jeszcze jedno, ojczy...

— Tak?

— Cały czas mówi o tym, że musi ojcu opowiedzieć historię swojej miłości. Wcale mi się to nie podoba, jakby chciała zdążyć przed śmiercią.

— Powiedz jej wobec tego, że przyjdę jej wysłuchać i że może na mnie liczyć.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Od razu. Czasami zdarzały się właśnie takie dni.

— Ojczy?

— Olivia!

— Chciałam tylko powiedzieć: „Dzień dobry” i że myślę o ojcu, i że mam nadzieję przyjść do kościoła w najbliższą niedzielę.

— Dzięki Panu!

— Dziękuję również za to, że przychodził do mnie ojciec z komunią i że we mnie wierzył.

— Co mówi Hoppy o twojej rekonwalescencji?

— Najwyraźniej mój stan się poprawia. Przeważnie wyglądam okropnie, jak na pewno ojciec zauważył, ale mam bardzo dobre nastawienie psychiczne. Wierzę, że serce się znajdzie, po prostu to czuję!

— A co z sercem... aa... twojego lekarza? Olivia roześmiała się uroczo.

— Jest bardzo czule — odparła. — I wyjątkowo duże.

— Tyle to nawet ja mógłbym powiedzieć!

— Proszę się za nas modlić.

— Nigdy nie przestaję.

— Wygląda ojciec na zmartwionego — zauważył Ron Malcolm, który już od lat był znaczącym przedsiębiorcą budowlanym w okolicy. — To na pewno ta strata psa. Wiem, jak wiele dla ojca znaczył.

Szczerze mówiąc, nie miał nawet czasu, żeby pomyśleć o Barnabie, co niektórzy nazwaliby błogosławieństwem. Nagle jednak ogarnęło go z tego powodu ogromne poczucie winy. Drogi Stuarcie, widział siebie piszącego na maszynie, zastanawiałem się nad tym przez ponad rok i jestem przekonany, że najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybym natychmiast złożył rezygnację...

— Tak, wydaje mi się, że to wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat — powiedział Ron, wstając i spoglądając na niego z pewną troską.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odparł pastor, podając mu dłoń. — Pozdrów ode mnie Wilmę.

Gdy został sam, usiadł i oparł głowę na biurku jak uczeń w szkole. W jakiej sprawie przyszedł do niego Ron? Zdawało mu się, że na czas wizyty jego myśli odbiegły gdzieś daleko, jakby miały do spełnienia jakąś tajemną misję.

Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył dokumenty, które Ron zostawił w koszyku z pocztą przycho-
dzącą. Oczywiście! Architekt i panna Sadie pokłócili się o usytuowanie jadalni. Ona chciała, żeby
okna pokoju wychodziły na dolinę, a architekt uważał, że będzie bardziej praktycznie, jeśli będą wy-
chodzić na miasteczko.

— Każde wyjście jest równie dobre — powiedział na głos pastor, myśląc o porywającym pięk-
nie obydwu widoków.

Gdy wziął do ręki wstępne szkice i próbował się im przyjrzeć, wydały mu się bardzo niewyraź-
ne. Były jakby zamazane i z przerażeniem zauważył, że jego dłoń drży.

— Nie zamierzam dłużej jeść tych pomyj — oświadczył Dooley, siedząc przy ladzie, podczas
gdy pastor szykował kolację.

— O które dokładnie pomyje ci chodzi?

— Pomyje ze szkoły. Dzisiaj dali nam pieczeń mięsną i ciasto z czereśniami.

Jego ulubione danie ze szkolnej stołówki! Co się działo z tymi dziećmi?

— Wszyscy przynoszą kanapki, a maminsynki jedzą pomyje. Pastor wzruszył ramionami.

— Ty też możesz sobie zrobić kanapki.

— Ja?

— Ty.

Dooley podrapał się w głowę.

— Powiedz Puny, co potrzebujesz, kupi ci to w Sklepie i możesz sobie robić z tym, co ci się tylko podoba. Ponadto szkoła już niedługo się skończy, nie zdążysz nawet podsmażyć swojej kielbasy bolońskiej.

Szkoła się skończy! Co, na litość, zrobi z Dooleym Barlowe'em przez całe lato?

Dooley milczał przez chwilę, siedząc na krześle przy ladzie i machając nogami.

— Znalazłem sobie przyjaciela — powiedział w końcu.

— Aha! Powiedz mi o nim coś więcej.

— Na imię ma Tommy.

— Tommy! Miałem kiedyś kolegę, który miał na imię Tommy. Tommy Noles. Jaki ten świat mały.

— Ma pięć ptaków, jedenaście kaczek, jedną świnię i trzy psy.

— Nie!

— Powiedziałem mu, że może tutaj przyjść i zostać na noc.

— Trochę się pośpieszyłeś, ale możemy o tym porozmawiać — powiedział ojciec Tim, smażąc cebulę do hamburgerów. — Jak wygląda Tommy?

Dooley myślał intensywnie.

— Ma czarne włosy.

— Już go widzę.

— Halo! — zawołał ktoś przez drzwi z siatką.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Jego sąsiadka z naczyniem przykrytym ścierką.

— Zgadnij, co to takiego?

— Wejdz do środka i razem spróbujemy zgadnąć — powiedział, otwierając drzwi.

— Hej — powitał ją Dooley.

— Hej — odpowiedziała Cynthia.

Stało się to ich zwyczajowym powitaniem.

— Zmieniłam zdanie — powiedziała, zwracając się do pastora. — Nie musisz mi przynosić kreta, jeśli uda ci się jakiegoś złapać. Te małe bestie pojawiły się na moim trawniku i przeszła mi cała miłość, jaką kiedykolwiek je darzyłam.

— Dzięki Ci, Panie! — powiedział, śmiejąc się.

— Czy wiecie, ile kretów narysowała Beatrix Potter? Nie wiedzieli.

— Jednego! Tylko jednego! Nazywał się Diggory Diggory Delvet. Wydaje się więc zupełnie oczywiste, że nie można zbudować swojej kariery na kretach.

— Rzeczywiście, nie.

— I chociaż zdecydowałam, że żadną miarą nie mogę narysować kreta, postanowiłam go upiec.

Podawała mu gorące naczynie.

Dooley spojrział na nią z przerażeniem.

— Czy w tym naczyniu jest ten biedny kret?

— Oczywiście, że tak! Znalazłam go pod krzakiem, z tymi ohydnyymi sterczącymi łapkami, którymi ryje ziemię. Nie marnuj i potem nie żałuj, oto moja dewiza.

— Cynthia, nie upiekłabyś...

— Cóż, może nie. Z drugiej jednak strony, może właśnie tak. Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się.

— Chciałbym zobaczyć tego kreta — poprosił Dooley.

— Nie wiedziałabyś, jak wygląda kret, nawet gdybyś wszedł na niego na ulicy — zauważył pastor, zdejmując ścierkę.

W naczyniu znajdował się parujący piernikowy kret, z wąsami, małutkimi oczami i małymi ząbkami z cytrynowego lukru. Miał, oczywiście, firmową koloratkę.

— Ale fajny — ocenił Dooley, śmiejąc się. — Ale niesamowicie fajny. Popatrzcie tylko na jego nogi, czy nie są zabawne?

Dooley odrzucił do tyłu głowę i zaczął się śmiać na całe gardło. Dooley się śmieje!

Cynthia zrozumiała, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień, i jej oczy rozbłysnęły.

Dooley się śmieje! Jego modlitwa została wysłuchana tak szybko, że pastor czuł, jak kręci mu się w głowie.

— Napij się z nami herbaty — zaprosił sąsiadkę.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała. — Dooley, nigdy nie zgadniesz, co ja dzisiaj zrobiłam.

— Nie mam pojęcia.

— Zgadnij!

— Nie potrafię.

— Oczywiście, że potrafisz. Zgadywanie wcale nie polega na tym, żeby zgadnąć, ale żeby zgadywać.

Dooley spojrział w dół i wbił czubek buta w podłogę.

— Spuściłaś lanie Violet?

— Nie. Chociaż z pewnością na to zasługuje. Masz jeszcze dwie szanse. To coś, co mam, a czego nie miałam wcześniej. I wszystkie są brązowe.

— Jak ja nie cierpię tego zgadywania!

— Mężczyźni zazwyczaj tego nie lubią — westchnęła. — Wobec tego sama ci powiem. Mam trzy brązowe króliki.

— Niemożliwe!

— Możliwe!

— Po co je kupiłaś?

— Żeby je rysować! Powiedziałam Violet, że będzie się musiała rozejrzeć za jakąś nową pracą. Za nic w świecie nie mogłabym napisać jeszcze jednej książki o Violet, a mam umowę na kolejne dwie w tym roku!

— Gdzie one są?

— Dooley, zrobiłeś się strasznie dociekliwy. Są u mnie w domu.

— Chodźmy je zobaczyć. Spojrzała pytająco na pastora.

— Przykryję tylko garnek i idę z wami — powiedział uradowany.

Króliki! Cieszył się jak dziecko.

— Zapewniam ojca — powiedziała pani dyrektor, krzyżując przed sobą ramiona — że gdyby nie to, że już wkrótce kończy się rok szkolny, Dooley Barlowe zostałby wydalony.

Spojrzała gniewnie na pastora, sprawdzając, czy dotarło do niego pełne znaczenie jej słów. Była to bardzo poważna sprawa i nie powinien ani na chwilę o tym zapominać.

Ze szkoły do domu szedł tak szybko, jakby goniło go stado psów.

Znowu Buster Austin. Tym razem w stołówce. Nie porządne, solidne lanie na podwórku szkolnym. Ależ skąd. Nic tak prostego i nieskomplikowanego z rąk Dooleya Barlowe'a. Była to bójka na śmierć i życie w stołówce, z podbitymi oczami, krwawiącym nosem i rzucanymi obficie tłuczonymi ziemniakami.

— W dodatku — przypomniał sobie surowe słowa pani dyrektor — gdy już skończył rzucać w niego ziemniakami, poprawił jeszcze sosem.

Co, dokładnie, sprowokowało tę bijatykę? Pani dyrektor z wyraźną satysfakcją poinformowała go, że Buster Austin nazwał ojca Tima safandulą.

Ponieważ Dooley został odesłany do domu wcześniej i miał zakaz opuszczania swojego pokoju, pastor postanowił się nie śpieszyć. Codzienne stosunki z uczniem piątej klasy były wystarczająco trudne, nie mówiąc już o kryzysach pojawiających się bez żadnego ostrzeżenia.

Najlepiej zacząć wszystko od początku, pomyślał, wybierając numer na tarczy aparatu telefonicznego.

— Cynthia — powiedział — dzwonię, bo wydaje mi się, że masz pewną wiedzę na temat dzieci, czego mnie zupełnie brakuje. Oto moje pytanie: co, dokładnie, znaczy słowo safandula?

Słuchał uważnie.

— Aha. Cóż, o to mi właśnie chodziło. Bardzo mi pomogłaś, jak zwykle. Tak, bardzo chętnie oglądnę twoje rysunki królika. Zadzwoń do ciebie wkrótce. Tak. Dziękuję.

Ach, więc to to znaczy! Prawdę powiedziawszy, sam chętnie złożyłby Busterowi Austinowi skórę.

Co miał z tym wszystkim zrobić? Oczywiście, chłopiec nie może rozbijać wszystkim dookoła nosów i rzucać w kogo popadnie ziemniakami. Z drugiej strony, już kiedyś dał mu ostrzeżenie, a teraz najwyraźniej będzie to musiał zrobić jeszcze raz. Pierwsze ostrzeżenie było widocznie mało przekonujące, ale zupełnie nie wiedział, co ma począć. A może Hal Owen? On wychował przecież chłopca.

Znowu to robił. Chodził w kółko po pokoju.

Dzień dobry, Walterze, powiedział w swojej nieustającej, prowadzonej w wyobraźni rozmowie, mówi Timothy, wyjeżdżam za godzinę, spotkamy się na lotnisku w Shannon, zgodnie z umową. Mam nadzieję, że zapakowałeś swoją laskę. Kiedy zamierzam wrócić? Walterze, w ogóle nie zamierzam wracać. Nie, w ogóle. Widzisz, mam tutaj chłopca, który doprowadza mnie do szaleństwa; kobietę, która posiadała umiejętność przyprawiania mojego serca o palpitacje; ktoś ukradł mi mojego psa i mógłbym tak dalej wyliczać. Nie, w rzeczy samej. Zamierzam kupić mały domek, najlepiej ze strzechą. Oczywiście, słyszałem, że do takiej strzechy ciągną myszy...

Niech to! Przypomniał sobie o ślubie Emmy w sobotę, na który obiecał ugotować szynkę i dopilnować kwiatów. Cóż z tego, że umiał mówić tak mądrze i miał takie świetne wykształcenie, skoro nie potrafił powiedzieć jednego prostego słowa: nie.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi. Z pewnością nie chciał widzieć swojej sąsiadki. Znowu to poczuł, co go dziwnie rozzłościło.

Otworzył tylne drzwi i zobaczył dziewczynkę z jasnymi włosami i dużymi szarymi oczami, patrzącą na niego przez siatkę w drzwiach.

— Czy Dooley mógłby wyjść? — zapytała z wyrazem zatroskania na twarzy.

— Przykro mi, ale nie może — odpowiedział pastor.

— Dziękuję — powiedziała i zeszła po schodach, a potem zniknęła za żywopłotem, kierując się w stronę parku Baxter.

Ślub Emmy. Historia miłości panny Sadie. Niepokojąca propozycja Cynthii. A teraz śliczny gość Dooleya. Czy to jakaś epidemia?

Poczuł nagle palące pragnienie i wypił szklankę wody. Potem poczuł się nagle zbyt zmęczony, żeby stać. Siedział przez chwilę na sofie w salonie. Po prostu nie wiedział, co poradzić na zachowanie Dooleya. Pomodli się w tej sprawie, zawierzy to całkowicie Bogu i poczeka na wynik.

Zapadł zmierzch, gdy w końcu wszedł po schodach na górę i zapukał do drzwi Dooleya.

— Proszę — powiedział Dooley. Wszedł do środka.

— Musimy poważnie porozmawiać, jak to wszystko naprawić, ale zanim to zrobimy, chciałbym ci coś powiedzieć.

Chłopiec spojrzał na niego. Na jego twarzy widać było świeże siniaki, ale to dawną ranę na jego duszy zobaczył i wyczuł pastor.

— Dooley — powiedział zwyczajnie — chciałbym ci podziękować za to, że dzisiaj stanąłeś w mojej obronie.

Rozdział dziewiętnasty

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

— Wejdz, słonko, miło nam widzieć młodą twarz w domu starych ludzi.

Objął Louellę jednym ramieniem, trzymając w drugim gloksynię, którą kupił w Mitford Blossoms.

— Co mam z nią zrobić? — zapytała Louella, która właśnie straciła niezwykle delikatną paproć bostońską.

— Proszę postawić ją w oknie panny Sadie i podlewać raz w tygodniu.

— Mogłabym postawić ją tutaj, a byłaby podlewana automatycznie. Widzi ojciec?

Spojrzał w górę, na złuszczającą się farbę i ciemną plamę na suficie.

— Nie wygląda to dobrze.

— Wodą z tej dziury nappełniłam dwie balie i żeliwny rondel. Panna Sadie mówi, że może sobie kapać, jej to nie przeszkadza tak długo, jak woda mieści się w wiadrze. Nie sądzi ojciec, że gdyby planowała jeszcze trochę pożyć, pomyślałaby o nowym dachu?

— Cóż...

— I gdyby planowała jeszcze trochę pożyć, czy śpieszyłaby się z opowiedzeniem komuś historii swojej miłości? — Louella potrząsnęła głową. — Bardzo mnie to wszystko martwi.

Panna Sadie siedziała w łóżku, oparta o kwieciste poduszki z otomany. Miała na sobie satynową narzutkę, a na jej twarzy malował się wyraz radosnego oczekiwania.

— Ojczy! Przyniósł ojciec swoją słynną gloksynię. Louello, jeśli ojciec przynosi ci gloksynię, to znaczy, że jesteś oficjalnie chora.

— Panno Sadie, pani nie jest oficjalnie chora.

— Och, cóż. Nieistotne. Zapraszam tutaj, ojczy.

Poklepała poręcz fotela przysuniętego do łóżka. Pastor postawił doniczkę na nasłonecznionym parapecie i z radością spełnił życzenie gospodyni.

— Proszę mi wobec tego powiedzieć, czy jest pani chora? — zapytał, rozpinając marynarkę.

— Ani trochę. Jestem po prostu zmęczona. Niektórzy myślą zmęczenie z chorobą. Ale ja wiem, jak wygląda zmęczenie, i wiem, że nie dolega mi nic więcej.

— Wszystkie te lata żywienia się mrożonymi zapiekankami i białym chlebem mogą zmęczyć — powiedziała Louella, opierając dłonie na biodrach. — Schodzę na dół przygotować lunch. Gotowane warzywa i ładna sztuka mięsa. W warzywach jest mnóstwo żelaza, nawet jeśli pachnie od nich w domu, i pomogą panie Sadie na wszystkie dolegliwości, prawda, ojcze?

Mrugnęła do pastora i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Dzięki niej chce mi się żyć — powiedziała z satysfakcją panna Sadie. — Snułam się po tym starym domu jak grzeszna dusza. Teraz gdy kichnę, zawsze jest ktoś, kto mi powie: „Na zdrowie!”

Ktoś, kto powie: „Na zdrowie”, pomyślał pastor. Oto i tytuł kazania!

— Zamierzam wyjść z tego łóżka za dzień lub dwa i będę jak nowo narodzona. Teraz proszę opowiedzieć mi coś o sobie. Czy bardzo tęskni pastor za swoim psem?

— Strasznie — powiedział. — W najśmielszych snach nie przypuszczałbym... — Odchrząknął i milczał przez chwilę. — W najśmielszych snach nie przypuszczałbym, że zwierzę może znaczyć tak wiele. Być może zabrmi to śmiesznie, ale Barnaba miał naprawdę refleksyjną naturę. Był wspaniałym towarzyszem, pod każdym względem.

Spojrzała na niego uważnie.

— Mówi ojciec, że był wspaniałym towarzyszem i że miał refleksyjną naturę. To czas przeszły. — Wyciągnęła do niego rękę. — Życie jest takie krótkie, spróbujmy myśleć w czasie teraźniejszym, zgoda? Wierzę całym sercem, że odzyska pastor swojego Barnabę.

Uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń, dodając mu tym prostym gestem otuchy.

— Dziękuję, panno Sadie. Wie pani, że przyszedłem wysłuchać historii pani miłości, jeśli jest pani w nastroju, żeby mi ją opowiedzieć. Nie mam już dzisiaj nic do zrobienia, poza wizytą u Evie Adams, tak więc mamy mnóstwo czasu.

— U Evie? Co znowu zrobiła panna Pattie?

— Dała komuś poidło dla ptaków z aniołkiem.

— Ojej, to historyczne poidelko! Ostatnie informacje, jakie miałam o panie Pattie, to jak wyszła na dach w szlafroku i śpiewała *Zadziwiająca łaskę*. Mam nadzieję, że nigdy się nie zestarzeje!

— Myślę, że już jakiś czas temu straciła pani swoją szansę.

— Dom opieki bardzo nam wszystkim pomoże, prawda, ojcze?

— Bardziej niż sobie wyobrażamy.

— To niesamowite, jakie wspaniałe pomysły przychodzą do głowy, gdy człowiek przystanie na chwilę i się zastanowi. Te kilka ostatnich dni spędzonych w łóżku bardzo mi pomogło w uporządkowaniu wielu spraw. Po pierwsze, nie chcę, żeby dom, który budujemy, nazywał się domem opieki. Wiem, że będzie domem i że mieszkający w nim ludzie będą potrzebować opieki. Jego nazwa jednak ma taką smutną wymowę, że musimy nazwać go jakoś inaczej. Czy pomoże mi ojciec w znalezieniu jakiegoś właściwego określenia?

— Bardzo chętnie.

Przez otwarte okna do sypialni wpadł delikatny podmuch wiatru. Pokój był bardzo wysoki i miał chłodne podłogi z drewnianych desek. Na toaletce panny Sadie pastor ponownie zobaczył stare fotografie w srebrnych ramkach. Była tam twarz kobiety tak niepokojąco podobnej do Olivii Davenport. I melancholijne, intensywne spojrzenie młodego mężczyzny imieniem Willard Porter, którego wspaniały dom zamienił się w ruinę na oczach całego miasteczka.

Panna Sadie wzięła głęboki oddech.

— Ojcie, jeszcze nikt nie słyszał historii, którą zamierzam ojcu opowiedzieć. Ufam, że zabierze ją ojciec ze sobą do grobu.

— Stanie się zgodnie z pani życzeniem — obiecał uroczyście, rozsiadając się w przykrytym pokrowcem fotelu i odnotowując, że jest on wyjątkowo wygodny.

— Wiele razy zastanawiałam się, od czego zacząć — powiedziała, składając swoje małe dłonie i spoglądając ku otwartym oknom. — I mimo że nie ma to dużego związku z resztą opowieści, na myśl przychodzą mi czasy, gdy byłam małą dziewczynką i bawiłam się w tym sadzie. Nigdy ojciec nie zrozumie, jak bardzo kochałam wtedy te sady, sposób, w jaki jabłka spadały na trawę i pękały w słońcu. Przylatywały wtedy pszczoły i setki motyli, a zapach, jaki się unosił z trawy pod jabłoniemi, jest jednym z najśłodszych wspomnień mojego życia. — Oparła głowę na poduszkach i zamknęła oczy, uśmiechając się. — Czy wybaczy mi ojciec, jeśli będę trochę odbiegała od tematu?

— Byłbym rozczarowany, gdyby pani tego nie zrobiła.

— Wynosiłam pod drzewa moje lalki. Gdyby zszedł ojciec tylnymi schodami i poszedł prosto, mijając bramkę i starą pralnię, a potem skręcił w prawo — to było moje ulubione miejsce. Mama Louelli, China Mae, uwielbiała mi towarzyszyć! Bawiła się ze mną lalkami, jakby sama była małą dziewczynką. Była wspaniałą towarzyszką zabaw, tak pełną życia. Miałam dziewięć lat, gdy przeprowadziliśmy się tutaj z Wesley, do nowo wybudowanego przez tatę domu, i China Mae miała wtedy dwadzieścia lat. Była moją najlepszą przyjaciółką pod słońcem. Była taka czarna, ojcie! Lubiłam obracać jej głowę w dłoniach, żeby podziwiać grę światła na jej twarzy, żeby zobaczyć granat w czerni! Nazywała mnie Małą Ropuszką. Nie mam pojęcia dlaczego, a tak bardzo chciałabym wiedzieć. Będę musiała ją zapytać, gdy się spotkamy w niebie.

— Mam nadzieję, że nie zamierza pani zrobić tego w najbliższym czasie.

— Oczywiście, że nie! Mam zamiar żyć w nieskończoność. Mam tyle rzeczy do zrobienia, wie ojciec.

Na toaletce tykał zegar.

— Wiele lat temu stał w Mitford duży dom, dokładnie w miejscu, gdzie teraz znajduje się kościół baptystów. Już dawno go tam nie ma, ale nazywał się Boxwood i był bardzo piękny. Należał do panny Lureen Thompson, która podobnie jak ja nie miała rodzeństwa. Oboje jej rodzice zginęli, spa-

dając ze skały w czasie pikniku. Ich szofer czekał na nich w samochodzie, a oni nie wracali i nie wracali, a gdy poszedł ich poszukać... — Panną Sadie wstrząsnął dreszcz. — Słyszałam, że widok był przerażający. Panna Lureen była tak zrozpaczona. Wie ojciec, w jaki sposób starała się o tym zapomnieć?

Nie wiedział.

— Przyjęcia! U panny Lureen cały czas odbywały się wielkie wspaniałe przyjęcia. Ja i China Mae zawsze przychodziłyśmy wcześniej, żeby spróbować słodkich przysmaków. Miała kucharza wielkiego jak szafa i najsmaczniejsze w świecie babeczki, nie wspominając już o ambrozji. Kilka razy śniła mi się w nocy. Robiła jej zawsze tak dużo, że można nią było napełnić balię, tak bardzo wszystkim smakowała. Panna Lureen lubiła powtarzać: „Robaczki świętojańskie świecą tylko w locie. Z nami jest tak samo, gdy przystajemy, tracimy blask”. Nigdy tego nie zapomniałam.

Och, wszyscy kochaliśmy Boxwood! Zawsze pełno tam było służby i wszyscy zdawali się wykonywać swoją pracę z radością. Panna Lureen była bardzo dobra dla swoich ludzi. Gdy zużył się jej packard, wie ojciec, komu go podarowała? Szoferowi! Wyremontował go i jeździł nim do Charlestonu, gdy zmarła.

Nazywał się Soot Tobin. Czarny jak sadza, mówili. Był wysokim postawnym mężczyzną i tak straszliwie się jąkał, że prawie w ogóle się nie odzywał. Gdy jednak już coś powiedział, wszyscy słuchali go uważnie, biali i kolorowi, ponieważ jego głos był tak głęboki jak bas kościelnych organów. Na jego widok China Mae dostawała zawrotów głowy. Kiedy tylko się odezwał, ona od razu zaczynała chichotać, a śmiała się do rozpuku. Wie ojciec, China Mae była... ona nigdy nie dorosła, mówiąc dokładnie, co było jednym z powodów, dla których tak bardzo ją kochałam. Była dokładnie taka jak ja!

Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i nie mogłam uwierzyć własnym oczom, widząc, co się stało. Okazało się, że China Mae już nie będzie się musiała bawić moimi lalkami, bo miała własną, takiego samego koloru jak ona. Spała razem z nią w łóżku, a dziewczynka miała na sobie małą białą sukienkę. Moja mama stała obok i patrzyła na dziecko, a po jej policzkach płynęły łzy.

„Sadie — powiedziała do mnie — to jest Louella. Bóg przysłał ją, żeby zamieszkała razem z nami”.

Panna Sadie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do pastora.

— Czy to nie prawdziwa niespodzianka? Wrócić pewnego dnia ze szkoły i znaleźć w domu drugiego najlepszego przyjaciela w życiu, i to zesłanego prosto z nieba?

Zaśmiał się radośnie. Nic na tym świecie nie wydawało mu się bardziej zadziwiające i cudowne niż historia życia prawie każdego człowieka.

— Zupełnie oszalałam na punkcie tego dziecka. Kołysałam ją, kąpałam, woziłam w małym wózeku, szyła dla niej sukienki, byłam bardzo szczęśliwa, że mogę się z nią bawić i ją kochać, i moja mama tak samo. Gdy China Mae skończyła ją karmić, zaczęłam zabierać ją do miasta. Sama ją ubiera-

łam, a ludzie mówili: „O, idzie Sadie Baxter ze swoim małym Murzyniątkiem”. Nie lubiłam tego słuchać, nawet jako dziecko. Chciałam, żeby Louella była moją siostrą, i udawałam, że nią jest, a potem gdy szłam do miasta, ludzie tak mówili. Przestałam więc chodzić do miasta.

Zostawałyśmy w domu i bawiłyśmy się, i wcale nie tęskniłam za miastem. Mama wynajęła dla mnie nauczyciela. Nazywał się pan Kingsley. Muszę przyznać, że miał najgorszy oddech pod słońcem, ale uczył ślicznej kaligrafii i świetnie znał historię. Mama zamawiała dla mnie ubrania i buty, a China Mae obcinała mi włosy. Do lekarza i do dentysty chodziłyśmy do tartaku taty w dolinie. Albo czasami lekarze przyjeżdżali do nas, żeby zrobić nam badania, i mama przygotowywała wtedy ogromną ucztę, jakby miał nas odwiedzić sam prezydent. Mówiłyśmy, że to dzień lekarza, i bardzo go nie lubiłam. Brałam ze sobą Louellę, uciekałyśmy i chowałyśmy się w sadzie.

Panna Sadie uśmiechnęła się do siebie, zamykając oczy. Ojciec Tim wiedział, że ogląda ona film, w którym jest jednocześnie gwiazdą i reżyserem. On też zamknął oczy i bezszelestnie zsunął ze stóp mokasyny.

— Gdy Louella miała około trzech lat, mama powiedziała, że jest już zmęczona wychodzeniem i zostawianiem jej oraz jej matki w domu, podczas gdy my wszyscy maszerujemy do Lord's Chapel. W Mitford było zaledwie kilkunastu kolorowych ludzi, przypuszczam, że za mało, żeby stworzyć Kościół. Mama powiedziała więc, że od tej pory wszyscy będziemy chodzić razem, bo po to właśnie Bóg dał nam kościoły.

Tacie wcale się to nie podobało, ale mama nie dała tak łatwo za wygraną. Przyniosła Pismo Święte i modlitewnik, i bez najmniejszego wahania pokazała mu wszystko czarno na białym. Tak więc China Mae, Louella, tato, mama i ja szliśmy drogą do stojącego na wzgórzu starego kościoła i siadaliśmy w jednej ławce. Nie słyszałam, żeby ktokolwiek powiedział na głos: „Murzyn”, bo wszyscy bali się taty. To znaczy, szanowali go, nie wspominając o tym, że dawał wiele pieniędzy. Po jakimś czasie wydawało się, że nikt nie zwraca już na nas uwagi. Nie wiem, co mówili za bramą cmentarną, ale jeśli China Mae nie przyszła w niedzielę do kościoła z powodu choroby, pytało o nią wiele pań.

Życie w tamtych czasach było dużo lepsze, ojczy, naprawdę. Gdy China Mae robiła pranie w pralni i rozpałałyśmy ogień pod tą dużą żeliwną balią, było to dla nas wielkie wydarzenie. Ona naprawdę cieszyła się z tego, że ubrania robiły się znowu czyste, a dzisiaj wielu ludzi uważałoby, że to śmiertelnie nudne zajęcie. Dla nas dzień prania był świętem. Mama przygotowywała ciasto z anansem, a Louella i ja robiłyśmy paluszki z ciasta, cynamonu i cukru, i po zakończeniu tej ogromnej pracy siadałyśmy razem i urządziłyśmy uroczysty podwieczorek.

Za oknem zaśpiewał ptak, a lekki wiatr poruszył zasłonami z delikatnej, luźno tkanej materii. Ojciec Tim przyłapał się na tym, że zaczyna go morzyć sen, więc natychmiast usiadł prosto w fotelu.

— Wie ojciec, co Pismo Święte zawsze mówi o biednych. Dwa razy w roku mama szła odwiedzić biednych. Przygotowywała ogromny kosz najlepszych smakołyków, nakładała na głowę niebieski

szal i szła do nich w odwiedziny. Nigdy nie pozwalała mi pójść ze sobą, ani razu, ale nauczyła mnie kilku wersetów z Księgi Przysłów, z trzydziestego pierwszego rozdziału: „Otwiera dłoń ubogiemu, do nędzarza wyciąga swe ręce... Bada bieg spraw domowych, nie jada chleba lenistwa”. To był jej ulubiony werset z Pisma Świętego, mówiła, że to jej wzór do naśladowania.

Te złote dni minęły tak szybko. Chciałam na zawsze zostać dzieckiem, ale zanim poczułam, że się naprawdę przebudziłam, miałam szesnaście lat i przyszedł czas, żebym pojechała za granicę. Za granicę! Co za okropne słowo. Zaczęłam je nienawidzić. Tak wiele dziewcząt dałoby wszystko, żeby wyjechać „za granicę”.

Gdy się dowiedziałam, że wujek Haywood namówił tatę, żeby mnie wysłał, byłam zaskoczona, czułam się zdradzona. Jak mógł mnie wysłać do innego kraju? Mama też była przerażona, ale powiedziała, że to dla mojego dobra. Wiem, że setki razy narzekałam na śmierdzący oddech pana Kingsleya, ale nie wydawało mi się, że jest to wystarczający powód, abym musiała kontynuować edukację na drugim końcu świata!

Panna Sadie otworzyła oczy. Przez chwilę milczała, patrząc na wyblakłe żółte róże na tapecie.

— Widzę swojego tatę, jakby to było dzisiaj. Tuż przed naszym wyjazdem z domu do Charlestonu, skąd miałyśmy popłynąć statkiem, tato zjawił się w głównych drzwiach. Pamiętam, że w holu znajdował się cały nasz bagaż: duże kufry i pudła na kapelusze, a tato wbiegł gniewnie i rzucił na stół swój kapelusz. Szalał z wściekłości, nigdy go w takim stanie nie widziałam. Żyły wyszły mu na szyi, a czubek jego głowy, w miejscu gdzie miał trochę rzadsze włosy, zrobił się czerwony jak burak. „Pies!” — powtarzał na okrągło. Krzyczał. Myślałam, że ugryzł go pies! Stało się jednak coś dużo gorszego.

Mama starała się go namówić, żeby usiadł i napił się lemoniady. Było tak gorąco, że koszula zupełnie się do niego przykleiła. Był sierpień. On jednak nie chciał i znowu zaczął wykrzykiwać: „kanałia” i „zakała tego świata”. Okazało się, że tato jechał z tartaku w dolinie i ktoś minął go z taką prędkością, że musiał zjechać swoim buickiem do rowu, poważnie uszkadzając przy tym piękną krawężnik i zderzaki samochodu. — Panna Sadie spojrzała na pastora. — Mój tato był dobrym człowiekiem, ale nie był typem mężczyzny, którego chciałoby się zmusić do zjechania z drogi, a już na pewno nie prosto do rowu. Wie ojciec, czasy były wtedy inne i niegodzenie się na niesprawiedliwość było kwestią honoru. — Westchnęła. — Przypuszczam, że nie muszę ojcu mówić, kto zmusił mojego tatę do zjechania z drogi.

Nie. Nie musiała. Ojciec Tim spojrzał na zdjęcie przystojnego młodego Willarda Portera, którego ciemne spojrzenie zdawało się przeszywać pokój z taką siłą, że miało się wrażenie, że jest tu obecny i słucha całej opowieści.

— Tato musiał pożyczyć samochód, żeby odwieźć nas do Charlestonu, a w tamtych czasach ludzie niechętnie pożyczali swoje samochody. To jeszcze bardziej go rozzłościło. W drodze opowiadał nam, co się zdarzyło na Lumber Road. Nie mógł się z tym pogodzić. Nie wiedział, kto to zrobił, nie

rozpoznał samochodu. Widział jedynie, że był nowy i wyjątkowo ładny. Im więcej na ten temat mówił, tym mniej przypominał siebie. Oczywiście starał się nie mówić o tym, że wyjeżdżam, bo za każdym razem, gdy poruszał ten temat, zaczynał płakać.

Od ślubu nie opuścił mamy ani na jeden dzień, więc było to duże poświęcenie z jego strony stracić nas obie w jednej chwili, ponieważ mama jechała ze mną — miała mi towarzyszyć do czasu, aż się tam zdomowię.

Ten ogromny statek mógłby popłynąć na naszych łzach! — dodała panna Sadie, śmiejąc się. — I pomyśleć tylko — kupowanie tych wszystkich wymyślnych strojów i kapeluszy, kufrów na statek i podróż do Charlestonu w sierpniu, i wyruszenie w długi rejs przez cały ocean w tej ogromnej burzy, która przełamała frachtowiec na dwie części, i wszystkie te splamione łzami, tęskne listy do domu — wszystko po to, żeby się obrócić i wrócić czym prędzej do domu, po dwóch miesiącach!

— Ale proszę tylko zobaczyć, ile dało to pani wspomnień!

— Tak, ale co zrobiło z moim sercem — powiedziała panna Sadie z ironią, którą pastor tylko ten jeden raz miał okazję usłyszeć w jej głosie.

Nagle zawyła syrena, i to tak głośno, że jego własne serce zabiło mocniej.

— Dobry Boże! — wykrzyknął, pośpiesznie nasuwając buty i zrywając się na równe nogi.

— To tylko Louella — powiedziała wesoło. — Widocznie lunch jest gotowy. Ojczy, mój drogi, czy mógłby ojciec uprzejmie odwrócić głowę i popatrzeć na drzwi?

Spełnił jej życzenie, słysząc cały czas w uszach przerażające dzwonięcie. Panna Sadie wyszła z łóżka, włożyła pantofle i szlafrok.

— Może już ojciec popatrzeć! — zezwoliła, podchodząc do ściany naprzeciwko łóżka i chwytając coś, co wyglądało na uchwyt od szuflady znajdujący się tuż pod obrazem. W ścianie otworzyły się małe drzwi i panna Sadie wsunęła do środka głowę.

— Tak, Louello?

— Panno Sadie! — usłyszał dochodzący z dołu szybu mezzosopran Louelli. — Czy ojciec Tim chce, żeby jego warzywa polać sosem winegret?

— Ojczy, czy chce ojciec warzywa z sosem winegret?

— Raczej nie. Może odrobinę masła.

— Louello, nie chce sosu winegret, chce masło.

— Masło! Nigdy nie słyszałam o tym, żeby podawać warzywa z masłem. Panno Sadie, herbata ma być zimna czy gorąca?

— Co będzie ci wygodniej przygotować?

— Zimna jest gotowa.

— Przyślij wobec tego zimną — powiedziała z pewną przyjemnością panna Sadie. — I pamiętaj, że pastor lubi dużo cukru.

— Już nie — nerwowo zareagował pastor.

— Louello, już nie! — krzyknęła gospodyni.

— Co pani mówiła?

— Już nie pije takiej słodkiej herbaty.

— Bez cukru — powiedział, odczuwając taki smutek, jakby wygłosił elegię.

— Herbata dla ojca bez cukru, Louello. Czy dołączysz do nas?

— Nie, zjem w kuchni. Czy podać wam również chińską marynatę z jarzyn?

— Tak, chętnie — odpowiedział pastor, chodząc po pokoju.

— Chińska marynata dla obojga, dużo. Nie włączaj już syreny, o mało nie zemdłał. Zapukaj tylko dwa razy kijem od szczotki i przyslij lunch na górę.

Zauważył, że dyskusja na temat szczegółów lunchu przyprawiła go o dziwny skurcz żołądka, ale herbata, gdy przytransportował ją niemy lokaj, podziałała na niego bardzo orzeźwiająco.

— Ojciec — powiedziała panna Sadie, siedząc w łóżku, gdy już zjedli lunch — nawet sobie ojciec nie wyobraża, jakie to cudowne mieć kogoś, kto wysłucha mojej gadaniny. Czy zastanawiał się ojciec kiedyś nad tym, że gdy ludzie się zestarzeją i mają tak wiele do powiedzenia, to właśnie wtedy inni chcą, żeby siedzieli cicho? Mam nadzieję, że gdy ojciec się zestarzeje, znajdzie się ktoś, kto będzie słuchał ojca gadaniny.

— Ludzie słuchają mojej gadaniny w każdą niedzielę mojego życia i z tego właśnie powodu uważam się za szczęściarza — oznajmił wesoło, składając serwetkę i kładąc ją na tacy.

— Phi! Ojciec jest taki skromny. Według mnie, ojciec w ogóle się nie docenia. Ojciec wcale nie gada, tylko od razu przechodzi do sedna sprawy, i jeśli ja mogę to ocenić, to zawsze wyklada ojciec rację Boga. Ale jest coś, co podoba mi się jeszcze bardziej niż ojca kazania.

— Co takiego?

— To, że ojciec nas kocha. Tak, wystarcza mi to, że ojciec nas kocha. — Zamknęła oczy i westchnęła smutno. — Ach... ten spokój. Ten cudowny spokój. Ojciec, czy przyjdzie ojciec ponownie jutro? Żeby nie zasypywać gruszek w popiele, że tak powiem. Wydaje mi się, że nie starczy mi sił, żeby dokończyć opowiadanie dzisiaj.

— Przyjdę. Zaraz po lunchu. Proszę więc nie przygotowywać dla mnie poczęstunku. Przyniosę pani pączka od Winnie.

— Niech będzie zwykły — szepnęła panna Sadie. — Nic wymyślnego.

Najciszej jak potrafił, przeszedł po skrzypiącej podłodze i zamknął za sobą drzwi.

Panna Sadie siedziała na przykrytym pokrowcem fotelu z wysokim oparciem. Nogi miała okryte pledem.

— Myślałam o tym przez całą noc — powiedziała — i nie chcę marnować ani minuty.

Usiadł w takim samym fotelu stojącym naprzeciwko i rozpiął marynarkę.

— A ja do trzeciej nad ranem. Zamieniam się w słuch.

— Gdy razem z mamą poznałyśmy Willarda w Paryżu, nigdy nie przypuszczałybyśmy, że to on zmusił tatę do zjechania z drogi. Był taki miły, troskliwy i otwarty. Właśnie przeprowadził się do Mitford z Tennessee i z rozmowy z nim dowiedziałyśmy się, że jego rodzina nie miała żadnego majątku. Był chłopcem, który starał się wykorzystać otrzymane od Boga talenty i całkowicie poświęcał się dokonywaniu wynalazków z zakresu farmacji. Jednym ze specyfików, jakie wymyślił, była formuła R. R jak Rose. Formuła R goiła rany i oparzenia. Był to środek antyseptyczny i miał cudowne działanie, ale niesamowicie piekł po nałożeniu na skaleczone miejsce.

Spędziliśmy razem w Paryżu takie cudowne chwile. Mama doskonale znała się na ludziach i mimo że miała wrażliwe serce, niełatwo ją było oszukać. Uważała, że Willard jest pod każdym względem wspaniałym człowiekiem. Gdy jednak wróciłyśmy do domu i zaczęłyśmy opowiadać tacie o młodzieńcu z Mitford, który zaprzyjaźnił się z nami na obcej ziemi, wydawało mi się, że tato dostanie jakiegoś ataku.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, widząc straszny gniew, jaki w nim wezbrał. Było to coś zupełnie nowego. Powiedział, że Willard Porter jest śmieciem, najpodlejszym typem, bez wykształcenia, bez grosza przy duszy. Wychował się bez Boga, brak mu kultury i nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Zabronił nam wymawiania jego imienia w domu. Był tak niedobry dla mamy, jakby go zdradziła.

Domyśliłam się, że tato rozmówił się z Willardem po jego powrocie do domu z Paryża, ponieważ gdy widziałam go kiedyś, jak jechał samochodem wokół pomnika, zachowywał się tak, jakby mnie nie zauważył.

Przez całą podróż na statku marzyłam o tym, żeby go znowu zobaczyć. Nie posiadałam się z radości na myśl o tym, że mieszka w moim rodzinnym mieście. A w domu czekał na mnie ten lodowaty gniew i wściekłość, i tato, który wydawał mi się zupełnie obcą osobą...

Pewnego dnia China Mae przyniosła mi liścik. Był złożony w drobną kosteczkę, a China Mae ukryła go w sukience. Liścik był od Willarda i gdy zobaczyłam znajomy charakter pisma, ten sam, który widywałam na bilecikach załączanych do róż w Paryżu, pamiętam, że serce zabiło mi tak mocno, że musiałam usiąść.

China Mae powiedziała: „Ani mi się waź zemdlec, mdleją tylko białe panienki”.

Nadal mam ten liścik. Oto jego treść:

„Popełniłem największy błąd w moim życiu. Wypadek na drodze był niewybaczalny i całkowicie niezamierzony. Ogromnie żałuję, że wywołałem ten konflikt, i jestem gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby wymazać to przykre wspomnienie z Waszej pamięci. Przeprosiłem Twojego Ojca z płynącą z głębi serca szczerością, on jednak nie chce mnie słuchać. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Proszę, wybac mi. Twój wierny sługa, Willard James Porter”.

„Mamo — powiedziałam — myślę, że Kocham Willarda”.

Mama odparła: „Nawet o tym nie mów, nie pozwól swojemu sercu, aby tak myślało, to niemożliwe. Całe to wydarzenie zmieniło twojego ojca tak, że w ogóle go nie poznaje”.

Tak jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką, przestałam chodzić do miasta. Ubrania dla mnie zamawialiśmy, jak zawsze, i nawet nie obcinałam włosów. Mama pomagała mi w nauce, grałam na pianinie, robiłam koronki, czytałam książki i codziennie wieczorem chodziłam do kościoła, zapalałam świecę, klękałam i rozmawiałam z Bogiem. Można by pomyśleć, że niebiosa się przede mną zabarykadowały. Jakby Bóg powiedział: „Zamknijcie bramy na cztery spusty, na wszelki wypadek, gdyby próbowała się tu dostać Sadie Baxter”.

Dopiero po dłuższym czasie China Mae powiedziała, że ktoś buduje w mieście duży dom, prawdziwy cud, cały biały od ganków i szczytów. Miał nawet taras widokowy na dachu, mimo że od najbliższego oceanu dzieliły nas setki kilometrów.

Wszyscy w kościele o tym mówili i o Willardzie, jak to udało mu się sprzedać niektóre z farmaceutycznych wynalazków i jak robi się coraz bogatszy.

Coś strasznego działo się z tatą, gdy ktoś wymienił jego imię w kościele lub w jakimś innym miejscu. Można by pomyśleć, że upływ czasu powinien złagodzić jego serce i sprawić, aby z większą wyrozumiałością spojrzął na ten głupi, nieszczęsny wypadek — tak się jednak nie stało.

Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że tato był bardzo podobny do Willarda. Zaczynał od niczego, nie miał szczególnego wykształcenia, był pod wieloma względami prostym człowiekiem, nabrał jednak ogłady, nauczył się ładnie mówić, czytać dobre książki i obracać się w dobrym towarzystwie, tak jak Willard.

Od czasu do czasu China Mae przychodziła do domu bardzo podekscytowana. „Widziałam go, panno Sadie” — mówiła. „Widziałam Willarda panienki i jest najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem”. Otworzył aptekę na Main Street, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń. I jedną w Wesley, i dwie w Holding.

Dostałam kiedyś od niego list, zupełnie niespodziewanie. Chciałabym go ojcu pokazać. Czy byłby ojciec uprzejmy podejść do toaletki i zajrzeć do górnej szuflady po prawej stronie?

Kiedy wyciągnął szufladę, uderzył go zapach lawendy, który się z niej wydostał. Znalazł kremową kopertę dokładnie w miejscu, które opisała panna Sadie, i wziął ją ze sobą do swojego fotela przy oknie.

Wyjął ze środka delikatny papier listowy, otworzył go i zobaczył, że w górnym rogu zapisana była data: trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Przeczytał na głos:

„Droga Sadie, widziałem Cię wczoraj, jak przechodziłaś, i mimo że Ty mnie nie widziałaś, bardzo poruszyła mnie Twoja słodycz i wdzięk. Wiem, że pisanie do Ciebie jest bardzo ryzykowne, więc

bardzo stanowczo prosiłem China Mae, żebyś spaliła ten list zaraz po przeczytaniu. Nalegam, żebyś to zrobiła, a pozwalam sobie na to tylko dlatego, że mam na względzie Twoje szczęście.

Powiedziałem kiedyś, że gdy dorosniesz, chciałbym się z Tobą ożenić. Dzisiaj kończysz dwadzieścia jeden lat, a ten wiek powszechnie uważa się za wiek dojrzały.

Jeśli chodzi o mnie, mam dwadzieścia sześć lat, moje interesy nareszcie idą dobrze i powoli zamawiam się w Mitford z mamą i małą siostrzyczką. Po raz pierwszy okoliczności sprzyjają mojemu małżeństwu, a mimo to nie mogę ożenić się z tą, którą kocham z oddaniem i o której myślę dniem i nocą.

Nie znam Twoich uczuć do mnie, z wyjątkiem tego, co mi w zaufaniu powiedziała China Mae — proszę, nie karz jej za wyjawienie tej informacji.

Wiele razy zastanawiałem się nad sposobem, w jaki mógłbym zmienić stosunek Twojego Taty do mnie, ale za każdym razem dochodzę do tego samego gorzkiego wniosku. Nienawidzi mnie i cokolwiek bym zrobił, próbując zdobyć Twoją rękę, sprowadziłoby jedynie rozpacz i cierpienie na Ciebie i Twoją Matkę.

Być może wiesz, że buduję dom w miasteczku, na łące, gdzie Amos Medford wypasał swoje krowy. Każdy kamień fundamentu położony został z nadzieją, że może jeszcze kiedyś będę mógł wyrazić czuły szacunek, jakim Cię darzę, Sadie.

Wiem, że to bardzo śmiało pisać do Ciebie, ale wiem, że dziś są Twoje dwudzieste pierwsze urodziny i ogarnęła mnie taka niewypowiedziana tęsknota.

Zamierzam nadać temu domowi imię, ufając, że kiedyś nasze stosunki będą się mogły zmienić. Każę wyryć je na cedrowej belce, w najwyższym punkcie strychu, z nadzieją, że kiedyś te słowa sprawią Ci odrobinę radości czy przyjemności.

Być może, jeśli taka będzie wola Boga, Twój Ojciec zobaczy wkrótce, że mam coś do zaoferowania, i ustąpi. Do tej pory, Droga Sadie, mogę Ci ofiarować jedynie gorącą miłość i szczerze oddanie".

Ojciec Tim siedział przez chwilę bez słowa, potem wsunął list z powrotem do kremowej koperty. Panna Sadie obróciła głowę i spojrzała przez okno. Był ciepły, rześki, wiosenny dzień.

— Tyle zmarnowanego uczucia — powiedziała zwyczajnie. Czekaj.

— Modliłam się za tatę, żeby Bóg dał mu nowe serce, jak Saulowi. Bóg mnie jednak nie wysłuchał. W tamtych czasach dwudziestojednoletnia dziewczyna uważana była za starą pannę i sądzę, że tacie było czasami przykro, że nikt nie stara się o moją rękę. Nikogo innego jednak nie było, tylko Willard. A potem... dwa lub trzy lata później pojawił się Absalom Greer.

Oczy panny Sadie zabłyszczały.

— Absalom Greer! Kolejny konkurent bez wykształcenia! Nigdy nie umiałam znaleźć właściwego kandydata. Co było oczywiście powodem, dla którego wujek Haywood chciał, żebym pojechała do Paryża, a potem zadebiutowała w Atlancie, gdzie poznałabym tych wszystkich wspaniałych chłop-

ców. Powiedział tacie, że jeśli zostanę w Mitford, to skończę jako stara panna — albo z czerwonymi rękami jako żoną farmera! Nigdy nie lubiłam wujka Haywooda — wyznała smutno. — Przy okazji, czy przyniósł ojciec mojego pączka?

— Pączka! — powiedział pastor, klepiąc się po kieszeni marynarki i wyjmując sprasowaną na płasko torebkę. — Z przykrością muszę przyznać, że Winnie nie miała pączków, zostały jej tylko oponki, więc przyniosłem cztery!

— Cztery oponki — powiedziała poważnie panna Sadie, zaglądając do torebki. — Nie mogą być zbyt sycące, prawda?

Zaśmiała się nagle i po raz pierwszy pastor ujrzał w niej dziewczynkę, którą kiedyś była. Widział ją tylko przez sekundę, ale była tam bez wątpienia. Wystarczyła ta krótka chwila, aby nawiązała się pomiędzy nim i młodą Sadie nić porozumienia.

— Absalom Greer pracował u taty w tartaku. Oczywiście nie jeździłam tam często, ale gdy już tam byłam, bardzo mi się podobało. Zaczęłam się snuć posepnie po domu, żeby pokazać tacie, jaki jest niedobry i że nie zapomniałam, co zrobił.

Powiedział, że potrzeba mi świeżego powietrza i ciężkiej pracy.

Zabrał mnie więc do tartaku, zaprowadził do swojego biura i otworzył wszystkie okna. To było świeże powietrze. Potem posadził mnie przy liczydło i księgach rachunkowych i to była ciężka praca!

Na podstawie tego, co mówię, może ojciec pomyśleć, że mój tato był bardzo złym człowiekiem. Ale nie, bardzo go kochałam i czasami był po prostu cudowny. Bywały dni, gdy miał bardzo dobry humor, a wtedy śmiał się i rozpieszczał mnie do nieprzytomności. Chociażby nie wiem jak się jednak starał, nie mógł mnie nauczyć, jak prowadzić te przeklęte księgi rachunkowe.

Pewnego dnia do drzwi biura zapukał młody mężczyzna. Gdy otworzyłam, zobaczyłam przed sobą rosnącego wysokiego młodzieńca, chudego jak tyczka od fasoli, z czapką na głowie i Pismem Świętym w ręce. Miał w sobie coś elektryzującego. Spojrzał na mnie z góry i zapytał: „Panno Sadie, czy jest pani zbawiona?”

Przyznaję szczerze, że zupełnie nie wiedziałam, o czym mówi! Spojrzałam mu więc prosto w oczy i odpowiedziałam: „Cóż, na pewno nie jestem zgubiona!”

Był taki cudowny, taki wysoki i radosny. Miał taki wspaniały uśmiech i tak szczerze potrafił się śmiać. Wiedział też, jak mówić prostymi słowami. Czułam się z nim tak swobodnie, jakby był moim bratem, a on był tak oczarowany Panem i Pismem Świętym. Kiedyś do biura wszedł tato, a Absalom siedział ze mną, czytając mi w czasie swojej przerwy obiadowej biblijną opowieść. Nie zawahał się ani na chwilę, podniósł jedynie głos i czytał jeszcze głośniej.

Tato wszedł i usiadł za swoim biurkiem. Był zaskoczony. Myślę, że nie wiedział, co ma z tym zrobić, nie zrobił więc niczego. Ja byłam trochę przestraszona, ale Absalom przeczytał do końca Drugą

Księgę Samuela, potem wstał, wsunął Pismo Święte pod ramię, uchylił daszka czapki i wrócił do pracy.

Ojciec Tim roześmiał się z radością. Był to inny obraz chłopca, który walczył z Bogiem, który wrócił do domu z kopalni srebra i który spadł pewnej nocy z łóżka, oberwawszy w głowę żerdzią, a potem podniósł się, żeby nareszcie odpowiedzieć na wezwanie Boga.

— Każdego dnia w porze obiadu — nazywaliśmy to wtedy obiadem, wie ojciec — tato był zazwyczaj na zewnątrz, a Absalom przychodził i czytał mi. Miał taki piękny głos i tak bardzo się starał poprawić swoją dykcję i wymowę! To było cudowne móc obserwować kogoś, kto odebrał tak skromne wykształcenie i tak bardzo się stara coś osiągnąć.

Potem nadszedł dzień, gdy zapytał mnie, czy może zacząć się starać o moją rękę. „Zapytaj tatę” — odpowiedziałam, drżąc z obawy. Nikt nigdy nie starał się o moją rękę, a miałam już dwadzieścia pięć lat. Mój tato był najbogatszym człowiekiem w Mitford czy Wesley, a pracownik z jego tartaku pytał mnie, czy może się starać o moją rękę. Nie miałam cienia nadziei.

Pamiętam, że byłam taka podekscytowana i zmartwiona, że pobiegłam do tylnych drzwi i, prosząc mi wybaczyć, ojczy, zwymiotowałam.

Następnego dnia rano, w drodze do tartaku, tato patrząc prosto przed siebie na drogę, oznajmił: „Sadie, Absalom Greer zapytał mnie, czy może się starać o twoją rękę. Co ty o tym myślisz?”

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, że tato pyta mnie, co myślę na jakiś temat. Powiedziałam: „Tato, modliłam się w tej sprawie i chciałabym, żeby Absalom Greer starał się o moją rękę”. Serce biło mi tak mocno, że myślałam, że zaraz zemdleję, ale zawsze pamiętałam, że China Mae mówiła, iż mdleją tylko białe panienki, więc nie zemdlalam.

„Wobec tego — powiedział tato — powiem mu, że się zgadzam”.

„Tato — odparłam — dziękuję za to, że się zgadzasz, ale pragnęłabym twojego błogosławieństwa”.

Musiał nam je dać, ponieważ Absalom mógł przychodzić do nas do domu, jadł z nami w każdą niedzielę kolację, a potem szedł wygłosić wieczorne kazanie. Często chodziłam z nim i siadałam w pierwszej ławce. Na szczególne okazje wolno nam było jeździć taty samochodem, a raz tato dał Absalomowi piękny garnitur, który był na niego za ciasny, a na Absalomie leżał tak, jakby był na niego skrojony! Nigdy nie zapomnę słów mamy: „Nie do wiary! Wyglądasz jak prawnik z Filadelfii”. Absalom bardzo się z tego cieszył.

Szkoda, że nie słyszał ojciec, jakie głosił kazania! Potrafił porwać wszystkich słuchaczy. Lord's Chapel już od dłuższego czasu nie miała takiego wspaniałego kaznodziei, a ja nie posiadałam się z radości, słysząc o tych wszystkich cudownych rzeczach — o zbawieniu i odkupieniu, i o tym, że Chrystus cierpiał za moje grzechy.

Absalom, podobnie jak ojciec, sprawiał, że miałam wrażenie, iż Chrystus mówi bezpośrednio do mnie, i dzięki jego kazaniom Pismo Święte ożywało. To właśnie on usiłował mnie nauczyć prawdziwego znaczenia wersetu trzynastego z czwartego rozdziału Listu do Filipian. Sztandarowy werset, pomyślał, uśmiechając się.

— Ale Absalom był dla mnie jak brat... Nadal kochałam Willarda. Teraz, gdy częściej wychodziłam, często widywałam Willarda i zawsze było to bardzo bolesne przeżycie. Jego dom był już oczywiście skończony i był najpiękniejszą budowlą w miasteczku — nawet Boxwood nie dorównywał mu urodą.

Ludzie plotkowali, że Willard cały czas pracuje. Mimo że wstąpił do nowego country klubu, każdą wolną chwilę poświęcał pracy. Został członkiem Kościoła prezbiteriańskiego i tam też pracował. Pomógł im przecież zebrać w niewiele ponad rok wystarczającą sumę pieniędzy na wzniesienie nowego budynku, co wówczas było naprawdę godne podziwu.

Przez cały ten czas z Rose nie było dobrze. Lekarze nie wiedzieli, co jej jest, i jak slysze, do tej pory niewiele się zmieniło. On jednak tak wspaniale się nią opiekował. Potem zmarła jego mama i zostali w tym wspaniałym domu tylko we dwoje, samotny mężczyzna i pomyłona dziewczyna. Ojczy, przychodziły takie chwile, że serce tak bardzo mnie bolało i tak bardzo za nim tęskniłam, że o niczym innym nie marzyłam, jak tylko, żeby zapukać do jego drzwi, wejść do jego domu i już nigdy go nie opuścić.

Po pewnym czasie coś się jednak zdarzyło — po jakichś dwóch, trzech latach spotkania się z Absalomem. Nie chodzi o to, że przestało mi zależeć na Willardzie, ale moje ogromne nieszczęśliwe uczucie zupełnie mnie wyczerpało. Czułam się bardzo zmęczona tęsknotą za nim, Kochaniem go i ciągłym życiem w nadziei.

Napiła się łyk wody ze stojącej na parapecie szklanki.

— Tato i mama polubili Absaloma i mimo że nie miał żadnych pieniędzy i nie zanosilo się na to, żeby kiedyś je miał, byli zadowoleni z takiego stanu rzeczy, a cały ból i rozpacz wydawały się kwestią przeszłości. Za nic w świecie nie chciałam naruszyć tej delikatnej równowagi.

Gdy widziałam Willarda, zawsze mi się kłaniał, choć ludzie plotkowali, że tato zagroził, że go zabije, jeśli tylko spróbuje się do mnie odezwać. To bardzo przykre przeżycie, gdy trzeba zmienić swoją opinię o kimś, kogo się kocha, a moje zdanie o tacie się zmieniało bez względu na to, jak bardzo się starałam z tym walczyć. To tak jakby się chciało zawrócić rzekę.

Interesy w tartaku zaczęły iść bardzo źle i myślę, że nigdy nie odzyskaliśmy równowagi finansowej po wydatkach poniesionych na Fernbank. Nigdy nie widział ojciec małej sali balowej z malowidłami na suficie — już od wielu lat stoi zamknięta — ale sama ta sala musiała kosztować majątek. Człowiek, który ją zdołał, przyjechał z Włoch i mieszkał u nas przez trzydzieści sześć miesięcy. A po-

za tym wystarczy tylko spojrzeć na wszystkie te zdobienia. Nikt w całej Karolinie Północnej nie miał wspanialszych, z wyjątkiem oczywiście pana Vanderbilta.

Wie ojciec, jak szybko rozchodzą się wiadomości w małym miasteczku. Rozeszła się więc wieść o naszym położeniu. Willard to usłyszał i zwrócił się do taty z propozycją wykupienia jego interesu. Wiem, dlaczego to zrobił. Chciał, żeby tato przyjął to jako gest pojednania po tych wszystkich latach. Chciał zapłacić tacie dobrą cenę za jego tartak i pomóc mu w ten sposób uratować twarz.

Tato jednak odebrał to zupełnie inaczej. Uznał, że Willard się nad nim lituje, co tak bardzo go rozwścieczyło, że myślałyśmy, że dostanie ataku serca.

Wtedy mama powiedziała: „Mam już dość tej wstrętnej, złej walki pomiędzy tobą i mężczyzną, który popełnił głupi błąd, gorzko tego żałował i niejednokrotnie cię za to przeproszał. Nie będę się już dłużej przyglądać, jak twoja nienawiść niszczy ten dom, ciebie samego i serce mojego dziecka. Błagam cię w imię wszystkiego, co święte, żebyś spotkał się z Willardem Porterem, porozmawiał z nim jak dżentelmen i raz na zawsze zakończył wasz spór oraz poprosił Boga o wybaczenie". To były najodważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam z ust mojej mamy.

Czy ojciec uwierzy, że mój tato spuścił głowę i zapłakał? Mama podeszła, stanęła obok niego i otoczyła go ramieniem, a ja padłam mu do stóp, objęłam go za nogi i wszyscy razem płakaliśmy. China Mae stała przy drzwiach, po jej policzkach płynęły łzy, a ona modliła się i dziękowała Bogu.

Panna Sadie wyciągnęła chusteczkę z kieszeni szlafroka i przycisnęła ją do oczu.

— Pamiętam to tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Na kominku płonął ogień, a tato powiedział, że będziemy potrzebować więcej drewna. Był styczeń i ostrzegano przed dużym spadkiem temperatury. Wstał, uścisnął nas obie, a mama zaproponowała: „Może warto byłoby sprawdzić, czy mógłbyś się spotkać z panem Porterem już teraz, gdy twoje postanowienie jest jeszcze mocne? Wróciłbyś do domu ze spokojnym sercem i nareszcie noc przyniosłaby ci upragniony odpoczynek".

„Tak zrobię" — powiedział i pamiętam, że cała drżałam, gdy prosił telefonistkę o połączenie z Willardem Porterem.

Powiedział Willardowi, że musi iść do kościoła, żeby czegoś dopilnować — był starszym kościelnym — i że byłoby to odpowiednie miejsce, żeby się pogodzić, jeśli tylko chciałby się z nim spotkać.

Cała ta sytuacja była dla taty bardzo niezręczna. Mama stała obok, trzymając mnie mocno za ramię. Wydaje mi się, że przez całą rozmowę wstrzymywała oddech. Nie wiem dlaczego, ale miałam bardzo złe przeczucia. Mama poszła się modlić do swojego pokoju i poprosiła mnie, żebym ja też się modliła. Uklękłam więc przy swoim łóżku. Potem wstałam, włożyłam pelerynę z kapturem z alpaki i futrzane rękawiczki — było bardzo zimno — i wymknęłam się głównymi drzwiami.

Szłam do kościoła i choć było zupełnie ciemno, cała droga wydawała mi się tak znajoma, jakbym przechodziła jedynie z jadalni do kuchni. Nie wiem, czego się spodziewałam ani dlaczego tam

szłam, ale miałam wrażenie, że coś mnie prowadzi. Pamiętam, jak głośno biło mi w uszach serce. Lód pokrył ulicę, w niektórych miejscach było bardzo ślisko i niebezpiecznie, a ja po prostu szłam w tym dotkliwym zimnie i posępnych ciemnościach.

Przypomina sobie ojciec stare schody prowadzące od biegnącego wzdłuż Church Hill Drive kamiennego ogrodzenia? Weszłam po tych schodach, trzymając się poręczy. Nagle zza chmur wypłynął księżyc, a ja zobaczyłam samochody taty i Willarda stojące za kościołem.

Panna Sadie naciągnęła na ramiona pled i zadrżała z zimna. Ojciec Tim nagle zdał sobie sprawę, że wygląda bardzo staro. Nigdy wcześniej tego nie zauważył.

— Gdy znalazłam się przy drzwiach, usłyszałam ich głosy, ale nie była to spokojna rozmowa, którą tak bardzo pragnęłam usłyszeć. Byli rozgniewani i krzyczeli. Tato oskarżał Willarda o to, że chciał go upokorzyć przed całym miastem, a Willard mówił, że przyszedł się pogodzić i nie ma zamiaru słuchać tych obelg i kłamstw.

Drzwi były otwarte, więc widziałam ich bardzo wyraźnie. Tato zaśwycił lampę olejną, która stała na małym stoliku w tylnej części nawy, i pamiętam unoszący się w powietrzu silny zapach oleju z siemienia lnianego, którym napastowano podłogi przed mającym się odbyć w najbliższą niedzielę ślubem.

Tato stał po jednej stronie stołu, a Willard po drugiej. Chciałam do nich podbiec i przerwać tę kłótnię, ale nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca. Wiedziałam, że tato wyszedł z domu z najlepszymi intencjami, ale w jakiś sposób zawładnął nim po drodze szatan.

Nagle tato zamierzył się pięścią na Willarda, a Willard cofnął się. Ręka taty zahaczyła o lampę, która stoczyła się ze stołu i rozbiła, upadając na podłogę. W jednej sekundzie do góry wzbil się straszliwy płomień. To wszystko stało się tak nagle i było takie okropne. Nie umiem opisać, jak szybko języki ognia rozprzestrzeniały się po napastowanej olejem podłodze. Miałam wrażenie, że to sam diabeł wydostał się na wolność, ale nie mogłam zrobić ani jednego kroku, chociaż pamiętam, że krzyczałam.

Obróciłam się i biegłam do domu tak szybko, jak tylko potrafiłam, upadając co chwila na lód i starając się trzymać blisko krawędzi drogi, gdzie nie było tak ślisko. Przystanęłam na chwilę i spojrzałam za siebie. Zobaczyłam oświetlony od środka kościół. Ten widok był tak przerażający, że nie zapomnę go aż do śmierci. Przez całe lata modliłam się, prosząc o śmierć, żebym nie musiała go dłużej pamiętać.

Wślizgnęłam się do domu, weszłam po schodach i wyjrzałam przez okno w sypialni. Płomień pożerał już drewniane ściany i wydawało się, że oświetla okoliczne pola, oddalone nawet o wiele kilometrów.

Słyszałam, że gdy przyjechała straż pożarna, woda była zamarznięta i strażacy mogli tylko przyglądać się bezsilnie, jak kościół płonie. Woda wszędzie była skuta na lód i jedynie te unoszące się do góry języki ognia lizały zamarznięte wzgórze.

Panna Sadie zamknęła oczy i wydała z siebie przerażające westchnienie.

— „Na pastwę ognia świątynię Twoją wydali, doszczętnie zbezczęścili przybytek Twojego imienia” — zaczęła wolno cytować fragment Psalmu 74.

Oparła głowę na poduszkach fotela.

W pokoju tykał zegar, a pastor czuł, że serce bije mu mocno. Jak to możliwe, że ta drobniotka kobieta zachowała tę przerażającą prawdę w tajemnicy przez tak wiele lat?

— Mój tato — ciągnęła, nadal nie otwierając oczu — powiedział strażakom, że wybrał się do kościoła, by sprawdzić instalację ze względu na bardzo niską temperaturę, i gdy przyjechał, kościół już płonął. Willard Porter wyszedł wcześniej i nikt nie wiedział, że był przy tym obecny. Podejrzewano, że kościół został podpalony.

Rozpacz, jaka mnie ogarnęła, była nie do zniesienia. Nie potrafiłam podnieść się z łóżka. Leżałam w tym właśnie łóżku, w tym pokoju. Nie odsuwałam zasłon i żyłam jak we śnie. Czułam się chora i słaba — zaczęłam się poruszać jak staruszka. Nie mogłam się zwierzyć China Mae, mojej przyjaciółce, a już na pewno nie Louelli, nie mogłam też zdradzić ani słowa mamie, która tak bardzo się mną martwiła, że sama była bliska załamania. Nie chciałam się spotykać z Absalomem. A jednak pewnego dnia przysłał mi liścik, w którym prosił, żebym go poślubiła.

Żebym go poślubiła! — Panna Sadie potrząsnęła głową. — Nareszcie wiedziałam, i nie miałam co do tego żadnych wątpliwości, że nigdy nie wyjdę za mąż.

Mój tato nigdy nie wyjawiał nikomu prawdy, a poczucie winy i wstydu przygniatało go tak wielkim ciężarem, że myślałam, iż umrze. Lekarz przyjeżdżał regularnie do Fernbank, tak bardzo trawiły nas nasze tajemnice i smutki. Ja cierpiałam nie tylko ze względu na wszystko, co widziałam, i świadomość oszustwa taty. Bardzo zasmuciła mnie również utrata Lord's Chapel, najcudowniejszego kościoła w Mitford.

Dopiero po bardzo długim czasie dowiedziałam się, że tato rozkazał Willardowi opuścić kościół i Willard przez te wszystkie lata krył go. Nie powiedział nikomu ani słowa. Prawdę zabrał ze sobą do grobu we Francji.

Wydawało mi się, że sam szatan stanął przeciwko nam. Myślałam, że Louella nigdy nie zapomni koszmaru tamtych dni. Wcale nie było widać w nas naszej wiary, ojczy, nawet moją mamę złamał ogrom rozpacz, która przerosła możliwości jej zrozumienia.

Sięgnęła po stojącą na parapecie szklankę z wodą i wypila jeszcze jeden łyk.

— W końcu interesy taty zaczęły iść lepiej i zaczął bardzo intensywnie gromadzić fundusze na budowę nowego kościoła na Old Church Lane. Kupił małą kancelarię ojca, która wtedy była spizarnią-chłodnią, i dał ją parafii. Plebania należała już wówczas do kościoła i stała w tym samym miejscu, co dzisiaj. Po pewnym czasie tato kupił ławki i organy oraz przykrył dachem nawę i prezbiterium znajdujące się przed świetlicą parafialną. Założył też ogrody.

Wydaje mi się, że tato pozwoliłby mi w końcu wyjść za Willarda, ale było już za późno. Gdy zaczęła się wojna, Willard oczywiście poszedł do wojska i zginął we Francji, gdzie został pochowany.

Przerwała na chwilę, wyglądając przez okno.

— A Absalom? Prawie w ogóle go już później nie widywałam. Wiem, że jego siostra, Lottie, nie potrafiła mi wybaczyć, bo zraniłam go, a ona bardzo go kochała.

Gdy mama i tato umarli, zdobyłam się chyba na jeden jedyny niezależny krok w swoim życiu, to znaczy, przeniosłam się na drugą stronę kościoła i zaczęłam siadać po lewej.

Osunęła się troszkę niżej w fotelu, a on pochylił się do przodu i ujął jej dłoń, która wydawała mu się mała i zimna.

— Oto historia mojej miłości, ojcze. Przykro mi, że nie ma szczęśliwszego zakończenia. Dom opieki stanie się jej szczęśliwym zakończeniem. Budynek będzie dedykowany pamięci moich rodziców. Piękna fontanna przed domem — pamięci kapitana Willarda Jamesa Portera. Będzie miejscem spokoju i wytchnienia, miejscem uzdrowienia.

Ojciec Tim wstał z fotela i oparł dłoń na jej delikatnym ramieniu.

— Ojcze — modlił się — proszę Cię, abyś wyleczył wszelkie rany nadal jątrzące się w duszy Twojego dziecka, Sadie, i mocą Ducha Świętego przywodził na jej myśli i do jej serca, teraz i na wieki, tylko te wspomnienia, które służą odnowie, umocnieniu i radości. Przez Jezusa Chrystusa, Twojego Syna i naszego Pana. Amen.

— Amen! — zakończyła panna Sadie, kładąc swoją dłoń na jego dłoni.

— Rozmawialiście tak długo, że na pewno umieracie z pragnienia.

Louella postawiła w nogach łóżka tacę i podała im wysokie szklanki herbaty z jasnymi plasterkami cytryny.

— Dziękuję, Louello. Proszę, usiądź z nami. Spełniłam swój zamiar.

— Dzięki Ci, Jezu! — odparła Louella i usiadła na niebieskiej jedwabnej kanapce panny Sadie, stojącej przed toaletką.

— Poczęstuj się oponką, Louello — zaproponowała panna Sadie, podsuwając jej torebkę z ciukierni. — Ojcze? — zapytała, również go częstując.

Ile zła może wyrządzić jedna oponka?, zastanawiał się, sięgając do torebki.

— Wobec tego — wykrzyknęła radośnie panna Sadie — dla mnie zostają dwie!

Pastor zauważył, że jej twarz znowu nabiera kolorów.

— Ojcze, przypomniało mi się coś, o co chciałam ojca zapytać. Pamięta ojciec tę piękną kobietę, która wygląda jak mama? Olivia Davenport, zdaje mi się. Chciałabym dać jej kapelusze mamy — nosi je z takim wdziękiem. Wie ojciec, że nie mam krewnych, którym mogłabym je przekazać, a na strychu jest tak wiele pięknych kapeluszy, które zupełnie się tam marnują. Czy myśli ojciec, że mogłaby się poczuć tym urażona?

— Nie, dlaczego? Myślę, że nie. Wydaje mi się, że Olivia byłaby bardzo zadowolona. Może mogłaby pani do niej zadzwonić i porozmawiać z nią? Sądzę, że bardzo ucieszyłby ją telefon od pani, jest trochę odizolowana.

— Będzie miała nowe serce, tak?

— Z Bożą pomocą. Jest na liście oczekujących, ale ma rzadką grupę krwi, a serce może nadejść z każdego zakątka świata. Wszystko sprowadza się do dostarczenia serca w odpowiednim momencie.

— Nowe serce! Jakie to ekscytujące! Będę się za nią modlić, ojciec, i zadzwonię do niej jutro albo pojutrze. Czy mógłby ojciec zadbać o to, żeby ktoś zawiózł jej te kapelusze, jeśli będzie nimi zainteresowana, dobrze? Mogłabym poprosić Luthera, żeby dostarczył je ciężarówką, ale bolą go plecy i nie może prowadzić samochodu.

— Jakoś to zorganizujemy — obiecał, wypijając resztkę herbaty i wstając.

Pochylił się i pocałował pannę Sadie w czoło.

— Trzymajcie się — powiedział. — Odezwę się wkrótce. Louella wyszła razem z nim z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Podeszła z nim do schodów.

— Ojciec — powiedziała, starając się nie mówić zbyt głośno — panna Sadie nie jest jedyną osobą, która zabierze do grobu tajemnicę. Ja też mam swój sekret i coś mi mówi, że lepiej będzie, gdy go ojcu wyjawię, na wszelki wypadek.

Wielkie nieba, pomyślał pastor. Nic dziwnego, że nigdy nie odczuwał potrzeby, żeby pożerać powieści grozy. Prawie każdy jego dzień obfitował w tajemnice i niesamowite wydarzenia.

— Na miejscu pastora nie pozwoliłabym na to, żeby panna Olivia i panna Sadie zanadto się do siebie zbliżyły. Wie ojciec, jak ludzie zawsze się wypytyją, kim była twoja mama, kim była twoja babcia, gdzie się urodziłaś i tak dalej. Po nitce do kłębka i zanim byśmy się obejrzeni, panna Sadie mogłaby się dowiedzieć czegoś, co na pewno byłoby gwoździem do jej trumny.

Bał się zapytać.

— A czego mianowicie?

— Że jej mama miała dziecko, zanim wyszła za męża za tatę panny Sadie. I to dziecko dorosło, i było babcią panny Olivii.

Louella spojrzała badawczo na twarz pastora.

— Proszę nie zrozumieć mnie źle, mama panny Sadie była aniołem, odwiedzała biednych, tak jak nakazuje Pismo Święte. A najczęściej chodziła do jednej biednej małej dziewczynki, która mieszkała niedaleko Fernbank i którą opiekowała się kobieta z Alabamy. Ta mała dziewczynka miała na imię panna Lydia. Potem dorosła i miała pannę Caroline, i panna Carolina miała pannę Olivię, i na ile jestem zorientowana, nikt nic nie wie, tak doskonale udało im się zataić całą sprawę. Wie pastor, co jest w tym wszystkim najsmutniejsze?

— Co? — zapytał pastor, który usłyszał dzisiaj już tak wiele smutnych rzeczy.

— Że panna Sadie zawsze narzeka, że nie ma żadnych krewnych, podczas gdy jej krewna mieszka na drugim końcu ulicy, i że panna Olivia też myśli, że nie ma żadnej rodziny!

— Louello, dziękuję, że mi to powiedziałaś. Czy pomodlisz się razem ze mną?

— Słoneczko, wiesz, że tak!

— Psalmista mówi nam, że Bóg „znajduje rodziny samotnym”. Pomódlmy się, aby Bóg ze-
chciał w swojej łaskowości połączyć te dwie w jedną rodzinę, w Jemu tylko znany sposób.

— Nie szukać własnej korzyści, a nieść pomoc bliźniemu... — dodała Louella, szeroko się uśmiechając.

— I czasami — odparł pastor — zbierać potem plon dziesięciokrotny.

Jechał Church Hill Drive, wzdłuż prowadzącego do ruin kościoła kamiennego ogrodzenia. Już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na to wzgórze bez cienia smutku. Jego powołanie sprawiało, że czasami dowiadywał się więcej, niż w rzeczywistości chciał wiedzieć.

Właśnie wtedy, pomyślał, skręcając w prawo i zjeżdżając na Old Church Lane, biegł po raz pierwszy na wzgórze, bardzo zasapany, w nowym ubraniu treningowym z Collar Button. Te niewinne czasy wydawały się teraz tak odległe.

Zjeżdżał wolno w dół i na myśl o Barnabie poczuł ostry ból, ale napomniął się, że Barnaba jest przecież tylko psem.

Tylko psem? W jednej chwili zrozumiał, skąd pojawiła się w jego głowie ta perwersyjna myśl. Stał razem z ojcem obok klatek, przyglądając się z paraliżującą rozpaczą martwym ciałom całego swojego stadka.

— Nie ma co rozpaczać — stwierdził chłodno ojciec — to tylko króliki.

Uczył się, że jedną z przeszkód na drodze do bezwarunkowego zawierzenia boskiemu Ojcu było okrutne rozczarowanie ziemskim rodzicem. Nie, nie każdy w drodze do wiary musiał poradzić sobie z tą przeszkodą, która była najwyraźniej jednym z ulubionych narzędzi szatana, ale panna Sadie musiała ją kiedyś pokonać i on też. Wyszedł z tej próby zwycięsko i już wiele lat temu wybaczył swojemu ojcu.

Badania, które przeprowadził, przygotowując pracę na temat Lewisa, pokazały, że był to podstawowy problem apologety. Jeden z badaczy napisał: „Przez lata Lewis nie potrafił sobie wybaczyć swojej niezdolności do pokochania ojca, nie był też w stanie uzyskać przebaczenia tego grzechu od Boga. Gdy w końcu to się jednak stało, nie mógł pojąć spokoju i lekkości, jakich doznał”.

Bezwiednie spojrział na obsypane kwiatami różane altanki wzdłuż Old Church Lane. Festiwal Róż! Nadal nie miał żadnego pomysłu, na jaki temat powinien mówić.

Wojna Dwóch Róż? Nie, na tym świecie wystarczająco dużo mówi się o wojnach.

Pomyśli o tym wszystkim później, może wieczorem, gdy Dooley położy się spać. Oczywiście najważniejszym tematem do przemyślenia było to, co zrobić z Dooleyem przez całe lato. Poza tym cały czas nie dawała mu spokoju kwestia, którą kazała mu przemyśleć Cynthia.

Poczuł dziwną ulgę, gdy przyjechał do kancelarii i mógł samotnie zaszyć się w jej spokojnych murach.

Sprawdził, kto telefonował, i zajrzał do kalendarza. Spotkanie z Bractwem Ołtarzowym o trzeciej, żeby ustalić wzór na haftowane klęczniki, które zastąpią stare, pokryte skórą poduszki. Kolacja u Wilmy i Rona Malcolmów, w towarzystwie Dooleya, jutro wieczorem. Zaglądnąć do Sklepu i kupić szynkę do ugotowania na przyjęcie Newlandów w sobotę. Czy powinien był ostrzec pannę Sadie, która zamierzała zjawić się na ślubie, że Absalom też tam będzie?

Wiadomość od Emmy brzmiała: „Winnie czeka. Z Olivią wszystko w porządku. Russell sprawnie się dobrze. Karma dla królików — do kupienia”.

Gdy zdejmował pokrywę ze swojej maszyny do pisania, żeby napisać krótki list do Stuarta Culena, usłyszał przerażający huk na zewnątrz i poczuł, jak cały budynek zadrżał w posadach. Następnie dał się słyszeć wybuchowy świst hamulców aerodynamicznych, a po chwili rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Otworzył je i zobaczył ciężarówkę, ogromną jak amfiteatr, zaparkowaną na ulicy.

— Tak? — zwrócił się do wielkiego brodatego mężczyzny, z którego ust wystawał kawałek tytoniu.

— Dzwony — odpowiedział kierowca, podając mu do podpisania potwierdzenie odbioru.

Rozdział dwudziesty

PARK BAXTER

Puny rozstawiła deskę do prasowania w jego sypialni, żeby wyprasować rolety, które przez dwa lata leżały złożone. Dooley obiecał, że pomoże je powiesić po południu.

— Widziałam ten wielki bałagan przed kościołem — powiedziała. — Co to takiego?

— Dzwony. Dzwony przykryte brezentem, dostarczone bez żadnego uprzedzenia. W dodatku nie ma nikogo, kto mógłby je zainstalować na wieży przed następną środą.

— Jeśli się nie mylę, Emma bierze ślub w najbliższą sobotę. Nie będzie to dobrze wyglądało.

— Tak, to poważna sprawa.

Układał w jednym miejscu spodnie do pralni, sprawdzwszy przedtem zawartość ich kieszeni.

— Ta szynka, którą ojciec kupił, to prawdziwy kolos. Czy mam ją ugotować na piątek?

— Byłbym ci zobowiązany.

— Ugotuję ją z moją polewą z ananasa, którą Joe Joe... to znaczy, ach... och, nieważne.

Zrobiła się czerwona jak burak.

— Ach, więc to Joe Joe?

— Niech to licho! Nie chciałam się z tym zdradzić.

— A to dlaczego? Czy już zapomniałaś, kto z czystej życzliwości prosił Boga, żeby rozpoczął paradę?

Był tak uradowany jej niezamierzonym wyznaniem, że ledwie potrafił ukryć zadowolenie.

— Uważam, że nie powinno się mówić o takich sprawach, dopóki nie jest się pewnym danej znajomości. Tak mówiła mama. Ona spotykała się z naszym tatą przez cały rok, zanim się do tego przyznała.

Marszcząc czoło, ściągnęła ciężki podszywany panel rolety z deski.

— Czy mógłby mi ojciec pomóc powiesić to na oparciu krzesła? Waży chyba tonę.

— Nigdy nie rozumiałem, jak można utrzymać coś takiego w tajemnicy — powiedział.

Wziął kawałek tkaniny za jeden koniec i pomógł jej rozłożyć go na innych panelach.

— Niech ojciec nie udaje — odparła, mrugając do niego znacząco. — Doskonale ojciec wie, jak to się robi. Niech tylko ojciec spojrzy na siebie!

— Nie rozumiem, jak mam spojrzeć na siebie.

— Mam na myśli ojca sąsiadkę, ha, ha!

— Ha, ha — powiedział, czując, jak czerwienieje mu twarz.

— Ktoś mi powiedział, że wybraliście się pewnego wieczoru na spacer Main Street.

— Spaceru na Main Street na pewno nie można nazwać próbą utrzymania czegoś w tajemnicy. Czy dwoje ludzi nie może się wybrać spokojnie na przechadzkę, tylko od razu wszyscy muszą mleć o tym językami?

Puny zaśmiała się.

— Poza mieleniem językami w Mitford prawie nic innego się nie dzieje!

— No, no, młoda damo, nie myśl, że skoro mieszkasz w Wesley, to możesz patrzeć na nas z góry.

— W każdym razie myślę, że jest naprawdę fajna. Lubię ją. Jest inna.

— Zgadzam się.

— Z czym? Że jest fajna czy że jest inna? Oczywiście błąszczały z ciekawości.

— Mam szczerą nadzieję, że nie prześladujesz Joe Joe w taki sam sposób — powiedział, znajdując w kieszeni spodni dwie monety dwudziestopięciocentowe i jedną dziesięciocentówkę. — A jeśli już jesteśmy przy paradach, to według ciebie, Joe Joe to zespoły z bębnami i trąbkami, orkiestry wojskowe czy może wozy straży pożarnej?

— Joe Joe — odparła z zachwytem — to zamykający paradę święty Mikołaj z ogromnym worem pełnym prezentów, rzucający dzieciom cukierki.

Kłęczął właśnie na czworakach, szukając pod komodą dziesięciocentówki, która spadła na podłogę.

— Wydaje mi się, że tak hojnego komplementu jeszcze nie słyszałem w całym swoim życiu.

— Jest miły, umie się zachować i ma pracę. Nie wspominając już o tym, że jest przystojny.

Wstał, uśmiechając się do niej.

— Myślę tak samo, a może nawet jeszcze lepiej. Masz moje błogosławieństwo, i nie musisz nawet o nie prosić.

— A ojciec — odparła, uśmiechając się — ma moje.

— Ojciec — rozległ się głos w słuchawce. — Pete Jamison.

— Pete! Jak miło cię słyszeć.

— Chciałem tylko zadzwonić i się zameldować. Jestem w St. Paul. Co u ojca słychać?

— Wszystko w porządku! Nie mogę narzekać. A u ciebie?

— Nieźle. Dostałem właśnie nagrodę za najwyższą sprzedaż w pierwszym kwartale. Biorąc pod uwagę, że rok temu miałem najniższą...

— Pete, moje gratulacje. Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy.

— Cóż, ojciec. Niestety, jest też coś, co na pewno się ojcu nie spodoba. Pamięta ojciec te cztery zasady, o których kazał mi ojciec nie zapominać, gdy zegnaliśmy się tamtego dnia?

— Módl się. Czytaj Pismo Święte. Przyjmij chrzest. Chodź to kościoła.

— Cóż, chodzę do kościoła, ale muszę ojcu powiedzieć, że pełno w nim hipokrytów.

Ojciec Tim zaśmiał się. Było to sztandarowe hasło współczesnego chrześcijaństwa, jeśli w ogóle można o takim mówić.

— Przyjacielu, jeśli będziesz patrzył na chrześcijan, każdego dnia będziesz doznawał rozczarowania. Cała twoja nadzieja w tym, że będziesz patrzył na Chrystusa.

— No tak...

— Ja cię rozczaruję, Pete, oni cię rozczarują, ale On nigdy cię nie rozczaruje.

— A ja już miałem dać sobie z tym spokój.

— Nie rezygnuj. Czytasz Pismo Święte?

— Cóż... Czytałem.

— A potem przestałeś.

— Zgadza się.

— Nic więc dziwnego, że twoja wiara jest w którymś punkcie słaba. Dokładnie w tym miejscu przypuści mściwy atak szatan.

— Rozumiem.

— Kiedy będziesz tędy przejeżdżał?

— Sądzę, że już wkrótce. Mam bardzo duży obszar, który sprawia, że czasami czuję się, jakbym był u kresu wytrzymałości.

— Trzymaj się swojej wiary, a znajdziesz dość siły — powiedział pastor w chwili, gdy Harold Newland wszedł z poranną pocztą i podał mu cały plik listów. — Przepraszam na moment, Pete. Dziękuję, Haroldzie, do zobaczenia w sobotę.

Harold zarumienił się mocno. Na samym wierzchu leżał list od mężczyzny z poddasza, ze zwrotnym adresem więzienia federalnego.

— Pete — zapytał ojciec Tim — masz brata?

— Nie, nie mam. Ale zawsze chciałem mieć.

— No to już teraz masz. Chciałbym ci opowiedzieć pewną historię.

— No — powiedział Dooley, rzucając torbę z książkami na kuchenną ladę — nareszcie.

— Co nareszcie?

— Nareszcie koniec tej cholерnej szkoły.

— Oczywiście! Zupełnie zapomniałem.

— Powiedziałem Tommy'emu, że może zostać u nas na noc.

— Mieliśmy najpierw o tym porozmawiać. Dlaczego zaprosiłeś go, nie uzgodniwszy tego najpierw ze mną?

— Zapomniałem.

Zapomniał! Tak jak on. Po tych wszystkich tygodniach nieudolnych prób zdecydowania, co zrobić z Dooleyem, gdy skończy się szkoła, całkowicie zapomniał, że właśnie dzisiaj jest ostatni dzień roku szkolnego, koniec, kropka. A on siedzi sobie spokojnie i czyta „Anglican Digest”.

Mógł się zapaść pod ziemię z poczucia wstydu, gdyby brał sobie do serca takie problemy. Czyż wszyscy inni nie mieli już precyzyjnych planów dla swoich podopiecznych na całe lato? Pożyteczne zajęcia, jak wakacyjne prace i zarabianie pieniędzy, otwieranie rachunków oszczędnościowych, czytanie lektur, a może wyjazdy na obóz. Obóz! Nie mógł uwierzyć, że najbardziej oczywiste rozwiązanie przyszło mu do głowy dopiero teraz. Czy on nigdy się nie nauczy?

— Odłóż swoje rzeczy na miejsce i coś zjemy. Potem pójdziemy odwiedzić twojego dziadka. Zaniesiemy mu wątróbkę.

Słyszał, jak Dooley biegnie po schodach na górę. Nie widział tego na twarzy chłopca, ale na pewno musi szaleć z radości, ciesząc się nowo nabytą wolnością. Pamiętał własną radość z zakończenia szkoły i... tak, wiązało się to z przyjaciółmi. Oczywiście, że Tommy może u nich nocować.

Przyjaciele jednak nie rozwiązywali całego problemu, co zrobić z wakacjami. On sam wiele lat temu w Holly Springs zawsze się cieszył na coś, miał jakieś plany, coś konkretnego do zrobienia.

Wziął do ręki słuchawkę.

— Dora — powiedział do zaprzyjaźnionej ekspedientki w sklepie z artykułami żelaznymi — czy masz na stanie jakieś króliki?

Przyniósł właśnie do domu klatkę ze lśniącem interesującym czarno-białym olbrzymem belgijskim i postawił ją na jednym ze stopni prowadzących na tylny ganek, gdy zadzwonił telefon.

— Ojciec? — To była panna Sadie. — Myślałam o tym, że wczoraj skończyła się szkoła, i zastanawiałam się, czy Dooley nie chciałby na lato jakiejś pracy? Wie ojciec, że w tym starym domu jest dużo do zrobienia.

— Panno Sadie, porozmawiam z nim na ten temat. Myślałem o tym, żeby wziąć go do pracy w ogrodach przy kościele.

Gdy spotkał się z Cynthią w sklepie, podeszli razem do skrzynek z warzywami. Poproszono ją, aby czytała swoje książki w bibliotece, w ramach letniego programu kulturalnego, i bardzo się z tego cieszyła. Zanim się rozstali przed wejściem pomiędzy półki, zapytała:

— Zastanawiałam się nad czymś. Mojej piwnicy nie zaszkodziłoby gruntowne sprzątnięcie. Myślisz, że Dooley mógłby być zainteresowany? Moglibyśmy też wykopać kilka grządek na kwiaty za domem. Po wujku został tam prawdziwy gąszcz chwastów. Może udałoby nam się zrobić razem klatkę dla królików. Zapłaciłabym mu oczywiście i nauczyłabym go malować farbami akwarelowymi!

— Malować farbami akwarelowymi? Dooleya?

— A dlaczego nie? Rzeczywiście, dlaczego nie? Później odwiedził pastora Hal Owen.

— Przyjechałem do miasta po surowicę. Odkąd nie by warny na kościelnych spotkaniach przy kawie, rzadko się widzimy. Jak się masz, Timie?

— Nieźle, zważywszy na wszystko.

— To znaczy na co?

— Na to, że mam chłopca, który wymaga opieki, mądrości, wskazania, instrukcji, dyscypliny, a co najważniejsze, jakichś planów na wakacje.

— Właśnie dlatego przyjechałem — powiedział Hal, uśmiechając się i wyjmując fajkę. — Myśleliśmy, że może pozwolisz spędzić Wujkowi Doolsowi kilka tygodni w Meadowgate.

Po drodze do sklepu z artykułami żelaznymi, gdzie pastor wybrał się ponownie, żeby zabrać karmę dla królików, którą zostawił na ladzie, spotkał nauczycielkę Dooleya.

— Panno Powell, jak poradziłyśmy sobie w tym roku?

— Zaobserwowałam u Dooleya kilka pozytywnych zmian — odparła, uśmiechając się. — Ale ma jeszcze przed sobą długą drogę do pokonania.

— Aaa... według pani, jaki kierunek powinien obrać?

— Och, zauważyłam u niego wybitne uzdolnienia matematyczne, jeśli tylko potrafi go ojciec zachęcić do dalszej pracy. Ma też niezły cios w baseballu. No i oczywiście, jego głos.

— Jego głos?

— Ależ oczywiście. Wciągnęliśmy go kilka tygodni temu do chóru mieszanego. Miałam to ojcu powiedzieć. Ma cudowny głos i ogromne wyczucie rytmu. To może być prawdziwy talent.

Dooley w chórze! Jakie to niezwykle.

— Jena — powiedział, dzwoniąc w niedzielę do wypoczywającej w domu szefowej szkoły niedzielnej — czy nie zastanawialiśmy się nigdy nad utworzeniem chóru młodzieżowego?

— Cóż, zastanawialiśmy się, ale jakoś nigdy nie udało nam się wcielić tego pomysłu w życie.

— Czy byłabyś wobec tego tak uprzejma, żeby wcielić go w życie teraz? — zapytał.

Zobaczył Barnabę na drugim końcu pola, jak biegnie w jego kierunku. „Szybciej, piesku” — krzyczał. „Szybciej, przyjacielu!” Ale choć Barnaba biegł i biegł, cały czas znajdował się na przeciwnym końcu pola. Próbował więc sam biec do ogromnego, czarnego szczekającego psa, ale miał wrażenie, że tkwi aż do pasa w błocie Missisipi i nie może się ruszyć. W geście desperacji, podyktowanym rozdzierającą tęsknotą, zdobył się na ponadludzki wysiłek, który wydawał się rozsądzać jego serce.

Gdy się obudził zlany potem, Dooley stał nad jego łóżkiem. Sprawiał wrażenie przestraszonego.

— Dlaczego woła ojciec tego cholernego psa? Ten cholerny pies już dawno przepadł! — powiedział brutalnie.

— Ten cholerny pies wcale nie przepadł! — wykrzyknął z nagłym gniewem.

— Zupełnie wybił mnie ojciec z rozumu!

— I bardzo dobrze, niejedno przydałoby ci się z niego wybić — obwieścił, rozpinając górę od pizamy. Nienawidził tych snów, gdy czuł się związany jak mumia, całkowicie unieruchomiony, a jego serce waliło jak oszalałe.

— Wracaj do łóżka — polecił chłopcu, który wciąż starał się przyglądać jego twarzy.

— Nie pójdę, dopóki nie przestanie ojciec krzyczeć.

— Przecież już skończyłem, na litość. Czy tobie nigdy nie przyśnił się żaden koszmar?

— Niejeden — odpowiedział chłopiec, wślizgując się do łóżka pastora.

— Wobec tego wiesz, co to za uczucie.

Oparł głowę na poduszce i spojrzał na zegarek. Czwarta rano.

— Jeden z tych koszmarów przyśnił mi się, gdy byłem na farmie. Śniło mi się, że mój mały braciszek Kenny wpadł do potoku i zamienił się w rybę. Biegłem za nim wzdłuż brzegu i krzychałem: „Kenny,

Kenny, wracaj, nie zamieniaj się w rybę, nie zostawiaj mnie!” Pani Owen powiedziała, że obudziłem Rebeccę Jane, ale że to nic nie szkodzi. Przyszła do mnie i rozmawiała ze mną.

— Tęsknisz za swoim bratem?

— Tak. Był moim najlepszym przyjacielem.

Dobry Boże! Pięcioro dzieci rozebranych jak miot kotów czy psów.

— Opowiedz mi o swoich braciach i siostrach.

— A więc Jessie jest jeszcze dzieckiem, nadal sika w majtki, potem Sammy, ma pięć lat i się jąka. Potem, Poobaw...

— Co znaczy — Poobaw?

— Gdy był mały, mama przyniosła do domu kulę do bilardu z numerem osiem i powiedziała, że to pamiątka. Bardzo mu się ta kula spodobała. Nosił ją ze sobą wszędzie, spał z nią i stąd się wzięło jego imię. Przedtem miał na imię Henry.

— Jaki jest Henry?

— Sika do łóżka, ma siedem lat. Bał się tego pytania.

— Czy wiesz, gdzie oni są?

— Mama powiedziała, że nikomu nie powie, bo wtedy państwo by ich zabrało. Ja odszedłem ostatni.

Nastąpiła długa cisza.

Jeżeli jemu samemu o mało co nie pękło serce, gdy tego słuchał, to co musi czuć Dooley?

— Czy modliłeś się kiedyś za swoich braci i małą siostrę?

— Nie.

— Modlitwa jest sposobem na to, żeby być blisko nich. Nie możesz się z nimi widywać, ale możesz się za nich modlić, i Bóg usłyszy tę modlitwę. To najlepsze, co możesz dla nich teraz zrobić.

— Jak się to robi?

— Po prostu zaczynasz, a później idzie już samo. Mniej więcej tak. Możesz powtarzać za mną.

Ojcze nasz...

— Ojcze nasz...

— Bądź z moim bratem Kennym i pomagaj mu...

— Bądź z moim bratem Kennym i pomagaj mu...

— Być silnym i dzielnym, kochać Ciebie i mnie...

— Być silnym i dzielnym, kochać Ciebie i mnie...

— Bez względu na okoliczności...

— Bez względu na okoliczności...

— I proszę, Boże...

— I proszę, Boże...

— Bądź z tymi, których imiona wymieni teraz Dooley... W głosie chłopca usłyszał determinację i stanowczość:

— Mama. Dziadziuś. Jessie i Sammy, i Poobaw. Pani Ivey z kościoła i Tommy... i ten stary pies... mój królik... panna Coppersmith i stara Violet, i wszyscy inni.

Zagrzebał twarz w poduszcze i naciągnął ją na uszy.

Tykał zegar. Gdzieś, przez otwarte okno w wykuszu, dobiegł go głos piejącego koguta. Nie potrafił zidentyfikować miejsca jego pobytu, ale to pianie często sprawiało mu ogromną radość. Dooley przysunął się do niego i po kilku minutach usłyszał delikatne, świszczące chrapanie. Usiadł i naciągnął koc na ciało śpiącego chłopca.

Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że będzie to cudowne lato dla Dooleya Barlowe'a.

Gdy jego sąsiadka przyszła, żeby zobaczyć nowego królika, usiedli na ostatnim stopniu schodów prowadzących na ganek. Powietrze było ciepłe i balsamiczne, a liśćmi drzew szeleścił delikatny wiatr.

— Dziękuję za to, że przyszedłeś do biblioteki, żeby posłuchać, jak czytam — powiedziała.

— Dlaczego myślisz, że przyszedłem tam, żeby cię posłuchać? Czy nie widziałaś, że przyszedłem tam poczytać „Journal”?

— Ha! — odparła. — Nie przewróciłeś ani jednej strony! Zaśmiał się.

— Naprawdę?

— Tak, i dobrze o tym wiesz.

— Wobec tego, gdy już tak sobie dziękujemy, chciałbym ci powiedzieć, że bardzo mi miło, gdy przychodzisz posłuchać moich kazań, a prezbiterianom każesz się obejść smakiem.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy i uśmiechając się. — Przypuszczam, że już niedługo będę musiała podjąć decyzję, do którego Kościoła wstąpić.

— Czuję się szczęśliwy, gdybym mógł spojrzeć na wiernych i zobaczyć twoją twarz.

Dooley wyszedł na ganek, trzaskając za sobą drzwiami z siatką.

— Hej — przywitał Cynthię.

— Hej — odwzajemniła powitanie Cynthia.

— Nie ma tu żadnej sałaty, żadnej marchwi, niczego! Pastor wyciągnął z portfela banknot dziesięciodolarowy.

— Idź do Avisa i uzupełnij zapasy.

Cynthia patrzyła na czerwony rower, jak zniknął za rogiem domu.

— Czy nie moglibyśmy zrobić czegoś z jego okropnym sposobem wysławiania się?

— I z jego negatywnym stosunkiem do otoczenia? I z jego zachowaniem przy stole? I z jego fatalnym charakterem? I z jego cierpieniem? Jest tak wiele rzeczy, z którymi należałoby coś zrobić.

— Przytłaczające, prawda?

— Bardzo.

— Chciałabym ci dodać otuchy, Timothy. Wydaje mi się, że już zdołałeś cuda.

— Przyczesalem mu koguta, kupilem tenisówki. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby udało mi się osiągnąć coś więcej. Zaufanie jest podstawowym problemem, a on nie ufa nikomu. Jena doskonale

sobie z nim radzi w szkole niedzielnej. Uczy go pewnych podstaw. Poczekam jeszcze trochę i zastanowię się, co dalej.

— A co z latem?

— W ciągu jednego dnia zapełnił mu się cały karnet. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak posłę go na trzy albo cztery tygodnie do Meadowgate. Czeka tam na niego wiele miłości i myślę, że życie na farmie wyjdzie mu na dobre. Potem przywiozę go do domu, żeby pomógł mi przy pracy w kościelnych ogrodach i żeby pomógł tobie wysprzątać piwnice. Co do twoich grządek, sam mogę je wykopać. Kopię grządki od dwudziestu lat, moje referencje są więc niepodważalne.

— Przepraszam. — Obok stała dziewczynka, która już kiedyś przysłała zapytać o Dooleya. — Czy Dooley jest w domu?

— Właśnie wyszedł — odpowiedział pastor. — Ale nie minie sekunda i będzie z powrotem. Może na niego zaczekasz?

— Dziękuję — odparła miękko.

Cynthia poklepała stopień obok siebie.

— Chodź. Usiądź na schodach razem z nami. Przyszłam na chwilę zobaczyć nowego królika.

— Lubię króliki — oznajmiła dziewczynka, siadając.

Miała na sobie sukienkę bez rękawów, odsłaniającą brązowe ramiona. Jej jasne włosy zaplecione były w warkocze. Ładna dziewczynka, która wygląda jak bohaterka jednej z nordyckich baśni, zauważył pastor.

— Jak masz na imię? — chciała wiedzieć Cynthia.

— Jenny. Widzi pani ten czerwony dach? To mój dom. Jeszcze jedna sąsiadka! I kolejna para świetlistych oczu.

— Ja mam na imię Cynthia, a to jest ojciec Tim.

— Miło mi państwa poznać — powiedziała. — Jak ma na imię króliczek?

Cynthia zaśmiała się.

— Chciałam, żeby mu dali na imię Clarence, ale nie chcą mnie słuchać. Czy widzisz go w małych okularkach w rogowej oprawie i tweedowych spodenkach? W każdym razie, nie ma jeszcze imienia. Jak tylko wróci Dooley, coś dla niego znajdziemy. Ja mam dwa króliczki.

— Czy mają imiona?

— Flopsy i Mopsy. To był bardzo pracowity dzień i nie miałam głowy, żeby silić się na oryginalność.

— Ten mógłby się nazywać Cottontail.

— Tak — zgodziła się Cynthia — ale wątpię, żeby się na to zgodzili.

Gdy czerwony rower wyłonił się nagle zza rogu domu, Dooley, który w jednej ręce trzymał torbę z warzywami, a drugą kierował, spojrzął ze zdziwieniem na gościa i nie zwalniając, wjechał prosto w jawor.

Dzwony stały cały czas przykryte brezentem na trawie obok Lord's Chapel, mimo że codziennie usiłował sprowadzić ekipę, która zainstalowałaby je. Wszyscy zatrudnieni byli najwyraźniej do prac przy polu golfowym w Wesley.

— Przedkładając golf nad Pana Boga! — powiedział do Rona

Malcolma. — Oto niezły tytuł kazania. Powinienem znaleźć w sobie dość odwagi, żeby takie kazanie wygłosić!

Powiedzieli, że najwcześniej będą mogli się do tego zabrać w piątek, dwudziestego ósmego czerwca. Zaczną z samego rana o ósmej i do południa dzwony powinny już słodko dzwonić. Zaznaczył tę datę w kalendarzu. Dwudziestego ósmego czerwca? Dlaczego data wydawała mu się taka znajoma? Czy ta zbieżność była zupełnie przypadkowa?

Nie zamierzał sadzić w tym roku nowych róż u siebie w ogrodzie, ale postanowił dodać nową rabatę w przykościelnych ogrodach. Zamówił z katalogu płytkę z upamiętniającym napisem i był zadowolony z kunsztownej ozdobnej czcionki.

„Souvenir de la Malmaison”, ze swoimi różowymi kwiatami o średnicy siedmiu centymetrów, została tak nazwana na pamiątkę słynnych ogrodów cesarzowej Józefiny. Przez lata nie miał odwagi jej zasadzić, ponieważ słynęła z tego, że jest niezwykle wymagająca i bardzo ciężko się przyjmuje. Nie ma sensu odkładać tego na później, powiedział sobie, teraz albo nigdy.

Zamówił też kilka róż pnących „Madame Isaac Pereire”, o których słyszał, że są dużo mniej wymagające, planując, że posadzi je przy wschodniej ścianie. Miały jeszcze cudowniejszy zapach niż „Malmaison”, pachniały ponoć jak rozgniecione maliny. Jaka niezwykła rzecz, róża! Zaczynał odczuwać początki natchnienia przed swoim wystąpieniem na Festiwalu Róż.

— Te dołki powinny być większe — powiedział Dooley, który pomógł mu zasadzić róże przed wyjazdem do Meadowgate. — Te dołki nie są dość duże.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem i tyle.

Gdy wkładali nawóz z kompostu do dołków, pastor zauważył, że zapomniał przynieść drugą parę rękawic.

— Nie boję się krowiego łajna — powiedział chłopiec, zręcznie mieszając nawóz z ziemią gołymi rękami.

— Dobry chłopiec. A co mówiła Jenny, gdy się z nią ostatnio widziałeś?

— Powiedziała, że jest jej przykro, że wpakowałem się w tarapaty z powodu podbitych oczu Bustera Austina. Powiedziała, że sam się o to prosił, że on zawsze się o to prosi.

— Tak, ale czy to zawsze właśnie ty musisz być tym, który daje mu to, o co on prosi?

— Już więcej nie będę.

— Dzięki Ci, Panie. A to dlaczego?

— Bo tak.

— Dlaczego, czy mógłbym się dowiedzieć?

Dooley odetchnął głęboko. Zapadła długa cisza, a potem powtórzył wolno:

— Bo tak.

— A oto nasza propozycja — obwieścił Walter, dzwoniąc przed wieczornymi wiadomościami.

— Wszystko obmyśliliśmy z Katherine. Spotkamy się z tobą na lotnisku w Shannon dwudziestego pierwszego lipca. Pojedziemy razem autobusem na pociąg w Limerick City, a stamtąd do Sligo, gdzie będziemy mieszkać przez trzy tygodnie na wspaniałej starej farmie w pobliżu Lough Gili. Potem wypożyczymy samochód i pojedziemy do Claremorris i Roscommon, a może nawet do Ballinasloe. Margaret twierdzi, że powinniśmy znaleźć jakieś rodzinne archiwa w opactwie w Ballinasloe, ale wiesz, jak ona lubi ubarwiać rzeczywistość.

— W żaden sposób nie mogę tego zrobić teraz, mam zbyt wiele...

— Timothy, na litość boską! Wykręcasz się od tego wyjazdu już od piętnastu lat! Daj spokój, przyjacielu. Jeśli będziesz czekał, aż znajdziesz czas, nigdy nie wychylisz nosa z Mitford.

— To prawda. Zgadzam się z tobą całkowicie.

— Wobec tego zróbmy to! Moglibyśmy oczywiście pojechać z Katherine sami, ale dużo bardziej wolelibyśmy, żebyś nam towarzyszył. Pamiętasz, jak planowaliśmy, że każdego dnia będziemy się rozdzielać i wyruszać w trzy różne strony, żeby tropić rodzinne sekrety, a potem schodzić się wieczorem, przy kolacji, żeby złożyć wszystko w całość? Ile miejsc moglibyśmy w ten sposób sprawdzić! Byłoby to najwspanialsze doświadczenie naszego życia — iść śladem tych pogmatwanych ścieżek i dotrzeć do zamku naszych przodków. Timothy, oto nadeszła odpowiednia chwila! Możesz mi zaufać.

— Walterze, mam teraz chłopca, jak wiesz, przed którym długie lato rozciąga się jak pas startowy odrzutowca. Potrzebuje on kogoś, kto będzie czekał na niego w domu. Jego dziadek odbywa właśnie rekonwalescencję po zapaleniu płuc, jedna z parafianek czeka na przeszczep serca i właśnie w tej chwili powstają plany domu opieki za pięć milionów dolarów. Co więcej, zasadziłem niedawno kilkanaście bardzo drogich róż, których będę musiał doglądać. Musisz mnie zrozumieć, po prostu nie mogę tego zrobić. Może za rok...

— Kuzynie, oszukujesz się. Zawsze będzie jakiś chłopiec, dom opieki i ktoś chory na zapalenie płuc, że tak powiem.

Zauważył, że głos Waltera zdradza prawdziwe rozczarowanie.

— Jest mi tak przykro, że za każdym razem mówię „nie” temu cudownemu marzeniu...

Głos uwiązał mu w gardle. Poczul się strasznie rozczarowany swoją wieczną niemożnością zebrania się i wyruszenia, podjęcia zdecydowanego działania i przejęcia kontroli, i zrobienia tych wszystkich rzeczy, które tak łatwo przychodziły innym i za które świat tak bardzo ich podziwiał.

Bywały chwile, kiedy myślał, że wyjazd do Irlandii jest jedną z najbardziej realnych rzeczy w życiu. Czuł radość w sercu, zaczynał planować, czytać, a nawet marzyć o tym. Potem nagle podróż zdawała mu się absurdalnie niemożliwa. Trywialna pogoń za fantazją, w świecie pełnym cierpień i bólu. Myśl o wyjeździe po to, żeby włączyć się w poszukiwaniu nieżyjących przodków i wątpliwych ruin zamku, wydawała się mu zwyczajnie próżna.

— A poza tym — dodał, czując nagły przyływ energii — skradziono mi Barnabę, a jeśli zadziała ta nagroda w wysokości dwóch i pół tysiąca dolarów, a wielu tak myśli, ktoś powinien być w domu, żeby go przywitać.

Proszę! Oto argument, którego Walter nie zdoła podważyć. W żaden sposób.

— Cóż, oczywiście — odparł rozsądnie jego kuzyn. — Masz rację. Katherine będzie rozczarowana, ale być może mimo wszystko uda się nam rozniecić nasz entuzjazm i pojedziemy sami, tylko we dwoje. Przywieziemy nasze odkrycia do domu i zobaczymy, co ty na nie powiesz.

— Tak! — odpowiedział z ogromną ulgą. — To wspaniały pomysł. Wy zbadacie teren, ja przestudiuję materiały, daty i postaram się złożyć wszystko w logiczną całość, a potem może moglibyśmy pojechać jeszcze raz wszyscy i uzupełnić białe plamy.

Dlaczego musiał to powiedzieć? Zawsze musiał coś obiecać i do czegoś się zobowiązać.

Trzynastego czerwca, pamiętając datę z rogu listu Willarda Portera, poszedł do panny Sadie z urodzinową kartką. Spacer pod górę bardzo go rozgrzał i żałował, że nie ma na sobie ubrania treningowego — już od tygodni nie myślał w ten sposób. Musi zadzwonić do Hoppy'ego, ale na samą myśl, że przyjdzie mu powiedzieć prawdę o zaniedbaniu programu ćwiczeń i diety, czuł ogromną niechęć.

Radził sobie tak dobrze przez tyle czasu, a potem zupełnie stracił kontrolę. Kilka dni bez lekarstw, kilka zakazanych potraw na talerzu i zanim się obejrzał, znowu miał nadwagę, czuł się zmęczony, przygnębiony i ogólnie rzecz ujmując, rozgniewany tym, że w jego życiu tak wszechwładnie rozpanoszył się ten nieznośny nieład.

Gdy Louella zaproponowała mu kawałek kokosowego ciasta urodzinowego, zareagował tak ostro, że aż się przestraszyła.

— Przepraszam, Louello, to nie na ciebie jestem zły, ale na siebie. Proszę, wybac mi.

Panna Sadie krzątała się po salonie, kładąc róż na półeczki i przygotowując się do wyjazdu z Louellą do miasta, gdzie zamierzała kupić w drogerii patyczki do czyszczenia uszu.

— Miło mi widzieć, że udało się pani pokonać zmęczenie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! — Pocałował ją w czoło. — I życzę pani jeszcze wielu następnych.

— Przyjmę wszystko, co raczy zesłać Bóg! — odpowiedziała wesoło. — I chciałam powiedzieć ojcu, że jestem bardzo szczęśliwa, ponieważ Olivia Davenport bardzo chętnie weźmie kapelusze mamy. Była jednak trochę zaskoczona, jak sędzę, gdy jej powiedziałam o trzydziestu dwóch.

— Dopilnuję, żeby ktoś się tym zajął w ciągu kilku najbliższych dni. A teraz, co mogę zrobić dla pani z okazji urodzin? Mam około pół godziny.

Myślał, że może będzie chciała, żeby przesunął jakiś mebel albo zaniósł coś do piwnicy.

— Zrobił już ojciec i tak za dużo. Za dużo! Gdyby jednak któregoś dnia znalazł ojciec trochę czasu, bardzo chciałabym wiedzieć, co jest wyrzeźbione na belce na poddaszu Willarda.

Ogarnęło go dziwnie przygnębiające uczucie, gdy Dooley poszedł do swojego pokoju, żeby spakować się do Meadowgate. Wiedział, że będzie się czuł samotny — dom już teraz wydawał mu się opuszczony. Co robił przez te wszystkie lata bez psa i bez chłopca, zdany jedynie na wieczną monotonię własnego towarzystwa? Przypuszczał, że nie zauważał nawet swojej samotności, potwierdzając w ten sposób trafność starego powiedzenia, że „nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało”.

Chodził nerwowo po salonie, myśląc. To tylko na dwa, trzy tygodnie. Pomyśl, co możesz tutaj zrobić bez ciągłego przeszkadzania, bez kielbasy bolońskiej do usmażenia, bez hamburgerów do przygotowania, bez dzinsów do wyprania, bez śpieszenia z pomocą przy odrabianiu zadania domowego. Próbował sobie wyobrazić, jak siedzi z nogami do góry, czytając książkę arcybiskupa Careya, ale jakoś wcale nie wydawało mu się to interesujące.

Usłyszał, jak Dooley schodzi z łomotem po schodach, targając walizkę, która najwyraźniej musiała być wypełniona kamieniami.

— Co ty tam ze sobą zabierasz?

— Tylko kilka starych gratów dla Rebeki Jane.

— A co dokładnie?

— Piłkę, starą ciężarówkę, takie rzeczy.

— Hal będzie tu za chwilę. Proszę, żebyś pamiętał, o czym rozmawialiśmy.

— Mam mówić: „proszę” i „dziękuję”, nie przeklinać, myć ręce, nie odpowiadać niegrzecznie pani Owen, zmieniać bieliznę, słać łóżko. To wszystko, nie?

— Nie, to nie wszystko — odparł pastor.

— I odmawiać modlitwę?

— Tak, dobry chłopiec. Będę do ciebie dzwonił dwa razy w tygodniu i spróbuję tam przyjechać już wkrótce. Wszystko jasne, nie?

Ze zdziwieniem stwierdził, że właśnie zakończył zdanie w taki sam sposób jak Dooley, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Dobrze, że Dooley Barlowe wyjeżdża na jakiś czas, bo w przeciwnym razie zaczęłyby mówić dokładnie tak jak on.

Miał oczywiście rację. Dom wydawał się opuszczony jak stare zamczysko. Słyszał swoje kroki, jak niosą się głuchym echem po korytarzu.

Wyciągnął z lodówki dwie marchewki i poszedł do garażu.

— Cóż, Jack — powiedział, pochylając się i wsuwając marchewki do klatki królika — zostaliśmy sami, tylko ty i ja.

Poszedł z powrotem do salonu i spojrzął na zegar na kominku. Pięta piętnaście. Może powinien pobiegać. Punny dzisiaj nie przyszła, więc może pójdzie do Sklepu i kupi coś na kolację. Był przeraźliwie głodny, ponieważ zupełnie przypadkowo nie zjadł dzisiaj lunchu. Pracował nad kazaniem do dwunastej trzydzieści, a potem zaczął dzwonić telefon i całe popołudnie minęło jakoś niezauważenie, później przyszedł do domu, żeby pożegnać Dooleya, i oto teraz stał na środku pokoju, czując się tak samotny, jakby stracił właśnie ostatniego przyjaciela. Spojrzął na park Baxter schowany do połowy za żywopłotem z rododendronów. Promienie słońca delikatnie oświetlały rozległy, nie ogrodzony teren, otoczony ze wszystkich stron ciemnozielonym żywopłotem.

Co za skarb ten park, a mimo to prawie nigdy z niego nie korzystał, ani nawet nie zachęcał Dooleya, żeby się tam wybrał. Idealne miejsce, żeby usiąść i poczytać. Usiąść i pomyśleć. Wybrać się na piknik.

Piknik?

Zaglądnął do lodówki i znalazł cztery cytryny, z których przygotował dzban lemoniady. Znalazł też kurczaka do zjedzenia na zimno, a potem duży kawałek sera brie i bułki z ciasta francuskiego. Ze śniadania zostało trochę jagód i chleb bananowy Punny, który nie był nawet zaczęty.

Włożył to wszystko do koszyka na piknik, razem z serwetkami z adamaszku i sztywno nakrochmalonym obrusem, który wyciągnął z dolnej szuflady kredensu. Zatrzymał się nagle i pokiwał głową. Po raz kolejny zaczął wszystko od końca.

— Cynthia? — zapytał, gdy odebrała telefon. — Czy chciałabyś się wybrać na piknik?

Obawiał się najgorszego. Miała już najprawdopodobniej w planie jakieś wyjście do country klubu albo kolację połączoną z zabawą taneczną, do muzyki granej przez orkiestrę w pełnym składzie.

— Chciałabyś?

Z pewnością nie zamierzał zrobić wrażenia aż tak uradowanego.

Cynthia w dzinsowej spódnicy i batystowej bluzce siedziała na obrusie, z dużą serwetką na kolanach. Podniosła do góry dłonie.

— Chyba nie pada?

— Oczywiście, że nie. To tylko rosa z liści. Nie deszcz.

Nalał lemoniadę do kryształowych szklanek. Jak bardzo zadowolony był ze swojego pomysłu, który tak bardzo różnił się od tego, co zazwyczaj przychodziło mu do głowy. Być może nie był więc tak zupełnie nudny, wbrew temu co czuł, gdy rozmawiał z Walterem.

— Cynthio — powiedział, unosząc do góry szklankę — za twoją kolejną książkę i za twoje wszystkie następne książki! Za twoje ilustracje, niech ożywają na papierze! Za twoje szczęście, zdrowie i za twoją pomysłowość!

Opróżnili szklanki.

— Jej, to dopiero był toast. Wielkie nieba!

— Piknik, Cynthio, tylko pomyśl! Kiedy ostatni raz byłaś na pikniku?

— Mam ci powiedzieć prawdę?

— Oczywiście. Zawsze.

— Wczoraj — powiedziała zwyczajnie.

Był zrozpaczony. A przez chwilę wydawało mu się, że jest pomysłowy i oryginalny, aż tu dowiaduje się, że jego pomysł to chleb powszedni i codzienna szarzyzna. Andrew Gregory, domyślał się, czując, jak jego spodnie wilgotnieją od parującej trawy.

— Razem z Violet znalazłyśmy porośnięty mchem brzeg nad Little Mitford Creek i zjadłyśmy piknik złożony z jajek w szklance, prażonej kukurydzy i tostu z tuńczykiem.

Poczuł taką ulgę, że miał ochotę krzyknąć. Przebywanie w towarzystwie Cynthii było niczym jazda kolejką górską, jego emocje to wznosiły się, to opadały, i to w zupełnie nie kontrolowany sposób.

— Szkicowałam biedronki i mech, było cudownie. Violet spała w słońcu, a motyl usiadł na jej uchu. Możesz to sobie wyobrazić?

Mógł, ale z dużym trudem. Oparł się o ławkę, w pobliżu której rozłożyli obrus. Z pewnością znalazł się u samych bram nieba — wiał tu delikatny wiatr, daleko za sobą zostawił zdominowany troską o zdobywanie i wydawanie pieniędzy świat, a co najważniejsze, miał u swojego boku kogoś, z kim rozmowa była przyjemnością.

Gdy zapadał zmierzch, nadal siedzieli w parku, wsłuchując się w głośny, wibrujący śpiew ptaków ukrytych w żywopłocie.

Wiedział, że prędzej czy później ją o to zapyta, ale za każdym razem, gdy o tym myślał, jego serce waliło mocno.

— Cynthio — powiedział w końcu, zadowolony z zapadającego zmroku — co to dokładnie znaczy... z kimś chodzić?

— Cóż, to jedna z tych cudownych rzeczy, która znaczy dokładnie to, co znaczy. Spotykasz się z kimś i wychodzicie razem w różne miejsca. Regularnie! I nie spotykasz się z nikim innym.

— Ja już teraz nie spotykam się z nikim innym.

— Dobrze, ale ja się spotykam. Albo się spotykałam! Albo nawet mogłabym znowu zacząć.

Przechyliła głowę na bok, uśmiechając się.

— Dlaczego nie mogłoby zostać tak, jak jest? — zapytał z lekkim rozgoryczeniem.

— Na razie wszystko jest bardzo... nieoficjalne. Nigdy nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę. Byłoby cudownie mieć jakieś wspólne plany, na przykład wyjście do kina albo kolacja u mnie, takie zwyczajne rzeczy.

— Nie rozumiem, dlaczego musimy ze sobą chodzić, żeby robić takie rzeczy.

— Oczywiście, że nie musimy. Byłoby po prostu milej wiedzieć, że jest ktoś specjalny, wyróżniony.

Odchrząknął.

— Widywałaś się z... Andrew Gregorem, jak przypuszczam.

— Andrew jest cudowny, naprawdę. Taki ujmujący i zabawny.

Ale on cały czas mówi o Churchillu, a ja nie znoszę Churchilla! Był okropny dla swojej żony, nieuprzejmy dla gości i przeklinał jak szewc. Za każdym razem, gdy wybieraliśmy się do klubu, aż ścisnęło mnie w żołądku. Ja po prostu nie nadaję się na takie imprezy. Poza tym on lubi brydża, a ja nie znoszę! Spojrzała na niego uważnie.

— Jesteś z pewnością najbardziej interesującą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem.

— Mówisz szczerze?

— Tak. W twoim towarzystwie czuję się swobodnie, jesteś wrażliwa i dowcipna, jesteś nieprzeciętnie uzdolniona i tak, bardzo śliczna.

Proszę. Nareszcie powiedział wszystko.

Dlaczego było to takie trudne? Zadała mu przecież tylko proste pytanie, na które należało odpowiedzieć tak lub nie: „Czy chciałbyś ze mną chodzić?” On, musiał to przyznać, czuł się zobowiązany napisać w odpowiedzi całe kazanie.

— Mówiąc szczerze — powiedział — boję się wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić...

— Twojej pracy.

— Tak.

— Typowe.

— Jak to: typowe?

— Mężczyźni zawsze się obawiają, że ktoś mógłby przeszkodzić im w pracy.

Zacząła robić wrażenie rozniewanej.

— Mógłbyś spróbować spojrzeć na to jak na coś, co uatrakcyjnia twoją pracę, jak na pozytywną odmianę, która mogłaby ci w niej pomóc.

Nowe spojrzenie na ten problem, pomyślał z pewnym zdziwieniem.

— Wiesz, ściskanie w żołądku towarzyszące przyjęciu w klubie jest niczym w porównaniu z tym, co czuję teraz.

— Co czujesz?

— Jestem taka zdenerwowana, że mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Nigdy w życiu nie kłóciłam się z nikim o taką sprawę. Nie miałam pojęcia, że proste pytanie może się zamienić w platońską debatę. Nie prosiłam cię przecież, Timothy, żebyś się ze mną ożenił!

Wstała gwałtownie i on też wstał, chwytając ją za ramię.

— Proszę! Nie złość się na mnie. To było cudowne pytanie, powinienem czuć się zaszczycony i bezgranicznie wdzięczny, że mnie o to zapytałaś. Przepraszam.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, objął ją i przyciągnął do siebie. Ogarnął go słodki zapach wistarii, który zdawał się przesycać nawet delikatne ciepło jej oddechu, jaki czuł na swoim policzku. Jej miękkość była dla niego szokiem, dla twierdzy, która strzegła spokoju i porządku jego serca, i zdał sobie sprawę, że jego serce wcale nie bije dziko, ale jest zupełnie spokojne.

Najpierw go usłyszeli, a dopiero potem poczuli.

— Deszcz! — krzyknęli zgodnie i porywając koszyk i obrus, pobiegli przez park, szukając schronienia przed strugami ulewnego deszczu.

Uczucie spokoju nadal tu jest, myślał, leżąc w łóżku o trzeciej nad ranem i słuchając szmeru deszczu. To uczucie było namacalne, nieskażone troską czy wątpliwością. Modlił się za Cynthię, podziwiając odwagę, z jaką zadała to pytanie. „Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski” — napisał święty Paweł w Liście do Hebrajczyków. Podobała mu się jej śmiałość!

Nagle poczuł radość i słodką ekscytację na myśl o nadchodzącym lecie, jakby to jego własna szkoła się skończyła.

W pewnej chwili zaczęło mu się zdawać, że grzmot przeszywa jego łóżko.

Przerażony, usiadł w pościeli i zobaczył, że jego sypialnię wypełnia błyskające i dziko wirujące światło. W dźwięku, który przesycał powietrze niczym dodatkowy wymiar, wyodrębnił dziwnie znajomy rytm: tak, tak, tak, tak, tak.

Wyskoczył z łóżka i podszedł do okna w wykuszu, ale nie widział nic poza błyskającym światłem, które wydawało się zataczać gwałtowne kręgi, jak promień latarni morskiej. Bez włączania światła na korytarzu zbiegł po schodach do okna kuchennego.

Helikopter! W parku Baxter. Biegący ludzie, a obok, widoczne przez sekundę w wirującym świetle, niebieskie volvo Hoppy'ego.

Dobry Boże! Olivia!

Wsunął stopy w stojące przy drzwiach buty do pracy w ogrodzie i pobiegł do żywopłotu, a potem dalej, w kierunku oślepiającego światła i przyprawiającego go o mdłości ogłuszającego huku.

Zobaczył, jak Hoppy i dwóch innych mężczyzn wyciąga z samochodu Olivię.

— Jestem tu! — krzyknął, próbując pokonać rodzącą się w nim burzę uczuć.

— Módl się! — zwołał Hoppy, trzymając ją w ramionach. Olivia spojrzała na niego i wyciągnęła w jego kierunku dłoni.

Zdołał jedynie dotknąć jej palców, gdy Hoppy biegł z nią do otwartych drzwi helikoptera, a potem umieścił ją w wyciągniętych na zewnątrz rękach. Następnie sam wspiął się do środka i zamknął drzwi. Ktoś wycofał samochód, jadąc przez park Baxter i zostawiając w namokłej od deszczu trawie głębokie koleiny. Prawie natychmiast helikopter zaczął się unosić, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu znikł ponad wierzchołkami drzew

— List do Filipian, cztery trzynaście, na litość boską — szepnął chrapliwie w ciemności, która nagle go otoczyła.

— Co za straszny koszmar! Co się stało?

Cynthia przeszła przez żywopłot, świecąc sobie latarką.

— To Olivia. Nie znam dokładnie celu akcji. Modłę się, żeby leciała po swoje nowe serce.

Żeby leciała po swoje nowe serce! Cud nad cuda. Cynthia wzięła go za rękę, upuszczając latarkę. Świeciła teraz wprost na jego stopy.

— Ojej — powiedziała, spoglądając w dół.

Zgubił jedną tenisówkę, druga pokryta była błotem, spodnie piżamy miał przemoczone prawie do kolan, a Violet wachała jego kostkę.

Objął Cynthię i przytulił do siebie. Jak cudownie było kogoś przytulić, szczególnie po szoku tej niepokojącej misji w parku.

— Tak przyjemnie — szepnęła, opierając twarz na jego ramieniu i głaszcząc policzek. — Dwa słodkie objęcia w ciągu jednego wieczoru. To prawie tak wspaniałe jak...

— Jak chodzenie ze sobą?

— Uhm. Zaśmiał się lekko.

— Prawie, może. Ale na pewno nie całkiem.

Była już czwarta trzydzieści nad ranem, gdy upadł na kolana przy swoim łóżku i zaczął się żarliwie modlić. Kiedy się podniósł, słysząc, jak trzeszcza mu stawy, i poczuł nagle palące pragnienie, zauważył z niedowierzaniem, że jest szósta.

Przez cały dzień czuł się nieswojo, jakby tracił grunt pod nogami. Problemy ze snem, narastające zmęczenie, być może to po prostu kwestia wieku. Zapomniał zadzwonić do Hoppy'ego, ale zważywszy na okoliczności, nie miało to większego znaczenia. Zobaczy go na pewno w następnym tygodniu, zakładając, że Hoppy wróci z miejsca, które było celem jego podróży. Jeśli nie wróci, to z pewnością nie chce się widzieć z nowym lekarzem, Wilsonem, który ma jeszcze mleko pod nosem.

W skrzynce na listy w kancelarii czekała kartka od Emmy.

„Bawię się doskonale, wcale nie żałuję, że cię tu nie ma, ha, ha. Szkoda, że nie widziałeś, jak Harold rozmawiał z Myszką Miki, zrobiłam całą rolę filmu. Gorące ucałowania, Emma”.

Zaszedł do baru Grill na późne śniadanie. Znajome otoczenie i wścibstwo Percy'ego, od którego można się było uzależnić, przyniosły mu ukojenie.

— Słyszałem, jak wczoraj w nocy w parku wylądował helikopter. Śmiertelnie przestraszył Velmę. Prawdę powiedziawszy, ojciec sam wygląda tak, jakby ktoś wystraszył ojca na śmierć. Jest ojciec biały jak prześcieradło.

— Przychodzę szukać pocieszenia, a w zamian spotykam się z krytyką i naganą. Czy naprawdę jestem biały jak prześcieradło?

— Wygląda ojciec na wykończonego. Niezdrowo. Jest ojciec popielaty na twarzy...

— Wystarczy. Bardzo dziękuję.

— Nie ma za co.

Usiadł w boksie i posmarował tost masłem. Właśnie teraz, gdy powinien odczuwać powiew drugiej młodości, czuł się zmęczony i wypalony. Zdawało mu się, że nadszedł odpowiedni czas, żeby napisać do Stuarta Cullena, a może nawet, żeby spotkać się z nim osobiście. Sama myśl o długiej jeździe wydawała mu się koszmarem. Może wzięłby ze sobą Cynthię. Proszę! Wspaniały pomysł. Na pewno bardzo przypadłyby sobie do gustu z Martha, a czy przy okazji nie udałoby mu się zupełnie zaskoczyć Stuarta?

„Chodzi o to...” — wytłumaczyłby mu. To znaczy, o co? Cóż, oczywiście nie wiedział dokładnie, pozwoliłby więc Stuartowi, żeby sam na to wpadł, a potem powiedziałby mu.

J.C. Hogan wsunął się do jego boksu razem ze swoją pękatą, nie domkniętą teczką.

— Kiedy dostanie ojciec list od człowieka z poddasza? Muszę zapłacić wolne miejsca, zmałało zapotrzebowanie na reklamę.

— List od George'a Gaynora nie jest wypełniaczem w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale właśnie przyszedł i mogę ci go dać w następnym tygodniu.

— Za późno. Chciałbym go dostać dzisiaj, do poniedziałkowego wydania.

— Pozwól, że skończę śniadanie. Właśnie wracam z kancelarii, ale pójdę tam jeszcze raz.

J.C. wstał, zahaczając o stół i sprawiając, że śniadanie pastora nieomalże wylądowało na jego kolanach.

— Niech ojciec wejdzie na górę. Będę robił rozkładówkę.

— W porządku — odparł chłodno ojciec Tim.

Coot Hendrick wślizgnął się do boksu. Na głowie miał czerwoną czapkę ze sklepu z artykułami żelaznymi.

— Chciałbym, na Boga, żeby człowiek mógł dostać w tym lokalu talerz żołądków.

— Żołądków?

— Wychowałem się na żołądkach, lubię je bardziej niż mięso.

— Nic z tego, tutaj na pewno nigdy nie dostaniesz talerza żołądków! — wrzasnął Percy, który stojąc przy kuchni, słyszał wszystko, co się mówi w boksie.

— Miał ojciec jakieś wiadomości o psie? — chciał wiedzieć Coot.

Zamoczył kawałek tostu w żółtku jajka.

— Żadnych.

— Wątpię, żeby miało być inaczej.

— Naprawdę?

— Gdyby ukradł go ktoś z okolicy, rzuciłby się na tę nagrodę jak chart na zająca. Nie, proszę ojca, myślę, że tego psa już dawno tutaj nie ma.

Percy rzucił łąpatkę, której używał do smażenia, i podszedł do nich.

— Pozwól, że coś ci powiem, chłopczyku. Jeszcze jedno słowo do ojca o tym, że tego psa już dawno tutaj nie ma, i to ciebie tutaj za chwilę nie będzie, słyszysz?

— Nie musisz się od razu tak jeżyć — odparł Coot. — To przecież tylko pies.

— Jedynym facetem, jakiego stąd kiedykolwiek wyrzuciłem, był Parrish Guthrie. Powiedziałem, że on będzie jedynym, i nie chciałbym złamać obietnicy. Może przeniesiesz się i usiądziesz tam pod oknem?

Coot wstał, nie spuszczać wzroku z właściciela, i przemaszerował do stołu pod oknem.

— Niech ojciec nie zwraca na niego najmniejszej uwagi — powiedział gniewnie Percy. — On nie ma za grosz rozumu.

— Nie musiałeś tego robić, Percy, ale dziękuję ci. Wszystko w porządku, Coot nie miał złych zamiarów.

Właśnie wtedy otworzyły się gwałtownie drzwi i do baru wszedł, opierając się na kuli, Bezdomny Hobbes.

— Ojcie Timie! — krzyknął. — Czy jest tu ojciec? Znalazłem ojca psa! Znalazłem Barnabę!

Pastor wyskoczył gwałtownie z boksu i stanął nieruchomo przy ladzie.

— Jest wysoko w górach, po drugiej stronie strumienia. Przywiązali go, widziałem na własne oczy. Poszedłem tam zanieść jedzenie choremu biedakowi. Stary Barnaba zobaczył mnie i zaczął szczeleć jak opętany. Kilku niezłych oprychów wyszło z domu i zaciągnęło go do środka.

— Jak wyglądał?

— Serce mi się kroi, że muszę to ojcu powiedzieć. Wyglądał na wygłodzonego, źle.

— Dzwonię do Rodneya — oznajmił Percy, biorąc do ręki słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

— Rozpytywałem dookoła o te niebieskie ptaki, które tam mieszkają. Mówią, że to straszne typy, narkotyki albo coś równie podejrzanego. Jeden gość ostrzegał, że mogą być uzbrojeni. Chciałbym, żeby Rodney był bardzo ostrożny.

W czasie gdy kilku klientów, którzy przyszedli do baru na wczesny lunch, przyglądało się w ciszy rozwojowi akcji, Percy podał słuchawkę ojcu Timowi.

— Jest na linii.

— Witaj, Rodney! Stało się coś cudownego. Bezdomny mówi, że widział Barnabę przy domu w górze w pobliżu strumienia. Tak, tak. Mówi, że jest trochę wychudzony. Rozumiem. Zapytam go.

— Czy możesz powiedzieć Rodneyowi, gdzie jest ten dom?

— Myślę, że sam tam nie trafi. Będę musiał z nim pojechać, żeby pokazać mu drogę.

— Rodney, on musiałby z tobą pojechać, to w górze, po drugiej stronie strumienia. Mówi, że słyszał, że mogą być uzbrojeni, mogą mieć coś wspólnego z narkotykami. Tak. Dobrze. Będziemy w barze.

— Czy ktoś chce pączka na koszt firmy? — zaproponował Percy klientom.

Uścisnęła rękę Bezdomnemu i Rodneyowi.

— Wobec tego będę czekał na was w domu. Niech Bóg was prowadzi.

Percy przyglądał się odchodzącym mężczyznom.

— Wiem, że Bezdomny przychodzi do miasta we wtorki wieczorem, żeby przejrzeć odpadki u Avisy, ale dzisiaj po raz pierwszy widziałem go w biały dzień.

Była już prawie trzecia po południu, gdy policyjny radiowóz zatrzymał się przy chodniku. Stał w drzwiach, czekając na Rodneya zbliżającego się do domu. Od razu zobaczył, że misja się nie powiodła.

— Nic — powiedział szef policji. — Cały czas gubiliśmy się, próbując znaleźć drogę, którą szedł Bezdomny, i gdy w końcu dotarliśmy do tego domu, był zamknięty na głucho. Nikogo nie było w środku, nie czekał żaden pies, nic. Ciężko mi to mówić.

Rodney stał, opierając stopę na schodku. Wyglądał na przygnębionego.

— W takim razie...

— Widzieliśmy w pobliżu dwa stare samochody: osobowy, przykryty brezentem, i dostawczy, wepchnięty w krzaki.

— Sprawdziłeś numer rejestracyjny samochodu osobowego?

— Tak. Zapisałem w raporcie. Chwileczkę — powiedział, podchodząc do samochodu i podnosząc z przedniego siedzenia notatnik. — Proszę bardzo, o, jest. VAT 7841.

— Zgadza się! Samochód z taką rejestracją zabrał Barnabę. Zupełnie wyleciało mi to z głowy i przypomniałem sobie dopiero teraz. VAT!

— Będę mieć ten dom na oku. To wszystko, co mogę zrobić. Dzisiaj wieczorem pošlę tam jeszcze raz Joe Joe i jutro znowu. Coś znajdziemy. Ponieważ miał go ojciec ponad trzy dni, prawo stanowe mówi, że pies należy do ojca, jest więc sprawą oczywistą, że go porwali, a na dodatek dokonali napaści. Nie mają najmniejszych szansy.

Czuł się rozdarty pomiędzy uniesieniem i rozczarowaniem.

— Dziękuję ci, przyjacielu. Informuj mnie na bieżąco. Poszedł do salonu i usiadł na sofie, czując ogromne zmęczenie.

Poczuł też dotkliwe pragnienie, które — jak wiedział — było ostrzeżeniem, ale był zbyt zmęczony, żeby wstać z sofy i nalać sobie szklankę wody.

— Tylko minutka — wymamrotał na głos, opierając głowę na oparciu sofy. — Tylko minutka.

W sobotę wieczorem zadzwonił telefon.

— Ojcie Timie, to ja, Joe Joe.

— Joe Joe!

— Poszedłem tam, rozejrzałem się, ale niczego nie znalazłem. Próbowałem pukać do kilku domów przy drodze, ale natknąłem się jedynie na starszą kobietę i dwójkę małych dzieci, nie wiedzieli zbyt wiele. Okolica tam niezbyt przyjemna, to właśnie stamtąd pochodził do niedawna cały nielegalny alkohol. Proszę się jednak nie martwić, pójdę tam znowu jutro, zaraz po kościele.

Kościół! Zupełnie wyleciała mu z głowy myśl przewodnia jutrzejszego kazania.

— Dziękuję, Joe Joe, niech ci Bóg błogosławi — odparł, idąc od razu do biurka.

Właśnie! „Ciężkie czasy, wrażliwe serca”. Tekst wydał mu się zapisany staranniejszym niż zwykle i właściwie uporządkowany. Wyłączył światło i poszedł na górę. Dobrze przespana noc i niedziela — z towarzyszącym jej stresem — za nim, i będzie jak nowo narodzony. Może w następnym tygodniu zaprosi Cynthię do kina.

— Nic — powiedział Rodney, dzwoniąc po mszy. — Joe Joe poszedł tam i wrócił z pustymi rękami. Samochody stały na swoim miejscu, a po psie nie było ani śladu, z wyjątkiem kilku placków w miejscu, gdzie — jak przypuszczam — był przywiązany. Wie ojciec co? Zamierzam zaufać instynktowi i we wtorek postawię na czatach w lesie, w pobliżu domu, jednego z moich ludzi. Może wystraszył ich policyjny radiowóz, ale wiem, że jestem na dobrym tropie.

— Bycie na dobrym tropie to twój zawód i jesteś w tym niezrównany. Pamiętasz, jak zaintrygowało cię to opakowanie z batonika?

— Trzeba szukać drobiazgów — powiedział autorytatywnie Rodney.

Zaledwie zdążył odłożyć słuchawkę, gdy telefon zadzwonił ponownie.

— Wybiera się ojciec dzisiaj do nas?

— Dooley! Nie, nie. Nie dzisiaj.

— Myślałem, że może ojciec przyjedzie.

— Chciałbym przyjechać w następną niedzielę, ale nie dzisiaj, bardzo dużo się działo ostatnio.

Wydaje się nam, że znaleźliśmy Barnabę.

— Niemożliwe!

— Ależ tak. Zobaczymy. Rodney zamierza wysłać do lasu człowieka, żeby obserwował to miejsce. To w górach. Po drugiej stronie strumienia. Bezdomny poszedł tam zanieść komuś jedzenie i zobaczył go. Mówił, że Barnaba czekał na niego.

— To cudownie — cieszył się Dooley. — To wspaniale!

— Będę cię informował na bieżąco. A ty dobrze sobie radzisz?

— Tak, ale Rebecca Jane cały czas śpi, prawie. Bawiłem się już ze wszystkimi psami i jeździłem na tym starym koniu...

— Wobec tego będziemy w kontakcie. Robisz to, o czym rozmawialiśmy?

— Zapomniałem zmienić wczoraj wieczorem bieliznę.

— Dzisiaj masz więc kolejną okazję.

— Niech ojciec powie ode mnie „cześć” dziadkowi.

— Dobrze.

— I Cynthii, i Violet, i Jackowi...

— Dobrze.

— W takim razie, do widzenia — pożegnał się Dooley, odkładając słuchawkę.

Ogarnęło go ciepłe uczucie, gdyż zdał sobie sprawę, że Dooley Barlowe tęskni za domem.

Przygotowywał się właśnie do wzięcia gorącego prysznica, gdy zadzwonił znajdujący się obok łóżka telefon.

— Ojcze?

Głos jego lekarza powiedział mu wszystko.

— Ma to już za sobą! Wszystko w najlepszym porządku, odpoczywa. Leo Baldwin jest prawdziwym mistrzem. Dzięki Bogu za Leo. Skończyli wczoraj o ósmej wieczorem. Zadzwoniłbym wcześniej, ale nie byłem w stanie, zasnąłem na łóżku w gabinecie Leo i nie miałem pojęcia o Bożym świecie. Dzisiejszy dzień był szalony, to... — Głos uwiązł mu w gardle. — To cudowna odpowiedź na modlitwę, ojcze, dziękuję, szczerze dziękuję.

Jeszcze nigdy nie słyszał swojego przyjaciela mówiącego w ten sposób i ogarnęła go ogromna fala radości.

— Opowiedz mi wszystko, jeśli masz siły.

— Polecieliśmy helikopterem do Charlotte, a stamtąd samolotem do Bostonu. Na lotnisku czekała karetka. W Mass General byliśmy w niecałe trzy godziny. Dawcą był chłopiec, osiemnastoletni, jazda motocyklem bez kasku, zamknięty uraz głowy. Parszywa sprawa. Podłączyli go do respiratora na miejscu wypadku, przywieźli do szpitala, prześwietlili mu głowę, krew nie dopływała do mózgu. Lekarz z pogotowia zadzwonił do Leo, Leo porozmawiał z rodzicami, wyrazili zgodę i Leo zadzwonił do mnie. Jaki niesamowity, niewiarygodny cud! Jeden na tysiąc, wiesz. — Hoppy milczał przez chwilę, a

potem odchrząknął. — Zostanie w Mass, dopóki nie upewnimy się, że przeszczep się przyjął, prawdopodobnie kilka tygodni, a potem Leo chciałby, żeby została w Bostonie przez cztery do sześciu miesięcy.

— To ta zła wiadomość.

— Będę tu przyjeżdżał, kiedy tylko będę mógł. Dzięki Bogu za Wilsona, dostałem go w samą porę.

— Bóg zawsze wie, kiedy nadchodzi właściwa pora.

— Zaczynam to rozumieć, nawet w przypadku... Carol.

— Zdobądź imiona rodziców, którzy wyrazili zgodę. Chciałbym się za nich pomodlić.

— W porządku.

— Kiedy wracasz do domu?

— Rano, ten sam stary Hoppy, z czerwonymi jak królik oczami. Wilson chyba już pada z przeciążenia, ale jest młody, poradzi sobie. Nie zapominaj o modlitwie, przyjacielu.

— Możesz na mnie liczyć — obiecał, wiedząc, że jest to jedna z tych recept, których nigdy nie zapomni zrealizować.

Rozdział dwudziesty pierwszy

DZWONY

W poniedziałek, po wizycie w szpitalu i zjedzeniu śniadania w barze Grill, uzupełnił zapasy leków i poszedł szybko do kancelarii. Być może powinien zacząć brać w poniedziałki wolne, jak czyniło wielu duchownych. Sama jednak myśl o utracie całego dnia wydawała się paraliżująca.

Rozpoczął telefonowanie według przygotowanej listy.

— Panna Sadie?

— Dzień dobry, ojcze!

— Prosiła mnie pani, żebym się zastanowił nad nazwą dla domu opieki. Wydaje mi się, że napis, który chciała pani umieścić nad drzwiami, to werset dwudziesty drugi z trzydziestego trzeciego psalmu: „Niech nas ogarnie łaska Twoja, Panie, według ufności pokładanej w Tobie!”

— Ma ojciec wspaniałą pamięć! Nic w tym dziwnego, oczywiście, jest ojciec młody.

— Co pani powie wobec tego na Dom Nadziei?

— Dom Nadziei? Doskonale! Po prostu doskonale, ojcze. Wiedziałałam, że mogę na ojca liczyć. W ten sposób ludzie zamiast mówić, że ich biedna mama mieszka w domu opieki, będą mogli powiedzieć, że mieszka w Domu Nadziei!

— Ta druga sprawa... kwestia belki na poddaszu, jeszcze się do tego nie zabrałem, ale zamierzam się tym zająć już wkrótce. A teraz dobre wiadomości. Wydaje się nam, że znaleźliśmy Barnabę.

Po telefonie do wiecznie niezadowolonego J.C. Hogana, z informacją, że przyniesie mu list od George'a Gaynora w porze lunchu, zadzwonił do Cynthii.

— Co porabiasz? — zapytał.

— Nic dobrego! — odpowiedziała wesoło. — Próba dokonania gładkiego przejścia od książki o Violet do innej książki jest wyjątkowo stresująca. Chodzi mi o to, co będzie, jeśli sobie nie poradzę? Co, jeśli moim przeznaczeniem jest pisanie o kotach do końca życia? Tak więc, zmuszam się i rysuję... cóż, muszę powiedzieć ci prawdę, mysz!

— Z pamięci, mam szczerą nadzieję.

— Z natury. Jest w klatce na moim stole. Zamierzam nagrodzić ją goudą i wypuścić w krzaki.

— Cynthia, Cynthia.

— Oto i główny wątek. To opowieść o myszce mieszkającej w stajence, w której przyszedł na świat Jezus. To o życiu widzianym z perspektywy małego ziemnego stworzenia. Zwykła myszka, będąca świadkiem wielkiego dramatu niskiego urodzenia.

— Podoba mi się.

— Dla dzieci w przedziale wiekowym od lat czterech do ośmiu. Jak widzisz, obniżyłam też wiek czytelników, do których kierowana jest moja książka. Timothy, boję się.

— Nie powinnaś. List do Filipian, cztery trzynaście, na litość boską. Zaśmiała się.

— Tego właśnie potrzebowałam.

— Jak się mają króliki?

— Wspaniale! Bardzo mi pomagają, naszkicowałam już setki królików. Naprawdę chciałam napisać o nich książkę, ale jakaś przemożna siła nakłania mnie do tej pracy.

— Idź za głosem serca — poradził. — A skoro już jesteśmy przy sercach... Olivia doskonale zniosła operację. Odpoczywa.

— Cudownie!

— Dziękuję za twoją modlitwę. Dzwonię też, żeby ci powiedzieć, że chyba znaleźliśmy Barnabę.

— Timothy!

— Jeszcze zobaczymy. Na chwilę obecną mały impas, będę cię informował na bieżąco. Wydaje mi się też, że Dooley tęskni za domem.

— Czy cuda nigdy się nie skończą?

— Miejmy nadzieję. Co powiesz na kino w następnym tygodniu?

— Naprawdę zapraszasz mnie do kina? — zapytała z niedowierzaniem. — To natychmiastowy dowód, że cuda nigdy się nie kończą!

W środę kartka: „Mam niewiarygodną opaleniznę, Harold — spalone nogi. Do zobaczenia na stronach z komiksami, ha, ha. Pozdrowienia, Emma”.

Od Stuarta:

„Dziękuję za list. Jak zwykle, sprawił mi radość. Oczywiście, możesz mnie odwiedzić i przywieźć ze sobą Cynthię Coppersmith. W najbliższy wtorek nie mogę, ponieważ wyjeżdżam. Czy mógłbyś przyjechać we wtorek w następnym tygodniu? Martha nalega, żeby zaprosić Cię na lunch do nas, chociaż ja szarmancko zaproponowałem drogą restaurację. Czyż nie mam powodów, by dziękować Panu?

Daj znać Normie, żeby mogła wpisać to do kalendarza. Na zawsze Twój, w pokoju, który On zsyła”.

O jedenastej zadzwonił Rodney.

— Już się nam nie wymkną. Handlują tonami narkotyków. Barnabę trzymają, żeby ich ostrzegął, a gdy nie chcą, żeby czekał, nakładają mu kaganiec. Może to być dość skomplikowana operacja. W każdym razie to coś znacznie poważniejszego niż zgraja starych pocziwych chłopców, zachowujących się niegrzecznie.

— Co zamierzasz zrobić?

— Zamierzamy dobrać się im do skóry. Cały trik polega na tym, żeby nakryć ich w domu, gdy będzie tam pełno prochów. Wczoraj w nocy wyjechali ciężarówką, Joe Joe zbiegł do swojego samochodu i wezwał nas przez radio, ale zanim zdołaliśmy nadać jego wiadomość dalej, oni zniknęli. Mogą transportować towar do jakiejś ciężarówki w pobliżu i tam go przeładowywać. Zamierzam zostawić tam Joe Joe jeszcze przez jakiś czas.

— Bądź ostrożny, Rodney. Nie brzmi to dobrze.

— Zgadzam się. Właśnie dlatego ufam, że będzie ojciec robił to, do czego wynajął ojca w pierwszym rzędzie Bóg — modlił się.

To, co dzieje się obecnie, przechodzi wszelkie wyobrażenie — nawet nie potrafi o tym myśleć. W zamian znajdzie sobie jakieś zajęcie. Zadzwoni do Dooleya. Miał potworne wyrzuty sumienia, że wysłał go gdzieś właśnie w chwili, gdy chłopiec zaczął zapuszczać korzenie.

Jak mogłem być tak bezmyślny?, zastanawiał się, spoglądając przez okno. Bardzo możliwe, że on też spogląda teraz przez swoje okno, odliczając czas do powrotu do Mitford.

— Witaj, Marge. Mówi Tim. Jak twoja dziewczynka?

— Piękna. Droga. Brak mi słów, żeby ją opisać.

— A nasz chłopiec?

— Może sam go zapytasz, a potem porozmawiamy, zanim się rozłączysz.

— Dooley! — rozległo się wołanie Marge. — Do ciebie!

Usłyszał, jak ktoś podchodzi do telefonu.

— Hej!

— Hej! Co porabiasz?

— Nie mogę rozmawiać, wychodzę z doktorem Owenem. Cześć!

— Cóż — powiedziała Marge — wygląda na to, że ja będę musiała zdać ci relację. Jest zajęty od rana do nocy, jeździ na Goosedown, plecie koszyki z chłopcem z farmy McGuire'ów, bawi się z Rebecą Jane, wyjeżdża z Halem. Wydaje mi się, że właśnie jadą odebrać poród cielaka.

— W takim razie... nie tęskni za domem?

— Tęskni za domem? Dooley? Może przez pierwsze pięć minut, ale już dawno mu przeszło.

List od ojca Rolanda.

„Muszę Ci powiedzieć, że stres, w którym tutaj żyję, jest niemożliwy. Mówisz, że jestem młody i wyjdzie mi to na dobre, ale z pewnością spowoduje również, że się przedwcześnie zestarzeję. Tak bardzo chciałbym Cię odwiedzić w tym małym sennym miasteczku. Widzę, jak się przechadzasz Main Street, dogładasz swoich spraw, nie śpieszysz się. Z pewnością Bóg chce, żebyśmy tak właśnie żyli! Przyjacielu, możesz się uważać za szczęściarza. Pamiętaj o mnie w swoich modlitwach, żebym poznał, jak lepiej wykorzystywać Jego pokój do pracy w stresującym zgiełku miejskiej winnicy”.

Ha! I jeszcze raz, ha!, pomyślał pastor. Dogładasz swoich spraw, nie śpieszysz się... i w jakim znów małym sennym miasteczku? Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał spokojnie całą noc.

A co, jeśli film okaże się jedną z tych pikantnych dłużyzn, a oni będą sparaliżowani ze wstydu? I czy powinien nałożyć koloratkę czy sportową koszulę? Nie był w kinie już od ponad dziesięciu lat i wcale nie było mu z tego powodu żal. Kiedy ostatnio poszedł do kina z przyjaciółmi z parafii, był tak zaskoczony rynsztokowym językiem, przypadkowym seksem i równie przypadkowym rozlewem krwi, że wyszedł stamtąd z mocno bijącym sercem, postanawiając: „Nigdy więcej”.

— Cynthia, jak myślisz, powinienem nałożyć koloratkę czy sportową koszulę?

— Myślę, że koloratkę. Nie pracujesz przecież od dziewiątej do piątej, ale dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Poczuł dziwną ulgę i radość.

— Och... a na jaki film idziemy? — zapytał.

— Walta Disneya — odparła. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Czy miał coś przeciwko temu? Nie posiadał się z radości.

Kiedy znalazł się w ciemnej sali kinowej, poczuł, jak ubywa mu lat. Mógł mieć najwyżej dwanaście, znajdował się w kinie „Delta”, a na ekranie już za sekundę miały się pojawić *Latające tygrysy*. Jego towarzyszką była Elizabeth Mooney, której rodzice czekali w barze po drugiej stronie ulicy, pijąc kawę. Pamiętał, jakie miał wyrzuty sumienia, że ktoś musi pić kawę przez półtorej godziny, żeby sprawić mu przyjemność.

— Gdzie chcesz usiąść? — szepnął do Cynthia.

— Wolę po lewej stronie — szepnęła do niego — bliżej ekranu.

Gdy siedział zbyt blisko ekranu, odczuwał, dosłownie mówiąc, mdłości — i jak miałby jej to wytłumaczyć?

Skierował ją na miejsce tuż za połową sali i weszli do pustego rzędu, zaopatrzeni w rozek prażonej kukurydzy, dietetycznego Sprite'a, coca-cole i pudełko śmietankowych irysków. Dawno już zapomniał o iryskach, ulubionych cukierkach dzieciństwa, i chociaż dobrze wiedział, że nie zje ani jednego, teraz pomyślał, że miło będzie je mieć przy sobie, z sentymentu. Włożył je do kieszeni marynarki.

Cynthia usadowiła się z zadowoleniem w pluszowym fotelu, który, ku jego zdziwieniu, okazał się bujany.

— Gdzie są iryski? — szepnęła. — Czy mi się wydawało, czy naprawdę kupowałeś iryski?

Czuł zapach wistarii, jakby przynosił ją wiejący od strony ogrodu wiatr, i słyszał jej ciepły śmiech dokładnie w tych momentach, które i jemu wydawały się zabawne, nic więc dziwnego, że miał ochotę wyciągnąć rękę i ująć jej dłoń. Odkrył jednak, że nie jest w stanie tego zrobić.

Panie, modlił się, nie znam się na tym całym „chodzeniu”. Ktoś mógłby mi poradzić, żebym posłuchał instynktu, ale spędziłem tak wiele lat, usiłując słuchać Ciebie, że już prawie zupełnie straciłem zdolność podążania za swoim wewnętrznym głosem. Byłbym więc zobowiązany, gdybyś mógł mi w tym pomóc i pokierować tym wszystkim wedle swojego uznania.

Proszę, oto składam cały ciężar odpowiedzialności na barki Pana, pomyślał.

W którymś momencie w czasie filmu popatrzyli na siebie, śmiejąc się z jakiejś zabawnej sceny, i gdy ponownie spojrział na ekran, stwierdził ze zdziwieniem, że oto trzyma ją za rękę.

Nie mógł nie zauważyć, z jaką szczęśliwą miną zjadała resztkę jego śmietankowych irysków.

Właśnie mówił Cynthii dobranoc, stojąc na jej frontowym ganku, gdy przed jego domem zatrzymał się radiowóz, z którego ktoś wysiadł.

Ojciec Tim zszedł szybko po schodach i stanął na chodniku.

— Przepraszam! Czy pan do mnie? Był to nowy pracownik Rodneya.

— Tak, proszę pana. Pan jest ojcem Timem?

— Tak.

— Właśnie dostałem przez radio wiadomość od mojego szefa, pana Underwooda. Myślał, że chciałby ojciec wiedzieć, że Joe Joe został postrzelony.

Nowy funkcjonariusz wyglądał, jakby właśnie skończył gimnazjum.

— Nie wiem, co się stało, proszę ojca — powiedział, wioząc go do szpitala. — Zostałem jedynie formalnie powiadomiony, że go postrzelono. Szef jest w górach, robi obławę na ten dom z narkotykami. Wziął ze sobą wszystkich, zamknął więzienie i pojechał.

Wyczuł pewien żal w głosie funkcjonariusza, że jest tutaj i wozi pastora, podczas gdy jego koledzy ryzykują życie.

— Co z nim? — zapytał młodą siostrę Kennedy, która była kuzynką Joe Joe.

— Mogło być gorzej, ojcze. Kula zaledwie drasnęła lewą nerkę, ale utkwiała w brzuchu. Doktor Wilson go teraz operuje.

— A gdzie jest, jeśli mogę zapytać, doktor Harper?

— W swoim gabinecie.

W swoim gabinecie? Dlaczego, na litość, nie było go na sali operacyjnej? Najwyraźniej Hoppy powierzał zbyt odpowiedzialne zadanie komuś, kto nie miał wystarczającej wiedzy praktycznej. Ogarzał go nagły gniew.

— Co z nim? — Marcie Guthrie popchnęła prowadzące do poczekalni pogotowia drzwi wahadłowe i wtargnęła do środka. Miała na sobie podomkę z kory, a w rękach ścisnęła Pismo Święte w różowej skórzanej oprawie.

— Zajmuje się nim doktor Wilson, ciociu Marcie, ale myślę, że wszystko będzie dobrze, naprawdę.

Siostra Kennedy objęła w geście pocieszenia swoją zmartwioną ciotkę.

— Bałam się tego już od dawna. W dodatku Boyd jest w trasie, gdzieś w Karolinie Południowej! Jak to się stało?

Marcie otarła chusteczką czerwone oczy.

— Nie wiem, przynieśli go tylko i wyszli, nikt mi nic nie powiedział. Chociaż mówili coś o narkotykach i psie.

Serce pastora zabiło mocno.

— Co mówili o psie?

— Tylko tyle, że Joe Joe słyszał, jak szczeka.

J.C. Hogan pojawił się w drzwiach wahadłowych z groźną miną.

— Co się stało? — rzucił gniewnie, kierując pytanie do pastora.

— To chyba nie jest najlepszy moment na zbieranie informacji do artykułu. Może powinieneś porozmawiać z Rodneyem, gdy załatwi już sprawy nad strumieniem.

— A co on tam robi?

— Dowiedziałem się, że jest tam ze swoimi ludźmi. Rozbijają gang narkotykowy.

J.C. obrzucił pastora gniewnym spojrzeniem.

— Gdyby mnie interesowała sprawa rozbicia gangu, to bym o nią zapytał. Przyszedłem tu po informacje na temat strzelaniny.

Jeśli jest na tym świecie ktoś, komu chciałbym podbić oczy, pomyślał, to na pewno jest to ten facet. Oczami wyobraźni widział nagłówek w „Muse”, niestety oczywiście z błędami w pisowni.

— Jedyna osoba, która zna całą historię, przechodzi obecnie operację i nie jest w stanie opowiedzieć jej w tym momencie.

Czerwony na twarzy J.C. spojrział na Marcie i na pastora, a potem wybiegł gwałtownie przez wahadłowe drzwi.

— Ten obrzydliwy diabeł — rzuciła Marcie. — Powinnam na niego nasłać mamę.

Grubo po północy ksiądz z kościoła Joe Joe, Esther i Ray Cunninghamowie, trzech kuzynów, dwie ciocie i wujek czekali razem z pastorem w holu, obok sali pogotowia. Ojcu Timowi zdawało się, że usłyszał znajomy głos, dlatego wstał i wyjrzał przez szybę w drzwiach wahadłowych. Nieomal wpadł na ścianę, gdy Puny Bradshaw wtargnęła do środka razem z rozsierzoną siostrą Herman, która szła tuż za nią.

— Młoda damo, żeby czekać w tym pomieszczeniu, musi pani należeć do rodziny albo być przedstawicielem duchowieństwa. Czy jest pani jego żoną?

— Nie jestem — rzuciła gniewnie Puny — ale mam duże szanse, żeby nią zostać, i powinno to wystarczyć każdemu, kto o to pyta.

Zatrzymując się w miejscu, spojrzała na twarze znakomitej większości klanu Cunninghamów.

— Ojej — powiedziała, gwałtownie czerwieniejąc.

Burmistrz Cunningham podniosła się ze składanego krzesła, z całą godnością swojej imponującej postury.

— Puny Bradshaw?

Puny wyglądała na tak przerażoną, że pastor musiał się powstrzymać, żeby do niej natychmiast nie podbiec.

— Tak, proszę pani.

Nerwowość towarzysząca minionej godzinie nadała twarzy pani burmistrz niezwykle poważny wyraz. W dodatku miała na nosie okulary ze szklami połówkowymi i gdy spoglądała w dół, na gospo się pastora, jej spojrzenie wydawało się wyjątkowo surowe.

— Dużo o tobie słyszeliśmy — powiedziała pani burmistrz.

— Naprawdę? — zapytała Puny drżącym głosem.

— I myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy się wszyscy poznali.

Na twarzy pani burmistrz pojawił się szeroki uśmiech, gdy energicznie uścisnęła Puny. Następna w kolejce była Marcie Guthrie, a potem reszta grupy, nie wyłączając księdza Joe Joe, który wciąż miał na sobie strój trenera drużyny młodzików.

— Widzę, że już świętujecie — powiedział Hoppy, idąc w ich kierunku korytarzem. — Na pewno ucieszy was wiadomość, że operacja przebiegła pomyślnie i pacjent odzyskuje przytomność.

— Chwała Bogu! — krzyknęła Marcie.

— Kula trafiła go w dolną część pleców po lewej stronie, przeszła przez żebra, drasnęła nerkę i utknęła w brzuchu. Doszło też do perforacji jelita cienkiego w kilku miejscach, operacja nie była więc łatwa, ale Joe Joe był w rękach wytrawnego specjalisty.

Usunął się na bok, a oczom zebranych ukazał się doktor Wilson. Cała grupa zaczęła bić gromkie brawa.

Z każdym dniem upodabniam się coraz bardziej do Dooleya Barlowe'a, pomyślał pastor, widząc jaśniejący na zmęczonej twarzy młodego doktora uśmiech. Wydaję sądy, uprzedzając fakty.

Rodney gwałtownie wtargnął do środka. Był z nim Cleo.

— Jak to wygląda?

Twarz szefa policji była podrapana i w kilku miejscach krwawiła, a on szedł, kulejąc. Zaległa cisza.

— Udało nam się wyciągnąć kulę, kaliber 25, automat. Pacjent ma się dobrze — poinformował doktor Wilson. — Wygląda pan, jakby pan sam potrzebował pomocy.

Wszyscy przyglądali się uważnie, gdy szef policji poprawił futerał na rewolwer i odchrząknął.

— Uciekli — powiedział, usiłując dzielnie opanować emocje.

— Otoczyliśmy dom i wezwaliśmy ich, żeby opuścili budynek...

— W środku jednak znaleźliśmy tylko ciepłe piwo i zimną pizzę — dodał Cleo, potakując głową.

— A było to tak — opowiadał Joe Joe, gdy pastor odwiedził go następnego dnia w jego szpitalnym pokoju — że szef posłał mnie do domu ojca po opakowanie z Migdałowego Raju, a ja, prosząc ojca, znalazłem tam coś dużo słodsze niż batonik.

Uśmiechnął się do Puny, która stała obok łóżka, i wziął ją za rękę. Ojciec Tim zaśmiał się.

— Już od dawna próbowałem to z niej wyciągnąć.

— Trudno mi mówić z tą przeklętą rurką w nosie — powiedział Joe Joe — ale chciałbym, żeby ojciec wiedział, że przykro mi z powodu ojca psa. Rozbicie szajki tych podłych kanalii było dla mnie bardzo ważne, ale przede wszystkim miałem nadzieję, że odzyska ojciec swojego psa.

Wiedział, że nie zdoła nic powiedzieć, więc milczał.

— Zanim zbliżyłem się do tego domu, słyszałem, jak szczeka. Nie powinienem był podchodzić tak blisko bez wsparcia, ale wynosili z samochodu jakieś pakunki i wiedziałem, że jeśli zdołam przyrzyć się im z bliska, będę mógł przekazać szefowi wiadomość przez radio i nakryjemy ich na gorącym uczynku. Była to kokaina, bez wątpienia, tak jak myślałem. Cięli ją i wkładali do małych woreczków, do rozproszania na ulicy. Ktoś zaświecił jednak światło na bocznej ścianie domu i wtedy zobaczyli mnie. Rzuciłem się do ucieczki, a oni zaczęli do mnie strzelać z automatu.

Joe Joe potrząsnął głową i westchnął.

— Zdołałem dobiec do swojego samochodu i wezwać posterunek. Cleo przyszedł mi z pomocą, ale zanim szef i chłopcy do nas dotarli, tamci uciekli. Bardzo mi przykro, ojciec. Nawet nie wie ojciec, jak bardzo.

Pastor pokiwał głową.

— Podjąłeś decyzję, która wydawała ci się najlepsza, a to, czego się nauczyłeś, przyda ci się kiedy indziej.

— Pastor zawsze umie powiedzieć coś podnoszącego na duchu — Puny poinformowała z wyraźną dumą Joe Joe.

— Nie zawsze. Mam jednak nadzieję, że uda mi się powiedzieć coś pocieszającego naszemu szefowi policji.

Puny kiwnęła smutno głową.

— Każdy, kto strzelił do pnia drzewa, myśląc, że to człowiek, a potem wpadł po szyję do dziury, będzie potrzebował pocieszenia.

Gdy obudził się o piątej, powietrze było balsamiczne i łagodne. Teraz, zaledwie o dziesiątej, zrobiło się tak zimno, że nawet pomyślał o włączeniu grzejnika w łazience. Jakby tego jeszcze było mało, gęsta mgła spowiła jego dom, tak że nie mógł nawet dojrzeć Oksfordzkich Antyków.

Sporządził listę zaległych spraw do załatwienia, ale nie znajdował w sobie ani odrobiny entuzjazmu do realizacji znajdującego się na pierwszym miejscu zadania. Szczerze mówiąc, wcale nie był zainteresowany tym, co jest napisane na tej belce na poddaszu Porter Place. Nie miał najmniejszej ochoty przedzierać się przez sterty starych gazet, stosy rozbitego szkła, nagromadzonego przez dziesiątki lat kurzu i całą masę zepsutych mebli, szczególnie w zimny i mglisty dzień. Jednak dzwony miały być zainstalowane w poniedziałek, a to nie tylko zatrzyma go w kościele, ale również pomnoży jego zaległości, doszedł więc do wniosku, że jest to najbardziej odpowiedni moment.

Gdy szukał w szufladzie znaczka, zauważył informujące o nagrodzie plakaty, których kilka mu zostało i które tu właśnie schował. Szybko odwrócił wzrok.

Nie, myślał, wkładając płaszcz przeciwdeszczowy, już dość żalu. Powierzę pamięć o Barnabie Temu, który go zesłał, i będę wdzięczny za radość poznania tego wiernego przyjaciela. Zaledwie wczoraj wieczorem przeczytał cudowną myśl Shawa: „Sam mam wiele sympatii dla mieszkańców, ludzi czy zwierząt. Są niezastąpieni na dzień powszedni”.

Barnaba był rzeczywiście najlepszym towarzyszem codziennych obowiązków i przyjemności, w którego obecności zawsze czuł się najswobodniej. Miał najszlachetniejsze cechy wszystkich ras, od których zdawał się pochodzić: wierność i inteligencję irlandzkiego ogara, łagodny temperament bouviera i pogodną wytrwałość owczarka. Jeśli takie właśnie były mieszkańce, to był za to wdzięczny Bogu.

Właśnie, myślał, wkładając czapkę. Pogodziłem się z tym okrutnym przeżyciem.

Miał już dłoń na klamce, gdy przystanął nagle, opierając się o futrynę drzwi i usiłując przełknąć ogromną kulę, która utknęła mu w gardle. Stał tam przez jakiś czas, by się na koniec okrutnie rozczarować i oplakać w końcu stratę „tego starego psa”.

Poszedł za wujaszkiem Billym do pokoju, który był przedzielony na dwie części zawieszoną na sznurku kotarą.

— To moja strona — wyjaśnił — a to jej. Weszła tam przed chwilką i najprawdopodobniej nie wyjdzie już przed kolacją. Rose, przyszedł do nas pastor.

— Jestem niedysponowana — odpowiedziała wyniośle.

— Chciał zapytać, czy może wejść na poddasze i rozejrzeć się trochę?

— Na poddasze? — pisnęła panna Rose. — Po co chce iść na poddasze?

Wujaszek Billy spojrzał na niego.

— Po co ojciec chce tam iść? Zupełnie zapomniałem.

— Cóż, tak wiele słyszałem o tym, jak budowany był ten dom, że chciałem zobaczyć, jak Willard osadził te wyjątkowe szczyty.

Zapomniał ściągnąć czapkę i poczuł, jak poci mu się głowa. Udało mu się do końca nie skłamać.

— Powiedz mu wobec tego, że może iść, ale żeby nie wzbijał zbyt dużych tumanów kurzu.

Wujaszek Billy uśmiechnął się, ukazując złoty ząb.

— Rose mówi, żeby nie wzbijał ojciec zbyt dużych tumanów kurzu.

Gdy spojrzał w ogromną czarną czeluść, poczuł, jak cierpnie mu skóra. Gdzie była Cynthia, gdy jej potrzebował? Bez wątpienia wbiegłaby po tych schodach po dwa stopnie, pełna nadziei, że uda jej się dokonać jakiegoś ekscytującego odkrycia.

— Dobry Boże! — westchnął mimo woli.

— Modli się ojciec o to, tak? — zapytał wujaszek Billy.

— Gdzie się włącza światło?

— A, światło. Gdzieś tutaj. Zgadza się, proszę bardzo.

Pojedyncza żarówka rozblęsnęła przygaszonym światłem i ukazała bezkresną połąć mrocznego sufitu.

— Gdy już ojciec zejdzie — powiedział starszy mężczyzna — nie miałbym nic przeciwko, gdyby mógł ojciec wyciąć mi brzytwą odciski. Rose bardzo trzęsą się ręce. Namoczę je najpierw porządnie.

Kiedy znalazł się na szczycie schodów, obejrzał się bezwstydnie za siebie, żeby sprawdzić, czy wujaszek Billy nadal stoi w drzwiach. Nie, już go tam nie było.

Poddasze było tak zapełnione zbieraniną przeróżnych rupieci, że z trudem torował sobie drogę. Dlaczego nie wziął latarki albo nie poprosił o nią na dole? Ujrzał belkę, dokładnie w miejscu, gdzie

powinna się była znajdować, w samym środku strzelistej przestrzeni. Z pewnością czuwała nad nim Boża opatrzność, ponieważ żarówka oświetlała sklepienie sufitu, rzucając światło wprost na wyrzeźbione litery.

— W! — krzyknął i usłyszał, jak coś przebiegło szybko po podłodze.

Po literze „W”, o pięknym, wzorowanym najwyraźniej na staroangielskim alfabecie kształcie, następowała litera „i”, a potem „n”.

— Win — powiedział na głos, mrużąc oczy i przyglądając się słabo oświetlonej przestrzeni.

Gdyby miał chociaż przenośną drabinę, cokolwiek, na czym mógłby przybliżyć się choć trochę do belki.

Zdołał wspiąć się na siedzenie krzesła stojącego niepewnie na dwóch zsuniętych razem kufrach podróżnych.

— Winter! — wykrzyknął, widząc litery trochę wyraźniej.

Gdy krzesło zachwiało się pod nim, pomyślał z żarliwą nadzieją, że J.C. Hogan nie pozwoli Hessie Mayhew napisać jego nekrologu.

— Winterpast — wyszeptał wolno.

Poniżej tego słowa widniał napis: Pieśń nad Pieśniami. Zszedł ostrożnie z tej prowizorycznej drabiny i niezwykle podekscytowany pośpieszył na dół.

— Wujaszku Billy! — zawołał. — Pokaż mi swoje Pismo Świąte!

Ponieważ nikt jednak na niego nie czekał, wędrował zatechłym korytarzem, aż znalazł się w kuchni. Wujaszek Billy siedział przy stole, mocząc stopy w balii.

— Cóż, ojcie, kiedy tylko ojciec każe, jestem gotowy na operację moich odcisków.

Starszy mężczyzna uśmiechał się do niego z taką nadzieją, że pastor podwinął rękawy i przystąpił do dzieła. Całkiem niespodziewanie przypomniał sobie, że słyszał o jakimś miejscu, gdzie wciąż jeszcze poszukują kierowców rozwożących mleko. Niestety, było to aż w Nowej Szkocji.

Pogoda chwilowo zdawała się ilustrować jeden ze stu trzydziestu sześciu punktów, opiewającej jej uroki, listy Marka Twaina.

Gdy w swoim ubraniu treningowym rozpoczynał bieg przez park Baxter, słońce świeciło cudownie, a niebo było niebieskie jak jajko drozda. Nie przypomniał sobie żadnego obowiązku, którego spełnienie sprawiłoby mu ostatnio większą przyjemność.

Panna Sadie siedziała z Louellą na ganku.

— Panno Sadie — powiedział, z trudem łapiąc oddech — byłem na poddaszu.

— Proszę, niech ojciec wejdzie i wszystko nam opowie! — zaprosiła go z radością, klepiąc zielony fotel na biegunach, który stał obok jej krzesła.

— Cóż, wobec tego, czy mogę panie poprosić o Pismo Święte? — zapytał, wyjmując z kieszeni spodni od dresu okulary do czytania.

— Proszę bardzo — oznajmiła rozpromieniona Louella, która siedziała akurat z otwartym, noszącym ślady długiego używania i oprawionym w skórę Pismem Świętym na kolanach. — Oczywiście, jeśli ma ojciec na myśli jakieś nowomodne wydanie, to w tym domu go ojciec nie znajdzie. Jesteśmy wierne Pismu Świętemu w wersji wydanej za czasów Jakuba I.

— Moja ulubiona wersja — odparł, biorąc książkę i siadając na fotelu.

— Panno Sadie, w swoim liście Willard napisał, że ma nadzieję, że życie przyniesie ze sobą jakąś pozytywną zmianę dla was dwojga i że napis na belce będzie obrazował jego wiarę w lepsze czasy. Myślę, że chciał stanąć kiedyś razem z panią w miejscu, w którym ja stałem dzisiaj, i zdradzić pani nazwę domu, w którym pragnął zamieszkać z panią jako swoją żoną.

Pokiwała głową i pastor nie mógł nie zauważyć, że jej policzki lekko się zaróżowiły.

— Dom nazywa się, panno Sadie... „Winterpast”. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

— „Winterpast” — powtórzyła wolno. — To piękne imię.

— Willard zostawił też dla pani jeszcze jeden napis, który prowadzi nas do Pieśni nad Pieśniami.

Włożył okulary do czytania, odnalazł właściwą stronę i przeczytał:

— „Bo oto minęła już zima, deszcz ustał i przeszedł. Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic, i głos synogarlicy już słychać w naszej krainie”.

Panna Sadie oparła złożone dłonie na kolanach i odwróciła wzrok. Ciszę mącił rzeczywiście jedynie śpiew ptaków. Przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

— Dobrze mieć nadzieję. Tak bardzo się cieszę, że Willard miał nadzieję.

— „Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości — panno Sadie — nie zatopią jej rzeki”. To też z Pieśni nad Pieśniami.

Spojrzała na niego, a w jej oczach pojawił się jakby blask.

— Niech się tak stanie — odpowiedziała.

Jak mógł w ogóle rozważać branie wolnego w poniedziałki? Poniedziałek był niczym trampolina zawieszona nad resztą tygodnia. Wychodziło się na nią, obejmowało wzrokiem sytuację, planowało strategię, podskakiwało kilka razy, żeby wczuć się w rolę, a potem wykonywało się czysty skok. Bez poniedziałku wpadało się do wody prosto na brzuch i można było jedynie liczyć na ogromne szczęście.

Ku jego zdziwieniu, ekipa do zamontowania dzwonów czekała na niego na dziedzińcu kościelnym punktualnie o ósmej i niewiele czasu było potrzeba, żeby zobaczył, jak spełniają się jego najgorsze obawy. Aksamitna murawa, na którą już od dwóch dni padał nieustający kapuśniaczek, została tak zryta podnoszeniem i przesuwaniem dzwonów, że wyglądała jak pole bitewne.

Tuż po pierwszej rozbrzmiały dzwony.

— Niech dzwonią! — powiedział staremu szefowi ekipy. — Niech dzwonią!

Jak cudownie i czule jego serce poruszał dźwięk tych wspaniałych dzwonów.

Pod wieżą zgromadził się niewielki tłum przyglądający się z podziwem rozbrzmiewającej muzyką normańskiej budowli. Andrew Gregory nadszedł szybko ulicą, żeby złożyć gratulacje.

— Muszę przyznać — zwierzył się pastorowi — że bez twoich dzwonów było trochę smutno.

J.C. Hogan usłyszał bicie dzwonów i przybiegł czym prędzej. Usłyszał szczegółową opowieść o ich historii, powstaniu i niedawnym długim pobycie w ojczystym kraju.

Była już druga piętnaście, gdy po raz pierwszy tego dnia poszedł do kancelarii i wyciągnął ze skrzynki pocztę, zauważając, że plik listów jest wyjątkowo gruby. Gdy otwierał drzwi, zadzwonił telefon. Wszedł do środka.

— Timothy! Jak to wspaniałomyślnie z twojej strony, że swoje urodziny obwieszczasz biciem dzwonów! — powiedziała Cynthia.

— Moje co?

— Sądzę, że to jeden z najśmielszych i najbardziej nieskrępowanych gestów, jakie można uczynić.

— Naprawdę?

— Nigdy nie pomyślałabym, że miałbyś tyle... Zawsze myślałam, że jesteś tak nieskończenie skromny! Co za niespodzianka!

Jego urodziny! Jakie to dziwne, że zupełnie o nich zapomniał. Cóż jednak, nie było nikogo, kto mógłby mu przypomnieć, a Walter nigdy nie wspominał ani słowem przed faktem, pozwalając zawsze, aby życzenia od niego przyszły razem z paczką z działu z materiałami piśmiennymi u Tiffany'ego. Następowало to zazwyczaj kilka dni po rzeczywistej dacie.

Zaśmiał się.

— Cóż, w końcu poznałaś więc prawdę. Dzisiaj są moje urodziny, ale to ja zrobiłem ci niespodziankę.

— Ja też mam dla ciebie niespodziankę, ale dostaniesz ją pod warunkiem, że przyjdiesz dzisiaj wieczorem na kolację.

— Bardzo chętnie. Skąd wiedziałaś, że są moje urodziny?

— Z gazetki kościelnej, którą wzięłam z kruchty w ostatnią niedzielę.

— Cóż, czy nie ma już żadnych świętości?

Zauważył, że na gruby plik listów składały się głównie kartki urodzinowe, z których dwie zawierały również zaproszenie na kolację. Jedną z kartek przysłała Jenna Ivey. Pisała: „Ojcie Timie, z każdym rokiem jest nam Ojciec droższy”. Była też kartka z Meadowgate, podpisana przez Hala, Marge, Dooleya, Rebecę Jane, Goosedown i sześć psów mieszkających na farmie, którzy — jak mówiło zaproszenie — czekali na niego z wczesną kolacją w niedzielę.

Emma przysłała kartkę z malowanymi akwarelą różami i zdjęcie z polaroida przedstawiające ją i Harolda na plaży, zrobione najprawdopodobniej przez jakiegoś nieznajomego, którego nakłoniła do wyświadczenia tej uprzejmości. Przypiął je pinezką na drzwiach do łazienki, zauważając, że Emma troszkę przytyła, a Harold jakby wychudł i zrobił się jeszcze dłuższy.

Otrzymał też odręcznie napisaną kartkę od Stuarta, z najserdeczniejszymi życzeniami spokojnego serca i dobrego zdrowia.

Usiadł, przyglądając się całemu plikowi kartek, i poczuł radość.

Potem uruchomił automatyczną sekretarkę i zaczął odsłuchiwać długą listę życzeń od znajomych.

— Ojcie — powiedziała Winnie Ivey — nienawidzę nagrywać się na tej maszynie, ale chciałam ojcu powiedzieć, jak wiele ojciec dla nas wszystkich znaczy. Nie mam pojęcia, jak byśmy sobie bez ojca poradzi... — Usłyszał, jak Winnie pociąga nosem. — Wobec tego... do widzenia!

Ile miłego sercu zamieszania wokół wydarzenia, o którym zupełnie zapomniał!

Po kolacji poszli na spacer do parku Baxter i usiedli na starej ławce naprzeciwko fontanny wzniesionej ku pamięci Rachel Baxter.

— Powiedz mi, jak sobie radzisz z bólem po stracie Barnaby? — zapytała.

— Bardzo cierpię i myślę, że w końcu przestałem walczyć z tym smutkiem. Niech sprawy biegną swoim torem. Gdyby zmarł ze starości, myślę, że odbierałbym to inaczej. Ja straciłem go jednak tak nagle... Obawiam się złego wpływu, jaki mogą mieć na niego ludzie, którzy go porwali.

— Pomyśl jednak o tym, pod jakim dobrym wpływem był, mieszkając z tobą. Ten pies zna przecież Pismo Święte lepiej niż niejeden człowiek!

Zaśmiał się dokładnie w chwili, gdy dzwony Lord's Chapel wybiły dziewiątą.

— Załóżmy, że szale przechylają się na stronę dobra, a nie zła, i że Barnaba jest doskonale przygotowany, żeby poradzić sobie z okolicznościami, w jakich się obecnie znajduje. — Przyglądnęła się mu bacznie. — Jak wielbłąd, który zgromadził w garbach tyle wody, że wystarczy mu na długi czas.

Pomyślał o tym i poczuł się trochę lepiej. Był jej za to wdzięczny. Położył ramię na oparciu ławki i dotknął jej ramienia.

— Dziękuję — powiedział.

Siedzieli w milczeniu przez jakiś czas. W zapadającym zmroku zieleń żywopłotu wydawała się ciemna jak szmaragd. Jakże byli szczęśliwi, mogąc siedzieć tu w ciszy i błogim spokoju. Gdzieś daleko stąd był świat pełen nieszczęść i cierpienia. „Mam szczerą nadzieję — napisał kiedyś ojciec Roland — że nie chowasz głowy w piasek i nie odmawiasz sobie uczucia wyzwania i pasji, jakie niesie ze sobą służenie Bogu na linii ognia”.

Być może, w małej parafii odmawiał sobie uczucia pasji, ale na pewno nie wyzwania. Jeszcze nigdy nie czuł z taką pewnością, że jest dokładnie w miejscu, które wyznaczył dla niego, zgodnie ze swoją wolą, Bóg. Wiedział też, że tak naprawdę potrzebuje jedynie siły, żeby wytrwać tu z uporem i zapalem.

— Myślisz, że zostaniesz w Mitford, Timothy?

— Dziwne, że pytasz. Chciałbym. Czuję się jednak jakby... wyeksploatowany. Zużyty. Jestem niezdolny do zrobienia przynajmniej jednej rzeczy, która mogłaby mi pomóc zregenerować siły.

— A co to takiego?

— Wakacje. Obawiam się, że pastor Greer trafił pewnego wieczoru w samo sedno problemu. Zapytał, czy jestem zbyt zmęczony, żeby biec, i zbyt przerażony, żeby odpocząć. Odpowiedź brzmi: tak. Tak, a w dodatku nie mogę zrozumieć i wstydę się mojej jakże oczywistej niezdolności do pokierowania własnym życiem.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

— Oczywiście — oznajmiła zwyczajnie.

Dotarło do niego, że już od dawna nikt nie powiedział mu: „Rozumiem”. Przez jedwabną bluzkę poczuł nagle ciepło jej ramienia.

— Czy wybierzesz się ze mną w najbliższy wtorek z wizytą do biskupa i jego żony? Będziemy rozmawiać właśnie o tym problemie i bardzo byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

Prawdę mówiąc, dzięki niej długa jazda samochodem zamieniłaby się w cudowne wakacje.

Spojrzała na niego ze szczerością, która tak bardzo się mu w niej podobała.

— Najbliższy wtorek? Nie jestem pewna. Przygotowuję właśnie do wysłania do agencji wstępną wersję nowej książki, żeby poznać ich opinię. Jeśli będziesz się za mnie modlił, wtedy oczywiście, zdołam wszystko skończyć i wysłać, i będę mogła pojechać z tobą do biskupa.

— Możesz na mnie liczyć — obiecał, czując, jak ogarnia go nagła fala radości.

Rozdział dwudziesty drugi

BEZWZGLĘDNY NAKAZ

Dolina widziana z miejsca, w którym znajdowały się ruiny spalonego kościoła i gdzie miał stać Dom Nadziei, wyglądała jak szmaragdowy dywan usiany ogrodami, które dwa razy w tygodniu zasilają w płody rolne chłodnie Sklepu.

Rozpoczęły się już dostawy kukurydzy „Silver Queen” w każdy wtorek i piątek tygodnia. W Sklepie kukurydza od razu była ładowana do drewnianych skrzyń. Mieszkańcy miasteczka jak zwykle nie zawadzili i w ciągu jednego dnia potrafili wykupić całą dostawę, nie było więc tajemnicą, co wszyscy jedzą na kolację.

Stał z radością w kolejce ciągnącej się wzdłuż napełnionych kukurydzą, ustawionych na chodniku skrzyń, z przygotowaną papierową torbą, chociaż jak mógł się spodziewać, ktoś zaproponował mu własne miejsce na początku kolejki. Nie chciał jednak zbyt szybko znaleźć się przy ladzie. Pragnął nacieszyć się delikatnym szmerem podniecenia, który zawsze towarzyszył zakupom, serdecznością i śmiechem.

Chciał spokojnie przyjrzeć się twarzy Avisa Packarda, który ścigał znajdującą się u nasady łuskę i kitkę, żeby zademonstrować podobne do drobnych pereł ziarno.

— Nie znajdziecie w nich ani robaczka. Jeśli uda wam się znaleźć chociaż jednego, dostaniecie kolbę za darmo.

Przyszła też panna Rose, szukając pilnie robaków. Wujaszek Billy siedział w tym czasie na ławce obok ulicznej latarni i opowiadał zaszuchanej widowni najnowszy dowcip. Winnie Ivey zamknęła cukiernię i kupiła całą torbę kukurydzy dla siebie i brata.

Kiedy Louella szukała dwunastu idealnych kolb, panna Sadie siedziała w samochodzie, który zatrzymała na chodniku przed znajdującą się obok biblioteką, a Percy Mosely w fartuchu przeszedł przez drogę, żeby zabrać kosz odłożony dla baru Grill.

Pewnego dnia turysta zapytał mieszkańca Mitford:

— Czy w mieście jest jakiś festyn?

— Nie, tylko przywieźli kukurydzę.

— Jakie to ciekawe! Może ja też powinienem trochę kupić.

— Sam nie wiem — ostrzegł niezwykle poważnie mieszkaniec Mitford. — Ponoć kukurydza kwaśniej, jeśli się ją wiezie samochodem.

Mitford nie lubiło sprzedawać swojej wczesnej kukurydzy obcym, którzy, jak wszyscy zgodnie twierdzili, tylko by ją rozgotowali, a poza tym i tak nie potrafiliby docenić jej wyjątkowego smaku.

Zakupiwszy kosz kukurydzy dla żony biskupa, razem z sąsiadką — która wyglądała olśniewająco w sukience koloru żonkili — okrążył pomnik i przy akompaniamencie dzwonów obwieszczających godzinę dziewiątą, ruszył w stronę Wesley.

— Wystarczy tylko minąć pomnik — zauważył — i człowiek znajduje się w zupełnie innym świecie.

— Jestem taka podekscytowana! Czy uwierzysz, że odkąd przyjechałam tu zeszłej jesieni, prawie w ogóle nie wyjeżdżałam poza granice miasta?

Zaśmiał się.

— To się zdarza niektórym. Ja też prawie w ogóle nie ruszałem się poza granice miasta, odkąd przyjechałem tu dwanaście lat temu.

— Być może od tego dnia wszystko się zmieni.

— Chciałbym w to wierzyć. Podeszły wiek i pogłębiający się prowincjonalizm to straszne połączenie.

— Czy ci mówiłam, jak bardzo podobało mi się twoje kazanie w ostatnią niedzielę?

— Nie mówiłaś, bo na pewno bym zapamiętała.

— Cóż, było wspaniałe. Myślę, że byłeś bardzo odważny, decydując się na wygłoszenie kazania o grzechu. Prawie nikt nie chce słuchać napomnień o grzechu.

— Główny nurt chrześcijaństwa podkreśla dobitnie, że cała sztuka nie polega jedynie na wyrzeczeniu się grzechu, ale na zrobieniu czegoś dużo trudniejszego — na wyrzeczeniu się prawa do samego siebie.

Skreślił na ruchliwą drogę prowadzącą do Wesley, co zawsze wydawało mu się w pewnym sensie szokiem dla zmysłów.

— Istniejące w nas grzeszne życie musi zostać przeobrażone w życie duchowe.

— W jaki sposób?

— Poprzez poświęcenie i posłuszeństwo. Uśmiechnęła się ironicznie.

— Jak myślisz, jak zostanie to przyjęte przez tych z nas, którzy wybiorą się do kościoła, żeby usiąść w wygodnej ławce, a zamiast niej znajdą rozżarzone węgle?

— Będą po prostu musieli przejść na drugą stronę ulicy i poczekać, aż skończą nauczać na ten temat.

Roześmiała się wesoło.

— Ostatnio się zmieniłeś. Zaśmiał się razem z nią.

— Mam taką nadzieję — odpowiedział.

— Timothy! — Stuart Cullen zszedł ze schodów z wyciągniętymi ramionami.

— Stuart, stary przyjacielu! — przywitał go pastor, gdy się obejmowali.

— Masz za sobą długą podróż, ale strawa czeka już na stole — zapewnił go biskup. — A kim jest ta piękna kobieta?

Cynthia ujęła podaną jej dłoń.

— To moja sąsiadka, Cynthia Coppersmith. Cynthio, biskup Cullen, mój powiernik z czasów seminarium, nieoceniony przyjaciel i — z łaski Pana — mój biskup.

Cynthia dygnęła lekko.

— Och, przepraszam. Zrobiłam to mimowolnie. Zaśmiał się.

— Jesteś co najmniej sto lat do tyłu, Cynthio, ale mimo to doceniam twój gest.

Nadal trzymając jej rękę, pociągnął ją za sobą do drzwi wejściowych.

Pastor dostrzegł kolejne siwe włosy w jasnej czuprynie Stuarta oraz nowe zmarszczki na czole, których nie było, gdy widzieli się kilka miesięcy temu. Ale i tak biskup miał nadal zadziwiająco smukłą i chłopięcą sylwetkę oraz naturalny urok, który wydawał się nigdy nie słabnąć. Tego mężczyznę, który już od lat stanowił nieodłączną część jego życia, darzył bardzo ciepłym uczuciem.

— Bardzo proszę, zapraszam do środka. Wyciągnęliśmy srebro rodowe, a bułeczki Marthy już dopiekają się w piekarniku. Jak sięgam pamięcią, Timothy, ty zawsze zjawiałeś się w samą porę.

Gdy wchodzili do holu, pastor zauważył coś, czego nie mógł dostrzec wcześniej, ponieważ Cynthia siedziała po stronie pasażera. Był to jeden z tych nieszczęsnych różowych wałków, podskakujący zabawnie za jej prawym uchem, gdy witała się z żoną biskupa.

W czasie lunchu robił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, żeby powiadomić ją o tym wałku, bezskutecznie.

Doszedł do wniosku, że nie jest zbyt dobry w wysyłaniu znaków niewerbalnych, i zrezygnował w połowie kotletów cielęcych. Przypomniawszy sobie swojego ojca, który był odpowiedzialny za poinformowanie mamy przed wyjściem do kościoła, czy nie wystaje jej halka. Czy nie ma jakichś oczek w rajstopach. Czy nie nałożyła za dużo różu. Czy w jakichś dziwnych miejscach nie wystają jej metki.

Przypomniawszy sobie również, że jego ojciec traktował to zadanie dość poważnie i że zdawało się ono sprawiać mu przyjemność, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia dlaczego.

W salonie Stuart Cullen usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i spojrzał ciepło na pastora.

— Opowiedz mi wszystko, Timothy.

— Staralem się jakoś usystematyzować swoje przemyślenia, żeby nie zabrać ci za dużo czasu.

— Proszę, niech cię o to głowa nie boli. Odłożyłem na później wszystkie dodatkowe zajęcia i mam czas do spotkania w biurze o szóstej.

— A zatem, od listu, który przysłałem ci półtora roku temu, nie nastąpiły w moim życiu żadne znaczące zmiany. Czasami ogarnia mnie tak paraliżujące uczucie zmęczenia, że moja praca zamienia

się w mozolny trud, co najlepiej odzwierciedlają kazania. Powinienem raczej powiedzieć, że moja dusza to odzwierciedla i że znalazło to odbicie w moich kazaniach.

— Przypomina mi się, jak rada parafialna została kiedyś zaproszona do domu nowego parafianina, człowieka bardzo zamożnego. Większość z nas nie mogła się już doczekać bankietu, który — jak wszyscy przypuszczali nas czeka — zaśmiał się. — Wyobraź sobie, że siedzieliśmy do około dziewiątej wieczorem, jedząc stare krakersy i cheddar tak twarde, że przy krojeniu trzeba było uważać, żeby nie złamać noża.

Gdy biskup się uśmiechnął, wokół jego oczu pojawiła się delikatna siateczka zmarszczek.

— Wydaje mi się, że właśnie to podaję moim parafianom. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, wyznawcy Boga spodziewają się bankietu — na który zresztą w pełni zasługują — a w zamian dostają jedynie racje głodowe. „Nakarm moją owczarnię” — powiedział. To jednoznaczne polecenie. Duch miłości jest bez wątpienia obecny pośród wiernych w Lord's Chapel. Przybywa nowych członków Kościoła, wszystkie zobowiązania regulujemy w terminie, a wkrótce zbudujemy jeden z najwspanialszych domów opieki. Dla kogoś, kto patrzy na Kościół z zewnątrz, wszystko wydaje się w porządku. — Przez chwilę milczał. — Myślę, Stuarcie, że chodzi mi o to, że chciałbym czegoś więcej. Dla mnie to, że wszystko jest... w porządku, to za mało. Znalazłem się w tym martwym punkcie i zupełnie nie wiem, co robić dalej.

— Cynthia najwyraźniej uważa, że twoje kazanie w niedzielę było czymś znacznie więcej niż tylko racją głodową. Choć dopiero ją poznałem, wierzę jej osądowi. Wydaje mi się, że jej wiara jest bardzo żywa.

— Tak, ale...

— Nie oczekujesz chyba, że wszystkie twoje kazania będą porywające? Wiesz równie dobrze jak ja, że od czasu do czasu muszą też być zwyczajne.

— Wiem, ale porywające kazania zdarzają mi się zbyt rzadko. Jestem pod wieloma względami bardzo sobą rozczarowany, a jeśli tak jest, to na pewno inni też są rozczarowani. Nie umiem tego jasno określić, Stuarcie, ale czuję się... pozbawiony energii.

— Wyraziłeś się bardzo jasno.

— Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się zmieniać na gorsze od czasu, gdy zachorowałem na cukrzycę.

— Na cukrzycę? Nic mi o tym nie mówiłeś.

— Ach — zbagatelizował sprawę, wzruszając ramionami — to nie jest odmiana insulinozależna, nic poważnego. Nie chciałem ci zawracać głowy takim głupstwem.

— Siostra Marthy choruje na cukrzycę i wierz mi, to wcale nie jest takie głupstwo. To bardzo poważna dysfunkcja organizmu.

— Tak, ale wystarczy przestrzegać tylko diety i uprawiać ćwiczenia. Siostra Marthy choruje być może na cukrzycę insulino zależną.

— Obecnie tak — odparł Stuart — ale kiedyś znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu, w którym ty jesteś obecnie. Jej choroba nagle przerodziła się w coś dużo poważniejszego. Bardzo mnie to martwi.

Ostatnia rzecz, której pragnął, to dostarczyć swojemu biskupowi powodów do zmartwienia. Nie po to tu przyjechał.

— Czy bezwzględnie przestrzegasz zaleceń lekarza co do przyjmowania leków, uprawiania ćwiczeń i diety?

Nie potrafił skłamać.

— Nie.

— Timothy, na litość boską!

— Czuję się tak potwornie winny, jak powinienem, i chcę ci obiecać, że znowu zacznę się stosować do zaleceń lekarza — od zaraz. Nie chciałbym jednak, żeby ta kwestia przesłoniła nam dużo ważniejszy problem.

— Wcale nie jestem przekonany, że ta kwestia nie stanowi części tego poważnego problemu. Zmęczenie fizyczne, które prawie zawsze towarzyszy tej okropnej dolegliwości, może bardzo osłabić ducha. Poza tym, jak Duch Święty może napęłnić naczynie, którego zawartość wycieka równie szybko, jak jest je w stanie napęłniać? Znając ciebie — kontynuował przyjaźnie biskup — najprawdopodobniej nie odpoczywasz. Nie masz żadnych rozrywek. Jeśli sobie przypominam, już od dawna nie byłeś na wakacjach.

— Zgadza się.

— Czym się ostatnio zajmowałeś? Prześledźmy ostatnie miesiące.

— Chłopcem, powierzono mojej opiece chłopca, ma prawie dwanaście lat. Dooley. — Nagle zdał sobie sprawę, że tęskni za Dooleyem. — Było mi...

— Ciężko.

— Tak. Takiemu starymu kawalerowi jak ja. Potem, oczywiście, te klejnoty. Wszystko to było niesamowicie wyczerpujące, chociaż ostateczny rezultat, jak mówiłem ci przez telefon, był wręcz cudowny. Porwano też mojego psa, Barnabę, gdy szliśmy ulicą, i w trakcie całej tej afery postrzelono jednego człowieka.

— Bardzo mi przykro...

— Nie wspominając o przyjacielu i parafiance, która właśnie przeszła przeszczep serca, mimo bardzo niesprzyjających okoliczności.

— Reasumując, twoje codzienne obowiązki i objawy cukrzycy spotęgowane są jeszcze przez brak jakiegokolwiek rozrywki i serię niezwykle stresujących przeżyć. Czy miałeś problemy ze snem?

— Tak, w rzeczywistości to mój największy problem.

— Czy byłeś ostatnio u lekarza?

— Nie ostatnio. Był bardzo zajęty organizowaniem przeszczepu.

— Marna wymówka. Tym mnie nie zbędziesz! Masz natychmiast wybrać się do lekarza.

Pokiwał głową.

— Masz moje słowo.

— Chciałbym również skorzystać z prawa, jakie daje mi władza biskupia, i poprosić cię, żebyś zrobił coś jeszcze. Chcę, żebyś wyjechał na dwa miesiące.

— Ale mam przecież chłopca i...

— Nie interesuje mnie chłopiec ani żadne inne uwarunkowania czy okoliczności towarzyszące obecnie twojemu życiu. Być może brzmi to surowo i bezdusznie, ale to jedynie pozory. Chodzi mi o twoje dobro, i to nie dlatego, że jesteś moim przyjacielem, ale dlatego, że jesteś niezmiernie cenny dla tej diecezji i bardzo chciałbym, żeby tak pozostało. Zawsze wiedziałeś, jak dbać o każdą rzecz i każdego człowieka, z wyjątkiem siebie. Mówię to z pełnym przekonaniem i otwarcie, ponieważ sam mam identyczną słabość, i wierz mi, jest to słabość. Bóg pobłogosławił mnie żoną, która nade mną czuwa, ale ty nie masz takiej osoby. Jeśli nadal chcesz, aby twoje życie było częścią ciała Chrystusa, Timothy, musisz natychmiast podjąć działania, aby odzyskać siły, zregenerować ducha i pomnożyć energię. Mówisz mi, że czujesz się jak pozbawione wszystkich soków drzewo, ale świetna kondycja twojej parafii żywo temu zaprzecza. „A więc: poznacie ich po ich owocach” — powiedział Chrystus. W ten sam sposób oceniam cię, przyjacielu, po twoich owocach. Nie zawiodłeś Jego, nie zawiodłeś mnie i nie zawiodłeś swojej parafii. Cały czas jednak w haniebny sposób zawodziłeś siebie.

Ogarnęło go nagle poczucie złości i irytacji. Zaczął żałować, że w ogóle przyjechał. Dlaczego nie spróbował sam poradzić sobie z problemem, nie powziął własnych postanowień? Stuart udzielał mu reprimendy niczym dziecku, co było dla niego nieprzyjemnym szokiem. Czuł, że jego skóra robi się wilgotna od lepkiego potu.

— Myślisz, że rozmawianie z tobą w taki sposób to dla mnie przyjemność? — zapytał Stuart. — Zdecydowanie nie. Jestem jednak do tego zmuszony. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, żeby wyjechać, zajmiemy się tym natychmiast.

— Nie chodzi o pieniądze.

— Przypominam sobie, że twoja mama zostawiła ci znaczną sumę, jeśli jeszcze wszystkiego nie rozdałeś.

— No nie. Trochę mi jeszcze zostało — odparł, czerwieniejąc. Biskup odczekał chwilę.

— Powiedz mi... a co z Cynthią? Czy ona coś dla ciebie znaczy?

— Tak mi się zdaje.

— Mówisz to dość niepewnie.

— Nie mam wątpliwości, czy Cynthia coś dla mnie znaczy — nie jestem jedynie pewien, co to oznacza.

— Chodzi ci o to, czy na przykład mogłoby to oznaczać małżeństwo?

— Tak, a jeśli tak, to czy jest to właściwe i korzystne posunięcie na tym etapie mojego życia, i czy byłoby korzystne dla niej...

— Wydaje mi się, że ma dla ciebie wiele ciepłego uczucia.

Zdał sobie sprawę, że dużo łatwiej przychodzi mu rozmowa na temat Cynthii niż mozolne walcowanie problemu własnego duchowego regresu.

— Zaproponowała mi... — odchrząknął — żebyśmy ze sobą chodzili.

Stuart roześmiał się na głos.

— Ależ to cudownie! Po prostu wspaniale!

Czekał niecierpliwie, aż Stuart skończy się śmiać. A niech to! Po co w ogóle o tym wspominał?

— Był to z pewnością akt odwagi z jej strony.

— Tak mi powiedziała.

— Jak brzmiała twoja odpowiedź?

— Poprosiła, żebym się nad tym zastanowił... i cały czas się zastanawiam.

Oczy Stuarta błyszcząły z rozbawienia.

— Gdy już to przemyślisz, mam nadzieję, że powiadomisz mnie o rezultacie. Cynthia mi się podoba, działa tak łagodząco. A wydaje mi się, że właśnie tego ci potrzeba.

Zboczyli trochę z omawianego tematu i najwyraźniej musiał z powrotem nakierować ich dyskusję na właściwe tory.

— Czy proponujesz, żebym kontynuował pracę? Zrobił sobie przerwę i pracował dalej?

— Tak. Odkąd napisałeś do mnie ten list kilka miesięcy temu, niczego w swoim życiu nie zmieniłeś. Najwyższy czas coś z tym zrobić, odpocząć, ze świeżym umysłem poradzić się w tej sprawie Boga. Chciałbym, żebyś szybko pozalał wszystkie swoje sprawy i wyjechał. Na twoje miejsce możemy przysłać ojca Johna, jeśli ci to odpowiada. Doskonale wtopi się w twoją parafię i możesz być spokojny, że w czasie twojej nieobecności nie wywróci wszystkiego do góry nogami.

— Bardzo dobrze — odpowiedział, uśmiechając się. — Jeszcze jeden raz przyparłeś mnie do muru.

Obaj mężczyźni wstali i biskup zaśmiał się, obejmując przyjaciela.

— Tak, ale robię to tylko raz na trzydzieści pięć lat!

Minęło już więc trzydzieści pięć lat, odkąd Stuart pomógł mu podjąć decyzję w sprawie Peggy Cramer.

— Stuart — powiedział, gdy zatrzymali się na chwilę przy drzwiach prowadzących na korytarz — chciałbym zrobić coś nieortodoksyjnego.

— Pełne zaufanie do twoich ortodoksyjnych działań sprawia, że nie obawiam się twojego nieortodoksyjnego postępowania.

— Chciałbym od czasu do czasu pozwolić wejść na moją ambonę pewnemu staremu kaznodziei z Kościoła baptystów. Jestem przekonany, że ma wiele do powiedzenia, i mam do niego zaufanie. Jest samoukiem i przez wiele lat pełnił obowiązki pastora w kilku okolicznych kościołach. Jego teologia ma bardzo solidne podstawy, a duchowa więź z Bogiem jest bardzo żarliwa. Myślę, że sama niezwykłość tej kombinacji przyciągnie wielu, którzy do tej pory słuchali i nie słyszeli.

— Masz więc moją zgodę.

— Dziękuję. Gdzie mam zostawić kukurydzę dla ciebie i Marthy?

Był bardzo wdzięczny, że Cynthia nie patrzy na niego, ale na deskę rozdzielczą, do której przemawia z ogromnym uczuciem.

— Bez względu na to, jak bardzo się staram, nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałeś mi o tym głupim wałku, który cały czas dyndał mi z tyłu głowy. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię, gdy go odkryłam! Siedzieliśmy sobie wszyscy przy stole, Francja elegancja, a ten głupi wałek cały czas sterczał mi na głowie. Co gorsza, widać go było akurat od strony biskupa!

— To tylko Stuart — powiedział łagodnie.

— Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś? — jęknęła Cynthia.

— Próbowałem. Naprawdę. Cały czas pokazywałem na głowę, myślałem, że może w ten sposób...

— A ja myślałam, że drapiesz się w ucho!

— Nigdy nie byłem zbyt dobry w języku ciała.

— Gdy byliście w pracowni, Martha sięgnęła po prostu za moje ucho, mówiąc: „Czy uwierzysz, że ja też zawsze zapominam o wałku dokładnie w tym samym miejscu?” Było to oczywiście najzwyklejsze kłamstwo, bo ona w całym swoim życiu nie kręciła włosów. Są proste jak drut!

Wiedział, że gdyby spojrzał na nią chociaż kątem oka, zaniósłby się od śmiechu.

— Timothy, śmiejesz się ze mnie, widzę to! Cały brzuch ci się trzęsie! Dlaczego tak się męczysz? Ulżyj sobie i śmiej się do rozpuku. Śmiało, proszę bardzo!

Odchrząknął, ale nie zdołał wydusić ani słowa.

— A gdybyś ty na przykład miał rozpięty rozporek?

— Przepraszam cię najmocniej?

— Zastanów się nad tym! Gdybyś w biały dzień miał rozpięty rozporek, myślisz, że nie powiedziałabym ci o tym?

Musiał przyznać, że ta myśl podziałała na niego jak kubeł zimnej wody.

— Cynthia — zaczął, nadal pilnie wpatrując się w jezdnię — bardzo mi przykro. Naprawdę strasznie mi przykro. Próbowałem ci powiedzieć. Wybacz mi.

Długa chwila ciszy.

— Niech to wszystko! Wybaczam ci. Zrezygnowana, oparła się mocniej o fotel.

— Czy nigdy nie uda mi się zrobić niczego porządnie od początku do końca?

— Prawdę powiedziawszy, uważam, że tobie wychodzi to znacznie lepiej niż większości ludzi.

— Naprawdę tak myślisz?

— Ależ oczywiście, że tak. Biskup zresztą jest tego samego zdania. Mówił, że masz łagodzący wpływ. Czy według ciebie jest to surowy osąd człowieka, który poczuł się zgorzony widokiem zwykłego wałka do włosów?

Mimo że nie lubił pozwalać sobie na nieostrożność za kierownicą, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— W takim razie... — odparła, odzyskując humor.

Obudził się w nocy i odkrył, że cały jest zlany potem. Mokre spodnie od piżamy przyklejały mu się do nóg. Woda! Właśnie tego potrzebował. Palilo go pragnienie.

Z ogromnym wysiłkiem usiadł na łóżku i zmusił się, żeby pójść do łazienki i napełnić wodą pustą szklanke. Dobry Boże, czuł się dziwnie słaby i zdezorientowany.

Jutro zacznie z całą skrupulatnością przyjmować lekarstwa, a o szóstej wyruszy na jogging. Powrót do tej rutyny będzie prawdziwą przyjemnością. Przypomniawszy sobie, jak cudownie się czuł w czasie pierwszych miesięcy biegania — patrzył na Mitford z zupełnie innej perspektywy. Miał wrażenie, że zaczyna całkiem nowe życie!

Nałożył świeżą piżamę i poszedł z powrotem do łóżka, cytując na głos, w ciszy pokoju, fragment Księgi Psalmów: „A Ty, o Panie, nie wstrzymuj wobec mnie Twego miłosierdzia; Panie, racz mnie wybawić...”

Zanim zasnął, przed oczami pojawił mu się obraz Cynthii w olśniewającej żółtej sukience.

W trakcie joggingu zajrzał do szpitala i spędził pół godziny z Joe Joe, który marzył już o powrocie do domu. Potem pobiegł, żeby zobaczyć się z Russellem i Betty Craig, którzy — jak mógł ocenić na własne oczy — zawarli szczęśliwy pokój. Po zjedzeniu lekkiego śniadania w domu i krótkiej rozmowie z Puny poszedł do kancelarii, żeby zrobić to, o co prosił go biskup.

— Przykro mi, ojczy — powiedziała pielęgniarka, gdy zadzwonił — ale doktor Harper wyjechał na tydzień. Doktor Wilson na pewno chętnie ojca przyjmie, mogłabym znaleźć jakiś wolny...

— Nie, w porządku. Poczekam na doktora Harpera. Proszę mnie zapisać na wizytę zaraz po jego powrocie.

— Już sprawdzam. Nie mam ani jednego wolnego terminu przez cały kolejny tydzień, ale możemy zadzwonić, jeśli ktoś zrezygnuje.

— Świetnie! Będę zobowiązany — odparł.

Proszę bardzo. Zrealizował całą receptę, wziął lekarstwa, biegał z samego rana, zjadł przyzwoite śniadanie, ograniczył kofeinę i zadzwonił do pielęgniarki. Wszystko to było w miarę proste. Bał się tej drugiej części — zaplanowania dwumiesięcznego urlopu.

Choć perspektywa wyjazdu wcale nie wydawała mu się miła, czuł wdzięczność. Inny biskup mógłby go obdarzyć zaufaniem i pozwolić, żeby sam zajął się tym problemem. Stuart jednak wykorzystał swoją pozycję, aby wydać mu polecenie, i czyniąc to, miał absolutną rację. Jego biskup zrobił coś, do zrobienia czego jemu zabrakło odwagi. Musiał przezwyciężyć uczucie, że tkwi w tym miejscu jak mucha w mazi, jak zaprzężony do kieratu koń.

— Dzień dobry, Walter? Timothy. Czy nie przeszkadzam? Jeśli nie jest jeszcze za późno, żeby wybrać się z tobą i Katherine na wycieczkę, to chciałbym do was dołączyć.

W słuchawce zaległa cisza, gdy zupełnie zaskoczony Walter kontemplował usłyszaną wiadomość.

— Walter? Walter! Halo?

Czy przez te wszystkie lata szatan mamił go, utwierdzając w przekonaniu, że nikt sobie bez niego nie poradzi?

Czy Russell nie znajdował się pod doskonałą opieką? Czy Olivia nie miała nowego serca i nie czuła się z każdym dniem coraz lepiej? Wyglądało na to, że przeszczep przyjął się znakomicie.

Czyż na chwilę obecną sprawy w Lord's Chapel nie układały się wyjątkowo pomyślnie? A poza tym parafianie już od wielu lat nie byli tak zgodni i wspinałomyślni względem siebie.

Czyż szkoła niedzielna nie przeżywała właśnie najświetniejszego okresu i nie wychodziła w cudowny sposób naprzeciw wszystkim bieżącym potrzebom? Czyż nowy chór młodzieżowy nie przygotowywał się właśnie do pełnego programu występów na jesieni?

A czy panna Sadie wyrzuciwszy z siebie swoją tajemnicę i przyjąwszy pod swój dach Louellę, nie była w lepszej niż kiedykolwiek przedtem formie?

Wielokrotnie analizował w myślach, czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby go potrzebować. Za dzień lub dwa porozmawia z panną Rose na temat prawa wieczystego użytkowania i zapyta, czy mogliby natychmiast przystąpić do działania — oczywiście po podjęciu decyzji w sprawie pomnika Willarda.

Jeszcze przez jakiś czas nie będzie gotowy ostateczny projekt Domu Nadziei, a nawet gdyby został ukończony, Ron Malcolm jest najbardziej kompetentną osobą, która będzie mogła go ocenić i podjąć wraz z radą parafialną pewne cząstkowe decyzje.

Emma wróci w najbliższych dniach i poradzi sobie ze wszystkim bez niego. Ojciec John przypadnie parafianom do gustu, nawet pomimo niejakiej skłonności do lenistwa. Cynthia z pewnością zaopiekuje się królikiem. Puny będzie nadal gotować i sprzątać przez dwa dni w tygodniu, za które płaci jej rada parafialna, sprawiając, że ojciec John będzie prawdopodobnie przekonany, że oto umarł i poszedł do nieba.

Istniała też pewna szansa, że Hessie Mayhew zgodzi się uruchamiać zraszacz spryskujący róże w założonym ostatnio ogrodzie ku pamięci zmarłych parafian.

Ale co z Dooleyem? Za nic w świecie nie chciałby, żeby chłopcu wydawało się, że traci grunt pod nogami i żeby z tego powodu cierpiał.

— Chętnie wezmę do siebie chłopca — zaproponowała mężnie Cynthia — mogłabym...

— Tak?

— Mogłabym go rysować!

— Aha — odparł bez przekonania.

— Zajmowałam się już kiedyś chłopcem, siostrzeńcem męża. Jego mama zmarła i mieszkał ze mną i z Elliottem, kiedy uczęszczał do college'u. Zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jego obecność tak wiele dla mnie znaczyła podczas długich, ciągnących się tygodniami, a czasami nawet miesiącami wyjazdów Elliotta. Nie miałeś okazji go poznać, ale na pewno już wkrótce ci go przedstawię.

— Dziękuję za twoją propozycję, ale Bóg nie pokazał mi jeszcze, co zrobić z Dooleyem.

— Z pewnością to uczyni, więc możesz się spokojnie odprężyć. Odprężyć się? Tak, rzeczywiście, to dobry pomysł.

Drzwi do kancelarii otworzyły się gwałtownie.

— Dopadli ich — zakomunikował dumnie Rodney. — Schwytali te szumowiny aż w Holding. Zarządzili blokady na drogach i kontrolowali dokumenty. Jeden z funkcjonariuszy zapamiętał nadawany wcześniej komunikat i rozpoznał ich. Samochód był przemalowany, ale go nie zmylili. Zatrzymał ich, ponieważ mieli przepaloną jedną żarówkę, skontaktował się przez radiostację z dowództwem, tak że nawet się nie zorientowali i trzy samochody najlepszych policjantów z Holding osaczyły ich jak wilki sarnę. Strzał w dziesiątkę! — podsumował Rodney z wyraźną radością, poprawiając futerał na rewolwer. — Policji w Holding nigdy wcześniej nie udało się udaremnić handlu narkotykami na taką skalę, cały samochód prochów.

— A Barnaba. Co z nim...?

— Niestety. Przykro mi. To właśnie zła wiadomość — powiedział Rodney, zdejmując czapkę. — Żadnego śladu po ojca psie. Prawdę powiedziawszy, ojciec, może to i lepiej, jeśli ojciec rozumie, co mam na myśli.

Nie wiedział, dokładnie, i prawdopodobnie wolał nie wiedzieć.

— Hej — przywitał się Dooley, podchodząc do telefonu.

— Hej. Jak leci?

— Wspaniale.

— Opowiedz mi wszystko.

— Kenny McGuire i ja jeździliśmy dzisiaj rano na koniach. To była jazda. Potem graliśmy w softball z chłopcami przy stawie i daliśmy im taki wycisk, że prawie płakali. Przyjeżdża ojciec znowu na niedzielę?

— Oczywiście, jakże mógłbym odmówić sobie tej przyjemności?

— Chciałbym, żeby ojciec zobaczył, jak jeżdżę na Goosedown. Sprawilem, że tak bardzo mnie polubiła, że jest słodka jak dzieciątko czy coś w tym stylu.

— Jak już jesteśmy przy dzieciątkach, jak się miewa Rebecca Jane?

— Płacze za mną tak bardzo, że muszę uciekać z domu. Dools to, Dools tamto. Wie ojciec, jak to jest.

— O tak. Jasna sprawa — odparł pastor.

Niektórym, myślał, odkładając słuchawkę, mogłoby się to wydawać zwykłą rozmową. Dla niego jednak ta niedługa wymiana zdań z Dooleyem była niczym balsam, tak, balsam dla duszy.

Odczytując ogłoszenia parafialne na mszy o jedenastej, zwrócił uwagę parafian na spotkanie Bractwa Ołtarzowego i spotkanie kółka czytelników Pisma Świętego, a także po raz kolejny ogłosił nabór do chóru młodzieżowego.

Usiłował również przysporzyć klientów baptystom organizującym wyprzedaz z zamiarem sfinansowania misji i prezbiterianom urządzającym sprzedaż domowych ciast, aby zdobyć w ten sposób fundusze na zakup śpiewników.

— Czy są jeszcze jakieś inne ogłoszenia? — zapytał.

— Tak — powiedział Hal Owen, zbliżając się do schodów prowadzących do ołtarza i niosąc coś w ręce. — Chciałbym ogłosić w imieniu całej parafii, że bardzo nam przykro, że tak długo zwlekaliśmy z uczczeniem ojca urodzin.

Poczuł, że robi mu się ciepło na twarzy.

— Widzisz, musieliśmy poczekać, aż wszyscy zgromadzą odpowiednią liczbę punktów za swoje bilety lotnicze, żebyśmy mogli ci podarować tę kopertę. Starczy ci na lot w prawie każde miejsce na świecie... i bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś do nas wrócił.

Gdy przyjmował kopertę, wszyscy zgromadzeni w kościele bili z entuzjazmem brawo.

— Nie wiem, co powiedzieć... — zaczął.

Hal uśmiechnął się.

— Może być cokolwiek, co akurat przychodzi ci do głowy.

— Alleluja! — wykrzyknął przez ściśnięte gardło.

— Nie wiem, od czego zacząć — powiedziała Emma, która złapała opaleniznę, zwiększyła ilość henny w płukance do włosów i miała na sobie kolczyki, które wyglądały jak małe kiście bananów.

— Od początku — poradził.

— Wracam do baptystów — oznajmiła lakonicznie.

— Emmo, zaszkodził ci chyba nadmiar słońca. Baptysty dość często wstępują do Kościoła episkopalnego, ale jego członkowie prawie nigdy nie zostają baptystami. To wbrew ogólnemu trendowi.

— Co mnie obchodzi trend. Omówiłam to dokładnie z Haroldem i doszliśmy do wniosku, że to bez sensu, żeby w niedzielę on jechał w jedną stronę, a ja w drugą. Bo smutna prawda brzmi, że Harold nigdy nie wstąpi do Kościoła episkopalnego.

— To prawda, Emmo, to prawda.

— Mówił mi, żebym pod żadnym pozorem ci tego nie powtarzała, ale gdyby musiał śpiewać te stare pieśni z naszego śpiewnika, wyskoczyłby przez okno.

— To byłby dopiero widok. Jak przypuszczam, na główkę.

— A teraz czas na dobrą wiadomość. Zamierzam nadal pracować tak jak do tej pory, te same godziny i tak dalej. Ta część się w ogóle nie zmienia.

A już miał nadzieję.

— I zamierzam ci zdawać relację, jak sobie radzą ze wszystkim baptysty. Na pewno bardzo ci się to tutaj przyda. Na przykład, czy widziałeś kiedyś, żeby baptystom brakowało pieniędzy? Nigdy w życiu! To dlatego, że oni nie bawią się w te wszystkie podatki od przychodu netto i brutto. Baptysty wszystko robią brutto, tak jak każe Biblia, koniec kropka.

Może powinien wyskoczyć przez okno. Na główkę.

— Ale do rzeczy. Esther będzie zabierała ze sobą składkę do domu w niedzielę i przynosiła ją do mnie w poniedziałek. W zimie kazałam jej nosić worek z pieniędzmi pod płaszczem, a latem chować go w torbie gdzieś pod książkami z wypożyczalni. Nigdy nie wiadomo w dzisiejszych czasach.

— Zgadzam się z tobą całkowicie!

Oparła się o swoją maszynę do pisania i przyjrzała się mu uważnie.

— Czy na pewno dobrze się czujesz? Wyglądasz blado. Kiedy ostatnio pozwoliłeś, żeby Joe podciął ci włosy? Czy spotykałeś się ze swoją sąsiadką? Aha, a jak się ma jej kot? Czy obecność kotów nie wywołuje kichania? W drodze do pracy dzisiaj rano przejeżdżałam obok twojego domu i widziałam jej trawnik. Powinieneś jej zaproponować, że go skosisz.

Bardzo możliwe, że Emma Garrett była pokutą, jaką musiał odprawić w zamian za rozkosz zatrudnienia Puny Bradshaw.

— Rose powiedziała więc do mnie: „Billu Watsonie, zamierzam ci wszystko wygarnąć”, a ja na to: „Nie musi być wszystko, część mi zupełnie wystarczy, dziękuję”.

Uśmiechnął się szeroko do pastora.

— Tak, proszę ojca. Powiedziałem Rose to, co ojciec mówił o przekazaniu domu w ręce miasta i oddaniu jej do użytkowania nowoczesnego mieszkania ze wszystkimi instalacjami na tyłach domu, a ona obiecała, że zgodzi się na to pod jednym warunkiem, a mianowicie, że pomnik będzie jak pomnik

Shermana, Granta albo kogoś podobnego, wie ojciec. Na to ja, że sylwetka Willarda powinna być w pozycji siedzącej, i myślałem, że dostanie jakiegoś ataku.

Wujaszek Billy zaśmiał się.

— Proszę ojca, wziąłem Rose na dobre i na złe, ale muszę przyznać, że nigdy nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle!

— Może powinniśmy się zgodzić na to, żeby pomnik był stojący. Boję się kolejnej zimy, wie ojciec, z wiatrem dostającym się do domu przez szpary i marnującym się w zbiorniku olejem.

Pastor był prawie pewien, że panna Sadie nie będzie w stanie przejechać obok takiego pomnika spokojnie, ale nie to było najważniejsze.

— Być może uda się nam zmodernizować co najmniej jeden pokój z łazienką jeszcze przed zimą, jeśli podejmiemy decyzję w tej sprawie już teraz.

— Ojej — powiedział starszy mężczyzna — jak bardzo chciałbym móc wziąć ciepłą kąpiel, gdyby tylko artretyzm pozwolił mi usiąść w wannie.

— Może po prostu rozpoczniemy prace przy założeniu, że pomnik będzie stojący. Jeśli będziemy się zbyt długo zastanawiać nad tym, czy powinien siedzieć, czy stać, to istnieje ryzyko, że wyniosą wujaszka z domu w pozycji leżącej.

— Trafił ojciec w samo sedno. A gdybyśmy tak podzielili się rolami i ojciec będzie mówił, a ja działał?

— Możemy ruszyć do przodu z tematem Porter Place — poinformował Esther Cunningham, gdy zajrzał do jej biura. — Na twoim miejscu kazałbym przygotować pierwsze projekty od ręki, żeby panna Rose poczuła się włączona w prace, bo w przeciwnym razie może zmienić zdanie co do całego przedsięwzięcia. Członkinie Stowarzyszenia Patriotycznego powinny wiedzieć wszystko o pomnikach i o tym, kto zajmuje się takimi rzeczami. Oczywiście jak najszybciej będziemy musieli porozmawiać z jej prawnikiem i mam nadzieję, że uda się nam umieścić ich w przytulnym pokoju z łazienką jeszcze przed zimą.

— Zaczniemy od przekazania wszystkich dochodów z Festiwalu Róż na fundusz renowacyjny. — Na twarzy pani burmistrz pojawiły się czerwone plamy, jak zwykle, gdy była czymś podekscytowana. — Będzie nas to kosztowało prawdziwy majątek. Będziemy musieli zwrócić się o pomoc w zrealizowaniu tego przedsięwzięcia do kilku grubych ryb z okolicy. A może ty mógłbyś...".

— Nie próbuj nawet zaprzęgać mnie do zbierania pieniędzy. Widzę to w twoich oczach.

— Szybki jesteś. — Pani burmistrz roześmiała się serdecznie.

— Muszę być szybki, żeby nie dosięgły mnie wszystkie strzały, które byś oddała w moją stronę, gdybym ci dał chociaż cień szansy.

— Jeśli już jesteśmy przy strzałach... nasz chłopiec czuje się dobrze. Wczoraj na kolację chciał tłuczone ziemniaki z sosem. Puny przyniosła mu całą miskę.

— Co o niej myślisz?

— Mówi, że się nazywa Bradshaw, ale jest na wskroś Cunninghamem. Kochamy ją na zabój. Ray mówi, że tego, jak go przestawia i musztruje, nie oddałby nawet za wojskową emeryturę.

— Cóż, może teraz, gdy ma Raya, przestanie musztrować mnie?

— Nie robiłabym sobie zbytnich nadziei — odparła pani burmistrz.

Odebrał telefon. To była Olivia.

— Ojcie, dzwonię, żeby ojcu powiedzieć, że ojca kocham.

— Naprawdę? Cóż, jaka to miła wiadomość.

Poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego kubel ciepłej wody. Kochać! Czasami samo brzmienie tego słowa wywoływało to uczucie.

— Brakuje mi ojca kazań. Hopyy zdaje mi z nich relację, gdy rozmawiamy, ale czasami nie pamięta głównego wątku!

Zaśmiał się wesoło.

— Może będę ci przysyłał co tydzień swoje kazania, co ty na to? Duch Święty zsyła czasami więcej, niż można wyczytać z kartki, ale przynajmniej będziesz miała coś z domu.

— Dziękuję! Mam propozycję.

— Nie każ mi czekać.

— Co powiedziałby ojciec na przyjazd do Bostonu z Hoppym i spędzenie tutaj kilku dni? Widok ojca podziałałby na mnie jak najlepsze lekarstwo. I mógłby ojciec poznać Leo. Na pewno bardzo przypadlibyście sobie do gustu. Byłoby cudownie!

Po trzynastu latach tkwienia w jednym miejscu, nagle słyszał tylko: „Jedź z nami do Irlandii!”, „Zapraszam do Bostonu!” Ze skrajności w skrajność.

Rozdział dwudziesty trzeci

Z POWROTEM W DOMU

— Czy jesteś w nastroju, żeby mieć przekopaną grządkę? — zapytał przez drzwi z siatką.

— Tak, oczywiście! — odparła, odwracając się i spoglądając na niego z miejsca, gdzie stała, obok kuchenki.

— To dobrze, bo ja jestem w nastroju, żeby ją przekopać.

— Proszę, wejdź do środka i napij się ze mną herbaty, woda właśnie się zagotowała. Ja się tymczasem przebiorę. Ależ ty jesteś rannym ptakiem. Na litość, przestań mi się przyglądać — powiedziała Cynthia, uciekając z kuchni w szlafroku.

Otworzył pudełko z herbatą, nabrał łyżeczkę i wsypał ją do srebrnego dzbanuszka, następnie wlał wrzącą wodę i usiadł na krześle pod wiszącym na ścianie telefonem. Jak przyjemnie było zmienić scenerię, wstać i usiąść dla odmiany w czyjejs innej kuchni oraz wyglądać przez czyjeś inne tylne drzwi. Ponadto, też inaczej niż do tej pory, dobrze spał tej nocy, a ponieważ była sobota, nie nastawiał budzika. Pobiegł potem ulicą Church Hill wzdłuż sadów i spoglądał z góry na miasteczko okryte piękną wiosenną szatą. Jego serce ogarnęło takie uczucie miłości dla tej małej osady, przycupniętej tak zgrabnie u podnóża góry, że zatrzymał się i usiadł na kamiennym murku.

Siedział więc sobie na kamiennym murku, spoglądał beztrosko przed siebie, żadne myśli nie zaprzętały jego głowy. Stuart Cullen byłby dumny.

— Jestem gotowa! — obwieściła Cynthia, która związała swoje jasne włosy żółtą wstążką, włożyła niebieskie dzinsy, bluzę i tenisówki.

Był zdania, że nie wygląda na więcej niż dwadzieścia lat.

— Jakież wiadomości z agencji?

— Tak, dzwonili do mnie wczoraj wieczorem. Chcieliby widzieć w niej więcej ludzi, nie tylko zwierzęta. Zastanawiałam się więc, czy nie zgodziłbyś się pozować do postaci mędrca ze Wschodu?

— Ja i mędrzec ze Wschodu to zabawny kontrast. Czy zamierzasz rysować z natury... czy w ten drugi sposób?

Zaśmiała się.

— To zależy. Jeśli wybierzesz się ze mną na przyjęcie do Sturgeonów, to z natury. Jeśli nie zgodzisz się pójść, to... w ten drugi sposób.

Przekopywanie grządkki to nie jest zajęcie dla ludzi małego serca, myślał, zwłaszcza jeśli ta grządka jest ekstra rozmiarów.

— Kop tutaj — powiedziała, wyznaczając linię krokami — a potem tędy i aż do końca.

Przeszła po obwodzie czworoboku, który rozmiarami przypominał boisko.

— Cynthia, to nie grządka, ale cały twój ogródek za domem — stwierdził, ocierając czoło.

Palcem poprawiła okulary na nosie i rozglądnęła się dookoła.

— To praca dla koparki! — wykrzyknął, mając nadzieję, że zrozumie, o co mu chodzi. — Dla traktora John Deere! Dla pary mułów!

— Wobec tego zrób tyle, ile uważasz — zgodziła się wesoło.

Przekopał długą wąską grządkę wzdłuż chodnika, z dala od cienia, jaki rzucał dąb.

— Czy masz coś, czym moglibyśmy rozbić grudy ziemi, a potem ładnie je zagrabić?

Wróciła, niosąc przypadkową zbieraninę narzędzi ogrodowych swego wuja, które, jak myślał, powinny być w doskonałym stanie, skoro ich właściciel nigdy ich nie używał. Postawiła je z dumą na brzegu grządki.

— W takim razie — powiedział, nie znajdując niczego poza starą sadzarką do cebulek — spróbujmy rozbić grudy ziemi rękami. Widzę, że masz porządne rękawiczki. Potem to zagrabimy. Co ty na to?

— Doskonale! — przytaknęła z zaraźliwym zapałem.

— Co zamierzasz posadzić? — zapytał, gdy klęknęli obok siebie i zabrali się do pracy.

— Dzwonki. Ostróżkę. Naparstnicę. Astry. A jesienią malwy. Całe mnóstwo, mnóstwo różnych rzeczy!

Właśnie wtedy usłyszał dochodzący skądś dziwnie znajomy dźwięk. Co to takiego? Nadal klęcząc, uniósł głowę i nasłuchiwał.

Było to głębokie i donośne szczekanie, podobne do niskich tonów organów w Lord's Chapel.

Zanim zdążył się podnieść czy choćby obrócić, coś z rozpędem wywróciło go wprost na przygotowaną pod zasadzenie bylin grządkę sąsiadki, a jego lewe ucho zostało poddane ciepłej i obfitej kąpieli.

Barnaba wrócił do domu.

Przewrócił się na plecy, krzycząc z radości i usiłując się podnieść, ale Barnaba natychmiast stanął na jego brzuchu, uznając, że jest to doskonałe miejsce, z którego może dokładnie oblizać twarz Cynthii.

— Timothy! — pisnęła. — Zacytuj coś z Pisma Świętego i pośpiesz się!

— „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według Jego zamiaru” — powiedział głośno.

Barnaba usiadł na brzuchu pastora i westchnął.

Leżał oto na ziemi, na nim siedział ogromny, oblepiony błotem pies, a jego zaskoczoną sąsiadkę rytmicznie uderzał ogon wielkości kuchennej szczotki. Śmiał się do łez.

— Chętnie uwieczniłbym to na zdjęciu — usłyszał dochodzący z góry głos.

Spojrzał w twarz Bezdomnego Hobbesa.

— To stworzenie zjawilo się u moich drzwi dzisiaj o świcie. Był tak wygłodzony, że dałem mu połówkę chleba kukurydzianego, a on pochłonał go jednym kłapnięciem zębów. Potem wlałem mu supę z poprzedniego dnia i ją też zjadł. Dałem mu dwa ciastka z kremem i wiadro wody do popicia. Robiłem właśnie pranie i musiałem poczekać, aż wyschnie mi koszula, zawiązałem mu więc na szyi powróż i przywiązałem go do łóżka. Potem przyszliśmy tutaj, a kiedy usłyszał ojca głos, zaczął mnie tak mocno ciągnąć, że puściłem go wolno.

Ojciec Tim wstał i uściśnął swojego przyjaciela znad strumienia, a Barnaba w tym czasie położył się na ziemi, wzdychając z ulgą.

— Panie Hobbes, chciałem panu przedstawić moją sąsiadkę, Cynthię Copperfield. Cynthio, to Samuel K. Hobbes.

— Panie Hobbes — powiedziała, obejmując go mocno — z pewnością spotka pana za to nagroda!

— Wydaje mi się, że już mnie spotkała.

Ojciec Tim przyjrzał się Barnabie na tyle, na ile umożliwiała to jego ubłocona sierść.

— Wygląda na to, że przez ostatnie dni biegł do domu. Proszę tu spojrzeć, jego stopy krwawią, nie mówiąc o tym, że pod grubą sierścią została z niego sama skóra i kości. Będę się musiał wybrać z nim dzisiaj po południu do Hala.

Barnaba w domu! Jakie to niewiarygodne, jakie niezwykle. Miał wrażenie, jakby odzyskał jakąś część własnego ciała, rękę może albo nogę. Nagle poczuł się dziwnie kompletny. Potrzebował jedynie czegoś stosownego do uczczenia okazji — okrzyków radości albo czegoś głośnego i szaleńczo płomiennego!

Właśnie wtedy zza rogu domu Cynthii wyłoniła się, idąc spokojnym krokiem, Violet. Barnaba wystrzelił w jej kierunku niczym strzała z łuku. Biała plama przebiegła z zawrotną szybkością przez trawę i zniknęła w zsywie na węgiel, a głośne szczekanie Barnaby, które przerwało panującą ciszę, wydawało się w idealny sposób podkreślać wyjątkowość okazji.

Bezdomny siedział przy kuchennej ladzie, podczas gdy pastor parzył kawę w dzbanku, a wyczerpany Barnaba spał obok swojej miski przy drzwiach.

— To prawdziwa przyjemność przyjmować cię dla odmiany w mojej kuchni — powiedział przyjacielowi znad strumienia. — Wiesz, dzięki tobie odzyskałem coś, co uważałem już za bezpowrotnie stracone.

— To mi przypomina, że i ja chciałem ojcu o czymś powiedzieć — odparł Bezdomny. — Ja też odzyskałem coś, co kiedyś straciłem.

— Co takiego? — zapytał pastor, opierając się o zlewozmywak.

— Moją wiarę. Wygląda na to, że wróciła, i prawdę powiedziawszy, jest dużo mocniejsza niż wtedy, gdy odeszła.

— Jakże się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

— Wziąłem do ręki Nowy Testament, który mi ojciec przyniósł, i pomyślałem, że jedynie rzucę na niego okiem... Wiedziałem, że nie mam zamiaru szukać w nim religii, żadną miarą. Założyłem więc przynętę na haczyk, przywiązałem ją do linki i usiadłem na brzegu strumienia, a potem zrobiłem coś, czego nie robiłem od dzieciństwa — zawiązałem linkę na dużym palcu. Wie ojciec, to duże udogodnienie, bo nie trzeba sobie zawracać głowy patykami. W ten sposób, gdy ryba bierze, wiem o tym natychmiast i muszę ją tylko wyciągnąć. Oszczędność czasu! Siedziałem więc sobie nad strumieniem i zacząłem czytać. I wie ojciec, co się stało? Zupełnie mnie to pochłonęło. Łapałem samogłowa, zdejmowałem go z haczyka, nakładałem nową przynętę i wracałem do czytania. Robiłem to przez cały dzień i zanim usmażyłem sobie trochę ryby i zjadłem dobrą kolację, dotarło do mnie, że moja wiara wróciła. Wszchemocny Bóg znowu położył na mnie swoją dłoń po tych wszystkich latach. Wie ojciec, co myślę?

— Co takiego?

— Myślę, co mam do stracenia? Jezus powiedział: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, ma życie wieczne”. A nawet jeśli to nieprawda? Jeśli to kłamstwo, to żyje się w kłamstwie i umiera w kłamstwie, a robaki i tak zjadają twoje ciało. Ale jeśli to Boża prawda, jak sam mówi, to wygrasz. Twoje grzechy są ci przebaczone, możesz zacząć wszystko od początku, a gdy umrzesz, będziesz żył wiecznie. Wydaje mi się, że to propozycja nie do odrzucenia. Po pierwsze, nic nie kosztuje. Po drugie, nie można stracić. — Uśmiech Bezdomnego zdradził, że jest szczęśliwy. — To miłe uczucie. Jakbym znalazł dom.

— Twoje serce mówi ci, że już nie jesteś bezdomny.

— Oczywiście, nie wiem jeszcze, co mam z tą wiarą zrobić?

— Po prostu się nią ciesz! — poradził pastor. — A w swoim czasie znajdziesz odpowiedź na to pytanie. Gdy będziesz gotowy, możemy o tym porozmawiać, jeśli tylko będziesz chciał.

— Świetnie!

Nalał gościowi kawę do kubka.

— Nie mam ani kropli śmietanki, ale za to jest cukier.

— Rzuciłem śmietankę wtedy, gdy rzuciłem alkohol. Bez związku, ale tak wyszło.

— Wiesz, będą chcieli ci od razu podarować te dwa tysiące pięćset dolarów.

— Nie zamierzam ich przyjmować — oświadczył Bezdomny, dmuchając na parującą kawę. — Ale mam pewien pomysł.

— Zamieniam się w słuch.

— Daleko w górze, za strumieniem, jest wielu ludzi, którzy potrzebują ich dużo bardziej niż ja. Jest tam kilkoro małych dzieci, które nie są karmione tak jak należy, i starzy ludzie, którzy potrzebują lekarstw i gorącego posiłku. Są to ludzie, którym wiedzie się bardzo źle, w ten czy w inny sposób.

Chciałbym, żeby te pieniądze zasiliły jakiś fundusz pomocy doraźnej, żeby pomóc tym, którzy ich najbardziej potrzebują. Można by dać Fredowi pieniądze, żeby kupił sobie spodnie, zamiast pożyczać moje, gdy idzie do pracy; kupić temu małemu od Pritchardów coś do ubrania, żeby nie biegał nago; kupić tej starej kobiecie od Harmonów parę butów — przez dwie ostatnie zimy chodziła prawie całkiem na bosaka. Można by też wydawać raz w tygodniu darmową kolację, ja mógłbym gotować.

— Wydaje mi się, że zawsze myślałem, że takimi osobami powinna się zajmować opieka społeczna.

— Są różne opieki społeczne, jeśli wie ojciec, o co mi chodzi.

— Wiem.

— Więc jeśli nagroda i tak musi zostać komuś przekazana, chciałbym, żeby zasiliła specjalny fundusz, coś, do czego mielibyśmy łatwy dostęp, bez zbędnych formalności. Może moglibyśmy go nazwać „fundusz Creek”?

— Co za wspaniały pomysł, pod każdym względem! Barnaba podniósł głowę, gdy usłyszał śmiech swojego pana.

— Widzisz, stary przyjacielu, co zrobiłeś? Dzięki tobie Fred będzie miał nową parę spodni.

„Bezdomny rezygnuje z czeku na 2500 dolarów” — brzmiał nagłówek w poniedziałkowej „Muse”.

Nikogo nie dziwiło, że opowieść ujęła za serca wszystkich regularnych czytelników gazety. Zdziwienie przyszło dopiero wtedy, gdy spływać zaczęły dodatkowe pieniądze i w ciągu tygodnia kwota urosła do 3800 dolarów.

Nagłówek na pierwszej stronie w następnym poniedziałek podawał aktualne informacje:

„»Fundusz Creek« pęka w szwach”.

— Oto oglądacie — zawyrokował Mule Skinner — najlepszy nagłówek, jaki J.C. Hogan kiedykolwiek napisał.

Wszystko robił tak, jak powinien, włącznie ze stosowaniem diety rotacyjnej, co było według niego kwintesencją uciążliwości. Mimo to nie czuł się dobrze. Zauważył, że kilka razy rano, gdy czytał gazetę, drżały mu dłonie, że czasami nie widział zbyt wyraźnie i odczuwał coraz bardziej dokuczliwe pragnienie. Chociaż wszystkie te objawy obserwował u siebie wcześniej, bez żadnych poważnych konsekwencji, z ulgą myślał o tym, że Hoppy skontroluje wszystko zaledwie za dwa dni.

Najpewniej i najspokojniej czuł się chyba wtedy, gdy budził się w środku nocy i czuł Barnabę leżącego w nogach łóżka. Uczucie radości, które go wtedy ogarniało, było tak wielkie, że wydawało się łagodzić niektóre z pozostałych, mniej przykrych dolegliwości. Gdy tak leżał, nie śpiąc, często się zastanawiał, jak wakacje w obcym kraju, sypianie w cudzych łóżkach i spożywanie nie znanych potraw może wyjść komukolwiek na dobre.

Napisał do George'a Gaynora i zdał mu relację ze wszystkich najnowszych wydarzeń z życia Kościoła, informując również o śmierci jednego z parafian i dwóch nowych członkach szkoły niedzielnej.

— Do kogo piszesz? — zapytała Emma.

— Do człowieka z poddasza.

— Myślisz, że powinnam mu posłać trochę karmelków?

— Wspaniały pomysł.

— Dzisiaj wieczorem zamierzam zrobić porcję dla Harolda — jest taki chudy, że nie mogę go znaleźć w pościeli. Zrobię po prostu podwójną porcję i wyślę ją jutro. Myślisz, że będą ją prześwietlać, żeby sprawdzić, czy nie ma w środku żadnych pilników, żyletek albo czegoś podobnego?

— Możliwe.

— Jeśli robią, co do nich należy, to na pewno tak — powiedziała z przekonaniem. — Czy wiesz, co śpiewaliśmy w niedzielę?

— *Zadziwiająca łaska.*

— Aha.

— Gdyby w kościołach episkopalnych śpiewało się więcej podobnych pieśni, to nie uwierzyłybyś, jak garnęliby się do nich ludzie.

— Naprawdę? Przypuszczam, że według ciebie ten hymn został napisany przez baptystę.

— Ależ oczywiście, że napisał go baptysta. Cały czas to śpiewają.

— Moja droga Emmo — odparł z wyraźnym zniecierpliwieniem — ten hymn został napisany przez duchownego należącego do Kościoła episkopalnego.

— Prawdopodobnie został on wychowany w rodzinie baptystów — skwitowała gniewnie.

Esther Bolick stała w drzwiach wejściowych, trzymając w rękach pudełko na wyroby cukiernicze. W jednej chwili zrozumiał, że pod żadnym pozorem nie może jej pozwolić na podarowanie sobie jego zawartości.

— Ojczy?

— Esther, proszę wejdź!

— Och, nie mogę — powiedziała. — Zostawiłam włączony silnik w samochodzie, a Gene jest w domu i czeka na kolację. Pieklam dzisiaj i wiem, jak bardzo lubi ojciec moje ciasto pomarańczowe, upiekłam więc jedno na jutrzejsze urodziny Gene'a i jedno dla ojca, i mam szczerą nadzieję, że będzie ojcu smakowało, bo wydaje mi się, że jeszcze nigdy wcześniej nie wyszło mi takie pyszne!

Tak, to wszystko przesądzało. Spoglądając w te jasne, pełne nadziei oczy, wiedział, że prędzej mógłby przebiec Church Hill Drive zupełnie nago, niż odmówić przyjęcia ciasta.

Po wyjściu Esther chodził przez dziesięć minut tam i z powrotem przed lodówką, zanim ostatecznie postanowił, że musi się pozbyć ciasta z domu.

U Cynthii nikt nie odbierał telefonu. Russell? Russell i Betty! Nie, nie. Pojutrze jedzie do Meadowgate, więc weźmie ciasto ze sobą. Znając to ciasto bardzo dobrze, wiedział, że z czasem nabierze jeszcze lepszego smaku.

— W porządku — powiedział słabo, przyglądając się lodówce.

Doszedł do wniosku, że okropne przeżycia, które stały się udziałem Barnaby, pozostawiły jednak na jego psychice wyraźne blizny. Gdy na podłogę z desek w salonie upuścił książkę, pies wystrzeżił spod jego fotela i trzęsąc się ze strachu, pobiegł po schodach na górę, żeby schować się pod łóżkiem.

Zadzwoił do Meadowgate.

— Przejdzie mu — uspokoił go Hal. — Daj mu około sześciu miesięcy na podleczenie systemu nerwowego i rób dalej to, co robiłeś do tej pory. Czy bierze witaminy?

— Łyka je jak cukierki.

— Przeszedł ciężkie chwile, najprawdopodobniej sam pokonał drogę z Holding do Mitford, co na pewno nie było fraszką. Masz już jakieś plany na wykorzystanie punktów za przeloty, które ci podarowaliśmy?

— Właśnie o tym chciałbym porozmawiać z tobą i z Marge w środę.

— Gdybyś chciał zostawić chłopca u nas na czas wyjazdu, wiesz, że nie będzie z tym żadnego problemu. Zaczyna robić się coraz bardziej odpowiedzialny. Dzisiaj rano nakarmił psy, pomógł mi posprzątać budy i załatwił jeden sprawunek dla Marge. Sprytny z niego dzieciak.

— Miałem poczekać z tym do przyjazdu do was, ale chcę ci powiedzieć, że planuję wycieczkę do Irlandii.

— Czy cuda się nigdy nie skończą? Mówiłeś o tym od lat.

— Nadszedł czas, żeby w końcu wcielić słowa w czyn. Chciałbym jednak, żebyście wiedzieli, że mógłbym zaplanować dla Dooleya coś innego. Mój wyjazd może potrwać kilka miesięcy...

— Cóż... wydaje mi się, że zaczął tu zapuszczać korzenie. Myślę, Timie, że nie należałoby tego niszczyć.

— Nie chciałbym mu jeszcze o niczym mówić.

— Przyjedź wobec tego do nas. Na sąsiedniej farmie mam chorego konia i nie jest z nim za dobrze. Kolka. Być może będzie ze mną Dools, ale przyjedziemy po ciebie w porze kolacji.

— Dziękuję, przyjacielu, dziękuję.

— Nie ma sprawy — odparł Hal Owen.

Dokuczało mu codzienne wieczorne zmęczenie, które ostatnio zaczął określać mianem „syndromu podeszłego wieku”. Być może powinien rozpocząć kurację witaminową, jak Barnaba.

Parę minut po dziewiątej zadzwonił telefon. Stuart.

— Czy nie przeszkadzam w niczym?

— W niczym ważnym, muszę stwierdzić z przykrością.

Rzeczywiście, bardzo przykro było mu to przyznać. Zdecydowanie bardziej wolałby obwieścić, że czyta książkę arcybiskupa Careya albo robi ćwiczenia czy coś równie pożytecznego.

— Rozmawiałem właśnie z ojcem Johnem. Jego mama zmarła wczoraj w nocy. Dość nagle, rodzina jest załamana. Jedzie jutro rano i zamierza zostać przez jakiś czas z ojcem, który nie czuje się dobrze. Z wielu powodów bardzo mi przykro, że muszę ci przekazać tę wiadomość. Zdaję sobie między innymi sprawę, jak skomplikuje to twój wyjazd — bo oczywiście planujesz wyjazd?

— Tak, w rzeczy samej! Moi wierni podarowali mi ogromną liczbę punktów za przeloty i zamierzam wybrać się do Irlandii z Walterem i Katherine.

— Brawa! Wspaniale! Potrzebuję jedynie odrobinę czasu, żeby opracować plan B.

— Ojciec Douglas? Będzie wolny?

— Ojciec Douglas pisze książkę i nie da się oderwać od swojego peceta.

— Aha.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię, i dam ci znać, co udało mi się wymyślić. Co u Cynthii?

— Muszę do niej zadzwonić i ją zapytać. Miałem taki zamiar.

— Tak, proszę cię, Timothy, nie odkładaj tego — poradził biskup. — Ten, kto się waha, przegrywa, szczególnie jeśli chodzi o kobiety. Przy okazji, bardzo się cieszę z pomyślnych wieści o Barnabie.

Gdy odkładał słuchawkę, zauważył, że wydaje mu się ciężka jak sztanga.

Wyłączył światło w salonie, a potem poszedł do kuchni i otworzył drzwi lodówki.

Było tam to przekłete pudełko z ciastem. Dzięki Bogu, że nie jest przezroczyste. Jedno spojrzenie na zawartość i byłoby po nim. A tak, mógł nawet wierzyć, że jest tam bryła węgla.

Barnaba już spał w nogach łóżka, gdy przyszedł na górę.

Zdejmując skarpetki, zobaczył, że jego stopy i kostki są dziwnie napuchnięte. Nigdy wcześniej tego nie zauważył. Czy dużo dzisiaj chodził? Nie więcej niż zwykle. Przypomniał sobie, jak kiedyś pojechał na organizowaną przez parafię, intensywną wycieczkę autokarową po ogrodach w Vermont. Miał wtedy dokładnie tak samo spuchnięte kostki. „To od chodzenia” — powiedział wikary. „To od siedzenia” — zawyrokował dyrektor chóru.

— Nie podoba mi się to — powiedział mu Hoppy we wtorek po południu i poddał go serii nieprzyjemnych badań. Pastor postanowił, że poczeka na wyniki, które miały być gotowe w środę, a potem pojedzie do Meadowgate. Biuletyny będą gotowe, plakaty zapraszające na wieczorne nabożeństwo będą wydrukowane, a jemu, tak jak Barnabie, wiejskie powietrze wyjdzie na dobre.

Wrócił do kancelarii po spotkaniu z Hoppym i usiadł, wpatrując się w drzwi. Z wysiłkiem spojrzął na kalendarz i zobaczył napawające go przerażeniem słowa Festiwal Róż, którymi zaznaczył zbliżający się piątek i sobotę. Czy przygotował jakieś wystąpienie? Za żadne skarby świata nie mógł sobie

przypomnieć. Spojrzał na wypełnione półkami z książkami ściany, które zdawały się go osaczać, a potem na Barnabę chrapiącego w kącie.

Nie, to nie było chrapanie Barnaby, to był dźwięk jego własnego ciężkiego przerywanego oddechu. Siedział przez chwilę i modlił się. Potem, resztką sił, jaką zdołał wykrzesać, wyszedł z kancelarii, zapominając o zamknięciu na klucz drzwi, i poszedł do domu.

Gdy wychodził zza rogu domu, zobaczył Cynthię w jej ogródku.

— Dzień dobry! — zawołała wesoło, zaglądając przez żywopłot. Miała na sobie dzinsowy kitel i spodnie. — Bardzo się cieszę na ten wieczór. Około szóstej trzydzieści, powiedzieli. Mam nadzieję, że ci to odpowiada. Sturgeonowie na pewno ci się spodobają, obiecuję.

Ci ludzie, których nazwisko kojarzyło mu się z rybą. Szósta trzydzieści? O czym ona mówiła?

— Wyglądasz na zmęczonego, Timothy. Miałbyś ochotę na filiżankę herbaty albo sherry?

— Nie — odparł krótko.

— W takim razie — szepnęła, wycofując się z wyrazem zaskoczenia na twarzy — przyjdiesz po mnie około szóstej piętnaście?

— Tak, będę punktualnie — odpowiedział niepewnie, wchodząc po schodach do domu.

Po co ma tam być? Dowie się później. Teraz chciał szklanek herbaty, wody, czegośkolwiek, czegoś zimnego.

Wypuścił z dłoni smycz i słyszał, jak Barnaba, ciągnąc ją za sobą i hałasując, wbiega do holu i biegnie po schodach na górę.

Na drzwiach lodówki zobaczył pojemnik z herbatą, ale wyobrażenie pudełka z ciastem okazało się nagle tak kuszące, że nie mógł się opanować. Coś zimnego! Ciasto będzie zimne. I słodkie. Dobry Boże, opanowała go taka niesamowita ochota zjedzenia czegoś słodkiego, choćby jednego kawałka. Przecież jeden mały kęs nie może mu zaszkodzić.

Ostrożnie wyjął pudełko z lodówki, jakby starając się nie uruchomić alarmu i nie poinformować w ten sposób wszystkich sąsiadów o swoim nierozważnym czynie.

Jego dłoń drżała, gdy ściągał przykrywkę pudełka, i stał, wpatrując się w rezultat gestu niewinnej hojności Esther Bolick. Potem, bez dalszego zastanawiania się, ukroił duży kawałek, zjadł go, stojąc nad zlewozmywakiem, i sięgnął po następny.

O czwartej, czując się jakby trochę zregenerowany, usiadł w fotelu w sypialni. Próbował ubrać się na kolację, ale coś było nie tak, powiedział sobie, spoglądając na stopy. Może to jego buty. Wyglądało na to, że włożył jeden czarny i jeden brązowy mokasyn. Czy rzeczywiście o to chodziło? Nie był pewien. Być może było to coś dużo gorszego, coś dużo bardziej poważnego niż buty.

Zastanowił się dokładnie nad całą sytuacją, nie spuszczając wzroku z zegarka, i w końcu z zainteresowaniem zauważył, że nie włożył spodni. Siedział w samych szortach. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ponieważ wyraźnie widział swoje nogi.

— Spodnie — powiedział na głos.

Zajrzał do szafy i znalazł coś, co w dotyku przypominało spodnie. Nie była to marynarka, a z pewnością spodnie wiszące na wieszaku.

Woda. Miał zamiar napić się wody, ale zupełnie o tym zapomniał. Najpierw musi włożyć spodnie, chociaż nie ma pojęcia, jak powinien to zrobić. Wydawało mu się, że są odwrócone do góry nogami. Zauważył, że nie może przełożyć stóp przez mankiety spodni — coś się nie zgadzało, wiedział, że coś się nie zgadza. Usiadł i pomyśli o tym, postanowił, ciągnąc za sobą spodnie i podchodząc do komody.

Potrzebne mu będą... co będzie mu potrzebne? Spinki do mankietów? Sturgeonowie mogą się nieźle wystroić na tę okazję. Charles Sturgeon powiedział: „Chrześcijaństwo opiera się na fakcie, że Chrystus zmartwychwstał, Jego Wszechmoc wywodzi się w prosty sposób z Jego rezurekcji”.

Był tak podekscytowany, że wybierają się z wizytą do Sturgeonów. Prawdę powiedziawszy, Sturgeon był jednym ze świętych, o których spotkaniu w niebie marzył najbardziej.

Wydawało się mu, że w pokoju jest cicho jak w grobowcu, jakby był zawieszony w czasie. Nareszcie wiedział, że już dłużej nie może biec, brakowało mu tchu, za bardzo się śpieszył, to wszystko było ponad jego siły, nie był już w stanie dłużej tego ciągnąć.

Namacał ręką dolną część łóżka i opierając się o krawędź, doszedł do jego boku. Potem ściągnął nakrycie i wsunął się do środka, nie zdejmując butów i ściskając w ręce spodnie. Szeptem wypowiadał słowa modlitwy odmawianej bezpośrednio przed Komunią: „Dary Pana dla Jego Ludu, przyjmijcie je, pełni wdzięczności — na pamiątkę śmierci Chrystusa, aby się stały pokarmem dla waszej wiary”.

Nie był zdziwiony, gdy zobaczył, że Sturgeonowie jedzą na kolację rybę. Był jednak zaskoczony, gdy po wejściu do bardzo wysokiego pokoju zauważył, że za znajdującym się w nim stołem siedzi sam Pan. Czuł, jak mocno bije mu serce.

— Timothy, na tę część twojego życia mam dla ciebie ważne zadanie.

— Tak, Panie — odpowiedział i mocne bicie serca natychmiast ustało, ogarnął go słodki spokój i poczuł, że frunie.

Wyfrunął przez dach własnego domu i począł lecieć nad miasteczkiem. Zobaczył stojący na jego obrzeżach pomnik i ESSO Lew Boyda. Byli tam Coot i Lew, którzy spoglądali do góry i machali mu ręką, gdy nad nimi przelatywał.

Zauważył, że ma ogromne skrzydła, skrzydła motyla, że mienia się żółcią i purpurą i że są gładkie jak aksamit. Powietrze z łatwością unosiło i — na podobieństwo pieszczoty — muskało jego ciało. Odkrył też, że skrzydłami porusza wcale nie po to, żeby utrzymać się w górze, ale dla czystej przyjemności.

Leciał nad miastem, nad zielonymi falującymi polami i w oddali zobaczył jaśniejącą w słońcu wstęgę. Była to rzeka, szeroka, wijąca się rzeka, a na jej przeciwległym końcu znajdował się mały kościół.

Zleciał w dół, skuszony widokiem pojedynczego kwiatka na wiejskim cmentarzu, i tam się zatrzymał.

Wtedy nadeszła procesja. Wszyscy byli ubrani na biało, a na ich czele szedł mężczyzna, niosąc drewniany krzyż.

Położył krzyż w świeżo wykopanym dole w pobliżu drzwi do kościoła i ludzie poczęli rzucać do dołu ziemię. Dzieci przyniosły kwiaty i zaczęły zasypywać korzenie wilgotną, leżącą w pobliżu dołu ziemią.

Wtedy mężczyzna uniósł do góry ręce i zaczął się modlić, dziękując Bogu za nowe życie i za nadzieję. Motyl pofrunął do krzyża i usiadł na nim.

— Tak jak On wyswobodził się z więzów śmierci — powiedział mężczyzna — i zmartwychwstał do nowego życia, tak samo ten motyl, kiedyś uwięziony w kokonie, zyskał wolność. Zaczynij nowe życie w Chrystusie. Leć i bądź jak motyl.

Motyl wzbił skrzydła do lotu i poleciał. Wzniósł się ponad kościół, jaśniejąc w promieniach słońca. Znowu zobaczył rzekę. Z zachodu powiał nagle chłodny wiatr, podobny do zwiastującego zazwyczaj burzę.

Motyl leciał nad zakotwiczonym przy pomniku miastem, nad usadowionym na wzgórzu pośród sadów domem Fernbank. Potem widział już tylko czerwony dach sąsiedniego domku i pokryty dachówką dach własnego domu.

Głowa ciążyła mu, jakby zażył narkotyki albo jakby ktoś go uderzył. Z trudem przewrócił się niespokojnie na drugi bok i zobaczył jakąś postać, siedzącą w świetle jego nocnej lampki i spoglądającą na niego.

Cynthia położyła rękę na jego czole. Nie mógł mówić, nie był też w stanie zrozumieć tego, co ona mówi.

— Timothy — szepnęła — jestem przy tobie.

Rozdział dwudziesty czwarty

W NOWYM ŻYCIU

— Silne odwodnienie — obwieścił Hoppy.

Otworzył usta pastora i oglądał jego język oraz jamę ustną.

— Nie reaguje. Mógł mieć udar.

— Nie — powiedziała miękko Cynthia. Z oddali dobiegł ich uszu sygnał karetki.

— Albo drastycznie spadł mu poziom cukru. Dam mu teraz trochę dekstrozy. Kazałem karetkce jechać za mną, na wszelki wypadek. Zejdź na dół, żeby tu trafili, to nowy kierowca.

Gdy przyszła z powrotem na górę w towarzystwie sanitariuszy, znowu przeraził ją widok oczu, które jej nie widziały.

— Pomiar dekstrozy wskazuje, że przekroczyła ona maksymalny poziom. Chyba wiem, co się dzieje — mówił Hoppy do siostry Kennedy, podążając korytarzem za noszami. — Potrzebuję tych wyników laboratoryjnych natychmiast.

— Ale, panie doktorze, nie ma nikogo...

— Nie chcę tego słyszeć — rzucił gniewnie. — Macie zrobić, co do was należy. *Pronto.*

— Tak, panie doktorze.

— Będę się modlić — obiecała Cynthia.

Zwrócił się teraz do starszej siostry, która spokojnie czekała na jego polecenia.

— Siostró Herman, pacjent potrzebuje płynów, i to dużo. Proszę od razu podać mu litr roztworu soli w wodzie, a potem zmniejszyć dawkę do pięciuset centymetrów sześciennych, dopóki nie otrzymamy wyników.

— Tak, panie doktorze.

Wchodził po schodach. Zdawały się zwężać, aż do szczeliny tak małej jak ucho igły. Przez szczelinę widział jaśniejsze światło. Nie był pewien, czy uda mu się przez nią przedostać...

— Cóż, przyjacielu.

Otworzył oczy i zobaczył twarz doktora, której widok sprawił mu niewypowiedzianą przyjemność.

— Co takiego? — zapytał chrapliwie, szczęśliwy, że słyszy dźwięk własnego głosu.

— Byłeś już jedną nogą po tamtej stronie.

— Nie żartuj.

— Doigrałeś się.

— To znaczy?

— Nabawiłeś się prawdziwej choroby. Będziesz musiał zacząć robić sobie zastrzyki i siusiać na papierek. Siostry nauczą cię, jak masz brać insulinę. Zamówiłem też sacharymetr, żebyś mógł kontrolować poziom cukru we krwi.

— Złe wiadomości.

— Dobra wiadomość jest taka, że żyjesz. Nie zdarza się to co dzień po kilku godzinach śpiączki hiperglikemicznej bez kwasicy ketonowej.

Z pewnym wysiłkiem zdał sobie sprawę, że dobrą wiadomością jest to, że nie będzie musiał wygłaszać przemówienia na przeklętym Festiwalu Róż.

Choć czuł się dobrze, miał surowy zakaz przyjmowania gości.

— Z wyjątkiem twojej sąsiadki — powiedział doktor bez dalszych wyjaśnień.

Ku własnemu zdziwieniu dowiedział się, że już za kilka dni będzie się czuł jak nowo narodzony i że będzie mógł wrócić do normalnego życia. A więc nic nie stało na przeszkodzie jego wyjazdowi. Oczywiście nie obędzie się bez pewnych niedogodności, jak na przykład codziennych zastrzyków, które będzie sobie musiał robić, wyjątkowej ostrożności w kwestii diety, dużej ilości ruchu. Wszystko to zdawało się raczej nie sprzyjać zagranicznym podróżom.

Tymczasem ojciec Douglas zadeklarował mimo wszystko chęć oderwania się od swojego peceta i obiecał, że w najbliższą niedzielę wygłosi obydwie kazania. Ojciec Lewis z Wesley chętnie zgodził się poprowadzić msze.

Przed końcem drugiego dnia w jego pokoju znajdowało się już siedem bukietów, gloksynia i miniaturka krzewu. Z przyjemnością myślał, że przynajmniej Jena Ivey ma jakiś pożytek z jego aktualnego stanu zdrowia.

Przyszła Cynthia. Miała na sobie coś szmaragdowego i cała była rozpromieniona.

— Bajka na dobranoc — powiedziała, otwierając szarą kopertę, która zawierała jej rękopis. — Powiedz mi, co myślisz.

Usiadła wygodnie w nogach jego łóżka i przeczytała na głos opowieść o myszce w złóbkę.

Co myślał? Jedyne, że jest pięknie napisana, skłaniająca do przemyśleń, czarująca, a przy tym wzruszająca, zabawna i na pewno spotka się z uznaniem czytelników.

— Aż tyle komplementów?

— Mógłbym je jeszcze mnożyć.

— Słyszałam, że choroba zmiękcza serce, ale twoje stało się prawdziwie wylewne!

— Dziękuję, że wtedy przyszedłaś — powiedział, ujmując jej dłoń.

— Gdy nie przyszedłeś po mnie, żeby zabrać mnie do Sturgeonów, pomyślałam, że wystawiłeś mnie do wiatru. Wiedziałam, że nie miałaś wielkiej ochoty na tę wizytę. Czekałam więc, czekałam, a ty nie przychodziłeś, aż w końcu przeszłam przez żywopłot i zapukałam do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi. Barnaba był w kuchni i czekał jak opętany. Wołałam, ale nigdzie nie mogłam cię zna-

leżć. Szukałam w salonie, w garażu, wszędzie, a potem poszłam na górę i znalazłam cię w łóżku. W rękach ścisnąłeś parę spodni.

— Naprawdę?

— A na nogach miałeś buty!

— Wszystko więc jak należy. Zaśmiała się.

— Widziałam jednak, że nie śpisz. Wyglądałeś tak dziwnie, cały byłeś spocony, a twoje usta poruszały się, mimo że nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Zadzwoiłam do szpitala, ale Hoppy'ego tam nie było. Powiedziałam, że to nagły wypadek, więc go znaleźli i przysłali do twojego domu, dzięki Bogu! Uścisnął jej dłoń.

— Niczego nie pamiętam. Niczego. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to że zjadłem ciasto Esther.

— Ciasto Esther?

Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

— Mam nadzieję, że nie powiesz niczego Hoppy'emu. Zauważył zatroskanie w jej oczach.

— Obiecuję, że nie. Ale na litość, niech to będzie dla ciebie nauczką.

— Czy przyjdiesz znowu jutro?

— Tak — obiecała, pochylając się, żeby musnąć wargami jego policzek.

Gdy doszła do drzwi, odwróciła się i pomachała do niego ręką. Przez chwilę miał wrażenie, że wygląda jak rozmarzone dziecko.

— Słodkich snów — powiedziała, przechylając głowę.

Delikatny zapach wistarii na poduszce był niczym cudowny narkotyk.

— Na miejscu ojca nie całowałabym żadnego kamienia w Blarney — poradziła Puny, strzepując poduszki z sofy. — Na samą myśl o tym, jak wielu ludzi przykładało do niego usta, przechodzą mnie ciarki.

— Nie mam zamiaru wisieć nad przepaścią, żeby pocałować jakąś skałę — stwierdził pastor, który z racji tego, że było właśnie południe, odpoczywał w salonie zgodnie z zaleceniem lekarza. — Ten czas poświęcę na robienie zakupów, żebym po przyjeździe mógł zrobić niejkiej Puny Bradshaw niespodziankę.

— Jakbym nie miała dość niespodzianek — odparła cierpko, ścierając kurz z półki nad kominem.

— Co masz na myśli?

— Na przykład, że Joe Joe został postrzelony, że ojciec zapadł w śpiączkę i o mało co nie umarł. Miałam wystarczająco dużo niespodzianek, dziękuję, nie wspominając już o całej z tym związanej pracy.

— Skoro już jesteśmy przy pracy, czy zgodziłabyś się robić te wszystkie cudowne rzeczy dla pastora, który mnie zastąpi, gdy będę w Irlandii?

— Może — odparła ostrożnie. — Musiałabym go najpierw sprawdzić. Nie pracuję dla choleryków, malkontentów i hipokrytów, nie mówiąc już o apodyktycznych, podłych czy skąpych osobach.

— Dobra zasada. Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Jeśli nie wrócę przed rozpoczęciem szkoły, czy mogłabyś tutaj zamieszkać i zaopiekować się Dooleyem do mojego powrotu?

— Nie wiem...

— Pomyśl tylko, Joe Joe nie musiałby jeździć aż do Wesley, żeby się z tobą spotkać, a wystarczyłoby jedynie, żeby przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zaczerwieniła się.

— Przemyśl to. Zarabiałabyś prawie drugie tyle, a dla chłopca musiałabyś przyrządzać jedynie kiełbasę bolońską, która zapewne przypadłaby również do gustu mojemu zastępcy, jeśli jest dość młody.

Westchnęła.

— Zastanawiam się, dlaczego Pan zawsze zsyła mi duchownych.

„Drodzy Przyjaciele,

gdy opuszczałem Mitford kilka tygodni temu, Wy nie mogliście mnie widzieć, ale ja Was widziałem. Dziękuję, że przyszliście, żeby mi pomachać na pożegnanie.

Pragnę szczególnie podziękować dzieciom, które okazały mi tyle serca i przysyłały do więzienia te cudowne rysunki. Pozwolono mi powiesić kilka z nich w mojej celi i nie uwierzylibyście, jak wielkie znaczenie mają dla moich współwięźniów. W tym ponurym i przygnębiającym miejscu ich jasne kolory stanowią prawdziwy kontrast, ale największą radość sprawia nam widoczna w nich wolność. Są spontaniczne i szczerze i dodają nadziei ludziom, którzy z pewnością są jej pozbawieni. Czuję się dość odizolowany od pozostałych towarzyszy, ponieważ pracuję w pralni tylko z pięcioma innymi osobami. Podwórko więzienne jest wielkości porośniętego trawą skweru wokół pomnika w Waszym mieście. Wychodzę tam poćwiczyć codziennie wieczorem po kolacji, żeby nie stracić kondycji. Przeważnie dobrze to działa na moją psychikę, ponieważ często ogarnia mnie prawdziwa panika z powodu mojego pobytu tutaj.

Powiedzieli mi, że będę musiał uważać na zegarek i przybory do golenia, ale że nikt nie ukradnie mojego Pisma Świętego. Gdyby tylko potrafili sobie wyobrazić, jakie ono kryje bogactwa, to wszyscy chcieliby je mieć, i właśnie o to się modlę.

Nie wiem, co mogę napisać w tym liście, nie wiem, co podlega cenzurze, ale jestem prawie pewien, że pozwolą mi powiedzieć następujące słowa:

Znalazłem w Mitford coś, o czym myślałem, że tak naprawdę nie istnieje. Gdy odmówiłem wspólnie z moim nowym bratem Petem Jamisonem i ojcem Timem tę modlitwę, Bóg odmienił moje życie. Następnie pokazał mi poprzez Was swoją miłość.

Dziękuję za buty. Za gulasze. Za ciasta. Za zapiekanki. I za Wasze modlitwy. Jeśli możecie, to bardzo proszę, piszcie do mnie.

Szczerze oddany, George Gaynor".

Pastor położył ostatni numer „Muse” na kolanach. Urzędników poczty w więzieniu czeka mnóstwo pracy.

— Pan Gregory — obwieściła Puny, wycierając dłonie w fartuch.

A myślał dzisiaj rano, żeby się ogolić.

— Poproś go do środka!

Usłyszał energiczne kroki Andrew nadchodzącego korytarzem.

— Prawdziwy raj kawalera! — ocenił, widząc wypełniony książkami salon, roztaczający się z okna widok na park Baxter i promienną twarz Puny Bradshaw.

Wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się cudownym zapachem, który wyraźnie miał swoje źródło w kuchni.

Pastor wstał i mocno uściśnął swojego ulubionego antykwariusza.

— Siadaj natychmiast, mój przyjacielu, i opowiedz mi wszystko. Nie widziałem cię od czasu... kiedy widziałem cię ostatnio? Można by pomyśleć, że skoro dzieli nas tylko szerokość ulicy, powinniśmy się częściej widywać.

— Samo życie, ojcie, samo życie — westchnął Andrew, siadając w fotelu z wysokim oparciem i rozpinając marynarkę. — Narzuca zbyt szybkie tempo.

— Nawet w Mitford.

— Czasami myślę, że szczególnie w Mitford. Jak się czujesz? Wyjdiesz z tego?

— Och, tak, wydaje mi się, że tak. Dużo niewygody, nic więcej.

— Czy mieliby panowie ochotę na filiżankę kawy albo szklankę herbaty? — zapytała Puny.

Pastor był zdania, że wygląda jak obrazek w nowym fartuchu i sukience, z rudymi włosami związanymi zieloną wstążką.

— Dla mnie herbata! — przyjął z radością propozycję Andrew. — Bez cukru, jeśli można.

— Dla mnie to samo — powiedział pastor.

Zauważył jednocześnie ze wzruszeniem i rozbawieniem, że Puny, na której najwyraźniej ich przystojny gość zrobił duże wrażenie, dygnęła lekko, wychodząc z pokoju.

— Gdzie, na Boga, znalazłeś taki skarb?

— Niebiosa ją zesłały!

— Skoro już mówimy o niebie, mam nową dostawę książek z opactwa w Northamptonshire. Bardzo rzadkie. Wyjątkowe. Przyjdzie taki dzień, w którym zabronią wywożenia takich skarbów z

kraju. Jest wśród nich jedno z pierwszych wydań dzieła *O naśladowaniu Chrystusa*. Myślałem, że może miałbyś ochotę je oglądnąć.

— Oczywiście. Jak to dobrze, że książki nie szkodzą na tę okropną chorobę, bo chyba już bym nie żył. Czy udało ci się sprzedać jeszcze jakieś rysunki wujaszka Billy'ego?

— Tak, kolejne cztery. Wczoraj zaniósłem mu kopertę. Lubi gotówkę, wiesz, nie czekaj, i obawiam się, że trzyma ją pod materacem.

— Niezły sposób, zważywszy na czasy. Andrew zaśmiał się.

— Przeczytałem w gazecie list od George'a Gaynora. A zaledwie wczoraj dowiedziałem się, że dwóch z trzech dealerów po stronie brytyjskiej zostało wczoraj aresztowanych w Norwich. Fascynujące okoliczności, naprawdę. Staram się śledzić na bieżąco informacje w gazetach. Sprawdziłem wszystkie nogi w moich stołach, ale żadna nie jest warta ani centa!

— Co możesz powiedzieć mi o Irlandii?

— O Irlandii? Naprawdę niewiele. Jak wiesz, jestem beznadziejnym anglofilem. Oczywiście istnieje cały odrębny nurt zajmujący się irlandzkimi antykami, ale to nie moja działka. Zbyt prymitywne. Dlaczego pytasz?

— Wyjeżdżam za kilka dni. Myślałem, że mógłbyś mi dać kilka wskazówek. Zatrzymamy się w Sligo.

— Ach! Surowy kraj. Nie skażony przemysłem. Ale słyszałem, że widowiskowo piękny. Weź ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy, gumowe buty i wodoszczelny zegarek...

A niech to, pomyślał. Po co w ogóle zadawać sobie trud, żeby znaleźć się w takim miejscu?

— Herbata dla pana — oznajmiła Punny, która podała napój w ich najbardziej eleganckich kryształowych szklankach i przyniosła na tacy najlepsze, wykrochmalone na sztywno serwetki.

Andrew wypił łyk herbaty i przyłożył do ust wykrochmaloną serwetkę.

— Bardzo rzadko widuję ostatnio twoją sąsiadkę. Czy można ją tu czasami spotkać?

— O tak, nawet bardzo często.

— Niezwykle inteligentna dama.

— Tak, tak. Rzeczywiście.

— Wyjątkowo atrakcyjna.

— O tak, rzeczywiście jest ładna.

— Bardzo zabawna, gdy się nad tym zastanowić.

— Zgadza się z tobą całkowicie.

— Nie potrafię jednak nawiązać z nią bliższej znajomości. Przypuszczam, że miałeś okazję trochę ją poznać. Jesteście przecież sąsiadami. Jakież wskazówki?

Wysoki, uprzejmy, zadbany, wytworny Andrew Gregory pytał jego?!

Zastanawiał się przez chwilę.

— Ach, przypuszczam, że podobałoby się jej, gdybyś ją zapraszał częściej na te wymyślne spotkania w country clubie, może na brydża, tego typu rzeczy — skłamał.

Wybacz mi, Panie, modlił się, obiecuję, że już więcej tego nie zrobię.

Kiedy Puny odprowadzała Andrew do drzwi, zadzwonił telefon.

— Halo — powiedział. Usłyszał w słuchawce czyjś oddech.

— Halo?

— Odmówiłem tę modlitwę — powiedział ktoś chrapliwym głosem i odłożył słuchawkę.

— Czy to może dzwonił Joe Joe? — zapytała z zainteresowaniem Puny, wchodząc pośpiesznie do salonu.

— Nie. Nie jestem pewien, kto to mógł być.

Głos wydawał mu się dziwnie znajomy, ale nie... nie, to nie mogła być ta osoba, o której myślał.

— Nie wie ojciec, kto to był?

— Nie rozpoznałem głosu, a potem ktoś odłożył słuchawkę.

— Pomyłka! — zawyrokowała Puny, stawiając szklanki na tacy i zabierając je do kuchni.

Absalom Greer spojrział na niego przeciągle.

— Bracie, jeśli zajmę twoje miejsce na ambonie, niektórzy odejdą z twojej owczarni, zanim zdążysz wrócić.

— Niech się tak stanie.

Siedzieli na stopniach prowadzących do sklepu. Dzień był tak gorący, że obaj ściągnęli marynarki i podwinęli rękawy koszuli.

— Wiesz, że będę nauczał o grzechu.

— Dobrze.

— Będę nauczał o osobistej więzi z Bogiem.

— Mam szczerą nadzieję, że to zrobisz.

— I będę mówił o krzyżu.

— Tego nam wszystkim potrzeba. Niech cię Bóg błogosławi, przyjacielu.

— I ciebie też, Timothy. Gdy tydzień temu zegnałem się ze swoimi małymi kościółkami, żeby trochę odpocząć, nie miałem pojęcia, że Pan nie wypuszczając nawet na chwilę lejców z dłoni, zaprzęgnie mnie do nowego zadania. — Starszy pastor zaśmiał się z radością. — Będę pilnował, żeby Lottie odpowiednio mnie ubierała, będę czyścił na połysk buty i nosił w kieszeni chusteczkę.

— To więcej niż mogę powiedzieć o sobie. Jakże jestem wdzięczny, że pozwalają ci na to inne zajęcia. Tą myślą zostałem natchnięty nagle, w środku nocy. Wierzę, że to Duch Święty mi ją zesłał. Czy będziesz w stanie kontynuować to przez dwa miesiące?

— Jeśli chodzi o nauczanie Słowa Bożego, to dużo łatwiej żyje mi się z tym niż bez tego. Spełnię swoją misję w twoim kościele, a potem zrezygnuję.

Wstali i ojciec Tim ujął obie dłonie pastora.

— Będziemy powtarzać porządek mszy, aż go sobie przyswoisz, a biskup zapewni kogoś do celebry.

— Zdajesz sobie sprawę, że to dość nieortodoksyjne posunięcie — ostrzegł Absalom.

— Ortodoksja tego pomysłu sprawia, że jestem też w stanie zaufać i temu, co w nim nieortodoksyjne — odpowiedział pastor, spoglądając mu w oczy i uśmiechając się.

Jazda na lotnisko była dylematem. Joe Ivey, Mule Skinner, Ron Malcolm i Hal Owen zaproponowali mu podwiezienie.

Emma jednak nalegała, co ostatecznie przesądziło o rozwiązaniu tego ważkiego problemu.

— W takim razie, oczywiście, Barnabę zostawisz z nami — zaproponowała Marge, gdy rozmawiali przez telefon.

— Ale wy już zrobiliście, i nadal robicie, tak wiele — zaprotestował szczerze.

— Pomyśl tylko o tym wszystkim, co ty dla nas robisz, Timothy! Prawdę powiedziawszy, nic nie przychodziło mu do głowy.

W trakcie swojego ostatniego kazania starał się przygotować na każdy możliwy sposób swoich wiernych.

— Pastor Greer ostrzega mnie, że do czasu, gdy wrócę, część mojej trzódki przejdzie do sąsiedniej zagrody. Proszę was jednak, żebyście pozostali w naszej owczarni i wysłuchali tego, co on ma do powiedzenia, i rozważyli jego słowa w swoich sercach. Podjęcie tej decyzji nie przyszło mi łatwo. Biskup też nie udzielił swojego błogosławieństwa lekką ręką. Bardzo możliwe, że zdarzą się niezręczne sytuacje, ponieważ pastor Greer nie zna naszego porządku mszy, ale chciałbym, żebyście się za niego modlili i wyciągnęli do niego pomocną dłoń oraz stali na straży własnej wiary do czasu mojego powrotu.

Niektórzy z wiernych przyglądali się mu dziwnie, gdy witał się z nimi na kościelnej murawie. Nikt nie lubił zmian i na litość, dlaczego nie mógł sprowadzić ojca Douglasa, którego przynajmniej znali? Jakie to ma znaczenie, że jego kazania są mało ciekawe? Nie sprawiałby kłopotów, oni byliby zadowoleni, a przecież każdy szanujący się biskup zdołałby go przekonać, żeby zostawił swoją książkę, która najprawdopodobniej i tak nie będzie zbyt interesująca. Albo na przykład ojciec Randall. Oto osoba, która by trochę rozruszała to miejsce i zrobiłaby tu coś pozytywnego, chociaż jak zwykle pozostawała kwestia jego nieszczęsnego zamiłowania do gry na gitarze podczas mszy o jedenastej. A na litość Boga, dlaczego ten ksiądz musi być baptystą? Mieli nadzieję, że przynajmniej nie będzie podnosił głosu i krzyczał, albo, co gorsza, nie zaprosi do udziału w celebrze parafian.

Korzystając z chłodu wieczoru, poszedł z Barnabą do Fernbank, wspinając się niespiesznie pod górę. Pannę Sadie i Louellę zastał na ganku. Siedziały tam, wachlując się wachlarzami.

— Drogie panie, co słyhać?

— Słysząc to, że wyglądamy towarzystwa — odpowiedziała panna Sadie. — Mówiliśmy z Louellą właśnie o tym, że już nikt nie przychodzi z wizytą w niedzielę, jak dawniej. Jak ojciec myśli, co robią ludzie, jeśli nie chodzą nigdzie z wizytą?

— Idą na deptak — odparł pastor, z trudem łapiąc oddech. Usiadł na schodach z Barnabą, któremu chłód stopni po wschodniej stronie domu sprawiał wyraźną przyjemność.

— Na pewno nie!

— Stare zwyczaje jednak nie do końca wyginęły. Przecież przyszedłem do pań.

— Niech ojciec pozwoli Barnabie przyjść do nas — zaproponowała panna Sadie, która nadal miała na sobie kościelny strój.

Louella odsunęła się od Barnaby.

— To największy pies, jakiego kiedykolwiek widziałam. Mieszkałam w domach, które nie były tak duże jak on.

Barnaba wylądował u stóp panny Sadie i ziewnął z zadowoleniem.

— Co za pomysł! Louello, a co powiedziała byś na to, żebyśmy wzięły sobie psa?

— Na Boga! — Louella zupełnie zaniemówiła.

— Cóż, ojcie, powinien ojciec wiedzieć, że wszyscy czujemy się trochę niepewnie na myśl o tym, że na czas wyjazdu zastąpi ojca Absalom Greer. Uważam, że to bardzo dziwne posunięcie, ale jestem ciekawa rezultatów.

— Ma pani rację. To bardzo dziwne posunięcie. Myślę jednak, że ta dziwność przyniesie pożądane efekty. Czy będą mnie panie informować od czasu do czasu, jak tu wszystko wygląda? Zostawię paniom mój plan podróży, razem z adresami i numerami telefonów. Chciałem też powiedzieć, że będę pisał do pań co tydzień. Obiecuję.

— Zepsuł nas ojciec. Do szczętu. Prawie trzynaście lat i w ciągu całego tego okresu nie zdarzyło się ojcu opuścić prawie żadnej niedzieli, z wyjątkiem kilku spotkań w diecezji i tej okropnej zimy, gdy przykuła ojca do łóżka grypa.

— Gdyby panie czegoś potrzebowały, to proszę dzwonić do Hala albo Rona. Esther Bolick i Emma będą o paniach pamiętać. Jestem pewien, że wystarczy dzień albo dwa i zapomną panie o moim istnieniu.

— Jakoś trudno nam w to uwierzyć!

— Słyszałyście panie, że Olivia wraca już wkrótce — powiedział. — Może będą panie chciały do niej zadzwonić?

— O tak, rozmawialiśmy już o tym! — zawołała Louella. — Panna Sadie zamierza ją zaprosić, żeby przymierzyła te wszystkie eleganckie kapelusze, a ja usmażę dla niej kurczaka tak pysznego, że będzie się rozpląwał w jej ślicznych ustach.

— I usiądziemy przy stole w jadalni, i wyciągniemy porcelanę mamy?

— Och, usiadźmy po prostu w kuchni, gdzie będzie nam wygodnie, a nie popisujmy się przed panną Olivią. Traktujmy ją jak członka rodziny!

— Ależ tak, Louello, to doskonały pomysł. Z czym podamy tego kurczaka?

Ojciec Tim wstał i podszedł do bujanego fotela panny Sadie. Pochylił się i pocałował w czoło swoją najstarszą parafiankę, a potem obrócił się i pocałował w gorący policzek Louellę.

— Niech panie się ani trochę nie zmieniają. — poprosił. — Proszę pamiętać, będę pisał do pań co tydzień.

Zbiegł po schodach z Barnabą, a gdy już był na podjeździe, zatrzymał się i z uśmiechem na twarzy obejrzał za siebie.

— Proszę się dobrze sprawować! — zawołał.

— Urządzmy sobie romantyczną kolację przy świecach — zaproponowała Cynthia, która zaglądnęła do kancelarii w drodze do Sklepu.

— Brzmi nieźle, ale miałem inną propozycję, jeśli cię to interesuje.

— Spróbuj mnie zaskoczyć! — zażartowała, przechylając głowę. Wyglądała na zadowoloną z życia.

— Może pojechalibyśmy gdzieś za miasto?

— Kocham wyjeżdżać za miasto!

— Na moim skuterze.

— Na twoim skuterze? Na tej małej czerwonej drobinie?

— Dokładnie o nią mi chodzi. Możemy wziąć ze sobą piknik.

— Gdzie go postawimy?

— Cóż, nie jestem pewien. Nie przemyślałem tego.

— Jak widać.

— Ale przemyślę. Obmyślę plan i jego błyskotliwość, pomysłowość... a może raczej głupota, sprawią, że oniemiejesz!

Roześmiała się swobodnie.

— Kocham, gdy tak mówisz! Jak tylko obmyślisz swój plan, daj mi znać. Kupić coś dla ciebie w Sklepie?

— Nie, dziękuję — powiedział, odprowadzając ją do drzwi. Była już na chodniku, gdy zawołał do niej.

— Cynthia?

— Tak? — odwróciła się i uśmiechnęła.

— Będę za tobą tęsknił — powiedział.

Bał się, bał się tego wszystkiego. Nie leciał samolotem już od dziewięciu lat i perspektywa lotu nad oceanem zaczęła mu się nagle wydawać nie do pomyślenia. Podróż zawsze rysowała się cudownie,

gdy myślało się o jej celu, ale wszystko, co czekało człowieka po drodze, to już zupełnie inna historia. Walter i Katherine donieśli z radością, że farma wyposażona jest w piernaty, ale jeśli dobrze pamiętał z wizyty u dziadka w dzieciństwie, piernaty zawierały zazwyczaj coś więcej niż same pióra. Doskonale przypominał sobie, jak słyszał delikatne odgłosy gryzienia dobywające się z nich przez całą noc.

Pozostawał też problem usytuowania łazienek. Twierdzili, że oba pokoje mają swoje łazienki, z drugiej jednak strony, jedna z łazienek — a kto wie czyja? — może być w korytarzu, krok czy dwa od pokoju.

Usiadł w fotelu w sypialni i przyglądał się rezultatowi swojej nieudolnej próby spakowania się. Wyjeżdżał dopiero za cztery dni, ale uważał, że powinien zabrać się do tego okropnego zadania już teraz.

— Timothy — powiedział na głos, sprawiając, że Barnaba rozejrzał się dookoła ze zdziwieniem — jesteś fatalnie nastawiony do tego wyjazdu. Zaczynaj wszystko od początku! Dziękuję Ci, Panie, za możliwość odwiedzenia tej cudownej części Twojego świata, dziękuję Ci za to, że dzięki poświęceniu tak wielu ludzi zatroszczyłeś się o materialną stronę tego przedsięwzięcia i że zorganizowałeś to wszystko w sposób, który jest wyraźnym dowodem Twojej łaski. Dziękuję Ci za dobry dom dla Do-oleya i Barnaby, pobłogosław szczerze Owenów za ich troskę o nas. Przebacz mi, że mam tak negatywny stosunek do czegoś, co jest wyraźnie przywilejem, i spraw, abym doglądał wszystkiego przed wyjazdem. I proszę Cię, Panie, pokaż mi, jak mam się spakować.

— Niech ojciec zostawi to pakowanie! — zarządziła Puny. — Robi ojciec bałagan. Ma tutaj ojciec tylko dwa komplety bielizny na zmianę i dziewięć chusteczek, trzy pary spinek do mankietów i żadnych koszul, do których można by je było nałożyć.

Z przerażeniem obserwował, jak Puny niszczy wszystko, co tak starannie przygotował.

— Niech ojciec stąd idzie i pozwoli mi się tym zająć. Zawsze pakowałam mojego dziadka, gdy jeździł na obozy rekolekcyjne. Był wzorem elegancji. Mówił, że cały czas zbierał komplementy za swój ubiór. Co to takiego?

— To — wyjaśnił z irytacją w głosie — jest mój zestaw dla diabetyków.

— Uch — odparła, zaglądając do środka. — Igły! A to?

— Papierki do zamaczania w moczu, żeby sprawdzić poziom cukru we krwi.

— Czy ma ojciec coś, do czego będzie mógł ojciec nasiusiać?

— Puny...

— Niech się ojciec nad tym zastanowi, może być potrzebny mały słoiczek. Może się ojciec znaleźć w tym obcym kraju i nie wiadomo do czego będzie musiał ojciec siusiać.

— Spakuj mi wobec tego słoik — zgodził się.

— Tak bardzo się cieszę, że sprowadza ojciec pana Greera i nie wprowadzi się tu inny pastor. Mam nadzieję, że nie ma ojciec nic przeciwko temu, że się o to modliłam.

Zostawili samochód na polnej drodze, przeszli przez ogrodzenie z drutu kolczastego, pokonali łąkę porośniętą całym mnóstwem stokrotek i weszli na zielony pagórek usiany jaskrami. Rozłożyli koc w miejscu, gdzie sosny i srebrny świerk rzucały chłodny cień.

Położył się, wsunął dłonie pod głowę i patrzył na niebo, po którym płynęły ogromne chmury kłębiaste. Miał wrażenie, jakby przez całe swoje sześćdziesięciodziesięcioletnie życie podróżował do tego właśnie miejsca. Tak, to był godny cel podróży. Czy Irlandia mogła być bardziej zielona? Jej wzgorza szlachetniejsze?

— Czy jesteśmy w niebie? — zapytała Cynthia, także leżąc na plecach i spoglądając na chmury. — Ależ oczywiście, że tak! Spójrz tylko tam, na prawo, widzisz ten rydwan, którym powozi ten anioł? Patrz, Timothy, widzisz?

U jego sąsiadki najbardziej podobało mu się to, że największą przyjemność sprawiały jej proste rzeczy.

— Ja przyglądałem się twarzy Beethovena.

— Gdzie? — zapytała z zainteresowaniem.

— Prosto nad nami. Widzisz tę lwią grzywę włosów?

— Przecież to w ogóle nie jest Beethoven — zaprzeczyła żarliwie. — To Jefferson Davis!

Sam był zdziwiony swoim śmiechem, tak spontanicznym, że nie miał końca. Wcale zresztą nie chciał, żeby się skończył. Gdy dołączyła do niego Cynthia, poczuł się jeszcze lepiej.

Kiedy atak minął, Cynthia wyciągnęła chusteczkę z kieszeni spódnicy i energicznie wydmuchała nos.

— Czy to nie wspaniałe uczucie śmiać się z niczego? — zastanawiała się na głos. — Dlaczego nie śmiejemy się częściej?

— Myślę, że zapominamy — odpowiedział, wycierając oczy.

— Jak możemy zapominać o tym, żeby się śmiać, skoro to takie cudowne uczucie i tak bardzo we wszystkim pomaga? Jak to możliwe?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze jako dziecko miał skłonności do zapominania o śmiechu.

— Gdy byłem dziewczynką, często w kaplicy dostawałam napadów śmiechu. Muszę ci powiedzieć, że był to najrozkoszniejszy śmiech, jaki poznałam w swoim życiu, ponieważ był tak zakazany. Był jednak też bardzo bolesny. Śmiałam się, aż wszystko mnie bolało, a łzy płynęły mi po policzkach, całą resztę musiałam jednak dusić w sobie, bo gdyby wyrwał mi się chociaż pojedynczy dźwięk, wtedy... wiesz.

— Nagła śmierć!

— Kochana Cynthia, mówili o mnie, siedzi w kaplicy i płacze, jakie ona musi mieć czułe serce!

Ojej.

Uśmiechnął się. Jak miło leżeć na plecach i mówić o niczym, czuć od czasu do czasu delikatną bryzę i słyszeć muczenie krowy i śpiew ukrytych w żywopłotach zięb. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się taki spokojny i szczęśliwy.

Sięgnął i ujął jej dłoń, potem obrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. Pomyślał, że gdyby tylko odważył się ją pocałować, wywołałby prawdziwą lawinę. Pocałowałby jej słodki policzek i koniuszek nosa, jej czoło i włosy, nie byłoby w tym żadnej jego winy, byłoby po nim. Bał się nawet oddychać.

— Timothy, spójrz na tę śmieszłą krowę, która się nam przygląda. Uniósł lekko głowę i zamarł.

— Nie ruszaj się — ostrzegł. — To byk.

— Och — szepnęła — takie rzeczy zdarzają się w komiksach, nie w życiu. Myślisz, że weźmie nas na rogi?

Bał się usiąść, ale jeszcze bardziej bał się położyć. Leżał więc nadal z uniesioną głową, kierując wzrok na byka, gdzieś ponad jego lewy bok, gdyż wyczuwał, że kontakt wzrokowy nie jest wskazany.

— Myślę, że powinienem wstać powoli, a ty powinnaś wtedy rzucić się do ucieczki i biec w kierunku lasu.

— Wezmę koszyk — zaproponowała szeptem. — Nie mam zamiaru dzielić się moim ciastem malinowym z tym potworem.

Zmusił się, żeby usiąść. Gdzie zamieści tę opowieść J.C.? W nekrologach czy na stronie tytułowej?

Byk patrzył na niego z rosnącym zainteresowaniem, gdy jemu udało się stanąć na nogi, aczkolwiek trochę chwiejnie. Kolana o mało się pod nim nie ugięły.

— W porządku, biegnij — powiedział cicho do swojej sąsiadki. Usłyszał, że wykonała jego polecenie.

Czy punkty za bilety lotnicze można zwrócić do ponownego wykorzystania?, zastanawiał się.

Byk nadal wpatrywał się w niego. Następnie opuścił głowę, odwrócił się i nie oglądając się za siebie, zszedł ciężkim krokiem z pagórka, kierując się w stronę dającego cień drzewa, które rosło na skraju łąki.

Pastor podniósł koc i równie ciężkim krokiem ruszył w stronę lasu, gdzie spotkał Cynthię, która stała przy sośnie i trzęsła się ze śmiechu.

— Życie na wsi jest bardzo stresujące — skonstatował, uśmiechając się.

— Stwierdzam, że to najlepszy lunch na pikniku w moim życiu! — obwieściła Cynthia. — Najlepszy kurczak na zimno, najlepsze bagietki, najlepszy ser, najlepszy placek malinowy!

— Zgadzam się co do joty! — odpowiedział, próbując zignorować coraz większą chęć przytulenia jej do siebie.

Wyciągnęła mały szkicownik z kieszeni spodnicy i pudełko ołówków.

— Przypuszczam, że nie miałbyś ochoty na naciągnięcie jednego rogu koca na głowę?

— Niespecjalnie. Po co, na litość boską, miałbym to robić?

— Zaczynam rysować moich mędrców ze Wschodu i jak sam wiesz, to moja ostatnia szansa, żebyś był modelem. Wystarczy tylko, żebyś tam usiadł i naciągnął koc na głowę. W ten sposób.

Pokazała mu, jak ma to zrobić.

— To wszystko? Ile czasu ci to zajmie?

— Pięć minut! Pośpieszę się. Potem gdy usiądę przy stole do rysowania, wykorzystam szkic jako wzór do akwareli. — Spojrzała na niego. — Prawdę powiedziawszy, byłoby łatwiej, gdybyś przyklęknął.

— Komu?

— Mnie, myślę. Tak, uklęknij, a ja ułożę koc w taki sposób, żeby przypominał burnus.

Wzięła rafię, której użył do zawiązania serwetek wokół bagietki, nałożyła na jego głowę koc, a potem go przywiązała.

— Właśnie! — oceniła z aprobatą efekt. — Wyglądasz dokładnie tak, jakbyś wrócił z dalekich krajów.

Już się cieszył, że cały eksperyment dobiega końca, gdy podniósłszy wzrok, zobaczył starszego mężczyznę i kobietę nadchodzących ścieżką, która prowadziła z lasu na wzgórze. Nieśli jutowe worki wypełnione świeżo wykopaną paprocią. Wielu okolicznych ludzi trudniło się tym zajęciem.

Ogarnęła go taka panika, jakby ktoś przyłapał go na kradzieży kur. Nie był w stanie podnieść się z kolan, nie potrafił też zdjąć burnusa.

— Dzień dobry! — zawołał słabo.

Zatrzymali się, spojrzeli na niego ze zdziwieniem, potem odwrócili się i w pośpiechu wrócili do lasu.

— I ten człowiek jest pastorem! — słyszał, jak mężczyzna mówi do żony.

Siedzieli na porośniętym trawą wzgórzu, aż wydłużone cienie zaczęły się kłaść na kocu. Znaleźli tutaj dzisiaj spokój i śmiech. Było więc za co dziękować.

— Cynthio — zaczął cicho, ujmując obie jej dłonie — przemyślałem to.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach widać było wesołe iskierki, które zdradzały jej własne myśli. Postanowił, że będzie szczery i bezpośredni.

— Nie mogę podjąć tej decyzji jeszcze teraz — wyznał. — Chciałbym się nad tym zastanowić podczas mojego wyjazdu. Ale jeśli proszę o zbyt wiele, w takim razie będziesz mi musiała jedynie... odebrać na zawsze przywilej myślenia o tym kiedykolwiek w przyszłości.

Słuchała go, nic nie mówiąc, ale swoimi dłońmi mocno ścisnęła jego.

— Nie będę próbował cię zwodzić. Naprawdę nie wiem, jak chciałbym postąpić. Wiem tylko, że pragnę, aby ta decyzja była słuszna i dobra. Gdybym był młodszy, byłoby mi łatwiej ją podjąć. Ale przez tak wiele lat moje życie biegło tylko jednym torem, że nie jestem pewien, czy potrafię je teraz przestawić na dwa tory bez spowodowania wypadku.

Uśmiechnęła się, kiwając głową.

— Jesteś mi bardzo bliska, Cynthio.

Nagle poczuł, że jego głos może się zaraz załamać, więc przez chwilę milczał, jedynie na nią spoglądając.

Był wzruszony czułym zrozumieniem, jakie wyczuł w jej sercu. Miała dar wzruszania go — śmiechem, zachwytem, głębokim uczuciem i nadzieją.

— Na początku — powiedziała cicho — było mi przykro, że nie odpowiedziałeś od razu. Wydaje mi się jednak, że całkiem niedawno zaczęłam cię lepiej rozumieć, i to, co mówisz, zupełnie mi wystarcza. Mimo to jest we mnie coś, co mówi mi, ty głupia, byłaś natrętna i zarozumiała, nie zależy mu na tobie bardziej niż na tych wszystkich innych osobach, dla których jest taki dobry, i wystraszysz go, jeśli się nie wycofasz, a wtedy... a wtedy ścieżka przez żywopłot zarośnie...

Ścieżka przez żywopłot zarośnie.

Czy to nie ona była tą, która pierwsza miała dość odwagi, żeby tę ścieżkę wydeptać?

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił, a potem pocałował jej włosy. Przez dłuższą chwilę milczeli. Następnie pocałował jej policzek i nasadę nosa.

— Nie możemy pozwolić, aby ścieżka przez żywopłot zarosła — powiedział z uczuciem.

— Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry — przywitał się Mule Skinner, wchodząc do środka, w pomarańczowo-turkusowej koszuli z indiańskim motywem.

— Śledziłem tę koszulę do samych drzwi — oznajmił Rodney, wchodząc tuż za nim — i jesteś aresztowany.

— Za co? — zapytał Mule.

— Za zakłócanie spokoju.

— Jeśli chcesz kogoś aresztować, to czep się tego gościa — zaproponował Mule, wskazując J.C. Hogana siedzącego w tylnym boksie razem z ojcem Timem.

— A co on zrobił?

— Zapomniał wydrukować moją reklamę w tym tygodniu, i to w dodatku na pół strony.

J.C. moczył kawałek tostu w sosie do kielbasy.

— Wydrukuję ją w następnym tygodniu i dodatkowo gratis za dwa tygodnie.

— Tyle samo zrobiliby dla mnie w każdej gazecie w Wesley — podsumował Mule, który często groził, że zacznie reklamować swój handel nieruchomościami gdzie indziej.

— Co powiesz wobec tego na dwa ogłoszenia gratis? Mule był tak zaskoczony, że zaniemówił.

— Ja bym się nie zastanawiał! — poradził Rodney.

— Umowa stoi — zgodził się, nie wierząc we własne szczęście Mule.

— Na jedną czwartą strony — dorzucił J.C.

Pastor uśmiechnął się. Tak bardzo się przyzwyczaił do tej zwykłej zażyłości swoich przyjaciół w tym niewielkim miejscu na mapie. Mitford stało się dla niego wielką rodziną, z całą obfitością kuzynów, z których każdy był tak zupełnie inny.

— To co zwykle — zwrócił się Mule do Percy'ego — tylko odciśnij cały tłuszcz.

— Wycisnę ci tłuszcz... prosto na twoją łysinę.

Co znajdzie w Sligo? Wziąwszy pod uwagę fakt, że w żyłach połowy mieszkańców Mitford płynie irlandzka krew, z dużą dawką szkockiego zamiłowania do oszczędności, mogło się okazać, że to, z czym się tam spotka, nie będzie wcale tak odmienne. Miał nadzieję, że w wiosce, w pobliżu farmy, będzie takie ciepłe miejsce jak bar Grill.

— Percy — zauważył J.C. — ta kasza jest jakaś niezwykła.

— Tak? — zapytał podejrzliwie Percy.

— Jest naprawdę dobra, gęsta, jest w niej dużo masła, dokładnie tak jak lubię.

Twarz Percy'ego rozjaśniła się.

— Nigdy nie jadłem kaszy, ale odkąd zacząłem ją jeść z rana, przyrządzam ją tak, jak mi smakuje.

Czy J.C. nie jest jakby inny?, zastanawiał się ojciec Tim. Może tak, ale nie potrafił tego precyzyjnie określić.

— Jedyne problem polega na tym — kontynuował J.C. — że w tym sosie są krupy wielkości lipucich jajek.

Pastor skończył kawę i podniósł się zza stołu.

— Chłopcy, mam tyle do zrobienia, że nie wiem, w co ręce włożyć, a Emma przyjeżdża po mnie jutro o świcie. Trzymajcie się ciepło, dopóki nie wrócę.

Wszyscy wyszli z boksu i stanęli wokół niego. Nieczęsto ktoś z nich wyjeżdżał do obcego kraju. Mule klepnął go w plecy.

— Nie zabieraj żadnych drewnianych pięciocentówek, przyjacielu.

— Napisz do nas kilka słów — poprosił J.C. — ale nie rozpisuj się za bardzo i podkreśl wszystkie ważne słowa.

Rodney uściśnął mu dłoń.

— Niech się ojciec niczym nie przejmuję. Będzie mi brakowało wszystkich tych zajęć, których mi ojciec ostatnio przysparzał.

— Niech ojca Bóg błogosławi — powiedział łamiącym się głosem Percy. — I proszę schować swoje pieniądze do kieszeni, stawia firma.

Proszę, pomyślał, odwiązując smycz Barnaby przywiązaną do nogi stojącej na chodniku ławki. To już oficjalne. Naprawdę będę musiał przez to wszystko przejść.

Zeszli zobaczyć miejsce, w którym Dooley chwycił obecnie przynętę na ryby. Znaleźli się w chłodnym, słodko pachnącym lesie, gdzie słychać było jedynie śpiew ptaków i szum wody. Jak bardzo był wdzięczny, że Dooley Barlowe mógł przeżyć ten złoty czas. Te dni staną się skarbnicą, z której będzie czerpał siły przez resztę życia.

— Chciałem przyjść do ciebie i się pożegnać — powiedział, siadając na brzegu strumienia, obok chłopca.

— Do widzenia — odpowiedział Dooley, uderzając w wodę patykiem.

— Wyjeżdżam, bo muszę, synu, a nie koniecznie dlatego, że chcę. Wiedz jednak, że będę za tobą tęsknił.

Zmierzwił mu włosy.

— Nie musi ojciec za mną tęsknić — powiedział Dooley, patrząc mu prosto w oczy. — Ja prawdopodobnie nie będę za ojcem tęsknił.

— Do licha, a ja miałem nadzieję, że tak.

— No może, raz na jakiś czas, wie ojciec, jak nie będę miał niczego innego do roboty.

— To mnie zadowala. Hal i Marge mówią, że dobrze sobie tutaj radzisz, robisz bez zarzutu wszystko, co do ciebie należy. To starzy przyjaciele i bardzo wiele dla mnie znaczą, dziękuję więc, że im pomagasz.

— Potrzebują pomocy — stwierdził poważnie Dooley. — Ta Rebecca Jane prawie cały czas płacze i raczkuje po całym domu, wyjadając jedzenie dla psów z miski Bonemeala, i sika w majtki, a doktor Owen nie ma nikogo, kto pomógłby mu sprzątać w stajni i zajmować się psimi budami. Prosi mnie nawet, żebym mu pomagał odbierać cieleta.

Jeszcze nigdy nie widział, żeby Dooley wyglądał tak dumnie. I mógłby przysiąc, że urósł o kilka centymetrów od czasu, gdy widział go ostatnio, zaledwie dziesięć dni temu.

— Możesz się dużo nauczyć od Hala Owena.

— Wie ojciec, co mi powiedział?

— Co takiego?

— Że mogę zostać, kim tylko zechcę.

— To prawda. Możesz.

Dooley uderzył patykiem w wodę.

— Kim sobie tylko zamarzę?

— Tak.

Nastąpiła długa cisza, przerywana jedynie nawoływaniem kardynała szukającego partnerki.

— Owenowie wezmą cię ze sobą, żebyś mógł odwiedzić dziadka. Jesteś dla niego najlepszym lekarstwem. I mam nadzieję, że będziesz pilnował Barnaby.

— Kiedy ojciec wraca?

— We wrześniu. Szkoła się już zacznie i Puny zamieszka z tobą przez jakiś czas. Będę z powrotem, zanim zdążysz dostać pierwszą szóstkę z matematyki.

— Lubię Puny.

— Puny też cię lubi.

— Czy nie pytała o mnie Jenny?

— Nie, ja jej nie widziałem. Jest bardzo ładna.

— Tak.

Wbił patyk w porastający brzeg strumienia mech.

— Coś cię trapi, Dooley? Zawahał się.

— Modliłem się.

— Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

— Czy można prosić o głupie rzeczy?

— Mam taką nadzieję, ja bardzo często proszę o głupie rzeczy.

— Chodzi mi o takie rzeczy, jak na przykład: pomóż mi, Boże, zrobić wszystko jak należy, gdy doktor Owen prosi mnie, żebym pomógł mu w stodole albo podał mu coś, gdy wychodzi cielak...

— To nie są głupie rzeczy. Bóg chce, żebyśmy prosili Go o pomoc, a jeśli już mówimy o tym, jak zrobić coś właściwie, wiesz, co Bóg ma ci do powiedzenia na ten temat, Dooley?

Dooley wyglądał na zaskoczonego.

— Co takiego?

— W Psalmie trzydziestym drugim mówi: „Pouczę cię, Dooley, i wskażę drogę, którą pójdziesz; umocnię moje spojrzenie na tobie”.

— Czy naprawdę wstawił tam moje imię?

— Tak. Tak samo jak wstawił tam moje imię i imiona Owenów, i imię Cynthii. Pismo Święte mówi do każdego, kto mu ufa.

— Nie mogę tu tak siedzieć i gadać — przerwał Dooley, szybko stając na nogi. — Muszę nakarmić psy. Chce ojciec ze mną pójść?

— Idę za tobą.

Chłopiec ruszył truchtem w górę wijącej się ścieżki, która prowadziła do stodoły i psich bud. Potem pastor usłyszał donośne szczekanie i zobaczył Barnabę biegnącego do Dooleya, który objął ramionami czarnego psa i razem z nim zaczął się turlać po ziemi, wołając jego imię i śmiejąc się.

Jednego nie mógł odmówić swojej sekretarce. Jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tej wycieczki, jakiegokolwiek obawy przed wyjazdem, jazda z Emmą Garrett do Holding sprawiła, że nie mógł się już doczekać chwili, gdy znajdzie się w samolocie — im prędzej, tym lepiej. Tak niezmordowanie zadawała mu pytania na temat tego, co spakował i czego zapomniał, że musiał w końcu przyznać, że nie znał odpowiedzi na żadne z pytań, gdyż wszystko spakowała mu Puny Bradshaw, z jego błogosławieństwem. Była zrozpaczona, że pozwolił jakiejś innej osobie zrobić coś tak osobistego. Jak mógł być pewien, z czym skończy gdzieś tam daleko za oceanem, i nie będzie mógł pobiec do domu, żeby wziąć coś, o czym zapomniał?

Kiedy zobaczył, że pierwszy odcinek podróży ma pokonać małym samolocikiem, który wyglądał jak balia i był najwyraźniej zrobiony z cyny, nie cofnął się. Nieważne, że słyszał prawdziwe horrory o małych samolotach rozbijających się w cudzych sypialniach i o tym, że może w nich brakować powietrza, zupełnie jak w pojemniku na chleb.

Wyjął bagaż z bagażnika liliowego oldsmobile'a Emmy i uginając się pod ciężarem walizki i torby na garnitur, pocałował ją w mokry od łez policzek, po czym zniknął w budynku odlotów.

Siedział, patrząc na pas startowy, który prażył się w ostrym letnim słońcu. To przecież on wyjeżdża; dlaczego czuje się taki odrzucony? Dlaczego pozwolili mu wyjechać? Teraz siedział już w samolocie i musiał to zrobić, pokonać setki kilometrów, lecieć przez cały ocean i przeżyć przygodę — czy tego chciał czy nie.

Mały samolot uniósł się do góry z grzechotem i jękiem tak strasznym, że miał wrażenie, iż cała konstrukcja zaraz się rozleci. Jeśli już żył w tej tak zwanej, mocno rozreklamowanej, erze technologii, to dlaczego byli tak nieudolni i nie zbudowali samolotu, który spełniałby swoją funkcję chociaż odrobinę lepiej?

Ścisnął leżącą na kolanach skórzaną teczkę, tę, którą wiele lat temu podarowała mu na Boże Narodzenie rada parafialna. Czego rzeczywiście zapomniał? Ogarnął go lekki niepokój, że najwyraźniej o wszystko zadbał, wszystko dobrze przygotował na czas wyjazdu. A dlaczego, u licha, ma go to niepokoić? Z tego prostego powodu, że zdarzało się to tak rzadko w życiu, że aż rodziło podejrzenia, dlatego właśnie.

Otworzył teczkę, wyjął z niej notatnik w okładce i pióro i zaczął robić zapiski do kazania, którego temat przyszedł mu do głowy zaledwie wczoraj. Proszę. Od razu poczuł się lepiej. Gdy skończy, sporządzi listę rzeczy, o których powinien napisać do domu, na przykład, jak udał się Festiwal Róż? Zapomniał zapytać. I czy ktoś mógłby zadbać o to, żeby nowa wanna w Porter Place miała zainstalowany uchwyt? A gdy Cynthia będzie miała jakieś wiadomości od swojego agenta na temat rysunków w tuszu wujaszka Billy'ego, czy mogłaby mu od razu dać znać? I czy zawiadomienie o podniesieniu stawki za ubezpieczenie arrasu z Mortlake włożył do szuflady, czy może dał Ronowi na kolejne spotkanie rady parafialnej? Był zdziwiony listą, jaką potrafił sporządzić, jeśli się tylko do tego przyłożył.

Nagle jego wzrok spoczął na oknie.

Lecieli nad soczystymi falującymi polami, a po prawej stronie widział swoje własne niebieskie góry. Pomyślał, że już od dawna nie oglądał czegoś tak pięknego.

Widział spokojną farmę. Wokół niej ciągnęło się kilkuhektarowe pole, a zielone plony zebrane były w równo leżące paczki. Drogą jechał traktor. Było tam też jezioro, w którego tafli odbijało się niebieskie niebo i cień przelatującego nad nim małego samolotu.

Blżej w kierunku gór, lśniąc w słońcu, wiała się pośród pól wstęga rzeki. Za nią widać było mały biały kościółek z wieżą jaśniejącą w pełnym blasku słońca.

Zamknął leżący na kolanach notatnik.

„Zacznij nowe życie” — przyszło mu zupełnie bezwiednie do głowy.

Miał uczucie, jakby wychodził z długiego wąskiego korytarza, niczym z kokonu. Podczas gdy mały samolocik szybował na swych lśniących skrzydłach nad polami, on czuł, jak z jego ramion spada ogromny ciężar.

— Zacznij nowe życie w Chrystusie — powiedział cicho, zastanawiając się nad dziwnie znajomą myślą.

Leć i bądź jak motyl.

